

FRÉDÉRIC LENOIR

WYROCZNIA KSIĘŻYCA

Z francuskiego przełożyła SYLWIA FILIPOWICZ

Dla Joanny, która odeszła przedwcześnie, bez której nie byłoby tej książki.

Istnienie jest faktem, życie jest sztuką. Droga życia to przejście od lęku do miłości.

Przedmowa

Główni bohaterowie oraz intryga powieści są wytworem mojej wyobraźni. Niemniej jednak, umiejscawiając akcję w konkretnym miejscu i czasie - w epoce renesansu, w basenie Morza Śródziemnego - starałem się zachować wiarygodność miejsc i obyczajów, a także cytowanych przeze mnie postaci historycznych, których życie i poglądy przeplatają się z kanwą mojej opowieści. Mam tu szczególnie na myśli Erazma z Rotterdamu, Marcina Lutra, papieża Pawła III, Pico della Mirandolę, Marsilia Ficina, Medyceuszy, Julię Gonzagę, Juana de Valdesa, Andree Grittiego, Johannesesa Lichtenbergera, Pawła z Middelburga, Filipa Melanchthona, Teofana Strelitzasa, Mikołaja Kopernika, braci Barbarossa, Sulejmana Wspaniałego, cesarza Karola V, Franciszka I.

Autentyczne są także odniesienia do dzieł uczonych, myślicieli i filozofów: Platona, Arystotelesa, Jezusa, świętego Pawła, Ptolemeusza, Plotyna, świętego Augustyna, świętego Dionizego, Albumazara, Mojżesza de Leon (Baal Szem Towa), Ibn Arabiego, Grzegorza Palamasa, świętego Tomasza z Akwinu i innych.

Prolog

1

Na twarzach wieśniaków malował się strach. Zebrani w odległości kilku kroków od domostwa, stali nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w ruderze. Na ich pomarszczonych czołach perlily się krople potu. W pewnej chwili stary Giorgio uniósł pięść i wrzasnął:

- Śmierć czarownicy!

- Śmierć czarownicy! - powtórzyła grupa dwudziestu mężczyzn i kobiet, którzy zagłębili się w las, zdecydowani raz na zawsze rozprawić się z kłętą.

Wymachując widłami i kilofami, rzucili się w stronę domu. Drzwi ustąpiły za pierwszym szarpnięciem. Gniewnym oczom ukazała się oświetlona mdłym promieniem słońca izba. Pusta.

- Wymknęła się - rzuciła rozżalona wdowa Trapponi.

- Ale całkiem niedawno - zauważył cherlawy młodzieniec, wtykając nos w zawieszony nad paleniskiem kociołek. - Spójrzcie, palenisko jeszcze się tli, a woda jest ciepła.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby skryła się gdzieś w pobliskich zaroślach. Poszukajmy jej - powiedział stary Giorgio.

Ponad dwie godziny wieśniacy przeszukiwali zagajnik i wpatrywali się w korony drzew. Na próżno.

- Wiedźma musiała coś przeczuć i porzuciła swoją kryjówkę. Lepiej niech idzie odprawiać gusła gdzie indziej! - mruknął kowal, po czym odwrócił się i dmuchnął w popiół, rozsiewając go po drewnianym domostwie. Z pomocą jednookiego mężczyzny porąbał znajdujący się w izbie stół i podrzucił dREW, by rozpałić tańczące w czterech stronach domu iskierki. Nagle jednooki potknął się o niespodziewaną przeszkodę.

- Do krośet! Uchwyt! Pod stołem jest właz! - wrzasnął. Krzycząc i gestykulując, kobiety i mężczyźni stłoczyli się w izbic. Ugasili zaproszony ogień, gromadząc się wokół zejścia do piwnicy: wbijając wzrok w uchwyt, jakby przeczuwając, że otworzy im wrota piekieł. Radość odkrycia ustąpiła miejsca strachowi, aż zapało im dech i oblali się potem.

Kowal zapalił dwie pochodnie, bez słowa dając znak, by otwarto właz. Jeden z mężczyzn chwycił za uchwyt. W chwili gdy skrzypnęły zawiasy drewnianej kłapy, kowal wrzucił do dziury pochodnię. Wszyscy instynktownie zrobili krok wstecz.

Nic się nie wydarzyło. Co odważniejsi pochylili się nad ziejącą otchłanią. Pochodnia spadła z wysokości odpowiadającej mniej więcej wzrostowi człowieka. Leżała teraz na ubitej ziemi, oświetlając drewniane, siedmiostopniowe schody. Nie było widać nic więcej.

- Wyłaż z dziury, czarownico, jeśli nie chcesz się upiec! - krzyknął Giorgio tonem, który miał brzmieć pewnie, ale zdradzał jednak oznaki przejmującej go trwogi.

Nikt nie odpowiedział.

- Trza będzie tam zejść - powiedział mężczyzna z dość niepewną miną.

Nikt nie zrobił kroku.

- Tchorze! - wrzasnęła wdowa Trapponi. - To jej sprawka, że mój Emilio nie żyje!

Uniosła spódnice, chwyciła drugą pochodnię i zeszła do kryjówki. Stojąc u podstawy schodów, oświetliła wnętrze piwnicy. Na rozłożonej wprost na wilgotnej ziemi słomie majaczył nieruchomy, przykryty derką ludzki kształt. Kobieta podeszła bliżej. Pokonując strach, zrobiła jeszcze jeden krok i zdecydowanym szarpnięciem zdarła okrycie.

Wydała stłumiony krzyk, przeżegnała się kilka razy i czym prędzej wybiegła na górę. Wytrzeszczając oczy, wczepiła się w koszulę kowala.

- To jakieś ciemne sprawki! - krzyknęła.

2

Brat furtian nie krył zaskoczenia na widok dziwacznej grupy chłopów wiozących na wozie ciało.

- Jestem sołtysem wsi Ostuni. Chcemy rozmawiać z opatem - odezwał się Giorgio.
- Opata nie ma. Czego chcecie? - rzucił ostro furtian.

Nieobecność przełożonego klasztoru zbiła wieśniaków z tropu. Ich odkrycie było na tyle istotne, że nie mogli powierzyć sprawy pierwszemu lepszeemu mnichowi. Po chwili wahania Giorgio zapytał ponownie:

- Kto kieruje klasztorem podczas jego nieobecności?

- Don Salvatore, przeor - odpowiedział sucho furtian, zagniewany, że prości chłopci, a nie chcą z nim rozmawiać. - Ale nie należy mu przeszkadzać z byle powodu. O co chodzi? Macie tu nieboszczyka? - dodał, spoglądając w stronę leżącego na wozie, przykrytego płótnem ciała.

- Gorzej! - odpowiedział wieśniak poważnym tonem. Widząc malujące się na twarzach przerażenie, mnich zdecydował się wreszcie zakłócić spokój przeora.

Wybudowany na niewielkim, wznoszącym się nad morzem i otoczonym gajami oliwnymi wzgórzu klasztor San Giovanni in Venere był w połowie XVI wieku głównym ośrodkiem religijnym rozległej prowincji Abruzji. Ten położony w centralnej Italii masyw górski łączyła z Rzymem Via Trajana, kończąca się u stóp klasztoru, w maleńkim porcie Venere, dziesięć mil na południe od Peskary, jednego z największych portów nad Adriatykiem. Miejsce zawdzięczało swoją nazwę bogini Wenus. Legenda głosiła, iż dawno temu pewien kupiec, twierdząc, że właśnie przez nią został uratowany z morskiej topieli, wznosił w tym miejscu świątynię ku czci tej, która została zrodzona z wody. Świątynia Wenus Rozjemczyni stała się szybko miejscem pielgrzymek par przybywających, by zjednać sobie przychylność bogini miłości.

Na początku VIII wieku pewien benedyktyński mnich wznosił na ruinach pogańskiego sanktuarium kościół poświęcony Najświętszej Marii Pannie i świętemu Janowi. W 1004 roku benedyktyni przekształcili kościół w opactwo. Nazwa, którą nadali swojemu przybytkowi, nawiązuje - jakże rzadki to fakt - do pogańskiej przeszłości miejsca i brzmi: San Giovanni in Venere.

Nadchodzący czas okazał się dla opactwa okresem świetności. Przez niemal dwieście lat San Giovanni in Venere było ważnym ośrodkiem gospodarczym, kulturalnym i duchowym. Nauczano w nim sztuk pięknych i rozmaitych rzemiosł, w jego posiadaniu była bogata biblioteka ze sztabem kopistów. Potem nastąpiły chude lata. W 1194 roku klasztor padł łupem rycerzy uczestniczących w czwartej krucjacie. Podźwignął się z upadku, odzyskując resztki świetności, ale został częściowo zniszczony przez potężne trzęsienie ziemi w 1466 roku. W 1478 epidemia dżumy zdziesiątkowała mnichów uczestniczących w odbudowie świątyni. Ci, którzy przeżyli, zdołali

dzięki ciężkiej pracy i modlitwie przywrócić jej resztki dawnego blasku i oto teraz, roku Pańskiego 1545, klasztor był siedzibą zgromadzenia liczącego około czterdziestu mnichów, na których czele stał opat ojciec Theodoro wspierany przez ojca Salvatora, przeora klasztoru.

Jako że na początku Wielkiego Postu dni były jeszcze chłodne, przeor narzucił na czarny benedyktyński habit narzutkę z brązowej wełny i wyszedł na spotkanie wieśniaków.

- Pokój Chrystusa! - powiedział na powitanie. - Co was sprowadza?

Stary Giorgio zdjął kapelusz i poskrobał się w głowę.

- Pochodzimy z Ostuni, ojcze, wioski znajdującej się o jakieś dwadzieścia mil stąd*.*

Prawdopodobnie chodzi o tzw. ligę lądową, czyli 4828,032 metra.

- Dlaczego wyruszyliście z tym ciałem w tak daleką trwającą kilka dni drogę?

- Z pewnością ojciec wie, że od Bożego Narodzenia nad naszą nieszczęsną wioską zawisła klątwa?

- W rzeczy samej, dotarły do nas wasze prośby o modlitwę - odpowiedział przeor, któremu nagle przypomniał się emisariusz przysłany do klasztoru dobry miesiąc wcześniej. - O ile dobrze pamiętam, kilka osób zmarło w dziwnych okolicznościach?

- Wszystko zaczęło się tuż po Bożym Narodzeniu - kontynuował wieśniak, wyraźnie zadowolony, że mnich pamięta o sprawie. - Syn kowala wpadł do studni i utopił się. Na świętego Roberta belka w owczarni przygniotła Emilia, gruchocząc mu kości. Kilka dni później żona Francesca zmarła przy porodzie wraz ze swoim maleństwem. A na Matki Boskiej Gromniczej stary Tino, skądinąd silny jak tur, zmarł na dyzenterię.

- To rzeczywiście przygnębiające. Będziemy nadal modlić się za zbawienie waszych bliskich i o to, by Pan was oszczędził.

- Na nic wasze modlitwy... to wszystko sprawka złego, ojcze. - Wypowiadając te słowa, wieśniak obserwował reakcję mnicha, jednak widząc, że ten pozostał niewzruszony, dodał: - To wszystko przez tę wiedźmę, która ukrywa się w lesie Vedice! Z całą pewnością pakuje z kusym lub jego nasieniem.

- Skąd wiecie?

- Zamieszkała w opuszczonej chatynce jakiś miesiąc przed Bożym Narodzeniem. Potem zjawiała się w wiosce, uzdrawiając za pomocą ziół, w zamian za warzywa i drób. Byli tacy, co bez wahania prosili ją o leki na uśmierzenie bólu i cierpienia i chodzili do jej leśnej chatynki. Ale tuż przed nastaniem wszystkich tych nieszczęść, odmówiła kowalowi opatrzenia jątrzącej się na rękę rany po oparzeniu. Potem odmówiła pomocy Francescowi, rzucając za nim przekleństwa, lżąc na głos naszego Pana. Jeden z nich stracił syna, a drugi żonę i syna. Wszystko to jakieś nieczyste sztuczki!

Mnich zamyślił się chwilę, potem utkwiał wzrok w wieśniaku:

- Jaki macie dowód, że wszystkie te nieszczęścia spadły na was za sprawą tej kobiety?

- Wiemy swoje - odpowiedział mężczyzna drżącym głosem. - Rzuciła na wioskę urok i teraz cmentarz przez dwa miesiące zapełnił się szybciej niż przez cały rok. To czarownica! Tylko ogień uratuje nas przed urokiem!

- Dobrze, dobrze, uspokójcie się. Nikt nie pali ludzi na stosie dla własnego widzimisię. Trzeba przeprowadzić śledztwo w sprawie tych wypadków i przesłuchać tę kobietę. Porozmawiam o tym z namiestnikiem prowincji...

- Nie potrzeba namiestnika! Wiedźma uciekła, a my mamy dowód na jej kontakty z nieczystym!

- Ach tak? Bardzo chętnie zobaczę wasz dowód. Wieśniak rozpląnął się w bezzębny uśmiech i wskazał ręką wóz.

- Oto on!

Zaintrygowany przeor podszedł bliżej. Wieśniacy rozstąpili się w milczeniu. Ojciec Salvatore chwycił płótno skrywające podłużny kształt i z należnym szacunkiem odkrył twarz, a następnie całe ciało.

Jego oczom ukazał się około trzydziestoletni, dość ładny, acz niezmiernie wychudzony mężczyzna. Był nagi. Na lewym boku, tuż przy sercu, przeor zauważył długą bliznę. Mężczyzna oddychał, jego serce biło jeszcze, ale oczy były zamknięte.

- No dobrze. I co to niby ma znaczyć? - zapytał mnich, odwracając się w stronę wieśniaków. Sołtys ponownie zabrał głos.

- Znaleźliśmy go w piwnicy domu czarownicy. Żyje, ale bez przytomności. Ta kobieta z całą pewnością odprawiała nad nim magiczne rytuały. Znaleźliśmy przy nim mnóstwo różnych proszków i balsamów. A do tego, proszę, niech ojciec sam zobaczy: namalowała mu na rękach i stopach jakieś czarodziejskie znaki... Z całą pewnością jest opętany. Oto dlaczego przywieźliśmy go do klasztoru!

Mnich zbadał tajemnicze geometryczne figury wykreślone węglem drzewnym na stopach i nadgarstkach mężczyzny. Stwierdził, że w żadnej mierze nie przypominają znaków nieczystych i są prawdopodobnie związane z jakąś metodą leczenia, gdyż były grubo pokryte warstwą maści o barwie bursztynu. Odwrócił się do wieśniaków:

- Znacie tego człowieka?

- Nie - odpowiedział Giorgio. - Nie pochodzi z naszej wioski. Zastanawiamy się właśnie, jakim cudem trafił w ręce tej wiedźmy!

- Dziwna sprawa, w rzeczy samej. Dobrze zrobiliście, przywożąc go do nas. Zatrzymamy go tutaj, a jeśli o was chodzi, zostawcie tę kobietę w spokoju. Dajcie mi znać, jeśli znowu się pojawi.

- Czym prędzej przeprowadźcie egzorcyzmy... Ten człowiek jest w szponach...

Słyszac to, ojciec Salvatore uśmiechnął się bez słowa. Nakazał przenieść chorego do infirmerii i odprawił wieśniaków.

Wieczorem zdał sprawozdanie z wydarzenia kapitule wspólnoty. Powierzył rannego modlitwie mnichów i opiece brata Gaspara, który nie omieszkiał zauważyć, że ciężka rana w boku mężczyzny została zadana sztyletem. Aż dziw, że ostrze nie przebiło serca. Mężczyzna cudem uniknął śmierci, a jego rana została umiejętnie opatrzona ziołowymi miksturami. Puls rannego był co prawda bardzo słaby, ale wszystkie funkcje życiowe zostały zachowane. Niestety, duch nieznanego był nieobecny, jakby mężczyzna pogrążył się w głębokim śnie. Bracia wysłuchali wyjaśnień ojca Salvatore, po czym leciwy ojciec Marco, sprawujący dawniej funkcję przeora, zauważył, że wprowadzenie osoby świeckiej na teren klauzury jest niezgodne z regułą zgromadzenia.

Infirmeria rzeczywiście znajdowała się w części klasztoru przeznaczonej dla braci zakonnych. Jak wszystkie klasztory benedyktyńskie San Giovanni in Venere składał się z kościoła, wirydarza i zabudowań klasztornych, w których mieszkali zakonnicy. W większości opactw wiiydarz, prawdziwe serce założenia klasztornego, jest ze wszystkich stron otoczony zabudowaniami klasztornymi. Wokół niego ciągną się krużganki, którymi zakonnicy przemieszczają się z jednej części klasztoru do drugiej. Jednak tutejsze opactwo zostało wzniesione na zboczu wzgórza. Budowniczo wie musieli więc postawić kościół wzdłuż zachodniej ściany wirydarza, umieszczając wszystkie zabudowania klasztorne w jednym, trzypiętrowym budynku, przylegającym do południowej krawędzi ogrodu. Na opadającym w stronę morza zboczu, za północną ścianą wirydarza i południową fasadą budynku klasztornego, znajdował się ogród warzywny. Na najniższym poziomie zabudowań umieszczono spiżarnię, rozmównicę i noclegownię, jedyne miejsca dostępne dla osób świeckich. Na pierwszym piętrze, na wysokości wirydarza i kościoła, znajdowały się kuchnia, refektarz, skryptorium, infirmeria i pracownia malarska. Na najwyższym piętrze mieściło się dormitorium, latryny oraz cele opata i przeora.

Ojciec Salvatore przyznał, iż złamał świętą regułę zabraniającą wprowadzania osób świeckich na teren klasztoru, ale usprawiedliwił swoją decyzję ciężkim stanem zdrowia rannego, który wymagał opieki medyka i troskliwej pielęgnacji. Przypomniat także braciszkom, że zgodnie z duchem założyciela zakonu, miłosierdzie jest cnotą najwyższą i uchylając się od udzielenia pomocy, postapiliby wbrew regule.

Większość braci nie była przekonana co do racji ojca Salvatore, ale pod nieobecność opata nikt nie ośmielił się podważyć jego decyzji.

Nad klasztorem zapadła noc. Po komplecie mnisi udali się do dormitorium, a przeor do swojej skromnej celi.

Ojciec Salvatore był dobrze zbudowanym, krzepkim, dobiegającym pięćdziesiątki

mężczyzną, który wstąpił do zakonu benedyktynów w wieku siedemnastu lat. Jego delikatną twarz rozjaśniało łagodne spojrzenie błękitnych oczu. Lata studiów uczyniły z niego znawcę teologii i Pisma Świętego. Już po raz trzeci w ciągu dziesięciu lat został wybrany przeorem zgromadzenia San Giovanni in Venere i podczas nieobecności opata podejmował wszystkie decyzje dotyczące życia wspólnoty. W przeciwieństwie do wybranego dożywotnio na stanowisko opata ojca Theodora, zimnego i aroganckiego starca, ojciec Salvatore był człowiekiem pokornym i cichym.

Tego wieczoru był niespokojny. Nie wierzył wprawdzie w historię o czarownicy i opętaniu, przeczuwał jednak, że ranny przysporzy mu wielu kłopotów.

I rzeczywiście, tuż przed świtem brat Gasparo załomotał do jego drzwi.

- Ojciec Salvatore, proszę pójść za mną! Prędko!

- Co znowu? - zapytał przeor, uchylając drzwi, zakładając w biegu szkaplerz.

- Coś dziwnego dzieje się w infirmerii. Wewnątrz pali się światło, a spod zamkniętych od środka drzwi sączy się krew...!

3

Po drodze brat kontynuował opowieść.

- Wstałem nieco przed jutrznią by opatrzyć rannego. Kiedy przyszedłem do infirmerii, zdziwiłem się, widząc wewnątrz światło. Ale dosłownie wpadłem w osłupienie, kiedy zorientowałem się, że zasuwka jest zamknięta od środka! Nie mogłem otworzyć drzwi... i nagle poczułem pod stopami ciepły płyn. Widząc, że to krew, natychmiast przybiegłem do ojca. Krwi tyle, że powiedziałbyś, iż zarżnięto wołu!

- Kto spał tej nocy w infirmerii?

- Tylko ranny, którego przywieźli wieśniacy.

W tym momencie mnisi dotarli przed zamknięte drzwi. Brat Gasparo poświecił pochodnią tuż przy ziemi.

Na widok płynącej u jego stóp krwi przeor poczuł mdłości. Dał braciszce znak, by pomógł mu wyważyć drzwi. Bez trudu poradziła sobie z małą zasuwką która szybko ustąpiła pod naporem, a ich oczom ukazał się makabryczny widok.

W mdłym świetle wiszącej na ścianie pochodni zobaczyli przywiezionego przez wieśniaków mężczyznę, który leżał na ziemi z nabrzmiałą twarzą i rozkrzyżowanymi ramionami, a z jego otwartej rany sączył się strumyczek krwi. Kilkanaście kroków od niego leżało unurzane w kałuży krwi ciało.

- Mój Boże! - wykrzyknął przeor. - To brat Modesto! On jest...

- Wypatroszony - jęknął brat Gasparo słabym głosem. - Rozcięto mu brzuch ostrzem do przyżegania, które zostawiłem obok rannego - dodał na widok leżącego obok ciała narzędzia.

- Co się stało? I kto mógł dopuścić się w naszych murach tych strasznych mordów?... I

dlaczego?

- Ale gdzie się podział zabójca? - zaniepokoił się brat Gasparo. - Pomieszczenie było zamknięte od środka... Może nadal tu jest...

- Masz rację - odpowiedział przeor chwytając pogrzebacz, po czym dał towarzyszowi znak, by otworzył szafę, jedyne miejsce, w którym mógłby się schować zabójca. Z bijącym sercem brat Gasparo uchylił drewniane drzwi. Nic. Zaskoczeni mężczyźni spojrzeli po sobie. Ojciec Salvatore obejrzał znajdujące się tuż pod sufitem świetliki, zdając sobie sprawę, że były zbyt małe, aby ktokolwiek mógł przez nie przejść. Nie przeszłoby się nawet dziecko. Jego uwagę przykuł kominiek. Zostało już tylko jedno rozwiązanie: morderca prawdopodobnie zrzucił linę i wymknął się tamtędy. Świecąc sobie pochodnią mnisi zlustrowali przewód kominowy. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu, nie znaleźli kompletnie nic. Żadnych śladów sadzy na podłodze, żadnych śladów na ścianach komina.

- Nic z tego nie rozumiem - podsumował przeor, przesuając palcem po osmalonym wnętrzu. - Jeśli ktokolwiek wszedłby tą drogą z całą pewnością musiałby zostawić ślady.

- To chyba sam bies we własnej osobie - drżącym głosem wyszeptał brat Gasparo.

Na dźwięk jego głosu przeor przypomniał sobie słowa wieśniaków, ale szybko odsunął natrętą myśl.

- Nie możemy tak zostawić ciała. A zabójca być może nadal krąży gdzieś po klasztorze... Zaraz będą dzwonić na jutrznię, trzeba...

- On jeszcze żyje! - przerwał przeorowi brat pielęgniarz, pochylając się nad ciałem nieznanego. Jeśli nie stracił zbyt wiele krwi i jeśli zdołam zamknąć ranę, ma jeszcze szansę.

Przeor pomógł bratu Gasparowi ułożyć nieruchome ciało na posłaniu. Potem, gdy ten ratował umierającego, obmył ciało brata Modesta. Gdy zadzwoniono na jutrznię, zostawił wciąż jeszcze przerażonego pielęgniarza sam na sam z rannym i przeszedł przez klasztor do kościoła, by odprawić mszę.

Po zakończeniu liturgii wezwał czterdziestu mnichów na nadzwyczajne posiedzenie Kapituły. Brat Gasparo wkrótce dołączył do reszty zakonników. Przeor poinformował zgromadzonych o tragicznych wydarzeniach ostatniej nocy. Jednak chcąc uniknąć paniki, nie powiedział, że drzwi infirmerii były zamknięte od środka.

Wszyscy patrzyli na niego w przerażeniu. Kto mógł popełnić zbrodnię? Dlaczego zamordowano brata Modesta i próbowano zabić tajemniczego nieznanego? I co Modesto robił w środku nocy w infirmerii? Chyba że zabito go gdzie indziej i później przeniesiono ciało. Cały dzień te i inne pytania nie dawały mnichom spokoju. Aby uniknąć skandalu podczas nieobecności opata, ojciec Salvatore poprosił o zachowanie tajemnicy. Świat zewnętrzny poinformowano po prostu o nagłym zgonie jednego z zakonników.

Od tej pory mnisi mieli dniem i nocą pilnować wejścia do klasztoru.

Dwa dni później nieszczęsny brat został pochowany na przyklasztornym, przylegającym do opactwa cmentarzu „z widokiem na morze”. Natychmiast po zakończeniu uroczystości, ojciec Salvatore w towarzystwie brata Gaspara udał się do infirmerii. Stojąc u wezłowania chorego, zapytał o stan jego zdrowia.

- Bogu dzięki, odzyskuje siły - odpowiedział pielęgniarz. - Wybroczyny na twarzy są niegroźne. Zdołałem też zasklepić tę paskudną ranę. Jeszcze kilka godzin, a wykrwawiłby się na śmierć.

- Nie odzyskał przytomności?

- Jeszcze nie. Znałem już podobne przypadki osób zawieszonych pomiędzy światem żywych i umarłych. Bóg jeden wie, co jemu przeznaczył.

- Tak, jego życie jest w rękach Pana - mruknął przeor, wstając, po czym wrócił do swojej celi, która służyła mu także za gabinet. Usiadł przy stole, by spisać wydarzenia minionego dnia. Był to raport przeznaczony dla opata, który miał wrócić za kilka tygodni z dalekiej zagranicznej podróży.

Ojciec Salvatore już drżał na myśl, że będzie musiał przekazać straszną nowinę cholerycznemu ojcu Theodorowi. Ów lubiący ład i dyscyplinę siedemdziesięciolatek z całą pewnością nie omieszka mu wypomnieć, że przez trzydzieści lat, podczas których pełnił funkcję opata, w jego obecności nie zdarzył się nigdy żaden Poważniejszy wypadek. Świadom tego faktu ojciec Salvatore pragnął więc rzucić światło na ową okrutną zbrodnię jeszcze przed powrotem swojego przełożonego. Niestety, owej feralnej nocy nikt nic nie widział ani nie słyszał. Nie znaleziono też żadnych pozostawionych przez złoczyńcę śladów. Jedyne, czego wszyscy byli pewni, to to, że nieszczęsny brat Modesto wstał i opuścił dormitorium gdzieś pomiędzy kompleką i jutrznią. Ale ponieważ ów pobożny, cierpiący na bezsenność mnich udawał się czasem nocą na modły do krypty kościoła, nikt nie zaniepokoił się jego zniknięciem. Przeor wydedukował, że idąc wzdłuż murów klasztoru, zamordowany brat musiał usłyszeć podejrzany hałas dobiegający z infirmerii i wpadł na złoczyńcę, który próbował zamordować rannego - prawdopodobnie przez uduszenie, sądząc po śladach na twarzy nieznanego. Mnich stanął w obronie mężczyzny i sam padł ofiarą okrutnego zabójcy. Wszystko to wydaje się wielce prawdopodobne - pomyślał przeor. Ale jakim cudem złoczyńca zbiegł, zostawiając zamkniętą zasuwę? Dręczony pytaniami ojciec Salvatore ukląkł przed ikoną Bogurodzicy wiszącą w niszy nad jego łóżkiem.

Osobliwością klasztoru San Giovanni in Venere była znajdująca się w nim pracownia ikon. Te malowane na drewnie obrazy przedstawiające Chrystusa, Bogurodzicę lub świętych znane były w kościele prawosławnym. Natomiast w Kościele katolickim, po Wielkiej Schizmie Wschodniej, bardziej skłaniano się ku rzeźbie i witrażom. Tymczasem opat klasztoru San Giovanni in Venere,

zainspirowany jedną ze swoich podróży na Wschód, zachował szczególne umiłowanie do owych świętych obrazów. Wysłał nawet dwóch szczególnie utalentowanych braci na Krete, by poznali tam tajniki ikonopisarstwa. Jeden z nich już nie żył, ale drugi, brat Angelo, kontynuował swoje dzieło w maleńkiej pracowni znajdującej się tuż obok infirmerii. Z tego tytułu kościół, a także niektóre z klasztornych budynków, takie jak refektarz, kapitułarz oraz cele opata i przeora były ozdobione licznymi podobiznami świętych.

Wpatrując się w oblicze Najświętszej Pani, ojciec Salvatore wyznał Matce Chrystusowej niepokoję swej duszy, po czym powierzył jej życie, a nade wszystko duszę człowieka, który wtargnął nagle w tak dobrze zorganizowane życie klasztoru. Jako dobry uczeń Arystotelesa i Tomasza z Akwinu raczej nie wierzył w cuda i czary. Raczej szukał zawsze najprostszych, dających się racjonalnie wytłumaczyć rozwiązań.

Taka postawa już wielokrotnie pozwoliła mu zdemaskować fałszywe przejawy „interwencji bożej”, czasem nawet wśród nieco bardziej egzaltowanych mnichów. Ale tym razem sam zastanawiał się, czy wydarzenia ostatnich dni nie były przypadkiem przejawem działania siły nadprzyrodzonej.

W tym samym momencie ktoś ponownie załomotał do jego drzwi.

4

Mój Boże, co znowu? - pomyślał, z trudem wstając z kolan, i otworzył drzwi.

Stojący przed nim brat Gasparo, zgodnie z panującym obyczajem, miał zarzucony na głowę kaptur (wszak było już po komplecie).

- Otworzył oczy! Ranny odzyskał przytomność.

Przeor z ulgą przyjął tak długo oczekiwaną dobrą wiadomość i pospiesznie udał się do infirmerii, by osobiście zapytać nieznajomego o tragiczne wydarzenia z przedwczoraj.

- Jeszcze nic nie powiedział - ciągnął brat Gasparo. - Ale jest spokojny i leży z otwartymi oczami, wpatrzony w sufit.

Mnisi weszli do pomieszczenia. Ojciec Salvatore zadrżał, widząc wyraz twarzy i wzrok rannego. Mężczyzna był jakby nieobecny. Na jego zapadniętej twarzy wyraźnie zaznaczały się kości policzkowe. Czarne, poważne oczy zdawały się sięgać do samego dna jego jestestwa. Ojciec Salvatore natychmiast zorientował się, że mężczyzna wraca z otchłani. Patrząc w okna jego duszy, odgadywał tragiczny, a zarazem świetlany los nieznajomego. Mój Boże, ten człowiek zaznał w życiu i nieba, i piekła, pomyślał.

- Czy słyszysz mnie, przyjacielu? - wyszeptał mu do ucha. - Może słyszysz mnie, ale nie możesz odpowiedzieć? - kontynuował cichym głosem.

Po chwili milczenia ujął dłoń nieznajomego. Mężczyzna nie zareagował, ale po upływie kilku kolejnych chwil z wolna przekreślił głowę w kierunku mnicha i bez słowa utkwiał wzrok w

jego oczach. Ojciec Salvatore próbował odnaleźć na dnie spojrzenia nieznajomego jakieś bodaj nieme przesłanie. Na próżno.

Wkrótce mężczyzna odwrócił głowę, ponownie wbijając wzrok w sufit.

Przeor zwolnił uścisk dłoni i powoli odszedł w stronę drzwi. Brat Gasparo, zanim do niego dołączył, sprawdził opatrunki na piersi rannego.

- Wydaje się świadom wszystkiego, co go otacza, ale sam dla siebie pozostaje tajemnicą - westchnął ojciec Salvatore. - Może stracił pamięć?

- Czasem tak bywa na skutek przeżytego szoku - zgodził się pielęgniarz. - Tak było z siostrą mojej matki, kiedy na jej oczach zginął jej mąż, przejechany przez karete.

- Odzyskała pamięć?

- Tak, po roku.

- Jak to się stało?

- Przypadkiem. Pewnego dnia kupiec rozkładał kram z zabawkami. Moja ciotka znieruchomiała, wpatrując się w szmacianą lalkę. Nie mogła od niej oderwać wzroku. I nagle wróciła jej część pamięci. Spojrzała na moją matkę i powiedziała: „Popatrz jak ta lalka przypomina tę, o którą się kiedyś kłóciłyśmy”. Od tej chwili, dzień po dniu, zaczęła jej wracać pamięć wydarzeń z przeszłości, aż całkiem odzyskała zmysły.

- Ciekawe - mruknął przeor, zatrzymując się przed swoją celą. - Widziałeś spojrzenie tego mężczyzny?

- Jest głębokie i smutne - odpowiedział brat Gasparo po chwili namysłu.

- Otóż to. Ale jest w nich światło, inteligencja. Śmiem nawet twierdzić, że... wiedza. Ten mężczyzna nie jest wieśniakiem.

- Nie ma dłoni wieśniaka. Może jest kupcem?

- Rzekłbym raczej artystą lub myślicielem, ale być może wyobraźnia płata mi figle. Pielęgnuj go nadal i mów do niego, zadawaj mu pytania. Daj znać, kiedy się odezwie.

Mnisi rozstali się. Żaden z nich nie mógł zasnąć. Ojciec Salvatore ponownie zaniósł Najświętszej Paniencie modlitwę, polecając nieznajomego jej opiece. Pragnął, oczywiście, by mężczyzna odzyskał pamięć i rzucił światło na niewyjaśnione zabójstwo brata Modesta, ale też głęboko mu współczuł. Jego serce wzruszyło się pod wpływem tego niezwykłego spojrzenia. Pomyślał o ciotce brata Gaspara i zdał sobie sprawę, że nieznajomy z całą pewnością wznosił mur, którym odgrodził swoją świadomość od przeszłości, zasłaniając tym samym nieznośny, bolesny widok. Jaki? Jak mu pomóc odzyskać pamięć? Co robił w chatynce uzdrowicielki, którą - słusznie lub nie - chłopcy oskarżają o czary?

Mnich modlił się, a jego modlitwa z wolna przekształciła się w strumień pytań płynący dotąd, aż mężczyzna zasnął skulony przed ikoną Madonny, by zerwać się na równe nogi na dźwięk

wzywających na jutrznię dzwonów.

W ciągu kolejnych dni stan rannego wyraźnie się poprawił. Mężczyzna był mocnej postury i, ku wielkiemu zdziwieniu brata pielęgniarza, bardzo szybko wracał do siebie. Osiem dni po odzyskaniu przytomności mógł już wstać z łóżka i samodzielnie przejść kilka kroków. Ojciec Gasparo obawiał się, by niespodziewany upadek nie spowodował ponownego otwarcia rany na piersi, ale ojciec Salvatore zachęcał, by wspierać chorego w jego woli odzyskania pełnej sprawności i poznania miejsca, w którym się znajdował.

Każdego dnia, opierając się na ramieniu pielęgniarza lub przeora, mężczyzna szedł o kilka kroków dalej. Zdołał wyjść z infirmerii i przejść całą długość korytarza prowadzącego do poszczególnych pomieszczeń na piętrze: kuchni, refektarza, skryptorium i pracowni ikon. Następnie zaczął wychodzić do wirydarza, by po kilku dniach powolutku obejść go dookoła prawie samodzielnie. Ojciec Salvatore cały czas nie tracił nadziei, że mężczyzna odzyska pamięć i pilnie obserwował jego spojrzenie. Jednak nieznajomy nadal nie wypowiedział ani słowa, a w jego oczach nie pojawił się najmniejszy nawet błysk mogący zdradzać wzruszenie lub odległe echo odzyskanych wspomnień.

Wkrótce przeor musiał odeprzeć żądania mnichów domagających się, by nieznajomy opuścił teren klauzury i żeby został przeniesiony do domu dla gości. Ojciec Salvatore argumentował, że już dwukrotnie ktoś próbował pozbawić tego człowieka życia i nie byłoby zbyt roztropne wypuszczać znajdującego się wciąż w ciężkim stanie chorego poza obręb strzeżonej dzień i noc klauzury, narażając go tym samym na śmiertelne niebezpieczeństwo. Jego wyjaśnienia nie przekonały mnichów, zwłaszcza tych gorliwiej przestrzegających reguły. Przeor zdawał sobie sprawę, że będzie musiał mocno się tłumaczyć opatowi, gdy tylko ten wróci z podróży. Wiedział też, że ojciec Theodora nie pochwali jego decyzji i nakaże choremu niezwłoczne opuszczenie klasztoru. Zaczął się wyścig z czasem, gdyż opat zapowiedział swój powrót na święto Wielkiejnocy. Zatem na przywrócenie nieznajomemu pamięci i wyjaśnienie tyleż tragicznej, co zagadkowej śmierci brata Modesta zostały przeorowi już tylko trzy tygodnie.

Takie oto myśli kłębiły się w głowie ojca Salvatora, gdy któregoś dnia, tuż po wieczornym nabożeństwie, przybiegł do niego brat Angelo, ikonopisarz, przynosząc nader zaskakujące wieści.

5

- Tuż po komplecie przypomniałem sobie, że nie zamknąłem na klucz pracowni ikon - wyszeptał przejęty brat Angelo wprost do ucha przeora, który cały zamienił się w słuch. - Zawróciłem więc i odkryłem, że drzwi pracowni są uchylone, a wewnątrz pali się światło. Podeszedłem na palcach i dyskretnie zajrzałem do środka. Ku mojemu zdziwieniu zobaczyłem, że nieznajomy siedzi przy moim stole i w świetle pochodni szkicuje coś na podobraziu, które zdążyłem pokryć zaprawą.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wziął twój rylec i zaczął pracować nad ikoną?
- Nie wiem! Natychmiast przybiegłem do ojca z tą nowiną...
- Dobrze zrobiłeś - odpowiedział przeor i pociągnął za sobą mnicha do pracowni. -

Zobaczmy, co się tam dzieje.

Kiedy doszli na miejsce, pracownia tonęła w ciemności.

- Oby tylko nic się nie stało - szepnął zaniepokojony przeor. Weszli do środka, przyświecając sobie pochodnią. Mężczyzna zniknął. Prawdopodobnie wrócił do infirmerii.

Nagle, gdy światło padło na stół, brat Angelo wydał słaby okrzyk.

Na desce pokrytej cienką warstwą zaprawy widział kontur Madonny trzymającej w czułych objęciach Dzieciątka. Rysy twarzy były nieskazitelne, a proporcje doskonałe.

- Na świętego Benedykta! To zdumiewające! - wykrztusił brat Angelo. - To Bogurodzica Miłosierna! Jak zdołał wyryć szkic w tak krótkim czasie... w dodatku bez wzornika?

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie inspirował się żadną istniejącą ikoną? - zapytał ojciec Salvatore, przebiegając pracownię wzrokiem w poszukiwaniu ewentualnego wzoru.

- Właśnie! Nigdy nie malowałem Bogurodzicy Miłosiernej.

To ikona ze szkoły znanego rosyjskiego pisarza ikon, Andrieja Rublowa, który żył w czternastym wieku.

- To znaczy, że nasz nieznajomy musiał już wcześniej malować tę ikonę - skomentował przeor w zamyśleniu.

- Z całą pewnością. W dodatku wiele razy. Poznaję to po pewności kreski. Ale tajników tej sztuki z całą pewnością nie mógł poznać w Italii.

- A wiesz, gdzie na świecie pisze się takie ikony Bogurodzicy? - zapytał coraz bardziej zaintrygowany ojciec Salvatore.

Brat Angelo musnął palcem usta i zamyślił się.

- O ile wiem, tylko w dwóch ośrodkach na świecie - odpowiedział mnich, przybierając poważny wyraz twarzy. - Jednym z nich jest rosyjski klasztor w Zagorsku, niedaleko Moskwy.

- Moskwy?! - wykrzyknął przeor.

- Drugi znajduje się na jednym z greckich półwyspów, na którym mieszkają wyłącznie mnisi i gdzie tłumnie przyjeżdżają rosyjscy malarze. Jest to święta góra Athos.

- Czyli nasz człowiek żył i nauczył się pisać ikony w Rosji lub w Grecji - ciągnął przeor.

- Tak - odpowiedział brat Angelo. - Z tym że bardzo niewiele osób świeckich dostępuje zaszczytu przebywania w świętych miejscach prawosławia, a to oznacza, że nasz nieznajomy jest prawdopodobnie mnichem!

6

Aby nie dolewać oliwy do ognia i zachować w klasztorze względny spokój, ojciec Salvatore

zdecydował się utrzymać odkrycie w tajemnicy. Zachęcił brata Angela, by odtąd zostawiał drzwi pracowni otwarte, dyskretnie obserwując zachowanie chorego bez ingerencji w jego pracę.

Każdej nocy, gdy klasztor tonął we śnie, mężczyzna przychodził do pracowni i kontynuował rozpoczęte dzieło, po czym spokojnie odkładał ikonę na miejsce.

Najpierw wyrył kontury Bogurodzicy i Dzieciątka. Następnie nałożył wokół nich cieniutkie listki złota, starannie dobrał pigmenty i wymieszał je z żółtkiem, po czym zasiadł do pisania. Rozpoczynając od najciemniejszych warstw w partiach twarzy i szat, stopniowo dodawał światło, tak że ikona ożywała w oczach.

Brat Angelo był wielce zdumiony subtelnością drapowania płaszcza Madonny, co stanowiło dowód wielkiego kunsztu i zręczności malarza. Przeor z kolei miał żywy dowód na to, że jego intuicja i tym razem go nie zawiodła. Jakież koleje losu sprowadziły prawosławnego mnicha, pisarza ikon, wprost do samego serca Abruzji, do chatynki zielarki, w której ta leczyła go z ciężkiej, niemal śmiertelnej rany? Jakąż tajemnicę poznał ów człowiek, skoro nawet tu, w klasztornych murach, po raz kolejny podniesiono na niego rękę, nie wahając się zabić mnicha, który stanął w jego obronie?

Ojciec Salvatore myślał tylko o jednym: poznać tożsamość i historię nieznanego. Ale jak?

Pewnego ranka, podczas chwalby, przeor doznał olśnienia, które natychmiast przypisał ingerencji Ducha Świętego. Było wielce prawdopodobne, że cierpiący na amnezję mnich mieszkał swego czasu na świętej górze Athos. Otóż ojciec Salvatore utrzymywał dobre stosunki z bogatym kupcem z Peskary, Adrianem Toscanim, który często udawał się w podróże handlowe do Grecji. Dlaczegożby nie poprosić Toscaniego, by udał się na górę Athos z naszkicowanym przez brata Angela portretem nieznanego w celu zdobycia informacji o tajemniczym pisarzu ikon?

Bezwłocznie posłał po kupca, który tym chętniej podjął się misji, że właśnie czarterował statek i szykował się do kolejnej podróży handlowej do Grecji. Athos była zaledwie o tydzień drogi od Peskary. Kupiec zapewnił, że najdalej za piętnaście dni będzie z powrotem.

Ojciec Salvatore zanosił modlitwy do nieba, by opat nie wrócił do klasztoru dopóty, dopóki kupiec nie zakończy z powodzeniem swojej misji.

Tymczasem, niespokojnie wyglądając powrotu wysłannika, codziennie udawał się do pracowni i przyglądał powstającej ikonie. Sekundujących pracy nieznanego mnichów zaskoczył pewien szczegół: mężczyzna prawie skończył twarz, szaty i dłonie Madonny, ale do tej pory nie tknął oczu. Pięć dni po wyruszeniu Toscaniego w morze ojciec Salvatore spostrzegł, że pozostała część ikony została ukończona i mężczyzna zaczął wreszcie malować oczy. Przeor pochylił się nad dziełem i stwierdził, że oczy Madonny są zamknięte. Madonna o zamkniętych oczach! Nigdy o czymś takim nie słyszałem, pomyślał. Kiedy już wyszedł z osłupienia, zauważył niezwykłą, wzruszającą urodę Madonny oraz niezrównaną słodycz i głębię wyrazu Jej twarzy, którą malarz

wydobył, rysując w kąciakach ust Matki Chrystusa leciutki uśmiech. Maria przeżywała wewnętrzne uniesienie. Owa zaduma nie sprawiała jednak, że była nieobecna. Wręcz przeciwnie. Całą swą istotą ogarniała Dzieciątko Jezus.

- Ta ikona emanuje niezwykłą siłą - powiedział sam do siebie ojciec Salvatore, z gardłem ściśniętym ze wzruszenia.

Dłuższą chwilę trwał w bezruchu przed ikoną Bogurodzicy o zamkniętych oczach. Jego ciekawość ustąpiła miejsca modlitwie, a modlitwa łzom, których w żaden sposób nie umiał powstrzymać. Nigdy dotąd w obecności żadnego obrazu nie odczuwał tak mocno miłującej obecności Madonny. To arcydzieło, pomyślał. Ta ikona jest dziełem człowieka, który przeszedł i przewyciężył męki swoich namiętności. Człowieka, który mówi, że miłosierdzie Boże jest podobne do matczynej miłości. Że przewycięża śmierć...

Jego rozważania gwałtownie przerwał ochrypły krzyk. Przeor wybiegł z pracowni i w odległości kilkunastu kroków od siebie zobaczył nieznanego stojącego przed infirmerią. W jego oczach malowało się przerażenie. Mnich podbiegł czym prędzej. Na usta cisnęły mu się tysiące pytań. Jednak, mimo że malarz po raz pierwszy przemówił oczami, nadal ani jedno słowo nie wydobyło się z jego ust. Wyciągnął przed siebie rękę, wskazując tonącą w ciemnościach infirmerie. Przeor oświetlił pochodnią wnętrze pomieszczenia i sam też krzyknął z przerażenia.

Na podłodze, na wznak, leżał mnich. Jego otwarte oczy były pełne przerażenia. Nie żył.

7

Przeor przekazał braciom wieść o tragicznej śmierci brata Anselma z samego rana, zaraz po odprawieniu chwalby. Aby uniknąć rozprzestrzenienia się paniki, całą noc spędził w towarzystwie brata pielęgniarza na ustalaniu przyczyn zgonu. Wniosek, do którego mnisi doszli po wielogodzinnej pracy, był następujący: nieszczęśnik zmarł wskutek zażycia bardzo silnej trucizny. Krok po kroku, bracia zdołali odtworzyć przebieg wydarzeń. Pozbawiony pamięci mężczyzna nie pomógł im w żaden sposób. Po zaalarmowaniu przeora ponownie wpadł w stan letargu.

Gromadząc znalezione dowody, przeor i pielęgniarz zdołali postawić hipotezę dotyczącą śmierci mnicha.

Po wieczornej mszy brat Anselmo udał się do przylegającej do refektarza kuchni i wypił kubek grzanego wina z ziołami. Jak zwykle po komplecie brat Gasparo planował podać miksturę rannemu, ale tym razem zostawił tacę z gorącym napojem w kuchni, by pospieszyć z pomocą jednemu z braci skarżącemu się na ostry atak kolki jelitowej. Nie wiedzieć czemu, brat Anselmo wypił nie dla siebie przeznaczone wino. Przedtem jednak, pod nieobecność pielęgniarza ktoś musiał dodać do napoju zabójczą truciznę. Mnich bardzo szybko zorientował się, że został otruty. Pobiegł do infirmerii z nadzieją, że znajdzie tam pomoc. Niestety nie zdążył i skonał na oczach wracającego z pracowni malarskiej nieznanego.

Zbudowana na solidnych podstawach hipoteza pozwalała prześledzić przebieg zdarzeń, ale nadal pozostawiała bez odpowiedzi zasadnicze pytanie: kto zatrzał przeznaczone dla nieznajomego wino? Obaj mnisi przyjęli bowiem za pewnik, że po raz kolejny ktoś próbował go zamordować. Zgodnie z tą hipotezą brat Anselmo miał paść ofiarą własnej łapczywości.

I tym razem wyjaśnienia przeora nie trafiły do pozostałych braci. Niektórzy przypisywali kolejne morderstwo działaniom siły nieczystej, a inni oskarżali o popełnienie zbrodni cierpiącego na amnezję nieznajomego, który był po prostu winowajcą idealnym.

Teoria przeora zasiała wśród mnichów niepokój: trucizna z całą pewnością była podana ręką człowieka. Tymczasem od chwili popełnienia pierwszej zbrodni klauzura była zamknięta i strzeżona dniem i nocą. Nasunął się zatrważający wniosek: mordercą jest jeden z braci.

8

Kiedy ojciec Teodoro wrócił z zagranicznej podróży, w klasztorze panowała atmosfera fermentu. Jeden z mnichów wyjechał potajemnie na jego spotkanie, zdając raport z ostatnich wydarzeń, tak więc opat był świetnie poinformowany, zanim jeszcze zdążył przekroczyć próg opactwa. Wraz z towarzyszącymi mu w dalekiej podróży pięcioma braćmi dotarł do klasztoru o zachodzie słońca, natychmiast udając się do kościoła, na trwającą właśnie kompletę. Mnisi powitali go z ulgą. Wychodząc z kościoła, przełożony szepnął do ucha przeorowi, by ten zjawił się w jego celi zaraz po kolacji.

O umówionej porze brat Salvatore trzykrotnie zastukał w uchylone drzwi.

- *Deo gratias* - powiedział znużonym głosem ojciec Theodora.

Przeor wszedł do celi opata rozjaśnionej światłem dwóch dużych świec ustawionych po obu stronach olbrzymiego biurka. Pochylony nad wielką księgą starzec nawet nie podniósł głowy na powitanie.

- Wracam zmordowany z dalekiej podróży i stwierdzam ze smutkiem, że reguła nie jest tu już przestrzegana - westchnął.

Ojciec Salvatore pojął, że opat wie o wszystkim. Wezwał go o tak późnej porze nie po to, by pytać, ale by postawić zarzuty.

Na znak pokory przeor ucałował szkaplerz przełożonego i odpowiedział:

- Niech mi Bóg wybaczy, jeśli uchybiłem moim obowiązkom, ale nic nie mogłem zrobić, by zapobiec tym okrutnym zbrodniom...

Zostawmy na razie morderstwa - ostro przerwał opat. - To jedynie skutek ojca zaniedbań.

Przeor zamilkł. Ojciec Teodoro nadal był pogrążony w lekturze. Po chwili podjął tym samym znużonym głosem:

- Dowiaduję się, że pewne pozbawione pamięci indywiduum przebywa od kilku tygodni pod naszym dachem. W dodatku na ojca wyraźne polecenie. Czy ojciec zapomniał, że nasza reguła

zabrania wprowadzania do klauzury osób świeckich? Nawet rannych?

- Jeśli ojciec pozwoli, opowiem, co wiem na temat tego człowieka. Wówczas będzie mógł ojciec ocenić, czy dobrze zrobiłem, zatrzymując go tutaj.

- Niech będzie - westchnął opat, nie odrywając wzroku od księgi.

Ojciec Salvatore wyjaśnił okoliczności pojawienia się rannego i zagadkowej śmierci brata Modesta.

- Doskonale - podjął wyraźnie zniecierpliwiony opat - znam już ciąg dalszy wydarzeń, ale nadal mi ojciec nie powiedział, dlaczego ów człowiek wciąż znajduje się na terenie klasztoru, który, o ile sobie dobrze przypominam, nie jest hospicjum!

- To prawda, ojczy Theodoro, ale w tym człowieku jest coś szczególnego...

Przełożony po raz pierwszy zaszczycił swojego rozmówcę spojrzeniem. Na dnie jego zimnych, głęboko osadzonych, podkrążonych wskutek wielu lat postów i pokut oczu zapaliło się światełko zaskoczenia.

Zachęcony tą oznaką zainteresowania przeor nieco śmielej podjął opowieść.

- Kiedy odzyskał przytomność, jego spojrzenie zaintrygowało mnie i wzruszyło. Mimo błędnego wzroku i cierpiącego ciała dostrzegłem w jego oczach istnienie wielkiej duszy. Pomyślałem, że jego historia jest godna poznania. Zdecydowałem więc zatrzymać go wśród nas do czasu, kiedy będzie mógł mówić. Niestety, choć odzyskał przytomność, nie wypowiedział dotąd ani jednego słowa i wydaje się równie nieobecny co pierwszego dnia.

- Zatem jutro wyprawimy go do hospicjum Świętego Damiana. Leczenie szaleńców nie jest naszym powołaniem - oświadczył stanowczo opat.

- Z całą pewnością sam bym to uczynił, gdyby kilka tygodni temu nie pojawiły się okoliczności potwierdzające moje przecucie.

Opat zmrużył oczy. Ojciec Salvatore wyjawiał mu tajemnicę ikony i przypuszczenie brata Angela, wedle którego nieznajomy mógł być mnichem z góry Athos. Następnie, czekając na reakcję przełożonego, zrobił krótką przerwę. Ale ojciec Theodoro milczał, mierząc go lodowatym spojrzeniem.

- Dla spokoju sumienia - podjął przeor - poprosiłem naszego przyjaciela, kupca Toscaniego, który właśnie udawał się po ładunek przypraw do Grecji, by po drodze odwiedził Athos. Dwa tygodnie temu Toscani wyruszył z Peskary z naszkicowanym przez brata Angela portretem nieznajomego. Jeśli dobrze pójdzie, jutro powinien być z powrotem w Peskarze.

- Świetny pomysł! - ironicznie wycedził ojciec Theodoro. - Zatem z całą pewnością dowiemy się, że nieznajomy jest prawosławnym mnichem, który podczas próby ucieczki z klasztoru został raniony włócznią, po czym przepłynął morze w pław i ukrył się w chacie uzdrowicielki, która go pielęgnowała w chorobie tuż pod naszym nosem!

- Mógł opuścić górę Athos wiele lat temu, kto wie, co przeżył od tamtej pory - odpowiedział ojciec Salvatore, niezbity z tropu ostrością indagacji opata. - Oczekuję od Toscaniego, że dostarczy nam informacji o tym nieszczęśniku i jego historii, lub choćby kilku tropów: nazwiska czy brakującego wspomnienia, dzięki którym będzie mógł odzyskać pamięć i wydostać się ze swojego wewnętrznego więzienia.

W celi opata zapanowała przytłaczająca cisza.

- Zatem twierdzi ojciec, że kierował się miłosierdziem? - rzucił na zakończenie starzec, jeszcze wnikliwiej przypatrując się podwładnemu.

- Chyba tak... - odpowiedział lekko zmieszany ojciec Salvatore.

- A mnie się wydaje, że to nie miłosierdzie spowodowało zainteresowanie ojca tym biedakiem.

- Jak to?

- Myślę, że zwykła ciekawość.

- Ciekawość?

- Tak. Zwykła, nieodparta ciekawość - odpowiedział ojciec Theodoro, skandując słowa nie bez drwiny. - Myśli ojciec, że powodowało nim miłosierdzie, a tymczasem uległ ojciec zwykłej pokusie. Tak naprawdę los tego człowieka interesuje ojca mniej, niż chęć zaspokojenia własnej, nieodpartej potrzeby poznania jego historii, przeszłości i nazwiska!

- Przyznaję, że zwykła ludzka ciekawość mogła się pojawić obok boskiego miłosierdzia, gdy w zapale starałem się pomóc temu nieborakowi - pokornie wyszeptał przeor. - Ale czyż Chrystus nie naucza nas, byśmy *nie usuwali chwastów, aby nie wyrwać wraz z nimi pszenicy*.

- Jak łatwo powoływać się na Ewangelię, tłumacząc się ze swych najgorszych przywar! - odparował owładnięty gniewem opat, czując, że nabrzmiewają mu żyły.

- Ale czy ciekawość, mimo swej ludzkiej natury, nie jest wychwalana przez filozofów raczej jako zaleta aniżeli wada? Czyż sam wielki Arystoteles nie głosił, że zdziwienie jest podstawą filozofii? - ciągnął przeor, podejmując intelektualne wyzwanie rzucone przez opata. - A czy święty Tomasz z Akwinu nie przypomina, że właśnie rozważania filozoficzne, dzięki światłu rozumu, doprowadziły największych filozofów do odkrycia jedyne Stwórcy?

- Nie dbam o to, co myślał Arystoteles czy Platon - rozsierdził się ojciec Theodora. - Zdaje sobie ojciec sprawę, że nie pochwalam zbyt dużej estymy, jaką niektórzy z naszych teologów darzą tych pogańskich myślicieli. Jeśli o mnie chodzi, wolę się powoływać na Pismo Święte, które mówi wyraźnie, że ciekawość jest matką całego zła, pierwszym złem, które sprowadziło człowieka na drogę grzechu. Bo grzech pierwotny nie wynika z niczego innego, jak tylko z ciekawości Ewy, która zapragnęła poznać smak zakazanego owocu. To właśnie ciekawość popchnęła ją do skosztowania, wbrew boskim zakazom, owocu z drzewa poznania dobra i zła. Adam, który upadł,

idąc śladami Ewy, też kierował się niczym innym, jak tylko chęcią zdobycia wiedzy dla samego jej posiadania. Ojcu się zdaje, że działa ojciec w imię miłosierdzia, a tymczasem, łamiąc naszą świętą regułę, kieruje się ojciec zwyczajną ciekawością, pociągając za sobą innych braci! Oczywiście! Myszy harcują, gdy kota nie czują. Ale od jutra wszystko wraca do normy. Natychmiast po jutrzni mężczyzna zostanie zaprowadzony do hospicjum Świętego Damiana.

- Ojcie Theodorze, wie ojciec tak samo dobrze jak ja, że nawet jeśli ten człowiek nie jest szalony, to z całą pewnością się nim stanie, jeśli zamkniemy go w tamtym miejscu. A nawet jeśli do reszty nie straci zmysłów, umrze na jakąś zakaźną chorobę, która rok w rok zabiera jedną trzecią tych nieszczęśników.

- Ten człowiek postradał zmysły, a nasz klasztor to nie hospicjum, ojcie Salvatore - odpowiedział opat, odzyskując zimną krew. - A poza tym zapomina ojciec, że od czasu, kiedy do nas zawitał, w naszych murach popełniono dwie straszne zbrodnie. Nawet jeśli nie jest ich sprawcą - co wkrótce wyjaśnimy - z całą pewnością jest przyczyną naszych nieszczęść. Zarządę śledztwo, którego celem będzie rzucenie światła na te zbrodnie. Ale najważniejsze, by czym prędzej pozbyć się człowieka, przez którego spadło na nas to całe zło. Ponadto zamierzam osobiście udać się do Świętego Damiana, by sprawdzić na miejscu, czy przypadkiem nasz nieznajomy nie jest opętany, jak sugerują niektórzy braciszkanie.

- Błagam, ojcie, zaczekajmy na powrót Toscaniego. Być może przywiezie wiadomości, które pomogą nieszczęśnikowi odzyskać pamięć i nazwisko.

Ojciec Theodora zorientował się, że przeor próbuje podważyć decyzję, którą on, od niemal trzydziestu lat opat zgromadzenia, podjął wobec Boga, swojej duszy i swojego sumienia. To odkrycie doprowadziło go do pasji, ale nie dał nic po sobie poznać.

- Każdego dnia przyjmujemy dziesiątki pielgrzymów, podróżnych, biedaków, a nawet bandytów - odpowiedział. - Zgodnie z panującym w naszych klasztorach zwyczajem każdy z nich dostaje przez trzy dni i trzy noce dach nad głową i posłanie w noclegowni. Żaden z nich nie może zostać ani dnia dłużej. A już na pewno nie w obrębie klauzury, bo w ten sposób nie moglibyśmy prowadzić życia poświęconego chwaleniu Pana. Dzięki ojca opiece - którą popieram - chory stopniowo odzyskał zdrowie ciała. Ale, niestety, nie odzyskał zdrowia duszy. Nigdy nie wypowiedział słowa i cały czas jest zamknięty w sobie. Jego miejsce jest nie tu, ojcie Salvatore. Ojciec zdaje sobie z tego sprawę i zupełnie nie rozumiem, jakież to absurdalny afekt skłania ojca do upierania się, by nadal pielęgnować chorego, który postradał zmysły i który sprowadził na nas tyle nieszczęść.

- Proszę o ostatnią szansę - powiedział mnich, nie poddając się. - Jeśli za trzy dni Toscani nie wróci, a nasz nieznajomy nadal nie wypowie ani jednego słowa, obiecuję, że nie będę się już ojcu naprzykrzał i zgodnie z nakazem ojca osobiście odprowadzę go do Świętego Damiana.

Ojciec Theodoro ponownie zatopił się w lekturze i zakończył rozmowę tym samym znużonym, stanowczym głosem:

Jutro o świcie, ojcie Salwatore. Jutro rano, zaraz po jutrzni. Mnich zamilkł. Wiedział, że przełożony nie zmieni decyzji.

Wyszedł z celi opata, udał się prosto do kościoła i padł na twarz przed ikoną Bogurodzicy.

Gdy tak trwał zatopiony w medytacji, nadbiegł brat furtian. Przed furtą klasztoru stanął kupiec Toscani.

- *Deo gratias* - przeor westchnął z ulgą, dźwigając się sprzed ikony Pokłonił się przed obrazem Matki Boskiej i resztką sił powłókł się do rozmównicy.

9

- I co? - zapytał przyjaciela, chwytając go za obie dłonie i wskazując miejsce bliżej ognia.

Okrągła, jowialna twarz kupca kontrastowała z ascetyczną chudością mnicha, ale w ich oczach błyszczała ta sama iskierka porozumienia na temat łączącej ich tajemnicy. Przeor odgadł jednak, że jego zdrożony przyjaciel nie zdążył jeszcze zjeść kolacji, powstrzymał więc swoją ciekawość i poprosił brata furtiana o przyniesienie posiłku, po czym zasiadł wraz ze swoim gościem przy dużym kominku.

- Sprawy nie wyglądają najgorzej - powiedział kupiec. - Podając się za pielgrzyma, wszedłem na górę Athos i udałem się do rosyjskiego monasteru pod wezwaniem świętego Pantelejmona. Furtian był przyjaźnie usposobiony i trochę mówił po włosku. Zapytałem o naszego człowieka, pokazując jego portret. Twarz wydała się furtianowi znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć nic więcej. Spytałem go, czy ostatnimi czasy monasteru nie opuścił jakiś ikonopisarz. Wówczas wspomniał o młodym mnichu pochodzenia italskiego, uczniu wielkiego artysty, Teofana Greka. Ponoć zabroniono mu pisania ikon, podobno też nagle zniknął. Mój rozmówca nie znał go osobiście, ale wiedział, że był nowicjuszem w monasterze Simonos Petra: najbardziej zachwycającym monasterze na wyspie, zawieszonym na opadającej pionowo skale. Zdecydowałem się wyruszyć do Simonos Petra. Natychmiast po moim przybyciu do monasteru zacząłem wypytywać brata furtiana, ale nie mówił słowa po włosku. Przywołał innego brata, z pochodzenia Piemontczyka, prostego, acz nader rozmownego człowieka. Gdy tylko pokazałem przywieziony portret, natychmiast rozpoznał naszego rannego i wydał krzyk przerażenia. „Ioannis, brat Ioannis” - krzyknął podniecony. „Czy umiał pisać ikony?” - zapytałem podekscytowany takim obrotem rozmowy.

„Tak, tak, był wybitnym artystą. Nauczył się zaledwie w kilka miesięcy. Ale igumen zakazał mu pisania ikon, gdyż przesycone wyrazistym pięknem twarze Madonny burzyły spokój niektórych braci. Muszę panu powiedzieć, że żadna niewiasta, ani nawet samica zwierzęcia, nie ma prawa postawić stopy na świętej górze Athos, tak więc od wielu, wielu lat nic widzieliśmy tu kobiety” -

zdradził mi mój rozmówca nieco gniewnym głosem. Potem dodał jeszcze, z chytrym uśmiechem: „Pisarze ikon kopiują wzorce pochodzące z poprzednich stuleci, ale mnisi, którzy pisali je dawniej, w pamięci odnajdywali twarze swoich matek, albo - o zgrozo - inspirowali się twarzą igumena, którego z nieznanых powodów uznali za podobnego do Madonny... Mój Boże. Biedna Madonna! Gdyby pan zobaczył te bycze karki, te kwadratowe szczęki! Brakuje tylko brody! Ale brat Ioannis musiał znać prawdziwe kobiety przed przyjściem tutaj!”. Spytałem mojego rozmówcę o imię, jakie nadano bratu Ioannisowi na chrzcie. Po chwili namysłu odpowiedział: „Niestety, nic pamiętam. Tylko kilka miesięcy był postulatem, a potem przez jakieś dwa lata posługiwał się imieniem zakonnym. Wiem tylko, że pochodził z Kalabrii”. Spytałem, co się stało z bratem Ioannisem. Odpowiedział: „Kiedy starszyzna zakazała mu pisania ikon, opuścił monaster i nie wiem, dokąd się udał. Ale proszę zapytać igumena. On na pewno go pamięta. W dodatku mówi trochę w naszym języku”. W tym miejscu wywód Toscaniego został przerwany przez brata furtiana, który zjawił się właśnie z talerzem gorącej zupy, pajdą chleba i gomółką koziego sera. Mimo że ojciec Salvatore siedział jak na szpilkach, chcąc poznać koniec historii, poprosił gościa o przerwanie opowieści i spożycie posiłku. Toscani nie kazał sobie powtarzać i w oka mgnieniu pochłonał wieczerzę. Przez umysł mnicha przebiegały tymczasem najprzeróżniejsze myśli.

Czy to właściwy trop? A jeśli tak, to dlaczego Ioannis opuścił Athos? Przeora najbardziej poruszyła jednak ostatnia informacja: on sam bowiem, choć z urodzenia Rzymianin, wychowany został przez babkę w Kalabrii. Poruszyła go myśl, że tajemniczy nieznajomy mógł wzrastać w tym samym regionie, w którym on sam był wychowany.

Po przełknięciu ostatniego kęsa kupiec wznowił opowieść.

- Poprosiłem o audiencję u igumena. Przełożony monasteru, suchy starzec z olbrzymią brodą, przyjął mnie następnego dnia. Opowiedziałem mu całą historię, pokazując portret i przekazując napisany przez ciebie list. Nawet nie drgnął i stwierdził, że z całą pewnością chodzi o kogoś innego. Kiedy nalegałem, przerwał mi gwałtownie, cedząc słowa: „Wielu pielgrzymów, tu i gdzie indziej, poznało tajniki pisania ikon według szkoły rosyjskiej. Mężczyzna, o którego pan pyta, jest najprawdopodobniej jednym z nich, ale niestety jego twarz nie jest mi znana”. Po tych słowach pożegnał się, nakazując, bym czym prędzej opuścił klasztor. Tak też uczyniłem, choć przedtem próbowałem ponownie spotkać się z Piemontczykiem, niestety na próżno. Tyle tylko udało mi się ustalić.

Ojciec Salvatore zamyślił się.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować, przyjacielu. Twoje wskazówki okażą się, być może, wystarczające. Zwłaszcza że opat wrócił już z podróży i nakazał mi zaprowadzić nieszczęśnika do Świętego Damiana.

- Do Świętego Damiana?! - wykrzyknął kupiec. - Przecież on się tam wykończy.

- Wiem - odparł mnich. - Ale znasz równie dobrze jak ja naszego opata. Mimo że ma wielkie serce, nie może poczynić odstępstwa od reguły. Nie mamy wyjścia. Pójdźmy do tego biedaka i niech Bóg ma go w swojej opiece.

10

Udali się wprost do infirmerii. Przeor, podekscytowany obrotem spraw, po raz kolejny złamał regułę, pozwalając, by kupiec wszedł z nim w obręb klauzury.

Ojciec Salvatore ujął obydwie dłonie nieznajomego, głęboko spojrzął w jego nieobecne oczy i przemówił do niego, jak miał zwyczaj czynić dotychczas, czyli tak, jakby zwracał się do zdrowej osoby:

- Przyjacielu, nie zdołałem przebłagać naszego ojczulka, który wrócił właśnie z dalekiej podróży, aby pozwolił ci zostać z nami dłużej. Jutro rano nic więcej nie będę mógł dla ciebie zrobić. Zostaniesz zamknięty w szpitalu dla obłąkanych, z którego nikt nigdy nie zdoła cię wydostać, nawet gdyby twój stan się poprawił. Już nigdy w życiu nie będziesz mógł malować. Tak, tak, nie jest dla nas tajemnicą, że co noc udajesz się do pracowni malarskiej, by pisać ikonę Bogurodzicy Miłosiernej. Obraz jest niezmiernie poruszający. Ten trop zaprowadził naszego przyjaciela, Adriana, na górę Athos. Jesteśmy niemal pewni, że spędziłeś tam jakiś czas. Dzisiejszej nocy musimy rozerwać spowijający cię całun niepamięci. Spróbuję teraz obudzić w tobie utracone wspomnienia. To twoja ostatnia szansa na powrót do świata żywych. Nie zmarnuj jej!

Mężczyzna wysłuchał mnicha, nie przejawiając jednak najmniejszej reakcji. Ojciec Salvatore zamilkł na kilka chwil, po czym poprosił gościa, by opuścił infirmerię. Gdy Toscani przekraczał próg, przeor donośnie krzyknął:

- Bracie Ioannisie!

Na dźwięk tak gromkiego głosu kupiec aż podskoczył, ale nieznajomy ani drgnął. Mnich spróbował innej metody. Posadził go na krześle i patrząc prosto w oczy, zwrócił się do niego jego zakonnym imieniem, opowiadając wszystko, co wiedział o górze Athos i o czym dowiedział się od Toscaniego.

Po dwóch godzinach nadal apatyczny mężczyzna, na którego twarzy nie pojawiła się najmniejsza nawet oznaka wzruszenia czy zainteresowania, zaczął zasypiać. Kompletnie załamany przeor musiał uznać swoją porażkę. Odprowadził kupca, który, podobnie jak on sam, był przygnębiony niepowodzeniem podjętej na próżno misji. Następnie wrócił do infirmerii, by po raz ostatni zobaczyć leżącego na sienniku chorego. W chwili pożegnania zawahał się chwilę, zmienił zdanie i postanowił po raz kolejny złamać klasztorną regułę. Położył się obok rannego.

Nie miał serca zostawić go samego w przeddzień dożywotniego umieszczenia w zakładzie dla obłąkanych. Nic o nim nie wiedział, ale przecież Opatrzność złożyła los nieszczęśnika w jego rękach. Ojciec Salvatore odmówił pacierze, ułożył się na posłaniu, westchnął głęboko i zdmuchnął

świecę.

Jednak w żaden sposób nie mógł zasnąć. Opowieść kupca nie dawała mu spokoju. Zastanawiał się, jaki trop, jaki pozornie nic nieznaczący drobiazg mógł ujść jego uwadze. W końcu postanowił zasnąć. Nazajutrz będzie musiał znaleźć w sobie dość sił, by patrzeć, jak nieznanego dożywno zamykają w tym przerażającym miejscu. Przebierając lewą dłonią paciorki różańca, odmawiał zdrowaśki, mając nadzieję, że dzięki temu łatwiej zaśnie.

Jednak pojawiające się wciąż na nowo, wbrew jego woli, obrazy nie dawały mu spokoju. Przypomniał sobie, że już jako dziecko miał problemy z zasypianiem. Babka nuciła mu wówczas do ucha kołysanki. Jednej z nich nigdy nie zapomniał. Niepostrzeżenie, niesione melodią słowa kalabryjskiej pieśni pojawiły się na jego ustach: *Move lu sone di la montagnedda lu luppu sa magna la pëccureda la ninia vofa...* Podczas gdy nucił w ciszy słowa piosenki, nieznanemu uniósł się lekko na swoim posłaniu. Zmienił się na twarzy, jakby jego duch nagle się przebudził. Sięgnął w głąb swojej pamięci. Zobaczył wówczas pochyloną nad jego kołyską matkę, która nuciła mu tę samą kołysankę: *Move lu sone di la albania stu flgghiu miu mutta me la ninia vofa stu figghiu miu mutta me la ninia vofa*. A zaraz potem następną scenę. Obraz był zamazany, ale mężczyzna rozpoznał samego siebie na wiejskim cmentarzu. Miał siedem lat. Patrzył na opuszczaną do ziemi trumnę swojej matki. Kiedy mężczyźni śpiewali *Miserere*, jego oczy były suche, ale bezdenna rozpacz wypełniała dziecięce serce. Po twarzy mężczyzny pociekły gorące łzy.

Zobaczył teraz swojego ojca, kładącego mu na ramieniu nieporadną dłoń. Odczuł takie samo jak wtedy wzruszenie, że postawny wieśniak nie jest w stanie zapanować nad drżeniem rąk.

Jego oczom ukazał się kolejny obraz. Młodej dziewczyny o jasnych włosach i zielonoszmaragdowym spojrzeniu. Zwinięty w kłębek, obejmując silnymi ramionami podkurczone kolana, z oczami pełnymi łez, wypowiedział wreszcie słowo, pierwsze od chwili, gdy pojawił się w klasztorze:

- Elena.

Ojciec Salvatore podskoczył. Uświadomił sobie, że nieznanemu przemówił. Zapalił świecę i zobaczył, że mężczyzna łka. Objął go z ojcowską siłą i miłością.

Nieznanemu wciąż płakał. Uspokoiwszy się nieco, nadal łkając, opowiedział mnichowi swoją straszną historię.

- Nazywam się Giovanni Tratore. Jestem synem kalabryjskiego chłopca. Moje życie zatrzęsło się w posiadach, gdy po raz pierwszy ujrzałem Elenę...

I

Luna

11

Było to dwanaście lat temu, roku Pańskiego 1533.

W sierpniowym upale Giovanni pracował w polu z ojcem i młodszym bratem, Giacomo. To właśnie on jako pierwszy spostrzegł oddział jeźdźców.

Chłopi odstawili grabie i wyprostowali się, by obserwować niecodzienną w ubożuchnej prowincji scenę: dziesięciu konnych rycerzy. Jeźdźcy zbliżali się od strony morza. Prawdopodobnie przybili do brzegu kilka mil stąd, w jednej z maleńkich zatoczek, których nie brakowało na poszarpanym, koronkowym brzegu. Zauważyli wieśniaków, ale oddalili się w stronę wsi.

Niecałą godzinę później wrócili tą samą drogą w stronę morza. Zaintrygowani wieśniacy porzucili pracę wcześniej, niż zwykle i szybkim krokiem, mimo lejącego się z nieba żaru, pobiegli do domu. Stary Graziano, sołtys, opowiedział im, co następuje. Zbrojni byli w służbie potężnej Wenecji. W drodze z Cypru ich statek został zaatakowany przez kilka pirackich szebek*. * Szebeka - zwrotny, szybki statek żaglowo-wiosłowy o 2-3 masztach z ozaglowaniem łańskim, używany w basenie Morza Śródziemnego od XVII do XIX wieku. Wyposażony w 28 dział, popularny wśród piratów i korsarzy. Udało im się umknąć pod osłoną nocy, ale w wyniku prób abordażu i ostrzału z dział, okręt doznał kilku poważnych uszkodzeń. Przed dalszą drogą Wenecjanie postanowili naprawić okręt.

Nie szczędząc grosza, poprosili wieśniaków, by udostępnili szlachcom najładniejsze domy, podczas gdy marynarze zabiorą się do naprawy. Sołtys z chęcią przychylił się do prośby przybyszów, a wieśniaków ucieszyła obietnica niespodziewanego datku.

Późnym popołudniem na głównym placu zapłonęło ognisko, na którym, dla uczczenia Wenecjan, upieczono wołu.

Wtedy właśnie Giovanni po raz pierwszy ujrzał Elenę. Nie zapomni nigdy tej chwili: był poniedziałek, dzień Księżycy*, tuż przed zachodem słońca. * Po francusku poniedziałek, to lundi, dosi, dzień Księżycy.

Ubrana w purpurowy płaszcz, dosiadała cudownej czarnej klaczy. Jej długie, jasne włosy powiewały na wietrze. Jechała pośród dwudziestu rycerzy, ale Giovanni od pierwszej chwili widział tylko ją.

Prawdopodobnie miała wtedy nie więcej niż czternaście, piętnaście lat.

Podczas posiłku obserwował ją z daleka, urzeczony jej pięknem i wdziękiem ruchów. Nic mogąc zbliżyć się do Wenecjan, którzy jedli w towarzystwie Graziana i kilku wybranych przez niego chłopów, Giovanni wdrapał się na dach domu i dosłownie pożerał wzrokiem każdy gest dorastającej panienki. Towarzyszyły jej dwie damy: jedyne kobiety w całym towarzystwie. Jedna z nich, dużo od niej starsza, z racji szlachetności strojów mogła być jej matką lub ciotką. Druga, jej rówieśnica, krzątała się, służąc swoim paniom.

Wenecjanie siedzieli w trzy - i czteroosobowych grupkach, przy stołach, które specjalnie na tę okazję wieśniacy wynieśli na; zewnątrz.

Do konnych dołączyło około trzydziestu ludzi z oddziału. Jako że większa część ekwipunku

została na statku, Giovanni pomyślał, że ma do czynienia z ogromnym okrętem, mogącym pomieścić co najmniej dwustu ludzi i tyleż samo koni. No i oczywiście towary, bo przecież Wenecjanie byli przede wszystkim kupcami, znanymi i posiadającymi wpływy w całym basenie Morza Śródziemnego. Ale dziewczyna, która tak bardzo go zafascynowała swoją urodą, z całą pewnością była kimś więcej niż córką zwykłego kupca. Zgadywał to nie tyle po bogatym, niezwykle eleganckim stroju, ale po tym, że stanowiła obiekt wielkiego starania i ochrony.

Siedziała przy najlepszym stole, na samym środku placu, otoczona grupą zbrojnych. Zdawała się wykluczona z reszty towarzystwa. Co jakiś czas jeden ze strażników wstawał i podchodził do dam, zapewne po to, by sprawdzić, czy niczego nie potrzebują.

Kim była ta dziewczyna? Może księżniczką, pomyślał chłopak, którego wyobraźnia nie znała granic.

Kiedy umarła matka, Giovanni, chłopiec wrażliwy i uczuciowy, zaczął uciekać od nudnej rzeczywistości do cudnych światów ożywianych siłą jego fantazji. W marzeniach przenosił się do zamorskich krain, gdzie przeżywał fantastyczne przygody, odnajdował miłość, brał udział w niezliczonych bitwach i znajdował nieprzebrane skarby. W dzieciństwie zapraszał do tych niezwykłych światów swoich kolegów: razem z nimi wyruszał na poszukiwanie skarbów, dokonywał abordażu pirackich statków lub przeżywał dworską miłość. Ale teraz jego przyjaciele wyrosli już z dziecięcych zabaw i zapomnieli o swoich marzeniach. Zbyt mocno zajmowała ich ciężka praca w polu, a poza tym nie interesowało ich nic ponad to, by poślubić dorodną wieśniaczkę i zbudować solidny domek z łączonych bez zaprawy kamieni. Giovanni, wzorem innych, prowadził to samo proste, pracowite życie, ale nie przestawał marzyć o przygodach i miłosnych podbojach. Po matce odziedziczył piękną twarz, wielkie, czarne oczy i delikatne dłonie, tak że dziewczęta z wioski wodziły za nim rozmarzonym wzrokiem. Ale on nie gustował w wieśniaczkach o prostackich manierach i wulgarnym języku. Nie odnajdował w nich wdzięku ani powabu swojej matki. A od czasu, gdy mając trzynaście lat udał się z ojcem do Catanzaro, dużego miasta, by kupić osła i zobaczył tam eleganckie dziewczęta o delikatnych rysach i wyrafinowanym sposobie wysławiania, nie marzył o niczym innym, jak o poznaniu pięknej, wykształconej kobiety.

Wiedział jednak, że jako biedny niepiśmienny wieśniak nigdy nie zdoła opuścić swojej wioski i oczarować pięknej panny z miasta. Ubłagał więc proboszcza, by ten nauczył go czytać i pisać. Boży sługa nie był wielkim erudytą, a jego głowę zaprzętało wiele innych spraw, jednak ujęty uporem chłopca i jego niezwykłymi zdolnościami, dał się obłaskawić i przekazał uczniowi swoją szczątkową wiedzę, składającą się głównie z łaciny kościelnej. Przez wiele kolejnych lat Giovanni spędzał wieczory zatopiony w lekturze wydrukowanego po łacinie Mszału Rzymskiego, który proboszcz zostawiał w zakrystii skromnego wiejskiego kościółka. Chłopiec wiedział, że istnieją już inne wydane drukiem książki, zawierające wiedzę z dziedziny przyrody, filozofii, religii, i marzył o

tym, by móc je przeczytać. Pragnął opuścić wioskę i zdobyć skarby wiedzy, ale nie wiedział jeszcze jak i kiedy. Czekał niecierpliwie, na jakąś okazję, jakieś szczególne wydarzenie, które umożliwi mu wyjazd i realizację zamierzeń.

Od przybycia Wenecjan odczuwał dziwną gorączkę. W chwili gdy ujrzał otoczoną oddziałem konnych dziewczynę, jego serce ścisnęło się tak mocno, że niemal stracił przytomność. Miał niewytłumaczalne przeczucie, wręcz olśnienie, że Wenecjanka została mu zesłana przez przeznaczenie. Bezskutecznie starał się odsunąć tę myśl. Wieczorem, wpatrując się w jej oświetloną migoczącym płomieniem twarz, był wciąż niezwykle poruszony. I nagle jego gorące serce, wspierane siłą uskrzydłonej wyobraźni, powzięło tyleż wzniosły, co bezsensowny zamiar: zakochać się w nieznajomej i zdobyć jej miłość.

12

Pod koniec posiłku umysł Giovanniego zaprzętała już tylko jedna myśl: dowiedzieć się, w którym domu nocuje piękna nieznajoma. Ze swojego punktu obserwacyjnego bez trudu zobaczył, dokąd się oddaliła. Wraz z towarzyszkami podróży i pięcioma oficerami straży przybocznej zajęła najładniejszy, stojący na placu dom. Widział, jak wewnątrz zapalono świece, ale nie mógł wypatrzyć nic więcej. Właśnie miał opuścić swoją kryjówkę i podejść do jej domu, gdy przed wejściem rozłożył się oddział straży.

Giovanni dyskretnie zszedł z dachu z zamiarem obejrzenia statku, ale ciemność była nieprzenikniona. Ułożył się w skalnym zagłębieniu, by doczekać świtu, i niemal natychmiast zasnął.

O brzasku pierwsze promienie słońca wyrwały go z dziwnego snu, który wniósł do jego duszy tyleż poruszający, co pełen niepokoju powiew. Jednak odgłos krzątających się na statku marynarzy sprawił, że szybko uwolnił się spod jego uroku. Już poprzedniego dnia rozpoczęto naprawę kadłuba i złamanego masztu: jednego z trzech, które posiadał okręt. Giovanni wiedział, że prace potrwać najwyżej dwa lub trzy dni.

Z nadzieją, że uda mu się wejść na pokład, zaproponował swoje usługi kapitanowi, który zszedł na brzeg. Mężczyzna z otwartymi ramionami powitał parę dodatkowych rąk do pracy, ale ku wielkiemu rozczarowaniu Giovanniego, wysłał go do lasu wraz z grupą cieśli i drwali mających za zadanie dostarczenie pni. Gdy chłopiec wrócił na miejsce prac, podziękowano mu, ale nie pozwolono wejść na pokład.

Wracając do wioski przez łąki, Giovanni spotkał ojca i brata, mocno zaniepokojonych jego przedłużającą się nieobecnością. Wyjaśnił im, że został zatrudniony przez Wenecjan przy naprawie statku, w związku z czym przez kilka dni nie będzie mógł pracować w polu. Ojciec początkowo sprzeciwił się temu, bo właśnie trwały sianokosy i w każdej chwili spodziewano się burzy, ale widząc monetę, którą kapitan dał chłopcu w zamian za jego pracę, zmienił zdanie. Kalabryjscy

chłopi rzadko oglądali pieniądze, korzystali więc z każdej nadarzającej się okazji, która pozwalała im zarobić bodaj niewielką sumkę, za którą można by w mieście kupić zwierzęta czy narzędzia.

Po powrocie do wsi Giovanni myślał tylko o jednym: zobaczyć dziewczynę. W ciągu dnia, wypytując robotników, zdołał zebrać okrucieństwa cennych informacji: okręt należał do bogatego armatora i został wynajęty przez dożę Wenecji, najwyższego urzędnika republiki, w celu przewiezienia dostojników przebywających na Cyprze. Na okręcie znajdowały się także cenne orientalne towary, bowiem Cypr, jedna z weneckich prowincji, był miejscem wymiany handlowej między Półwyspem Apenińskim, a imperium osmańskim. Jednak najcenniejsza informacja zdobyta przez Giovanniego tego dnia była następująca: na pokładzie znajdowały się siostra i córka gubernatora Cypru, którym był nikt inny, jak mąż wnuczki doży. Zatem dziewczyna, na widok której mocniej zabiło serce chłopca, była córką gubernatora i prawnuczką najpotężniejszej osoby w Republice Weneckiej. Dama była ciotką, a rówieśnica - zgodnie z przewidywaniami - służącą jego ukochanej. Giovanni nie zniechęcił się. Wręcz przeciwnie, wiadomość, którą przekazał mu jeden z cieśli, tylko podsyciła miłosny płomień. Na usta chłopca cisnęło się jeszcze jedno pytanie: jak dziewczyna miała na imię. Jednak przezornie zatrzymał je dla siebie.

Wieczorem ponownie spróbował zbliżyć się do placu, na którym Wenecjanie mieli zjeść kolację. Stary wieśniak zatrzymał go jednak, nakazując mu odejść. Po minie obserwujących zajście żołnierzy Giovanni zorientował się, że nie ma innego wyjścia.

Jak poprzedniego dnia wszedł na dach jednego z pobliskich domów, ale niewiele mógł zobaczyć. Był zbyt daleko, by przyjrzeć się twarzy dziewczyny lub usłyszeć brzmienie jej głosu, zagłuszanego przez śmiech i głośne rozmowy otaczających ją żołnierzy. Mógł jednak podziwiać jej pełne wdzięku ruchy i włosy, w których co jakiś czas pojawiały się wydobywane przez migoczący płomień pochodni rudawe refleksy.

Kiedy piękna nieznajoma udała się w towarzystwie straży na miejsce noclegu, Giovanni jeszcze przez jakiś czas został na stanowisku obserwacyjnym. Wrócił do rodzinnej chaty dopiero w środku nocy.

Rankiem ponownie wybrał się nad morze i został przyjęty do pracy. Tym razem miał więcej szczęścia i wskoczył do jednej z barek, która przewoziła ludzi pomiędzy statkiem i brzegiem. Jako że miał smykałkę do drewna, przydzielono go do ekipy cieśli. Robotnicy dwoili się i troili, by naprawić kadłub, mocno nadpalony w wyniku pożaru wywołanego przez pirackie armaty, i uszczelnić go na tyle, by można było bezpiecznie wypłynąć w morze i kontynuować rejs do Wenecji. W przerwie obiadowej spróbował swojego szczęścia i wślizgnął się na pokład. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Uległ pokusie i długim, wąskim korytarzem doszedł aż do kajut usytuowanych w rufowej części statku. Wiedziony szaloną nadzieją na odnalezienie kajuty pięknej Wenecjanki, naciskał wszystkie możliwe klamki, ale drzwi były zamknięte. W końcu wpadł na

oficera, który na jego widok zażądał wyjaśnień i oczywiście nie uwierzył w bajkę o rzekomym zablądzeniu; przepędził Giovanniego ze statku.

Chłopak wrócił do domu, nic nie wskórawszy, a ponieważ nie miał serca powiedzieć ojcu, że wraca z pustymi rękami, nie poszedł na pole, lecz wrócił do wsi, gdzie Wenecjanie właśnie skończyli posiłek i urządzili sobie sjęstę w chłodnych wnętrzach domów.

Plac był pusty.

Giovanniemu przemknęła przez głowę niebezpieczna myśl. Zrazu przepędził ją, ale prawie natychmiast wróciła. Bawił się nią przez chwilę, delektując się jej straszliwym smakiem, by ją znowu odepchnąć. Kiedy i tym razem powróciła, ustąpił.

Przewycięzając strach, przebiegł plac i przyczaił się z prawej strony domu, który zajmowała dziewczyna. Po wąskich drewnianych schodach wspiał się na stryszek, służący do przechowywania siana. Z ulgą stwierdził, że drzwi są otwarte. Wszedł do ciemnego pomieszczenia, do połowy wypełnionego słomą, dusząc się z gorąca. Potem ostrożnie przeczołgał się nad izbę gospodarza, wolniutko rozsunał siano i spojrział przez szparę pomiędzy grubo ciosanymi belkami stropu.

Jego wzrok szybko przywykł do panującego w sypialni półmroku. Zauważył dwa łóżka. Na każdym z nich ktoś leżał. Niestety, mimo że Giovanni znajdował się w odległości zaledwie parunastu stóp od nich, nie mógł rozpoznać, kto jest kim. Przeleżał tak w bezruchu ponad godzinę, niemal wstrzymując oddech, w obawie, by stary strop nie zaczął trzeszczeć. Nagle jedna ze śpiących osób poruszyła się i wstała. Podeszła do okna i delikatnie otworzyła okiennicę.

Strumień światła zalał część izby. Giovanni bez trudu rozpoznał służącą, która wychylała się przez okno, oparta o parapet. W części izby nadal chronionej przed ostrym światłem południa spostrzegł dziewczynę. Spowita w długą koszulę z białego jedwabiu, leżała na wznak. Miała zamknięte oczy. Jej długie jasne włosy rozsypały się wokół twarzy, jak aureola. Jedną rękę wyciągnęła za głowę, drugą delikatnie położyła na brzuchu. Zawieszona gdzieś między jawą i snem, uśmiechała się lekko, z niemal dziecinnym wyrazem nakrapianej piegami buzi.

Serce Giovanniego zabiło tak mocno, że przestraszył się, iż zostanie usłyszany. Z urywanym oddechem sycił oczy widokiem cudnej twarzy, jakby kontemplował święty obraz. Dojrzewająca ledwie uroda dziewczyny stanowiła dla niego niedościgły wzór piękna.

Jej ciało było pełne powabu. Każdy detal jej twarzy wydawał mu się tak doskonały, że Giovanni doszedł do wniosku, iż nigdzie, jak świat długi i szeroki, nie istnieje druga tak idealna harmonia, żadna inna twarz, która mogłaby kiedykolwiek przyciągnąć jego uwagę.

Ale najbardziej fascynował go szczegół, który młoda dziewczyna skryła przed jego wygłodniałym wzrokiem: zamknięte oczy. Nie tyle poruszył go kształt powiek czy jedwabistość długich rzęs, co wyraz łagodności, niemal dobroci, niesamowite połączenie siły i delikatności

emanujące zza owych zamkniętych oczu i ledwo zarysowanego uśmiechu.

Miał już tylko jedno pragnienie: poznać tajemnicę jej spojrzenia. Jakie miała sny? Jakie czułe obrazy mieszkały w jej wnętrzu? Jaka była barwa, aromat i mowa jej duszy? Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, zamknął oczy i udał się w podróż do serca swojej ukochanej.

- Elena - powtórzyła cicho służąca, patrząc na swoją panią. Giovanni podskoczył.

- Elena - szepnął. - Ma na imię Elena.

Właśnie w tej chwili rozległ się głośny trzask. Zrządzeniem losu belka, na której leżał Giovanni, była zupełnie spróchniała.

13

Służąca podniosła wzrok i spostrzegła sypiący się z powały kurz. W tym momencie rozległ się drugi trzask. Dziewczyna rzuciła się w kierunku swojej budzącej się z wolna pani i wzywając pomocy, przygniotła ją do ściany. Natychmiast wbiegło dwóch strażników. Mężczyźni stwierdzili, że strop grozi zawaleniem i wyprowadzili dziewczęta z pomieszczenia. Potem, zaintrygowani owym nagłym pęknięciem belki, weszli na strych, by znaleźć przyczynę nieszczęścia. Mimo iż Giovanni ze wszystkich sił starał się zatrzeć ślady swojej obecności, strażnicy bez trudu zorientowali się, że na pękniętej belce ktoś leżał. Wezwali posiłki. W ciągu zaledwie kilku minut wytropiono skulonego pod słomą chłopca.

Żołnierze pojмали go i zaprowadzili do oficera, który przesłuchał go w obecności starego Graziano. Giovanni tłumaczył się, mówiąc, że po prostu chciał się przespać na strychu. Ale gdy zrozumiał, że jego tłumaczenia nikogo nie przekonały, tym bardziej że wieśniakom zakazano zbliżać się do domu, wyznał prawdę.

- Zakochałem się w Elenie od pierwszego wejrzenia, gdy tylko ujrzałem, jak wjeżdżała konno do wioski, i chciałem być bliżej niej.

To wyznanie wprawiło Wenecjan w stan osłupienia. Doszli do wniosku, że młody człowiek zamierzał targnąć się na cześć ich pani. Wójt, który dobrze znał Giovanniego, próbował go bronić, opowiadając o marzycielskim, idealistycznym usposobieniu młodzieńca.

Summa summarum, oficerowie postanowili zaniknąć Giovanniego pod strażą.

Tego samego wieczoru Wenecjanie rozważyli sprawę, uznając, że przewinienie jest ciężkie i wymaga surowej kary: już samo podglądanie i narażenie na szwank godności dam byłoby w ich oczach zbrodnią ale - jakby tego było mało - młodzieńcowi przedstawiono zarzut usiłowania gwałtu. Jego sytuację pogorszyło zeznanie oficera, który poprzedniego dnia przyłapał Giovanniego w pobliżu kajut, na wyższym pokładzie statku.

Przerażony Giovanni nie wiedział, jak się tłumaczyć. Z udziałem reprezentantów wioski - skonfundowanych faktem, iż naruszono święte prawo gościnności i obawiających się większych represji, które mogłyby spaść na nich, nieszczęsnych wieśniaków - ustalono, że następnego ranka

Giovanni zostanie poddany karze publicznej chłosty.

Elena, która ledwo doszła do siebie po ataku korsarzy, z przerażeniem przyjęła wiadomość, że uniknęła zagrożenia ze strony mężczyzny, który przyczał się na strychu, by napaść na nią pod osłoną nocy. Jednocześnie ów nieprzyjemny epizod przydał nieco pikanterii dłużącym się niemiłosiernie dniom oczekiwania.

Bez przerwy myślała o tajemniczym mężczyźnie, wyobrażając sobie jego twarz. Czy był potworny? Jednooki? Czy szpeciły go straszliwe blizny, świadectwo jego ciemnej przeszłości? Była zaskoczona, dowiadując się, że chodzi o młodego chłopca, niemal jej rówieśnika, cieszącego się w wiosce dobrą opinią. Zaczęła się zastanawiać, co popchnęło chłopca do popełnienia tego czynu? Pytanie to dręczyło ją do tego stopnia, że udała się do kapitana statku z prośbą, by pozwolił jej zobaczyć więźnia przed wykonaniem straszliwego wyroku. Oficer odmówił, obawiając się, by podczas widzenia nie zdarzyło się coś nieprzewidzianego, co mogłoby w jakikolwiek sposób narazić prawnuczkę doży.

Elena miała burzliwą noc. Była jednocześnie wyczerpana i pobudzona, wesola i smutna, niespokojna i zaintrygowana. Wydarzenie nabierało w jej romantycznym umyśle coraz większego znaczenia. Elena była bowiem bardzo uczuciowa i marzycielska, podatna na wszelkie emocje.

Zwyczajowo szlachetne damy nie uczestniczyły w publicznych egzekucjach wykonywanych na pospolitych przestępcach, ale Elena postanowiła za wszelką cenę asystować kaźni. Rzecz jasna takie okrucieństwo było dla niej nie do zniesienia, ale nie miała innej możliwości, żeby zobaczyć mężczyznę, który na nią nastawał. A bardzo jej na tym zależało.

Giovanni całą noc nie spał. Nie bał się kary, ale w oczach wieśniaków, którzy uczestniczyli w jego procesie, wyczytał wstyd i trwożył się na samą myśl, jak jego ojciec przeżyje takie upokorzenie. Poza tym myślał o Elenie. Czy zdoła ją zobaczyć i wyjaśnić, że wszelkie zarzuty są bezpodstawne, a on sam niewinny? Czy dziewczyna ujrzy w nim kogoś więcej niż tylko gwałciciela czy bandytę? Jak jej wyjaśni, że działał w imię miłości do niej? Że chciał tylko zobaczyć z bliska jej twarz, oczy, zbliżyć się do jej duszy?

Nazajutrz, w samo południe, wszyscy mieszkańcy wioski zebrali się na placu. W egzekucji uczestniczył tylko mały oddział wenecki: reszta załogi kończyła naprawiać okręt. Następnego dnia Wenecjanie mieli wypłynąć w morze.

Elena zdołała wyprosić pozwolenie na przyglądanie się wymierzeniu kary. Ze ściśniętym gardłem zajęła miejsce na wygodnym krześle, wśród szlachty, w odległości kilkudziesięciu stóp od drzewa, przy którym miano za chwilę wybatożyć napastnika.

Giovanni, ze związanymi z tyłu rękami, przybył na miejsce pod złożoną z dwóch żołnierzy eskortą. Nie śmiał spojrzeć na usadowionych wygodnie notabli, ale wyczuł obecność Eleny. Dziewczyna była poruszona jego urodą. Wyobrażała sobie, że jest grubo ciosany, tymczasem

subtelność twarzy i ciała chłopca, jego młody wiek i wyraz oczu wskazywały, że nie byłby zdolny do popełnienia zarzucanych mu czynów.

Rozwiązano krępujące skazańca więzy. Następnie opleciono sznury wokół drzewa, przy którym unieruchomiono chłopca, zdzierając z niego tunikę i odsłaniając plecy. Kapitan gromkim głosem przypomniał wyrok: dwadzieścia batogów, po czym skinieniem głowy dał znak uzbrojonomu w potężny rzemień żołnierzowi.

Z pierwszym uderzeniem bata Elena odczuła głęboki ból. Z trudem powstrzymywała się od krzyku, od tego, by nie zażądać natychmiastowego przerwania kaźni. Bat uderzył ponownie, szarpiąc skórę chłopca, który, mimo dojmującego bólu, tylko mocniej zacisnął zęby. To niezasłużone w jego odczuciu cierpienie wpływało na niego dziwnie pobudzająco.

Z każdym rozdzierającym skórę młodzieńca uderzeniem duch Eleny coraz bardziej słabł. Tymczasem dusza Giovanniego wzrastała.

Po zakończeniu kaźni rozwiązano skazańca, odwracając go twarzą do tłumu i notabli. Podtrzymywany przez dwóch żołnierzy chłopiec chwiał się na nogach. Chciał po raz pierwszy w życiu spojrzeć Elenie w oczy, ale świat wokół niego wirował, a jego oczy były pełne łez. Przez chwilę próbował zawiesić spojrzenie na rozmytej postaci dziewczyny, lecz zemdlął.

14

Ocknął się w chatce starej zielarki. Znająca zalety leczniczych ziół staruszka obłożyła jego plecy mieszkanką nagietka i gliny. Przy łóżku czuwał strażnik. Była noc. Plecy Giovanniego płonęły żywym ogniem. Poprosił o picie. Kobieta napoiła go naparem sporządzonym z przeciwbólowych i nasennych ziół. Tuż po świcie strażnik wyszedł. Chłopiec posłyszał wrzawę i zrozumiał, że Wenecjanie na dobre opuścili wioskę. Pomyślał, że Elena oddała się od niego.

Odczuwał smutek, ale był spokojny. Wiedział, że ją odnajdzie. Ta jedna jedyna myśl kołowała jego cierpienie.

Cały dzień przeleżał na pościeli uzdrowicielki. Wieczorem odwiedził go wyraźnie przygnębiony ojciec. Usiadł przy nim bez słowa. Giovanni chwycił go za rękę. Ojciec uściśnął ze wzruszeniem jego dłoń. Spojrzeniem zapytał o stan jego zdrowia. W odpowiedzi chłopiec mrugnął do niego okiem.

- Przysporzyłeś nam wielu trosk - powiedział w końcu mężczyzna.

- Wybacz, ojciec odpowiedział Giovanni, zastanawiając się, jak wytłumaczyć ojcu, że pokochał Elenę i chciał ją tylko zobaczyć. Ale nic znalazł odpowiednich słów.

- Wyjechali - powiedział mężczyzna po chwili milczenia, po czym wstał i zostawił syna w rękach znachorki.

Trzy dni później Giovanni mógł już chodzić, ale napotykał wszędzie tylko wrogie spojrzenia, wolał przesiadywać w domu uzdrowicielki, która kilka razy dziennie przykładła mu

nowe okłady. Dzięki jej opiece rany wygoiły się, ale na plecach na zawsze miały pozostać głębokie blizny.

Któregoś ranka odwiedził go proboszcz. Jako że musiał udać się w podróż, by zastąpić chorego księdza z jednej z okolicznych parafii, nie było go w wiosce przez ostatnie dziesięć dni. Z wielkim żalem przyjął wiadomość o pobycie Wenecjan.

- Jeden jedyny raz coś się tutaj dzieje, a mnie akurat wtedy nie ma w domu! - westchnął.

Ksiądz proboszcz, który darzył Giovanniego wielką sympatią, wypytał chłopca o przyczynę jego zachowania i zaproponował, że wysłucha jego spowiedzi. Młodzieniec nie był zbyt pobożny, ale wzorem pozostałych chłopów, zgodnie z tradycją, chodził do kościoła, uczestniczył w niedzielnej mszy świętej, przyjmował komunię, a w czasie wielkich świąt chodził do spowiedzi. Nie darzył specjalną adoracją Najświętszej Panienki ani nie modlił się. Wierzył w Boga tak, jak się wierzy w życie, które po prostu jest i nie trzeba się nad nim głębiej zastanawiać.

Uznał więc spowiedź za rzecz jak najbardziej naturalną: było mu wstyd, że popełnił czyn, który przysporzył mieszkańcom wioski trosk i naraził na szwank ich dobre imię. Nie umiał jednak wytłumaczyć księdzu, dlaczego jego serce tak bardzo przywiązało się do przelotnie widzianej dziewczyny. Proboszcz zarzucił chłopcu, że żyje w świecie wyobraźni. Stwierdził, że szaleństwem jest wierzyć, że jeszcze kiedykolwiek spotka Wenecjanę, a nawet jeśli, to piękna panna z całą pewnością nie okaże biednemu wieśniakowi nic ponad wzgardę.

- Popełniasz grzech pychy, sądząc, że kiedykolwiek cię pokocha. A gdyby nawet tak się stało, to różnica stanów nie pozwoli wam zawrzeć związku przed Bogiem i ludźmi.

Giovanni rozumiał stanowisko księdza. Wydało mu się nawet całkiem logiczne, ale w głębi siebie słyszał głos, który szeptał coś zupełnie innego. Skoro wyśniona kobieta przybyła do niego, skoro zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, skoro już cierpiał z miłości do niej, to być może los kiedyś ich połączy... Czy to pycha, jak mówił ksiądz, przemawiała przez niego? Do jego duszy wkradły się wątpliwości, a siła wewnętrzna, dzięki której zdołał przetrwać kaźń, stopniowo słabła.

Giovanni wypowiadał się i zmówił w kościele *Pater Noster*. Wrócił do domu zamyślony i melancholijny.

Po drodze w jego głowie kłębiły się dziesiątki pytań. To prawda, że nie wiedział, co Elena o nim myśli. Może sądzi, że jest winny? Może z zadowoleniem przyglądała się jego straszliwej męce?

A może, co gorsza, los wieśniaka, którego potraktowano jak wężącego pod drzwiami spiżarni psa, był jej zupełnie obojętny? Takie myśli dręczyły go niemiłosiernie, ale wiedział, że musi zmierzyć się z rzeczywistością. Być może miłość do Eleny na zawsze zamieszka na dnie jego serca, jak najściślej strzeżona tajemnica. Może, wzorem swoich kolegów, poślubi dorodną wieśniaczkę i spędzi resztę swoich dni, uprawiając pole? Taki już jego los. Po co marzyć o czymś

innym? Po co wyobrażać sobie, że wiecie życie pełne przygód, lub poślubia niezwykle piękną, wyjątkową kobietę?

Giovanni zastanawiał się, skąd wzięły się te marzenia, obecne w jego umyśle już od dziecka, podczas gdy pozostali chłopcy pragnęli zwykłych rzeczy, akceptowanych przez wszystkich i znajdujących się w ich zasięgu. Czy powinien poświęcić najskrytsze pragnienia na rzecz zapewnienia sobie spokojnej, zwykłej egzystencji? A może raczej postawić wszystko na jedną kartę? Zaryzykować odrzucenie, utratę miłości swoich bliskich, stracić wszystko: wizję własnego życia i normalną egzystencję, która jest mu pisana?

Myśląc o doświadczeniu, które właśnie przeżył, czuł się bezsilny. Już raz zdobył się na odwagę, posłuchał swego serca, a co dostał w zamian? Samotność i utratę zaufania mieszkańców wioski. Poza tym ani razu nie zdołał uchwycić spojrzenia Eleny. Zresztą dziewczyna z całą pewnością wyrzuciła z pamięci i wieś, i wszystko inne, co mogłoby przywołać na myśl niemiłe wspomnienia. Czy nadmiernie wybujała wyobraźnia i pycha nie sprowadziły go na manowce, jak mówił ksiądz proboszcz?

Dreńczony wewnętrznym niepokojem wrócił do domu. Ojciec pracował w polu, ale Giacomo, jego brat, leżał w łóżku. Poprzedniego dnia ukąsił go skorpion i chłopiec walczył teraz z wysoką gorączką. Bracia ucieszyli się na swój widok, ale rozmawiali niewiele. Giovanni nigdy nie zwierzał się swojemu młodszemu bratu. Giacomo nie miał aż tak wybujałej fantazji, ale kochał swojego brata i nigdy nie oceniał jego czynów, nawet jeśli ich nie rozumiał.

Wymienili kilka słów na temat ich opłakanego stanu zdrowia, nie czyniąc najmniejszej nawet aluzji do tragicznych wydarzeń ostatnich dni.

Kiedy Giovanni wychodził z domu, by pójść na spotkanie z ojcem, Giacomo spojrzał na niego z dziwnym wyrazem twarzy i poruszył ręką, jakby chciał zatrzymać brata.

Giovanni zatrzymał się, ale Giacomo odwrócił wzrok. Giovanni zawahał się chwilę, wyszedł z domu, ale prawie natychmiast zawrócił.

Giacomo, co chcesz mi powiedzieć?

Chłopiec spuścił wzrok.

Nie powinienem... obiecałem tacie, że ci nie powiem - jęknął, nadal nie patrząc mu w oczy.

Giovanni usiadł na brzegu łóżka i uważnie spojrzał na młodszego brata, który powoli podniósł głowę:

- Dziewczyna, z powodu której zostałeś wychłostany...

Giacomo przerwał. To, co miał do powiedzenia, nie chciało mu przejść przez gardło, ale palące spojrzenie brata nic pozostawiało mu wyboru i wykrztusił:

- Przysłała ci przez posłańca list.

Przyjacielu. Zostawiam twojemu ojcu list, mimo że nie wiem, czy będziesz umiał go przeczytać i pojąć jego sens. Ale mniejsza o to.

Moje serce jest zbyt poruszone, bym mogła przemilczeć stan moich uczuć w dniu, kiedy zostałeś poddany tak surowej karze. Dowiedziałam się od sędziów, że zeznałeś, iż skryłeś się na strychu... z miłości do mnie. Ponieważ chciałeś być blisko mnie... Nie uwierzono ci i skazano jak zwykłego złodzieja. Ja też nie uwierzyłam, gdy przekazano mi twoje bezsensowne zeznania. Niby dlaczego miałbyś zakochać się we mnie, nic o mnie nie wiedząc? Ale kiedy przyprowadzili cię, pełnego godności, związanego jak pospolity bandyta, kiedy usłyszałam trzaśnięcia bata rozrywającego twoje ciało, kiedy zniosłeś kaźń bez najmniejszej nawet skargi, kiedy spojrzałam w twoje dumne, zapłakane oczy... zrozumiałam, że mówiłeś prawdę. Nie wiem, dlaczego mnie kochasz i przyznaję, że jestem nieco zmieszana, lecz pragnę, byś wiedział, że ci wierzę. Prawdopodobnie nie spotkamy się nigdy więcej. Proszę więc, przyjmij przynajmniej moje przeprosiny za niezasłużone cierpienie, którego przysporzyli ci moi przyjaciele. Oplakiwałam cię.

Elena.

Giovanni, ukryty wśród nadrzecznych skał, w sekretnym miejscu, do którego przychodził od dziecka, po raz dziesiąty czytał list.

Słowa Eleny były zbyt mocne, zbyt nieoczekiwane, zbyt poruszające by mógł je pojąć za pierwszym razem. Z wolna wnikały do jego umysłu i serca. Siedział oniemiały, sparaliżowany, a przez głowę nie przebiegała mu żadna myśl. Nagle, niespodziewanie, z jego dużych, czarnych oczu popłynęły strumienie łez. Jego duszę opanowała eksplozja radości.

Radość ta była większa niż szczęście, że Elena widziała go, rozpoznała szczerą jego uczuć, że go oplakiwała. Bardziej gwałtowna niż euforia spowodowana świadomością że dziewczyna zadała sobie trud, aby do niego napisać, by ukoić jego ból i że jej serce jest tak szlachetne i dobre, jak myślał. Ta bezgraniczna radość wynikała z czego innego. Giovanni uświadomił sobie, że jego serce nigdy go nie zdradziło, a marzenia nie zwiodły go na manowce, że oto otrzymał odpowiedź na tysiące dręczących go pytań: należy iść za głosem serca, słuchając najskrytszych pragnień własnej duszy, gdyż zostały zasiane ręką Boga.

Drażące jego duszę wątpliwości rozwiały się. Oto otrzymał klucz do zagadki istnienia. Otworzy drzwi bez względu na to, że czasem można za nimi napotkać ból. Chwila była święta. Po raz pierwszy w życiu Giovanni zwrócił się do Boga, do rzeki, do drzew, do całego świata, ofiarowując im modlitwę modlitw:

- Dziękuję.

W tej chwili zyskał pewność, że wyruszy na poszukiwanie Eleny, że odnajdzie ją i nigdy nie przestanie jej kochać.

Mimo młodego wieku Giovanni wyglądał na starego włóczęgę. Zarośnięty, w podartych butach, połatanych spodniach i koszuli, od pięćdziesięciu siedmiu dni i nocy maszerował z przewieszoną przez pierś sakwą.

Opuścił rodziną wieś trzy tygodnie po odkryciu listu, którego istnienie ojciec próbował przed nim zataić. Natychmiast podjął decyzję o wyruszeniu do Wenecji w poszukiwaniu Eleny, ale jego wyprawa opóźniła się z powodu prac polowych. Ojciec i ksiądz proboszcz starali się wyperswadować mu tę niebezpieczną podróż, ale nic nie mogło go odwieść od raz powziętego zamiaru.

Pewnego ranka wstał przed świtem, zabrał skromne oszczędności i ruszył w stronę Neapolu. Wiedział, że Wenecja znajduje się na północy, nad Adriatykiem, na drugim krańcu półwyspu. Mógł oczywiście przebyć tę drogę w czasie krótszym niż tydzień. Wystarczyło zamustrować się na jeden z handlowych statków w Catanzaro, opłacając swoją podróż pracą. Giovanni jednak, jako typowy wieśniak, wolał się udać do Wenecji drogą lądową.

Był świadomy, że będzie musiał najmować się do pracy w gospodarstwach, by zarobić na chleb, i że jego podróż może potrwać nawet kilka miesięcy.

Ten wybór zmienił na zawsze jego los. Ale Giovanni jeszcze o tym nie wiedział.

Wybór ów zrodził się przede wszystkim z nurtującej chłopca obawy. Pragnął, rzecz jasna, odnaleźć Elenę. Całą drogę powtarzał w myślach zdanie skreślone ręką ukochanej: *Prawdopodobnie nie spotkamy się nigdy więcej*. Odczytał owo *prawdopodobnie* jak subtelne wezwanie dziewczyny. Przecież mogła napisać z *całą pewnością*. Wola odnalezienia jej wzrosła w nim dziesięciokrotnie. Ale Giovanni zdawał sobie sprawę, jak trudno mu będzie zbliżyć się do niej. A nawet jeśli pokona tę pierwszą przeszkodę, czy starczy mu inteligencji, czy okaże się wystarczająco elegancki, czy znajdzie dość piękne słowa, dzięki którym zdobędzie serce szlachetnej damy? Czy młoda arystokratka nie przeżyje zawodu, widząc niewykształconego i odzianego w łachmany wieśniaka? Trawiąca jego serce miłość najprawdopodobniej nie wystarczy, by serce Eleny także zadrżało.

Giovanni powierzył się więc opatrności, postanawiając, że zda się na przypadek, zdobywając po drodze wiedzę z różnych dziedzin: sztuki, religii, nauk ścisłych, dobrych manier, władania bronią, a także języków obcych... Wiedział, że taka podróż może potrwać rok, a nawet dłużej, ale to nie było istotne.

Zaczeka, by dać sobie jak największą szansę na zbliżenie się do Eleny i zdobycie jej serca.

Owładnięty tym jedynym pragnieniem, już od niemal dwóch miesięcy przemierzał drogi, zatrzymując się tu i ówdzie, by zarobić trochę grosza.

Pierwszą interesującą osobą był napotkany w oberży mieszczanin. Wydawał się wykształcony. Zaproponował Giovanniemu, że w zamian za pracę udzieli mu kilku praktycznych

pouczeń.

Handlarz ceramiką zaprosił chłopca do siebie, tłumacząc mu po drodze złożoną sytuację polityczną Italii.

Mimo że Półwysep Apeniński był częściowo przynajmniej zjednoczony pod względem kultury, języka, obyczajów, filozofii i sztuki, był bardzo podzielony politycznie. Na północnym zachodzie znajdowały się Księstwa Sabaudii i Mediolanu, które zachowały wprawdzie niezależność, ale były narażone na ciągle najazdy Francuzów. Na północnym wschodzie, nad Morzem Adriatyckim, rozciągała się wpływowa Republika Wenecka, potęga morska i handlowa, na której czele stał wybierany dożywotnio doża. Słyszając te słowa, Giovanni wzruszył się głęboko i zaczął wypytywać o więcej szczegółów dotyczących Wenecji, ale jego rozmówca nigdy nie był tam osobiście, a jego wiedza była mniej niż powierzchowna.

Wyjaśnił jednak Giovanniemu, że Wenecja nieustannie konkuruje z niewielką Republiką Genui, znajdującą się po przeciwnej stronie półwyspu, nad Morzem Śródziemnym (narażoną podobnie jak wymienione wcześniej księstwa na inwazję ze strony Francuzów).

Jeśli chodzi o Republikę Florencką - w której obszarze znajdowała się spora część Toscanii - to była ona otoczona maleńkimi autonomicznymi księstwami jak Modena Parma, czy Lukka. W centrum półwyspu, na wschód i na południe od Republiki Florenckiej, znajdowało się Państwo Kościelne. Zarządzał nim papież, będący zarazem przywódcą duchowym Kościoła. W skład Państwa Kościelnego wchodziła, między innymi, rozległa, górzysta Abruzja. Na południu znajdowało się największe państwo, którego poddaniymi byli zresztą Giovanni i handlarz ceramiką: Królestwo Neapolu. Tron Neapolu znajdował się w rękach młodszej linii hiszpańskiej dynastii aragońskiej, ale od końca XV wieku król Francji zgłaszał uzasadnione pretensje do tronu. Tym sposobem Karol VIII i Ludwik XII podbili królestwo, ale musieli ustąpić wobec przeważającej siły ligi zawiązanej przez pozostałe państwa europejskie. Bo, mimo iż Królestwo Francji było w pierwszej połowie XVI wieku największym państwem Europy, wyjaśnił mieszczanin, pod względem politycznym i militarnym ustępowało innej, niezwykle silnej organizacji państwowej, spadkobiercy Karola Wielkiego: Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu Narodu Niemieckiego. Wybierany dożywotnio przez siedmiu elektorów cesarz był władcą rozległej mozaiki niezależnych królestw ciągnących się od Bałtyku aż do Morza Śródziemnego, w skład której wchodziły hiszpańskie Niderlandy i Franche-Comté, Austria, Związek Szwajcarski, Bawaria, Saksonia, Czechy, Księstwa Sabaudii i Mediolanu oraz Republika Florencka. W 1519 roku, wyjaśnił kupiec, po śmierci Maksymiliana, cesarzem wybrano króla Hiszpanii, Karola Habsburga, który pokonał swojego wyśmienitego konkurenta, króla Francji, Franciszka I. Dołączając do wielkiego cesarstwa swoje własne krainy - Hiszpanię i Królestwo Obojga Sycylii - Karol V stał się prawdziwym panem Europy.

Wychowany w ubogiej Kalabrii Giovanni nic nie wiedział o targających Europą konfliktach, ale nawet on słyszał o wielkim cesarzu.

Chłopiec wypytywał jeszcze o kwestie związane z historią Europy i organizacji politycznej Neapolu. Kupiec opowiedział mu o nieustającej rywalizacji pomiędzy Karolem V i Franciszkiem I.

Ale kiedy mężczyzna wrócił do domu, nigdy nie mógł znaleźć czasu na rozmowy z Giovannim. Kazał chłopcu pracować piętnaście godzin dziennie przy rąbaniu drzewa i podsycaniu ognia w wielkim piecu, w którym wypalano garnki, zawsze odkładając na później wszelkie nauki.

Po upływie dziesięciu dni Giovanni zrozumiał, że nie osiągnie nic więcej, i wyruszył w dalszą drogę.

Opuścił właśnie Królestwo Neapolu i był na terenie Państwa Kościelnego. Mógł skrócić w stronę Adriatyku i ominąć górzyste masyw Abruzji, ale instynkt nakazał mu wejść do dzikiej puszczy.

W ten sposób Giovanni spotkał pierwszą osobę, która wywarła decydujący wpływ na dalszy przebieg jego poszukiwań.

17

Zdarzyło się to pewnego pogodnego, jesiennego poranka.

Giovanni zawitał do sporego miasteczka o wdzięcznej nazwie Isernia. Na rynku napotkał wielce hałaśliwe zgromadzenie. Zagadnął starszą kobietę.

- Złapaliśmy czarownicę! - krzyknęła w odpowiedzi, a jej oczy aż wychodziły z orbit, tak była przejęta powagą wydarzenia.

Giovanni słyszał już o czarownicach. Wiedział, że posądzano je o konszachty z siłą, której imienia nawet bał się wymówić, i o sprowadzanie najprzeróżniejszych nieszczęść, ale na własne oczy nigdy takowej nie widział. Powodowany ciekawością poszedł za tłumem aż na rynek.

Z pewnego rodzaju przerażeniem zobaczył tam zachwycającą młodą kobietę, która mogła mieć nic więcej niż dwadzieścia lat. Zakneblowana, ze związanymi z tyłu rękami, klęczała na postumencie, na który zawlekli ją mieszczanie. Jej długie rude włosy spadały bezładnie na szkarłatną suknię. Wielkie błękitne oczy zdawały się wymyślać zgromadzeniu z wyrazem strachu i wściekłości zarazem.

Giovanni dowiedział się, że od śmierci matki, po której przejęła wiedzę o leczniczym działaniu ziół, dziewczyna mieszkała samotnie, niosąc mieszkańcom miasteczka ulgę w cierpieniach za sprawą zbieranych w lesie przy pełni księżyca roślin, z których przyrządzała lekarstwa. Niestety, w ciągu ostatnich kilku miesięcy niektóre z pielęgnowanych przez nią osób zmarły na skutek zakaźnej gorączki.

Plon wydarzeń był straszliwy. Proboszcz miasteczka, który nabrał jakichś podejrzeń, nocą w towarzystwie kilku parafian, dał się do lasu. Świadkowie zaklinają się, że widzieli, jak dziewczyna

oddawała się kultowi nieczystego. Pochwycili nieszczęsną i przywlekli do miasta. Trzymali ją w zamknięciu przez cztery dni i noce, bez wody i pożywienia. Została przesłuchana przez miejscowych notabli, ale nie przyznała się do winy. Jako że nikt nie umiał osądzić czarownicy, wysłano do Sulmony, większego miasta, konnego posłańca, który miał poinformować o wszystkim biskupa.

Dostojnik kościelny obiecał niezwłocznie przysłać inkwizytora, aby ten poprowadził pierwsze przesłuchanie. Jeśli podejrzenia okażą się zasadne, kobieta zostanie przewieziona do ponurych lochów biskupstwa i przesłuchana przez samego prałata. Aby zaspokoić ciekawość gawiedzi, która obawiała się, że nie będzie miała możliwości ujrzenia czarownicy i obrzucenia jej obelgami, postanowiono za dnia wystawiać kobietę na widok publiczny, kneblując ją starannie, by nie mogła rzucać uroków ani miotać bluźnierstw.

Giovanni z uwagą przyglądał się młodej kobiecie, której ludzie złorzeczyli, ciskając zgniłymi owocami. Dziewczyna klęczała z głową zwieszoną na piersi, jednak na dźwięk bardziej ohydnych obelg lub pod wpływem wyjątkowo silnych uderzeń podnosiła czoło, ciskając oczami płomienie. Potem znów opuszczała głowę na piersi. Giovanni poczuł się okropnie i opuścił miasto.

Maszerując drogą, nie mógł zapomnieć twarzy kobiety. Czy naprawdę była czarownicą? Nie bardzo chciał w to uwierzyć. W jej wzroku malował się przede wszystkim strach i poczucie niesprawiedliwości. Giovanni pomodlił się drugi raz w życiu. Błagał Boga, by przyszedł z pomocą tej nieszczęsnej istocie, i zmówił w sercu *Pater Noster*.

Wieczorem zatrzymał się w oberży. Zajął jedyne wolne miejsce przy stole i zamówił ciepły posiłek.

Spoglądając na włóczęgę z niesmakiem, oberżysta zażądał zapłaty z góry. Giovanni zapłacił bez mrugnięcia okiem, dorzucając dodatkową monetę, by zarezerwować sobie nocleg w stajni.

Gdy jadł, do oberży wszedł mnich w towarzystwie uzbrojonego mężczyzny. Zamówili kolację i usiedli naprzeciw Giovanniego. Z toku ich rozmowy chłopak zorientował się, że ma przed sobą inkwizytora z obstawą, udających się na przesłuchanie schwytej dziewczyny. Giovanni nadstawił ucha. Mężczyźni przyjechali konno, stając w oberży na nocny popas. Następnego ranka mieli ruszyć do miasteczka. Mnich zamówił pokój, jego towarzysz miał spać w stajni. Giovanni dowiedział się, że kobieta z całą pewnością zostanie przewieziona do miasta, przesłuchana i osądzona przez biskupa. Zorientował się także, że ten sługa boży skazał na stos już wiele kobiet posądzanych o czary.

Natychmiast po zjedzeniu kolacji Giovanni udał się do stajni i wyciągnął na słomie. Tuż za nim przyszedł strażnik, ułożył się wygodnie i natychmiast usnął.

Giovanni nie mógł spać. Spojrzenie czarownicy nie dawało mu spokoju.

O północy podjął decyzję i opracował plan.

Tuż przed świtem przystąpił do działania.

Upewnił się, że strażnik jest pogrążony w głębokim śnie, po czym chwycił bierwiono i ogłuszył nim śpiącego. Mężczyzna nawet nie jęknął. Giovanni przebrał się w jego ubranie, przypasał jego miecz i sztylet i nakrył nieprzytomnego sianem. Ogolił się najlepiej, jak to było możliwe, osiodłał konie i czekał niespokojnie na przyjscie mnicha. Kiedy ten pojawił się w stajni, wydał lekki okrzyk, widząc obcego chłopaka. Giovanni nie zostawił mu czasu do namysłu.

Przyłożył sztylet do opasłego mnisiego brzuszyska i nakazał bez gadania wskoczyć na koń. Otrząsnąwszy się ze zdziwienia, cały w strachu, mnich wykonał polecenie. Giovanni odetchnął z ulgą, widząc, że inkwizytor jest raczej tchórzliwego usposobienia. Był to warunek powodzenia jego śmiałego planu. Giovanni nie umiał władać bronią i nie mógłby walczyć z odważnym przeciwnikiem. Nie byłby też zdolny zabić kogokolwiek.

Opuścili oberżę i pogalopowali w stronę miasta. Giovanni dziękował Bogu, że od dziecka uwielbiał konie i że nauczył się je dosiadać u sołtysa, który miał sporą stajnię. Wyjaśnił mnichowi, co ma mówić i robić, gdy tylko znajdą się na placu. Przybrał złowrogi ton i ostrzegł sterroryzowanego zakonnika, że nie zawaha się go zakatrupić, gdyby stawiał opór.

Wjechali do miasta tuż przed południem.

Ich przyjazd nie pozostał niezauważony. Setki gapiów od - i prowadziły ich na plac, na którym znajdowała się skępowana dziewczyna.

Zgodnie z żądaniem Giovanniego, mnich, nawet nie schodząc z konia, rozkazał, by przyprowadzono czarownicę i posadzono ją na wierzchowcu strażnika. Ta decyzja zaskoczyła pilnujących kobietę mężczyzn, którzy jednak nie odważyli się podważać rozkazów inkwizytora. Sprowadzili nieszczęsną z podwyższenia, zostawiając jej jednak knebel i nie rozwiązując rąk. Następnie usadowili ją po kobiecemu na koniu Giovanniego. Młodzieniec nie bez wzruszenia poczuł, jak dopasowuje się do niego długie, smukłe ciało kobiety. Mocno objął dziewczynę w talii, by nie spadła.

Piękne oczy nieznajomej były ufne i czujne zarazem, ale Giovanniego zaskoczyła przede wszystkim siła jej spojrzenia, malująca się w oczach mimo dręczącego ją zmęczenia i pragnienia. W umyśle Giovanniego zrodziła się wątpliwość: co zrobi, jeśli okaże się, że ma do czynienia z prawdziwą czarownicą i jeśli ta spróbuje rzucić na niego urok? Nie miał jednak czasu zastanawiać się zbyt długo. Wśród tłumu dał się słyszeć pomruk niezadowolenia. Gawiedź nie rozumiała, dlaczego inkwizytor odjeżdża z wiedźmą, skoro było zaplanowane, że najpierw ją przesłucha w obecności notabli.

Asystujący ceremonii proboszcz zażądał od mnicha wyjaśnień. Zakonnik, który nadal znajdował się w zasięgu sztyletu Giovanniego, odpowiedział, że lepiej przesłuchać kobietę gdzie indziej, nie w miejscu publicznym.

Proboszcz odpowiedział, że byłoby bardziej roztropnie przewieźć ją pod strażą dwóch osiłków, po czym podszedł do wierzchowca Giovanniego. Chłopak poczuł, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli.

Nie tracąc czasu na dalsze rozmyślenia, mocniej objął kobietę i spiął konia ostrogami. Koń ruszył z kopyta, zostawiając mieszczan w stanie osłupienia. W tym momencie, mnich wyszedł z odrętwienia i wrzasnął:

- Łapcie ich! Nie znam go! To oszust!

Ale było zbyt późno. Giovanni zdążył już opuścić rynek i wpaść w prowadzącą do bramy miejskiej uliczkę.

Jako że niemal wszyscy mieszkańcy zebrali się na placu w sercu miasta, na drodze napotkał tylko kilku staruszków. Zanim rajcy zareagowali, wysyłając za nim konny pościg, Giovanni zdążył już odskoczyć dobre pół mili.

Dziewczyna nie od razu zorientowała się, że umknęła katu. Widząc zdenerwowanie porywacza, odgadła też, że działał sam i że to jeszcze nie koniec gry. Dała mu znak, by uwolnił ją od knebla, po czym krzyknęła:- Jedź do mostu, a potem skręć w lewo w biegnącą wzdłuż rzeki ścieżkę.

Chłopiec posłuchał. Za nimi postępował zbliżający się niebezpiecznie obłok kurzu.

- Nie bój się - uspokoiła Giovanniego, jakby czytając w jego myślach. - Zanim nas pochwyca, dotrzemy do lasu.

W istocie po chwili wjechali do tak gęstego lasu, że nie można już było jechać konno.

- Uwiąż konia do tego drzewa i uwolnij mi ręce - nakazała dziewczyna.

Giovanni bez wahania rozciął sztyletem krępujące ją więzy. Kobieta podbiegła do konia, chwyciła wiszący przy siodle bukłak i wypila jego zawartość do ostatniej kropli.

- Ci otepieńcy chcieli, bym szeszła z pragnienia! Chodź, nie odnajdą nas tutaj - powiedziała, po czym złapała go za rękę i wciągnęła do lasu.

18

Ponad godzinę maszerowali bez słowa.

W końcu weszli na wzgórze, z którego rozciągał się widok na dolinę. Dziewczyna pokazała Giovanniemu domek ukryty wśród gałęzi rozłożystego dębu o sześciu konarach. Zarzuciła na jedną z wyższych gałęzi sznurową drabinkę, którą wyjęła z kryjówki pod kamieniem, po czym zaprosiła swojego wybawcę na górę. Giovanni wspinał się po szczeblach drabiny z pewną obawą, ale na widok przytulnego, wymoszczonego gałęziami i sianem gniazdka, uspokoił się.

- Oto moja sekretna dziupla - wyznała dziewczyna z szerokim uśmiechem. - Proszę, posil się - dodała, wyciągając zapasy z ukrycia i podając Giovanniemu owoc. - Mam na imię Luna. Dziękuję za to, co dla mnie zrobiłeś. Nie wiem, co tobą powodowało, ale dziękuję ci.

Giovanni uśmiechnął się tylko i wskazał ręką zwieszając się z sufitu chatki zioła.

- To rośliny, które zbieram i suszę, a potem wykorzystuję do leczenia. Nie ma w tym nic złego!

- Zatem nie jesteś wiedźmą? - palnął Giovanni z tak naiwną prostodusznością, że dziewczynie ze zdziwienia odebrało mowę.

Po chwili wybuchnęła śmiechem.

- W przeciwnym razie nie uciekłyś ze mną? Giovanni ponownie się uśmiechnął.

- Przed chwilą spytałaś, dlaczego uwolniłem cię z rąk tych ludzi. Sam nie wiem. Zobaczyłem cię wczoraj na placu. Nic o tobie nie wiedziałem, nawet tego, czy to, co o tobie mówią jest prawdą, ale nie mogłem znieść, że traktują cię w ten sposób. Ze smutkiem myślałem o tobie cały dzień, więc kiedy wieczorem spotkałem inkwizytora, pomyślałem, że pomogę ci uciec, zajmując miejsce strażnika i terroryzując mnicha. Ale przyznam, że sam byłem bardziej przerażony niż on. Nigdy w życiu nie trzymałem broni w ręku!

Znowu wybuchnęli śmiechem.

- Popatrz! - powiedziała Luna z triumfem w oczach, wskazując dzbanuszek wina - uczymy nasze spotkanie!

Słuchając opowieści Giovanni ego, nie posiadała się ze zdumienia. Zastanawiała się, kim jest ów dziwny, młody człowiek, który zaryzykował własne życie, by uratować nieznajomą.

Wzniesli toast i Luna opowiedziała swoją historię.

Nie знаła ojca. Wychowała ją matka, którą ludzie zawsze wytykali palcami, szydząc z panny z brzuchem. Ale ponieważ kobieta umiała nieść ulgę w cierpieniu, nie wygnali jej, jak to się często zdarza nieszczęsnym samotnym matkom, zapłodnionym przez nieodpowiedzialnego chłopca lub cynicznego ojca rodziny. Mijał czas. Po śmierci matki mężczyźni - w tym miejscy notable - zaczęli ją nachodzić, czyniąc niedwuznaczne propozycje.

Luna nie kryła, że miała już wielu kochanków i prowadziła się raczej swobodnie. Oczywiście wybierała tylko tych, którzy się jej podobali! Korzystając z niepokoju, który powstał w miasteczku w wyniku spadających na mieszkańców nieszczęść, kilku wyuzdanych samców - z proboszczem na czele - uknuło przeciwko niej spisek. Zeznali, że widzieli, jak odprawiała nocą gusła, podczas gdy po prostu zbierała zioła przy pełni księżyca.

Giovanni słuchał opowieści z wielkim zainteresowaniem. Słowa Luni brzmiały prawdziwie. Z jego serca zniknęły resztki nieufności. Jednocześnie przyglądał się dziewczynie.

Podobało mu się jej zwinne, szczupłe ciało, gęste, rude włosy opadające kaskadą na małe, krągłe piersi. To piękna, ponętna dziewczyna, pomyślał. Rozumiem, czemu zawróciła w głowie miejscowym kogutom.

Po zakończeniu opowieści Luna poczuła głód. Zeszli z drzewa i wyruszyli na obchód

zastawionych na zwierzynę pułapek. Dziewczyna przeszukiwała poszycie lasu, a Giovanni przygotował ognisko. Ustalili, że zjedzą dopiero nocą, by nie zdradził ich dym wznoszący się nad ogniem.

Giovanni nazbierał dREW, znalazł prowizoryczny rożen i oparł się o jesion, podziwiając różowiejące nad doliną niebo. Podczas gdy dzienna gwiazda znikła za horyzontem, na niebie ukazywał się idealnie okrągły księżyc.

Luna wróciła ze wspaniałym zającem w rękach.

- Rozpal ogień. Teraz już nas nie zobaczą. Pójdę po drugi dzbanek!

Wdrapała się na drzewo, a Giovanni, za pomocą dwóch kawałków krzemienia, które podała mu Luna, krzesał ogień. Czekając, aż ognisko się rozpali, wnieśli kolejny toast. Giovanni rozciągnął zajaca, by nadziać go na rożen, gdy Luna chwyciła go za rękę.

- Czy chcesz, żebym ci powróżyła?

Giovanni zaniemówił.

- Mam po matce dar przepowiadania przyszłości z wnętrzości zwierząt. Jest to możliwe tylko nocą, przy pełni księżyca. Dlatego nazywają mnie Luna. Myślą, że to księżyc podszeptuje mi moje wizje. Nic o tobie nie wiem, ale mogę zobaczyć twoją przeszłość i przepowiedzieć twój dalszy los.

Giovanni był przerażony. Uświadomił sobie, że być może znalazł się oko w oko z prawdziwą wiedźmą. Od kogo otrzymała swój dar? Od Boga, czy wręcz przeciwnie? Jego ciało przebiegł zimny dreszcz. Luna wybuchnęła śmiechem.

- Nie bój się, Giovanni. Nic w tym złego! Jestem taka od dziecka. Kiedy patrzę na ludzi, mam pewnego rodzaju wizje na ich temat. Moja matka nauczyła mnie wróżyć z wnętrzości zwierząt przy pełni księżyca. Wówczas widzę jeszcze więcej szczegółów. Wróżyłam już ważnym osobistościom z miasteczka i wszystko, co powiedziałam na temat ich przyszłości, sprawdziło się. Między innymi dlatego proboszcz oskarża mnie o czary. Mówi, że wróżby przy pełni księżyca pochodzą z czasów pogańskich i uważa, że wiara, iż można wyczytać z gwiazd przyszłość, jest bałwochwalstwem.

Giovanni gotów był zgodzić się z księdzem. Jak można poznać przeszłość, a nawet przyszłość nieznanych osób bez pomocy sił nadprzyrodzonych? A skoro Kościół potępia tego rodzaju praktyki, z całą pewnością nie pochodzą od Boga.

Luna znów odgadła myśli Giovanniego. Lekko ujęła jego dłoń. Mimo bladego strachu nie miał odwagi cofnąć ręki.

- Księża nie lubią, gdy przepowiada się ludziom przyszłość, bo to interesuje ich bardziej, niż chodzenie do kościoła i spowiedź - ciągnęła Luna spokojnym głosem. - Ale skoro natura obdarzyła mnie tym darem, to czyż nie po to, bym mogła podpowiedzieć innym, jak mogą zbawić swoją

duszę? Przecież widzę tylko to, co Bóg pozwala mi zobaczyć.

Słowa Luny wydały się Giovanniemu sensowne. Pewność i słodycz jej głosu ukołysły jego lęk. Być może ma rację, pomyślał. Dlaczego Bóg pozwoliłby, by niewinna istota została obciążona ciemną mocą? Skoro Luna ma swój dar od dziecka, na pewno stało się tak z woli Stwórcy. Milczał dłużej, rozważając propozycję. Czy chce poznać przyszłość?

Z całą pewnością nie był przesądny. Zawsze wiedział, że może wybrać swój los, a nie poddać mu się bezwolnie. Dlatego uznał, że jego najskrytsze marzenia mogą się ziścić. Również dlatego, wbrew wszystkim i wszystkiemu, wyruszył na poszukiwanie Eleny. Wiedział, że musi wziąć los w swoje ręce. W przeciwnym razie nie odważyłby się opuścić rodzinnej wioski. Jednocześnie zastanawiał się, dlaczego tak bardzo różni się od swoich rówieśników.

Dlaczego jego marzenia są tak odmienne od marzeń jego przyjaciół.

Doszedł do wniosku, że przyjdzie mu, być może, dokonać w życiu czynów, którymi natchnie go siła władająca uniwersum, a której rozumienie przerasta jego możliwości. Czy właśnie tę siłę miała na myśli Luna, mówiąc o przeznaczeniu?

Ale czy to dobrze, poznać swoje przeznaczenie? Może lepiej odkrywać je krok po kroku, w miarę następujących po sobie spotkań i zdarzeń? Po cóż znać swoją przyszłość, zwłaszcza jeśli ma być nieszczęśliwa?

Pomyślał o Elenie. W tym momencie to ona była jego przeznaczeniem. Czy w wielkiej księdze ludzkich losów zapisano, że powinien jej szukać, odnaleźć ją i... zdobyć jej miłość? Jeśli Luna potwierdzi, jaką siłę Giovanni zdobędzie dzięki tej przepowiedni! Ale jeśli powie mu, że zszedł na manowce, że powinien być zostać w wiosce, że Elena nigdy go nie pokocha... jaką decyzję wówczas podejmie?

Giovanni jeszcze bardziej się zamyślił. Luna nadal trzymała go za rękę. Szanowała jego milczenie. Wiedziała, że jej propozycja będzie brzemienna w skutki.

Ona sama wróżyła z wnętrzości z pewnego rodzaju obawą. Czasem jej oczom ukazywały się koszarne wizje, których wolałyby uniknąć. Pewnego razu, widząc śmierć we wnętrzościach przyniesionego przez młodą matkę kurczaka, rozchorowała się ciężko. Wkrótce potem kobieta zmarła w straszliwych męczarniach, wydając na świat swoje piąte dziecko. Z czasem Luna przyzwyczaiła się do swoich wizji. Przeżywała je bardzo intensywnie, jednak potem dystansowała się od nich na tyle, że mogła nawet o nich zapomnieć. Wykorzystywała swój dar, nie zadając sobie pytań. Zupełnie tak, jak inni wykonują zawód kowala czy kucharza.

Giovanni z wolna otrząsnął się z zamyślenia. Puścił dłoń Luny, jakby pragnąc podkreślić, że podjął decyzję samodzielnie. Doszedł do wniosku, że nie zaprzestanie poszukiwań bez względu na to, co usłyszy.

Zatem nie miał się czego obawiać. W najlepszym razie przepowiednia dziewczyny doda mu

sił. W najgorszym - zapomni szybko o tej bezgwiazdnej nocy i o wyczytanych we wnętrzościach zająca wizjach.

Skinął głową na znak, że przyjmuje propozycję Luny.

19

Dziewczyna chwyciła nóż i rozpruła brzuch zwierzęcia, po czym rozchyliła jego brzegi i odsłoniła wnętrzości. Spojrzała; w zakrwawione kiszki. Jej twarz oświetlał ogień z ogniska.

Giovanni patrzył z obawą w jej oczy, które zmieniły barwę i stały się niemal czerwone. Wydawały się być całkowicie zatopione w odpychającej mazi, a jednocześnie patrzyły gdzieś daleko. Bardzo daleko.

Nagle ciałem Luny targnął wstrząs. Cofnęła głowę, jakby z wnętrzości zwierzęcia wydobywało się coś przerażającego.

- Kobieta. Widzę otoczoną żołnierzami kobietę. Podtrzymuje dłońmi zaokrąglony brzuch. Nosi dziecko pod sercem. Zagraża jej wielkie niebezpieczeństwo.

Luna zamknęła oczy. Jej głos stał się dziwny. Wyglądała, jakby owładnęła nią jakaś zewnętrzna siła. Znowu wlepiła wzrok w rozpruty brzuch zwierzęcia.

- Widzę małego chłopca. Ma nie więcej niż siedem, osiem lat. Patrzy na opuszczaną do ziemi trumnę. Mimo iż powstrzymuje łzy, jest smutny i zagubiony. Nie płacze, jednak jego serce spowija całun smutku.

Teraz widzę ponownie twarz kobiety, która spodziewa się dziecka. Ma kruczoczarne włosy. Jest jeszcze młoda, ale jej serce i dusza są mądre i głębokie. Pociesza chłopczyka. Chce, by zapomniał o smutku. Pieści jego twarz z wielką miłością!

Luna wyglądała na wyczerpaną. Złapała oddech.

- Inna kobieta. Nieco starsza. Jakże ona cierpi! Myśli o mężczyźnie, którego kocha, a który jest skazany na straszliwe męczarnie. Myśli, że mogła temu zapobiec. Czuje się winna temu, co się stało.

Teraz widzę ją nieco wcześniej. Jest młodsza. Oszaloniająco piękna. Jest niezwykle poruszona. Pochyla się nad ciałem przebitego szpadą mężczyzny. Widzę zabójcę! To... ty go zabiłeś. Widzę drugie ciało. I znowu ty zabiłeś! Widzę trzecie... I znowu ty jesteś zabójcą! Widzę kolejnego mężczyznę. Ma bliznę na dłoni... zbliżasz się do niego... chcesz go przebić mieczem... podnosisz ramię... Koniec. Widzę cztery trony i siedzących na nich starców. Stoisz naprzeciw nich. Patrzą na ciebie dobrotliwie. Piąty tron jest pusty.

Pierwszy starzec nosi dziwny kapelusz z gwiazd, drugi jest ślepy, kolejny ma długą, siwą brodę. Ostatni ma na sobie obszerną, białą tunikę bez szwów. Odzywa się pierwszy starzec: „Twoje miejsce jest wśród nas, moje dziecko, gdyż twoja dusza jest piękna i czysta”. Drugi starzec zabiera głos: „Ale na twoich rękach jest krew, bo zabijesz z zazdrości, ze strachu i z gniewu”. Słyszę

trzeciego starca: „Jeśli zabijesz po raz czwarty, zrobisz to z nienawiści, a twoja dusza będzie potępiona na wieki”. Ostatni z nich wskazuje sklepienie nieba: „Spójrz, Giovanni. Oto twój tragiczny, acz świetlany los. Czy go przyjmujesz?”.

20

Luna zamilkła. Zamknęła oczy, a po jej policzkach popłynęły łzy. Otarła twarz i spojrzała na Giovanniego.

- Wybacz mi. Nie powinnam była proponować, że odczytam twoją przyszłość.

Podczas trwania wizji Giovanni siedział jak osłupiały. Nic nie zrozumiał z tej niespójnej, krwawej historii. Rozpoznał siebie w postaci chłopca, który stracił matkę, ale nigdy w życiu nie pocieszała go żadna kobieta o kruczoczarnych włosach. Pomyślał, co prawda, o Elenie, gdy Luna mówiła o kobiecie, która ze współczuciem patrzy na cierpiącego przez nią mężczyznę. Ale nie mogło chodzić o Wenecjankę, gdyż w widzeniu była mowa o dojrzałej kobiecie. Mimo że nie czuł związku pomiędzy swoim życiem a tą historią, był wstrząśnięty, wytrącony z równowagi i czuł pustkę. Najgłębsze zakamarki jego duszy zostały poruszone, choć nie umiał powiedzieć dlaczego. Siedział więc nieruchomo, niezdolny do jakiegokolwiek myśli, do wypowiedzenia słowa. Luna ponownie przerwała milczenie.

- Po raz pierwszy widziałam tak dużo naraz i w takim chaosie. Nie wiem, kim jesteś, ale nie wyglądasz mi na mężczyznę, którego widziałam we wnętrznościach zająca. Tamten nie był zwykłym zabójcą. Czułam, że jest niezwykle wpływowym, wykształconym człowiekiem. Ty wyglądasz raczej na wieśniaka.

- Rzeczywiście, jestem tylko zwykłym chłopem - odezwał się Giovanni, uspokajając się pod wpływem własnego głosu. - Tak jak ty nic z tego nie rozumiem.

Podniósł się powoli.

- Jestem wyczerpany. Ten szalony dzień, straszne wizje i wino przyprawiły mnie o zawrót głowy. Potrzebuję snu.

- Wejdz do chatki. Będzie ci wygodnie, a rankiem nie zbudzi cię osiadająca na trawie rosa. Mnie za bardzo wygłodzili ci otepcy. Nie zrezygnuję z dziczyzny. Przyjdę do ciebie później... i nie lękaj się, naprawdę nie jestem niebezpieczną czarownicą.

Giovanni nie znalazł w sobie nawet tyle siły, żeby się uśmiechnąć. Nie myślał o niczym. Z trudem wspiął się po sznurkowej drabince i wyciągnął w kącie nadrzewnej chatynki. Wkrótce zapadł w sen.

W środku nocy zakwilił jakiś dziwny ptak. Minęło kilka chwil, zanim Giovanni doszedł do siebie.

Tuż obok, wtulona w niego, spała młoda kobieta. Zaintrygowany, pogłaskał jej oświetloną światłem księżyca twarz. Nagle aż podskoczył.

- Elena!

Ależ tak, Elena! Była przy nim, wtulała się w niego. Spała spokojnie, obejmując go ramieniem.

Mimo że wydawało się to zupełnie niemożliwe, Giovanni nie miał najmniejszej wątpliwości.

Tak, to Elena. Był oczarowany urokiem jej wielkich, zamkniętych oczu, miękkością skóry, piżmowym zapachem włosów.

Poczuł nieodpartą chęć przytknąć usta do jej ust.

W tym momencie dziewczyna uchyliła powieki.

Giovanni spoglądał w jej wpółotwarte oczy.

Jego usta coraz bardziej zbliżały się do jej ust. Ich zdziwione spojrzenia z wolna wypełniły się czułością i pożądaniem. Giovanni miał właśnie przerwać czar cudownej ciszy, by zadać jej pytanie, skąd się tu wzięła, ale ona, najwyraźniej odczytując jego najskrytsze myśli, położyła mu palec na ustach. Potem pogładziła grzbietem dłoni jego świeży zarost, szyję i nagi tors. Zawahała się chwilę na wysokości klatki piersiowej, po czym zawróciła i pogładziła dłonią drugą stronę jego twarzy, wędrując wzdłuż szyi, policzka, odnajdując linię włosów, w których natychmiast zanurzyła palec.

Giovanni stracił panowanie nad sobą. Był jak zaczarowany i rozkoszował się pieszczotami dziewczyny jak niebiańskim nektarem.

Przyciągnęła jego twarz do swojej. Giovanni widział, jak ich spojrzenia zlewają się ze sobą, a usta stają się coraz bliższe i bliższe, aż poczuły nawzajem swój smak. Kobieta przylgnęła do niego, otaczając go pełnymi pożądania ramionami. Delikatnie gładziła wciąż jeszcze świeże blizny na jego plecach, a jej pieszczoty przynosiły mu większą ulgę niż najbardziej wyszukany balsam.

Poczuła jego pożądanie. Nagłym ruchem, który zaskoczył Giovanniego, przekreśliła się, siadając na nim. Przesunęła dłoń w stronę jego rozpalonego członka. Chwyliła go, wprowadzając do swego aksamitnego wnętrza. Instynktowny, niemal dziki ruch bioder zawładnął całym jej ciałem. Wydawała urywane jęki. Pochyliła się nad nim, a on zadrżał, czując na skórze dotyk jej zwichrzonych włosów, falujących w rytm szalonego tańca lędźwi.

Pijany ze szczęścia, objął dłońmi jej drżące piersi. Pieścił je z namaszczeniem. Rozkosz była tak silna, że stracił przytomność.

Kiedy doszedł do siebie...?

Kobieta leżała przy nim nago, zwinięta w kłębek, z twarzą wtuloną w jego ramię. Białe światło świtu wślizgnęło się do chatki.

Nagle ciężkie spojrzenie Giovanniego zatrzymało się na rudych włosach kochanki.

- Luna! - krzyknął, zrywając się gwałtownie. Kobieta spała jeszcze, a na jej twarzy malował

się ślad zmysłowej rozkoszy. Giovanni cofnął się.

- Dałem się zwieść czarownicy! - warknął. Drżąc ze strachu i wściekłości, zebrał ubranie i czym prędzej zsunął się po sznurkowej drabince. W biegu założył koszulę i spodnie, obuł dziurawe buty, jedną ręką chwycił skradziony żołnierzowi miecz, drugą buklak z koziej skóry i rzucił się do ucieczki.

II

Mercurius

21

Godzinami, niczym zły duch, błądził po lesie. Był tak rozgorączkowany, że nie potrafił zebrać myśli. Biegł i biegł, mając tylko jeden cel: uciec od kobiety, która rzuciła na niego urok. W końcu udało mu się wyjść z lasu. Usiadł przy drodze, odpoczął nieco i napełnił buklak źródlaną wodą. Potem powędrował na północ: w stronę Wenecji, w stronę Eleny.

Wędrując, powoli zbierał myśli.

Z jednej strony był wściekły na Lunę za to, że przybrała postać Eleny, by go zdobyć. Z drugiej strony był zakłopotany, iż miłość z nieznaną przyniosła mu tak niezwykłą pełnię rozkoszy. Czuł się winny, na próżno powtarzając sobie, że jego serce i ciało wciąż należały tylko do ukochanej.

Gdy słońce skryło się za horyzontem, przysiadł pod wielkim dębem rosnącym przy drodze. Mimo że od ponad piętnasta godzin wędrował gościńcem, który bez przerwy to wznosił się, to opadał, nie mógł nic przełknąć. Jego żołądek był ściśnięty pod wpływem wydarzeń minionej nocy. Gdy próbował zasnąć, przypomniała mu się przepowiednia czarownicy: „Wszystko, co mi wywróżyła, wydaje się nie mieć związku z moim życiem, pomyślał. Ale czyż od jakiegoś czasu nie stało się ono co najmniej dziwne? Kto wie, co jeszcze może się zdarzyć. Czy to możliwe, bym stał się zabójcą? Nie! Nie mogę w to uwierzyć! Wystarczy nie chcieć. Jednak jeśli istnieje wola silniejsza od mojej, która popchnie mnie na drogę od dawna już wyznaczoną? Czy można uniknąć tego, co czarownica nazwała „przeznaczeniem”? W końcu Giovanni zasnął. W jego snach mdły zapach krwi mieszał się z upojnym zapachem skóry Luny.

- Co ci się śniło?

Giovanni wzdrygnął się. Słońce wznosiło się nad horyzontem. Przed Giovannim stał brodaty olbrzym i śmiał się gromko.

- Aleś się wiercił przez sen! Jęczałeś na przemian jak zarzynany baran i jak dorodna, pokrywana jałówka!

- Kim jesteś, panie? - zapytał Giovanni niepewnie, kładąc dłoń na pochwie miecza.

- Nie lękaj się. Nazywam się Pietro. Jestem sługą człowieka, który mieszka w leśnym

domku niedaleko.

Olbrzym wyciągnął do Giovanniego rękę, by pomóc mu wstać. Chłopak zawahał się, ale serce mówiło mu, że może być spokojny. Uścisnął ogromną, włóchatą dłoń i stanął na równe nogi.

- Mam na imię Giovanni. Co robicie o tak wczesnej porze?

- Wracam z miasta. Wczoraj wyruszyłem w drogę i z nadejściem nocy zatrzymałem się w leżącym nieopodal miasteczku Ostuni.

Wskazał ręką oparty o drzewo kosz.

- Niosę mojemu panu żywność i inne niezbędne zakupy. Jeśli jesteś głodny, możesz zjeść z nami śniadanie.

Giovanni poczuł burczenie w żołądku. Przyjął zaproszenie olbrzyma i poszedł za nim ścieżką zagłębiającą się w las. Po kilku minutach marszu wśród dębów, buków i kasztanowców wyszli na polanę zalaną promieniami porannego słońca. Na środku polany stała mała, drewniana chatka.

- Zbudowałem ją własnymi rękami! - wykrzyknął Pietro, widząc malujące się w oczach Giovanniego zaskoczenie. Budowa zajęła mi kilka miesięcy, ale dom przeżyje nas o kilkadziesiąt lat.

- Po co budować dom w takiej samotni?

- Bo prosił o to mój pan - odpowiedział nieco ubawiony mężczyzna.

- A kim jest wasz pan?

- Wkrótce się przekonasz.

Olbrzym wszedł do domu, z którego wyłonił się kilka chwil później.

- Wejdziesz, chłopcze. Mój pan zaprasza cię na wspólny posiłek. Giovanni niepewnym krokiem przekroczył próg domu. Znalazł się w dużej izbie z dwoma oknami.

Stanął jak wryty. Ściany pomieszczenia były całkowicie pokryte... książkami.

- To... to są książki? - zapytał, wytrzeszczając oczy.

W kącie izby, w wygodnym fotelu, siedział starszy mężczyzna. Wyglądał na słabowitego, a nad jego wysokim czołem srebrzyła się korona siwych włosów. Był pogrążony w lekturze. Podniósł wzrok i spojrzał na Giovanniego przeszywająco.

- Widziałeś już książki?

Tak, ale nigdy aż tyle - wyszeptał Giovanni, wstrzymując oddech. - A umiesz czytać?

- Trochę. Jestem zwykłym wieśniakiem, ale proboszcz z mojej parafii nauczył mnie czytać po łacinie z księgi liturgicznej.

- No, no, no - mruknął wyraźnie zaintrygowany starzec. - A czytałeś też inne dzieła?

- Niestety, nie! Ale bardzo bym chciał!

Mężczyzna powoli wstał, podając Giovanniemu trzymaną w rękach księgę. Chłopak stał bez

słowa, wpatrując się w księgę oprawioną w piękną brązową skórę.

- Jak się nazywasz?

- Giovanni... Giovanni Tratore.

- A zatem, przyjacielu, spróbuj. I powiedz, czy coś z tego rozumiesz.

Giovanni ujął w dłoń bezcenny przedmiot, pogładził oprawę, otworzył ostrożnie książkę i powąchał jej karty.

- Jak pięknie pachnie!

- Tak właśnie należy brać do rąk książkę! - wykrzyknął radośnie starzec. - Powiedz nam teraz, co jest w środku. Czy umiesz przeczytać nazwisko autora i tytuł dzieła?

Giovanni otworzył książkę, zatrzymując się na pierwszej stronie. Przyglądał się jej przez chwilę. Na szczęście widniejący na niej tekst był napisany po łacinie.

- Desiderius Erasmus Roterodamus.

- Bravo! - krzyknął wyraźnie uradowany starzec. - A jak to będzie w naszym pięknym języku?

- Autor nazywa się Erazm z Rotterdamu, jak sądzę, a tytuł dzieła...

Giovanni zawahał się chwilę, ponieważ zdanie, które przeczytał wydało mu się bezsensowne. Jednak nie wiedział, jak przetłumaczyć inaczej niż:

- *Pochwała głupoty...*?

- Otóż to!

- Ale co to znaczy? Jak można chwalić jedną z najgorszych ludzkich przywar?

Starzec przymrużył oczy. Chłopak, którego znał od niespełna pięciu minut, wyraźnie mu się podobał. Mimo chłopskiego po chodzenia nauczył się czytać i właśnie dawał dowód prawdziwej, intelektualnej dociekliwości.

- Na tym polega smaczek tytułu tego dzieła! Mężczyzna chwycił Giovanniego za rękę i posadził przy sobie.

- Nigdy nie słyszałeś o Erazmie, prawda?

- Prawda.

- A czy domyślasz się, czym jest filozofia?

- Niezupełnie. Ja...

- Otrzymałeś kościelne wychowanie? - pytał dalej starzec z powątpiewaniem.

- Proboszcz nauczał nas podstaw wiary chrześcijańskiej, a czytając mszał, dowiedziałem się wiele o Naszym Panu, Jezusie Chrystusie. Ale nie wszystko rozumiem.

Starzec przejechał dłonią po częściowo wyłysiałej głowie. Oceniał przepaść między głodem wiedzy chłopca a jego minimalnym wykształceniem.

Miał już skończyć ten dyskurs, gdy Giovanni zapytał:

- Nie wytłumaczyliście mi panie, kto to jest Erazm i jakim cudem można wychwalać głupotę.

- Widzę, że rozumując nie tracisz wątku. To dobrze! Nie starczy nam dnia, by wyczerpać ten temat, ale przynajmniej wyjaśnię ci to i owo.

Erazm jest moim przyjacielem. To holenderski duchowny, filozof - to znaczy ten, który miłuje mądrość. Podróżował po Europie, poświęcając większą część swojego żywota tłumaczeniu dzieł starożytnych filozofów. Jego podstawową troską jest pogodzenie Pisma Świętego i starożytnej filozofii. Niektórzy ludzie Kościoła, jak zapewne się orientujesz, odrzucają myśl starożytnych, zarzucając jej, że nie pochodzi od Boga. Filozofowie z kolei ufają tylko rozumowi ludzkiemu i odrzucają dogmat o natchnionym charakterze Pisma. Erazm próbuje pogodzić obydwie punkty widzenia. Jego zdaniem rozum nie jest sprzeczny z wiarą i zawartością Pisma Świętego. Rozumiesz?

- Niezupełnie - pokornie wyznał Giovanni. - To wszystko jest dla mnie nowe. Ale o co chodzi w tytule dzieła?

- Erazm ośmiesza w nim obyczaje panujące w naszej epoce.

Zwłaszcza obyczaje książąt i kleru. Ponieważ atakuje Kościół i możnych tego świata, przybiera ton satyryczny i wprowadza na scenę postać Głupoty.

Mężczyzna przerwał i podał Giovanniemu książkę. Zobacz sam. Otwórz na dowolnej stronie i czytaj!

Giovanni ponownie wziął książkę do rąk i otworzył ją na chybił trafił-

Następnie wsadził nos w wydrukowane linijki i powoli przeczytał:

Władcy, dalej, przy całej swej szczęśliwości pod tym względem wydają mi się okrutnie upośledzeni, że nie masz nikogo, od kogo by mogli prawdę usłyszeć, i że pochlebców muszą mieć za przyjaciół. Ależ bo - może tu ktoś powiedzieć - uszy władców wzdrygają się na prawdę i to właśnie z tej przyczyny unikają oni owych mędrców, iż boją się, by przypadkiem nie było wśród nich kogoś odważniejszego, kto by się odważył mówić rzeczy raczej prawdziwe niż przyjemne. I tak to rzeczywiście jest, że prawda królom jest nienawistna *.* Erazm z Rotterdamu, *Pochwała głupoty*. Przekład Edwina Jędrkiewicza, Ossolineum, Wrocław, 1953, wyd. I, str. 70.

- Świetnie czytasz po łacinie, mój chłopcze - przerwał zdziwiony starzec. - Kontynuuj, proszę.

Uspokojony i zachęcony dobrą oceną Giovanni przerzucił kilka stron i podjął lekturę. W kolejnym rozdziale Erazm natrząsał się z filozofów:

Ale choć w ogóle niczego nie wiedzą, to jednak twierdzą, że wiedzą wszystko, i choć sami siebie nie znają i nieraz nie widzą na drodze przed sobą rowu ani kamienia, czy to dlatego, że często oczy mają kaprawe, czy też tacy są nieprzytomni, to jednak głoszą, że widzą idee,

uniwersalia, „*oddzielne postacie*”, „*pierwsze substancje*”, „*kwiddytety*”... **.** Ibid., str. 106.

Uczony wybuchnął śmiechem.

- To nas tak ośmiesza, ale ma rację! Ależ cięty język! Ale nie przestawaj, dobrze ci idzie. Przeczytaj nam jeszcze fragment. Kiedy się słucha, tekst wydaje się jeszcze lepszy, a ty radzisz sobie całkiem nieźle.

Giovanni ponownie utkwiał wzrok w lekturze i przeczytał linijki dotyczące pytań stawianych przez teologów:

Czy Bóg mógłby przyjąć postać kobiety albo diabła, albo osła, albo dyni, albo kamienia? Gdyby zaś, to w jaki sposób jako dynia wygłaszałby kazania, czyniłby cuda, zostałby ukrzyżowany?

Tym razem śmiech olbrzyma zawtórował śmiechowi starca, który aż się zachłysnął. Giovanni był wniebowzięty. Nie tylko przeczytał prawie bez zająknięcia, ale w dodatku rozśmieszył swoich gospodarzy.

- Jest dokładnie tak, niestety! - powiedział staruszek. - Pójdź, chłopcze, sprawiłeś mi ogromną radość, a te mądre słowa zaostrzyły mój apetyt. Nasze dania nie mogą się równać z posiłkami kleru, ale będę ci wielce rad, jeśli zechcesz przyjąć nasze zaproszenie...

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do swego sługi.

- Pietro, przygotuj nam ucztę.

- Nie wiem jak mam dziękować za gościnę - wydukał nadal jeszcze zmęczony lekturą Giovanni. - Nie śmiem pytać, kim jesteście, panie. To zupełnie niesamowite spotkać w lesie, daleko od miasta, samotnego mędrca, który posiada tak wiele książek i w dodatku jest przyjacielem sławnego pisarza...

Z zadowolenia starzec aż przymrużył oczy. Co prawda dawno temu zdecydował się na życie w samotności, ale rozmowa z tym dociekliwym młodym człowiekiem sprawiała mu przyjemność.

- Prawie całe życie spędziłem w pięknej Florencji. Znasz ją?

- Pochodzę z maleńkiej kalabryjskiej wioski i znam tylko wieś i kilka miścin, przez które przeszedłem po drodze.

- A dokąd się wybierasz, chłopcze?

- Do Wenecji.

- Do Wenecji! Ale dlaczego idziesz przez Abruzję? Mogłeś przecież wybrać drogę wzdłuż wybrzeża albo, jeszcze lepiej, popłynąć statkiem.

- Wiem, panie... ale nie chciałem działać zbyt pochopnie.

Starzec zapłonął ciekawością. Kim był i czego szukał ten młody wieśniak? Jego rozmyślenia przerwał sługa, oznajmiając, że śniadanie gotowe.

Kiedy przeszli do drugiej izby i zasiedli do stołu, Giovanni podjął przerwana rozmowę.

Czy mogę zapytać, panie, co robiliście we Florencji i dlaczego opuściliście to wielkie

miasto, ukrywając się tutaj?

Starzec wybuchnął śmiechem.

- Dobrze to ująłeś, chłopcze. Rzeczywiście ukrywam się tutaj!

Tak jak Erazm jestem filozofem i wydałem kiedyś drukiem broszurkę, która nie spodobała się władzom świeckim i duchownym. Zostałem skazany na banicję i wraz z Pietro, moim wiernym sługą, opuściłem miasto, zabierając ze sobą wszystkie książki, które zdołałem wywieźć.

Od tamtej pory wiele się zmieniło i mógłbym już wrócić do Florencji... ale spodobało mi się w tej pustelni. Mogę tu w pełni oddawać się nauce i nie muszę brać udziału w życiu towarzyskim, które nudzi mnie!

- A co studiujecie, panie? - zapytał Giovanni z wyrazem ciekawości w oczach.

- Wszystko! Interesuję się naukami przyrodniczymi, medycyną teologią, filozofią, poezją, ruchem planet, świętymi pismami... Widzisz, w ciągu ostatniego stulecia, dzięki odkryciu starożytnych myślicieli greckich i rzymskich, nasza stara chrześcijańska cywilizacja nieco odmłodziła.

Oczywiście myśl wielkich filozofów, takich jak Platon czy Arystoteles, była znana także wcześniej, ale trafiała do nas za pośrednictwem Arabów i bardzo często nie posiadaliśmy oryginalnych greckich tekstów. Natomiast około stu lat temu, za sprawą teologów bizantyńskich, greckie rękopisy wielkiego Platona dotarły także i do nas. W roku Pańskim 1439 papież Eugeniusz IV zwołał w mojej rodzinnej Florencji ekumeniczny sobór, na którym zawarto unię Kościołów katolickiego i prawosławnego. Mimo ostatecznej klęski soboru * w Toscanii osiedliło się wielu greckich myślicieli. Pod egidą świątłego Kośmy Medyceusza założona została nowa akademia**, na wzór słynnej szkoły Platońskiej. * Zerwanie wspólnoty „ekumenicznej” i ogłoszenie autokefalii, czyli niezależności krajowych kościołów, nastąpiło w 1448 roku.

** Mowa o Akademii Platońskiej założonej w 1459 przez Marsilio Ficino.

Kosma powierzył kierowanie Akademią osobie, która stała się moim nauczycielem: Marsiliowi Ficinowi. Słyszałeś już kiedyś to nazwisko?

- Niestety, nie - przyznał Giovanni, zawstydzony własną ignorancją.

- Po raz pierwszy spotkałem go w tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym roku. Skończyłem wtedy siedemnaście lat. On miał czterdzieści cztery i był u szczytu sławy.

Na podstawie tej cennej informacji Giovanni obliczył, że filozof ma siedemdziesiąt trzy lata.

Mężczyzna podjął opowieść. Jego wzrok stawał się coraz bardziej roziskrzony.

- Ależ to były cudowne lata! Akademia, którą kierował Ficino i wspierał sam Wawrzyniec Wspaniały - wnuk Kośmy - stała się błyskotliwym ośrodkiem naukowym, w którym przywracaliśmy do życia zapomniane skarby starożytności. Postanowiłem poświęcić się filozofii. Nauczyłem się greki, stając się jednym z najbliższych współpracowników Marsilia. Uczestniczyłem w tłumaczeniu wył danych drukiem w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku *Dialogów*

Platona, a także *Enead* Plotyna, które ukazały się dwa lata później.

Staruszek przerwał. Przywołane wspomnienia wyraźnie go wzruszyły, a jego wzrok zdawał się widzieć obrazy z tamtych lat. Korzystając z chwili przerwy, Giovanni spytał nieśmiało:

- Kim jest Plotyn?

- Ach, Plotyn! To niezwykle błyskotliwy umysł! - podjął przejęty starzec. - Ten wielki miłośnik Platona żył w Aleksandrii i w Rzymie w trzecim wieku naszej ery. Udał się także w długą podróż do Indii, która wywarła na nim ogromne wrażenie. Jego dzieło jest swoistą syntezą myśli starożytnej i jego własnych mistycznych spotkań z Bogiem, któremu nadał miano absolutu. Tłumacząc Plotyna, zaprzyjaźniłem się z człowiekiem dziesięć lat młodszym ode mnie, niezwykle inteligentnym, Giovannim Pico della Mirandola. Ów zaledwie dwudziestotrzyletni młodzieniec, obdarzony najwybitniejszym umysłem, jaki kiedykolwiek poznałem, powziął zamiar zorganizowania w Rzymie, na swój koszt, spotkania mędrców świata chrześcijańskiego. Podczas zjazdu miały być omawiane wydane właśnie drukiem tezy Pica, obejmujące wszystkie wielkie kwestie filozoficzne i religijne.

Jednak papież odrzucił siedem spośród dziewięciuset tez. Pico zawziął się i w odpowiedzi opublikował kolejne dzieła. Konflikt z papieżem spowodował, że Mirandola musiał zrezygnować ze swojego projektu i uciekł do Francji, gdzie został zatrzymany i aresztowany. Dzięki interwencji Wawrzyńca Medyceusza zwolniono go i wydano naszemu miastu, gdzie powitaliśmy go z otwartymi ramionami. W ten oto sposób spotykałem go niemal codziennie w ciągu ostatnich lat jego nader krótkiej egzystencji. Zmarł w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym czwartym roku, zaledwie rok po oczyszczeniu z zarzutu herezji: tego samego dnia, gdy wojska Franciszka Pierwszego wkroczyły do Florencji.

Filozof zakończył opowieść, patrząc słuchaczowi prosto w oczy. Następnie odwrócił wzrok i wyszeptał:

- Ale to już zupełnie inna historia, a moje wspomnienia wciągają mnie coraz dalej. Chciałem ci tylko powiedzieć, że próbuję podążać drogą wytyczoną przez moich nauczycieli: Ficina i Pica della Mirandole, których celem było zdobycie uniwersalnej wiedzy: bez uprzedzeń, bez barier językowych czy religijnych.

Giovanni był oszołomiony, wręcz ogłuszony tym, co usłyszał. Opatrzność postawiła na jego drodze mędrca obdarzonego „uniwersalną wiedzą”. Nie wierzył własnym uszom.

- Coś nie masz apetytu - zauważył Pietro, spoglądając na nietknięty ser, chleb i plaster słoniny leżące na talerzu młodego człowieka.

- Wręcz przeciwnie, jestem bardzo głodny! Ale jestem też bardzo wzruszony spotkaniem kogoś tak wybitnego jak wy, panie...

- Mów do mnie Mistrzu Lucjuszu. Tak nazywa mnie Pietro. Tak też nazywali mnie moi

dawni uczniowie w Akademii.

Giovanniemu przemknęło przez myśl, że sam bardzo pragnąłby pobierać nauki w takim miejscu. Potem pomyślał, że oto ma przed sobą mistrza, który może mu przekazać całą swoją wiedzę.

Musi tu zostać. Tak długo, jak będzie to konieczne, by zasiać w jego umyśle ziarna wiedzy i przekształcić go w kwitnący ogród. Tak, był tego zupełnie pewny. Oto wspaniała okazja, by zbliżyć się do Eleny. Ale jak sprawić, by mędrzec i jego cerber pozwolili mu zostać?

22

Do końca posiłku Mistrz Lucjusz przepytywał Giovanniego. Chłopak odpowiadał szczerze i opowiedział mu swoją historię. Ominął jedynie wydarzenia z ostatnich dwóch dni, obawiając się, że filozof mu nie uwierzy i czym prędzej go przepędzi.

Starzec był niezwykle poruszony inteligencją i czystością serca Giovanniego. Słuchając jego opowieści, zapragnął przekazać swoją wiedzę temu młodemu, nieskażonemu żadnym wykształceniem umysłowi. Fakt, iż chłopiec względnie znał łacinę - nawet jeśli trzeba będzie nad nią popracować - znacznie ułatwiał zadanie. Filozof zastanawiał się, czy to opatrność zesłała mu ucznia, by teraz, u schyłku swojego życia, mógł mu przekazać esencję swojej wiedzy i filozofii. Postanowił poczekać trochę, bacznie obserwując charakter Giovanniego oraz jego wytrwałość i motywację do nauki.

Po zakończeniu posiłku zapytał go, czy zechciałby zostać z nimi kilka dni. Giovanni był tak szczęśliwy, że wykrzyknął:

- Kilka tygodni, a nawet kilka miesięcy, jeśli taka będzie wasza wola, panie!

- A Elena? Pamiętaj, że opuściłeś rodzinę i wiesz po to, by odnaleźć tę uroczą osóbkę, a nie po to, by zamieszkać z gderliwym starcem! - zażartował Mistrz Lucjusz uradowany entuzjazmem chłopca.

Następnie polecił swojego gościa opiece Pietra, z prośbą by ten pokazał mu dom i objaśnił panujące w nim zwyczaje. Pietro poprosił Giovanniego, by poszedł z nim do lasu po drewno.

- Miałem rację, sprowadzając cię tutaj. Wydaje mi się, że podobasz się mojemu panu - powiedział, zbierając chrust.

- Nie wiem, ale jestem bardzo szczęśliwy, że zaproponował mi, bym z wami został. Nigdy nie zdołam ci się odwdziaczyć za to, że przyprowadziłeś mnie do niego. Co za niezwykły człowiek!

Jest bardziej niezwykły, niż myślisz. To wielki mędrzec. Zna grekę, łacinę i sześć języków nowożytnych, nie licząc włoskiego. Ale przede wszystkim jest wybitnym filozofem i astrologiem znanym w całym nowożytnym świecie!

Giovanni nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, czym jest astrologia....

- A ty - zapytał, pospiesznie zmieniając temat - od zawsze jesteś w służbie Mistrza

Lucjusza? Nigdy nie byłeś żonaty?

- Nigdy! Owszem, kiedy mieszkaliśmy we Florencji lub gdy towarzyszyłem mojemu panu w podróży, przeżyłem kilka uroczych przygód. Ale tak jak on nie miałem chęci do żeniaczki i wychowywania dzieci. A poza tym, z wiekiem, prawie mi przeszła ochota na kobitki.

- A studiujesz razem z twoim panem?

- Niezupełnie, ale słyszałem to i owo, bo rozmawia ze mną na różne tematy, albo przysłuchuję się jego rozmowom z odwiedzającymi nas z rzadka gośćmi. Już od ponad trzydziestu lat jestem u niego na służbie, a niedługo minie trzynaście od czasu, gdy osiedliśmy tutaj. Ale w przeciwieństwie do ciebie nie znam łaciny. Dla mnie broń jest tym, czym dla mojego pana są książki!

- Broń? - zapytał Giovanni ze zdziwieniem. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Byłem nauczycielem fechtunku u pewnego florenckiego szlachcica, Signora Galfao. W wieku dziesięciu lat zacząłem się uczyć władania mieczem, kuszą, nożem i piką. Potem stałem się dowódcą jego straży przybocznej i nauczyłem wielu ludzi władania bronią.

- Dlaczego opuściłeś tego pana i przeszedłeś na służbę do Mistrza Lucjusza?

- Z powodu kobiety!

Giovanni spojrzał na olbrzyma ze zdziwieniem. Pietro dokończył z uśmiechem na ustach:

- Zrobiłem z niego rogakza! Wypędził mnie i później już żaden szlachcic nie chciał mnie przyjąć na służbę z obawy, by mu się nie narazić. Chciałem opuścić miasto i zaciągnąć się jako najemnik, ale ostatecznie stałem się „strażą przyboczną” Mistrza Lucjusza, który był wówczas bardzo znany we Florencji. Grożono mu ze względu na poglądy polityczne i religijne. Kiedy skazano go na banicję, stałem się jego towarzyszem i pomocnikiem. I oto, dobiegając sześćdziesiątki, nadal tu jestem!

Giovanniemu przyszła do głowy niezwykła myśl.

- Czy nadal umiesz władać bronią?

- Oczywiście! Mam dosyć oręża, żeby uzbroić regiment! Poza tym od czasu do czasu muszę przepędzać bandytów snujących się wokół domu.

- Jeśli zostanę, czy zechciałbyś wprowadzić mnie w tajniki władania bronią, na przykład mieczem lub nożem?

Pietro wyprostował się powoli i opierając ręce na potężnych biodrach, zmierzył Giovanniego wzrokiem.

- Z największą radością, mój chłopcze!

Kolejne dni Giovanni spędził, błogosławiąc niebo za to spotkanie, dzięki któremu niemal zapomniał o tamtym niepokojącym spotkaniu z Luną. Z wielkim zaangażowaniem pomagał Piętrovi w rozmaitych pracach domowych, regularnie studiował łacinę i w niecałe dwa dni połknął

łacińskie tłumaczenie *Encheiridionu* Epikteta. Zaczął też pobierać u Pietra lekcje fechtunku.

Uwielbiał ową przemienność ćwiczeń fizycznych i intelektualnych i bardzo był rad towarzystwu obu tak bardzo różniących się od siebie mężczyzn. O ile Pietro był raczej jowialnym niedźwiedziem, o tyle Mistrz Lucjusz okazał się bardzo surowym nauczycielem, skłonny do napadów tyleż gwałtownej, co krótkotrwałej złości.

Ale Giovanni, wdzięczny za wspaniałomyślność, z jaką Mistrz Lucjusz go nauczał, nie zrażał się.

Chwila prawdy nadeszła w ósmym dniu pobytu chłopca w domu filozofa.

Mistrz Lucjusz wezwał go do siebie zaraz po śniadaniu. Miał niezwykle poważną minę. Niemal uroczystym tonem poprosił Giovanniego, by zajął miejsce na taborecie naprzeciw niego.

- Mój chłopcze - rozpoczął nieco łagodniej - od tygodnia mieszkasz z nami i, zgodnie z twoim życzeniem, pobierasz nauki u mnie i u Pietra. Jak widzisz swoją dalszą przyszłość?

Giovanni zastanowił się chwilę, po czym pewnym głosem odpowiedział:

- Mistrzu, z całego serca pragnę zostać z wami i kontynuować naukę.

- Doskonale, ale czy zdajesz sobie sprawę z tego, co to znaczy?

Nieco zbity z tropu Giovanni odpowiedział:

- Uczyć się pilnie, pracować bez wytchnienia...

- Oczywiście, ale jest to zobowiązanie długoterminowe. W żadnym razie nie zamierzam przekazywać mojej wiedzy jakiemuś pozbawionemu charakteru lekkoduchowi, który - kiedy mu się zachce - odejdzie jeść chleb gdzie indziej, podczas gdy u mnie zdąży zebrać co dorodniejsze kłosa. Wiedz, że podejmujesz trudną i daleką drogę - Studia mogą zająć dobre kilka lat, nawet jeśli poświęcisz się im całkowicie. Jeśli chciałbyś tu zostać na kilka tygodni czy miesięcy, lepiej od razu odejść swoją drogą i odszukać Elenę jak najszybciej.

Słowa mędrca zapadły głęboko w serce Giovanniego. Sprawily, że chłopiec zdał sobie sprawę ze swojego wewnętrznego rozdarcia i stanął przed koniecznością dokonania trudnego wyboru. Od zawsze chciał osiąść wiedzę i pragnienie to było dla niego celem samym w sobie. Z drugiej strony chęć odnalezienia Eleny i zdobycia jej serca były dla niego najważniejsze, a studia były najlepszym środkiem prowadzącym do upragnionego celu. Innymi słowy, Giovanni nie był zdolny zaryzykować utraty Eleny tylko dlatego żeby rozwijać swój umysł. Tymczasem mistrz jednoznacznie dawał mu do zrozumienia, że nie może stawiać miłości do kobiety ponad studiami. Musi podjąć naukę bezinteresownie i bezwarunkowo, angażując się całym sobą: duszą i ciałem, z pełną świadomością, że nauka może potrwać nawet wiele lat. Czy wystarczy mu cierpliwości, by odwlec moment spotkania z ukochaną? I czy ona jeszcze będzie wolna, kiedy już ją odnajdzie? Musiał podjąć olbrzymie ryzyko. Jeszcze tydzień temu z całą pewnością by się na to nie zdecydował, ale dziś, kiedy już zaznał słodyczy i szczęścia studiowania, było mu bardzo trudno

dokonać wyboru.

- Ile czasu będę musiał z wami zostać, panie? - zapytał w końcu filozofa, który na te słowa potarł brodę.

- Trudno mi to dziś ocenić. To zależy od twoich zdolności i zaangażowania. Ale przyjmijmy, że nie jest możliwe, byś został ze mną krócej niż... na trzy lata.

Trzy lata, pomyślał Giovanni, wzdrygając się. Trzy lata z dala od Eleny! To przerastało jego siły. Poprosił o czas do namysłu. Mistrz zgodził się poczekać na odpowiedź do następnego ranka.

Giovanni spędził dzień i noc na rozważaniu obydwu ewentualności. Każdy z wyborów wymagał ogromnych wyrzeczeń.

O wschodzie słońca młodzieniec był wyczerpany wewnętrzną walką. Ale podjął decyzję.

Jak wszyscy, którzy stają przed koniecznością dokonania wyboru, czuł się teraz lekko. Zrozumiał, że dzięki Mistrzowi Lucjuszowi i Piętrowi, ma możliwość stać się mężczyzną: silnym, zdolnym do walki, gotowym bronić siebie i innych przed napaścią bandytów i maruderów, dojrzałym pod względem etycznym i intelektualnym zdolnym zrozumieć siebie i świat. Nawet ryzykując utratę Eleny, nie mógł przegapić tej okazji.

Wiedział, że jeśli Elena nadal będzie wolna, jego szanse wzrosną dziesięciokrotnie.

Wyszedł na spotkanie z Mistrzem Lucjuszem, który właśnie podlewał ogródek.

- Mistrzu - zaczął ponuro. - Podjąłem decyzję: zostaję z wami na czas, który uznacie za stosowny.

23

Kolejne miesiące były najbardziej zachwycającym czasem w jego młodym życiu.

Dzięki codziennym ćwiczeniom pod czujnym okiem Pietra Giovanni zaczął inaczej odczuwać swoje ciało. Jego mięśnie nabrały sprężystości, a ćwiczenia we władaniu mieczem przydały mu zręczności i zwinności.

Ale jeszcze bardziej odczuwał zmiany zachodzące w nim pod wpływem Mistrza.

Starzec postanowił nauczać Giovanniego kilku przedmiotów jednocześnie.

Lekcje łaciny były niezbędne, by młody student poznał język ludzi wykształconych i mógł samodzielnie czytać większość dzieł filozoficznych i religijnych.

Lekcje greki miały mu dać możliwość zapoznania się z myślą największych filozofów i czytania Ewangelii.

Lekcje filozofii nareszcie miały służyć nie tylko poznaniu etyki, nauk przyrodniczych i metafizyki, lecz także (i przede wszystkim) rozwijaniu umiejętności samodzielnego myślenia, zmysłu krytycznego i zdrowego rozsądku.

Bo dla Lucjusza „być filozofem” oznaczało, rzecz jasna, osiąść wiedzę, ale też rozumować i działać bez zakładania czegokolwiek *a priori*. Być filozofem, znaczyło żyć jak człowiek światły,

wolny i odpowiedzialny.

Tak jak jego przyjaciel Erazm był zdania, że filozofia nie stoi w sprzeczności z wiarą. Wręcz przeciwnie. Czyni wiarę dojrzałą, bardziej osobistą i bardziej krytyczną wobec instytucji czy dogmatów.

Jak jego holenderski przyjaciel Mistrz Lucjusz zarzucał współczesnym hierarchom porzucenie ideałów Ewangelii, które stanowiły przecież podwaliny założenia Kościoła. Filozof ostro krytykował bieżący stan rzeczy, gdyż był przepełniony miłością do Kościoła i pragnął powrotu do jego pierwotnej czystości i prostoty panującej wówczas, gdy Jezus przemawiał do swoich uczniów na drogach Judei i Galilei, nakłaniając, by zostawili wszystko i poszli za Nim. Tymczasem Kościół, a zwłaszcza Stolica Apostolska, stały się jednym z głównych miejsc skażonych korupcją i żądzą władzy, intrygami, wyuzdaniem seksualnym i kultem pieniądza.

Właśnie dlatego młody niemiecki mnich, Marcin Luter, zbuntował się przeciw hierarchii rzymskiej, żądając, między innymi, zaprzestania sprzedaży odpustów, czyli praktyki polegającej na obiecywaniu uwolnienia od mąk czyścicowych po śmierci w zamian za pieniądze. Tak jak Erazm, nawoływał Kościół do głębokiej i gruntownej odnowy obyczajów i powrotu do czystej nauki Chrystusowej. Prześiąknięty myślą humanistyczną Luter żądał także przetłumaczenia Biblii na języki narodowe, by umożliwić wiernym lekturę i wyrobienie własnej opinii na temat zasad ewangelicznych i rzymskiego dogmatu. Luter został ekskomunikowany w 1521 roku, dziesięć lat przed pojawieniem się Giovanniego w domu Lucjusza, ale idee reformatora, popierane przez niektórych władców, nadal rozprzestrzeniały się po północnej Europie.

W czasie wolnym od zajęć Mistrz Lucjusz rozmawiał ze swoim młodym uczniem na inne, budzące jego zainteresowanie tematy.

Wyjaśnił, że musiał opuścić Florencję kilka miesięcy po konflikcie Lutra z Kościołem, gdyż w małym dziele ostro skrytykował ekskomunikę mnicha z Wittenbergii.

Pewnego razu, pod koniec zimy, Giovanni zapytał swego nauczyciela, dlaczego, popierając przecież idee Lutra, nie przyłączył się do reformatorów.

- Z przyczyny filozoficznej i teologicznej zarazem - odpowiedział starzec. - Z powodu wolnej woli.

- Wolnej woli... - powtórzył pod nosem Giovanni. Kwestia przeznaczenia i wolności człowieka była jego obsesją.

Od czasu spotkania z czarownicą, która przepowiedziała mu przyszłość, zastanawiał się, czy człowiek może, dzięki swojej woli, zmienić bieg wydarzeń, czy też jego próby są skazane na niepowodzenie.

Ale czy przeznaczenie, rozumiane jako partytura napisana ręką Boga, rzeczywiście istnieje? A może na człowieka ma wpływ tylko miejsce urodzenia, język, wykształcenie, rodzina? Czy moc

wolnej woli człowieka nie polega na tym, iż podejmując trud nauki, może przezwyciężyć własne ograniczenia i przeżyć życie jako wolna istota? Czy uda się to osiągnąć jemu, Giovanniemu, który zdecydował się zostać z Mistrzem Lucjuszem zamiast wyruszyć w dalszą drogę do Wenecji? Wszystkie te myśli kłębiły się bez przerwy w głowie chłopca, który teraz, słysząc wzmiankę o wolnej woli, jeszcze bardziej nadstawił ucha.

Czekał cierpliwie na wyjaśnienie, co znaczy owa „wolna wola”, która nie pozwoliła nauczycielowi przyłączyć się do ruchu reformatorskiego. Giovanni pomyślał także, że oto nadarza się okazja, by zapytać Lucjusza o wolność i przeznaczenie człowieka.

Po dłuższej chwili milczenia filozof wstał z fotela, przeszedł na środek izby i poprosił Giovanniego, by pomógł mu odsunąć stół i krzesła. Następnie zwinął dywan. Zdumionym oczom chłopca ukazał się włącz do podziemi.

- Zobaczysz teraz moją sekretną bibliotekę - powiedział uradowany nauczyciel. - Otwórz włącz. Ja tymczasem pójdę po świecę.

Zeszli do maleńkiej piwniczki. Na prawo od schodów stała dość duża drewniana skrzynia. Starzec otworzył ją kluczem, który nosił na piersiach.

- Oto skarby mojej prywatnej biblioteki - powiedział, wskazując wypełniony słomą kufer, w którym znajdowało się około trzydziesta ksiąg.

- Obawiacie się bandytów, Mistrzu? - spytał Giovanni.

- Nie, książki nie interesują tutejszych złodziei. Ale obawiam się pożaru, który mógłby strawić te bliskie memu sercu dzieła. Tutaj są bezpieczne!

Mistrz Lucjusz odgarnął słomę. Oczom Giovanniego ukazały się księgi, z których jedna - gruba i pięknie oprawiona - przykuła jego wzrok.

- Jaka piękna książka! - wyszeptał Giovanni z zachwytem.

- Ach, zauważyłeś perłę mojego księgozbioru! Filozof wziął książkę do ręki i otworzył ją.

- To niezwykły okaz. Dzieło arabskiego astrologa, Al-Kindiego. Masz przed sobą jedyny egzemplarz napisany po łacinie. To księga niezwyklej wartości. Obawiam się jednak, że w tej norze po prostu zgnije - powiedział, po czym ostrożnie włożył ją na miejsce, wyjmując inną.

Zamknął skrzynię i, za niosącym światło Giovannim, wyszedł na górę. Chłopiec zamknął włącz, rozwinął dywan i ustawił na miejscu krzesła i stół. Filozof tymczasem sięgnął po jeszcze dwa dzieła z biblioteki.

- Proszę, mój chłopcze - powiedział, podając uczniowi trzy książki.

Giovanni przyjrzał się cennej zdobyczy. Pierwsza, niewielka książeczka, był to List świętego Pawła apostoła do Rzymian. Giovanni jeszcze go nie czytał. Drugą książką było krótkie dzieło Erazma zatytułowane *Diatribę sive Collatio de Libero arbitrio* - *Diatryba alboli teksty zebrane o wolnej woli*. Chłopiec miał w rękach pierwsze wydanie, które ukazało się w 1524 roku w

Bazyli, czyli od jego publikacji minęło zaledwie sześć lat. Ostatnią książką była wydana w 1525 roku rozprawa Lutra *De servo arbitrio - O niewolnej woli*. Wszystkie napisano po łacinie.

- Masz tutaj trzy podstawowe teksty traktujące o chrześcijańskiej koncepcji wolności człowieka. Spróbuję rzucić światło na nurtujący cię problem i wyjaśnić, z jakiego powodu nie przyłączyłem się do Lutra. Ale najpierw przeczytaj początek listu świętego Pawła. Bardzo lubię, gdy czytasz na głos!

Giovanni otworzył książeczkę i, pełen tremy, rozpoczął czytanie:

*Paweł, sługa Chrystusa Jezusa, z powołania apostoł, przeznaczony do głoszenia Ewangelii Bożej... **

* Rz 1.1 (Wszystkie cytaty biblijne pochodzą z Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, Biblii Tysiąclecia. Wydawnictwo Pallottinum, Poznań - Warszawa 1990, wydanie IV).

24

*...nam, którzy wierzymy w Tego, co wskrzesił z martwych Jezusa, Pana Naszego. On to został wydany za nasze grzechy i wskrzeszony z martwych dla naszego usprawiedliwienia **

- Przerwij tutaj - powiedział starzec. - Oto klucz do przybytku myśli paulińskiej. Abyś mógł ją pojąć i zrozumieć wpływ, jaki wywarła ta myśl na następne pokolenia oraz w jakim stopniu wpisała się w konflikt Erazma z Lutrem, powiem ci kilka słów o świętym Pawle, rzeczywistym założycielu religii chrześcijańskiej.

- Czyż to nie Jezus Chrystus, Nasz Pan, był twórcą religii naszej? - zdziwił się Giovanni.

Mistrz opowiedział Giovanniemu historię Szawła, mądrego i pobożnego Żyda, który nawrócił się na chrześcijaństwo, przyjął imię Paweł i stał się najbardziej zagorzałym głosicielem Ewangelii, czyli „Dobrej Nowiny” Chrystusa, Syna Bożego, który zmarł i zmartwychwstał dla naszego Zbawienia. Bowiem Paweł, w przeciwieństwie do pozostałych apostołów, był przekonany, o uniwersalnym charakterze Zbawienia, które przyniósł Chrystus.

- Chyba nie wszystko rozumiem - nieśmiało szepnął Giovanni. - Jaka jest różnica pomiędzy żydowską koncepcją Zbawienia, a tą, którą głosili uczniowie Chrystusa?

- Już wyjaśniam. Rzeczywiście jest to sedno problemu, który próbuję ci wytłumaczyć. Zgodnie z koncepcją żydowską człowiek był sprawiedliwy w oczach Boga, jeśli przestrzegał prawa możeszowego. Z tej przyczyny Piotr i Jakub - brat Jezusa - a także inni apostołowie chcieli narzucić nowym wyznawcom zasady prawa żydowskiego. Ale Paweł inaczej rozumiał nauczanie Jezusa. Według niego, z chwilą nadejścia Chrystusa, człowiek był „sprawiedliwy” nie przez sam fakt przestrzegania prawa, ale dzięki wierze w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, Zbawiciela ludzkości. W związku z tym, nowym, wywodzącym się z pogaństwa adeptom, nie trzeba było narzucać surowych reguł prawa możeszowego, jak zalecali pozostali apostołowie. Sama wiara w Chrystusa wystarczała, by stali się sprawiedliwi w oczach Boga.

Paweł wyjaśnia tę koncepcję w swoim liście, tłumacząc, czym jest „grzech pierworodny”. Śmierć jest następstwem grzechu popełnionego przez pierwszego człowieka, Adama. Jezus jest Nowym Adamem, którego Bóg zesłał, by uwolnić człowieka od śmierci i który, biorąc na siebie grzechy świata, otwiera nam bramy życia wiecznego.

- A czy Paweł przekonał pozostałych apostołów, którzy przecież osobiście znali Jezusa Chrystusa? - zdziwił się Giovanni.

- Wywołał żywą polemikę! Piotr zwołał w Jerozolimie zgromadzenie, postrzegane zresztą jako pierwszy sobór nowo powstającego Kościoła *. Paweł, przypominając czyny Jezusa, o których mówili sami Jego uczniowie, argumentował na tyle skutecznie, że przekonał nawet najbardziej opornych. * Mowa o Soborze Jerozolimskim, który odbył się ok. 49 r. n.e.

Od tej daty zaczął się prawdziwy rozwój chrześcijaństwa poza wspólnotą żydowską. Paweł był zdania, iż obietnica Chrystusa Zbawiciela dotyczy całej ludzkości, bez względu na narodowość czy kolor skóry. Każdy, kto w Niego wierzy, może otrzymać życie wieczne.

Mędrzec przerwał wykład. Przymknął oczy, po czym uśmiechnął się i podjął poważnym tonem:

- Powróćmy teraz do problemu wolnej woli. Pierwsi teologowie chrześcijaństwa, nazwani Ojcami Kościoła, uświadamiali człowiekowi możliwość zbawienia przez łaskę Boga, podkreślając przy tym, jak ważna jest praca samego człowieka. Uznali, że człowiek bierze udział w swoim zbawieniu, przyjmując łaskę wiary i spełniając dobre uczynki: świadectwo wiary w Chrystusa. Innymi słowy, nawet jeśli Chrystus przyniósł ludziom zbawienie, człowiek może przyjąć lub odrzucić ten dar i powinien za sprawą dobrych uczynków dawać dowód swojego nawrócenia. Niektórzy z teologów nadawali szczególne znaczenie wolnej woli człowieka. Pelagiusz, na przykład, z całą stanowczością twierdził, że człowiek nie może być zbawiony, jeśli dobrymi uczynkami nie uczestniczy w akcie zbawienia. Święty Augustyn zwalczał ten pogląd, argumentując, że nawet jeśli człowiek posiada wolną wolę, to jej znaczenie jest pomijalne, a zbawienie jest jedynie owocem bożej łaski.

Luter, opierając się na Liście do Rzymian świętego Pawła i na pismach świętego Augustyna, zrobił krok naprzód, uznając, że człowiek jest zbawiony jedynie dzięki łasce i wierze w Jezusa Chrystusa. Idee Lutra wykluczyły jakikolwiek wkład człowieka, czyli wolnej woli, w dzieło Zbawienia. Zgodnie z doktryną Lutra musimy uznać, że Bóg obdarzył niektórych z nas łaską wiary i zbawienia, a innych, pozbawionych wiary, skazał na potępienie. I jednych, i drugich, rzecz jasna, bez względu na ich uczynki. Nawet jeśli Luter nie mówi tego dosłownie, jego uczniowie, na przykład Jan Kalwin, nie odcinają się od tego poglądu.

Giovanni zastanowił się chwilę. Takie podejście do sprawy wydało mu się wielce zaskakujące. Jakże to możliwe, by dobry Bóg mógł zdecydować, że niektórych zbawi, a niektórych

potępi, bez względu na ich wolną wolę i uczynki?

- I właśnie dlatego nie przyłączyliście się, mistrzu, do Lutra? - zapytał.

- Mimo że podzielam jego poglądy na temat wielkiej odnowy Kościoła, skandalicznej sprzedaży odpustów, konieczności zmniejszenia liczby sakramentów i autorytetu papieża, czy wreszcie tłumaczenie Biblii na języki narodowe, tak by była zrozumiała dla wszystkich wiernych. Teologia luterańska czyni z Boga tyrana, który decyduje - wedle jakich kryteriów? - o tym, by jednych zbawić, a innych skazać na wieczne potępienie. Luter, niestety, sprowadza człowieka do roli bezwolnej marionetki. Proszę. Przeczytaj fragment książki, którą Luter napisał w odpowiedzi na krytykujące jego doktrynę dzieło Erazma dotyczące wolnej woli.

Filozof otworzył traktat *O niewolnej woli* i podał go Giovanniemu. Chłopiec natychmiast spostrzegł podkreślone linijki:

Tak tedy wola ludzka jest postawiona w pośrodku, jak pociągowe bydło: gdy dosiądzie go Bóg, to chce on i idzie tam, jak i dokąd chce Bóg, jak powiada Psalm (73, w. 22): „Stałem się jak bydło” - i - „jam zawsze z Tobą”. Jeśli zaś dosiądzie go szatan, to chce ono i idzie tam, jak i dokąd chce szatan, i nie od jego woli zależy, czy ma biec do jednego czy drugiego jeźdźca lub tego czy tamtego oszukać, lecz sami jeźdźcy spierają się z sobą o to, by je dostać i posiadać.* * Marcin Luter, *O niewolnej woli - De Servo Arbitrio*, w tłumaczeniu ks. prof. Wiktora Niemczyka, z rozdziału „Doktryna i życie”, Warszawa: ChAT, 1979.

Starzec oburzył się gwałtownie:

- Bóg, który jednych zbawia, a drugich rzuca na pastwę swego wroga, nie jest moim Bogiem! Bo to oznaczałoby, że Bóg Wszechmogący jest przyczyną i dobra, i zła. Tak samo rzecz pojmuje mój przyjaciel Erazm w swoim dziele *Diatryba alboli teksty zebrane o wolnej woli*.

Mistrz Lucjusz otworzył książkę na jednej z ostatnich stron.

- Erazm słusznie doszedł do wniosku, że teoria Lutra prowadzi do straszliwego paradoksu, w obliczu którego *Jednych Bóg nagradza wieczną chwałą, wywyższając w nich Swe własne dobre uczynki, a innych skazuje na wieczne potępienie za Swe własne występki*. Naszym zdaniem, ten punkt widzenia nie może się obronić. Jako chrześcijanie, nie możemy zgodzić się z tak okrutną wizją Boga. Jako humaniści, nie uznajemy faktu, że człowiek jest całkowicie pozbawiony wolnej woli. Sądzę, że Luter, pragnąc oddać cześć Bogu, umniejszył rolę człowieka. Naszym natomiast celem jest oddać Bogu cześć poprzez wywyższenie człowieka. Wielki Bóg stworzył wolnego człowieka. Wielki człowiek z własnej woli korzy się przed Bogiem i poprzez wiarę i uczynki - nawet jeśli są natchnione bożą łaską - bierze udział w dziele zbawienia! Zgadza się z Lutrem w kwestii wolności poglądów i wolności słowa, a także konieczności uwolnienia człowieka spod tyranii Rzymu: ta Luter bezsprzecznie jest wielkim humanistą. Dlatego, za cenę banicji, poparłem go, gdy został ekskomunikowany. Ale nie możemy pogodzić się z faktem, iżby uwolnienie spod despotycznej władzy papieża odbyło się kosztem godności człowieka, o którą - mimo wszystkich

swych wad - upomina się Kościół katolicki!

Giovanni w pełni podzielał poglądy swojego nauczyciela. Był zdania, że lepiej jest być wolnym niż niewolnikiem, nawet za cenę zatracenia duszy.

- Ale dlaczego Luter głosi doktrynę niezgodną z tradycją Kościoła? - zapytał.

- Dobre pytanie. Od dawna sam je sobie zadaję. Myślę, że odpowiedzi należy szukać w jego charakterze. Z tego, co sam o sobie pisał wynika, że był podszyty strachem. Wstąpił do klasztoru, by spełnić ślub, który uczynił Najświętszej Pani, kiedy umierał z przerażenia pewnej burzowej nocy. Będąc w klasztorze, tak bardzo troszczył się o swoje zbawienie, że nieustannie mnożył posty i samoumartwiania. Był jednak przekonany o niemożności osiągnięcia zbawienia własnymi siłami, bez łaski i wiary. Czuł się tak bezsilny, że wypracował nową koncepcję, wedle której człowiek nie znaczy nic w dziele zbawienia i potępienia.

Wyjaśnił, że czytając List do Rzymian świętego Pawła, zrozumiał, że zbawienie zależy tylko od łaski wiary i poczuł wielką ulgę, uwalniając się tym samym od strachu przed wiecznym potępieniem. Uznał, że skoro Bóg dał mu wiarę, będzie zbawiony bez względu na swe uczynki.

Opuścił klasztor, poślubił dawną zakonnicę, zaczął jeść i pić oraz przestał się zajmować kwestią własnego zbawienia!

- Rozumiem, Mistrzu. A jaki jest wasz pogląd na tę sprawę?

- Tak jak Erazm i wielka tradycja chrześcijańska jestem zdania, że człowiek zawdzięcza zbawienie Bogu, ale bierze w Nim udział dzięki wolnej woli i dobrym uczynom. Zgadzam się jednak z Lutrem, że trudniej jest żyć z poczuciem odpowiedzialności niż z przeświadczeniem, że cokolwiek byśmy zrobili - dobrze, czy źle - jesteśmy zbawieni... podczas gdy niewierzący są skazani na potępienie!

- A co myślicie, Mistrzu, na temat zbawienia tych, którzy nie są chrześcijanami, jak na przykład poganie, żydzi czy muzułmanie?

- Myślę, że dostąpili łaski Chrystusowej, nawet o tym nie wiedząc, i zgodnie z bożym miłosierdziem i własnymi uczynkami, są zbawieni tak samo jak chrześcijanie. Studiując dzieła filozofów greckich, a zwłaszcza Platona, doszedłem do wniosku, że wielcy starożytni myśliciele mieli więcej bożej łaski i światła niż większość biskupów Świętego Kościoła!

Giovanni uświadomił sobie, że nie wie, czy został obdarzony wiarą. Wierzył w sposób zupełnie naturalny, ale nie była to wiara dojrzała, przemyślana i żywa. A od kiedy czytał starożytnych filozofów, czuł, że ich poglądy są mu bliższe niż wiele niezrozumiałych czy szokujących sformułowań zawartych w Biblii, Kwestia zbawienia zajmowała go na tyle, na ile zastanawiał się, czy jego życie - jak myśleli uczniowie Lutera - jest z góry ustalone i niezmienne. A może jest obdarzony wolną wolą i współodpowiedzialny i może wpłynąć na bieg własnej egzystencji?

- A co myślicie, Mistrzu, o wolnej woli i przeznaczeniu w kontekście nauki filozofów?

Mistrz Lucjusz wstał, sięgnął po książkę z biblioteki i, uśmiechając się, podał ją Giovanniemu.

- Przeczytaj to! To wstęp do dziewięciuset tez mego przyjaciela Pica della Mirandoli, które chciał przedłożyć wszystkim uczonym swoich czasów i które zostały umieszczone przez papieża na indeksie. W tym arcydziele znajdziesz odpowiedź na pytanie, co sądzę o wolności człowieczej.

Giovanni podziękował swojemu nauczycielowi i wyszedł z domu. Następnie oddalił się kilka kroków, usiadł u stóp wiekowego dębu, otworzył książeczkę i przeczytał tytuł: *De hominis dignitate - O godności człowieka*. Pełen wzruszenia rozpoczął lekturę.

25

W ciągu kolejnych tygodni Giovanni z entuzjazmem czytał wciąż od nowa dzieło Pica della Mirandoli, nie przerywając wykładów, które prowadził Mistrz Lucjusz, ani lekcji władania bronią, których udzielał mu Pietro.

Nauczył się już sprawnego władania mieczem. Czuł, że nie jest to jedynie ćwiczenie fizyczne, które z czasem może okazać się bardzo przydatne. Giovanni wiedział, że jest to kontynuacja pracy umysłowej.

Walka, zupełnie tak jak nauka, wymagała obowiązkowości, dyscypliny i precyzji. Ruch musiał być precyzyjnym przedłużeniem myśli.

Mimo że zajęcia trwały od rana do nocy, Giovanni nie przestawał myśleć o Elenie. A raczej Elena była obecna w nim do tego stopnia, że nie musiał o niej myśleć. Była obecna w każdej chwili jego istnienia, bez względu na to, czy jego ciało było zajęte rąbaniem drewna lub spożywaniem posiłku, czy jego umysł pracował nad rozwiązaniem kwestii filozoficznych lub dotyczących gramatyki łacińskiej. Giovanni był nierozzerwalnie złączony z ukochaną, a jej piękna twarz o zamkniętych oczach wryła się na stałe w jego pamięć.

Wieczorem, przed zaśnięciem, kontemplował ją. Przyglądał się rysunkowi brwi i ust. Zanurzał się w jej bezładnie rozrzucone włosy. Chwytał ją za niezwykle białą dłoń. I zawsze gładził jej zamknięte oczy.

Ponieważ nigdy nie widział ich koloru ani nigdy nie pochwycił jej spojrzenia, puszczał wodze fantazji.

Wiosna ustępowała właśnie miejsca latu, a ciało i umysł Giovanniego - na podobieństwo natury - budziły się z zimowego snu niewiedzy. Ciężka praca zaczęła przynosić pierwsze owoce. Chłopiec czynił tak szybkie postępy, że Mistrz Lucjusz zintensyfikował nauczanie i dał mu do czytania dzieła Platona i Arystotelesa w oryginale.

Pewnego upalnego, sierpniowego dnia, odpoczywając nad chłodną rzeką, Giovanni przeżył tak dziwne spotkanie, że gotów był pomyśleć, iż uległ halucynacji.

Najpierw usłyszał trzask gałęzi na drodze, a potem przybliżający się stukot końskich kopyt. Skrył się za drzewem. Wkrótce, w odległości mniej więcej trzydziestu kroków, ujrzał białego konia, którego dosiadała bardzo dziwna istota. Była to kobieta o długich, zwichrzonych, kasztanowych włosach, odziana w za duży, brązowy płaszcz. Kiedy wierzchowiec podszedł do brzegu ruczaju, zsiadła z konia i przyklękła, by ugasić pragnienie.

- Wydajesz się, pani, równie spragniona co wasz wierzchowiec! - powiedział Giovanni, wychodząc zza drzewa.

Kobieta zerwała się na równe nogi, wyciągając zza pazuchy sztylet. Giovanni zaczął się zbliżać z przyjaznym uśmiechem.

- Nie obawiajcie się, pani.

- Zostań tam, gdzie jesteś! - odparła najwyraźniej przerażona. Słyszac władczy ton, Giovanni zatrzymał się w odległości kilkunastu stóp od nieznajomej. Jej oczy były tego samego koloru, co spadające kaskadą włosy. Mogła być zaledwie parę lat starsza od Giovanniego, a jej uroda była wręcz olśniewająca. Giovanni nigdy nie widział tak szlachetnej kobiecej twarzy. Poza twarzą Eleny, oczywiście. Zaintrygowała go: była przebrana za mężczyznę. Miała na sobie brudne, zgrzebne łachy i wyglądała na skrajnie wyczerpaną.

- Kim jesteś? Czego chcesz?

- Nazywam się Giovanni. Mieszkam w tym lesie. Widzę, pani, że jesteś mocno zdrożona. Potrzebujecie pomocy?

- Chcę tylko się napić i napoić moją klacz. Nie zbliżaj się!

- Dobrze. Ale gdybyś pani potrzebowała czegokolwiek... Giovanni odszedł kilka kroków i przycupnął pod drzewem, udając, że zagłębia się w lektorzę. Tymczasem jego serce waliło jak oszalałe, a przez umysł przebiegały tysiące pytań. Dziewczyna gasiła pragnienie, obserwując go kątem oka. Zwilżyła szyję klaczy, wytarła ją płótnem, po czym chwyciła zwierzę za uzdę i wycofała się. Po chwili odwróciła się w stronę młodego chłopca, który - z obawy, by jej nie wystraszyć - nadal nie podnosił głowy znad książki.

- Co czytasz? - spytała nieco spokojniej.

- *Etykę nikomachejską* Arystotelesa.

- Jesteś mnichem? - spytała zdziwiona.

- W żadnym razie. Studiuję u nauczyciela, który mieszka w domku za wzgórzem. - W tym lesie?

- Tak. Jest pustelnikiem.

Dziewczyna nabrała jeszcze większej pewności siebie.

- Miałbyś coś do jedzenia?

Giovanni wyjął z sakwy pajdę chleba i jabłko i podał je nieznajomej.

- Wziąłem to na kolację. Nie wiem, czy starczy, by zaspokoić wasz głód, ale...

- Wystarczy! - odpowiedziała kobieta, rzucając się najedzenie. - Dzięki temu jakoś dotrwam do nocy.

- Dokąd się udajecie? Ugryzła jabłko i wytarła usta.

- Do klasztoru San Giovanni in Venere - odpowiedziała. - Czy to w tamtą stronę? - spytała, wskazując ręką wschód.

Giovanni przypomniał sobie, że Piętro mówił kiedyś o tym nadmorskim, odległym o dwadzieścia mil klasztorze.

- Tak. Jadąc galopem, zdążycie przed nocą, pani.

- Bóg postawił cię na mojej drodze. Mam na imię Julia. Giovanni zasmucił się, widząc, że nieznajoma odjeżdża tak nagle, jak się pojawiła. Tak bardzo chciałby dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

- Dziękuję, Giovanni.

Dziewczyna dosiadła klaczy, ostatni raz spojrzała w oczy chłopca i oddaliła się klusem.

Giovanni zamyślił się. Kim była tajemnicza nieznajoma?

Jej twarz zdradzała szlacheckie urodzenie, ale strój był niewątpliwie ubraniem sługi. Z całą pewnością chciała zachować anonimowość. Może uciekała przed groźącym jej niebezpieczeństwem?

Natychmiast po powrocie do domu Giovanni opowiedział wszystko swojemu nauczycielowi, który również nie krył zdziwienia. Filozof słyszał wprawdzie o klasztorze San Giovanni in Venere, największym klasztorze benedyktyńskim we wschodniej Abruzji ale sam nigdy tam nie był.

- Jeśli przeznaczenie postawiło tę kobietę na twojej drodze módl się za nią, Giovanni. To jedyne, co możesz dla niej zrobić. Być może któregoś dnia zrozumiesz znaczenie tego spotkania. Nawet jeśli tego nie pojmujemy, Opatrzność stawia czasem na naszej drodze osoby, które są w pewien sposób związane z nami z naszą duszą i wątkami naszego przeznaczenia. Poza przynależnością do cielesnej rodziny z krwi i kości, przynależymy do rodzin duchowych, rodzin dusz, jak wolisz. Jeśli wzruszył cię los tej dziewczyny, módl się za nią, chłopcze i powierzaj ją Bogu. W ten sposób połączysz wasze dusze w wielkim misterium miłości, które w sposób niewidzialny spleta ludzkie losy, a które Kościół nazywa obcowaniem świętych.

Giovanni wytrzeszczył oczy ze zdumienia, jednak filozof, który najwyraźniej chciał zmienić temat, zapytał wesoło:

- Kilka miesięcy temu dałem ci książeczkę Pica della Mirandoli. Czy już ją przeczytałeś?

26

Twarz Giovanniego pojaśniała.

- Nawet wiele razy! - odpowiedział tak bystro, że Lucjusz domyślił się, iż chłopiec podziela przedstawione w niej poglądy.

- Wspaniale. Co zapamiętałeś?

- Wiele z idei poruszyło mój nienawykły do filozofowania umysł - odpowiedział Giovanni, nieco onieśmielony, że musi wypowiedzieć się na temat tyleż króciutkiego, co wielkiego dzieła, które wywarło na nim ogromne wrażenie. - Przejmuje mnie myśl, że Pico pragnie złączyć w jedno wszystkie filozofie i religie, całą wiedzę ludzkości: od żydowskiej kabały poprzez przepowiednie orfickie i zoroastryzm po doktrynę Pitagorasa, filozofię arabską, platonizm i arystotelizm... Nie wiem, czy to w ogóle jest możliwe, ale idea wydaje się fascynująca.

Giovanni przerwał na chwilę, wypatrując oznak zachęty w oczach mistrza.

- Pico nigdy nie doprowadził do końca swojego zamierzenia, którego szlachetny charakter, całkiem zresztą słusznie, podkreślasz. Jeśli o mnie chodzi, to raczej sceptycznie podchodzę do możliwości szczęśliwego mariażu tak odmiennych doktryn. Jakkolwiek na tę sprawę zapatrywałby się Pico, trudność pojawia się już przy próbie pogodzenia myśli Platona z poglądami jego ucznia, Arystotelesa. Chęć połączenia myśli Chrystusa i Zaratustry, Mojżesza i Jamblichosa, Mahometa i świętego Augustyna wydaje mi się raczej irracjonalna. Istnieją oczywiście pewne zbieżności, ale nie zapominajmy o głębokich różnicach. Zdasz sobie z nich sprawę z czasem. Ale kontynuuj swój wywód. Co jeszcze zapamiętałeś?

- Jego poglądy na temat wolności człowieka. Według Pica godność człowieka wynika z tego, że jest on jedyną istotą pozbawioną określonej natury, która warunkowałaby takie czy inne działanie. Skoro człowiek nie jest zdeterminowany przez swoją naturę, jest najbardziej wolną ze wszystkich istot.

Może dowolnie wybierać dobro i zło. Może żyć jak anioł lub jak bydlę. Pico twierdzi, że człowiek jest twórcą własnego życia. Ta myśl przejmuje mnie głęboko! Możemy się stać tym, czym chcemy. Bardzo mi odpowiada ta perspektywa, nawet jeśli w ślad za nią pojawia się ogromna odpowiedzialność. Nauczyłem się zresztą na pamięć podniosłych słów, które Pico wkłada w usta Boga.

Giovanni zatrzymał się. Mistrz przymrużył oczy na znak zachęty więc Giovanni wyrecytował skierowane do człowieka słowa, które florencki filozof odważył się przypisać Stwórcy:

- Umieściłem cię pośrodku świata, abys tym łatwiej mógł obserwować wszystko, co się w świecie dzieje. Nie uczyniłem cię ani istotą niebiańską ani ziemską, ani śmiertelną ani nieśmiertelną, abys jako swobodny i godny siebie twórca i rzeźbiarz sam sobie nadal taki kształt, jaki zechcesz. Będiesz mógł degenerować się i staczać do rzędu zwierząt i będziesz mógł odradzać się i mocą swego ducha wznosić się do rzędu istot boskich.

- Jak widzisz - wykrzyknął Mistrz Lucjusz - nie ma idei bardziej niż ta odległej od doktryny Lutra! Właśnie w tej kwestii podzielałam poglądy naszego przyjaciela Pica!

Giovanni pragnął zaproponować, ale obawiał się, by to, co powie, nie zabrzmiało pretensjonalnie. Po chwili wahania zdecydował się jednak i skoczył na głęboką wodę.

- Przeczytałem jego książkę i widzę, jak bardzo zgadzacie się, Mistrzu, z poglądami Pica na temat wolnej woli, ale nie rozumiem, dlaczego wierzycie we wpływ, jaki wywierają na człowieka gwiazdy. Czy nie jest sprzecznością twierdzić, że człowiek jest kowalem swojego losu, jednocześnie utrzymując, że podlega wpływom nieba?

- Masz całkowitą rację, chłopcze! - odparł filozof, prostując się na krześle. - Właśnie dlatego Pico, mimo że bardzo interesował się magią i okultyzmem, zawsze ostro krytykował astrologię.

- Zatem dlaczego wy, Mistrzu, ją uprawiacie? - zapytał Giovanni zupełnie zbity z tropu. - Piętro mówił mi nawet, że jesteście najwybitniejszym astrologiem w całym chrześcijańskim świecie!

- Nie wiem, czy jestem, może raczej byłem, najwybitniejszym astrologiem - odpowiedział Lucjusz z udaną skromnością. - Jestem jednak pewien, że gwiazdy nie determinują naszego losu. Ptolemeusz, wielki starożytny astrolog żyjący w drugim wieku Aleksandrii, mawiał: „Gwiazdy wywierają wpływ, ale nie determinują”. Według Ptolemeusza, gwiazdy wpływają na charakter człowieka, ale oprócz nich wielkie znaczenie mają także rodzina i środowisko. Człowiek natomiast zawsze ma wolną wolę i może się przeciwstawiać wszelkim wpływom. Nie istnieje żaden ostateczny determinizm, żaden los. Jedyne, co ogranicza człowieka, to uleganie wpływom i niewykorzystanie wolnej woli, co ma niestety miejsce w przypadku osób kierujących się popędami cielesnymi, a nie sprawami ducha. To samo zresztą mówił święty Tomasz z Akwinu. Uważał, że los tego, który ulega popędom, można z łatwością przewidzieć, gdyż zależy on od charakteru. Człowiek, który zdoła podporządkować swoje życie wyższemu prawu moralnemu i sprawom ducha, może zmienić swoje przeznaczenie i samodzielnie kształtować swój los. W takiej sytuacji - i jest to szczęśliwa wiadomość - wszelkie wróżby stają się nieprawdziwe, a wszelkie przepowiednie - niemożliwe.

- Jeśli dobrze rozumiem, gwiazdom podlega ciało i żądze, natomiast dusza zawsze pozostanie wolna?

- Tak właśnie.

- Jak zatem umknąć wszelkim wpływom: rodziny, otoczenia, czy gwiazd? Wyzwolić się i współtworzyć swój los, zamiast biernie podlegać przeznaczeniu?

- Nigdy nie wyzwolisz się całkowicie spod wpływów. Całe życie będziesz podlegał uwarunkowaniom wynikającym z języka, którym się posługujesz, wykształcenia, zdolności wrodzonych! Jeśli urodzisz się słabowity lub z defektem fizycznym, będziesz ułomny całe życie!

Ale ćwicząc wolną wolę, która, wraz z inteligencją, zamieszkuje najwyższe rejony ludzkiej duszy, możesz dokonywać takich wyborów, które pokierują twoim losem, a twoje życie nie będzie jedynie owocem twojego charakteru, żądy, instynktów czy wpojonych przesądów i tradycji. Innymi słowy, choleryk pozostanie cholerykiem, a artysta artystą chyba że zdoła wznieść się ponad uwarunkowania wrodzone. Człowiek może samodzielnie kształtować swój charakter, stać się panem siebie ulec własnym namiętnościom lub je pokonać. Wolnym się nie jest Wolnym się staje.

- Zatem w przypadku takiego człowieka astrolog nic nie wyczyta z gwiazd?

- Astrolog może określić, że w takiej czy innej konfiguracji gwiazd - na przykład mając Marsa w ascendencie - dany człowiek ma wojowniczą naturę, tak że istnieje duże prawdopodobieństwo, że zrani kogoś lub sam zostanie ranny, że będzie żołnierzem albo najemnikiem. Wszystkie te przepowiednie staną się rzeczywistością, jeśli człowiek ma niski poziom świadomości i w życiu kieruje się wyłącznie instynktem i namiętnością. Z chwilą gdy nauczy się panować nad sobą, uniknie wielu niebezpiecznych przygód. Będzie, rzecz jasna, w gorącej wodzie kąpany, ale będzie też zdolny opanować się i nie dopuścić do rozlewu krwi. Zdoła wówczas wykuć sobie inny los niż ten, który był mu zapisany w gwiazdach w chwili narodzin. Zostanie mnichem, a skłonność do przemocy przekształci się w nim w duchową pasję, która doprowadzi go do osiągnięcia niebiańskich cnót. Jak powiedział Chrystus:

Królestwo Niebieskie doznaje gwałtu i ludzie gwałtowni zdobywają je.

Giovanni rozumiał słowa swojego nauczyciela, ale narastał w nim sprzeciw. Myślał o spotkaniu z Eleną, o przepowiedni Luni. Zapytał więc:

- Ale czy wszystkie wydarzenia w życiu wynikają jedynie z charakteru człowieka? Czyż nie istnieją pewne ważne spotkania, pewne przypadki, pewne szczęśliwe wydarzenia zapisane w gwiazdach od zarania dziejów?

Mistrz Lucjusz z zadowolenia aż przymrużył oczy.

- Masz rację! Wierzę, że to opatrność boża postawiła na naszej drodze pewne osoby, a także szczęśliwe i nieszczęśliwe wydarzenia. Nie unikniemy ich. Jeden będzie miał poważne problemy ze zdrowiem, inny spotka mistrza duchowego w takim, a nie innym momencie życia, jeszcze inny zakocha się w tej, a nie innej kobiecie. Ale każdy z nas może w dowolny sposób reagować na owe zaprogramowane przez przeznaczenie wydarzenia. Chory może się skarżyć i przeklinać swój los lub wzmocnić się wewnętrznie dzięki zesłanemu mu przez niebo doświadczeniu. Młody człowiek może zostać z duchowym nauczycielem lub odejść własną drogą - Zakochany może ożenić się ze swą wybranką lub poślubić inną. Gwiazdy są znakami, które opatrność dała nam, byśmy mogli lepiej poznać samych siebie oraz odczytać tajniki naszego przeznaczenia, a nie po to, by ostatecznie zdeterminować nasz los. Należy je traktować jak latarnie morskie, które rozświetlają naszą drogę, a nie jak przyczynę naszej zguby.

- A skąd pochodzi wiedza o gwiazdach, Mistrzu? W jaki sposób ludzie ustalili związki pomiędzy układem gwiazd w chwili narodzin a głównymi cechami charakteru i przeznaczeniem człowieka?

- Obserwacja gwiazd jest tak stara jak świat. Od zarania dziejów, wszędzie, gdzie człowiek budował miasto czy osadę, wznosił wzrok do góry. Wiedza o gwiazdach, jaką obecnie dysponujemy, narodziła się jeszcze przed przyjściem na świat Jezusa, a nawet Mojżesza, w chaldejskich miastach Ur i Babilon. Chaldejczycy - tak zresztą Rzymianie nazywali astrologów - obserwowali planety i notowali na glinianych tabliczkach ruchy ciał niebieskich oraz wszelkie kosmiczne zjawiska: koniunkcje planet, pojawienie się komety, zaćmienia Słońca i Księżyca. Zapisywali też wszystko, co działo się na Ziemi: epidemie, klęski głodu, nadzwyczajny urodzaj, narodziny i śmierć królów, wojny. Porównując obserwacje nieba i ziemi, opracowali rodzaj zależności pomiędzy wydarzeniami kosmicznymi a tym, co działo się na naszej planecie. W taki oto sposób narodziła się „astrologia”, greckie określenie, którego etymologii - jak sądzę - z całą pewnością się domyślasz.

- „Nauka o gwiazdach” - odpowiedział Giovanni.

- Właśnie. Chaldejczycy uważali, że Słońce, Księżyc i pięć poruszających się po nieboskłonie gwiazd, którym nadali nazwę „planet” - z greckiego słowa *planetes*, czyli „wędrowiec” - oraz inne kosmiczne wydarzenia, są przyczyną pewnych wydarzeń na Ziemi. A ponieważ owe wydarzenia kosmiczne miały charakter regularny i cykliczny, kapłani chaldejscy doszli do wniosku, że będą miały taki sam charakter także na Ziemi. Trwające wiele tysięcy lat obserwacje nieba pozwoliły uwiarygodnić owe twierdzenia i przewidzieć głód, wojnę czy powódź.

- Rozumiem - odpowiedział Giovanni. - Ale czy rzecz miała się podobnie z przewidywaniem losu pojedynczego człowieka?

- To przyszło o wiele później! Po wielu wiekach obserwacji astrolodzy wpadli na pomysł, by podzielić pas nieba, na którym obserwowano ruch Słońca, Księżyca i planet, na dwanaście równych części, po trzydzieści stopni każda. Ten podział umożliwiał dwa rodzaje obserwacji. Po pierwsze, obserwację gwiazd, nieruchomych: zauważono, że pewne konstelacje przypominały kształtem zwierzęta i tak nazwano owe dwanaście części nieba. W ten sposób narodziła się symbolika dwunastu znaków zodiaku, których ruch odpowiada rocznemu cyklowi Słońca i pór roku. Ty, jako że wychowałeś się na wsi, bardzo łatwo to zrozumiesz. Otóż zodiak zaczyna się w dniu przesilenia wiosennego, dwudziestego pierwszego marca. Pierwszym znakiem jest Baran, symbolizujący wybuch siły witalnej, która wiosną pobudza naturę do życia. Ludzie, którzy w tym czasie przychodzą na świat, są przedsiębiorczy, energiczni, prą naprzód. Bywa, że mają wojowniczy charakter.

Dwudziestego pierwszego kwietnia Słońce wchodzi w znak Byka. W tym okresie wiosny,

jak wiesz, następuje rozkwit form, kiełkowanie nasion, a pastwiska pokrywają się bujną trawą. Urodzonych w znaku Byka charakteryzuje stałość, zmysłowość i siła. Bywają jednak uparci i skłonni do żywienia urazy.

Dwudziestego pierwszego maja rozpoczyna się trzecia część wiosny. Następuje rozkwit roślinności „napowietrznej”, czyli kwiatów i liści, któremu towarzyszy nieustanna praca i brzęczenie pszczoł. Okresowi powietrznemu odpowiada znak Bliźniąt, który charakteryzuje się ruchliwością, łatwością przystosowania, zdolnościami komunikacyjnymi, ale też powierzchownością i płochością.

Dwudziestego drugiego czerwca Słońce znajduje się najwyżej nad horyzontem, a dzień jest najdłuższy w roku: to czas letniego przesilenia. Następujące po nim skracanie długości dnia symbolizuje znak Raka, czyli zwierzęcia, które chodzi tyłem! Urodzeni w tym znaku mają tendencję do oglądania się wstecz. Często wracają pamięcią do swojego dzieciństwa. W pierwszym okresie lata pojawiają się ziarna. Natura szykuje się do wydania plonów. Jest to symbol płodności i macierzyństwa. Stąd też Raki są przywiązane do domowego ogniska, rodziny i tradycji. Są to także ludzie twórczy, z wyobraźnią.

- Moja mama urodziła się o tej porze roku.

- Masz dużo wspomnień związanych z mamą?

Tak. Doskonale pamiętam jej twarz i delikatne dłonie. Miała taki słodki głos i nigdy nie wpadała w gniew. W przeciwieństwie do ojca, który zresztą urodził się tuż po niej, ale pod koniec miesiąca.

Właśnie tam zmierzamy - odpowiedział astrolog. - Dwudziestego trzeciego lipca zaczyna się znak Lwa, który symbolizuje triumf vegetacji, pojawienie się owoców, moc Słońca i największe upały. Ci, którzy przychodzą na świat w znaku Lwa, mają silną osobowość, potrzebę błyszczenia. Uwielbiają dominować i są niezwykle twórczy. Ich grzechem głównym jest próżność i pycha. Giovanni uśmiechnął się.

- Dwudziestego trzeciego sierpnia Słońce wchodzi w znak Panny - kontynuował mistrz Lucjusz. - To pora żniw, czyli zwieńczenie procesu, w którym zasiane zimą zboże wydaje dojrzały kłos, z którego, po ścięciu, wysypią się ziarna. Wszystko w naturze ulega zmianie i zmierza ku schyłkowi. Urodzeni w znaku Panny mają zmysł przewidywania i wewnętrzny ład. Nie mają zbyt wiele sił witalnych, ale wolę pracy, dyscyplinę i analityczny umysł.

Dwudziestego trzeciego września następuje przesilenie jesienne, którego symbolem jest Waga. To czas zrównania długości dnia i nocy, okres przejściowy, równoważący upalne lato i mroźną zimę. Czas spokoju i harmonii. Z tej przyczyny urodzeni w znaku Wagi stale szukają pokoju, równowagi wewnętrznej i sprawiedliwości. Ich wadą jest brak zdecydowania. W przeciwieństwie do narzucających się i prowokujących osób urodzonych w znaku Barana - czyli

dokładnie po przeciwnej stronie ekliptyki, w czasie przesilenia wiosennego - Wagi są nadzwyczaj skromne i ugodowe.

Dwudziestego trzeciego października Słońce wchodzi w znak Skorpiona. Ten drugi z jesiennych znaków symbolizuje koniec okresu wegetacji: trawa przestaje rosnąć, liście spadają z drzew i butwieją. Zaczyna się proces rozpadu. Urodzeni w tym znaku są mocno naznaczeni siłą przemian, śmierci i odrodzenia. Jeśli nie zdołają siłą wewnętrznej alchemii wznieść się ponad własne instynkta i dostąpić do wyższego światła, mogą się stać niespokojni i destrukcyjni.

Następnym znakiem jest znak Strzelca, który zaczyna się dwudziestego drugiego listopada. Natura zdaje się zamierać. Ale jak Centaur, który wypuszcza swą strzałę w niebo, Strzelec zdaje się czekać na wewnętrzne odrodzenie. Wie, że natura obudzi się do życia, a śmierć jest tylko pozorna. Dzieci Strzelca poszukują wzniosłych ideałów, są optymistami, których wzywa nieznane wielkimi podróżnikami zarówno w sensie ziemskim, jak i duchowym. Uwielbiają wolność. Bywają także buntownikami wymykającymi się narzucanym więzom.

Około dwudziestego pierwszego grudnia następuje przesilenie zimowe. Tak jak ušpiona, milcząca, ogołocona i surowa natura urodzeni w znaku Koziorożca są poważni, skoncentrowani, surowi. Bywają smutnymi samotnikami. Ja urodziłem się w tym znaku - rzekł Mistrz Lucjusz z uśmiechem.

- Nie powiedziałbym, nie tak was postrzegam! - odparł Giovanni.

- Ach tak! A jak mnie postrzegasz? - zapytał rozbawiony filozof.

- Jesteście dobrzy i hojni. Owszem, poważni, ale nie smutni. No i macie szczytne ideały, nie ustajecie w dążeniu do pogłębiania wiedzy.

- To także cecha osób urodzonych w znaku Koziorożca. Jak koza, która symbolizuje wydłużanie się dnia, są ambitni, wytrwali i stale dążą do społecznego awansu i rozwoju wewnętrznego.

- Jakim cudem koza symbolizuje przyrost dnia i dążenie do wyżyn?

- Postaw kozę w dowolnym miejscu i obserwuj, co zrobi. Zawsze wejdzie na najwyższy przedmiot albo na najwyższe miejsce w okolicy. Gdybyśmy ją wpuścili do naszej chaty, za niecałe pięć minut byłaby na stole!

- To prawda! - wykrzyknął Giovanni, któremu nieobce były zwyczaje kóz.

- Znak Wodnika, który nastaje dwudziestego stycznia, symbolizuje zjednoczenie nowo zasianego ziarna z ziemią. To jak zapłodnienie materii siłą ducha. Wodnik, jako jeden z nielicznych przedstawicieli zodiaku, nie jest zwierzęciem, lecz aniołem, symbolem inteligencji, zwycięstwa ducha nad materią. Urodzeni, w znaku Wodnika są zdolnymi do oderwania się od banalnych spraw intelektualistami. To działający jedynie zgodnie z własnym sumieniem wolnomyśliciele, którzy słuchają, jak we wnętrzu Ziemi kiełkują nowe idee, zdolne przemienić jej kształt.

Dziewiętnastego lutego nastaje ostatni znak zodiaku: Ryby. W naturze obserwujemy wówczas stan przejściowy, nieokreślony, charakteryzujący się brakiem formy. Stan pomiędzy kończącą się zimą a nadchodzącą wiosną. Tak jak wiosenna natura i sama ryba, która jest symbolem tego znaku, cechy osoby urodzonej w tym okresie są nieuchwytnie. Ewoluuja w płynnej głębi duszy i wyobraźni. Są to ludzie bardzo wrażliwi, skłonni do najwyższych poświęceń. Bywa jednak, że gubią się i nie wiedzą, kim są.

Mistrz Lucjusz przerwał i wstał, by napić się wody. Giovanni zamyślił się. Urodził się nieco przed przesileniem wiosennym, zatem w znaku Ryb. To prawda, że był marzycielem obdarzonym niezwykle wyobraźnią. Umiał też współczuć.

Jakie to dziwne, że wszyscy urodzeni w określonej porze roku są do siebie podobni. Ale być może da się to wytłumaczyć - jak mówił Mistrz - uwarunkowaniem środowiska naturalnego związanym z porami roku. Zatem konstelacje gwiazd, od których pochodzą nazwy znaków zodiaku, nie mają zbyt wielkiego znaczenia. Tak naprawdę chodzi o pory roku i ich symbolikę. Tak jak narody żyjące w ciepłych strefach klimatycznych mają inne usposobienie niż mieszkańcy krajów chłodniejszych, człowiek urodzony zimą będzie się różnił od osoby urodzonej latem. Prawdopodobnie będzie bardziej introwertyczny. To Giovanni mógł jeszcze zrozumieć. Ale zdawał sobie sprawę, że astrologia bada także dni i godziny narodzin pojedynczego człowieka. Zapytał Mistrza o tę sprawę.

- Słowo „horoskop” oznacza „podglądanie godziny” - odpowiedział filozof. - W Babilonie - stosunkowo późno zresztą - zaczęto sporządzać horoskop króla. To znaczy rysowano mapę nieba w chwili jego narodzin, określając pozycje Słońca, Księżyca i pięciu planet na ekliptyce. Następnie zaczęto dzielić horoskop urodzeniowy króla na cztery równe części odpowiadające czterem punktom kardynalnym: wschodowi, południu, zachodowi i północy. Sprawdzano układ ciał niebieskich w chwili narodzin władcy i zaznaczano je w stosownym miejscu na jego horoskopie. Innymi słowy, jeśli urodził się o świcie, rysowano Słońce w ascendencie *. * Ascendent i descendent - punkty przecięcia ekliptyki z horyzontem. Ascendent leży na wschodzie, co oznacza, że planeta znajdująca się w pobliżu ascendentu właśnie wschodzi na niebie. Descendent leży na zachodzie, a więc planeta leżąca w pobliżu descendentu - zachodzi. Jeśli przyszedł na świat w południe, zaznaczano Słońce w pozycji *medium coeli*, pod kopułą nieba. Jeżeli urodził się o zachodzie lub nocą, odpowiednio zaznaczano Słońce w descendencie lub w pozycji *imum coeli* **. ** *Medium coeli* znaczy „środek nieba”, *imum coeli* zaś - „dół nieba”. W ten sam sposób zaznaczano układ planet, zwracając szczególną uwagę na te, które były związane z czterema punktami kardynalnymi. Tym sposobem zaobserwowano na przykład, że człowiek, który miał Marsa w ascendencie lub *imum coeli* miał wojowniczy charakter i mógł zostać dobrym żołnierzem, a ktoś, kto był pod silnym wpływem Wenus, miał łagodną naturę i twórczy umysł.

Interpretacja horoskopu indywidualnego bazuje na podwójnym zapisie: ziemskim i

niebiańskim, dotyczącym układu planet (w tym także Słońca i Księżyca) względem znaków zodiaku i czterech punktów kardynalnych. Wiedza astrologiczna Chaldejczyków rozprzestrzeniła się następnie w imperium Aleksandra Macedońskiego i w cesarstwie rzymskim.

Giovanni dosłownie spijał słowa swojego nauczyciela. Pomyślał, że znajomość horoskopu może przynieść człowiekowi mnóstwo korzyści.

- Mistrzu, mam pewną trudną do wyrażenia prośbę. Starzec spojrział Giovanniemu prosto w oczy. Jego spojrzenie było badawcze, lecz łagodne.

- Słuchając was, doszedłem do wniosku, że bardzo by mi się przydała znajomość mojego horoskopu urodzeniowego.

- Widzę, że wielkie sprawy uniwersum interesują cię mniej niż czubek własnego nosa! - odpowiedział filozof ironicznie.

Giovanni spuścił głowę i zaczerwienił się.

- Żartowałem! - odpowiedział Mistrz Lucjusz ojcowskim tonem. - Twoja prośba jest jak najbardziej uzasadniona. Prawdę mówiąc, miałem zamiar sporządzić i zinterpretować twój horoskop. Pytanie tylko, czy znasz datę swojego urodzenia?

Giovanni wiedział, że urodził się na przedwiośniu, a matka mówiła mu, że przyszedł na świat nocą, podczas pełni Księżyca. Jako że znał swój wiek - właśnie zaczął dziewiętnasty rok życia - z łatwością obliczył, że data jego urodzin przypadała na koniec marca 1514 roku. Astrolog bardzo ostrożnie przyjął tę informację.

- Będę mógł sporządzić horoskop jedynie po sprawdzeniu w efemerydach układu planet w chwili twoich narodzin.

- W efemerydach?

- Tak. Efemerydy są to tablice astronomiczne, w których notuje się - na podstawie codziennych obserwacji - pozycje Słońca, Księżyca i planet. Niedługo upłynie wiek od czasu, gdy astrologi zaczęli je sporządzać. Kupowałem je we Florencji od tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego do tysiąc pięćset dwudziestego roku, w czasie, kiedy zajmowałem się astrologią. Zabrałem je ze sobą na wygnanie.

Zatem możecie sporządzić mój urodzeniowy horoskop? Oczywiście. O ile informacje, które przekazała ci matka, pozwolą nam ustalić dokładną datę i godzinę twojego przyjścia na świat. Wrócimy do tego tematu... poczekaj... może w najbliższą środę, dzień Merkurego*? Co ty na to?

* W języku francuskim dni tygodnia przyporządkowane są imionom planet i bogów. I tak: *Lunae dies*, lundi poniedziałek, to dzień Księżyca, *Marlis dies*, mardi wtorek - dzień Marsa, *Mercurii dies*, mercredi środa - dzień Merkurego, *Jovis dies*, jendi czwartek - dzień Jowisza, *Veneris dies*, venredi piątek - dzień Wenus, *Sambati dies*, samedi sobota - dzień szabasu, *Dominicus dies*, dimanche niedziela - dzień Pana.

27

Giovanni nie mógł się doczekać dnia Merkurego. We wtorek wieczorem, po codziennych lekcjach, udał się na spacer.

Błąkał się długo, zatopiony we własnych myślach. Jako że słońce zaczynało chować się za horyzontem, przyspieszył kroku, by nie spóźnić się na kolację.

Zbliżając się do polany, usłyszał dziwny hałas. Przyspieszył kroku. Nagle usłyszał krzyk. Rzucił się co sił w nogach w stronę domu, skąd dochodziły odgłosy walki. Znieruchomiał na moment, po czym skoczył do komórki, w której Pietro trzymał broń. Chwycił dwa miecze i nóż i stanął w drzwiach domu.

Izba była przewrócona do góry nogami. Pietro stał na środku i, wymachując taboretem, opędzał się od trzech uzbrojonych w długie noże mężczyzn. Czwarty napastnik, najwyraźniej już zamroczony ciosem, leżał na podłodze.

Nagle przybycie Giovanniego wyraźnie ucieszyło giganta:

- Hej, przyjacielu. Przybywasz w samą porę. Sam nie dam rady ubić tych opryszków!

Zaskoczeni bandyci odwrócili się. Giovanni bez zastanowienia zatopił miecz w ramieniu pierwszego, z nich. Ranny uciekł, wyjąc z bólu. Drugi z napastników otrzymał cios taboretem w głowę w tej samej chwili, gdy trzeci upuścił nóż, prosząc Giovanniego, który już szykował się do ciosu, o zmiłowanie. Chłopak zatrzymał ostrze i rzucił Piętrovi drugi miecz. Olbrzym bez wahania przeciął rękę nieszczęśnika i wrzasnął:

- Jeśli wrócisz, obetnę ci łeb!

Mężczyzna umknął, kwicząc jak zarzynana świnia. Pietro tym czasem podszedł do mężczyzn leżących na klepisku i przywiązał ich do rosnącego przed domem drzewa.

- Kim oni są? Gdzie jest Mistrz Lucjusz? - krzyknął Giovanni który dopiero zaczął sobie uświadamiać, co się stało.

- Na szczęście, widząc tych rzezimieszków, zdążyłem zamknąć go w jego pokoju - odpowiedział zdyszany Pietro. - Teraz już możemy go wypuścić.

Staruszek trząsł się jeszcze z przerażenia. Służący opowiedział mu przebieg walki, chwając odwagę Giovanniego.

- Jestem z ciebie dumny, chłopcze! Nie wystarcza ci sprawne władanie słowem i myślą. Na szczęście dla nas wszystkich, umiesz także posługiwać się mieczem!

Pietro chętnie poobcinałby ręce dwóm uwięzionym szubrawcom, ale Mistrz Lucjusz sprzeciwił się tak okrutnej karze. Przymknął jednak oko, gdy jego sługa z lekka poturbował nieszczęśników przed wypuszczeniem ich na wolność. Przerażeni napastnicy uciekli czym prędzej, biorąc nogi za pas.

- No to nie zobaczymy ich teraz zbyt prędko - powiedział Giovanni radośnie.

- Oby cię usłyszała Najświętsza Pani i wszyscy święci - odpowiedział Pietro z powątpiewaniem. - To już piąta czy szósta wizyta tego rodzaju, od kiedy się tutaj sprowadziliśmy. Oby Bóg sprawił, żeby nie wrócili większą kupą mścić się lub podpalić chałupę!

Incydent dość szybko poszedł w zapomnienie, niemniej jednak Giovanni miał koszmarne sen, w którym obcinał ręce setkom atakujących go jednocześnie bandytów.

Nazajutrz rano chłopak udał się do Mistrza i zanim jeszcze ten zaczął mówić o horoskopie, zapytał, dlaczego Mistrz Lucjusz wypuścił bandytów zamiast oddać ich w ręce sprawiedliwości. Filozof wyjaśnił, że Abruzja leży na terenie Państwa Kościelnego, a on wolałby, aby papież nie dowiedział się o jego obecności. Nie żeby obawiał się o swe bezpieczeństwo, ale wolał pozostać w ukryciu i nie chciał, by zmuszono go do przyjazdu do Rzymu w celu zeznawania przed sądem i udzielania wyjaśnień. Następnie wstał i przyniósł ze swojego pokoju dużą kartkę papieru, wręczając ją Giovanniemu.

- Proszę. Oto twój horoskop.

Młodzieniec ze wzruszeniem zobaczył narysowany za pomocą cyrkla okrąg. W środku, niczym pępek, znajdowała się planeta Ziemia. Dwa następne koncentryczne kręgi oznaczały trajektorie Księżyca i Merkurego. Trzeci krąg symbolizował tor Wenus. Nieco dalej znajdowały się jeszcze kręgi Słońca, Marsa i Jowisza. Ostatnim, zewnętrznym kręgiem był krąg Saturna. Wokół niego Mistrz Lucjusz zaznaczył poszczególne znaki zodiaku, a naprzeciw nich - planety. Cały rysunek podzielony był dwiema osiami: oś wschód-zachód zaznaczała znaki, w których znajdował się ascendent i descendent, oś północ-południe wytyczała punkty *medium* i *imum coeli*.

- Najpierw wyjaśnię ci położenie Słońca i Księżyca, gdyż te ciała niebieskie są najważniejsze - powiedział astrolog, wyjmując horoskop z rąk młodzieńca. - Całe szczęście, że matka opowiadała ci o pełni Księżyca. Ta cenna informacja pozwoliła mi nie tylko odnaleźć położenie tych ciał, lecz także, dzięki efemerydom, ustalić dokładną datę twoich narodzin.

Giovanni wytrzeszczył oczy.

- W tysiąc pięćset czteremset roku Księżyc był w pełni podczas przesilenia wiosennego. Konkretnie nocą z dwudziestego na dwudziestego pierwszego marca. Jeśli ufać informacjom, które przekazała ci matka, urodziłeś się w Kalabrii dwudziestego marca tysiąc pięćset czteremset roku po zachodzie Słońca.

Filozof odkaszlnął lekko, po czym podjął swój wywód.

- Urodziłeś się w przeddzień równonocy, w chwili gdy Słońce znajdowało się w ostatnim stopniu znaku Ryb. Jako że była wtedy pełnia, Słońce stało dokładnie naprzeciw Księżyca, który był wówczas w ostatnim stopniu znaku Panny.

Jeśli urodziłeś się na początku nocy, masz Saturna w ascendencie, w znaku Skorpiona, bo właśnie Skorpion pojawił się wtedy nad horyzontem. Jowisz z kolei właśnie zachodzi na zachodzie, a Słońce, jako że dopiero zaszło, nie zdążyło jeszcze zbyt oddalić się od descendentu.

Mistrz Lucjusz przerwał na chwilę.

- Co to wszystko znaczy? - wymamrotał Giovanni.

- Jedna sprawa, to narysować wykres nieba, co samo przez się wymaga pewnej wiedzy. Ale interpretacja horoskopu jest prawdziwą sztuką! - odpowiedział starzec. - Byłem bardzo znany we Florencji z racji uprawiania tej profesji, wymagającej zespolenia intuicji i intelektu. Właśnie dlatego nigdy dwóch astrologów nie przedstawi identycznej interpretacji. Zwracam ci na to uwagę, gdyż jest to punkt sporny pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami astrologii, która nie jest nauką ścisłą, jak logika czy matematyka. Jest to wiedza, która posługuje się językiem symboli i wymaga interpretacji.

Giovanni wstrzymywał oddech z pełną świadomością faktu, że nadchodzące minuty przyniosą mu objawienie.

Mistrz opisał mu podstawowe cechy jego charakteru: wrażliwość, pasję i dyscyplinę, naturalną zdolność do nauki. Podczas gdy Lucjusz mówił mu o skłonności do zakochiwania się i do idealizowania miłości, Giovanni zadrżał ze wzruszenia.

- Omówiliśmy już z grubsza najważniejsze punkty. Teraz musimy jeszcze powiedzieć parę słów o pozycji Saturna. Jest ona o tyle ważna, że - po pierwsze - w twoim horoskopie Saturn znajduje się w ascendencie. Po drugie dlatego, że stoi na drodze pomiędzy Słońcem a Księżycem.

Mina Giovanniego zdradzała, że młodzieniec nic nie rozumie. - A więc, jeśli przyjrzymy się twemu horoskopowi, okazuje się, że twoje największe trudności wynikają z opozycji Słońca i Księżyca. Całe życie przyjdzie ci walczyć, aby tę opozycję przezwyciężyć. Oba te ciała niebieskie są związane z Saturnem, który zapewnia łączność pomiędzy biegunami twojej osobowości. Saturn symbolizuje konieczność odłączenia się i smutku. Pomaga człowiekowi uwolnić się od więzów, które łączą go z matką, dorosnąć na drodze prób i doświadczeń. Starożytni nazywali go „Złowróbnym”, gdyż przepowiada bolesny los, przynosi trudności i przeszkody. Mój nauczyciel, Marsilio Ficino, całe życie cierpiał na melancholię, której przyczyn upatrywał w silnej pozycji Saturna w swoim horoskopie. Ale człowiek, który zrozumie, że trudne doświadczenia wzmacniają go, a dzięki wyrzeczeniom i samotności może osiągnąć Wyższe Dobro, staje się prawdziwym człowiekiem. Saturn pomaga nam wyzwolić się z więzów, które zbyt mocno przywiązują nas do matki, do przeszłości czy dzieciństwa, do przyjemności i ziemi. Jest wielkim, acz surowym nauczycielem kształtującym naszą inteligencję. Prowadzi nas do nieba poprzez piekło przezwyciężania naszych namiętności. Właśnie dlatego większość mnichów jest pod silnym wpływem tej planety, która predestynuje do wyrzeczeń, nauki, samotności i ascezy. Mój nauczyciel mawiał, mając na myśli samego siebie, że: „Dzieci Saturna są skazane na poszukiwanie piękna, dobra i prawdy”.

To także o was, Mistrzu! - zauważył Giovanni.

- Tak, mój horoskop pod wieloma względami przypomina horoskop mojego mistrza. Tak samo rzecz ma się między nami, Ale nie ma się czemu dziwić. Centralna pozycja Saturna mówi, że

twój los będzie wytyczony przez doświadczenia, które będą pewnego rodzaju etapami inicjacyjnymi. Dzięki temu zdobędziesz prawdziwą mądrość. Zobacz, pierwszym doświadczeniem była utrata matki w dzieciństwie. Możesz teraz całe życie uganiać się za kobietami, lub zaakceptować to doświadczenie, wzmocnić się dzięki niemu i w przyszłości dokonywać świadomych, dojrzałych wyborów w sferze uczuć.

Ale uważaj, byś za bardzo nie uległ wpływowi surowości i srogości Saturna. Twój horoskop mówi, że bardzo potrzebujesz kobiecej czułości, życia towarzyskiego, piękna. Twoje życie oscyluje pomiędzy dwiema dużymi planetami: Jowiszem i Saturnem, z których pierwszy znajduje się w descendencie, a drugi w ascendencie.

Jowisz skłania cię do wyjścia życiu naprzeciw i czerpania radości pełnymi garściami. Saturn natomiast zaleca wycofanie się z życia i wzniesienie się ponad namiętności. Jowisz przynosi szczęście, opiekę i lekkość bytu. Saturn z kolei zapowiada los pełen bolesnych doświadczeń. Dzięki Jowiszowi jesteś optymistą. Saturn wpędza cię w pesymizm.

Giovanni był niezwykle poruszony słowami mędrca, któremu przyznawał rację.

Astrolog tymczasem, zdradzając oznaki zmęczenia, podjął wywód nieco znużonym, ale pewnym siebie tonem:

- Tak jak w twoim horoskopie Słońce i Księżyc znajdują się w opozycji, tak twoje życie będzie stałym wysiłkiem zmierzającym do pogodzenia przeciwieństw twojego charakteru.

Starzec zamilkł i powoli podniósł wzrok na Giovanniego.

- Wiele by jeszcze mówić na temat twojego losu i charakteru, ale wiesz już wystarczająco dużo, a ja jestem zmęczony. Dość powiedzieć, że twój horoskop potwierdza, że jesteś wprost stworzony do filozofii!

Giovanni podziękował nauczycielowi i wyszedł z izby, potykając się po drodze, jakby był przygnieciony ciężarem wypowiedzianych przez astrologa słów.

Pełen niepokoju udał się do lasu. W jego głowie kłębiły się tysiące myśli. Wszystko potwierdzało - przynajmniej częściowo - złowróżbną przepowiednię czarownicy. Ale być może lo dwukrotnie uprzedził go o nadchodzących nieszczęściach, właśnie po to, by owych nieszczęść uniknąć?

Umysł Giovanniego drażyło jeszcze jedno pytanie. Astrologia badała kwestię losu i wolnej woli, dostarczając jednocześnie niezwykle cennej wiedzy z zakresu symboliki i psychologii, pozwalając lepiej poznać siebie i innych. Myśląc o tym, Giovanni doszedł do wniosku, że bardzo chciałby nauczyć się sporządzać i interpretować horoskopy. Jakże cudownie byłoby wykreślić horoskop Eleny i porównać go z własnym! Wyobrażał sobie, że przybywa do Wenecji i w taki sposób zawiera znajomość z Eleną: Jestem astrologiem. Jeśli życzysz sobie, pani, sporządzę i zinterpretuję twój horoskop urodzeniowy”. Całkiem niezły sposób na zbliżenie się do niewiasty.

Mistrz mówił mu, że astrologdy byli bardzo szanowani na dworach Europy i dosłownie wrywano ich sobie z rąk. Tak, tak. Mógłby nie tylko zbliżyć się do Eleny, ale też godnie zarabiać na życie i wznieść się ponad swój chłopski stan.

Im więcej rozmyślał, tym pomysł ten wydawał mu się doskonalszy. Jeszcze dwa lata musi zostać przy Mistrzu Lucjuszu, a to z całą pewnością wystarczy, by wyuczyć się trudnej profesji astrologa. Nagle uświadomił sobie pewną przeszkodę: aby sporządzać horoskopy, musi mieć efemerydy, a one z całą pewnością kosztują majątek! Nie wyobrażał sobie, jak mógłby zarobić stosowną ilość pieniędzy. Rozważając problem, wpadł na genialny pomysł: a gdyby tak poprosić mistrza o zezwolenie skopiowania efemeryd znajdujących się w jego posiadaniu? W ten sposób mógłby sporządzać horoskopy osób urodzonych pomiędzy rokiem 1490, a 1520. To już by było coś. Mógłby nawet sporządzić horoskop Eleny. W końcu jest od niego tylko parę lat młodsza. Taka praca wymagałaby setek godzin ślęczenia nad księgami, ale Giovanni był gotów poświęcić jej wszystkie nadchodzące noce. Całe dwa lata, jeśli będzie trzeba.

Musi tylko zdobyć papier i atrament, ale to nie powinno być zbyt drogie.

Po długich przemyśleniach młodzieniec postanowił otworzyć przed Mistrzem Lucjuszem tajniki swej duszy dotyczące tej jakże ważnej dla jego przyszłości sprawy.

Mistrz wysłuchał go cierpliwie, po czym zapadła cisza. Giovanni czekał, pełen niepokoju, długie dwie czy trzy minuty. W końcu astrolog wyraził zgodę. Obiecał nawet, że da swemu uczniowi Papier i atrament. W głębi duszy radował się, że ma komu przekazać obszerną, a jednocześnie tak mało znaną wiedzę. Cenił Giovanniego za jego inteligencję, wrażliwość, odwagę i wolę nauki. Doszedł do wniosku, że właśnie w tym celu zesłała mu go opatrzność.

Kilka tygodni później Giovanni udał się do miasta, by kupić zeszyty. Po dwóch dniach marszu dotarł do wspaniałej Sulmony, którą ze wszystkich stron opasywały wysokie mury obronne. Miasto to, dumne ze swojej chwalebnej przeszłości (widziało narodziny Owidiusza), było w owym czasie ważnym ośrodkiem kulturalnym.

Kierując się wskazówkami Pietra, który - przewidując ewentualny powrót bandytów - wolał zostać z mistrzem, Giovanni odnalazł, nie bez trudu zresztą, księgarza, który sprzedał mu papier i atrament. Młodzieniec nie od razu opuścił miasto, snując się wicie godzin po jego ulicach.

Był jednocześnie oszołomiony i zachwycony gwarem, ruchem, pięknem kobiet, elegancją mężczyzn i różnorodnością zapachów.

Wstydział się swoich ubrań, i był przerażony, że kiedyś przyjdzie mu żyć w Wenecji: mieście jeszcze większym, piękniejszym i bardziej olśniewającym. Myśl ta przyprawiała go o zawrót głowy. Spokojnie, dojdziemy tam metodą małych kroków, pomyślał roztropnie i udał się w powrotną drogę do domu.

Dobiegał końca trzeci rok studiów Giovanniego u Mistrza Lucjusza. Młody, niedouczony i nieco rachityczny marzyciel stał się postawnym, wykształconym mężczyzną, a jego przemiana, tak fizyczna, jak i intelektualna, była wręcz niewiarygodna. Nie tracąc nic ze swej wrażliwości i idealizmu, Giovanni stał się mniej naiwny i bardziej zdeterminowany, a także zyskał większe poczucie rzeczywistości.

Jako że był młodszy i bardziej zwinny od Pietra, nauczył się nie tylko wprawnie władać mieczem, ale też coraz częściej górował nad swym nauczycielem podczas treningu. Mimo że gotów był już stanąć do walki, ku jego rozgoryczeniu, od ataku zbójców nie powtórzył się niestety żaden incydent tego typu.

Poczynił także spektakularne postępy w nauce. Grekę znał na tyle dobrze, że mógł czytać filozofów w oryginale. Znał Stary i Nowy Testament, a ponieważ był obdarzony doskonałą pamięcią, co znacznie ułatwiało mu naukę, chętnie uczył się fragmentów Pisma Świętego na pamięć.

Jednak jego ulubioną dziedziną wiedzy była astrologia.

Na podstawie efemeryd i tablic długości i szerokości geograficznej umiał już sporządzać horoskop i określać układ nieba według dnia i godziny urodzenia człowieka. Skończył też przepisywać tablice astronomiczne - obowiązujące w całej Italii - oraz efemerydy określające układ Słońca, Księżyca i innych ciał niebieskich. Poznał też symbolikę planet i znaków zodiaku i zaczynał całkiem sprawnie interpretować horoskopy. Jego motywacja do poznania astrologii była tym większa, że oprócz gimnastyki umysłu dziedzina ta była w stanie zapewnić wymierne, praktyczne korzyści społeczne i materialne.

Cały czas marzył też o Elenie. Niemniej jednak jego miłość stała się bardziej dojrzała. Giovanni postanowił nie uciekać do krainy fantazji i unikał wszelkich myśli i obrazów, które nie byłyby związane z realnymi wspomnieniami. Studia astrologiczne pozwoliły mu także lepiej poznać samego siebie. Dzięki nim zdał sobie sprawę ze swej niebezpiecznej skłonności do idealizowania osób i zdarzeń. Walczył więc z tą cechą charakteru i nieustannie kontrolował swoje myśli, zwłaszcza te, które dotyczyły Eleny. Cierpliwie czekał na dzień, kiedy znów ją ujrzy, pielęgnując w sercu wspomnienie jej twarzy, bez spekulacji na temat, jak wygląda teraz. Każdego wieczoru czytał też jej list. Mimo że od dawna znał na pamięć każde słowo, za każdym razem ulegał wzruszeniu, spoglądając na skreślone jej ręką wyrazy, będące jedynym realnym dowodem ich przelotnego spotkania.

Czuł, że nadchodzi czas spełnienia danej samemu sobie obietnicy i że niebawem wyruszy na spotkanie z ukochaną. Stale pogłębiał wiedzę astrologiczną, traktując ją jak jedyną przepustkę do serca Eleny.

Jego przekonanie było tym większe, że dwa miesiące wcześniej, pod koniec sierpnia, jego

Mistrza odwiedził pewien mężczyzna: hiszpański filozof, Juan de Valdęs, jeden z nielicznych ludzi, którzy znali miejsce pobytu Lucjusza. Przyjechał poinformować astrologa o śmierci ich przyjaciela, Erazma, który odszedł 12 lipca tegoż 1536 roku. Mistrz Lucjusz był bardzo poruszony.

Mężczyźni rozmawiali także o sprawach światowych. Jako że w ciągu ostatnich dwóch lat nikt nie odwiedzał Lucjusza, filozof nie wiedział o wyborze nowego namiestnika Stolicy Piotrowej, Aleksandro Farnese. Astrolog nie był zbyt zdziwiony, tym bardziej że dwadzieścia lat wcześniej osobiście przepowiedział ówczesnemu kardynałowi, że zostanie papieżem, mimo że był... ojcem czworga dzieci.

Juan de Valdęs wyjaśnił przyjacielowi, że wybór Farnese - stary lis miał wówczas sześćdziesiąt sześć lat - znacznie podniósł autorytet Lucjusza jako astrologa, a wielu szlachetnie urodzonych, w tym sam papież, starało się znaleźć kryjówkę Lucjusza i sprowadzić go do Rzymu. „Niech mnie Bóg broni!” - wykrzyknął filozof, skądinąd zadowolony, że jego sława sięga tak daleko.

Astrolog długo pytał przyjaciela o politykę nowego Ojca Świętego który przyjął imię Pawła III. Wiadomości przekazywane przez Hiszpana były raczej uspokajające. Paweł III uprawiał, co prawda, politykę nepotyzmu, czyli przyznawał stanowiska kościelne swoim dzieciom i wnukom, ale patrzył przychylnie na sprawę reformy Kościoła i był otwarty na dialog z protestantami, Przygotowując się do zwołania soboru, mianował kardynałów otwartych na nowe idee. Uzyskał nawet poparcie Erazma, któremu ofiarował w zamian kardynalski kapelusz i wysoką rentę kościelną: zatrute dary, które ostatecznie poróżniłyby Erazma z reformatorami, a które roztropny filozof natychmiast odrzucił. Słyszając to, Mistrz Lucjusz śmiał się do rozpuku.

Przy okazji odwiedzin Valdęsa Giovanni dowiedział się, że jego nauczyciel był nie tylko cenionym mędrce, ale też największym współczesnym astrologiem, którego liczne przepowiednie spełniały się co do joty. Dowiedziawszy się o tym, Giovanni tym bardziej postanowił pójść w ślady mistrza, wierząc, że z całą pewnością spłynie na niego splendor jego słynnego nauczyciela.

Podczas rozmowy przyjaciół uwagę Giovanniego przykuł jeden szczegół. Filozof hiszpański powiedział, że niedawno sprowadził się do Neapolu, gdzie spotkał młodą księżniczkę: piękną i wykształconą Julię Gonzagę. Na dźwięk tego imienia Giovanni wtrącił się do rozmowy, opowiadając o dziwnym spotkaniu z piękną nieznajomą, jakie miało miejsce dwa lata temu. Powiedział, że miała na imię Julia i jechała do klasztoru San Giovanni in Venere.

Juan de Valdęs zamilkł na chwilę, po czym zapytał:

- Powiadasz, że to spotkanie miało miejsce dwa lata temu, na początku sierpnia tysiąc pięćset trzydziestego czwartego roku?

- Tak.

- I powiadasz, że dziewczyna była piękna i miała długie, kasztanowe włosy, ale była

przebrana za mężczyznę i wyglądała na strwożoną?

Giovanni przytaknął skinieniem głowy.

- Ależ niesamowity zbieg okoliczności!

Giovanni, Pietro i Mistrz Lucjusz spijali każde słowo z ust hiszpańskiego filozofa.

- Muszę wam opowiedzieć niewiarygodną historię Julii Gonzagi, księżniczki Fondi, gdyż istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że to właśnie ją spotkał Giovanni tamtego dnia. Ależ niesamowite jest życie!

- Nie każ nam dłużej czekać! - wykrzyknął astrolog.

- Młoda Julia jest córką Ludwika Gonzagi, księcia Sabionetty oraz Franceski Fieschi. Od najmłodszych lat pobierała bardzo staranne wykształcenie. Mając trzynaście lat znała już muzykę, filozofię, teologię i nauki przyrodnicze. Ponieważ była bardzo ładna, wzbudzała zainteresowanie wszystkich, którzy ją kiedykolwiek spotkali. Mając niecałe czternaście lat, poślubiła Wespazjana Colonnę, księcia Fondi - pięknego miasta leżącego pomiędzy Rzymem i Neapolem, niedaleko wybrzeża Morza Śródziemnego dwa dni drogi konno stąd. Książę, niezwykle bogaty i wykształcony wdowiec, był niestety trzydzieści trzy lata starszy od swej młodej żony. Jego córka miała tyle lat co Julia. Gorąca miłość księcia do nowej małżonki wzbudzała szaloną zazdrość córki. Kiedy dwa lata po ślubie zmarł w nieszczęśliwym wypadku, zostawił szesnastoletniej wdowie ogromny majątek. W ten oto sposób Julia, tyleż dzięki swej urodzie, co dzięki bajecznej fortunie, stała się najbardziej pożądaną partią w Italii! Ale książę zawarł w testamencie klauzulę zakazującą Julii ponownego zamążpójścia. W razie złamania zakazu, cały majątek miał przypaść... córce!

- To dopiero kanalia! - wykrzyknął Pietro, krztusząc się ze śmiechu.

- Mógł podzielić majątek między córkę i żonę zamiast ustanawiać absurdalne klauzule - zauważył Lucjusz.

- Zwłaszcza że rywalizacja doprowadziła do tragedii. Julia zaakceptowała klauzulę o zakazie ponownego zamążpójścia i w krótkim czasie przekształciła pałac w słynny ośrodek intelektualny, do którego napłynęli myśliciele, artyści i ludzie Kościoła. Portrety Julii namalowane przez Tycjana i Del Piombio przydały księżnej sławy i za ich sprawą Fondi zapełniło się spragnionymi adoratorami, z których każdy chciał zdobyć serce młodej wdowy. Dziewczyna miała, oczywiście w największym sekrecie, kilku kochanków, między innymi młodego kardynała Hipolita Medyceusza.

- Coś podobnego - wtrącił Lucjusz, któremu dane było poznać rodzinę Medyceuszy. - Kiedy opuszczałem Florencję, był jeszcze dzieckiem.

- W rzeczy samej, był niewiele starszy od Julii. Spotkał go zresztą tragiczny koniec. Ale zanim wam o tym opowiem, muszę wrócić do nieprawdopodobnych wydarzeń, które miały miejsce w nocy z ósmego na dziewiątego sierpnia tysiąc pięćset trzydziestego czwartego roku, a które

przewróciły życie księżnej do góry nogami.

Juan de Valdės zamilkł na chwilę, wychylając kielich wina.

Gospodarze milczeli, oczekując dalszego ciągu opowieści.

- Około północy obudzono Julię, ostrzegając ją, że sławny korsarz Hayreddin, zwany również Barbarossą, przybił do brzegu dwoma tysiącami najemnych janczarów tureckich i ma zamiar ją porwać, by sprawić prezent sułtanowi Sulejmanowi Wielkiemu! Korsarze stali u bram i za parę minut spodziewano się ich w pałacu. Julia nie wahała się ani chwili: w towarzystwie służącego pobiegła do stajni, osiodłała najlepszego konia i w nocnej koszuli umknęła w góry. Całą noc galopowali dolinami Abruzji. Kiedy nad ranem położyli się, by nieco odpocząć, służący próbował ją zgwałcić. Julia przebiła go sztyletem i ruszyła w dalszą drogę do klasztoru San Giovanni in Venere, gdzie miała nadzieję spotkać swego przyjaciela, kardynała Medyceusza.

De Valdės spojrział na Giovanniego, całkowicie oszołomionego opowieścią.

- Wygląda na to, że to właśnie ją spotkałeś wieczorem nad rzeką gdy zatrzymała się, by napić konia.

- Z całą pewnością - odpowiedział Pietro. - Szkoda, że jej nie przyprowadziłeś do domu!

- Bardzo tego chciałem, ale była przerażona i chciała odjechać czym prędzej - odpowiedział Giovanni. - Teraz już wiem dlaczego!

- To niesamowita historia. Aż trudno uwierzyć! - powiedział Lucjusz. - A co się z nią później stało?

Juan de Valdės westchnął głęboko.

- Kardynał był wówczas w Rzymie. Kiedy następnego dnia rano dowiedział się o ataku korsarzy i, zwoławszy sześciotysięczną armię, ruszył na Fondi, zastał miasto w morzu ognia i krwi. Barbarossą odszedł z pustymi rękami, ale z wściekłości, że nie udało mu się dopaść zdobyczy, zmasakrował mieszkańców, splądrował co bogatsze domy i sprofanował groby właścicieli zamku. To była zaiste krwawa łaźnia.

Przygnębieni gospodarze słuchali w milczeniu, wyobrażając sobie te straszliwe sceny.

- Ale dlaczego korsarz Barbarossą chciał porwać piękną Julię i ofiarować ją sułtanowi? - zapytał Pietro. - Przecież wtargnięcie na teren Państwa Kościelnego było bardzo ryzykowne. A poza tym, czyż władca Konstantynopola nie posiada w swoim haremie dziesiątek pięknych żon?

- Przyjacielu, dotknąłeś najciemniejszego aspektu tej sprawy. Niestety, na to pytanie nikt nie zna odpowiedzi. Wysuwana przez niektóre kręgi hipoteza jest tyleż ohydna, co prawdopodobna: być może zazdrosna o Julię pasierbica, która nigdy nie pogodziła się z utratą majątku na rzecz znenawidzonej przez siebie kobiety wezwwała korsarzy, mając ich zjawiskową urodę księżnej i obiecując bogactwa zamku w zamian za rapt. Prawdę mówiąc, napastnicy byli doskonale poinformowani i prawdopodobnie mieli współników, którzy doprowadzili ich do zamku. Niestety,

nie istnieją żadne dowody przeciw córce Wespazjana. Podejrzenia co do spisku zostały potwierdzone rok później, gdy kardynał Medyceusz, najlepszy przyjaciel i protektor Julii, został zamordowany w ogrodach księżnej. Mówi się jednak, że tego aktu mógł dokonać jeden z odrażonych adoratorów pięknej Julii. Po tym wydarzeniu, zmęczona intrygami księżna postanowiła wycofać się z publicznego życia. Osiadła w klasztorze w Neapolu, gdzie oddała się pracy na rzecz innych. Poznałem ją ubiegłej wiosny dzięki memu przyjacielowi, Bernardinowi Ochinowi, który świętował w Neapolu koniec postu.

Tym razem Valdčs spojrzął na Lucjusza.

Muszę przyznać, że było to bardzo twórcze spotkanie, gdyż księżna popiera nasze idee. Bardzo wspiera protestantów i działa na rzecz zbliżenia między katolikami i reformatorami.

- Wspaniale - ucieszył się filozof.

Następnie rozmowa zeszła na inne tematy, zwłaszcza na neapolitańską działalność Valdčsa i powstawanie w miastach Italii wielu grup ewangelicznych, które z jednej strony postulowały wewnętrzną reformę Kościoła, a z drugiej nie były zamknięte na dialog z luteranami.

Giovanni był tak bardzo poruszony historią księżnej, że przez wiele tygodni nie myślał o niczym innym. „Jakież tragiczny los spotkał osobę tak hojnie obdarzoną przez życie, pomyślał. Zgodnie z sugestią mistrza, modlił się za tę istotę, którą spotkał tylko przelotnie, głowiąc się nad sensem tego spotkania.

Takie oto myśli zaprzętały Giovanniego, gdy pewnego jesiennego poranka, podczas wędrówki po lesie, w odległości zaledwie kilkuset kroków od domu, stanął twarzą w twarz z tuzinem zbrojnych jeźdźców.

29

- Czy trafiliśmy do Vedice? - zapytał jeden z nich, zanim Giovanni zdołał zareagować.

- Tak.

- Szukamy domu Mistrza Lucjusza Constantiniego. Giovanni stanął jak wryty. Nie miał pojęcia z kim ma do czynienia. Być może jego nauczycielowi grozi niebezpieczeństwo? Trzeba było skłamać! Ale tak czy inaczej nie przeszkodziłby tuzinowi zbrojnych zbliżyć się do domu.

- Jesteś niemy czy nienormalny? - zapytał ponownie rycerz, bardziej agresywnie.

Giovanni zauważył, że jeźdźcy mieli na tunikach i tarczach papieski herb. Uspokoił się nieco.

- Nie... nie wiem, czy jest w domu. Dowiem się. Kogo mam zapowiedzieć?

Zamiast odpowiedzieć, jeździec wymierzył Giovanniemu silnego kopniaka. Zanim chłopak wstał, obcy spięli konie ostrogami i ruszyli w stronę domostwa. Giovanni pobiegł za nimi co sił w nogach.

Kiedy dotarł do polany, zobaczył, że Pietro rozmawia z jednym z nich. Jeździec zdążył już

zsiąść z konia i pokazywał olbrzymowi jakiś dokument. Nie zauważając wrogości ze strony Pietra, Giovanni zwolnił nieco i ostrożnie podszedł do domu.

Pietro tymczasem wszedł do izby, prowadząc za sobą rycerza, który jako jedyny z całej grupy nie był uzbrojony. Pozostali także zsiadli z koni. Kiedy ujrzeli Giovanniego, jeden z nich krzyknął:

- Ty, durniu, nie wiesz, gdzie możemy napoić konie?

Giovanni zacisnął pięści. Miał chęć rzucić się na zuchwalca, ale się opanował.

- Owszem, panie - odpowiedział ironicznie. - Niedaleko jest rzeka. Jakies sześćset stóp za domem.

Mężczyzna nie odpowiedział. Wysłał żołnierzy z końmi nad wodę, a sam, w towarzystwie jednego z nich, stanął w drzwiach domu. Giovanni chciał przekroczyć próg, gdy mężczyzna zagroził mu drogę ramieniem. Tego już Giovanni nie wytrzymał. Bez zastanowienia chwycił miecz żołnierza, gdy ten próbował go odepchnąć. Zbrojny potknął się o kamień i padł jak długi. Tymczasem Giovanni, nie dając drugiemu czasu na reakcję, z całej siły uderzył go płazem miecza w głowę. Mężczyzna osunął się na ziemię bez słowa. Giovanni przystawił miecz do szyi żołnierza, który go obraził.

- Może i jestem prostakiem, ale umiem się bić! Broń się! - powiedział, po czym cofnął się nieco, chwycił miecz nieprzytomnego i rzucił go wyzwanemu.

Żołnierz był zupełnie osłupiały. Zawahał się przez chwilę, po czym zaatakował Giovanniego.

Zaalarmowany szczękiem broni Pietro stanął w drzwiach. Widząc, co się dzieje, nakazał Giovanniemu złożyć broń.

- Nie, dopóki mnie nie przeprosi - odparł walczący jak lew młodzieniec.

Pietro nie wiedział wprawdzie co się stało, ale był niezwykle dumny ze swego ucznia. Nawet zagrzewał go do wałki:

- Dalej, chłopcze! Żywiej na nogach i wysoka zasłona! Żołnierz bardzo szybko zaczął przejawiać oznaki zmęczenia.

Giovanni uznał, że pora kończyć. Odparował źle wyprowadzony atak, po czym podstawił adwersarzowi nogę. Mężczyzna znów wyciągnął się jak długi, czemu towarzyszyło radosne „hura” Pietra.

- Oczekuję przeprosin, grubianinie! - krzyknął Giovanni przystawiając miecz do piersi pokonanego.

- Prze... przepraszam...

- Niezła lekcja! - powiedział Pietro, kładąc rękę na ramieniu swojego ucznia. - Niczego więcej już cię nie nauczę - dodał, pomagając tamtemu wstać. - A teraz zmiataj! - rzucił do

pokonanego. - Zajmij się swym kamratem i daj nam spokojnie porozmawiać, w czasie gdy nasi panowie rozprawiają wewnątrz.

Mężczyzna nie kazał sobie powtarzać dwa razy.

- Mój chłopcze, podjąłeś wielkie ryzyko, wyzywając na pojedynek członka straży papieskiej. Ale nie mam ci tego za złe. W końcu broniłeś swego honoru. Na twoim miejscu zachowałbym się tak samo!

A czego tu szuka papieska straż?

- Mężczyzna, który jest w domu, nie jest żołnierzem. To kardynał, wyobraź sobie!...
Kardynał?

- Tak. I wydaje mi się, że nasz pan chyba go zna. Kardynał podróżuje incognito z garstką straży przybocznej. Nie wiem jakim cudem nas znalazł, ale przyniósł wiadomość od samego papieża.

Giovanni wytrzeszczył oczy.

- „Największej wagi”. Tak powiedział. I całkowicie poufną. Zażądał nawet, bym wyszedł z domu na czas, gdy będzie rozmawiać z Mistrzem Lucjuszem. Zastanawiam się, o czym oni tam rozprawiają - dodał Pietro.

Rozmowa trwała kilka godzin. Giovanni i Pietro czekali przed domem, coraz bardziej zdenerwowani. W końcu astrolog stanął w drzwiach i z najwyższym szacunkiem pożegnał swego gościa. Przyjezdni odjechali tak nagle, jak się pojawili. Trójka mężczyzn stała jeszcze chwilę w milczeniu. Giovanni spojrzał na swego nauczyciela. Astrolog wyglądał na przygnębionego.

- To, o co mnie prosi, jest niedorzeczne - powiedział w końcu, patrząc nieprzytomnie.

- O co chodzi? - zaniepokoił się Pietro. Filozof powoli doszedł do siebie.

- Nie wolno mi z nikim o tym rozmawiać. Nawet z wami, przyjaciele. Jest to sprawa najwyższej wagi. Teraz na wiele dni, a nawet tygodni, zamknę się w swoim pokoju - dodał znużonym głosem. - Zawieszamy wszelkie lekcje. Rób, co ci się podoba - powiedział, patrząc na Giovanniego.

Następnie zwrócił się do Pietra.

- Kiedy skończę to, co mam skończyć, pošlę cię do Rzymu. Zawieszasz mój list do papieża. Teraz niech nikt mi nie przeszkadza. Będziesz mi przynosił posiłki do pokoju.

Starzec odwrócił się i przekroczył próg domu.

- Niech Bóg ma mnie w swojej opiece - westchnął.

30

Mijały dni, tygodnie i miesiące. Stary filozof zamknął się w swojej sypialni - przekształconej teraz w gabinet - gromadząc w niej całe mnóstwo rozmaitych dzieł, w tym słynny rękopis Al-Kindiego. Pisał, pracując dniem i nocą bez wytchnienia, wychodząc dwa razy dziennie,

by zaczerpnąć powietrza.

Pewnego ranka, po niemal czterech miesiącach tytanicznej pracy, wyszedł z sypialni.

- Jutro wyruszysz w drogę, by dostarczyć ją papieżowi - powiedział, podając Piętrowi pokazną, starannie zapieczętowaną sygnetem kopertę. - Udasz się najpierw do kardynała, którego widziałeś tutaj. Na kopercie widnieje jego nazwisko. On zaprowadzi cię do Ojca Świętego. Oddasz kopertę do rąk własnych. Zważ, by zawartość nie trafiła w niepowołane ręce! Jeśli napadną cię zbójcy, zniszcz ją! Nie ma prawa zniknąć ci z oczu!

Uroczyste słowa pana wywarły na słudze tak wielkie wrażenie, że w odpowiedzi skinął tylko głową bez słowa.

- Mistrzu, czy mogę wyrazić życzenie? - zapytał Giovanni.

- Sądysz, że to właściwy moment? Muszę odpocząć.

- To ważne, Mistrzu.

- Zatem słucham - odpowiedział starzec, opadając na krzesło. Giovanni był niezwykle wzruszony. Wiele tygodni temu podjął pewną decyzję i od tamtej pory wciąż na nowo układał w głowie treść przemowy, jaką wygłosi przed ukochanym nauczycielem.

- Mistrzu, ku memu wielkiemu szczęściu jestem waszym uczniem od ponad trzech lat. Dzięki waszemu poświęceniu, w ciągu tych kilku lat zdobyłem wiedzę, o jakiej nawet mi się nie śniło.

Mało tego. Poznałem samego siebie i nauczyłem się dążyć do prawdy. Wiele jeszcze mógłbym się od was nauczyć, ale by osiąść całą waszą wiedzę, nie starczyłoby mojego życia. Powoli odwrócił głowę w stronę Pietra.

- Podobnie ma się rzecz z tobą, przyjacielu. Nigdy nie spłacę długu wdzięczności, jaki u ciebie zaciągnąłem.

Giovanni ponownie spojrzał na swego nauczyciela, który słuchał z uwagą.

- Muszę was opuścić. To postanowienie łamie mi serce, gdyż kocham was obu bardziej niż własnych rodziców.

Giovanni z trudem opanował wzruszenie. Jego głos stał się cichy i drżący.

- Ale moje serce nigdy nie przestało kochać dziewczyny, którą przelotnie spotkałem w mojej wiosce. To dla niej opuściłem ojca i brata. To dzięki niej was poznałem. Nadszedł czas, bym ją odnalazł.

Młodzieniec zamilkł i pochylił głowę, by ukryć łzy. W izbie zapanowała głęboka cisza.

- Nie wiem, co przyniesie mi los. Być może przeżyję wielki zawód... ale nie mogę już dłużej czekać. Muszę wyruszyć w dalszą drogę. Umiłowany mistrzu, z waszym pozwoleniem, chciałbym odejść już jutro i wyświadczyć wam - w ramach wdzięczności - przysługę. Pójdę do Rzymu, by dostarczyć list papieżowi.

Obaj mężczyźni byli bardzo poruszeni i nie kryli zdumienia.

- Wiem, że Pietro jest zmęczony i cierpi na reumatyzm - ciągnął Giovanni. - Droga do Rzymu jest daleka i niebezpieczna, a ja z największą radością udam się do świętego miasta, by powierzyć się Bogu, zanim skieruję się do Wenecji.

Poważny i zasmucony Mistrz Lucjusz pochylił głowę.

- Wiedziałem, że prędzej czy później nadejdzie ten moment. Muszę przyznać, mój drogi Giovanni, że liczyłem na to, iż zostaniesz z nami jak najdłużej. Przez te wszystkie lata byłeś najlepszym uczniem, jakiego może sobie wymarzyć nauczyciel.

Głos Lucjusza załamał się.

- Jesteś jeszcze młody i twój impulsywny charakter może ci napytać немало kłopotów. Arystoteles mawiał, że filozofem staje się dopiero w wieku czterdziestu pięciu lat... Ale nie zmuszam cię, byś został ze mną do osiągnięcia tak poważnego wieku! Pobrałeś u mnie wiele nauk. Teraz twoim nauczycielem będzie życie. Ono nauczy cię rozwagi. Wiem, że w dziedzinie astrologii okażesz się uczniem godnym swojego mistrza. Idź więc, chłopcze. Zabierz ze sobą efemerydy i wybierz dla siebie kilka książek z mojej biblioteki A jeśli Pietro wyrazi zgodę, weź ze sobą list do Ojca Świętego.

Zapłakany Giovanni pytająco spojrzał na olbrzyma, który przytaknął niezgrabnym skinieniem głowy, po czym rzucił się w ramiona nauczyciela i wybuchnął płaczem.

Odszedł natychmiast, by nie przedłużać bolesnego rozstania. Nie wiedział, czy los pozwoli mu jeszcze kiedykolwiek spotkać najserdeczniejszych przyjaciół, ale marzył o tym w głębi serca. Spakował swoje cenne zeszyty i trzy książki w języku greckim: *Ucztę Platona*, *Etykę nikomachejską* Arystotelesa i Nowy Testament.

Wsunął list do papieża za pas miecza, do sakwy podróźnej zapakował zeszyty i książki oraz bukłak z wodą, wełniany koc i prowiant, upewnił się, że ma w kieszeni dukaty, które Mistrz dał mu na drogę, po czym ucałował przyjaciół i bez słowa, nie oglądając się za siebie, wyruszył w drogę do Wiecznego Miasta.

31

Słońce chyliło się ku zachodowi. Giovanni opuścił już leśne ścieżki i od dobrych trzech godzin maszerował szybkim krokiem Via Valeria, gdy nagle usłyszał za sobą głuchy tętent koni. Odwrócił się i ujrzał pięciu jeźdźców galopujących pustą drogą. Gdy konni zbliżyli się na odległość około sześćdziesięciu stóp, Giovanni spostrzegł, że są ubrani w wielkie czarne płaszcze, a na twarzach mają maski. Instynktownie wyczuwając niebezpieczeństwo, rzucił się w stronę lasu.

Jeźdźcy zjechali z drogi i rozpoczęli pogoń. Młodzieniec dobiegł do pierwszych drzew w chwili, gdy pierwszy z nich był tuż-tuż. Mężczyzna zwolnił, by nie zawadzić o gałęzie. Tymczasem Giovanni zapuścił się w gąszcz.

Biegając do utraty tchu, zdobył przewagę i skrył się w koronie rozłożystego dębu. Dysząc ciężko, z duszą na ramieniu, wypatrywał czarnych jeźdźców, modląc się, by nie przyszło im do głowy spojrzeć w górę. Napastnicy tymczasem rozproszyli się po lesie, dokładnie przeszukując poszycie.

Zrobiło się ciemno. Giovanni pomyślał, że to wspaniała okazja, by umknąć pod osłoną nocy. Schodząc z drzewa, usłyszał, jak dokładnie pod nim przejeżdża jeden z napastników. Młodzieniec nie zawahał się ani chwili. Skoczył na niego z góry, chwycił za kark i zwałił z konia. Zręczny jak ryś, chwycił wroga za gardło i przydusił, aż tamten stracił przytomność. Następnie przerzucił nieprzytomnego przez siodło, dosiadł konia i ruszył klusem w stronę drogi.

Wyjechał na Via Valeria i spiął konia ostrogami. Galopował kilka mil, po czym skręcił w jeden z poprzecznych duktów.

Gdy poczuł się bezpiecznie, zatrzymał się, zdjął mężczyznę z konia i mocno związał mu ręce z tyłu. Następnie ściągnął mu z twarzy skórzaną maskę i spoliczkował go, chcąc doprowadzić do przytomności. Czarny rycerz ocknął się i błyskawicznie zorientował w sytuacji, pełen niedowierzania, że dał się podejść takiemu młokosowi.

- Czy to nie ty przypadkiem jesteś uczniem astrologa? - zapytał.

- A i owszem.

- Ale gdzie nauczyłeś się tak bić?

- To ja zadaję pytania. Kim jesteś? Czego chcesz? Dlaczego kryjesz twarz pod skórzaną maską?

Mężczyzna pichnął szyderczo i zamilkł. Giovanni chwycił nóż i przystawił go do piersi nieznajomego.

- Nie zapytam po raz drugi. Brak mi cierpliwości. Jeśli nie odpowiesz, rozpruję cię jak prosię.

- Przysiągłem, że nic nie powiem. Jeśli wyjawię prawdę, zabiją mnie.

- Dlaczego mnie ścigacie?

- Żeby odzyskać list, który masz dostarczyć papieżowi. Więc o to chodzi, pomyślał Giovanni.

- Kim jesteście? Dlaczego ten list jest tak ważny?

- Zatem nie wiesz, co zawiera?

Widząc minę Giovanniego, mężczyzna zorientował się, że astrolog nie wyjawiał treści listu.

- Uwierz mi, lepiej będzie, jeśli się go pozbędziesz. Jeśli jego treść zostanie ujawniona, spowoduje więcej nieszczęść niż kometa, która by spadła na Ziemię. Oddaj mi go. Wracaj do mistrza i powiedz, że zgubiłeś list. Obiecuję, że od tej pory będziesz bezpieczny.

Giovanni wybuchnął śmiechem.

- To ty, nie ja, masz nóż na gardle. Obiecałem mojemu nauczycielowi, że dostarczę list papieżowi i dotrzymam słowa. Bez względu na to, co zawiera!

- Zatem już nigdy nie zaznasz spokoju. Nawet jeśli mnie zabijesz, moi wspólnicy nie przestaną cię ścigać. Jeśli im umkniesz, przyjdą następni. Odbierzemy ci list. Nigdy nie dotrzesz żyw do Rzymu.

Giovanni pojął, że mężczyzna mówi prawdę. Zdał sobie również sprawę, że nawet pod groźbą noża jeniec nie wyjawি nic więcej. Po chwili namysłu podjął decyzję. Skoro ci tajemniczy jeźdźcy depczą mu po piętach musi zrezygnować z podróży Via Valeria i udać się do Rzymu inną drogą, nawet jeśli - z racji grasujących rozbójników - miałyby się okazać o wiele bardziej niebezpieczna. Najprościej będzie pogalopować Via Valeria w przeciwną stronę, oddalając się od Wiecznego Miasta. Tam najprawdopodobniej nie spotka go żadne niebezpieczeństwo. W Peskarze zaokrętuje się na jeden z tamtejszych statków. Drogą morską dotrze do Rzymu za tydzień.

Podjąwszy decyzję, Giovanni mocno przywiązał jeńca do drzewa i pogalopował w stronę Adriatyku.

Gnał kilka godzin na oślep, ale musiał stanąć na popas, by nie zajeździć konia.

O świcie ruszył w dalszą drogę.

O zachodzie słońca wreszcie zobaczył morze. Wjechał do portu, uwiązał konia przed drzwiami oberży i wszedł do środka, by się posilić i zasięgnąć języka.

Podczas gdy rozmawiał z oberżystą, drzwi gospody otwały się gwałtownie. W progu stanęło trzech mężczyzn w czerni. Giovanni rzucił się w przeciwną stronę i wyskoczył przez okno, stając twarzą w twarz z czwartym z mężczyzn, stojącym na czatach z tyłu oberży. Młodzieniec wyciągnął miecz. Brzęknęła stal. Bez trudu zdobył przewagę nad nieprzyjacielem. Zranił go w udo i rzucił się do ucieczki, podczas gdy pozostali, konno i na piechotę, rozpoczęli pogoń. Ilu ich jest? I jakim cudem tak szybko mnie odnaleźli? - pomyślał biegnąc w stronę stojących na kotwicy statków.

Wszędzie słyszał stukot butów i krzyki. Czując, że jest osaczony, wpadł niezauważony przez nikogo na maleńki statek. Ponieważ wartownicy spali jak susły, Giovanni wślizgnął się pod pokład i ukrył za wypełniającymi ładownię skrzyniami.

Okolo północy usłyszał ruch na pokładzie. Wstrzymał oddech, ale szybko się zorientował, że to wracają pijani w sztok marynarze. Na kilka godzin zapanowała cisza. O wschodzie słońca znowu zapanował ruch i statek wyszedł w morze.

Giovanni postanowił nie opuszczać kryjówki, dopóki okręt nie dopłynie do portu przeznaczenia. Jako że był zupełnie nieprzyzwyczajony do morskich podróży, chorował cały dzień, tym bardziej że silny wiatr rzucał okrętem jak łupinką. Po dwóch dniach i jednej nocy żeglugi statek zawinął do portu. Giovanni nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, ale to nie było istotne. Najważniejsze, że umknął swoim prześladowcom. Miał tylko nadzieję, że statek popłynął na

południe.

Z nastaniem nocy, upewniwszy się, że większa część załogi opuściła okręt, Giovanni wymknął się z kryjówki i, ku swej wielkiej radości, zszedł na ląd. Wokół stały ogromne okręty, a w porcie, mimo późnej pory, paliły się światła. Musieliśmy zawinąć do potężnego portu, pomyślał. Może do Bari, jeśli statek płynął na południe? Albo do Ankony, jeśli to północ...

W końcu zaczepił grubego marynarza zajętego klarowaniem liny.

- Jakie to miasto, przyjacielu? - zapytał. Mężczyzna spojrzał na niego tak, jakby zobaczył ducha.

- Co?

- Pytam, jakie to miasto.

Marynarz wywrócił oczami i wznosił ręce do nieba.

- *Ma... Venezia!*

III

Jupiter

32

- Pan astrolog będzie łaskaw wejść.

Giovanni zmierzył wzrokiem służącego, podniósł się bez pośpiechu i wszedł do gabinetu pana domu.

- Ach! Jak dobrze cię widzieć, panie Da Scola! - wykrzyknął mały brzuchaty człowieczek.

Giovanni odpowiedział uśmiechem i zajął miejsce wskazane przez gospodarza, który sam usadowił się w szerokim fotelu stojącym po drugiej stronie kominka.

- Ze wszystkich stron słyszę pochwały na twój temat, panie. W pałacach nie mówi się o niczym innym, jak tylko o twojej przepowiedni dotyczącej wątpliwego wyboru sędziego Zorzi do Rady Dziesięciu. A nie dalej niż wczoraj mój przyjaciel, Quirini, powiedział mi, jak trafnie określiłeś jego trudną sytuację finansową.

- Proszę pamiętać, że nie należy ślepo ufać moim przepowiedniom. Ja tylko interpretuję układ gwiazd, a przecież jestem człowiekiem i mogę się mylić.

- Dość tej skromności, mój drogi. Twoja sława, panie, obiegła już całą Wenecję. W kilka miesięcy podbiłeś całe miasto! Mówi się, że byłeś nawet na prywatnej audiencji u samego doży...

Giovanni spuścił głowę.

- Niestety, nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie.

- Chwali ci się twoja dyskrecja, panie. Mężczyzna zmrużył oczy i złączył razem dłonie.

- Powiedz, kiedy dokładnie zawitałeś do Wenecji?

- Sześć miesięcy temu.

- Niesamowite! Taka sława w tak krótkim czasie! Jeśli się niemyśle, jesteś uczniem słynnego florenckiego astrologa, Mistrza Lucjusza Constantiniiego, i byłeś już ponoć z wizytą u filozofa Nicola Celestiniego.

- Jesteś nad wyraz dobrze poinformowany. Wiedząc, że udaję się do Wenecji, mój nauczyciel wspomniał mi o swoim przyjacielu który przyjął mnie nader uprzejmie.

- Ale... z jakiego powodu, panie, wybrałeś Wenecję, zamiast udać się na przykład do Rzymu czy Florencji?... Z powodu kobiety czy może z powodu pieniędzy?

Grubas wybuchnął śmiechem. Giovanni z trudem uśmiechnął się i odpowiedział ironicznie.

- Z obu tych powodów, oczywiście.

- Ach! Masz rację, panie! Czy wiesz, że ostatni spis ludności wykazał, że w naszym mieście żyje sto dwadzieścia tysięcy dusz, a liczba kurtyzan jest szacowana na ponad dziesięć tysięcy! Zdajesz sobie sprawę: średnio jedna dziwka na sześciu mężczyzn! Szybciutko puszczą cię z torbami! Ach, szelmy! Gdybyś wiedział, ile razy mnie oskubały!

- „Oskubały” to chyba niewłaściwe słowo. Z całą pewnością nie bez twojej zgody, panie.

- Niestety! Mężczyzna jest irracjonalny: w ciągu kilku minut traci w ramionach nieznajomej dukaty, na które musiał pracować kilka dni!

- Prawdopodobnie zaskoczę cię, panie, wyznając, iż do tej pory nie skosztowałem wdzięków dam, o których mówisz.

Mężczyzna wytrzeszczył ze zdumienia oczy, po czym je przymrużył.

- Nie wiedziałem, że wolisz chłopców.

- Nic podobnego. Po prostu moje serce należy już do pewnej damy.

Grubas wyprostował się i głośno klepnął po udzie.

- To nie ma nic do rzeczy, chłopcze! Jakim cudem miłość do jednej kobiety może stłumić pożądanie do wszystkich innych?

Giovanni uśmiechnął się, pozostawiając pytanie gospodarza bez odpowiedzi. Nie miał ochoty przedłużać tej rozmowy i już żałował, że wdał się w tę dyskusję.

- Och, to chyba coś poważnego, przyjacielu - podjął gospodarz nachylając się lekko w stronę swojego gościa. A czy można poznać imię księżniczki, która skradła twoje serce?

- Pozwól, że zachowam je w tajemnicy - odpowiedział Giovanni, badawczo patrząc w oczy gospodarza. - Ale, ale. Wydaje mi się, że zaprosiłeś mnie tutaj w jakimś celu... panie. Mężczyzna zakasłał i przybrał poważny wyraz twarzy.

Masz rację. Przejdźmy do rzeczy. Otóż jestem kupcem kolonialnym, jednym z najznamienitszych w mieście, a morza ostatnimi czasy stają się coraz bardziej niebezpieczne. W związku z tym waham się, jaki moment wybrać na żeglugę. Powiedziano mi że, badając układ gwiazd, możesz udzielić cennych rad co do wyboru stosownego czasu na tego typu

przedsięwzięcie. Czy mam rację?

- W rzeczy samej. Sporządzając twój horoskop, a także badając układ gwiazd w ciągu najbliższych miesięcy, zdołam udzielić ci pewnych wskazówek. Ale jeszcze raz podkreślam, że nie jestem nieomylny. Proszę, byś wysyłając statki w morze wziął pod uwagę nie tylko moją radę, ale wszystkie inne możliwe czynniki.

- A zatem postanowione. Proszę cię o sporządzenie mojego horoskopu. Już dawno miałem go zamówić, z czystej ciekawości. Powiedz mi tylko, jakim cudem znasz układ planet w przyszłości?

- Takim samym sposobem, jak ich układ w przeszłości. Obieg gwiazd po ekliptyce znano już w starożytności. Kilka astronomicznych obliczeń wystarczy, by wiedzieć, jaki będzie układ planet w ciągu najbliższych lat, a nawet wieków. O ile dysponuje się stosowną ilością czasu do przeprowadzenia obliczeń!

- A studiowałeś, panie astronomie? - zapytał kupiec coraz bardziej zadziwiony i pełen podziwu dla wiedzy swojego rozmówcy.

- Nie. Przyjeżdżając do Wenecji, miałem już tablice astronomiczne, tak zwane efemerydy, zawierające dane z kilku ostatnich dziesięcioleci, a moje pierwsze oszczędności przeznaczyłem na zakup tablic astronomicznych na najbliższe lata. Dzięki temu mogę przepowiadać przyszłość, badając przebieg planet przez najważniejsze punkty horoskopu urodzeni owego danego człowieka.

Kupiec zaniemówił.

- Oto księgi, o których mowa - podjął Giovanni, wyjmując z wielkiej sakwy przepisane własnoręcznie zeszyty i nowe, drukowane efemerydy. Muszę tylko znać miejsce, rok, miesiąc i dzień, a jeśli to możliwe, także godzinę twoich urodzin. Dzięki temu sporządzę twój horoskop, porównam go z aktualnym układem planet i odpowiem na twoje pytanie.

Kupiec dostarczył Giovanniemu wszelkich niezbędnych informacji. W niespełna dwadzieścia minut astrolog sporządził horoskop urodzeniowy gospodarza, po czym ponad godzinę badał układ planet w ciągu nadchodzących miesięcy. W końcu wyciągnął wnioski i doradził kupcowi, by wstrzymał się ze sprowadzeniem do kraju statków jeszcze dwa miesiące.

Uszczęśliwiony gospodarz uiścił opłatę za konsultację: czterdzieści dukatów, czyli całkiem sporo jak na tak krótką pracę.

Giovanni pożegnał się i prędko zbiegł na parter pałacu, przed którym czekała na niego gondola.

Konsultacje astrologiczne nudziły go w najwyższym stopniu, ale pozwalały dobrze zarobić na życie, a w Wenecji wszystko było drogie: Odzież, mieszkania, usługi gondolierów. Stając się w ciągu kilku miesięcy osobą publiczną, Giovanni musiał dbać o utrzymanie statusu społecznego i wydawał majątek, by zachować pozory bogactwa, które pozwalały mu bywać na salonach.

Kazał gondolierowi zawieźć się do pałacu Priuli w dzielnicy Castello. Łódka opuściła *Rio San Maurizio*, skręciła w lewo, wpływając w Canal Grande i ominęła wspaniały pałac ukończony przez starego dożę, Andreę Grittiego. Wbrew krążącym pogłoskom Giovanni nie spotkał się do tej pory oko w oko z władcą Wenecji. Owszem, został mu przedstawiony kilka tygodni wcześniej z okazji jednego ze świąt. Doża był łaskaw okazać zainteresowanie młodym, zdolnym i ambitnym człowiekiem, a nawet zaprosił go do pałacu książęcego, by porozmawiać z nim o astrologii (w którą, notabene, raczej nie wierzył). Nie wystosował jednak oficjalnego zaproszenia. Giovanni czekał więc niecierpliwie na znak od najpotężniejszej osoby w mieście. Rzecz jasna nie po to, by zaspokoić ambicje związane ze światowym życiem, lecz swe własne, intymne pragnienie, by spotkać Elenę.

Zaledwie kilka dni po nieoczekiwanym przybyciu do Wenecji Giovanni bez trudu odnalazł ślad prawnuczki doży. Cała Wenecja aż huczała od plotek na temat burzliwych romansów Andrei Grittiego, który będąc szczęśliwym ojcem dzieci swej prawowitej małżonki, splodził także potomstwo z pewną zakonnicej oraz ze swymi tureckimi konkubinami, z którymi zabawiał się podczas pobytu w Konstantynopolu. Elena była młodszą córką Vienny, prawowitej wnuczki doży. Vienna poślubiła Paola Contariniego, przedstawiciela jednej z najstarszych i najbardziej szanowanych rodzin patrycjuszowskich. Elena Contarini, bo tak brzmiało jej nazwisko, mieszkała w jednym z pałaców przy Canal Grande. Niebawem Giovanni dowiedział się niezwykle ważnych dla siebie rzeczy. Były to dwie wiadomości: dobra i zła. Dobra była taka, że Elena, jedna z najlepszych partii w Wenecji, nadal była wolna. Na tę wieść Giovanni o mało nie zemdlął. Jednak humor zepsuła mu druga nowina: wiele miesięcy temu Elena wyjechała z Wenecji, by zamieszkać ze swym ojcem, gubernatorem odległego Cypru. Dziewczyna bowiem mieszkała na zmianę w Wenecji, gdzie przebywała jej słabowita matka oraz w Nikozji, stolicy Cypru - Giovanni z bólem serca dowiedział się, że Elena wróci do Wenecji dopiero latem, a może nawet jesienią. Postanowił więc wykorzystać wiosenny czas, by dzięki astrologii, dostać się do kręgów weneckiej socjety.

Sukces, jaki odniósł, przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Od pierwszego dnia zamieszkał u starego filozofa, przyjaciela Mistrza Lucjusza, i bardzo szybko zaczął uprawiać zawód astrologa, przepowiadając przyszłość bogatym Wenecjanom, którzy z ust do ust przekazywali sobie wiadomości o niezwykle pięknym i zdolnym uczniu najznamienitszego astrologa włoskiego przybyłym ostatnimi czasy do Wenecji.

Giovanni nie krył swojego kalabryjskiego pochodzenia, ale na wszelki wypadek zmienił zbyt plebejsko brzmiące nazwisko, które w dodatku mogłoby zostać rozpoznane przez jednego z Wenecjan, którzy onegdaj uczestniczyli w kaźni młodego chłopca w jego rodzinnej wiosce. Głosił, że pochodzi z miasteczka Catanzaro w Kalabrii, jedyne go zresztą, które znał, a także przybrał nazwisko Da Scola.

Dosłownie wrywano go sobie z rąk. A to wdowa chciała się dowiedzieć, czy znajdzie nowego męża. A to kupiec zasięgał rady w sprawie interesów. A to wybitna osobistość pragnęła poznać szczegóły dotyczące rozwoju sytuacji politycznej.

Giovanni szybko zorientował się, że to, co zafascynowało go w astrologii - poznanie siebie i swego przeznaczenia - interesowało ludzi w znacznie mniejszym stopniu niż przyziemne sprawy, takie jak pieniądze, władza i miłość. W pierwszej chwili zasmucił się wielce, ale potem, wykorzystując sytuację, dostosował się do konkretnych potrzeb swoich klientów.

Pieniądze i stosunki, które zdobył dzięki astrologii, coraz bardziej zbliżały go do upragnionego celu: do spotkania z Eleną.

Płynąc Canal Grande, gondola minęła Pałac Dożów i plac Świętego Marka. Za campo San Zaccaria wpłynęła w szeroki kanał, by po chwili skręcić w lewo, tym razem zagłębiając się w maleńki kanał prowadzący do pałacu Priuli. Giovanni szczególnie upodobał sobie ten otoczony wodą budynek, należący do jednego z najwybitniejszych rodów weneckich. Jako że właściciele byli zubożali - w Wenecji można było być potężnym biedakiem lub nic nieznaczącym bogaczem - wynajmowali niewielkie mieszkania złożone z salonu, sypialni i łazienki zamożnym przyjezdnym. Dzięki temu, że Giovanni dobrze zarabiał, zdecydował się zamieszkać w tym wspaniałym *palazzo*. Mógł teraz przyjmować w swoim apartamencie osoby, głównie damy, które - woląc zachować dyskrecję - nie chciały zasięgać konsultacji astrologa u siebie w domu.

W dniach, kiedy nie był proszony na obiad czy kolację, Giovanni jadał z rodziną Priuli, której gościnność i wyrafinowanie intelektualne wielce sobie cenił. Zresztą to dzięki swoim gospodarzom, z miną niewiniątka, zdobywał najwięcej informacji na temat Eleny, gdyż rodzina Priuli była powiązana z Contarinimi i znała prawnuczkę doży.

Łódka zatrzymała się przed głównym wejściem do pałacu. Giovanni wsunął do ręki gondoliera monetę, po czym głównymi schodami wbiegł na trzecie piętro i wszedł do swojego pokoju. Zdjął długi czarny płaszcz i buty i schował efemerydy do malej, zawsze zamkniętej na klucz szafki, w której przechowywał najcenniejsze przedmioty. Włożył rękę głębiej i wyjął schowaną za dziełami filozoficznymi kopertę. Na widok powierzonego mu przez Mistrza listu do papieża ścisnęło mu się serce. Mijało już pół roku od czasu, gdy opuścił Abruzję i wyruszył do Rzymu, a dramatyczne wydarzenia tamtych dni przeszkodziły mu w dotrzymaniu danego słowa. Początkowo wmawiał sobie, że tak chciało przeznaczenie, zapewne po to, by uchronić go przed czarnymi jeźdźcami, których celem było zdobycie cennej koperty. A może po to, by niezwłocznie mógł spotkać Elenę? Kiedy dowiedział się, że Elena wróci do Wenecji dopiero za kilka miesięcy, planował skorzystać z wolnego czasu i udać się do Rzymu. Ale wydarzenia zaczęły następować po sobie niemal lawinowo, jakby bez jego udziału. Natychmiast po przyjeździe odniósł tak wielki sukces, że niemal codziennie największe rody weneckie umawiały się na spotkania z nim. Z dnia na

dzień stawał się coraz bardziej sławny i bogaty. Gdyby wyjechał do Rzymu, zrujnowałby swoją pozycję i raz na zawsze straciłby możliwość spotkania damy swego serca. Skoro sama opatrność zapewniła mu najlepsze warunki do odnalezienia Eleny, nie mógł podjąć bezsensownego ryzyka i opuścić Wenecji. Z biegiem czasu postanowił poczekać do powrotu Eleny ze spełnieniem powierzonej mu przez Mistrza Lucjusza misji.

Od czasu do czasu uspokajał sam siebie, myśląc o tym, że Mistrz nic nie wspominał o terminie dostarczenia listu, a nawet polecił zniszczyć kopertę w razie niebezpieczeństwa, co oznaczało, że bezpieczeństwo operacji było ważniejsze od terminu jej realizacji.

Mimo tych argumentów, którymi sam się usprawiedliwiał, Giovanni miał wyrzuty sumienia. Za każdym razem, gdy otwierał szafkę, nie mógł się powstrzymać, by nie sprawdzić, czy list nadal jest w bezpiecznym miejscu. I za każdym razem, gdy na niego patrzył, wewnętrzny głos mówił mu, że czym prędzej powinien spełnić swoją powinność.

Traktując zobowiązanie jako sprawę najwyższej wagi.

33

Giovanni zamknął szafkę, zawiesił na szyi maleńki klucz, przebrał się i zszedł na kolację. Jadalnia znajdowała się piętro niżej.

Sześć ogromnych, wychodzących na wąski kanał okien nadawało pomieszczeniu niezwykle uroczysty charakter.

Siadając obok pani domu, Giovanni uklonił się nieznanemu, mniej więcej trzydziestoletniemu mężczyźnie, którego twarz okalała czarna, krótko przystrzyżona broda. Siedzący obok gospodarza nieznanomy odpowiedział uprzejmie:

- Agostino Gabrielli. Miło mi was poznać, panie.

- Giovanni Da Scola, do usług.

- Dopiero przedwczoraj wróciłem do Wenecji, a już dwukrotnie mi o tobie wspomiano, panie. Z tego powodu z największą radością i zaciekawieniem przyjąłem zaproszenie naszych gospodarzy, wiedząc, że dzięki temu dane mi będzie ciebie spotkać.

Giovanni ze wszystkich sił starał się nie popaść w samozachwyty pod wpływem komplementów. Zdawał sobie sprawę, iż przy najmniejszym potknięciu, przy pierwszej nieudanej przepowiedni, wszystkie pochwały ustąpią miejsca szyderstwom.

Starał się więc nie przywiązywać wagi do tego, co myślano i mówiono na jego temat. Jedyne, co zaprzętało jego myśli, to marzenie, by Elena zechciała się z nim spotkać po powrocie do domu. Był to jedyny powód, dla którego dbał o to, by zachować dobre imię.

- Nie wiem, panie, co mówiono ci na mój temat, ale mam nadzieję nie zawieść twoich oczekiwań.

- Wyrażano się w samych superlatywach! Ale proszę, zechciej mówić mi po imieniu. Nie

jestem wiele starszy od ciebie.

- No dobrze. Skoro już dokonaliśmy prezentacji, weźmy się, proszę, do wędzonych sardeli - zaproponowała gospodyni, po czym zwróciła się do Giovanniego:

- Czy wiesz, panie, że nasz przyjaciel Agostino, który obecnie zwrócił się w stronę sztuki, przez długi czas studiował teologię?

Studiowałem kilka lat w Rzymie, ponieważ chciałem poświęcić się karierze kościelnej. Ale pewna czarująca brunetka, hojnie obdarzona przez naturę wdziękami, sprawiła, że tuż przed ordynacją zrezygnowałem z powołania i postanowiłem się zająć handlem sztuką!

- Ależ masz skrupuły! Najbardziej pikantne kobietki nie zawróciły z drogi większości z naszych księży i biskupów! I nie mówię tu o naszym papieżu, Pawle Trzecim, który w wieku dwudziestu pięciu lat został kardynałem tylko dlatego, że wprowadził do łoża papieża Aleksandra Szóstego Borgii swoją uroczą siostrę Julię i któremu kardynalska purpura nie przeszkodziła w spółdzeniu z licznymi konkubinami co najmniej czworga dzieci!

- Właśnie tego chciałem uniknąć! Nie sądzisz panie, że nasz Kościół, o ile nie chce zostać całkowicie opustoszony przez reformatorów, powinien przeprowadzić dogłębną reformę obyczajów?

- Masz rację - odpowiedział z powagą Priuli. - Nie darzę Lutra sympatią. Co więcej, uważam, że jest pyszałkowatym gburem, ale zgadzam się z nim w tej i paru innych kwestiach.

- Zdaje się, że w tym konflikcie wasze miasto wolałoby zachować neutralność - zauważył Giovanni. - Nawet jeśli reformacja nie ma tu ani pastora, ani zboru, zauważyłem, że nie potępiacie zwolenników nowej doktryny.

- Otóż to - odpowiedział gospodarz. - Popieramy papieża, ale nie mamy zamiaru wydawać mu heretyków.

Giovanni uśmiechnął się.

- To potwierdza wasze odwieczne umiłowanie niezależności! Agostinowi spodobała się uwaga Giovanniego.

- „Najpierw Wenecja, potem chrześcijaństwo”, jak mówi przysłowie! Widzę, że nasz przyjaciel pojął pryncypia polityki naszego dumnego miasta. Czy, korzystając z twojej wiedzy astrologicznej, możesz mi udzielić odpowiedzi na ważne pytanie, które niepokoi cały chrześcijański świat, panie?

- Proszę.

- Czy Luter jest Antychrystem?

Od czasu przybycia do Wenecji Giovanni już wielokrotnie słyszał z ust zagorzałych papistów to dziwne pytanie. Jego nauczyciel podjął kiedyś temat Antychrysta, kiedy studiowali Apokalipsę świętego Jana. W owym proroczym piśmie zamykającym Nowy Testament nie ma

mowy o Antychryście, lecz o „bestiach”, które uwodzą wiernych, odciągając ich od prawdziwej wiary. To raczej w pierwszym i drugim liście święty Jan mówi o „nadejściu Antychrysta”, o tym, że nadchodzi „ostatnia godzina”, o *zwodzicielach, którzy wyszli z nas, lecz nie byli z nas* *.

Mistrz Lucjusz wyjaśnił Giovanniemu, że od czasu apostołów każde pokolenie chrześcijan czekało na nadejście końca świata. Liczne prześladowania, które spadły na uczniów Jezusa, i upadek cesarstwa rzymskiego zdawały się potwierdzać nowotestamentową przepowiednię, zapowiadającą koniec świata, który poprzedzą wszelkiego rodzaju kataklizmy. Ale w połowie IV wieku, po nawróceniu cesarza Konstantyna, świadomość chrześcijan przeszła głębokie przeobrażenie. Święty Augustyn był największym głosicielem nowej myśli. Według niego koniec świata wcale nie jest tak nieuchronny, jak przewidywali to apostołowie. Przeciwnie, po czasach apostoelskich nadejdzie czas Kościoła, kiedy to Dobra Nowina Chrystusa zostanie zanesiona wszystkim narodom. Dopiero wtedy nastąpi koniec świata i nadejście Królestwa Bożego.

Na omal tysiąc lat wyparto ze świadomości zbiorowej ową eschatologiczną groźbę nieuniknioności apokalipsy. Zwrot nastąpił w XIV wieku, kiedy ludność Europy została zdziesiątkowana przez głód, wojnę stuletnią i epidemię dżumy: katastrofy, które czym prędzej zinterpretowano jako plagi zwiastujące nadejście końca świata. Ale ostatecznym znakiem, dowodem na to, że historia ludzkości dobiega końca, było odkrycie przez Krzysztofa Kolumba Nowego Świata: w ten sposób Ewangelia mogła być ogłoszona wszelkiemu stworzeniu i - zgodnie z przepowiednią samego Chrystusa - można już było oczekiwać Sądu Ostatecznego. Mistrz Lucjusz wspominał emocje, jakie ogarnęły cały chrześcijański świat, w chwili gdy ogłoszono odkrycie portugalskiego żeglarza.

Ale skoro nadchodziła apokalipsa, powinien pojawić się jeszcze jeden znak: fałszywi prorocy i Antychryst, który będzie zwodził wiernych, podając się za głosiciela dobrej nowiny. Mistrz Lucjusz także rozmyślał o nadejściu Antychrysta, zastanawiając się, czy owa przepowiednia spełni się wraz z odkryciem Nowego Świata, ale nigdy nie utożsamiał tej postaci ani z Lutrem, ani z nikim innym.

Giovanni zebrał wszystkie wspomnienia i odparł:

Nie wiem, czy Luter jest owym fałszywym prorokiem, którego nadejście zapowiada Ewangelia, ale - prawdę powiedziawszy - wydaje mi się, że taka wersja byłaby bardzo na rękę obozowi papistów!

Agostino wybuchnął gromkim śmiechem.

- Z całą pewnością! Pytanie zresztą, czy Antychryst jest konkretną osobą, jak twierdzą katolicy, czy też - zgodnie z tym, co głoszą reformatorzy - raczej chodzi o pewną instytucję czy urząd. Jakie jest twoje zdanie, panie?

Giovanni pojął, dokąd zmierza jego rozmówca.

- Masz na myśli papieżstwo, nieprawdaż?

- W rzeczy samej. Rad bym wiedzieć, co myślisz, panie, o zarzutach, jakie Luter i jego uczniowie wysuwają pod adresem katolickiego Rzymu. Czy to Stolica Piotrowa jest siedzibą Antychrysta? Papieże chcą, aby ich traktowano jako namiestników Chrystusa na Ziemi, gdy tymczasem - według reformatorów - są dokładnym jego przeciwieństwem. Chrystus był czysty, papieże są lubieżni. Chrystus był biedny, papieże pływają w dostatku. Chrystus wyrzekł się wszelkiej władzy, papieże gonią za władzą i zaszczytami. Chrystus nakazywał, by nikogo na ziemi nie nazywać „ojcem” ani „świętym”, mówiąc, że „mamy tylko jednego Ojca” i „tylko Bóg jest święty”. Papież tymczasem każe się nazywać „Ojcem Świętym”. Krótko mówiąc, dla Lutra papieżstwo nie jest niczym więcej, jak tylko siedzibą Antychrysta oraz spadkobiercą Babilonu i pogańskiego Rzymu, roszczącą sobie pretensje do bycia głową i sercem Kościoła!

- Nie podpiszę się ani pod teorią papistów, którzy oskarżają reformatora o to, że jest owym fałszywym prorokiem, który pojawił się na łonie Kościoła, by kłamstwem omamić wiernych, ani pod luteranскими tezami, które utożsamiają Stolicę Piotrowa z tronem apokaliptycznej bestii. Ta polemika wydaje mi się nazbyt uproszczona.

- Wydaje się, że nie wierzysz w nieuchronność końca świata, mój młody przyjacielu - przerwał Giovanniemu stary Priuli. - Czyż nie przekonały cię objawione w tak wielkiej liczbie znaki? I co na ten temat mówią gwiazdy?

- Szczerze mówiąc, nie wyrobiłem sobie opinii na ten temat. A jeśli chodzi o gwiazdy, nie przyszło mi do głowy pytać ich o to.

Kiedy to mówił, przez jego umysł przebiegła pewna myśl. Przypomniawszy sobie, że po wizycie legata papieskiego Mistrz Lucjusz na wiele miesięcy oddał się skomplikowanym obliczeniom astrologicznym. Giovanni zadał sobie nagle pytanie, czy przypadkiem przedmiotem szalonych badań astrologa nie było wyznaczenie daty końca świata. Nie byłoby w tym nic dziwnego, zważywszy na to, że i katolicy, i protestanci nie myśleli o niczym innym, a Mistrz Lucjusz cieszył się opinią największego astrologa swoich czasów. Ale czy byłoby możliwe przewidzenie takiego wydarzenia na podstawie wyjątkowego układu planet?

- Dziwne, że tak wybitnego astrologa nie zajmują tak pasjonujące tematy - dodał nieco zawiedziony gospodarz.

- Prawdę mówiąc - wyznał Giovanni skromnie - jestem jeszcze bardzo młody i uczyłem się tylko u jednego mistrza, z dala od wielkomiejskiego życia. Mimo że mój nauczyciel jest wybitnym Mistrzem, w ciągu niespełna czterech lat nie zdołał przekazać mi całej swojej wiedzy. Odkąd tu przyjechałem, stykam się z wieloma problemami, które zajmują ludzi o świątym umyśle, a które, niestety, nie stanowiły dotąd tematu moich rozważań.

- Chciałbym cię zapytać o jeszcze jedną ważką sprawę.

- Słucham.

- Skoro Luter nie jest Antychrystem, czy jest prorokiem zapowiadany w wieśset lat temu przez wielkiego astrologa arabskiego, Albumazara?

34

Imię Albumazara nie było Giovanniemu obce.

Wiedział, że chrześcijanie odziedziczyli wiedzę astrologiczną za pośrednictwem arabskich mędrców, którzy przejęli ją od starożytnych, znacznie ją pogłębiając. Sądził, że jednym z owych uczonych był właśnie Albumazar. Nie słyszał jednak ani nie czytał nic na temat jego przepowiedni dotyczących Lutra, i pytanie, które zadał mu Agostino, zaskoczyło go.

- Muszę jeszcze raz przyznać się do ignorancji w tej kwestii - przyznał z zakłopotaniem.

- A nazwisko Lichtenberger też nic ci nie mówi, panie? - zapytał Agostino.

Giovanni spuścił głowę. Wszyscy biesiadnicy szeroko otworzyli oczy w oczekiwaniu.

- Nie, i bardzo proszę, byś pouczył mnie na ten temat - odpowiedział astrolog z ujmującym uśmiechem.

- Z największą przyjemnością, gdyż bardzo mnie to pasjonuje. O ile, rzecz jasna, nasz gospodarz nie będzie miał nic przeciwko temu - kontynuował Agostino, zwracając się do Priuliego.

- Proszę bardzo! - bez wahania odpowiedział szlachetnie urodzony Wenecjanin. - Ale poczekajmy na zmianę nakryć, byś mógł mówić bez przeszkód.

Służąca natychmiast wykonała polecenie, a Agostino rozpoczął opowieść, gładząc swą czarną brodę.

- Wszystko zaczęło się w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku, gdy Paweł z Middelburga, biskup Urbino, opublikował *Prognostica*, tekst, w którym odkurza starą pochodzącą z IX wieku przepowiednię astrologiczną arabskiego uczonego Albumazara. Ów astrolog badał powtarzającą się co dwadzieścia lat koniunkcję Jowisza i Saturna, nieprawdaż?

- W rzeczy samej - potwierdził Giovanni.

- Albumazar obliczył, że w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku nastąpi wielka koniunkcja w znaku Skorpiona, z czego wysnuł wniosek o pojawieniu się nowego proroka. Z kolei w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim roku Johannes Lichtenberger, astrolog z Moguncji, opublikował przepowiednię Albumazara, opatrując ją własnymi komentarzami. Doskonale pamiętam jego słowa: *Ten niezwykły układ planet w znaku Skorpiona zapowiada narodziny nowego proroka, który na nowo zinterpretuje Pismo Święte i w największym szacunku do tego, co boskie, doprowadzi dusze ludzkie do Boga. Astrologowie nazywają nowymi prorokami tych, którzy wprowadzają nowe obrzędy i nowe prawa, a także na nowo interpretują słowa, które ludzie uważają za Słowo Boga.*

Przekonany przez Agostina Giovanni nie mógł nie myśleć o Lutrze. Skorzystał z wejścia

służącej, która wniosła właśnie danie główne, i zapytał:

- Powiedz mi, panie, Luter przyszedł na świat właśnie podczas wielkiej koniunktji tysiąc czterysta osiemdziesiątego czwartego roku?

- Oczywiście! Z tym że nikt nie zna dokładnej daty jego urodzin. Zdania są podzielone: od listopada tysiąc czterysta osiemdziesiątego trzeciego do listopada tysiąc czterysta osiemdziesiątego czwartego roku. Ale do tego tematu, który jest obiektem żywych dyskusji pomiędzy protestantami i katolikami, dojdę za chwilę. Wróćmy tymczasem, jeśli pozwolisz, panie, do tekstu, którym Lichtenberger skomentował przepowiednię Albumazara, a który powstał zaledwie osiem lat po narodzeniu Lutra. Otóż Lichtenberger ozdobił tekst rycinami, z których jedna przedstawia dwóch mnichów: małego i dużego. Duży zdaje się ostrzegać kogoś i ma demona na ramieniu. W komentarzu astrolog pisze:

Widzimy mnicha w białej szacie z diabłem na ramieniu. Ma długi, sięgający do ziemi płaszcz i szerokie rękawy. Za nim podąża młody mnich o niezwyklej inteligencji: pozna on wiele rzeczy i posiada wielką wiedzę, ale z powodu licznych kłamstw będzie miał nieczyste sumienie. I tryskając na podobieństwo skorpiona jadem - gdyż ta koniunktja będzie miała miejsce w Domu Marsa, w ciemności - i stanie się przyczyną rozlewu krwi. Agostino zamilkł. Wszyscy spojrzeli na niego z uwagą.

- Jedzmy, póki gorące - odezwała się w końcu pani domu.

- Taka przepowiednia odbiera apetyt - odpowiedział Giovanni oszołomiony opisem Lichtenbergera. - Poza tym muszę przyznać, że jego wizje wybiegają daleko poza domenę czystych obliczeń astrologicznych: ten człowiek miał dar widzenia. Moim zdaniem nikt nie umiałby lepiej opisać dwoistości natury Lutra, jego inteligencji i perfidii, łatwości, z jaką interpretuje Pismo, i zajadłości, z jaką atakuje swoich przeciwników.

- Nieprawdaż? - odpowiedział Priuli, atakując widelcem kurczaka z oliwkami. - A czy wiesz, że Luter sam siebie rozpoznał w tej przepowiedni?

- Gorzej! - podjął Agostino. - W tysiąc pięćset dwudziestym siódmym roku wydał ją drukiem i opatrzył własną przedmową, dystansując się do tekstu Lichtenbergera.

- Myślałem, że Luter jest przeciwnikiem astrologii.

- Był. Do czasu, gdy jego własny uczeń, utalentowany astrolog, Filip Melanchthon, nie przekonał go, że przepowiednie Albumazara i Lichtenbergera odnoszą się do niego i że... leży w jego interesie uznać przepowiednię, by w ten sposób lepiej przysłużyć się sprawie reformacji. Od tamtej pory protestanci zaczęli rozpowszechniać ten tekst.

- Astrologia w praktyce!

- Nie ja to powiedziałem! Ale nadal pozostaje otwarta kwestia daty urodzenia Lutra, który sam nie potrafi określić nawet roku swojego przyjścia na świat. Jako że w żadnym rejestrze nie ma

na ten temat nawet śladu i nie istnieje żaden wiarygodny świadek, który mógłby potwierdzić datę, a różne frakcje - w zależności od tego, co chcą wykazać - umiejscawiają ją pomiędzy końcem tysiąc czterysta osiemdziesiątego trzeciego a końcem tysiąc czterysta osiemdziesiątego czwartego roku. Nikt nie podważa faktu, że Luter urodził się niemal dokładnie podczas wielkiej koniunktacji przepowiedzianej przez Albumazara i że miało to miejsce w znaku Skorpiona. Ale astrologi protestanccy i katoliccy tak manipulują datą jego urodzenia, by sporządzić taki horoskop, jaki jest dla nich wygodny! Tak więc jego uczeń, Melanchthon, rysując jego horoskop, umiejscowił Słońce w koniunktacji z Jowiszem i Saturnem, w sektorze gwiazdnym odpowiadającym za religię. Papiści tymczasem tak ustawiają horoskop, by ta wielka potrójna koniunktacja wypadła w rejonie seksualności i lekkich obyczajów! Giovanni wybuchnął śmiechem.

- Oto dlaczego - ciągnął dalej Agostino - spytałem cię, panie, o horoskop Lutera. Z jednej bowiem strony uważa się go za przepowiedzianego proroka, a z drugiej, za fałszywego proroka, a nawet wcielonego Antychrysta!

- Bardzo to wszystko ciekawe - odpowiedział Giovanni. - Niestety, nie mam możliwości sprawdzić daty urodzenia reformatora. Ale obiecuję, że sporządzę jego horoskop, jeśli tylko uda ci się dostarczyć mi wiarygodnych informacji na ten temat.

- Nie omieszka. Obawiam się jednak, że nigdy nie będziemy mieć pewności.

- Ależ pasjonujący temat - wtrącił się Priuli, kończąc jedzenie. Przy stole zapanowało milczenie. Pani Priuli, z obawy by jej goście nie podjęli ponownie trudnej religijnej dyskusji, gorączkowo szukała nowego, lżejszego tematu konwersacji. Nagle przyszła jej do głowy zbawienna myśl.

- Ale, ale, czy wiesz, przyjacielu - zwróciła się do Giovanniego - że Elena Contarini, którą tak bardzo się interesujesz, wróciła już do Wenecji?

Giovanni znieruchomiał, po czym wyjąkał niezdarnie:

- Ach...

- Dowiedziałam się o tym na chwilę przed obiadem. Nasz przyjaciel Agostino, który wracał jednym okrętem z cudną córką *retore* Cypru, przyniósł nam tę wiadomość.

- Wracasz... wracasz panie z Cypru?

- Wróciłem przedwczoraj. Ale nie wiedziałem, że znasz zachwycającą Elenę Contarini. Zaskakujesz mnie, panie!

- Nie znam jej - pośpiesznie odparł Giovanni, który o mało się nie udławił. - Po prostu słyszałem, że ta młoda dama jest niezwykle piękna i inteligentna i zdarzyło mi się poprosić gospodarzy o więcej informacji na jej temat.

- No to masz nosa, przyjacielu! - wykrzyknął Agostino.

- Nie miałem nic szczególnego na myśli, pytając o nią - podjął Giovanni, dla którego

zachowanie zimnej krwi było wręcz torturą. - Po prostu byłbym szczęśliwy, mogąc kiedyś, przy okazji, poznać tę uroczą osobkę.

Wybuch śmiechu, który rozległ się przy stole, całkiem zbił go z tropu.

- Ta okazja może nastąpić nader szybko - podjął Agostino. - Podczas podróży zawarłem z tą czarującą panną na tyle bliską znajomość, że zostałem przez nią zaproszony na niewielki bankiet, który wydaje w przyszłym tygodniu. Mógłbym jej zaproponować, byś także do nas dołączył. Co ty na to, panie?

- Byłbym... byłbym zaszczycony - wyjąkał bliski omdlenia Giovanni.

- Polecę cię gorąco jej matce - dodała radośnie Sofia Priuli. - Jest moją przyjaciółką! Możesz być spokojny. Z całą pewnością zostaniesz zaproszony.

35

Gondola odpłynęła sprzed pałacu Priuli.

Od rana było pochmurno, a miasto spowijał gęsty woal mgły.

Giovanni poznawał nowe oblicze Wenecji. Ów woal przydawał miastu upojnego zapachu tajemnicy, a niezwykła atmosfera odpowiadała zamętowi, który panował w jego sercu.

Od tygodnia szykował się na spotkanie z Eleną. Dwa dni po rozmowie z Agostino Gabriellim do pałacu Priuli przyszedł skreślony ręką dziewczyny liścik. Mimo że jej pismo stało się bardziej dojrzałe i wyrafinowane, Giovanni natychmiast je rozpoznał. List zawierał, co następuje:

Szanowny Panie Astrologu,

Od mojego powrotu z Cypru słyszę same pochwały na Twój temat. W związku z tym będę zaszczycona, mogąc gościć Cię u siebie podczas przyjęcia, które wydaję w najbliższy czwartek (czwartek to dzień Jowisza, nieprawdaż?). Mam nadzieję, że to dobry moment na zawarcie znajomości.

Jeśli możesz nas odwiedzić, przyjdź, proszę, o zachodzie słońca.

Elena Contarmi.

Nazajutrz Giovanni wysłał następującą odpowiedź:

Pani!

Twoje zaproszenie pochlebia mi. Bardzo dziękuję. Jowisz odpowiada za szlachetność i szczęście, zatem czwartek jest doskonałym dniem na zawarcie znajomości z osobą o Twojej pozycji, Pani. Z największą radością będę Pani gościem. Giovanni Da Scola.

Najbardziej zajmowało go pytanie, czy dziewczyna go pozna. Pseudonim, który przyjął, ukrywał jego pochodzenie, ale nie rysy twarzy. Całkiem możliwe, że Elena zachowała w pamięci jakieś odległe wspomnienie. Gdyby tak się stało, Giovanni musiałby publicznie zaprzeczyć. Może jej wyjawić swoją tożsamość tylko na osobności. Jeśli, któregoś dnia, nadarzy się okazja.

Gondola skręciła w Canal Grande.

W miarę zbliżania się do celu serce Giovanniego dosłownie wyrywało się z piersi.

Młodzieniec czekał na tę chwilę od czterech długich lat i z trudem uświadamiał sobie, że za parę minut stanie z Eleną twarzą w twarz. Oto ziszcza się nierealne marzenie. Główne przeszkody zostały pokonane: Giovanni jest wykształconym, ujmującym mężczyzną. Elena nadal jest wolna i zaprosiła go do siebie. Niemniej jednak Giovanni zdawał sobie sprawę, że najgorsze dopiero przed nim. Ta ostatnia przeszkoda miała na imię: niewiadome.

Giovanni wyrósł już ze świata fantazji. Wiedział, że owo spotkanie po latach może mu przynieść zawód, że dziewczyna, którą ledwie znał, mogła się zmienić i nie jest już tą samą osobą. Zdawał sobie sprawę, że, być może, wcale się jej nie spodoba, że może ona już kogoś ma, że nie interesuje jej astrologia i zaprosiła go wyłącznie z czystej kurtuazji.

Tak wyglądało owo „niewiadome”, którego się spodziewał i które wywoływało u niego bolesny skurcz jelit.

Gondola z wolna sunęła w stronę pałacu Contarmi, który wznosił się na lewym brzegu Canal Grande, w dzielnicy San Samuele. Od powrotu Eleny Giovanni codziennie przeplątywał przed jej domem, w nadziei, że ujrzy ją w którymś z okien. Widział duży ruch związany z przygotowaniami do przyjęcia, ale nigdy nie spostrzegł ukochanej twarzy.

Specjalnie na tę okazję przywdział najokazalszą szatę z jedwabiu i weluru w kolorze niebiesko-złotym. Nabył ją, płacąc fortunę, u najznamienitszego kupca z Rialto. Wiedział, że w Wenecji bardziej niż gdziekolwiek indziej wygląd zewnętrzny - twarzy, stroju, domu, gondoli - jest oznaką szlachectwa i wyrafinowanego smaku.

Brzydki lub źle odziany mędrzec był brany za gbura, a zubożały arystokrata tracił prestiż. W ciągu kilku miesięcy pobytu w Wenecji Giovanni zdążył poznać panujące tu subtelne zasady gry.

Gondola przybiła przed wejściem do pałacu.

Wielka otwarta brama, przed którą ciągnął się już nieprzebrany sznur kolorowych gondoli, była oświetlona lampionami.

Służący spytał Giovanniego o godność. Sprawdziwszy listę gości, wskazał młodzieńcowi szerokie, wiodące na piętro schody, u podnóża których młoda kobieta wzięła jego płaszcz, wieszając go w garderobie.

Z bijącym sercem Giovanni powoli wszedł po kamiennych schodach. Słyszał gwar i piękną niebiańską muzykę, którą grała orkiestra smyczkowa. Wszedł do olbrzymiego foyer, oświetlonego ciepłym i migotliwym światłem świec płonących w trzech kryształowych żyrandolach. Osiem wysokich okien wychodziło na Canal Grande. Na środku pomieszczenia znajdowały się okazałe schody z białego marmuru prowadzące do komnat. Liczne obrazy zdobiły obite czerwoną tapicerką ściany.

Wzdłuż ścian stały stoły uginające się pod ciężarem wykwintnych napojów i dań. W rogu

sali, na skonstruowanym specjalnie na tę okazję podwyższeniu, grał kwintet smyczkowy. Kiedy Giovanni wszedł do salonu, zobaczył około pięćdziesięciu rozmawiających radośnie młodych ludzi. Stał u szczytu schodów, po czym - jak w transie - obszedł salę dookoła, by odnaleźć tę, której wspomnienie wprawiało go w drżenie.

- Ale oto i nasz astrolog! - wykrzyknął nagle znajomy głos. Giovanni odwrócił się i wpadł w ramiona Agostina otoczonego grupką przyjaciół.

- Wyglądasz wspaniale, panie! - dodał młody marszand.

- Nie chciałem ci przynieść wstydu, panie! To ty mnie zaprosiłeś w to boskie miejsce.

- Dość tych ceregieli! Przejdźmy na ty! Pięknie tu, prawda? Odkrywam to miejsce razem z tobą. Nie jest to może największy, ale z całą pewnością najbardziej urokliwy pałac w Wenecji. Chodź, przedstawię cię moim przyjaciołom, którzy są również przyjaciółmi Eleny.

Agostino podszedł do wysokiego młodzieńca, reprezentanta arystokracji, stojącego w towarzystwie dwóch młodych dam. Giovanniego uderzyło piękno jednej z nich. Spowita w czerń dziewczyna miała jasną cerę, włosy czarne jak skrzydło kruka i piękne, tajemnicze, błękitne oczy. Nazywała się Angelica. Na pewno jest ze znaku Skorpion, pomyślał Giovanni, podziwiając jej urodę.

- Jestem szczęśliwa, mogąc pana poznać - szepnęła mu do ucha. - Powiadają, że jest pan równie utalentowany w interpretowaniu układu planet, co... czarujący.

- Pochlebia mi pani.

- No dobrze, na pewno odgadłeś już panie, w jakim znaku się urodziłam!

- Nie zdziwiłbym się, gdybyś była pani spod znaku Skorpiona.

- Otóż nie!

- No widzisz, pani. Nie sprostalem mojej reputacji.

- Jestem spod znaku Byka, ale w Skorpionie mam ascendent, zatem drogi astrologu, aż tak bardzo się pan nie pomylił.

- Widzę, że już badała pani swój horoskop.

- Swego czasu moi rodzice sporządzili horoskopy wszystkich dzieci. Mam zatem mapę nieba w dniu moich urodzin, ale byłabym wielce rada, gdybyś zechciał, panie, zinterpretować japo swojemu.

- Strzeż się, przyjacielu, tej uroczej istoty: swym słodkim jadem ukąsiła już niejednego chłopca, który do tej pory pozostaje pod jego wpływem! - odezwał się kobiecy głos za plecami Giovanniego. W ferworze zabawy chłopak odpowiedział ze śmiechem:

- Jestem już dostatecznie duży, by bronić się przed Skorpionami, a nawet przed Bykami!

Odwrócił się i nagle zmienił się na twarzy. Przed nim stała piękna dziewczyna.

- Elena Contarini - powiedziała, wyciągając do niego dłoń. Giovanni zamarł z przerażenia.

- Pan Giovanni Da Scola, sławny astrolog, jak sądzę... - dodała przyjaźnie.

- Tak... tak... w rzeczy samej.

- Weź się w garść, przyjacielu - rzucił Agostino, klepiąc go w plecy. - Przecież cię uprzedzano, że Elena jest najpiękniejszą kobietą w Wenecji!

36

Przez nieskończenie długą chwilę Giovanni stał bez słowa, niezdolny do wydania głosu. Jak zahipnotyzowany.

Długie włosy blond z rudymi refleksami okalały anielską twarz, którą rozświetlały duże, zielone oczy. Elena miała na sobie purpurową, wyszywaną złotą nicią suknię. Jej duży dekolt zdobił naszyjnik z drobnych pereł, skrywający drżącą pierś. Giovanni poczuł ten sam głęboki wstrząs, który przeżył, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Ale od tamtej pory dziewczyna do tego stopnia zafascynowała jego sercem, że emocje, które go opanowały, były jeszcze bardziej wstrząsające.

Elena była zrazu zaskoczona, a potem zakłopotana intensywnością spojrzenia Giovanniego i jego dziwnym otępieniem. Wzięła go pod ramię, co jeszcze bardziej spotęgowało wzburzenie panujące w sercu jej gościa.

- Posil się, przyjacielu - powiedziała, prowadząc go do bufetu. Giovanni z wolna doszedł do siebie.

- Proszę wybaczyć moje zachowanie. Jestem... jestem głęboko poruszony twoim pięknem, pani.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

- Nie wierzę! W Wenecji jest całe mnóstwo pięknych kobiet. Nawet na tej sali!

- W tobie, pani, jest coś... innego.

- Umiesz, panie, rozmawiać z kobietami. Ale wiesz, że przymioty ducha zajmują mnie bardziej niż wygląd zewnętrzny i piękne słówka.

- Mówię szczerze. Innymi słowy, podzielam twą miłość do tego, co bardziej cieszy duszę niż ciało. Utożsamiam bowiem dobro z pięknem. Będąc zwolennikiem Platona, uważam, że Bóg po to obdarowuje człowieka piękną twarzą, by ujmowała serca tych, którzy ją podziwiają i prowadziła ich ku kontemplacji idealnego dobra i piękna.

Dziewczyna, wzruszona odkryciem, że młodzieniec interesuje się filozofią, uśmiechnęła się.

- Wznosisz konwersację na takie wyżyny, panie, że za chwilę sama poproszę cię, byś zechciał mówić o sprawach bardziej przyziemnych.

- Nie wierzę. Mówiono mi, że jesteś pani nie tylko piękną kobietą, ale również niezwykle umyślną.

- Patrzcie państwo! Chciałabym wiedzieć, który to z moich przyjaciół lub nieprzyjaciół wyraża się o mnie w ten sposób.

- Wedle mojego rozeznania nie masz nieprzyjaciół, pani. Na razie spotkałem samych admiratorów.

Elena odwróciła głowę, biorąc do rąk dwie małe miseczki. Jedną z nich podała Giovanniemu.

- Skosztuj pysznego kremu z homarów, panie.

- Mhm, wyśmienity, w rzeczy samej - odpowiedział młodzieniec, nie spuszczać wzroku z dziewczyny.

- To przepis mojej babki. Uwielbiam gotować. Giovanni znieruchomiał.

- Nie mów, pani, że sama przygotowałaś wszystkie te dania!

- Skąd, oczywiście, że nie! Tylko kilka. Ale mówmy o tobie, panie. Intrygujesz mnie. Z tego, co wiem, przybyłeś do Wenecji zaledwie pół roku temu, a już zdążyłeś podbić miasto talentem astrologicznym. Skąd pochodzisz? I dlaczego wybrałeś nasze miasto, by zacząć w nim błyskotliwą karierę?

Oczy Giovanniego zasnuły się mgłą. Dziewczyna spostrzegła, że jej pytanie przywołało bolesne wspomnienie.

- Proszę wybaczyć moją niedyskrecję. Moja matka wciąż mi powtarza, że jestem zbyt spontaniczna...

- Proszę, Eleno... Poprawił się natychmiast.

- Panno Contarmi...

- Proszę mi mówić Elena. Czy wolno mi mówić do ciebie Giovanni?

Z oczu młodzieńca popłynęły łzy.

- Oczywiście, Eleno.

Widząc jego reakcję, Elena poczuła nieznaną wcześniej rodzaj wzruszenia. Nagle owładnęło ją irracjonalne poczucie, że z całą pewnością zna tego nieznanego i jego duszę. Że jego dusza jest jej bliska, niezmiernie bliska.

Nagle podeszła do niej około czterdziestoletnia kobieta.

- Eleno, moja droga! Zaniedbujesz swoje obowiązki! Twój goście wciąż jeszcze przybywają, a ty, zamiast ich witać, chowasz się w kącie.

- Masz rację, mammo. Przedstawiam ci Giovanniego Da Scolę.

- Ach! Więc to pan zajmuje swą osobą moją córkę! Moja przyjaciółka, Sophia Priuli, mówiła mi o panu wiele dobrego.

- Wybacz, Giovanni. Zostawiam cię w rękach mojej matki. Do zobaczenia później...

Niemal z żalem Elena poszła witać swoich gości. Giovanni słuchał przez chwilę peanów Vienny Contarini na swoją cześć, ale nie mógł oderwać myśli od Eleny. Odczuwał szczęście niemal boleśnie.

Gdy podszedł do niego Agostino i jego przyjaciele, nie myślał o niczym innym, jak tylko o słowach Eleny. O wyrytym w jego sercu uśmiechu dziewczyny. I nie przestawał szukać jej wzrokiem.

Ich spojrzenia skrzyżowały się kilkakrotnie. Elena zawsze skromnie odwracała wzrok, ale mimo że zajęta pełnieniem honorów pani domu - ulegała wzruszeniu. Nie mogła przestać myśleć o głębokim spojrzeniu czarnych oczu, które wodziły za nią krok w krok.

Tymczasem Giovanni jako jeden z pierwszych opuścił przyjęcie. Całkowicie potwierdził stałość swoich uczuć względem Eleny, a także zauważył zainteresowanie dziewczyny jego osobą. Pozostali goście zanudzali go tysiącem pytań o astrologii, wrywając z intymnych rozmyślań. Czuł nieodpartą potrzebę samotności.

Podszedł do pani domu. Widząc, jak zbliża się do niej, Elena, którą wciąż otaczał wianuszek przyjaciół, nie mogła powstrzymać wzruszenia.

Kiedy podszedł, ponownie wzięła go pod rękę i zaprowadziła w miejsce, gdzie mogli być sam na sam.

- Muszę już iść, Eleno. Nie wiem, jak mam ci dziękować za cudowne przyjęcie.

- Już mnie opuszczasz?

- Tak trzeba. Ale bardzo pragnę cię zobaczyć... w nieco bardziej sprzyjających okolicznościach. Jeśli cię to nie gorszy.

- Wręcz przeciwnie. Będę szczęśliwa, mogąc podjąć przerwana rozmowę.

- Kiedy znowu cię zobaczę?

- Pojutrze. Przyjdź na podwieczorek, jeśli możesz - odpowiedziała Elena bez wahania.

- Przyjdę.

Giovanni namiętnie ucałował jej dłoń, po czym dziewczyna odprowadziła go do schodów. Kiedy schodził na parter, gdzie czekała na niego gondola, krzyknęła:

- Opowiesz mi o Platonie, prawda?

Giovanni przystanął nagle. W jego oczach pojawił się dziwny blask.

Pobiegł do wyjścia, nie oglądając się za siebie.

37

Punktualnie o czwartej Giovanni wysiadł z gondoli przed pałacem Contarini. Służący wzięł jego płaszcz i zaprowadził na piętro. Młodzieniec został serdecznie powitany przez matkę Eleny, której podarował bukiet różowych lilii.

- Jak miło z pana strony! Nie trzeba było. Tak miło znów pana widzieć. Bardzo wcześnie nas pan opuścił przedwczoraj wieczorem.

- Bardzo mi przykro, tym bardziej że to było piękne przyjęcie! Elena pojawiła się na szczycie schodów wiodących na drugie piętro. Miała na sobie turkusową suknię z etolą z różowej

lami. Jej długie włosy, spięte wysoko i zebrane w kok, nadawały jej wygląd średniowiecznej księżniczki. Widząc ją schodzącą powoli po schodach, Giovanni aż zadrżał ze wzruszenia.

- Spójrz kochanie, jakie piękne - powiedziała Vienna Contarini, pokazując córce bukiet.

Pasują do twego szala!

- Jest pan czarodziejem, panie Da Scola! - odpowiedziała Elena, podając mu dłoń.

Giovanni ucałował ją ze wzruszeniem.

- Jestem niezwykle rad, że mogę panią widzieć, panno Contarini.

- Mamo, czy mogę podjąć pana Da Scolę w saloniku? - spytała Elena matkę.

- Oczywiście kochanie. Jest zdecydowanie bardziej przytulny niż ta ogromna sala. Będziecie tam mieli spokój. Poproszę Julianę, by podała wam czekoladę na gorąco. Co pan na to, przyjacielu?

- Bardzo niedawno poznałem ten przedziwny napój i przyznam, że doceniam jego zalety w najwyższym stopniu.

- Czy wie pan, że od kilku lat robi furorę na hiszpańskim dworze, gdzie jest podawana z najróżniejszymi przyprawami? Czy próbował już pan czekolady z cynamonem?

- Jeszcze nie.

- Zatem zaraz pan spróbuje!

Elena zaprowadziła Giovannięgo na drugie piętro. Korytarzem przeszli do niewielkiego, lecz bardzo bogato zdobionego, jasnego salonu, którego cztery okna - podobnie jak okna pozostałych komnat - wychodziły na Canal Grande. Elena usiadła na brzegu szerokiej sofie, wskazując Giovanniemu miejsce na drugim końcu mebla, w odległości kilku stóp od siebie.

- Ma pani siostrę, nieprawdaż? - spytał młodzieniec, próbując przełamać dławiące mu krtań wzruszenie.

- Tak, ale została na Cyprze z naszym ojcem.

- Proszę mi opowiedzieć o tej pięknej wyspie. Mówiono mi, że bywa tam pani nader często.

- Od niemal pięciu lat, to znaczy od czasu, gdy mój ojciec został *retore*, żyję między Wenecją a Nikozją.

- Mam nadzieję, że zostanie pani z nami na dłużej przed ponowną podróżą do ojca i siostry?

Elena spojrzała na Giovannięgo przewrotnie. Przez kilka chwil zachowała milczenie, po czym szepnęła poufałym tonem:

- Teraz, kiedy jesteśmy sami, mogę znowu zwracać się do ciebie, wymawiając twe piękne imię?

- Spraw mi pani największą radość, Eleno...

- Zatem, Giovanni, wolisz Platona czy Arystotelesa?

Giovanni zamilkł. Podczas pierwszego spotkania z Eleną zorientował się, że dziewczyna interesuje się filozofią, ale nie spodziewał się, że w ten sposób rozpocznie rozmowę. Skupił się i

udzielił szczerzej odpowiedzi:

- Wielce podziwiam Arystotelesa i często czytam jego dzieła, zwłaszcza wspaniałą *Etykę nikomachejską*, ale przyznam, że wolę boskiego Platona, który - nie znając wszakże Pisma Świętego - zdołał wznieść umysł człowieka na nieznane wcześniej szczyty.

- Mówiono mi, że czytasz filozofów w oryginale. To prawda?

- To niezbędne, jeśli chce się ich dobrze zrozumieć - wyznał Giovanni skromnie. - Miałem szczęście spotkać wspaniałego mistrza, ucznia samego Marsilia Ficina. Przez wiele lat nauczał mnie filozofii, łaciny i greki.

Elena spojrzała na Giovanniego z podziwem.

- Jest to szczęście, na które z całą pewnością zasłużyłeś, zważywszy na twój głód wiedzy - odpowiedziała Elena. - Płonę z ciekawości, by dowiedzieć się o tobie wszystkiego!

Ta szczerza, niepodszyta pochlebstwem i kokieteryą śmiałość wzruszyła Giovanniego.

- A ja wszystkiego o tobie - odpowiedział.

Elena spuściła wzrok. Była zbyt otwarta i czasem wyrzucała sobie swoją spontaniczność, która zbyt szybko zdradzała jej prawdziwe uczucia. Tymczasem, od pierwszej chwili, była wprost urzeczona Giovannim. Od powrotu z Cypru nasłuchiwała się opowieści przyjaciół, zachwyconych tym młodym, błyskotliwym astrologiem, w którym zakochała się cała wenecka socjeta. Potem Agostino wyznał jej, że Giovanni rad by ją poznać. Była zaskoczona, ale także mocno zaciekawiona. Podczas przyjęcia pozostawała pod urokiem jego nieco mrocznej urody, inteligencji i emanującej zeń aury tajemniczości.

Dowiedziała się także, że mówiono, iż nie ma kobiety.

Od dwóch dni myślała tylko o nieznanym, przy którym żadna z dziewcząt nie pozostawała obojętna. Jej przyjaciele nie omieszkali zauważyć, z pewną nutką żalu, że nie spuszczał z niej wzroku. To wzajemne zainteresowanie zdawało się jej bardzo dziwne, ale magiczna aura spotkania rozniecała w niej płomień, który zaczął się tlić w jej sercu.

- Zatem pobierałeś nauki u wielkiego filozofa. Czy to właśnie u niego poznałeś tajniki astrologii?

- Tak. Mistrz Lucjusz uważany jest we Florencji i w Rzymie za największego astrologa Europy. Ale gdy go poznałem, nie miałem o tym pojęcia!

- No właśnie! Słyszałam, że twój nauczyciel żył w ukryciu, w lasach Abracji. Jak go odnalazłeś? I po co w ogóle go szukałeś?

- Prawdę mówiąc, nie szukałem go... a raczej szukałem kogoś takiego, sam o tym nie wiedząc. Opatrzność postawiła go na mojej drodze.

Elena wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- Mów jaśniej, przyjacielu!

- Wybacz. Moja historia rzeczywiście jest nieco zagmatwana. Krótko mówiąc, opuściłem rodzinne miasto po to, by poznać życie i pogłębić moją skromną wiedzę. W ten oto sposób, pewnego ranka, na skraju drogi spotkałem człowieka, który zaprowadził mnie do swego pana. Pan ów okazał się być owym słynnym filozofem...

Jowialna, tłuściutka służąca weszła bez pukania z tacą w rękach, przerywając wywód Giovanniego.

- Oto wasz poczęstunek! Uważajcie, czekolada jest bardzo gorąca!

- Dziękuję ci, Juliano - odpowiedziała Elena, podnosząc się z kanapy i przysuwając do niej stoliczek.

Służąca postawiła filiżanki i ciasto. Nagle podniosła oczy na Giovanniego i - jakby zadziwiona i - zatrzymała wzrok kilka sekund na jego twarzy, po czym wyszła, celowo zostawiając uchylone drzwi. Elena z powrotem zajęła miejsce na kanapie, ale zdecydowanie bliżej młodzieńca, któremu podała filiżankę.

- Uważaj. Słyszałeś, co mówiła Juliana.

- Dziękuję, Eleno - odpowiedział Giovanni, biorąc z jej dłoni filiżankę, którą natychmiast postawił na kolanach.

- Opowiedz mi o rodzinie... o twoim rodzinnym mieście - powiedziała Elena, czekając, aż napój wystygnie.

Żadne inne pytanie nie sprawiłoby Giovanniego w większe zakłopotanie. Postanowił jednak, że będzie szczery, nie zdradzając, w miarę możliwości, swojej tajemnicy.

- W wieku siedmiu lat straciłem matkę.

- Och, bardzo mi przykro...

- To nie twoja wina, Eleno - odpowiedział Giovanni, instynktownie biorąc ją za rękę.

Zmieszana dziewczyna delikatnie cofnęła dłoń.

- Mieszkałem z ojcem i młodszym bratem w małym kalabryjskim miasteczku - ciągnął spokojnie Giovanni, starając się za wszelką cenę przezwyciężyć wzruszenie. - Mój ojciec pochodził ze zubożałej szlachty i zajmował się handlem końmi. Czy znasz Kalabrię?

Oczy Eleny pociemniały. Odwróciła wzrok, wyglądając przez okno.

- Byłam tam przez moment cztery czy pięć lat temu, ale to niedobre wspomnienie. Nasz okręt został poważnie uszkodzony przez korsarzy, gdy wracaliśmy z Cypru.

- Zatonął?

- Mniejsza o statek. Przeżyłam tam przygodę, która do dziś straszy mnie w snach...

Elena ponownie spojrzała Giovanniemu w oczy.

- Ale nie chcę teraz o tym mówić.

Giovanni był poruszony faktem, że dziewczyna wszystko pamięta, ale też zmartwiony tym,

że nie chce o tym mówić. Elena podała mu kawałek migdałowego ciasta.

- Opowiedz mi o Platonie. Czy wiesz, że tu, w Wenecji, jest zupełnie niedoceniany? Nasi nauczyciele, którzy wykładają w Padwie, są zagorzałymi zwolennikami Arystotelesa, uważając go za realistę bliższego rzeczywistości.

- Nie dziwi mnie, że wy, Wenecjanie, jesteście przede wszystkim pragmatykami! Arystoteles spędził życie, obserwując człowieka i naturę oraz klasyfikując, analizując, porządkując to, co udało mu się pojąć. Platon z kolei bardziej polega na doświadczeniu wewnętrznym i kontemplowaniu idei: dobra, prawdy i piękna, od których wywodzi cały świat postrzegany za pomocą zmysłów. Jako że jestem idealistą, bardziej porusza mnie filozofia Platona. Czytałeś jego dialogi? A zwłaszcza *Ucztę*?

- Niestety nie, gdyż - w przeciwieństwie do ciebie nie znam ani greki, ani łaciny. Mój preceptor przekazał mi podstawy filozofii, czytając wiele fragmentów dzieł, ale nigdy *Ucztę*. O czym traktuje to dzieło?

- O miłości.

- O miłości! Mów mi o niej, przyjacielu; ten temat niezwykle mnie pasjonuje.

- Jak wspomniałem na początku naszej rozmowy, Platon wykazuje, że piękno zmysłów, które porusza nas, gdy patrzymy na piękną twarz lub ciało, prowadzi nas do piękna duszy i do piękna Boga.

Giovanni zamilkł i spojrzał uważnie na Elenę.

Dziewczyna wytrzymała spojrzenie. Wiedziała, że usłyszy za chwilę coś bardzo osobistego. Mogłaby zmienić temat lub spuścić wzrok, ale postanowiła przyjąć wprost wyznanie Giovanniego, nie zastanawiając się, co mu odpowie.

- Oto dlaczego nie wstydę się wyznać, iż pokochałem cię od pierwszego wejrzenia, Eleno - powiedział drżącym z emocji głosem.

38

Giovanni nie spodziewał się wrażenia, jakie wywrą na niej jego słowa. Kochał Elenę od tak dawna i tak szczerze, że nie uświadamiał sobie, w jakim stopniu ta niespodziewana deklaracja zaskoczy i uderzy dziewczynę, której wydawało się, że spotkali się dopiero dwa dni temu.

Intelekt Eleny z miejsca określił słowa Giovanniego mianem zaskakujących i nieprzemyślanych, ale jej serce mówiło zupełnie innym językiem: językiem tajemnicy. Dziewczyna wiedziała, że wyznanie Giovanniego było szczerze. Czula też, że miłość chłopca budzi w jej sercu odzew. Bez słowa, powoli, wyciągnęła do Giovanniego dłoń i dzielnie wytrzymała jego spojrzenie.

Drżący na całym ciele Giovanni wyciągnął swoją dłoń na spotkanie - tak bardzo wyczekiwane - z ciałem i sercem Eleny. Ich palce musnęły się, jak płatki jednego kwiatu, które się odkrywają, rozwijając się po raz pierwszy w słońcu. W oczach Giovanniego zaślnęły łzy. Widząc je,

Elena poczuła tak silne wzruszenie, że gorąco zapagnęła rzucić się w jego ramiona.

Powstrzymała się jednak. Giovanni także nie odważył się na nic więcej, zwłaszcza że w każdej chwili ktoś mógł wejść. Zadowolił się mocnym uściskiem dłoni dziewczyny. Spletli palce, przymykając oczy. Dziеляcy ich dystans stawał się coraz bardziej nieznośny.

- Kiedy znowu cię zobaczę? - zapytał Giovanni jednym tchem.

Pod wpływem jego głosu zadrżała bardziej niż od najbardziej namiętnego z pocałunków.

Zdołała zebrać myśli, uświadamiając sobie, że lepiej by było nie spotykać się w domu, by nie budzić podejrzeń matki.

- Czy sporządzając horoskopy, przyjmujesz czasem kobiety u siebie, nie wzbudzając przy tym plotek całej Wenecji?

- Czasem tak. I byłbym szczęśliwy, mogąc gościć cię u siebie. Ale właścicielka domu dość dobrze zna twoją matkę.

- Nieważne! Powiem prawdę: że wzięty astrolog zaproponował mi sporządzenie mojego horoskopu, by odpowiedzieć na moje pytanie... czy wkrótce wyjdę za mąż!

Giovanni zbladł jak płótno. Puścił dłoń Eleny.

- A więc o to chodzi?

- Kilku pretendentów ubiegających się o moją rękę bardzo podoba się mojej matce, ale to ty mi powiesz, czy są warci zachodu, czy... może lepiej jeszcze troszkę zaczekać - odpowiedziała przekornie. - Zapytaj Sopię Priuli, czy mogę potem zostać na kolacji. W ten sposób zachowamy konwenanse - dodała, wstając.

Młodzieniec także wstał.

- Jutro wieczorem?

- To zbyt szybko. Moja matka zwietrzy nasz spisek! Powiedzmy za trzy czy cztery dni, o ile będzie to odpowiadało Priulim.

- Rozumiem - odpowiedział Giovanni, biorąc rzecz na siebie.

- Kochanie! - krzyknęła w tym samym momencie Vienna Contarmi, stając u podstawy schodów. - Pamiętaj, że musimy kupić ci kapelusz na przyjęcie u Grimanych.

- Już idę, mam! Właśnie skończyliśmy! - odkrzyknęła Elena przez drzwi, po czym odwróciła się w stronę Giovanniego, składając na jego policzku pocałunek.

- Biegnę się przebrać. Spytaj moją matkę o datę moich urodzin. Do zobaczenia - dodała, znikając za drzwiami.

Giovanni nie zdążył odwzajemnić przelotnego pocałunku. Odprowadził dziewczynę spojrzeniem, gdy zniknęła w biegnącym do jej pokoju korytarzu. Schodząc, wpadł na jej matkę, której przy okazji wyjaśnił, że chciałby zaprosić Elenę na konsultację astrologiczną do Priulich, by odpowiedzieć dziewczynie na pytania dotyczące spraw sercowych. Viennie ten pomysł bardzo

przypadł do gustu. Nie omieszkała przy tym szepnąć młodzieńcowi do ucha, że sama ma słabość do syna Grimanich: tych samych, do których idą dziś na kolację.

- To wspaniała partia dla Eleny - dodała. - Niestety, moja córka jest wciąż niezdecydowana.

- Bardzo chętnie doradzę jej to małżeństwo... o ile gwiazdy nie wskażą mi innej drogi - odpowiedział Giovanni ironicznie.

- Oczywiście - odpowiedziała nieco zakłopotana Vienna.

- Muszę znać dokładną datę urodzenia Eleny, o ile ją pamiętasz, pani.

- Oczywiście.

Vienna skreśliła kilka słów na karteczce i podała ją Giovanniemu. Wsunął notatkę do kieszeni.

- Doskonale. Pozwól, że cię pożegnam, pani. Mam nadzieję, że wkrótce znów się spotkamy.

- Proszę przyjść i opowiedzieć mi, co gwiazdy mówią na temat mojej córki! Znam ją, na pewno nie powie mi prawdy!

- Z największą radością zawitam znów w tym wspaniałym domu - odpowiedział Giovanni i pożegnał się.

- Pan Da Scola! - krzyknęła za nim gospodyni. Zaskoczony Giovanni odwrócił się.

- Jak smakowała panu czekolada?

- Boska!

- Bardzo się cieszę. Proszę przychodzić, kiedy tylko będzie miał pan ochotę!

Giovanni podziękował i zszedł po schodach na parter. Wziął płaszcz i podszedł do wychodzącej na Canal Grande bramy, przed którą czekała na niego gondola. Nagle zmienił zdanie i podszedł do służącego, który odprowadził go do drzwi.

- Czy jest może inne wyjście z pałacu? Na chodnik? Chciałbym rozprostować nogi.

- Oczywiście, panie.

Służący zaprowadził Giovanniego do małych drewnianych drzwi, wychodzących na wąziutki pasaż.

Gdy tylko służący zamknął za nim drzwi i poinformował gondoliera, by nie czekał, Giovanni starannie zlustrował okolicę. Zorientował się, że ciągnąca się wzdłuż ściany pałacu wąziutka uliczka, na której z trudem zdołałyby się wyminąć dwie osoby, wychodziła na Canal Grande. Zadarł głowę i spostrzegł, że na każdym piętrze było kilka wychodzących na nią okien. Na trzecim piętrze znajdowało się małe okienko, które - zgodnie z jego przewidywaniami - powinno być okienkiem w sypialni lub łazience Eleny. Przejęty odkryciem, przeszedł kilkadziesiąt kroków i wyszedł na szeroką arterię. Skręcił w lewo w *calle San Samuele* i z radością w sercu zagłębił się w sieć uliczek dzielnicy San Marco.

Gdy dotarł do pałacu Priuli, właśnie zmierzchało.

Szybko poszedł do swojego pokoju, pośpiesznie zdjął płaszcz i buty i otworzył szafkę. Wyjął tablice astronomiczne i niezwłocznie wziął się do pracy. Narysował mapę nieba w chwili narodzin Eleny, po czym - przejęty - pochylił się nad nią w milczeniu.

- To niesamowite! - wyszeptał.

Dokładnie w tej samej chwili służąca Priulich, Marinella, zapukała do drzwi, wołając go na kolację.

39

Rozpromieniona Elena stanęła w drzwiach pałacu. Miała na sobie obszerny płaszcz z czerwonego aksamitu. Jej włosy były starannie upięte i przykryte pasującym do płaszcza kapeluszem.

- Jak dobrze cię widzieć po tak wielu miesiącach moje dziecko! Jesteś coraz ładniejsza!

- Dziękuję, Sophio! Bardzo się cieszę, że mogę panią odwiedzić w tym pięknym, romantycznym pałacu.

- Tak, tak, mam niezwykle szczęście gościć u siebie pewnego uroczego i utalentowanego młodzieńca...

Elena stała się równie czerwona co jej płaszcz.

- Żartowałam, kochanie! - Sophia ucałowała dziewczynę. - Wiem, po co przyszłaś. Mówiłam nawet twojej matce, że to wspaniały pomysł.

Wzięła od Eleny ciężki płaszcz i kapelusz, po czym zaprowadziła ją do salonu na piętrze. Po drodze nie omieszkała zauważyć:

- Nie wiem, co mu zrobiłaś, ale od waszego ostatniego spotkania stracił apetyt, nigdzie nie wychodzi i sprawia wrażenie nieobecnego.

- Wydaje mi się, że jednak nie z mojej przyczyny zachowuje się tak dziwnie - odpowiedziała Elena, udając zaskoczenie.

U niej też pojawiły się podobne objawy. Od czterech dni i nocy myślała tylko o Giovannim, a myśli o nim wprawiały ją w stan nieustającego, nieznanego wcześniej podniecenia. Sophia Priuli uśmiechnęła się.

- Spotkamy się na kolacji, a teraz idź już do jego pokoju. Z bijącym sercem Elena poszła za prowadzącą ją do pokoju Giovanniego służącą. Weszły na trzecie piętro *palazzo*. Kiedy były na górze, Marinella wskazała jej drzwi i oddaliła się dyskretnie. Elena została sama. Odczekała kilka sekund dla wyrównania oddechu, machinalnie poprawiła włosy i delikatnie zapukała do drzwi.

Zaskrzypiał parkiet. Gdy Giovanni stanął w otwartych drzwiach, serce o mało nie stanęło jej w piersi.

- Elena!

I oto nagle weszła do salonu, udając, że podziwia jego wystrój.

- Nie traci pan czasu. Można by rzec, że mieszka pan tu od lat. Giovanni zasmucił się, że Elena zwraca się do niego tak oficjalnie, ale szybko się zorientował, że dziewczyna czuje się niezręcznie i także przeszedł na „pani”.

- No cóż, jak widzisz, pani, szybko się zdomowiłem! Ale mało włożyłem starania w urządzenie mojego skromnego przybytku.

- Wręcz przeciwnie, jest tu bardzo ładnie. W niewielkich pomieszczeniach nie trzeba wprowadzać zbyt wielu zmian.

Elena zatrzymała wzrok na wiszącym na ścianie obrazie przedstawiającym zimową panoramę Canal Grande.

- Nie miał pan jeszcze okazji podziwiać Wenecji zimą. Zobacz pan, jaka jest wtedy czarująca!

Nie miała odwagi mówić do niego po imieniu. Marzyła o tym bez przerwy, ale teraz wydało jej się to nie do pomyślenia.

- Podobno czasem brnie się przez plac Świętego Marka po kostki w wodzie?

Elena wybuchnęła śmiechem. Uwaga Giovanniego rozładowała sytuację.

- W istocie! A bywa czasem, że trzeba pływać gondolą. Ale na tym właśnie polega urok naszego miasta, nieprawdaż?

- Zapewne. Jestem pełen podziwu dla tych, którzy zagospodarowali tę lagunę. A kiedy pomyślę, że wasze olbrzymie pałace stoją na tysiącach wbitych w błotniste dno pali... To cud woli i geniuszu człowieka!

- To prawda, jestem dumna z mojego miasta i jego założycieli. Zawsze gdy wracam z Cypru, serce mi się ściska na widok dziesiątek wznoszących się nad wodą kampanili ^{*},^{*} Kampanila - dzwonnica w formie wysmukłej wieży, stanowiąca najczęściej osobny budynek przy kościele, spotykana głównie w architekturze włoskiej. Elena odprężyła się w końcu i zdała sobie sprawę, że lęk przed jej własnym pożądaniem sprawił, że zanadto oddaliła się od Giovanniego. Odwróciła się w jego stronę i odezwała się z przyjaznym uśmiechem:

- Myślałam o tym, co mówiłeś, o miłości platońskiej, panie. Słyszac zmianę barwy głosu Eleny i rozpoznając dawną bliskość, Giovanni odetchnął z ulgą.

- Ach tak... - odpowiedział, wskazując jej fotel.

- Tak - podjęła, siadając. - Zastanawiam się, w jaki sposób miłość, którą darzymy piękną buzią, może nas nieuchronnie doprowadzić do umiłowania duszy, a nawet do umiłowania Boga?

- Nigdy nie utrzymywałem, że fascynacja zmysłowa zawsze prowadzi do najwyższych stadiów miłości. Jest to tylko możliwość, która została nam dana, ale oczywiście jest, że niektórzy zatrzymują się na pierwszej fazie miłości - fascynacji zmysłowej - i niestety nie wznoszą się na wyżyny miłości idealnej.

- A czym jest idealna miłość?

- Z całą pewnością jest to miłość, która łączy kochanków w sposób najbardziej bezinteresowny z możliwych. Taka, która sprawia, że kochamy daną osobę dla niej samej, a nie dla jej zalet, na przykład urody lub ze względu na spodziewane korzyści.

- A jeśli ktoś twierdzi, że pokochał nas od pierwszego wejrzenia, gdy tylko ujrzał naszą twarz, jaką możemy mieć pewność, że kocha nas dla nas samych, dla naszej duszy, a nie jest jedynie zafascynowany naszą powierzchownością, pięknem naszego ciała?

Pytanie tak ewidentnie odnosiło się do wyznania Giovanniego, że młodzieniec wzdrygnął się, a przygotowanie odpowiedzi zajęło mu kilka chwil.

Miał dalej brnąć w dyskusję teoretyczną, udając, że nie zrozumiał aluzji, czy odpowiedzieć wprost, zgodnie z tym, co mówiło jego serce?

Wybrał drugą możliwość.

- Eleno, w żaden sposób nie mogę pani dowieść, że moje uczucie do ciebie jest prawdziwe. Jedno tylko wiem: myślę o pani od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem i ta myśl nadaje sens mojemu istnieniu...

- Ależ znamy się zaledwie od tygodnia! Niemożliwe, by od tamtej pory pana życie aż tak się zmieniło.

Giovanni zaszedł za daleko, by się teraz wycofać. Nie kalkulując ryzyka, przymknął oczy i wyznał:

- Eleno, myślę o pani dzień i noc od czterech długich lat.

- Co... co pan chce przez to powiedzieć?

- Po raz pierwszy ujrzałem panią pewnego letniego wieczoru... cztery lata temu.

- Ale... nie przypominam sobie, byśmy zostali sobie przedstawieni. Czy to było w Wenecji?

Czy może na Cyprze?

- Ani w Wenecji, ani na Cyprze.

- Nigdzie indziej nie wyjeżdżałam. Ani do Rzymu, ani do Florencji...

Czyżby?

- Jest pan niezwykle tajemniczy!

Elena wstała z fotela i podeszła do okna. Była wzburzona, podejrzewając jakąś zręczną uwodzicielską grę.

Giovanniego tymczasem wypełniał błogi spokój i nieznana dotąd wewnętrzna siła. Wyznanie nie przyszło mu z trudem. Wręcz przeciwnie. Właśnie pozbył się przytłaczającego go od dawna ciężaru.

- Nie jestem tajemniczy, Eleno. Próbuję przywołać w pani odległe wspomnienie naszego pierwszego spotkania, starając się przy tym oszczędzić pani bolesnego wzruszenia.

- A dlaczego niby miałabym być „boleśnie wzruszona”? - spytała Elena, czując, że unosi się gniewem. - Czyżby to odległe wspomnienie było aż tak bolesne?

Twarz Giovanniego zasnęła się woalem smutku. Nie znajdował słów, którymi mógłby wyrazić, że był owym biednym chłopem, który próbował ją zobaczyć, wpatrując się w szpary między belkami strychu, za co został tak surowo ukarany. Znał tylko jeden sposób. Wstał z fotela, podszedł do dziewczyny, powoli zdjął koszulę i pokazał jej nagi tors.

Elena zamarła z zaskoczenia. Giovanni odwrócił się. Dziewczyna ujrzała stare blizny, którymi były zryte jego plecy. Pojęła, że został kiedyś wychłostany. Nie wiedząc czemu, poczuła dziwny, związany z odległym wspomnieniem smutek. Nagle stanął jej przed oczami obraz: ciągnięte przed nią zakrwawione, niemal martwe ciało pewnego kalabryjskiego chłopca. Jej duszę przeszył wstrząs. Podeszła do Giovanniego, kładąc na jego plecach drżące dłonie. Poczuła, jak pod jej palcami poranioną skórę mężczyzny przebiegł dreszcz.

Giovanni odwrócił się. Jego oczy lśniły od łez. Elena przyjrzała mu się uważnie, po czym wydała stłumiony krzyk.

40

- To naprawdę ty?

Giovanni wpatrywał się w Elenę bez słowa.

- Przyjechałeś tu z mojego powodu?

- Tak.

Elena stała przez chwilę, pełna zdumienia, po czym rzuciła się w ramiona Giovanniego i, kładąc głowę na jego nagim torsie, z całej siły przytuliła się do niego. Młodzieniec objął ją mocnym ramieniem, a jego łzy spływały wprost na odsłonięty kark dziewczyny. Elena łkała, nie wypuszczając go z objęć.

- Giovanni. Nawet nie znałam twojego imienia. Ja też często myślałam o tobie. Tak bardzo bolał mnie twój ból...

Podniosła głowę, patrząc mu w oczy:

- Teraz rozumiem, dlaczego byłam tak bardzo poruszona, kiedy zjawiliś się na przyjęciu. Wydało mi się wtedy, że znam twoją duszę. I tak było!

- Eleno, od lat czekałem na tę chwilę!

Patrzyli na siebie w milczeniu. Ich twarze były tak blisko siebie, że Elena przymknęła oczy. Wspięła się na palce, składając delikatny pocałunek na ustach Giovanniego. Pod wpływem tego spotkania usta obojga zadrżały.

Z obawy, że udusi dziewczynę, Giovanni wypuścił ją z ramion. Znow na nią spojrzął. Tym razem w jego czarnych oczach malowała się radość.

- Jestem taki szczęśliwy, tak bardzo szczęśliwy, Eleno...

- Zatem, panie Da Scola, mieszkał pan w mieście, a pana ojciec handlował końmi?

Elena uśmiechnęła się szeroko. Giovanni spojrział na nią z niepokojem.

- Naprawdę nazywam się Giovanni Tratore. Masz mi za złe, że skłamałem, chroniąc naszą tajemnicę?

- Wręcz przeciwnie. Lepiej, żeby nikt się nie dowiedział, kim naprawdę jesteś.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo pokrzepił mnie list, który zostawiłaś dla mnie mojemu ojcu. Znam go na pamięć, a mimo to czytałem go co dnia.

Dziewczyna spojrzała na niego w milczeniu. Sytuacja wydawała jej się zupełnie nierzeczywista, jakby wyjęta z baśni.

- Nie mogę uwierzyć, że tylko z powodu miłości do mnie porzuciłeś rodzinę i przeszedłeś pieszo całą Italię!

- A jednak to prawda.

- Dużo czasu ci to zajęło! Giovanni roześmiał się pełną piersią.

- Bynajmniej nie dlatego, że o tobie nie myślałem! Ale kiedy spotkałem Mistrza Lucjusza, ten zażądał, bym został z nim co najmniej trzy lata. Gdybyś tylko wiedziała, jak się wahałem. Tak bardzo chciałem cię zobaczyć!

Elena z trudem uświadamiała sobie, że Giovanni zrobił to wszystko z miłości do niej. Łącznie z poznaniem astrologii i filozofii. Ta świadomość przytłaczała ją. Dziewczyna poczuła się niezręcznie.

- Z całą pewnością nie zasługuję na tyle wiary, nadziei i miłości. Szybko zobaczysz, że jestem zwyczajną dziewczyną...

- Mało cię znam, Eleno, ale, nic o tym nie wiedząc, wprowadziłaś mnie na drogę, na której spotkałem wyjątkowych ludzi, zawarłem cenne znajomości i zaznałem wielkiego szczęścia. Sądzę, że nie znasz samej siebie, swojego wewnętrznego piękna... którego zewnętrzne piękno twego ciała jest zaledwie odbiciem.

- Tak, tak „panie wszystkowiedzący”.

- Pamiętaj, że jestem astrologiem i że sporządziłem twój horoskop, z którego wiele się o tobie dowiedziałem.

- Zapomniałam, że mieliśmy o tym porozmawiać! Nie chciałabym cię rozczarować, ale mam w nosie tak horoskop, jak i moich absztyfikantów. To był tylko pretekst, by cię odwiedzić.

- Popelniasz błąd, Eleno - odpowiedział Giovanni. - Sporządzając twój horoskop, dokonałem niezwykłego odkrycia.

Zaciekawiona Elena uniosła brwi i uśmiechnęła się.

- Wyobraź sobie, że Wenus, planeta symbolizująca miłość, jest w twoim horoskopie dokładnie w tej samej pozycji, co w moim.

- Wnioskujesz stąd, że jesteśmy sobie przeznaczeni? Giovanni odwzajemnił uśmiech dziewczyny i położył usta na jej ustach. Na długie minuty ich ciała splotły się w zmysłowym pocałunku.

Przerwało im skrzywienie parkietu za drzwiami. Wstrzymali oddech. Trzykrotnie zastukano do drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale podano do stołu. Jesteście oczekiwani w salonie - usłyszeli głos Marinelli.

- Już idziemy - odpowiedział Giovanni, pocierając brodę. Schylił się, by podnieść koszulę, tymczasem Elena poprawiła włosy.

- Co powiemy, gdy nas spytają o przebieg tej pasjonującej konsultacji astrologicznej? - zapytała Elena ze śmiechem.

- Powiesz po prostu, że była bardzo pouczająca, ale zdecydowanie zbyt osobista, by o niej mówić. Resztą ja się zajmę. Powiem kilka banałów na temat twojego charakteru...

- Sam widzisz, że jestem banalna! Przytulili się do siebie ze śmiechem.

Giovanni zaprowadził Elenę do łazienki, a sam zajął się przywracaniem ładu w pokoju. Dziewczyna weszła w chwili, gdy wkładał do szafki swoje astrologiczne księgi. Zaintrygowała ją stojąca w głębi duża koperta. Giovanni zamknął szafkę i zawiesił kluczyk na szyi.

- Pójdźmy do naszych gospodarzy. Może byłoby roztropniej przejść przy nich na „pan - pani”?

- Z przyjemnością, *Signor astrologo*. Priuli już zaczynali się niecierpliwić.

- Nareszcie! - wykrzyknął pan domu, widząc młodych na schodach. - Siadajmy do stołu. Mój żołądek nie lubi czekać!

- Prosimy o wybaczenie - odpowiedział Giovanni. - Ale miałem bardzo wiele do powiedzenia na temat tej uroczej istoty.

- Nie wątpimy - zauważyła pani domu, usadzając gości. - Zatem co ciekawego usłyszałaś, Eleno?

- Bardzo wiele! Ale wszystko jest jeszcze zbyt świeże i jestem zbyt zmieszana, by móc teraz spokojnie o tym mówić.

- A poza tym są to nader poufne informacje - włączył się Giovanni, śląc czarujący uśmiech w stronę pani domu.

- Oczywiście, ale powiedzcie nam tylko... wprost płonę z ciekawości...!

Elena spojrzała na Sopię pytająco. Ta poczekała, aż służąca poda gorące talerze, podniosła do ust łyżkę zupy (to samo zresztą uczynili pozostali biesiadnicy), po czym zadała pytanie, które od dłuższego czasu miała na końcu języka:

- Elena poślubi Don Gregoria Badia czy młodego Tomassa Grimaniego?

Giovanni o mało się nie udławił. Elena wyglądała na zakłopotaną ale była zdecydowanie mniej zaskoczona.

- Nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji w tej sprawie, a pan Da Scola nie wypowiedział się na ten temat - odpowiedziała spokojnie.

Zbita z tropu Sophia spojrzała na Giovanniego.

- Jak to? Myślałam, że sporządzi pan horoskop po to, by przepowiedzieć Elenie przyszłość dotyczącą spraw sercowych właśnie!

- Oczywiście, ale poruszyłem tematy natury ogólnej. Mówiłem, co pannie Contarini wypada, a czego nie wypada czynić, ale nie wypowiadałem się na temat konkretnych osób.

- Wypada poślubić dojrzałego i wykształconego mężczyznę, czyli pana Gregoria - odparował stary Priuli.

- Ależ kochanie, on ma prawie czterdzieści lat i mógłby być jej ojcem! - zauważyła Sophia.

- To nie ma nic do rzeczy. Don Gregorio to mężczyzna z temperamentem, w sile wieku, wpływowy i bogaty. Poślubiając mężczyznę z doświadczeniem, zamiast brać się za młokosa, który, jak Grimani, nic nie wie o życiu, młoda dziewczyna może wygrać dużą stawkę.

- Tomasso nie jest już dzieckiem! Prawdopodobnie jest nawet starszy od naszego przyjaciela Giovanniego. Jest przystojny, wykształcony i stanowi jedną z lepszych partii w mieście. I nie muszę ci przypominać, że cieszy się też reputacją wytrawnego szermierza. Mniejsza o to, że akurat tego nie pochwalam! Będąc na miejscu Eleny, nie wahałabym się!

Elena siedziała jak na rozżarzonych węglach.

- To bardzo przedwczesne spekulacje. W ciągu najbliższych miesięcy nie zamierzam wychodzić za mąż. Pan Da Scola był natomiast uprzejmy zauważyć, że mam naturę filozofa i zaproponował mi udzielanie prywatnych lekcji.

Giovanni wytrzeszczył oczy, ale po chwili opanował się i zawtórował dziewczynie.

- Panna Contarmi jest osobą niezwykle inteligentną i pasjonuje się filozofią. Rozprawianie z nią na temat filozofii będzie dla mnie zaszczytem.

- Wspaniały pomysł! - podjęła Sophia Priuli. - Wielka szkoda, że nasze dziewczęta nie odbierają równie starannego wykształcenia co nasi chłopcy i nie mogą studiować na uniwersytecie.

- Może jestem człowiekiem starej daty, ale uważam, że kobiety muszą się uczyć innych rzeczy i prowadzić dom, a nie rozprawiać o abstrakcyjnych ideach - odpowiedział jej mąż.

- Jedno nie przeszkadza drugiemu - wtrąciła Elena. - Pan Da Scola zechciał zauważyć, że jestem stworzona zarówno do wychowywania dzieci, jak do pielęgnowania własnego intelektu.

- No, skoro gwiazdy tak mówią! - prychnął Priuli, wzruszając ramionami.

W końcu Giovanniemu udało się skierować rozmowę na bardziej ogólne tematy. Po posiłku odprowadził Elenę do drzwi. Zanim wsiadła do gondoli, zdążył jej szepnąć do ucha:

- Czy mogę przyjść jutro, by udzielić ci pierwszej lekcji?

- Poczekaj, aż obłaskawię matkę. Wkrótce dam ci znak. Wymienili przelotny pocałunek, a po chwili Elena zniknęła w drewnianej kabinie gondoli.

Giovanni odprowadzał wzrokiem sunącą po wodzie łódkę, aż zniknęła mu z oczu. Następnie wszedł na górę, podziękował gospodarzom i wrócił do swojego pokoju. Usiadł w fotelu i ze wzruszeniem wyczuł pozostawiony przez Elenę zapach perfum. Po dłuższej chwili wstał, otworzył szafkę i wyjął przeznaczoną dla papieża kopertę. Wrócił na fotel i z powagą w oczach spojrzał na list.

- Kiedy zdobędę się na odwagę, by opuścić Elenę i udać się do Rzymu? - westchnął. - Gdybym chociaż wiedział, co zawiera ten list!

Młodzieniec zamyślił się nad dyskusją o Lutrze, Antychryście i o końcu świata. Im dłużej dumał, tym bardziej dochodził do wniosku, że koperta ma związek z tym tematem. Być może Mistrz Lucjusz wyjawiał imię Antychrysta lub datę końca świata? Giovanniego świerzbiły ręce. Dokładnie obejrzał kopertę. Czy można ją otworzyć, nie niszcząc pieczęci? Niestety, nie. Czuł nieprzepatą chęć przeczytania listu. Walczył ze sobą długą chwilę, po czym odłożył go na miejsce.

Poszedł do sypialni, rozebrał się i wyciągnął na łóżku, wyglądając przez okno, za którym rozpościerał się widok rozgwieżdżonego, pełnego tajemnic nieba. Gryzło go sumienie, ale serce wypełniała radość. Pomyślał, że odczeka jeszcze kilka tygodni, aż Elena przywiąże się do niego, po czym wyjawi jej powód wyjazdu do Rzymu. Załatwi sprawę w niespełna dwa tygodnie, po czym spokojnie, bez wyrzutów sumienia, zamieszka u boku swej ukochanej.

41

Giovanni niecierpliwie czekał na bilecik od Eleny. Dwa dni później dostał króciutki list. Wiadomości były niepomyślne. Płomienne słowa na powitanie ostudził chłód następującej po nich informacji: matka Eleny zgadzała się na lekcje pod warunkiem... że sama też będzie w nich uczestniczyć! Być może czegoś się domyślała? Tak czy inaczej, nazajutrz po południu Elena wyznaczyła spotkanie w swoim pałacu.

Astrolog udał się tam i przeprowadził lekcję filozofii greckiej, w której uczestniczyła Elena, jej matka i dwie światłe damy zaproszone na tę okoliczność przez Vienne. Przyjaciele nie mieli sposobności zostać ze sobą sam na sam.

Taki stan rzeczy powtarzał się dwa razy w tygodniu. Mogąc zobaczyć Elenę, Giovanni odczuwał niewysłowione szczęście, wprost proporcjonalne jednak do frustracji wywołanej niemożnością przytulenia dziewczyny. Elena także umierała z tęsknoty i z całych sił chciała rzucić się w ramiona ukochanego, z trudem znosząc odgrywaną przed matką i jej przyjaciółkami komedię.

Giovanni siedział właśnie w oberży, szukając sposobu spotkania Eleny sam na sam, gdy usłyszał znajomy głos:

- Ale jesteś zamyślony! Podniósł wzrok, a jego oczy załśniły.

- Agostino! Jak miło cię widzieć.

- Przedstawiam ci mojego przyjaciela, Andreę Balbiego - odpowiedział Agostino, dokonując prezentacji nieco starszego, ubranego w wykwinny strój mężczyzny. - Możemy się przysiąść i wychylić z tobą szklaneczkę?

- Będzie mi bardzo miło.

- Coraz rzadziej pokazujesz się na mieście. Odwołałeś wiele spotkań. Zostawiłeś wiele serc w żałobie!

- Ostatnio nie mam nastroju do zabawy.

Giovanni zwierzyłby się Agostinowi, ale krępowała go obecność nieznanego. Tymczasem to właśnie przyjaciel podjął temat damy serca Giovanniego.

- Czy to przypadkiem nie Elena Contarini zawróciła ci w głowie?

- Muszę... muszę przyznać, że nie jest mi obojętna.

- Uprzedzałem cię: to najpiękniejsza dziewczyna w Wenecji! W dodatku najlepsza partia, z ogromnym posagiem. Jaka szkoda, że może poślubić tylko arystokratę wywodzącego się z jednego z najstarszych weneckich rodów, jak nasz przyjaciel Balbi!

Agostino i Andrea wybuchnęli śmiechem. Giovanniemu zrzędła mina.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- No cóż, mówię o wprowadzonym dziesięć lat temu prawie zakazującym arystokracji zawierania małżeństw z przedstawicielami niższych stanów.

Giovanni był zdruzgotany. Uważał Wenecję za miasto tak otwarte, tak kosmopolityczne, że nie przyszło mu do głowy, iż jakakolwiek przeszkoda prawna może stanąć pomiędzy nim a Eleną. Spróbował robić dobrą minę do złej gry.

- Popatrz, popatrz. Co za dziwne prawo - zauważył, próbując sprowadzić rozmowę na tematy polityczne. - Myślałem, że Wenecja jest republiką.

- Właśnie dotknąłeś cudownej sprzeczności politycznej naszego miasta, niesamowitego mariażu demokracji i oświeconego absolutyzmu. Otóż system polityczny Wenecji opiera się na władzy arystokracji, która wybiera spośród siebie senatorów, dożę i jego doradców. To, co jest fascynujące, to fakt, iż ten całkowicie niesprawiedliwy system władzy cieszy się poparciem całej ludności - łącznie z tymi, którzy są całkowicie wykluczeni z życia politycznego, czyli dziewięćdziesięcioma ośmioma procentami społeczeństwa!

- Przyznaję, że Wenecja nie jest krajem takiej demokracji, o jakim marzyłoby się co poniektórym - wtrącił Andrea Balbi, jeden z dwu i pół tysiąca szlachetnie urodzonych członków Wielkiej Rady, stanowiącej kamień węgielny państwa weneckiego - ale, w przeciwieństwie do wielu otaczających nas monarchii, jak na razie uniknęliśmy dziedzicznej dyktatury. Nasz najwyższy

urzędnik, doża, jest wybierany przez członków Wielkiej Rady w trybie - być może - nieco skomplikowanym, ale za to wykluczającym jakąkolwiek manipulację któregoś z rodów, i podlega kontroli innych instancji, takich jak Senat czy Rada Dziesięciu.

- Nie podważam zasad funkcjonowania naszych instytucji - odpowiedział Agostino, pragnąc uniknąć jakiegokolwiek niedomówienia czy nieporozumienia w mieście, w którym - za sprawą anonimowych donosów - przeciwnicy polityczni trafiają do więzienia lub giną skrycie otruci. - Od ponad siedmiuset lat nasze instytucje zapewniają niesłychaną stabilność rządów, z której niezwykle raduje się moje serce. Próbuję tylko wyjaśnić naszemu przyjacielowi, że naszym miastem rządzi elita - oświecona, rzecz jasna - która za pomocą aktów prawnych próbuje bronić swoich interesów i statusu, a także stawić czoło bogatym kupcom aspirującym do udziału w polityce. Czyż nie dlatego, mój drogi, przegłosowano prawo zakazujące arystokracji zawierania małżeństw z przedstawicielami stanów niższych, bez względu na ich majątność?

- W istocie - odpowiedział uspokojony argumentacją przyjaciela Balbi. - Nagminne zawieranie małżeństw pomiędzy arystokracją i osobami stanów niższych doprowadziłoby, w niedługim czasie, do rozsadzenia fundamentów naszej stabilności politycznej. To jest powód, dla którego sam forsowałem wprowadzenie tego prawa. W końcu jest w Wenecji wystarczająco dużo pięknych i bogatych panien na wydaniu, by nasze nieliczne arystokratki mogły wydawać się za równych sobie stanem kawalerów!

Agostino uśmiechnął się znacząco, patrząc Giovanniemu prosto w oczy.

- Widzisz, mój drogi, będziesz musiał, tak jak ja, zapolować gdzie indziej, poza domeną Contarinich. Zresztą już wiele wygłodniałych wilków, pochodzących - rzecz jasna - z arystokratycznych rodów, krąży wokół tej pięknej zwierzyny. Ale bądź spokojny, wskażę ci wspaniałe tereny łowieckie stosowne do twojego stanu! Dajmy na to diaboliczna Angelica wciąż mówi tylko o tobie. Jest, co prawda, córką bogatego szlachcica, ale nie należy do starej arystokracji. Uwierz mi, powinieneś pójść tą drogą!

- Poza tym, z tego, co mi wiadomo, nie jest zbyt płochliwa - dodał Andrea. - Ale wszystko zależy od tego, czego szukasz, panie. Jeśli chcesz po prostu dobrze się zabawić, prawie każda szlachcianka przyjmie cię z otwartymi ramionami... o ile okażesz się na tyle zręczny, by zdobyć także jej serce. Jeśli zaś chodzi o żeniactwo, to zupełnie inna sprawa.

Giovanni nie mógł słuchać tego dłużej. Siłąc się na uśmiech, pod pretekstem pilnego spotkania pożegnał się i wyszedł. Tak czy inaczej musiał już iść: właśnie wybierał się do Eleny na kolejną lekcję filozofii.

Błądząc w gąszczu uliczek i kanałów, rozważał słowa Agostina i Andrei. Nawet jeśli do tej pory nie śmiał brać pod uwagę możliwości poślubienia Eleny, to teraz, dowiedziawszy się, że to małżeństwo nie może dojść do skutku, pograżył się w bezdennej rozpacz. Jakby na zawsze

zatrzasnęły się przed nim ostatnie drzwi wiodące do spełnienia marzeń. Pomyślał o konkurentach do ręki ukochanej, zastanawiając się, co myślała na temat prawa, które uniemożliwiało ich ślub. Co zamierzała? Pozostać niezamężną kochanką? Raczej niemożliwe, wzięwszy pod uwagę jej status społeczny. Poślubić niekochanego mężczyznę, potajemnie widując Giovanniego?

Te pytania prześladowały go do tego stopnia, że postanowił porozmawiać z Eleną.

Ale jak zostać z nią sam na sam? Kiedy dotarł do pałacu Contarmi, wpadł na pewien pomysł. Zatrzymał się i na wyrwanej z książki kartce nagryzmolił króciutki liścik. Następnie wszedł do pałacu wejściem dla służby.

Przeprowadził lekcję jak gdyby nigdy nic. Elena spoglądała na niego raz po raz, rozpaczliwie wypatrując w jego oczach najmniejszej iskierki uczucia czy choćby czułości. Ale Giovanni był obojętny i wyniosły.

Kiedy po raz kolejny żegnali się w ciężkiej atmosferze beznadziei i frustracji, a Elena niemal odchodziła od zmysłów, Giovanni wsunął jej w dłoń starannie zwiniętą karteczkę.

42

Na kampanili kościoła San Samuele wybiła północ, gdy wąską uliczką wzdłuż pałacu Contarmi przemknął cień. Zatrzymał się w odległości kilkunastu kroków od Canal Grande i uniósł głowę. Ścianę pałacu oświetlał księżyc w pełni. Wszystkie światła wewnątrz były wygaszone. Każde z wielkich okien znajdujących się na poszczególnych piętrach pałacu chroniła potężna krata.

Mężczyzna wskoczył na pierwsze, znajdujące się na parterze okno. Chwycił żelazne pręty i wspiął się po nich, pokonując całą wysokość okna. Będąc na górze, podciągnął się na drugą kratę, tę, która chroniła salon. Powtórzył operację i dotarł do trzeciego okna, za którym - w łazience - płonęło maleńkie światełko.

Zastukał w szybę. Światełko świecy przybliżyło się. Elena otworzyła okno.

- Jedyny! Udało ci się!

- A tobie? - zapytał rozgorączkowany młodzieniec.

- Też! Popatrz.

Dziewczyna zręcznie usunęła chroniące okno pręty, wpuszczając Giovanniego do środka. Spojrzała na niego z błyskiem w oku.

- Zrobiłam, jak mi kazałeś. Prawie dwie godziny pracowałam - dodała, dumnie pokazując narzędzie, którym przepiłowała kratę.

- Jesteś wspaniała!

Giovanni po raz pierwszy znalazł się w sypialni Eleny. Była to obszerna komnata, z widokiem na Canal Grande. Mimo nocy widok, który rozpościerał się za dwoma ogromnymi oknami był imponujący. Po przeciwnej stronie komnaty królowało wielkie łóżko z baldachimem. Giovanni chwycił dziewczynę w pól i rzucił ją na łóżko. Elena miała na sobie tylko długą, białą,

jedwabną koszulę.

- Jesteś jeszcze bardziej szalona ode mnie!
- Tak bardzo tęsknię do twych ust, ciała, dłoni!
- Gdybyś wiedziała, jak bardzo cię pragnę!
- A więc weź mnie!

Elena nie zaznała jeszcze rozkoszy obcowania z mężczyzną, ale miała rozbudzoną zmysłowość i niecierpliwie czekała na ten moment. Wenecka socjeta była bezpruderyjna i wielu młodych ludzi poznawało smak miłości cielesnej przed ślubem.

Elena jednak idealizowała miłość i nigdy nie chciała kłaść ciała doświadczeniem seksualnym, któremu nie towarzyszyłby także poryw serca. Tym razem jednak była namiętnie zakochana. Wiedziała też, że Giovanni kochał ją i pożył całym sobą.

Rozbierała się, a on pieścił jej twarz i włosy.

Mimo że zaznał już rozkoszy zmysłowej u boku Luni, miał wrażenie, że będzie się kochał po raz pierwszy. Na tę myśl jego dusza i ciało zdrząły. Całując namiętnie Elenę, położył ją na łóżku. Fala czułości zapierała mu dech. Z całej siły przycisnął dziewczynę do siebie, upewniając się, że jest prawdziwa, z krwi i kości, i że tej magicznej nocy będzie należała do niego. Wniknął w nią, a całe jego jestestwo przebiegł dreszcz. Otworzył usta, wtulając twarz w jedwabistą kaskadę jej włosów.

Pożył tym bardziej, im bardziej czuł dotyk krągłych, jędrnych piersi ocierających się o jego nagi tors... Leżąca pod nim dziewczyna pojękiwała.

Otworzył oczy, a widok, który zobaczył, przeszył go do bólu...

Elena miała zamknięte oczy, a na jej czole perlił się pot. Giovanniemu przypomniał się inny obraz, niewinny i czysty, za który dawniej przyszło mu zapłacić własną krwią. W tej samej chwili, właśnie wtedy, gdy jego rozpalone lędźwie poruszały się w rytmicznym tańcu, gdy zabierał Elenę - jęczącą - w ich pierwszą ekstatyczną podróż, wyszeptał jej, jak bardzo ją kocha, a ona usłyszała swoje imię tak, jak dotąd nie wymawiał go nikt... jak modlitwę.

Długą chwilę kochankowie pozostawali spleceni w miłosnym uścisku, nie rozłączając swych ciał. W końcu Giovanni położył się obok ukochanej. Leżąc tak, wpatrzony w sufit - niebieskie sklepienie sypialni Eleny, oboje smakowali chwilę czystej, niewinnej rozkoszy.

- Nie zniosłabym, gdybyśmy musieli się rozstać - szepnęła dziewczyna.

Giovanni złożył na jej ustach kolejny namiętny pocałunek.

- Ja także, moja jedyna. A jednak nigdy się nie pobierzemy. Elena uniosła głowę i spojrzała na niego zdumiona.

- Dlaczego mówisz o tym właśnie teraz?

- A czy nie mam racji? Istnieje przecież prawo, które zabrania arystokracji zawierania

związków małżeńskich z niearystokratami.

- To prawda, niestety.

- Jak możesz mnie kochać, wiedząc, że któregoś dnia będziesz musiała poślubić jakiegoś don Badia czy Grimaniego?

Elena spuściła wzrok.

- Jednego jestem pewna: moje serce należy do ciebie i nigdy nie będę mogła żyć z dala od ciebie.

- A jak to będzie możliwe, jeśli poślubisz innego? Elena przywarła do Giovanniego całym ciałem.

- Na zawsze pozostaniemy kochankami!

- I będziemy mogli się widywać tylko w tajemnicy?

- Nie mogę tego słuchać! Naprawdę nie ma innego wyjścia?

- Oczywiście że jest.

Elena spojrzała na Giovanniego pytająco.

- Możemy wyjechać z Wenecji - ciągnął mężczyzna. Oczy Eleny zasnuły się mgłą.

- Moi rodzice nie znieśli by, gdybym złamała prawo i uciekła jak pospolita złodziejka.

- Ale to jedyne wyjście, jeśli chcemy być razem. Eleno, długo nad tym myślałem. Któregoś dnia będziesz musiała wybrać pomiędzy mną a rodziną.

Elena spojrzała na niego nieobecny wzrokiem, po czym powoli wstała z łóżka i - opierając się o parapet - wyjrzała przez okno.

- Nigdy nie opuszczę tego miasta. Jest częścią mnie. Spojrzała na Giovanniego. Jej oczy były pełne łez.

- Mimo że kocham cię nade wszystko, mimo że jesteś miłością mojego życia, nigdy nie przysporzę rodzicom takiego bólu. Mój wyjazd zabiłby ich.

Giovanni spuścił wzrok, a jego pierś przeszył skurcz. Powstrzymał się, by nie wybuchnąć płaczem. Nadludzki wysiłkiem stłumił przygniatający ból i spojrzał na Elenę.

- Masz rację, najdroższa. Nie mówmy o tym więcej. Elena wróciła do łóżka i rzuciła się ukochanemu w ramiona.

Płacząc, okryła go deszczem pocałunków, nie zdając sobie sprawy, że coś w nim pękło i konsekwencje owego pęknięcia będą tragiczne.

43

26 grudnia Giovanni po raz pierwszy przywdział *la bauta*, kostium wenecki składający się z czarnego jedwabnego kaptura i koronkowej mantylki. Zasłonił twarz białą maską, na głowę włożył trój graniasty kapelusz, po czym zarzucił na ramiona *tabarco*: obszerny, czarny płaszcz. Tak wystrojony wyszedł przed pałac Priuli. Było ciemno, a lagunę spowijała gęsta mgła. Po kilku

chwilach do Giovanniego podszedł ubrany w identyczny kostium mężczyzna, przed którym szedł służący z latarnią.

- Wybacz, że kazałem ci czekać. Mgła jest gęsta, a noc ciemna choć oko wykol. Nie można cię rozpoznać w tym kostiumie!

- Ciebie także, drogi Agostino!

- Bardzo mi miło, że mogę zaprowadzić cię na twój pierwszy bal maskowy. Zobaczysz, to niezwykle miejsce, w którym... wszystko się może zdarzyć.

Mężczyźni zrównali krok z krokiem niosącego latarnię służącego.

Od jakiegoś czasu, dwa czy trzy razy w tygodniu, Giovanni i Elena spotykali się potajemnie w sypialni dziewczyny. Kilkakrotnie Giovanni o mało nie został przyłapany, gdy wymykał się o świcie, zsuwając się wzdłuż ściany pałacu. Ale, na szczęście, nikt ze służby nie odkrył śladów jego nocnych wizyt.

Giovanni bywał w pałacu także dniem. Nadal udzielał Elenie lekcji pasjonującej ją filozofii, jednak zawsze w obecności grupy przyjaciół rodziny Contarmi. Elena uwielbiała słuchać Giovanniego za dnia, gdy - mówiąc o najwznioślejszych ideach - jej ukochany brylował na salonach, i potajemnie spotykać go nocą by oddawać się miłosnym grom, napawającym ją niewysłowioną rozkoszą. Giovanni dotrzymał słowa i nie wracał już do bolesnego tematu małżeństwa. Ale wewnątrz trawił go ból tym silniejszy, im bardziej Giovanni go ignorował.

Już kilkakrotnie miał powiedzieć dziewczynie, że musi wyjechać na kilka tygodni do Rzymu, ale nie miał dość sił, by przezwyciężyć strach przed rozstaniem. Niemniej jednak przysiągł sobie, że wyruszy w podróż z nastaniem nowego roku, tuż po Bożym Narodzeniu, w karnawale.

Męskie trio mijają coraz to nowe, zamaskowane osoby w kostiumach, udające się na urządzone tej nocy przyjęcia. Kłębiący się na placach wielobarwny tłum świętował początek karnawału: okresu, który przez kilka tygodni będzie wyznaczał rytm tutejszego życia, by osiągnąć apoteozę w tłusty czwartek i zakończyć w ostatki, tuż przed rozpoczynającą Wielki Post Środą Popielcową.

Lud bawił się wprost na ulicach, wtórując sobie do tańca bębenkami. Arystokracja wydawała w pałacach huczne bale.

Ale w tym czasie jakby poza czasem, gdy wszystko jest możliwe, i biednych, i bogatych ogarniało to samo rozprężenie: znikwały wszelkie zakazy i bariery. Znani ze swobodnych obyczajów Wenecjanie, tym bardziej ochoczo korzystali z okazji, by podczas szalonych zimowych nocy oddawać się wszelkiego rodzaju rozpuście. Muzyka prowadziła ich w tanecznym korowodzie, a animuszu dodawało uderzające do głowy wino.

Mimo iż Giovanniego nie interesował specjalnie ten aspekt życia, z zainteresowaniem przyjął zaproszenie Agostina na jeden z najznamienszych bali w mieście. Wiedział, że tej nocy nie

spotka Eleny, która wydawała bal u siebie, a której zaproszenie odrzucił z obawy, że nie zdzierzy widoku lubieżnie zaczepiających ją zamaskowanych mężczyzn.

Grupka zawitała przed pałac Gussoni. Dziesiątki przebranych kobiet i mężczyzn przybywały pieszo lub gondolą, by zniknąć wewnątrz przepysznie oświetlonego pałacu.

Agostino wsunął w dłoń służącego monetę i podał zaproszenie portierowi, który - oczywiście w masce - strzegł wejścia do pałacu. Przyjaciele weszli po schodach na górę i znaleźli się w wielkiej sali, w której ponaddwuosobowy, gwarny tłum gości kosztował wykwintnych potraw.

Wkrótce dźwięk skrzypiec poderwał uczujących do tańca. Mimo iż w tej dziedzinie Giovanni był zupełnym dyletantem, szybko został porwany do tanecznego kręgu i wraz z innymi radośnie brał udział w zabawie. Tańce grupowe następowały na przemian z tańcami w parach i w krótkim czasie Giovanni umiał przetańczyć kilka kroków u boku kobiety, o której wiedział tylko to, że jest albo patrycjuszką, albo... jedną z licznych kurtyzan, których zwyczajem było uczestniczyć incognito w balach wydawanych przez arystokrację.

Przez dwie godziny młodzieniec tańczył i pił. Około północy goście - w grupkach lub parami - zaczęli się rozpierzchać, znikając za parawanami, zajmując miejsca na specjalnie w tym celu rozstawionych kanapach. Giovanni odrzucił już kilka kuszących propozycji skierowanych do niego przez tę czy inną z dam. Siedział przy stole z grupą wciąż wznoszących toasty biesiadników. Jeden z nich, najwyraźniej tak samo wstawiony jak Giovanni, wszedł na stół, by zabawić towarzystwo opowieściami o podbojach erotycznych.

Nagle Giovanni nadstawił ucha. Wyglądało na to, że orator spędził część wieczoru w pałacu Contarini.

- Przyjaciele! Co za atmosfera! Było tam zdecydowanie więcej zachwycających młodych panien niż w tym smutnym miejscu, gdzie - jak widzę - spotkali się raczej nasi rodzice i dziadkowie.

Młodzi ludzie przyklasnęli ze śmiechem.

- Niektóre miały tak gorące tyłeczki, że powiedziałbyś, iż od wczoraj siedziały na rozżarzonych węglach!

- A ty, pełen poświęcenia, zraszałeś je chłodnym prysznicem? - krzyknął ktoś z drugiego końca stołu.

Wybuchła salwa śmiechu.

- Żebyś wiedział! Dopadłem jedną taką, co tańczyła jak kotka w rui na blaszanym dachu! Chwyciłem ją wpół i zaniósłem na kanapę. Przez chwilę udawała, że się broni, ale w końcu uniosła kiecki i pokazała mi swoją myszkę! Ach, przyjaciele, dziewczuszka palce lizać!

Mężczyzna odegrał scenę.

- Odwróciłem ją i wziąłem od tyłu. Tak bardzo miauczała z rozkoszy, że zbiegły się pozostałe panny, sekundując nam i niecierpliwie czekając na swoją kolej! Wyobraźcie sobie, że kiedy już ją zaspokoilem i wyszedłem z niej, ta dziwka wyjawiała mi swoje imię, bym mógł ją odwiedzić i znowu zerznąć!

Biesiadnicy nie posiadali się z radości.

- Wyjaw nam jej imię! Jej imię! Jej imię!

Młodzieniec udał przez chwilę, że się waha, po czym odkrzyknął:

- Zdajecie sobie sprawę, że nie mogę wyjawić imienia dziewczyny w masce, ale powiem wam jedno: chodzi o moją narzeczoną!

Towarzystwo zaśmiewało się do łez.

- Moja narzeczona, niewiniątko, na której pierwszy pocałunek tak bardzo czekałem, dała dupy nieznanemu!

Goście śmiali się do rozpuku. Jeden z nich zwrócił się do swojej towarzyszki, szepcząc jej do ucha:

- Czy to nie Tomasso Grimani? Ale kto jest jego narzeczoną?

- Jeszcze nie jest. Ale najprawdopodobniej mówi o tej, którą mu przyrzeczono: o Elenie Contarini. Zresztą to u niej w pałacu odbył się bal, o którym teraz opowiada.

- Niemożliwe!

Każde z zasłyszanych słów przeszywało serce Giovanniego niczym sztylet. Przez chwilę nie mógł wydobyć słowa, po czym zerwał się z miejsca i ryknął, grożąc tamtemu pięścią:

- Kłamiesz! Dobrze znam damę, której imię i honor kalasz! Jest zbyt czysta, by pozwolić, byś macał ją swoimi śmierdzącymi łapskami!

Nagły wybuch Giovanniego zbił chłopaka z pantałyku. Młodzieniec starał się jednak nie tracić rezonu.

- Ach, mam przyjemność z jednym z jej admiratorów, jak sądzę. Przykro mi, że uraziłem waćpana...

- Kłamiesz! Zdejmij maskę i stań ze mną na ubitej ziemi. Wepchnę ci z powrotem do gardła słowa, którymi ją znieważyłeś!

- Z kim mam honor? Giovanni odsłonił twarz.

- Nazywam się Giovanni Da Scola. Jeśli jesteś człowiekiem honoru, zdejmij maskę i stań do walki na miecze!

- Daj spokój, przestań. Nasz przyjaciel nie podał żadnego nazwiska. Nie trzeba, żebyście się pozabijali - wtrącił rozjemczo nieznanomy mężczyzna.

- Mimo że nosi maskę, wszyscy wiecie, kim jest ów niegodziwiec. Wiecie także, kim jest panna, której imię skalał nikczemnym słowem. Czy dziewczyna, której imię zszargano, nie

zasługuje na zadośćuczynienie? Jesteście szlachetni tylko z nazwy. W głębi duszy zaś jesteście przebranymi, wyperfumowanymi wieprzami... w maskach!

Wokół powiało grozą. - Sam pan tego chciałeś - wrzasnął mężczyzna, zeskakując ze stołu. Stał przed Giovannim i ściągnął maskę. - Tomasso Grimani. Każę panu połknąć z powrotem te obelgi, panie Da Scola. Spotkajmy się za godzinę, o wschodzie słońca, uzbrojeni w miecze. Niech każdy przyprowadzi sekundanta.

- Gdzie?

- W jedynym miejscu w Wenecji, gdzie można się pojedynkować, nie narażając się na interwencję policji: na wyspie Sant' Elena. Zabawne, nieprawdaż?

- Będę!

Tomasso odwrócił się na pięcie i w towarzystwie przyjaciół opuścił bal. Wokół Giovanniego zebrała się grupka osób.

- Jesteś szalony - odezwała się jedna z dam. - On jest wspaniałym szermierzem i już wielu przeciwników posłał na tamten świat.

Nadbiegł Agostino.

- Giovanni, podobno sprowokowałeś do pojedynku młodego Grimaniego. Zwariowałeś? Po pierwsze, jest pierwszą szpadą w mieście, po drugie, jego rodzina od wieluset lat jest związana z rodem Contarinich.

- A co powiedzą rodzice Eleny, gdy dowiedzą się, że ten wieprz publicznie potraktował ich córkę jak dziwkę!

- Nie wymienił jej nazwiska. Mówił o swojej narzeczonej - zauważył jeden z mężczyzn.

- Oficjalnie Tomasso nie jest zaręczony. A już na pewno nie z Eleną - dodał Agostino. - Dwa tygodnie temu poprosił ją o rękę, ale odmówiła.

- Gadał bzdury, by utopić smutek - wtrącił ktoś z obecnych. - To były tylko słowa, które podchmielony młokos rzuca na wiatr. Nikt mu nie uwierzył.

- Idź go przeprosić póki czas, Giovanni!

- Nie jestem tchórzem jak on, Agostino. Za niespełną godzinę stanę z nim do walki na wyspie Sant' Elena. Mam w domu miecz. Czy zechcesz być moim sekundantem?

44

27 grudnia o świcie gondola wypłynęła z Canal Grandę i skierowała się na maleńką wyspę Sant' Elena znajdującą się na końcu Arsenale. Wysepka była niemal pusta. Pośrodku stał żeński klasztor, wokół którego wznosiło się kilka domów.

Brzegi wyspy były dzikie i niedostępne, otoczone pierścieniem wysokich szuwarów, skrywające swoją zielenią nielegalne lub potajemne spotkania: przemyt, pojedynki i schadzki kochanków.

Elena siedziała na dziobie gondoli, z niepokojem patrząc przed siebie. Czy przybędzie na czas? Czy zdoła zapobiec pojedynkowi, o którym dowiedziała się od przyjaciółki bawiącej na balu w pałacu Gussoni? Nic nikomu nie mówiąc, Elena przywołała gondolę i w towarzystwie tejże przyjaciółki wyruszyła w drogę.

Nade wszystko drżała o życie Giovanniego. Tomasso był gwałtowny i impulsywny. W dodatku cieszył się sławą wybitnego szermierza. Już dwukrotnie zresztą był wtrącany do więzienia za udział w pojedynku i wysłanie nieszczęsnych przeciwników na tamten świat.

Jednak za każdym razem prawie natychmiast go wypuszczano, gdyż - mimo iż pojedynki były zakazane - władze przymykały na nie oczy, jeśli dotyczyły szlachty i odbywały się w obecności sekundantów, wedle obowiązujących reguł.

Gondola minęła San Marco i Arsenale.

Wstawał dzień. Elena była przerażona. Miała wrażenie, że przybędzie zbyt późno, że nie zdąży zapobiec pojedynkowi, do którego - wedle jej oceny - popchnęły mężczyźni wybuchowa mieszanka alkoholu, goryczy i głupoty ze strony Tomassa oraz zazdrości i zbyt wygórowanego poczucia honoru Giovanniego.

- Szybciej! - krzyknęła do zlanego potem, mimo przejmującego zimna, gondoliera.

W końcu kobiety ujrzały wyspę, przy której brzegu stały dwie łodzie: pojedynkujących się i ich sekundantów. Kilka minut, które dzieliło gondolę od brzegu, wydało się Elenie wiecznością. Brakowało jej tchu, a gardło ścisnęła trwoga. Była pewna: tragedia już się wydarzyła.

Gdy tylko łódź przybiła do brzegu, dziewczyna rzuciła się na pomost. Obszerna balowa suknia, której nie zdążyła zdjąć, kępowała jej ruchy. Zrzuciła pantofelki i przedarła się przez gęste sitowie. Widok, który ujrzała po drugiej stronie, na odsłoniętej przestrzeni, potwierdził jej najczarniejsze obawy.

Na ziemi leżał mężczyzna, nad którym pochylali się dwaj pozostali.

Podbiegła do nich. Agostino wyprostował się i mocno chwycił ją w ramiona, pragnąc oszczędzić dziewczynie przerażającego widoku.

- Nie żyje! - krzyknął, próbując odciągnąć ją na bok. Elena wrywała się gwałtownie.

- Puszczaj! Muszę go zobaczyć!

Agostino zakrył twarz dziewczyny drżącymi dłońmi.

- Nic nie poradzimy. Miecz przebił mu gardło. Wykrwawił się w ciągu kilku minut...

Elena zanosła się płaczem, krzycząc i okładając Agostina pięściami.

- Puszczaj! Ja muszę! Muszę go zobaczyć!

W końcu, drapiąc Agostina, wyrwała się z jego objęć i podbiegła do leżącego. Nie widziała twarzy mężczyzny, który leżał w kałuży krwi. Rzuciła się na ciało ukochanego, tuląc do piersi jego głowę. Jedwabny kaptur i mantylka także ociekały krwią.

- Jedyne mój! - szepnęła. - Dlaczego mnie opuściłeś? Wybuchnęła płaczem. Sekundant Tomassa cofnął się o krok.

- Nie wiedziałem, że aż tak bardzo była do niego przywiązana - szepnął do ucha Agostinowi.

- Ja także. Tym bardziej to wszystko tragiczne...

Elena ujęła w dłoń połę własnego płaszcza, by otrzeć opadającą bezwładnie, skąpaną we krwi twarz kochanka. Ostrożnie przetarła ją czarnym aksamitem, po czym - zbierając resztki sił - uniosła głowę, by ostatni raz spojrzeć na ukochanego.

Przez kilka chwil wpatrywała się w rysy nieboszczyka, po czym krzyknęła krótko i straciła przytomność.

Sekundanci przenieśli ją na brzeg i zrosili twarz wodą, ale nie odzyskała przytomności.

- Patrzcie - krzyknęła tymczasem jej przyjaciółka. Mężczyźni podnieśli wzrok i ujrzeli dwie zbliżające się niebezpiecznie szybko łodzie.

- Ktoś powiadomił policję - stwierdził Agostino. - Całe szczęście, że chłopak miał na tyle rozumu, żeby opuścić miasto. W przeciwnym razie z całą pewnością trafiłby do więzienia.

45

Elena otworzyła oczy i ze zdziwieniem zorientowała się, że leży w łóżku. Nieopodal siedziała matka, rozmawiając z jej dwoma przyjaciółkami.

- Giovanni! - wrzasnęła dziewczyna, gwałtownie podnosząc się na łóżku. - Giovanni!

Matka i dwie pozostałe kobiety podeszły do niej.

- Bogu niech będą dzięki! Odzyskałaś przytomność - powiedziała matka, podtrzymując jej głowę. - Tak bardzo martwiłyśmy się o ciebie!

Przerażona Elena spojrzała po pokoju z obłędem w oczach.

- Gdzie jest Giovanni?

- Uspokój się, kochanie - powiedziała jedna z jej przyjaciółek, biorąc ją za rękę.

Elena gwałtownie wyrwała dłoń.

- Gdzie jest Giovanni? - wycodziła, wbijając wzrok w matkę. Vienna odwróciła głowę.

- Mamo, gdzie on jest? Pragnę go zobaczyć.

Vienna spojrzała na córkę z wyrazem zakłopotania w oczach.

- To niemożliwe.

- Jak to, niemożliwe?

- Czy... czy wiesz, co się stało?

- No to co? Dlaczego nie mogę go zobaczyć?

- Eleno, bądź rozsądna - odezwała się jedna z przyjaciółek dziewczyny. - Wiesz, że nie wolno odwiedzać więźnia oskarżonego o morderstwo.

Od ponad pół godziny Elena czekała przed gabinetem doży. Myśląc, że Giovanni nie żyje, ujrawszy zakrwawioną twarz nieszczęsnego Tomassa, przeżyła szok. Zorientowawszy się, że to Giovanni wygrał pojedynek, robiła wszystko, by jak najszybciej spotkać się z ukochanym. Natychmiast postanowiła poprosić pradziadka o specjalną audiencję.

Drzwi otworzył sekretarz.

- Panna Contarini? Elena zerwała się z ławy.

- Tak?

- Zechce panienka wejść.

Gdy weszła do gabinetu, stary doża wstał zza biurka i z otwartymi ramionami wyszedł jej na spotkanie.

- Moje dziecko!

Elena rzuciła mu się na szyję i rozplęnęła we łzach. Mężczyzna poprosił sekretarza, by zostawił ich samych.

- Co się stało, księżniczko? - spytał, delikatnie gładząc jej twarz.

- Dziadku, potrzebuję twojej pomocy.

- Słucham.

- Dziś o świcie aresztowano mężczyznę, który brał udział w pojedynku na wyspie Sant' Elena.

- Doniesiono mi o tym głupim, tragicznym pojedynku - uciął doża. - Zresztą wysłałem już kondolencje rodzinie Grimani.

Starzec spojrzał na dziewczynę ze współczuciem.

- Wiem, że ofiara była ci bliska, dziecino.

- To prawda. Niedawno Tomasso poprosił mnie o rękę, ale odmówiłam. Prawdopodobnie to stało się przyczyną nieszczęścia.

- Wyjaśnij mi, proszę.

- Według relacji świadków Tomasso, który wczoraj zdecydowanie za dużo wypił, obrzucił mnie kalumniami. Twierdził mianowicie, że podczas balu posiadał mnie jak zwykłą kurtyzanę.

Doża był zaszokowany.

- Nie znam jeszcze szczegółów tej sprawy, ale już wszcząłem śledztwo. Zażądam, by twoje zeznanie włączono do akt. Niestety, nic nam nie zwróci nieszczęsnego Tomassa, który - tym razem - trafił na mocniejszego.

- Dziadku, nie przychodzę do ciebie w sprawie Tomassa - zaprotestowała Elena - ale z prośbą o pomoc dla Giovanniego Da Scoli.

- Zabójcy?

- Znam go bardzo dobrze. Od dwóch miesięcy udzielał mnie i mamie lekcji filozofii. To

wykształcony i niezwykle dobry człowiek. Działał w obronie mego honoru!

Doża odszedł kilka kroków i w zamyśleniu potarł brodę.

- Słyszałem o tym młodym człowieku. To słynny astrolog, z Florencji, jak sądzę...

- Z Kalabrii, ale był uczniem wielkiego florenckiego filozofa - sprostowała Elena.

- Z Kalabrii... Mhm... Sprawdzimy jego tożsamość. Bo, musisz wiedzieć, że nie tylko brał udział w pojedynku, ale na dodatek chciał zbiec. Pojmaliśmy go, gdy wrócił do swojego mieszkania, by coś stamtąd zabrać przed ucieczką. Znasz nasze prawa: musi być osądzony, gdyż pojedynki są zakazane. Ale jeśli pojedynek odbył się w słusznej sprawie i zgodnie z zasadami sztuki, twój przyjaciel zostanie skazany najwyżej na kilka miesięcy więzienia i banicję.

- Chciałabym... chciałabym cię o coś prosić, dziadku. Stary doża w milczeniu spojrzał na Elenę.

- Czy mógłby być dobrze traktowany? I niech go nie torturują.

- Zadbam o to osobiście.

- Chciałabym także go zobaczyć. Choć na chwilkę, króciutko...

- To niemożliwe, moje dziecko.

- Ale... jesteś przecież dożą...

- Doża nie stoi ponad prawem republiki! - wykrzyknął starzec. - Tym bardziej w sprawie, która dotyczy jego rodziny. Dobrze wiesz, że jestem kontrolowany przez Radę Dziesięciu... w której nie zasiadają jedynie moi przyjaciele. Co to, to nie!

Elena upadła do stóp dziadka.

- Błagam! Zrobił to z miłości do mnie! Doża podniósł Elenę.

- Odnoszę wrażenie, że był nie tylko twoim nauczycielem filozofii...

- To prawda - wyznała dziewczyna. - Kochamy się. Nawet jeśli ta miłość jest zakazana przez prawo.

- Obiecuję, że się zastanowię, a ty zachowaj spokój i nade wszystko nie mów nikomu, nawet śledczym i sędziom, o prawdziwym charakterze łączącego was związku. Rozumiesz?

Elena przytaknęła skinieniem głowy. Pradziadek ucałował ją w czoło i obiecał jak najszybciej złożyć wizytę w pałacu Contarmi, by dostarczyć dziewczynie dotyczących Giovanniego nowin.

Tydzień później Andrea Gritti spełnił obietnicę, przychodząc do swej wnuczki i prawnuczki na kolację. Elena w rozgorączkowaniu czekała na ten moment. W Wenecji mówiono tylko o pojedynku, a po mieście krążyły najdziwniejsze plotki o jego przyczynach i przebiegu. Mówiono, że walka trwała dobre dwadzieścia minut, a Giovanni okazał się wytrawnym szermierzem. Według jednego z sekundantów młodzieniec najpierw zranił Tomassa w nogę, po czym zażądał, by ten cofnął obraźliwe słowa odnoszące się do dziewczyny.

Tomasso miał odpowiedzieć z drwiącym śmiechem: „Nigdy nie poślubisz Eleny, bo jesteś tylko nic nieznaczącą szlachetką”.

Dopiero wtedy Giovanni zadał cięcie w szyję. Byli tacy, którzy nie mogli uwierzyć w tę historię. Inni, przeciwnie, potwierdzali gwałtowny i dumny charakter Tomassa, wychwalając poczucie honoru astrologa, który dotąd nie ujawniał swoich zdolności szermierczych.

Elena była niezwykle poruszona tą straszną historią, ale nade wszystko odchodziła od zmysłów, myśląc o losie ukochanego. Obawiała się nawet, by wtrącony do więzienia Giovanni nie odebrał sobie życia.

Jako że doża miał długi dzień, a stan zdrowia nie pozwalał mu na przesiadywanie po nocy, natychmiast podano do stołu. Urzędnik bezzwłocznie przekazał Viennie i Elenie informacje na temat więźnia.

- Dziś rano udałem się do celi Giovanniego.

- Jak on się czuje?

- Jest dobrze traktowany i nie traci ducha, ale jest trochę małomówny.

- Kiedy będzie osądzony? - spytała Vienna.

- Wkrótce. Zwłaszcza że śledztwo posuwa się naprzód.

- Co to znaczy? Starzec potarł brodę.

- To musi pozostać między nami. Kobiety przytaknęły.

- Ustalono już przebieg wydarzeń. Nie ma wątpliwości co do przyczyn pojedynku i skandalicznego zachowania Tomassa. Obaj sekundanci potwierdzają też, że pojedynek odbył się przepisowo i że Tomasso odmówił wycofania obraźliwych słów, nawet z ostrzem przeciwnika na gardle.

- Zatem Giovanni nie poniesie zbyt ciężkiej kary? - spytała Elena.

- Niestety, sprawy skomplikowały się, gdy przeszliśmy do ustalania jego tożsamości.

Krew uderzyła Elenie do głowy.

- Trzy dni temu w pałacu doży złożono donos informujący, że ów człowiek nie nazywa się Da Scola. Wedle anonimu miał to być zwykły chłop, który cztery lata temu próbował targnąć się na cześć Eleny, gdy jej statek, podczas podróży powrotnej z Cypru, musiał przybić do kalabryjskiego brzegu. Naprawiano wówczas powstałe na skutek ataku korsarzy uszkodzenia.

Doża przerwał na chwilę, by przełknąć pieczone sardynki, które Juliana właśnie nałożyła mu na talerz.

Vienna skorzystała z okazji i odezwała się w te słowa:

- To niesłychane! Pamiętam tę historię. Moja siostra Maria oraz Juliana były przy tym obecne. Mężczyznę osądzono i skazano na karę chłosty. Nieprawdaż, Juliano?

Służąca skinęła głową i zniknęła w kuchni.

- Otóż to - doża podjął przerwany wątek. - Odnaleźliśmy także raport kapitana statku i kilku naocznych świadków, którzy bez wahania rozpoznali winnego. Tak czy inaczej, blizny na jego ciele nie pozostawiają cienia wątpliwości.

- A... co powiedział Giovanni? - spytała pobladła Elena.

- Wobec przytłaczających dowodów miał na tyle rozumu, by się przyznać. Tłumaczył jednak, że jego przyjazd do Wenecji nie ma nic wspólnego z tamtą sprawą. Śmiem wątpić, ale to nieistotne. Najgorsze, że...

Doża wychylił kielich wina.

- Najdrożej będzie go kosztować to, iż podawał się za szlachcica, którym nie jest. W ten sposób jedna z zasad pojedynku została złamana, a tym samym zostanie mu postawiony zarzut morderstwa.

Elena wydała stłumiony okrzyk, zasłaniając usta dłońmi. Spojrzała krewnemu prosto w oczy.

- Co mu grozi?

Stary doża odwrócił wzrok i przeniósł go na Vienne. Westchnął głęboko wielce przygnębiony i odpowiedział:- Nasze prawo jest w tej kwestii jasne. Jeśli ktoś z pospólstwa zabije przedstawiciela szlachty, ma możliwość wyboru sposobu wykonania kary: ginie na stosie lub szubienicy...

Proces Giovanniego trwał dwa długie dni.

Elenę powołano na świadka. W tym dniu zobaczyła Giovanniego po raz pierwszy od chwili, gdy wydarzyła się tragedia. Kochankowie patrzyli na siebie, nie mogąc zamienić słowa. Płomienna mowa obrończa Eleny wywarła na sędziach ogromne wrażenie. Niestety, prawo weneckie nie przewidywało okoliczności łagodzących, które mogłyby odmienić los Giovanniego: albo zostanie uznany za winnego i zginie, albo zostanie uniewinniony - co wydawało się niemożliwe.

Po godzinnej debacie trzech sędziowie wydali wyrok i wezwali Giovanniego na salę rozpraw. Zjawił się wychudzony, pod strażą. W przytłaczającej ciszy, w której czekała Elena i pozostali świadkowie i osoby zainteresowane sprawą, rozległ się głos sędziego:

- Giovanni Tratore. Jako że uznaliśmy cię winnym zabójstwa Tomassa Luigi Grimaniego, zasługujesz na karę śmierci.

Rodzice Tomassa zaczęli bić brawo. Elena patrzyła na Giovanniego z kamienną twarzą. Wyraz jego twarzy także był nieprzenikniony. Elena wiedziała, że tylko jedno może uchronić jej ukochanego przed stosem lub szubienicą: łaska doży.

Mimo jej prośb starzec nic nie obiecał. Obawiał się, że interwencja w tej sprawie zostanie potraktowana jako przejaw nepotyzmu i na zawsze skłóci jego rodzinę z wpływowym rodem Grimanych.

Elena wstrzymała oddech. Stary sędzia kontynuował odczytywanie wyroku.

- Niemniej jednak, zważywszy na natężenie obelg, jakimi twoja ofiara obrzuciła pannę Contarini, i motywy, którymi kierowałeś się wyzywając pana Grimaniego na pojedynek, a także biorąc pod uwagę nieposzlakowaną opinię, jaką cieszyłeś się w naszym mieście, doża, sędzia najwyższy, postanowił okazać ci łaskę i zmienić karę gardłową na dożywotnie galery. Wyrok zostanie wykonany jutro rano. Niniejszym zamykam sprawę.

- To skandal! - wrzasnęła rodzina Grimani.

Elena rzuciła się w ramiona Agostina i wybuchnęła płaczem. Następnie podbiegła do wyprowadzanego przez straż Giovanniego. Odepchnęła sędziego, wymknęła się próbującemu ją zatrzymać strażnikowi, i chwyciła ukochanego za rękaw.

Młodzieniec odwrócił się. Zanim strażnicy zdążyli zareagować, Elena pocałowała go namiętnie. Korzystając z okazji, Giovanni zerwał z szyi małeńki kluczyk, wsuwając go w dłoń Eleny.

- W mojej szafce znajdziesz kopertę. Dostarcz ją do rąk własnych papieżowi. To bardzo ważne - szepnął.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż wyprowadzono go z sali.

- Będę na ciebie czekać! - krzyknęła obezwładniona przez trzech mężczyzn Elena.

IV

Saturnias

46

Kyrie elejson, Chryste elejson, Kyrie elejson. Cerkiew była przesiąknięta dymem kadzidła. W blasku rodzącego się świtu czterdziestu mnichów monotonnym głosem powtarzało modlitwę. Co jakiś czas spowici w czerń mężczyźni wstawali regularnie, by ucałować wystawione przed ikonostasem ikony Chrystusa i Bogurodzicy.

Po zakończeniu liturgii mnisi opuścili dom Pański.

Od ponad czterech godzin modlili się w przyklasztornej cerkwi i jeszcze dwie godziny przyjdzie im czekać na pierwszy posiłek dnia, który spożyją w refektarzu. W tym czasie będą się oddawać różnym pożytecznym zajęciom. Jeden z mnichów, odziany w habit nowicjusza - czarną, nieprzewiązaną sutannę - udał się do rozmównicy, w której czekał na niego igumen: pięćdziesięcioletni mężczyzna, którego twarz okalała czarna, gęsta broda. Przełożony znany był z surowego przestrzegania doktryny.

- Bracie Ioannisie! - powiedział twardo na powitanie nowicjusza. - Muszę z tobą pomówić o czymś, co może być dla ciebie bolesne.

Na znak pokoju młody brat spuścił oczy. Jak większość mnichów, nosił niewielką brodę, a

jego długie, związane na plecach włosy zakrywała *skufia* *.* Skufia - miękka spiczasta czapeczka z czarnego lub fioletowego aksamitu, noszona przez duchownych prawosławnych.

- Musimy podjąć decyzję dotyczącą twojej przyszłości w ławrze. Dobiega już trzeci rok twojego nowicjatu i wyraziłeś życzenie złożenia ślubów. Rozmawialiśmy z Radą Starszych. Twoja wiara moralność i żarliwość są bez zarzutu. Nic nie stoi na przeszkodzie byś złożył śluby.

Ioannis nie podnosił wzroku, z niepokojem oczekując na niepomyślne nowiny, które mu przekaże igumen.

- Jest jednak pewna problematyczna sprawa - podjął przełożony sucho. - Gdy zjawiłeś się na górze Athos, przed wstąpieniem do nowicjatu, poznałeś Teofana Strelitzasa. Ów wielki artysta obdarzył cię przyjaźnią i nauczył pisania świętych ikon. Przyjmując cię pod nasz dach, zgodnie z twoim pragnieniem, pozwoliliśmy ci kontynuować pracę twórczą, zwłaszcza że zorientowaliśmy się, iż masz niezwykle talent.

Jednak ostatnio jestem głęboko zaniepokojony obrotem spraw, gdyż twoje ikony są coraz mniej zgodne z kanonem ikonografii.

Zdziwiony brat Ioannis podniósł wzrok na igumena.

- Lub, mówiąc ściślej, tylko wyglądają jak ikony - poprawił przełożony. - Przestrzegasz oczywiście zasad dotyczących materiałów, szat, kolorów, symboli... ale twarze malowanych przez ciebie Madonn są... zbyt ludzkie. Powiedziałbym nawet... zmysłowe.

Na twarzy nowicjusza odmalowało się jeszcze większe zdumienie.

- Jestem pewien, że robisz to nieświadomie - kontynuował igumen. - Ale już wielu braci było niezwykle poruszonych widokiem namalowanych przez ciebie twarzy, które zamiast przedstawiać konterfekt Matki Boskiej, zdają się być wyrazem zmysłowego, ludzkiego piękna. Prawdę powiedziawszy, niektórzy z braci zażądali usunięcia twoich ostatnich obrazów z pomieszczeń klasztornych, gdyż wzbudzają w nich zamęt.

- Jak to?

- Dobrze wiesz, że na świętą górę Athos nie może wejść żadna niewiasta ani nawet samica zwierzęcia. Niektórzy z nas nie widzieli kobiety od dziesiątek lat... a twoje ikony Najświętszej Pani przywołują niepokojący pierwiastek kobiecy, który raczej nie pomaga braciom dochować ślubów czystości.

- Nie mogę w to uwierzyć - wyznał brat Ioannis.

- A jednak tak jest i przyznam, że niepokoi mnie ten obrót spraw.

Nowicjusz nie odpowiedział.

- Tak czy inaczej, podjęliśmy decyzję, że zezwolimy ci na złożenie ślubów pod jednym warunkiem.

Igumen przybrał poważny wyraz twarzy i spojrzał młodzieńcowi głęboko w oczy.

- Przestaniesz malować. Na zawsze.

Po posiłku o dziesiątej młody mnich opuścił monaster Simonos Petra i wszedł na szeroką, opadającą w stronę morza ścieżkę. Kilka zakrętów dalej odwrócił się, by, ze ściśniętym sercem, spojrzeć na wspaniałą budynek zawieszony nad przepaścią. Podjął marsz i wszedł na stromą dróżkę, która wiła się wśród skał, około trzystu stóp nad powierzchnią wody. U schyłku lata pogoda była nader łaskawa, a roztaczający się przed oczami młodzieńca widok wręcz zachwycający.

Różne gatunki drzew porastały skalisty, nierówny teren.

Od X wieku Athos - półwysep, który na kształt wysmukłego palca wysuwał się w wody Morza Egejskiego - był zamieszkiwany przez mnichów, którzy uczynili zeń duchowe centrum świata prawosławnego.

W połowie XV wieku Grecja dostała się pod panowanie imperium osmańskiego, co jednak nie wstrzymało dynamicznego rozwoju półwyspu Athos, a tysiące mnichów greckich, mołdawskich, rumuńskich, ukraińskich, a nawet pochodzących z Kaukazu, żyło tu w rytmie nieustającej modlitwy. Większość z nich mieszkała w dwudziestu wielkich monasterach, rozrzuconych po całym półwyspie, wzdłuż wschodniego i zachodniego brzegu. W monasterach, z których największe były zamieszkiwane przez setki mnichów, życie toczyło się według kilku reguł. Pierwszą grupę mnichów stanowili cenobici, czyli tacy, którzy na stałe mieszkali w klasztorze i przestrzegali reguły zakonnej. Do drugiej grupy należeli mnisi idiorytmiczni, czyli tacy, którzy zachowywali pewnego rodzaju niezależność. Pracowali i spożywali posiłki samotnie, cieszyli się niezależnością finansową i spotykali się tylko podczas nabożeństw. Jeszcze inną grupę stanowili mnisi żyjący w skitach, czyli klasztornych miasteczkach, w których domy mnichów były zgrupowane wokół cerkwi. Istnieli także tak zwani *gyrovagi*: przez całe życie wędrujący po skitach i klasztorach. Ostatnią grupę stanowili pustelnicy, w większości wywodzący się spośród zaprawionych do życia w samotni mnichów cenobitycznych lub idiorytmicznych.

Nowicjusz kierował się na południowy kraniec półwyspu Athos, by spotkać jednego z najśłynniejszych eremitów: Starca* Symeona. * Starzec - określenie odnoszące się do ojca duchowego, który otrzymał dar widzenia ducha.

Przez dobre dwie godziny szedł wzdłuż wybrzeża, minął monaster Gregoriou, potem - odbudowywany właśnie po mającym miejsce pięć lat wcześniej straszliwym pożarze w 1535 roku - monaster Dionysiou. Ostrożnie przeszedł przez dwa strumienie płynące wokół monasteru Hagiou Pavlou wybudowanego na północnej ścianie góry Athos, która wznosiła się ponad sześć tysięcy stóp nad poziom morza.

Obmył się nieco, odpoczął i ruszył w dalszą drogę ścieżką, która otaczała świętą górę od południa. Droga oddalała się od morza, a nowicjusz maszerował jeszcze dobre dwie godziny skalnym, porośniętym drzewami zboczem. Podczas marszu nie przestawał odmawiać, w rytm

oddechu, tradycyjnej modlitwy Jezusowej prawosławnych mnichów i pielgrzymów: Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

Dotarł do rozwidlenia dróg. Ścieżka biegnąca na lewo prowadziła do Wielkiej Ławry, najstarszego monasteru, znajdującego się na południowym krańcu półwyspu. Na prawo droga opadała w stronę morza. Brat Ioannis przypomniał sobie wskazówki igumena i skręcił w prawo. Po jakichś dziesięciu minutach dotarł do ścieżki, która prowadziła od morza do monasteru. Skręcił w nią, by po przejściu około trzystu stóp zagłębić się w mało uczęszczaną, prawie niewidoczną dróżkę wijącą się pośród zarośli.

W końcu dotarł do drewnianego, wybudowanego na skale eremu.

Pustelnia była otoczona niewielkim ogródkiem. Wstępu do ogrodu broniła - o dziwo - wznosząca się na wysokość około trzech stóp żerdź. Cienki konopny sznurek o długości trzydziestu stóp łączył drzwi wejściowe do eremu z furtką. Stary, od wielu lat kompletnie ślepy pustelnik zawiesił go, by nie przeszkadzali mu co chwila pielgrzymi i mnisi przybywający do niego po dotyczące spraw ducha rady.

Kiedy był wolny, spuszczał po sznurku klucz do furtki.

Brat Ioannis z ulgą stwierdził, że był jedyną osobą, która tego dnia przybyła do Starca. Tuż przy domu zauważył wiszący na sznurku klucz. Na furtce wisiał *simander* dębowa deszczułka, w którą dziesięciokrotnie uderzył drewnianym młotkiem, zawiadamiając o swoim przybyciu. Następnie usiadł pod niewielkim daszkiem kilka kroków od wejścia.

Igumen uprzedził go, że - być może - przyjdzie mu czekać wiele godzin, zanim Starzec, na znak, iż gotów jest przyjąć gościa, zsunie po sznurku klucz. Mówiono także, że niektórzy z odwiedzających musieli czekać kilka dni. Pustelnik nie przerywał swoich zajęć, wchodził i wychodził z ogrodu jak gdyby nigdy nic, udając, że nie wie, iż ktoś czeka przed bramą. Niektórzy rezygnowali i wracali do domu. Ci, którzy zdecydowali się czekać: bez jedzenia i snu, oddając się modlitwie, opowiadali, że czas oczekiwania okazał się dla nich źródłem łaski bożej. Krążyły słuchy, że pustelnik ma dar jasnowidzenia, który kontrastuje z jego fizyczną ślepotą, i że zdarza mu się wiedzieć, z kim ma do czynienia, nawet jeśli „widzi” tę osobę po raz pierwszy. Mówiono, że czyta w myślach i nikt nie odważyłby się kłamać w jego obecności. Ale nade wszystko był to człowiek święty.

Urodził się w małej wiosce na południu Rosji. W wieku dziewiętnastu lat przywędrował na Athos i nigdy go nie opuścił. Przez pierwsze czterdzieści lat prowadził pokorne życie w wielkim monasterze ruskim Aghios Pandleimonos. Następnie, w wieku sześćdziesięciu lat, pragnąc prowadzić życie w nieco mniejszej społeczności, przeniósł się do niewielkiego skitu w pobliżu monasteru. Tam narodziła się jego sława. Minęło kolejne piętnaście lat. Zmęczony nieprzerwanym strumieniem pątników, którzy przybywali do niego w poszukiwaniu cennych rad, jeszcze bardziej

się odizolował, wybierając życie w tym zagubionym na krańcu półwyspu eremie. Mieszkał tu od ośmiu lat. Większość pielgrzymów straciła go z oczu, ale mnisi z góry Athos w największym sekrecie przekazywali sobie informację o nim, jak najcenniejszy skarb. Starzec musiał więc czasem przerywać modlitwę, by przyjąć mnichów przybywających do niego z najodleglejszych zakątków góry Athos.

Popołudnie minęło, a pustelnik nie dał najmniejszego znaku życia. Młodzieńca aż korciło, by ponownie zastukać w *simander*. Obawiał się, że starzec nie usłyszał jego wezwania. Jednak przypomniał sobie słowa igumena, który odradzał ponowne pukanie. Pustelnik miał doskonały słuch i bardzo nie lubił, gdy goście niepotrzebnie mu przeszkadzali. Nowicjusz modlił się więc żarliwie, nieustannie powtarzając modlitwę Jezusową i prosząc Boga, by oświecił świętego, którego przyszedł prosić o radę. O zachodzie słońca zaczął mu dokuczać głód. Na szczęście wziął pod uwagę ewentualność długiego oczekiwania. Wyjął z sakwy pajdkę chleba. Jedząc, powtarzał w myślach: Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

Okolo dziesiątej wieczorem, gdy młodzieniec zaczął przysypiać, w chatce pustelnika pojawiło się maleńkie światełko. Brat Ioannis wstał i podszedł do furty. W słabo oświetlonym pomieszczeniu zauważył cień przechadzającego się w tę i z powrotem starca. Po upływie kilku chwil eremita uchylił znajdujące się przy drzwiach okienko i zsunął po sznurku duży klucz, który z głośnym brzękiem zatrzymał się na zawieszanej przy wejściu do ogrodu miedzianej płytce.

Z bijącym sercem nowicjusz wziął do ręki klucz i przekręcił go w zamku furty, którą starannie zamknął za sobą. Następnie tym samym kluczem otworzył drzwi do eremu.

W głębi izby - jedyne pomieszczenia pustelni - zauważył ludzki kształt siedzący na rozłożonej wprost na podłodze słomie. W kącie, na maleńkim stoliku, płonęła świeca. Nowicjusz powoli podszedł do pustelnika. Stanąwszy przed starcem, którego rysów jeszcze nie widział w ciemności, skłonił się na znak szacunku.

- *Evlogite!*

- *O 'Kyrios!* - odpowiedział eremita, kreśląc ręką w powietrzu znak krzyża, po czym podał przybyszowi długą, pomarszczoną dłoń. Nowicjusz ucałował ją z najwyższą czcią.

- Siadaj, chłopcze - powiedział starzec miękko, wskazując gościowi znajdującą się u jego stóp poduszkę. Prawą dłonią przesuwał paciorki *komboskini*, bawelnianego różańca własnej roboty. Nowicjusz usiadł. Spojrzał na pustelnika i zachwycił się jego urodą. Długa, nieskalanie biała, przycięta niezbyt równo broda okalała twarz o regularnych rysach, naznaczoną ciąglymi postami i ascezą.

Mimo skrajnego wychudzenia i ślepoty, starzec promieniował wewnętrznym światłem, które nadawało mu wyraz niezwyklej dobroci.

- Dziękuję wam za to spotkanie, batiuszko.

- Co mogę dla ciebie zrobić, moje dziecko?

- Przybywam z polecenia igumena monasteru Simonos Petra. Młody mnich przerwał, ale pustelnik trwał nieporuszony. Mężczyzna ciągnął dalej.

- Od trzech lat jestem nowicjuszem i chciałbym złożyć śluby. Istnieje jednak pewna przeszkoda. Przybywając na Athos, zawarłem znajomość z malarzem, Teofanem Strelitzasem, który nauczył mnie trudnej sztuki pisania ikon. Wiele moich Madonn z Dzieciątkiem - innych ikon nie piszę - zdobi nasz monaster. Jednak igumen i Rada Starszych są zaniepokojeni moimi ostatnimi pracami. Uważają, że moje Madonny są... zbyt zmysłowe.

Starzec uśmiechnął się.

- Jaka szkoda, że jestem ślepy i nie mogę ich zobaczyć! Brata Ioannisa zaskoczył ten przejaw poczucia humoru. Z wahaniem kontynuował opowieść.

- Ja sam nie zdaję sobie z tego sprawy, a malowanie Madonn stało się niezbędnym elementem mojego duchowego życia. Pisząc ikony, modlę się nieustannie, odnajdując tym samym pokój duszy. Tymczasem Rada Starszych wymaga, bym definitywnie porzucił malarstwo, w przeciwnym razie nie zostaną przyjęty do wspólnoty.

Młodzieniec przerwał. Zauważył, że starzec, którego wyraz twarzy był dla niego coraz bardziej czytelny, stał się bardzo poważny i wyglądał na zatopionego w modlitwie. Wznowił przerwany wątek.

- Od chwili, gdy igumen poinformował mnie o tej decyzji, utraciłem spokój. Nie śpię, nie mogę się skupić na mszy ani spokojnie modlić. Odczuwam niewysłowiony smutek. Nie mogę podjąć decyzji dotyczącej mojego pobytu w monasterze.

Gorąco pragnę złożyć śluby i trwać w modlitwie i ascezie, ale myśl, że musiałbym definitywnie zaprzestać pisania ikon Madonny jest nie do zniesienia. Nie dam... nie dam rady.

W pustelni zapanowała cisza. Na zewnątrz słychać było szum nadmorskiej bryzy. Starzec wciąż przesuwiał paciorki różańca. Nowicjusz przyglądał mu się ze ściśniętym sercem, czekając na odpowiedź.

- Opowiedz mi o kobiecie, którą kochałeś przed przybyciem do monasteru - poprosił pustelnik po namyśle.

Ioannis omal nie otworzył ust ze zdumienia.

- Co chcesz przez to powiedzieć, batiuszko?

- Opowiedz mi o kobiecie, która nadal mieszka w twoim sercu, a którą malujesz pod postacią Madonny - powtórzył. Jego głos był stanowczy, lecz łagodny.

Nowicjusz milczał przez chwilę, po czym wybuchnął płaczem. Mimo największych starań nie mógł zatrzymać potoku łez.

Targał nim coraz bardziej gwałtowny szloch. Co chwila podnosił do oczu rękaw habitu,

ocierając łzy. Do głowy nie przychodziła mu żadna myśl, żadne słowo, a duszę zalewała rozpacz.

W końcu w jego umyśle pojawił się obraz kobiety, o której starał się zapomnieć ze wszystkich sił. I twarz, o której sądził, że dzięki nieustającej modlitwie zniknęła z jego duszy.

Po minutach, które ciągnęły się niczym godziny, opanował szloch, ale jego serce pograżyło się w bezdennym smutku. Stary mnich wciąż milczał. Teraz pochylił się, podając nowicjuszowi dłoń, którą ten chwycił z całej siły. Poczł intensywnie ciepło emanujące z chudej, pomarszczonej dłoni mnicha. Ciepło obiegło całe ciało i dotarło do serca.

Dopiero wówczas znalazł dość sił, by wyszeptać:

- Elena. Ma na imię Elena.

47

Przez długie godziny Giovanni opowiadał historię swojego życia. Wielokrotnie przerywał opowieść, wstrząsany szlochem. Starzec milczał. Delikatnie puścił dłoń młodzieńca, jednak słuchał z tak wielkim współczuciem, że nowicjusz czuł emanujące z mnicha światło, które dodawało mu odwagi, by mówić dalej. Giovanni wyznał swoją zbrodnię i karę, i opowiedział, co nastąpiło po niej.

- Dałem klucz do szafki Elenie, powierzając jej misję, której sam nie spełniłem. Tym samym nadużyłem zaufania mojego mistrza, któremu tak wiele zawdzięczałem.

Młodzieniec westchnął.

- Następnego dnia zaprowadzono mnie na wojskową galere, która właśnie wychodziła w morze, by patrolować basen Morza Śródziemnego. Zakuto mnie w ławce wraz z pięcioma innymi wioślarzami. W sumie było nas ponad dwustu. Sami skazańcy, zbrodniarze.

W warunkach, w jakich nas przetrzymywano, najsilniejsi wytrzymywali nie więcej niż dwa, trzy lata. Muszę zresztą wyznać, ojcze, że nie marzyłem o niczym innym jak o śmierci. Ale opatrność zdecydowała inaczej, ponieważ zdarzył się tragiczny wypadek, któremu zawdzięczam wybawienie.

Od ponad osiemnastu miesięcy żyłem w piekle beznadziei i cierpienia, gdy - po strasznej bitwie - nasz okręt został zatopiony przez turecki statek. Kiedy woda wdzierła się ze wszystkich stron, a my - przykuci do ław - wyliśmy jak zwierzyzna prowadzona na rzeź, jeden ze strażników - niech go Bóg błogosławi - zlitował się nad nami i otworzył kłódki łańcuchów, w które byliśmy zakuci.

Jako że siedziałem w jednym z pierwszych rzędów, zbiegłem, nim okręt poszedł na dno. Rzuciłem się w wodę i z bożą pomocą zdołałem ucześcić się kawałka pływającego drewna. Po długich godzinach przybiłem do nieznanego mi brzegu i straciłem przytomność.

Gdy doszedłem do siebie, leżałem w maleńkiej celi monasteru. Okazało się, że wylądowałem na Krecie, a rybacy, którzy mnie znaleźli, widząc na moich rękach kajdany,

zorientowali się, że jestem zbiegłym galernikiem. Jednak zamiast wydać mnie w ręce weneckich władz, do których należała wyspa, zanieśli mnie do prawosławnego klasztoru. Mnisi pielęgowali mnie z największą troską, a igumen wyjaśnił mi, że prawosławna ludność wyspy jest wrogo nastawiona do katolickich Weneccjan. Podjął ogromne ryzyko, pozwalając mi zostać.

Jako że cały czas musiałem przebywać w obrębie klauzury, spędzałem wiele godzin na lektorze i medytacji, modląc się w maleńkiej kaplicy poświęconej Najświętszej Marii Pannie. Nie byłem wówczas gorliwym chrześcijaninem, a moja wiara nie była żarliwa. Jednak klęcząc przed starą ikoną Bogurodzicy, wzruszałem się do łez. Była to ikona Bogurodzicy Eleusy, napisana przez sławnego rosyjskiego ikonopisarza, Andrieja Rublowa.

Wiedziony nieodpartą potrzebą kontemlowałem ją, spędzając przy niej coraz więcej czasu. Pewnego dnia, gdy pełen smutku i bólu medytowałem przed nią nad moim życiem, poczułem emanację niesłychanej czułości. Najświętsza Maria Panna zdawała się mówić: Nie lękaj się, jestem twoją matką. Kocham cię mimo twej zbrodni, mimo że zbłądziłeś.

Giovanni zamilkł. Fala wzruszenia odebrała mu głos.

- Wybuchnąłem wtedy płaczem, batuszko. Tak jak teraz przed wami. Poczulem ogrom mej winy, a jednocześnie nieskończoną miłość Matki Bożej. Klęcząc samotnie w kaplicy, płakałem wiele godzin, targany wyrzutami sumienia. Wieczorem przyszli mnisi. Zaczęła się liturgia. I wtedy, po raz pierwszy, moje serce otworzyło się na nią. Dostałem nieznanego mi dotąd stanu niezwykłego szczęścia. Po liturgii poszedłem do igumena i wyspowałem się. Usłyszałem z jego ust ostre słowa, którymi ganił mój grzech. Ale znalazł też dla mnie, nawróconego grzesznika, czułe słowa pociechy. Przez kolejne tygodnie, podczas których pogłębiałem znajomość greki, wpajał mi podstawy prawosławia. Za jego zgodą zdecydowałem się złożyć uroczyste wyznanie wiary. Ojczy, zaznałem niewysłowionej łaski!

Starzec nadal był nieporuszony. Ze spokojem słuchał opowieści Giovanniego, nieustannie przesuując paciorki różańca. Nowicjusz opowiadał dalej.

- Nie bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić. Z jednej strony bardzo pragnąłem wrócić do Wenecji, do Eleny, ale wiedziałem, że to śmiertelnie niebezpieczne. Z drugiej strony chciałem wrócić do Italii, by zdać mojemu mistrzowi sprawę z niepowodzenia misji. Jednak igumen odradził mi tę podróż z obawy, bym ponownie nie wpadł w ręce Weneccjan, którzy kontrolowali basen Morza Adriatyckiego. Poza tym był zdania, że Elena wzięła sobie do serca moją prośbę i zrobi wszystko, by spełnić misję, którą jej powierzyłem w chwili naszego ostatniego spotkania. Oby miał rację.

Pewnego dnia - kontynuował nowicjusz - igumen wyjawiał mi swe obawy. Moja obecność na terenie maleńkiego klasztoru stała się wiadoma zbyt wielu osobom i przełożony monasteru lękał się, by wkrótce informacja o mnie nie doszła do władz. Zaproponował mi wówczas wyjazd na górę Athos, na którą udawało się trzech innych braci. Jako że święta góra - jak cała Grecja zresztą -

należała do imperium osmańskiego, mogłem czuć się tam bezpiecznie, gdyż nie istniało ryzyko, że wpadnę w ręce Wenecjan. Zgodziłem się tym chętniej, że w murach maleńkiego klasztoru powoli zaczynałem się dusić.

Tak oto przybyłem na Athos. Mnisi, z którymi wyruszyłem w drogę, udali się do monasteru Simonos Petra. Igumen w lot pojął sytuację i pozwolił mi zostać w domu gości, w którym zatrzymywali się liczni pielgrzymi. Po kilku tygodniach trzech kreteńscy mnisi gościli u siebie mistrza Teofana. Ten słynny ikonopisarz, człowiek niezwyklej wiary, dowiedziawszy się o mnie, zapragnął poznać mnie osobiście. Opowiedziałem mu o moim nawróceniu przed ikoną Eleusy Rublowa i wyraziłem, jak bardzo obraży są mi bliskie. Wówczas, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, Teofan zaproponował mi, że wprowadzi mnie w tajniki pisania ikon, a nawet nauczy pisać ikonę Eleusy techniką rosyjską. Z entuzjazmem i pokorą przyjąłem propozycję.

Przez siedem miesięcy, pod okiem wybitnego mistrza, uczyłem się zasad ikonopisarstwa. Potem mój nauczyciel opuścił monaster Simonos Petra i udał się do Stawronikity, gdzie miał ozdobić cerkiew i refektarz. Pragnąłem wyruszyć w podróż wraz z nim, jednak powołanie zatrzymywało mnie w Simonos Petra. Im dłużej przebywałem wśród mnichów, tym bardziej pragnąłem z nimi zostać. Otworzyłem serce przed igumenem, który rozpoznał i potwierdził moje powołanie i przyjął mnie do wspólnoty, jako nowicjusza. Przywdziałem habit w dniu narodzenia Marii Panny. I tak, nadal pisząc ikony, dzieliłem z braćmi życie i modlitwę.

Giovanni odetchnął chwilę, po czym, łamiącym się ze wzruszenia i zmęczenia głosem, dokończył opowieść

- Przez trzy lata nieustannie wzywałem imienia Jezusa i pisałem ikony Bogurodzicy, modląc się o boże miłosierdzie. Wydawało mi się, że na zawsze zamknąłem tamten rozdział. Jednak kiedy igumen stwierdził, że moje ikony są „zbyt ludzkie”, jednakim bólem przejął mnie zakaz tworzenia co myśl o konieczności opuszczenia klasztoru.

Nowicjusz ponownie przerwał.

- Teraz, batiuszko, przychodzę do was błagać, byście oświecili moje serce i umysł, które ponownie pogrążyły się w ciemności. Czy sądzisz, ojcze, że nasz Pan żąda ode mnie, bym przyjął śluby i na zawsze przestał malować? A może powinienem malować, rezygnując z życia zakonnego?

Giovanni nie spuszczał wzroku z pomarszczonej twarzy starca delikatnie oświetlonej płomieniem świecy. Był pewien, że za chwilę z ust mnicha wyjdzie słowo, które uwolni go od dylematu. Jednocześnie czuł, że dotyczące Eleny pytanie, które zadał mu starzec, obudziło w nim skryte wspomnienia i zmaćło umysł. Lub raczej w jego sercu i ciele wydarzyło się coś, co wstrząsnęło nim, budząc uśpioną niepewność. Stan ducha Giovanniego był teraz zupełnie inny niż w chwili, gdy wkraczał do pustelni starca. Proste pytanie zadane nowicjuszowi przez starego człowieka przekształciło się w swoistą anamnezę, podczas której młodzieniec uświadomił sobie, że

jego serce wciąż należy do Eleny. Kończąc opowieść zadał pytanie, które go przywiodło do starca, zupełnie mechanicznie. Jednak w głębi serca czuł, że nabrało ono zupełnie innego wymiaru. W związku z tym z niepokojem oczekiwał odpowiedzi.

Stary mnich milczał przez chwilę, po czym uniósł lewą dłoń i wskazał nowicjuszowi znajdujący się kilka kroków od niego stół.

- Musisz być spragniony, moje dziecko. Napij się wody. Giovanniemu rzeczywiście zaschło w gardle. Wstał z podłogi i ugasił pragnienie. Gdy ponownie usiadł przed starcem, ujrzał na jego twarzy lekki uśmiech.

Z jakiego powodu wstąpiłeś do klasztoru i chcesz złożyć śluby?

Giovanni zamyślił się.

- Aby w nieustannej modlitwie całkowicie poświęcić się Bogu - odpowiedział po chwili.

- Doskonale. A dlaczego chcesz w modlitwie poświęcić życie Bogu?

- Dlatego, że wiem, iż jest Najwyższym Dobrem, i nie chcę roztrwonić życia, uganiając za dobrem ziemskim, co mogłoby doprowadzić mnie lub innych do upadku...

- O ile dobrze rozumiem, wstąpiłeś do klasztoru i chcesz w nim pozostać z dwóch przyczyn jednocześnie: dla miłości Boga i ze strachu przed światem?

- W pewnym sensie tak.

- Prawdopodobnie na tym polega twój problem, Giovanni. Młodzieniec wytrzeszczył oczy.

- Strach przed światem jest tak naprawdę strachem przed samym sobą. Jeśli boisz się samego siebie, twoja miłość do Boga zawsze będzie ograniczona i nigdy nie zdołasz osiągnąć najwyższego celu życia duchowego.

Starzec zamilkł. Giovanni, nie mogąc się doczekać, zapytał:

- A... jaki to cel?

- Przebóstwienie człowieka.

Nowicjusz zadumał się przez chwilę nad słowami starca, po czym spytał:

- Czy możesz mi to wyjaśnić, ojcze?

Mnich zakrył powiekami swe niewidzące oczy, jakby szukając odpowiedzi w najskrytszych głębiach swej duszy.

- Pismo Święte mówi, że *Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo*. Teolodzy Kościoła wschodniego właśnie na tych słowach budują podwaliny życia duchowego chrześcijan. *Bóg stworzył człowieka na swój obraz* oznacza, że człowiek jest jedynym stworzeniem na Ziemi zawierającym w sobie pierwiastek Boga. Tym pierwiastkiem jest inteligencja i wolna wola. Dzięki nim człowiek może stać się podobny Bogu.

To podobieństwo nie jest jednak dane od razu. Jest obecne w załączku: jako wołanie, potencjał, pragnienie. To właśnie w oparciu o pierwiastek Boga - czyli inteligencję i wolną wolę -

człowiek może starać się o to, by stać się podobnym Bogu. Do celu prowadzi boża łaska i nieustająca pomoc Boga.

- Ale czy Pismo Święte nie mówi nam, że grzech pierworodny polegał właśnie na tym, że człowiek chciał stać się podobny Bogu i za namową węża zerwał owoc z drzewa poznania dobra i zła?

- Ich grzech nie polegał na tym, że chcieli się stać podobni Bogu, gdyż takie jest powołanie ludzkiego gatunku. Grzech, którego się dopuścili, polegał na tym, że chcieli to osiągnąć sami, bez Bożej pomocy, licząc tylko i wyłącznie na własne siły i z pominięciem drogi, którą wyznaczył im Bóg. To dlatego nie powinni byli spożywać owocu, który tak naprawdę jest owocem przebóstwienia. Bowiem dopóki owoc nie dojrzeje, Bóg nie pozwoli człowiekowi po niego sięgnąć.

I wcale nie dlatego, że obawia się ze strony człowieka konkurencji, jak sugerował wąż, ale dlatego, że człowiek jest niegotowy, a przebóstwienie jest długotrwałym procesem, który należy przechodzić stopniowo, mając stały kontakt z Duchem Świętym.

- Rozumiem, ojcze. Ale dlaczego drzewo nazwano „drzewem poznania dobra i zła”?

- Studiowałeś teologię, czytając łacińską wersję Biblii w tłumaczeniu świętego Hieronima, nieprawdaż?

- Tak właśnie.

- Widzisz, naprawdę to drzewo - wedle tradycji - nazywa się „drzewem poznania tego, co niedokończone i tego, co dokończone”. Niestety, teolodzy łacīscy, za świętym Hieronimem, przetłumaczyli to złożone wyrażenie jako „drzewo poznania dobra i zła”. Tym samym grzech pierworodny został pojęty jako błąd moralny, a w rzeczywistości chodzi o rozłam metafizyczny, o zachwianie porządku istnienia. Bóg stworzył człowieka jako istotę niedokończoną, obdarzoną jednak pragnieniem doskonałości. Pchany tym pragnieniem, człowiek poszukuje Boga i dąży do tego, by stać się Jemu podobnym. Owo stopniowe przejście od „niedokończonego do dokończonego” - Arystoteles powiedziałby: „z możliwości do aktu” - dzieje się przy udziale inteligencji i wolnej woli człowieka, zgodnie z określonymi zasadami ontologicznymi.

Tylko Bóg zna porządek rzeczy i wszelkie próby pokonania etapów rozwoju samodzielnie, bez bożej łaski i przewodnictwa, zakrawają na zuchwalstwo.

Starzec przerwał na chwilę, po czym podjął mocnym głosem:

- Podstawowa i wciąż powracająca pokusa człowieka, źle pojęta i niefortunnie nazwana „grzechem pierworodnym”, polega na chęci osiągnięcia boskiej wszechmocy z pominięciem procesu oczyszczenia umysłu i serca. Oczyszczenia, które jest niezbędne i dzięki któremu moc objawi się jako miłość. Ale oczyszczenie wymaga od nas, abyśmy zeszli na samo dno naszego jestestwa i spotkali Boga w intymnym przybytku własnego serca, bo, jak zostało napisane w Piśmie: *Królestwo Boże pośród was jest*. Zamiast zaufać Bogu, powierzyć się Jego miłującym

dłoniom jako dziecię i szukać go wewnątrz nas samych, odrzucamy Jego pomoc, próbując samodzielnie wznieść się do zewnętrznego nieba, którego symbolem jest Wieża Babel. Jednak pycha i wola osiągnięcia boskiej mocy, która odwraca człowieka od prawdziwego przeznaczenia, nie może nam przesłonić prawdziwego celu życia duchowego, jakim jest przebóstwienie istoty ludzkiej. Wszyscy jesteśmy powołani, a wielkością naszego gatunku jest stać się podobnymi Bogu.

- Czy to znaczy, że kiedy już osiągniemy to podobieństwo, rozplyniemy się w Bogu?

- Nie. Chrześcijaństwo nie jest religią panteistyczną, według której dusza łączy się z naturą czy duchem świata. Bóg, w swej naturze, pozostanie na zawsze niepoznawalny. Możemy Go poznać, pragnąć i zjednoczyć się z Nim tylko za pośrednictwem Jego energii.

- Co to znaczy?

- Bóg jest „Jestem, który Jestem”, to znaczy, że w głębi swego misterium może być poznany tylko przez samego siebie. Jednak, kierując się miłością, transcendentálny Bóg zapragnął wyjść poza samego siebie, rozproszyć się, objawić i dać siebie w udziale stworzeniom, które powołał do istnienia, a które istnieją tylko w Nim i przez Niego.

Święty Dionizy nazywa owo promieniowanie Boga „mocą”, a święty Grzegorz Palamas „energią”. Boskie „energie” są początkiem i kresem aktu stworzenia. Każda istota stworzona na obraz i podobieństwo Boga, zatem obdarzona inteligencją i wolną wolą, ma współdział w naturze boskiej i może zostać przebóstwiona, czyli dopuszczona do udziału w naturze Boga.

Idea przebóstwienia zakłada jednak odrębność Boga i człowieka, nie przewidując połączenia go z istotą niewysłowionego Boga. Oto mało znana lub źle pojmowana subtelność doktryny chrześcijańskiej.

48

Starzec odkasznął. Giovanni był poruszony. Owszem, studiował teologię, ale nikt nigdy tak dogłębnie nie wyjaśnił mu zasad życia duchowego i nikt nie powiedział mu, jaki jest jego ostateczny cel. Ponownie zapytał mnicha:

- Jeśli zatem taki jest cel życia ludzkiego, to czyż życie zakonne nie ma na celu zapewnienia człowiekowi najlepszych warunków do koncentracji na tej zasadniczej sprawie i całkowitego oddania się w ręce Boga?

- Oczywiście, i twoje pragnienie poświęcenia się Mu jest godne pochwały. Ale twoja intencja nie może skrywać strachu przed światem i samym sobą, gdyż w takim razie twoje życie duchowe będzie nieszczerze. Wydaje mi się, że nadal przytłacza cię ciężar przeszłych grzechów i trawi obawa przed cielesnym pożądaniem.

- Być może, ojcze. Ale co mam zrobić, by się od nich uwolnić?

- *Odpuszczone są jej liczne grzechy, ponieważ bardzo umiłowała*, powiedział Pan Jezus o jawno grzesznicy. Ty, bracie Ioannisie, ciężko zgrzeszyłeś, pozbawiając kogoś życia, ale działałeś w

imię miłości do kobiety i całym sercem żałujesz popełnionego czynu. Zatem nie lękaj się. Pamiętaj, że miłosierdzie Boga jest górą o wiele wyższą niż otchłań grzechu człowieka.

Giovanni skinął głową. Wiedział o tym od czasu nawrócenia przed ikoną Bogurodzicy Miłosiernej w małym kreteńskim klasztorze. Jednak słowa, które usłyszał z ust świętego mnicha, wzruszyły go do głębi.

- Twoje serce nie może zaznać spokoju - kontynuował starzec silnym, mimo zmęczenia, głosem. - Wyrzuty sumienia zatrują cię niczym śmiertelny jad. Nie wiem, czy chodzi o zabójstwo, czy o niespełnioną obietnicę, którą złożyłeś swemu nauczycielowi, czy może fakt, iż nadal pożadasz tamtej kobiety, ale wiem, że twoje serce odczuwa niepokój. Czujesz się winny, a poczucie winy odgradza cię od światła Ducha Świętego i nie pozwala Mu wnikać do najskrytszego dna twojej duszy.

- Ale, batiuszko, jak mam nie czuć się winny? Zabiłem człowieka i zawiodłem zaufanie mistrza! Do czasu nawrócenia odczuwałem silne wyrzuty sumienia, ale potem uzyskałem Boskie przebaczenie i moja dusza odnalazła spokój.

- Czyżby?

- Tak sądzę - odpowiedział zbity z tropu Giovanni. - A to, co odczuwam od czasu rozmowy z igumenem dotyczącej moich ikon, jest raczej smutkiem niż wyrzutem sumienia.

- Nie wstyd ci zatem, że pisane przez ciebie ikony bardziej przypominają twoją ukochaną, niż Bogurodzicę?

- To wy mi to uświadomiliście, batiuszko.

- A nie czujesz, że zbyt dużym ciężarem była dla ciebie świadomość, iż nadal kochasz tę kobietę i że nie możesz jej spotkać?

- Nie... nie wiem - wyznał Giovanni.

- A nie sądzisz, że to ukryte uczucie, do którego nie przyznajesz się przed samym sobą i któremu nie dajesz ujścia - czy to akceptując pożądanie, czy to świadomie wyznając żal za grzechy - przekształciło się w chorobliwe poczucie winy?

- Co chcesz przez to powiedzieć, batiuszko?

- Aby uwolnić twą duszę od dojmującego smutku, musisz najpierw sobie uświadomić, że nadal odczuwasz pożądanie. Dopiero wtedy będziesz mógł podjąć decyzję, czy chcesz odnaleźć tę kobietę, by spędzić z nią życie, czy też wolisz zostać tutaj, ofiarować się Bogu i prosić Go, by oczyścił tę miłość, która umocni cię w świętości i uwolni twoje serce i duszę od umartwiania i wyrzutów sumienia.

- Rozumiem, ojcze. Ale jeśli chciałbym tu zostać, to czy nie powinienem odczuwać wyrzutów sumienia, że nadal pożadam tej kobiety? Przecież pragnę złożyć śluby czystości, całkowicie oddając się modlitwie i Bogu.

- Sądzę, że mylisz żal za grzechy z poczuciem winy.

Giovanni spojrział na mnicha ze zdziwieniem.

- Żal za grzechy i szczerą skruchę, które odczuwamy, popełniwszy grzech, doprowadzają nas do światła Ducha Świętego, które pomaga nam się podnieść. Oko naszej duszy jest wówczas wpatrzone w Boga. Poczucie winy natomiast jest dla duszy trucizną. Zamiast uciekać się do Boga, zdajemy się na samych sobie i sami się osądzamy, czasem nawet o tym nie wiedząc. Myślimy, że skoro popełniliśmy ciężki grzech lub mamy czarne myśli, jesteśmy źli. Ogarnia nas zwątpienie i, co gorsza, przypisujemy Bogu własne samooskarżenie. Wówczas Bóg jawi się nam jako groźny sędzia. Od tej pory nie słuchamy już Jego głosu, lecz wsłuchujemy się w samooskarżający głos sumienia, które - przybierając bałwochwalczą maskę - udaje prawdziwego Boga. Wspomnij na słowa świętego Jana Apostoła: *A jeśli nasze serce oskarża nas, to Bóg jest większy od naszego serca*. Owocami wyrzutów sumienia i poczucia winy są smutek, niepokój i poczucie beznadziei. Owocami żalu za grzechy i skruchy są radość, spokój i spływająca na człowieka łaska. O ile chorobliwe wyrzuty sumienia więżą serce w świecie jego własnych demonów, o tyle szczerą skruchę uwalnia je i otwiera na Boskie przebaczenie, które zawsze jest nam dane.

Słuchając słów starca, Giovanni uzmysłowił sobie, że nadal odczuwa podświadome poczucie winy spowodowane pamięcią o Elenie i o popełnionej zbrodni. Zdawało mu się, że uwolnił się od wyrzutów sumienia, gdy - w chwili nawrócenia - modlił się i otrzymał przebaczenie od Boga. Tymczasem jego duszę nadal dręczył ukryty ból.

- Ojciec, uświadomiłeś mi, że nadal odczuwam wyrzuty sumienia wynikające z moich win. A przecież wielokrotnie oddawałem się Bogu i wydawało mi się, że już otrzymałem Jego przebaczenie. Dlaczego zatem, wbrew mnie samemu i mimo moich modlitw, wciąż przygniata mnie ciężar moich grzechów?

Pustelnik powoli wznosił niewidzące oczy do nieba, westchnął ciężko i rzekł:

- Jedyną rzeczą, której powinieneś wypatrywać, jest miłość Boga... ponieważ nadal jesteś niewolnikiem lęku.

Giovanniego wielce zdziwiły te słowa.

- Co to znaczy, batiuszko?

- Wszystkie błędy i grzechy człowieka wynikają z trzech chorób, którymi są duma, głupota i strach. Zapewne w czasie studiów teologicznych słyszałeś o dumie, ale zbyt łatwo zapomina się o dwóch pozostałych. Głupota, którą wyśmiewał wielki Sokrates, jest chorobą intelektu. Strach natomiast jest chorobą, która toczy serce. Tak jak jedynym lekarstwem na głupotę jest nauka, tak jedynym antidotum na strach jest... miłość. Bowiem serce człowieka pragnie tylko jednego: kochać i być kochane. Wszystkie zawody miłosne, które gromadzą się w sercu od najwcześniejszego dzieciństwa, powodują paraliż i strach, które sprowadzają człowieka na manowce, a nawet

popychają do zbrodni.

- Ale ja nie ze strachu, lecz z pasji i zazdrości popełniłem zbrodnię...

- Nie wątpię! - wykrzyknął starzec. - Ale, pomijając miotane przez młokosa obelgi, skąd pojawiła się owa pasja i zabójcza zazdrość?

Giovanni zamyślił się.

- Myślę, że z bezdennego smutku - odpowiedział po chwili. - Ze świadomości, iż nigdy nie poślubię ukochanej kobiety... bo urodziłem się nie tam, gdzie trzeba.

- Zapewne, bowiem smutek pojawia się wówczas, gdy pozbawiają nas tego, czego pragniemy. Ale czy to nie strach przed utratą miłości sprawił, że straciłeś głowę?

- Zapewne - cicho odpowiedział Giovanni.

- A czy to nie strach, że zasmuciłeś lub zawiodłeś mistrza, tak draży twoje serce?

- Z całą pewnością - wyznał po chwili namysłu nowicjusz.

- Jedyną chorobą z której musisz się wyleczyć, moje dziecko, jest strach, gdyż wszystkie twoje nieszczęścia: gniew, zazdrość, smutek i poczucie winy pochodzą od tego wewnętrznego wroga. Jeśli zdołasz przezwyciężyć smutek, twojego serca nie zmoże żadna siła. A jedynym lekarstwem na strach jest miłość. Droga życia to przejście od lęku do miłości.

Starzec zamilkł. Złożył ręce, przytknął je do ust i lekko pochylił głowę. Następnie skierował do Giovanniego otwarte, pomarszczone dłonie.

- Rozpłyn się w miłości Boga, a wówczas odrodzisz się jako dziecko, wolny od strachu, który do tej pory przeszkadzał zbawczej sile miłości wziąć we władanie twe serce.

Starzec zamilkł, kładąc dłonie na kolanach, i zamyślił się.

- Czy wiesz, ile razy w Biblii napisano: *Nie lękajcie się?*

- Nie wiem.

- Trzysta sześćdziesiąt pięć. Każdego dnia o wschodzie słońca Bóg Ojciec mówi: *Nie lękajcie się!* Biblijne Objawienie, o ile je dobrze zrozumieć, jest niczym innym, jak obwieszczeniem, że miłość przewycięża strach, a życie przewycięża śmierć. Od pierwszego zabójstwa, od zbrodni kainowej, historię ludzkości znaczy nieprzerwany strumień krwawych zbrodni, u których podłoża stoi zemsta, chęć dominacji i strach. Zgodnie z tym, co głosili prorocy, Chrystus objawił się, by położyć temu kres. Był obdarzony mocą Boga, a stał się zwykłym sługą. Wisząc na krzyżu, nie złorzeczył swoim katom, lecz wołał: *Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią.* Przyszedł, by nam objawić moc przebaczenia, zwycięstwo miłości nad strachem i nienawiścią.

Starzec położył dłonie na udach, przebierając paciorki różańca.

- Nie chciałbym nadużywać waszego czasu, batiuszko. Na całe życie zapamiętam wasze słowa, które mi zapadły głęboko w serce. Ale co, waszym zdaniem, mam teraz czynić?

- Zanurz duszę w miłości i miłosierdziu Boga.

Zbity z tropu Giovanni chciał ponowić pytanie, ale spróbował podejść z innej strony.

- Czy sądzisz, ojcze, że powinienem nadal pisać ikony?

- Nie do mnie należy udzielenie ci odpowiedzi na to pytanie. Jeśli nie znajdujesz odpowiedzi w głębi twego serca, zapytaj tego, kto uczył cię pisać ikony, jak ocenia twoje ostatnie prace.

- A sądzisz, ojcze, że powinienem złożyć śluby?

- I na to pytanie ci nie odpowiem. Jeśli nie znajdziesz odpowiedzi wewnątrz siebie, spytaj igumena, co o tym sądzi.

Giovanni zamyślił się chwilę, po czym zadał ostatnie pytanie.

- Czy sądzisz, batiuszko, że moje serce nadal kocha tę dziewczynę?

- Jeśli nadal ją kochasz, niech cię Bóg błogosławi.

- Ale jeśli ją Kocham, jak mogę poświęcić życie Bogu?

- Nie ma sprzeczności w tym, że, żyjąc w monasterze, poświęcisz się Bogu, Kochając jednocześnie tamtą kobietę. Musisz jednak zrezygnować z żądzy cielesnej. Nie staraj się jej zapomnieć, nie odrzucaj pożądanego ze strachu, że mu ulegniesz, jak dotąd czyniłeś. Módl się za nią za każdym razem, gdy oczyma duszy ujrzysz jej twarz, i powierzaj ją boskiemu miłosierdziu.

- A jeśli czuję, że żądza rozpala mnie mimo modlitwy?

- Jeśli two serce nie zaznaje spokoju, opuść klasztor. Pan Jezus powiedział: *W domu Ojca Mego jest mieszkań wiele*. Niewielu zostało powołanych do życia w czystości. Być może twoje powołanie jest zupełnie gdzie indziej. Módl się do Chrystusa i Bogurodzicy. Wejdź w strumień miłości bożej, a otrzymasz odpowiedź.

Po chwili milczenia, na znak, że to koniec rozmowy, starzec pobłogosławił Giovanniego znakiem krzyża. Nowicjusz ucałował dłoń mnicha, dziękując mu z głębi serca. Gdy z trudem stanął na ścierpiętych nogach, spostrzegł, że nastaje świt. Kiedy przekraczał próg domostwa, starzec udzielił mu ostatniej rady:

- Zawsze pamiętaj słowa Chrystusa, moje dziecko: *Nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś oddaje swoje życie za przyjaciół swoich oraz Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie*. Miłość i prawda są latarniami morskimi, które poprowadzą cię przez życie.

Zdumiony Giovanni ponownie podziękował starcowi i opuścił erem.

49

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem. Z sercem uzbrojonym w modlitwę, Giovanni wrócił do monasteru Simonos Petra. Czuł, że jego dusza została uwolniona od przytłaczającego ciężaru, jednak umysł zaprzętała mu pewna myśl. Słowa Starca nie

pomogły mu w podjęciu decyzji. Giovanni czuł, iż sedno problemu stanowiła Elena. Czy zdoła ją wreszcie zapomnieć, jak próbował bezskutecznie w ciągu ostatnich trzech lat? Teraz miał pewność, że to niemożliwe.

Natychmiast po powrocie do monasteru z niepokojem obejrzał swoje ostatnie ikony. Fakt, który chciał ukryć przed samym sobą wprost rzucał się w oczy: za rysami Madonny kryła się Elena. To jej usta malował. Jej spojrzenie. Im bardziej starał się ją zapomnieć, tym bardziej była obecna w jego malarstwie. Wydawało mu się, że uwolnił się od przeszłości, a tymczasem ona była wciąż obecna. Zdawało mu się, że na zawsze pogrzebał umiłowaną twarz, a oto widział ją znów, przywołaną siłą jego dłoni, serca, a nawet modlitwy.

Przeszył go ból. Giovanni bez zastanowienia zebrał wszystkie zakazane przez igumena ikony, pobiegł z nimi do kuchni i wrzucił w ogień. W tym momencie przypomniał sobie słowa starca i zrozumiał, że postąpił tak, kierując się strachem. Gorzko zapłakał widząc, jak w ogniu pęka farba, a jego obrazy trawia płomienie.

Udał się z wizytą do mistrza Teofana, który właśnie malował freski w monasterze Stavronikita. Opowiedział wydarzenia z ostatnich dni nauczycielowi, który miłował go jak syna. Po kilku dniach namysłu Kreteńczyk odpowiedział:

- Sądzę, że teraz, gdy dzięki słowom czcigodnego Symeona rozpoznałeś swój błąd, możesz znów zacząć malować. Bierz przykład z twórczości dawnych ikonopisarzy, a podczas pracy oddaj serce Bogurodzicy. Zachowaj czujność. Jeśli ponownie rozpoznasz w swym dziele rysy twej ukochanej, nie załamuj się, lecz zacznij od nowa.

Umocniony radą nauczyciela Giovanni wrócił do monasteru Simonos Petra, informując igumena o podjętej decyzji: pragnie złożyć śluby i wrócić do malarstwa, tym razem jednak ściśle przestrzegając wskazówek nauczyciela.

Przełożony wyraził kategoryczny sprzeciw: Giovanni musiał wybrać.

Nieprzejednana postawa igumena wtrąciła Giovanniego na dno rozpacz, zmuszając go do odpowiedzi na pytanie, które wcześniej zadał mu Starzec: czy nadal pożąda Eleny? Czy miłość, jaką darzył młodą Wenecjankę była miłością platoniczną, czy jak najbardziej zmysłową? Czy będąc w tym stanie ducha może złożyć śluby czystości i oddać się Bogu, ryzykując pomyłkę i narażając się na złamanie ślubów?

Idąc za radą pustelnika, Giovanni medytował cały dzień i noc nad bożą miłością. Odnalazł wewnętrzny spokój, ale pojął też, że nie jest w stanie podjąć ostatecznej decyzji. Dzięki żarliwej modlitwie spokorniał.

Po długiej rozmowie z igumenem postanowił, że zachowa habit nowicjusza do czasu, aż osiągnie pełną jasność co do charakteru swych uczuć do Eleny. Przełożony zasugerował mu również, by udał się do innych monasterów czy skitów, poznał innych przewodników duchowych i

podczas kilkumiesięcznej podróży nabrał dystansu do całej sprawy.

Pewnego ranka, po mszy, Giovanni z tobołkiem na plecach opuścił Simonos Petra.

Udał się Wprost do Stavronikity, by powiadomić mistrza Teofana o swojej decyzji. Ikonopisarz radośnie przyjął tę nowinę. Giovanni wyraził chęć pozostania przy nauczycielu przez kilka miesięcy.

- Sądzę, że na jakiś czas powinieneś opuścić Athos - odpowiedział Teofan po chwili wahania. - Żyjesz tu od trzech lat i wydaje mi się, że w poszukiwaniu powołania musisz pojechać gdzie indziej. Podróże zmieniają nasz punkt widzenia na nas samych i nasze życie.

- Dokąd mam się udać?

- Czy znasz Meteory?

- Ta nazwa nic mi nie mówi.

- Jest to masyw górski w środkowej Grecji, jeden dzień drogi statkiem i dwa dni marszu stąd. Na szczytach skał umiejscowiony jest zespół monasterów. To najwspanialsze miejsce, jakie znam!

- Wspanialsze od góry Athos?

- Pod względem duchowym jest to miejsce równie święte. Ale okolica jest zachwycająca. Cud natury: las skał wyrastający na równinie. Ale najbardziej zdumiewające są budowle wzniesione przez mnichów na szczytach tych ogromnych skał. Bóg jeden wie, jakim cudem tego dokonali! Na górę można się dostać jedynie dzięki wyszukanemu systemowi kół, linek i przekładni, za pomocą których wciąga się ludzi, sprzęty i żywność w wielkich sieciach zawieszonych nad przepaścią.

Giovanni nie krył zdumienia.

- To robi wrażenie - ciągnął ikonopisarz. - Kiedy po raz pierwszy siedziałem w sieci, przez dobre pięć minut wisząc w pustce, miałem wrażenie, że stanie mi serce. Potem człowiek się przyzwyczaja.

- Ile czasu ojciec tam spędził?

- Bardzo dużo! To było piętnaście lat temu. Ozdobiłem wówczas cerkiewkę niewielkiego monasteru Świętego Mikołaja Odpoczywającego. To piękne miejsce. Myśląc o nim, czuję nostalgię.

- Czy mógłby mi ojciec dać list polecający do igumena tego monasteru? - spytał Giovanni postanawiając udać się w to intrygujące miejsce.

Podróż do drugiego, obok góry Athos, duchowego centrum prawosławia zajęła Giovanniemu pięć dni. Podróżował bezpiecznie, gdyż cały kraj był w rękach imperium osmańskiego. Poza tym habit mnicha zapewniał mu nietykalność.

Widząc Meteory z daleka, Giovanni doznał wstrząsu. Te olbrzymie, idealnie gładkie skały zdawały się wyrastać znikąd. Podchodząc bliżej, Giovanni poczuł jeszcze większe wzruszenie na widok piękna monasterów wzniesionych na szczytach największych ze skał. Zgodnie z tym, co

powiedział Teofan, na górę można było się dostać jedynie za pomocą specjalnego kołowrotu.

Nowicjusz przeszedł przez znajdujące się u podnóża skał miasto i zapytał o drogę do monasteru Świętego Mikołaja. Wszedł na ścieżkę wiodącą w głąb coraz bardziej dzikiej natury. Po godzinie marszu stanął u stóp klasztoru.

Skala, na której wzniesiono budowlę, była stosunkowo niska, ale miała niezwykle małą powierzchnię. W związku z tym klasztor był wąski i wysoki. Wtapiał się w krzywizny skały, stwarzając wrażenie niezwyklej harmonii.

Giovanni podniósł wzrok, by na wysokości około stu pięćdziesięciu stóp nad ziemią ujrzeć zawieszoną na linie sieć, która powoli zaczęła opuszczać się w dół. Wewnątrz spostrzegł mnicha, który wyglądał jak wielka, złowiona w sieć ryba. Gdy tylko pakunek dotknął ziemi, mnich odczepił wielki hak, na którym wisiała sieć.

- *Evlogite!* - powiedział na powitanie.

- *O 'Kyrios!* - odpowiedział Giovanni.

- Skąd przybywasz?

- Z góry Athos.

- Ze świętej góry! Niech cię Bóg błogosławi. Jak ci na imię?

- Brat Ioannis.

- Witaj. Przybywasz do naszego monasteru?

- Tak. Mam list polecający od Teofana do igumena.

- Niech go Bóg błogosławi! Co u niego?

- Dobrze. Maluje refektarz monasteru Stavronikita.

- Będziesz mógł podziwiać cudne freski, którymi ozdobił naszą cerkiew. To wielki dar od Boga dla naszej wspólnoty.

- Ilu was ta jest?

- Osiemnasta. Ale nasz monaster jest jednym z mniejszych. W Wielkim Meteoronie, który widzisz za sobą, żyje ponad dwustu mnichów. A w sumie we wszystkich naskalnych klasztorach i eremach żyje i modli się ponad dwa miliony mnichów!

- To niesamowite!

- Czy już ta kiedyś byłeś?

- Nigdy!

- To masz szczęście, że udaję się do miasta i właśnie zjechałem na dół! Pokażę ci, jak się dostać do monasteru.

Mnich zaprowadził Giovanniego kilka kroków dalej.

- Oto simander. Trzeba zastukać dwadzieścia razy i czekać na odpowiedź furtiana, a on wkrótce spuści sieć. Teraz zastukamy i pomogę ci zapiąć sieć.

Mnich rytmicznie zastukał w simander.

Natychmiast przyszła odpowiedź: szybkie, głuche uderzenia dochodzące ze szczytu skały. Nie bez obaw Giovanni usiadł na rozłożonej na ziemi sieci. Mnich pokazał mu, jak zebrać oka sieci spinając je wielkim, zawieszonym na linie hakiem. Po zakończeniu operacji mnich pięć razy pociągnął za linę, która łączyła sieć z kołowrotem. Chwilę później sieć zaczęła się wznosić i Giovanni oderwał się od ziemi. Siedział skulony, obejmując kolana dłońmi.

- Nie bój się! - krzyknął za nim mnich. - Lina zrywa się niezwykle rzadko!

Owo „niezwykle rzadko” pograżyło Giovanniego w bezdennej rozpacz. Zamknął oczy, by nie patrzeć w przepaść. Wydawało mu się, że wciąganie na górę trwa całą wieczność. Całą drogę wzywał imię Jezusa.

W końcu dotarł na wysokość platformy, na którą niezwłocznie wciągnęli go dwaj mnisi. Gdy tylko stanął na platformie, ujrzał kolejnych dwóch mnichów, którzy obracali kołem. Westchnął głęboko, dziękując Bogu, że nie musi zbyt szybko schodzić z powrotem.

50

Od czasu przybycia Giovanniego do monasteru Świętego Mikołaja minęły cztery miesiące. Przez ten czas ani razu nie opuścił orlego gniazda. Dzielił ascetyczne, modlitewne życie leciwych mnichów, ale pod pozorem spokoju kryło się cierpienie, które rozdzierało mu duszę. Cały czas myślał o Elenie, rozpamiętując wspólne chwile szczęścia, zadając sobie pytanie, co się stało z jego ukochaną. Jego ciało także nie mogło zaznać spokoju. Bywało, że wstrząsał nim dreszcz pożądania i zdarzało się, że budził się w stanie seksualnej podniecy. Na próżno oddawał myśli Bogu, polecał się opiece Madonny i rozważał tajemnicę bożego miłosierdzia. Nic nie pomagało: obraz dziewczyny prześladował go dzień i noc. Wypowiadał się igumenowi klasztoru, ojcu Bazyłowi, który był surowym i nieprzejednanym starcem. Czy nieustające pożądanie kobiety było znakiem, że Giovanni nie nadaje się do zakonnego życia? Czy, zgodnie z sugestią Starca Symeona, ma opuścić klasztor? Igumen nie podzielał tej opinii. Przeciwnie. Potwierdził powołanie Ioannisa, zalecając wykorzenienie cielesnej żądz za pomocą modlitwy, postów, umartwiania i pozbawienia snu. Nakłonił więc nowicjusza do prowadzenia jeszcze bardziej ascetycznego życia i zalecił codzienną spowiedź, podczas której miał wyznawać zdrożne myśli.

Giovanni wrócił do pisania ikon. Był jednak czujny i starał się nie malować twarzy kobiety, która wciąż mieszkała w jego sercu. Zdołał napisać ikonę Bogurodzicy zgodną z obowiązującym kanonem, jednak zorientował się, że spojrzenie Madonny jest dziwne. Zrozumiał wówczas, że mimo największego wysiłku nie mógł malować spojrzenia innego niż spojrzenie Eleny. Po kilku nieudanych próbach namalowania oczu Eleusy, wpadł na zbawienny pomysł. Skoro nie może zapomnieć spojrzenia Eleny, dlaczego nie obejść trudności i nie namalować Bogurodzicy o zamkniętych oczach? W nastroju ogromnego podniecenia skończył wreszcie ikonę. Rezultat był

zachwycający.

Patrzył na swe dzieło w milczeniu, a po policzkach popłynęły mu łzy wzruszenia. Może malować! Już miał pokazać ikonę igumenowi, gdy podczas wieczornego nabożeństwa przez głowę przebiegła mu posępna myśl. Był nią tak poruszony, że w połowie mszy wyszedł z kaplicy i pobiegł prosto do małej izdebki, w której znajdowała się jego pracownia. Zapalił świecę i przysunął ją do obrazu. Znieruchomiał. Przeczucie nie omyliło go. Zobaczył wyraźnie to, o czym chwilę wcześniej pomyślał w kościele: zobaczył zamknięte oczy i wyraz łagodności i pogody, który niósł w swej pamięci od wielu lat. Był to wyraz twarzy śpiącej Eleny w dniu, gdy - leżąc na strychu - zobaczył ją pierwszy raz.

Jego serce zalała rozpacz. Zrozumiał, że nigdy nie zapomni Eleny, na zawsze niosąc w swej pamięci jej twarz.

Wieczorem wyśpowiadał się igumenowi, który osobiście podjął trud zniszczenia w ogniu przeklętej ikony. Przełożony zakazał mu malować, zachęcając przy tym do wytrwania w powołaniu.

Giovanni spędził wiele tygodni w stanie skrajnego przygnębienia. Zaczął rozważać możliwość opuszczenia klasztoru, wbrew opinii igumena. Ale dokąd pójdzie? Jedynym miejscem, do którego pragnął się udać, była Wenecja. Ta myśl była szaleństwem. Ale skoro nie mógł bez niej żyć! Może ona wciąż czeka? Może zmieniła zdanie i w imię miłości byłaby gotowa opuścić rodzinę i miasto? Poza tym dowiedziałby się wreszcie, czy dostarczyła list Mistrza Lucjusza papieżowi. Mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa, zaczął rozważać powrót do Wenecji: pod zmienionym nazwiskiem i w przebraniu.

Pewnej bezsennej nocy, gdy leżał w łóżku, snując plany, przypomniał sobie słowa Luny: „Zabijesz z zazdrości, ze strachu i z gniewu”. Od czasu pobytu w monasterze zupełnie zapomniał o przepowiedni. Dlaczego akurat teraz przypomniały mu się dziwne słowa wiedźmy? Giovanni zadrżał. Czyż nie pomyliła się, przepowiadając pierwsze zabójstwo? Jeśli teraz wróci do Wenecji, jest szansa, że powodowany szaloną miłością, ponownie wejdzie w potężny strumień przeznaczenia i popełni nowe zbrodnie.

Rozwahał tę myśl przez kilka dni, po czym zdecydował wyśpowiadać się ojcu Bazyłowi. Przełożony odniósł się sceptycznie do przepowiedni Luny, podkreślając jednak, że powrót brata Ioannisa do świata oznaczałby dla niego niewolę w okowach namiętności i grzechu. Zdaniem starego mnicha, Giovanni stał przed kluczowym wyborem: wolność duchowa i cnotliwe życie całkowicie poświęcone Bogu lub zwycięstwo zmysłów i powrót do świata, gdzie czeka człowieka ból i dramat.

Giovanni był niezwykle poruszony słowami igumena. Tydzień później postanowił, że złoży w tym klasztorze wieczyste śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Ojciec Bazyli nie krył zadowolenia i zaproponował nowicjuszowi termin przypadający na początek Wielkiego Postu.

Giovanni modlił się dniem i nocą, nie przerywając umartwiania. Teraz, gdy już podjął decyzję, odnalazł częściowy spokój. Dręczyła go tylko jedna myśl: że nie zdoła przez całe mnisie życie dochować złożonej Bogu przysięgi.

Kilka dni przed złożeniem ślubów, kiedy medytował na niewielkim, wiszącym na szczycie skały tarasie, wpatrując się w pionowe ściany Meteorów, przez głowę przebiegła mu szalona myśl. Zrazu przyjął ją sceptycznie, ale z wolna poddał się jej działaniu. W końcu, w dziwnym stanie egzaltacji i niepokoju, zszedł z tarasu po niewielkich, drewnianych schodkach i zastukał do drzwi przełożonego klasztoru.

51

- *Evlogite!*

- *O 'Kyrios!* - odpowiedział igumen nieco znużonym głosem. Giovanni ucałował dłoń przełożonego i usiadł na podłodze.

- Co się stało? - zapytał stary mnich, zaskoczony podekscytowaniem Giovanniego.

- Sądzę, ojcze, że wskazałeś mi rozwiązanie!

- Rozwiązanie czego?

- Kryzysu duchowego, który przeżywam od kilku tygodni, od kiedy postanowiłem złożyć śluby wieczyste. Jak ojcu mówiłem, prześladuje mnie myśl, że któregoś dnia złamię śluby i wrócę do świata, by odnaleźć kobietę, która nadal mieszka w moim sercu. Lękam się, by ten powrót nie stał się dla mnie przyczyną popełnienia kolejnych strasznych zbrodni.

Staruszek przytaknął skinieniem głowy.

- Kiedy przed chwilą spoglądałem na pionową ścianę Meteoru, na wprost naszego monasteru, a zwłaszcza na grootę, gdzie mieszkał święty Efrem, doznałem od Boga olśnienia, które położyło kres moim obawom.

Igumen zaczynał pojmować, dokąd zmierza młody mnich, ale ta myśl wydała mu się nieprawdopodobna, udał więc zdziwienie, by dać sobie czas na refleksję.

- I co?

- Brat Antoni opowiadał mi o życiu świętego Efrema pustelnika. O tym, że niemal półtora wieku temu, dręczony cielesną żądzą i wspomnieniem umiłowanej kobiety, postanowił dożywotnio zamieszkać w jaskini znajdującej się w połowie wysokości Meteoru. Jak ojciec wie, Efrem przeżył w samotności czterdzieści lat, nie rozmawiając z nikim, modląc się, mając za powierników jedynie anioły.

Antoni opowiedział mi, że tak jak w przypadku innych mnichów, którzy zdecydowali się na tak drastyczne odosobnienie, raz w tygodniu spuszczano Efremowi na linie koszyk z chlebem i wodą i że trzeba było czekać czterdzieści lat na dzień, w którym nie tknął prowiantu.

Domyślając się, że stary mnich nie żyje, jeden ze współbraci zsunął się po linie, by

zlustrować jaskinię i zabrać ciało.

Jakież było jego zdumienie, gdy odkrył, że jaskinia jest pusta. Kompletnie pusta. Ciało Efrema najzwyczajniej w świecie zniknęło, a poszukiwania prowadzone u podnóża Meteoru, jakieś sześćdziesiąt stóp w dół od wejścia do groty, nie przyniosły rezultatu. Kilka tygodni później jeden ze świętych mnichów miał wizję, w której zobaczył, że ciało Efrema stało się tak czyste, że aniołowie zabrali je do nieba. Od tamtej pory w tutejszych monasterach Efrem eremita jest czczony jako święty.

- Wiem o tym. Ale dokąd zmierzasz?

- Dlaczego inni mnisi dręczeni cielesną żądzą posiadania kobiety nie mogliby pójść śladem Efrema i tak, jak on absolutnie zawierzyć i oddać się Bogu? Dlaczego ja nie mógłbym złożyć ślubów wieczystego odosobnienia i zamieszkać w jaskini świętego Efrema?

Igumen milczał przez chwilę, gładząc swą siwiejącą brodę.

- Z całą pewnością święci są dla nas wzorem, ale czy na pewno jesteś gotów na te wyrzeczenia? Czy zdajesz sobie sprawę, że będziesz kuszony? Czy wiesz, ile walk będziesz musiał stoczyć z samym sobą, by nie oszaleć?

- Odkąd tu jestem, staczam walkę każdego dnia. Sądzę, że Bóg wymaga dziś ode mnie aktu absolutnego oddania, by wreszcie zerwać ze mnie więzy, które wciąż łączą mnie z tą kobietą.

Czy to nie w ten sposób Efrem uwolnił się od namiętności? Po co Bóg sprowadził mnie do tego monasteru, dokładnie naprzeciw jaskini świętego, jeśli nie po to, bym poszedł tą samą drogą?

Igumen przymknął oczy, nie przestając gładzić brody.

- To wymaga zastanowienia.

- Pod względem praktycznym, nic prostszego - ciągnął Giovanni z błyskiem w oku. - Na szczycie tamtej skały mieszka dwóch mnichów, mają kołowrót. Wystarczy, że za pierwszym razem wciągną mnie do połowy wysokości ściany i zostawią w jaskini, a potem, raz w tygodniu, będą mi dostarczać w koszyku chleb i wodę. W dniu, kiedy koszyk wróci na górę nietknięty, będzie to znak, że trafiłem do Królestwa Ojca.

- Tak, tak, wiem, że to jest wykonalne - odfuknął przełożony. - Ale czy na pewno takie życie jest twoim powołaniem? Muszę zdobyć pewność w modlitwie.

Giovanni pochylił głowę i położył rękę na sercu.

- Oczywiście, ojczu. Jednak trzeba, byś wiedział, że w chwili gdy prosiłem Boga o łaskę i natchnienie i usłyszałem w głowie tę myśl, moja dusza w końcu odnalazła spokój.

- Wrócimy do tej rozmowy w sobotę po mszy. Do tego czasu módl się za mnie do Bogurodzicy o natchnienie.

W sobotę, dzień Saturna, Giovanni ponownie odwiedził maleńką celę igumena. Ojciec Bazyli miał poważną minę.

- Czy trwasz w postanowieniu spędzenia reszty życia w jaskini świętego Efrema?

- Dzień i noc modliłem się do Chrystusa i Najświętszej Panienki i moje postanowienie nabrało tym większej mocy - odparł bez wahania Giovanni.

- Mhm - mruknął stary mnich. - Ja także dużo się modliłem, prosząc o oświecenie w tej sprawie. To poważna, wiążąca cię na całe życie - tak jak śluby zakonne zresztą - i nieodwołalna decyzja. Pamiętaj, że o ile słaby duchem mnich może złamać śluby i mimo błędów zostać uratowany przez boże miłosierdzie, o tyle zamknięty dożywotnio pustelnik nie ma innego wyjścia niż podążać raz wybraną drogą do samego końca, za cenę ryzyka postradania zmysłów lub samobójczej śmierci. Zapewne wiesz, że u stóp niektórych skał znaleziono ciała nieszczęsnych pustelników? Nikt nigdy nie dowiedział się, co się stało, ale nie możemy wykluczyć samobójczej śmierci.

- Wiem, ojcze. Ale wolę podjąć ryzyko postradania zmysłów niż któregoś dnia złamać śluby, wrócić do świata i nękać serce tamtej kobiety, lub, co gorsza, popełnić nową zbrodnię.

- Jesteś odważny. I nawet jeśli w oczach ludzi wyglądasz na szaleńca, wierzę, że twoje życzenie pochodzi od Boga i nie będę mu się przeciwstawiał.

Oczy Giovanniego zabłysły.

- Dziękuję!

- Za dziewięć dni, w Środę Popielcową, złożysz profesję zakonną oraz śluby wieczystego odosobnienia. Tego samego dnia zostaniesz umieszczony w jaskini. Weźmiesz ze sobą ciepłą odzież i kilka wełnianych kocy, które będą cię chronić przed zimnem. Dostaniesz jedną jedyną książkę: Pismo Święte.

Z tego ślubu nie zwolni cię żadna prośba, krzyk ani błaganie. Dopiero śmierć wyzwoli cię z tego dobrowolnego więzienia. Pytam po raz ostatni: czy pragniesz tego całym umysłem i duszą?

- Pragnę tego całym umysłem i duszą. Chcę raz na zawsze odciąć się od świata i ukryć w Bogu. Aż do śmierci. Własnymi siłami i z jedyną nadzieją na wieczne spotkanie z Naszym Panem, Jezusem Chrystusem, który powiedział:

Bo kto chce zachować swoje życie, straci je, a kto straci swe życie z Mego powodu, ten je zachowa.

52

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

Giovanni z trudem wstał z kolan. Od wielu godzin, klęcząc w głębi wilgotnej jaskini, nieprzerwanie odmawiał modlitwę Jezusową. Właśnie wstało słońce, a jego pierwsze promienie zalewały skierowane na wschód wejście do grotty. Jak co rano, Giovanni załatwił swoje potrzeby do drewnianego wiaderka i wyrzucił odchody w przepaść. Potem usiadł na skraju jaskini, pozwalając delikatnemu ciepłu poranka pieścić wychudzone ciało. Była to jedyna przyjemność, na którą

pozwalając swej ziemskiej powłoce. Po kilkunastu minutach wygrzewania kości otworzył psalterz i przystąpił do odprawiania mszy.

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem. Odmówił psalmy. Dźwięk obracających się kółek przywołał go na skraj grotty. W otworze pojawił się duży koszyk zawieszony na konopnej linie.

Giovanni zdjął go delikatnie, by nie uronić nic z cennej zawartości: baryłki wody i ogromnego, okrągłego bochna chleba - tygodniowych zapasów żywności. Czasami żyjący w skicie na wierzchołku skały bracia Nikodem i Grzegorz, którzy podjęli się go karmić, wrzucali do koszyka kilka świeżych bądź suszonych owoców, w zależności od tego, czym sami dysponowali. Jednak tym razem Giovanni znalazł tylko chleb i wodę. Wyjął je z kosza i pięciokrotnie pociągnął za sznur.

Sześćdziesiąt stóp nad nim zaskrzypiało poruszane ręką brata Grzegorza koło.

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem. Modlitwa Jezusowa nieustannie towarzyszyła każdej czynności Giovanniego. Czy to spożywał posiłek, czy odprawiał nieszę, czytał Biblię lub wpatrywał się w horyzont, imię Jezusa było obecne w jego sercu. Czasami nawet zdarzało się Giovanniemu nieświadomie modlić przez sen i budzić z modlitwą na ustach. Twarz Eleny zniknęła z jego snów, a serce schroniło się w Bogu.

Po skromnym posiłku zrosił twarz wodą i schował wodę i chleb w kącie grotty.

Wyglądająca jak lekko przymknięte oko jaskinia znajdowała się w połowie wysokości skały. Otwór miał długość około dwudziestu, dwudziestu pięciu stóp szerokości i dziewięciu stóp wysokości i rozszerzał się w głąb, osiągając około trzydziestu stóp głębokości. W najwyższym miejscu jaskinia była wysoka na trzydzieści sześć stóp.

Giovanni spał i modlił się w głębi jaskini, jadł zaś, odprawiał mszę i czytał Biblię bliżej otworu, by mieć więcej światła.

Już od dziewięciu miesięcy prowadził pustelnicze życie i ani przez chwilę nie żałował swego wyboru. Tak czy inaczej, skoro decyzja była nieodwołalna, co by mu przyszło z żałowania?

Nawet w przypadku choroby nie mógł przyjmować odwiedzin ani pomocy z zewnątrz. Żył zawieszony na nici opatrności bożej, z oczyma duszy utkwionymi w nędzę kondycji człowieczej i wielkość bożego miłosierdzia:

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem. Jego dusza odzyskała spokój, a nawet zaznała tak intensywnych momentów łaski, że zalany siłą bożej miłości Giovanni płakał przez długie godziny. Z czasem łaski jakby się wyczerpały.

Giovanni nie ustawał jednak w modlitwie i prowadził bardzo regularny tryb życia. Ojciec Bazyli zalecił mu zachować czujność i wciąż przestrzegać dyscypliny życia codziennego. Każdego dnia modlił się także do swojego poprzednika, świętego Efrema, prosząc o siłę wytrwania w wierze i ufności Bogu. Kiedy ogarniało go zwątpienie, przywoływał pamięć świętego pustelnika, który w

tym miejscu żył, modlił się i obcował z Bogiem przez ostatnie czterdzieści lat swego życia i ta jedyna myśl dodawała Giovanniemu odwagi.

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

Jednak od kilku tygodni, od nadejścia jesiennych chłódów, za sprawą których noce stały się wyjątkowo trudne do zniesienia, Giovanni odczuwał lekkie pobudzenie. Zrazu nie rozpoznał przyczyny, ale wkrótce zorientował się, że brakuje mu ruchu. Jego sny także stały się bardziej niespokojne. Zaczęło mu też brakować miejsca w ciasnej grocie, jednak nie chciał tego przyznać przed samym sobą: taka świadomość z całą pewnością zrodziłaby niepokój. Niepostrzeżenie zaczął badać wnętrze groty, jakby szukając drugiego otworu.

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

Tego ranka, intonując swą nieustającą modlitwę, z wolna wodził dłońmi po ścianach w głębi jaskini, nie spodziewając się, że dokona niezwykłego odkrycia.

Nagle w najciemniejszym i najniższym zakamarku groty poczuł, że skała jest bardziej szorstka. Położył się na ziemi i zlustrował ścianę. Okazało się, że ściana jest tak naprawdę rumowiskiem skalnym złożonym z ściśle przylegających do siebie kamiennych bloków. Pokrywająca je warstwa kurzu była tak gruba, że uniemożliwiała rozpoznanie wzrokiem. Niezmiernie podekscytowany Giovanni zaczął skrobać ścianę ostrym kamieniem. Po godzinie pracy zorientował się, że odkrył bardzo stary zawał. Dawniej jaskinia musiała być o wiele głębsza, a do wnętrza prowadził wąski tunel. Strop tunelu zawalił się, grzebiąc teraz dostęp do drugiej części jaskini.

Otrząsnąwszy się ze zdumienia, Giovanni postanowił powrócić do normalnego rytmu codziennych zajęć.

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

Jednak tej nocy, mimo nieustającej modlitwy, nie mógł zapomnieć o swoim odkryciu. Wprost płonął z ciekawości: co też może się znajdować za rumowiskiem? Czy jaskinia jest dużo głębsza?

Aby uwolnić umysł od obsesyjnie powracających pytań, postanowił - dla spokoju sumienia - spróbować odwalić bloki.

Natychmiast po śniadaniu zajął się najwyżej leżącym głazem, odsłaniając jego zarys za pomocą zaostrzonego kamienia. Spocił się, próbując go ruszyć w posadach. Na próżno. Nagle zorientował się, że po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy opuścił mszę. Postanowił powrócić do usypiska nazajutrz, ustalając porę prac na rano i popołudnie. Zmusił się do przestrzegania wyznaczonych godzin. Przynajmniej zewnątrz, bo wciąż toczył wewnętrzną walkę, by nie patrzeć i nie myśleć ciągle o rumowisku. Pracował codziennie dwie godziny rano i dwie godziny wieczorem. Wreszcie zdołał poruszyć pierwszy kamień. Od tej chwili było mu łatwiej usuwać

pozostałe.

Dziesiątego dnia tunel został odsłonięty. Mierzył około sześciu stóp długości i prowadził do drugiej części jaskini, do której prawie nie docierały promienie słońca. W nozdrza Giovanniego uderzył ostry zapach wilgoci, wręcz stęchlizny. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, zorientował się, że odkryte właśnie pomieszczenie było dwukrotnie mniejsze i zdecydowanie niższe od pierwszego. Przeczłogał się w głąb.

Wówczas, w najciemniejszej głębi, jego dłonie natrafiły na dziwny kształt. Podniósł przedmiot i wyczołgał się z nim do światła: ujrzał kość! Była to ludzka piszczel.

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

Modląc się ze wszystkich sił, wrócił w głąb ciemnej pieczary. Znalazł szkielet leżący pod strzępami zbutwiałego odzienia. Jedną po drugiej, przeniósł kości do głównej jaskini. Bez trudu zrekonstruował szkielet mężczyzny średniego wzrostu. Złoty medalik znaleziony wśród kości powiedział mu, kim był zmarły:

Efrem.

53

Pod imieniem mnicha wygrawerowano datę złożenia ślubów: Wielkanoc 1358. Giovanni był jak ogłuszony. Oto dlaczego nigdy nie odnaleziono ciała świętego pustelnika! Najwyraźniej urządził sobie posłanie w drugiej części grotu. Którejś nocy przyszedł zawał i zablokował łączący obie części jaskini tunel. Nieszczęśnik znalazł się w pułapce. Prawdopodobnie zmarł z głodu i pragnienia. Braciszkanie, którzy przyszedli po jego ciało, nie znali jaskini, gdyż eremita żył w niej samotnie od czterdziestu lat. Pozostało im tylko stwierdzić tajemnicze zniknięcie starca.

Giovanni przypomniał sobie sen mnicha, który kilka dni później ujrzał, jak ciało Efrema zabierają do nieba aniołowie. Sprawa się wyjaśniła i oto od niemal stu pięćdziesięciu lat pustelnika czczono jak wielkiego świętego. Po plecach Giovanniego przebiegł dreszcz.

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

Pod wpływem modlitwy uspokoił się i doszedł do wniosku, że wskutek lat wyrzeczeń i osamotnienia brat Efrem na pewno osiągnął wysoki stopień duchowości. I nieistotne, czyjego śmierć nastąpiła wskutek wypadku, czy była przejawem cudu.

Postanowił urządzić swemu poprzednikowi chrześcijański pogrzeb. Najlepiej by było powiadomić braci o odkryciu i przenieść szczątki świętego mnicha do monasteru.

Po namyśle Giovanni zrezygnował z pomysłu: nie chciał zakłócać wiary niektórych mnichów, którzy darzyli eremitę uwielbieniem. Postanowił złożyć kości w głębi jaskini, usypać nad nimi kamienny kopiec i zatknąć na nim drewniany krzyżyk, który miał przy sobie.

Kiedy kończył pracę, spostrzegł na jednym z bloków niezwykłą rzecz: rozmazany napis kryjący się pod grubą warstwą pyłu. Przetarł kamień rękawem.

Tak. Na kamieniu widniały nieczytelne w półmroku słowa.

Nowe odkrycie ponownie wstrząsnęło Giovannim. Święty eremita tuż przed śmiercią zostawił wiadomość.

Teraz, niemal półtora wieku później, opatrznosc zechciała, by to on, brat Ioannis, odczytał testament. Młody mnich złożył Bogu dziękczynienie za bezcenny dar.

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

Niezwykłe poruszony, z wielkim trudem przetoczył głaz bliżej światła.

Ujrzał skreślone drżącą dłonią słowa. Były niemal niewidoczne i Giovanni ponownie musiał przetrzeć kamień rękawem.

Wówczas zorientował się, że swoje ostatnie słowa święty mnich napisał... własną krwią.

Z walącym jak oszalałe sercem odczytał przesłanie, które Efrem, żyjący czterdzieści lat w odosobnieniu, pozostawił ludzkości.

Przesłanie brzmiało: „Bóg nie istnieje”.

V

Mars

54

Giovanni poczuł, jakby strzelił w niego grom z jasnego nieba, po czym stracił przytomność.

Kiedy doszedł do siebie, zdawało mu się, że zbudził się z koszmarnego snu. Jednak kamień wciąż tam był. Leżał tuż obok niego. Przeczytał napis dziesięć, dwadzieścia, sto razy. Jego oczom ukazywał się wciąż ten sam tekst, ale umysł nie przyjmował go do wiadomości, a serce nie chciało uwierzyć. Nie. To niemożliwe. Absolutnie niemożliwe, by człowiek, który spędził tyle lat na nieustannej modlitwie, w ascezie i odosobnieniu, mógł u schyłku żywota odrzucić istnienie Boga. Jednak jeszcze bardziej niewiarygodny wydał się Giovanniemu fakt, iż Bóg mógłby opuścić swojego wiernego sługę.

Zaczął szukać wytłumaczenia: pustelnik zapewne chciał napisać dłuższe zdanie, ale nie miał dość sił, by skończyć. Tak, na pewno tak było. Przypomniał sobie początek psalmu 14:

Mówi głupi w swoim sercu:

„Nie ma Boga”.

Oni są zepsuci, ohydne rzeczy popełniają, nikt nie czyni dobrze.

Pan spogląda z nieba na synów ludzkich, badając, czy jest wśród nich rozumny, który szukałby Boga.

Oto wyjaśnienie! - pomyślał. Jak inni wielcy święci, Efrem zszedł duchem na samo dno piekła, by współczuć rozpaczycy tych, którzy nie odnaleźli Boga lub na skutek grzechu stracili z Nim łączność. Giovanni uspokoił się i znalazł dość sił, by skończyć budowę grobu pustelnika. Do końca

dnia nie przestawał się modlić:

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

W ciągu następnych dni wciąż czytał i czytał wyryte w kamieniu przesłanie. Mimo że szczerze wierzył w znalezione wytłumaczenie, jego duszę coraz bardziej dręczył niepokój.

Do niedawna Giovanni modlił się do świętego Efrema o pomoc w spełnieniu ślubów. Tym razem jednak, ku własnemu zdumieniu, zmówił modlitwę do Bogurodzicy za duszę starego pustelnika. Uświadamiając to sobie, przeżył szok. Postanowił pozbyć się kamienia. Przetoczył go ponownie w głąb jaskini, by nikt go nie znalazł; nosił się nawet z zamiarem ponownego zasypiania tunelu.

Podjął normalny rytm pustelniczego życia, próbując zapomnieć o całym zdarzeniu. Wkrótce jednak zrozumiał, że to niemożliwe. Zdecydował więc, że zamiast odganiać natrętne myśli, które stale krążyły wokół strasznego przesłania, przyjmie je i połączy swe siły z siłami świętego Efrema, zanosząc modły za tych, których dusze nie znalazły Boga: niewiernych - rzecz jasna - a także zatwardziałych grzeszników i wątpiących w istnienie Stwórcy niedowiarków.

Doszedł do wniosku, że opatrność położyła na jego drodze ten kamień, by odnalazł jeszcze głębszy sens swojego życia, całkowicie oddanego Bogu.

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

Przez wiele tygodni modlił się żarliwie za błądzące dusze. Jednak w jego sercu zamieszkał niepokój, którego istnienia nie mógł się wyprzeć. Zrozumiał, że nie wierzy w hipotezę dotyczącą świętego Efrema.

Zaczął tedy coraz częściej modlić się za biednego pustelnika, którego dusza, żyjąc tak długo w osamotnieniu, najprawdopodobniej zbłądziła. Bóg pozwolił mu dokonać wstrząsającego odkrycia, by mógł się modlić za zbawienie nieszczęśnika. Giovanni postanowił więc ofiarować wszystkie swoje modlitwy za pokój duszy Efrema:

Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

Ale z dnia na dzień, w głębi jego jestestwa narastała wściekłość. Zrazu nieokreślona, wzięła go w swe posiadanie. Pewnej nocy zaczął wyc jak zwierzę, wygrażając niebu pięścią: „Dlaczego? Dlaczego pozwoliłeś swemu słudze szczeznąć w rozpacz? Dlaczego pozwoliłeś, by szatan zburzył jego wiarę w Twoje miłosierdzie? Dlaczego pozwoliłeś człowiekowi, który oddał Ci życie, umrzeć w nocy zwątpienia? Jesteś okrutny? Lubujesz się w cierpieniu niewinnych? Ile jeszcze łez musimy wylać, by przebłagać Twój gniew?”. Jego krzyk był krzykiem całej ludzkości, która cierpiała, wierzyła i nie mogła pojąć nieznośnego milczenia Boga.

Kiedy już, niemal tracąc zmysły, wykrzyczał swój ból, wybuchnął płaczem. Jego serce wypełniła bezdenne rozpacz. Czuł bezgraniczne współczucie dla człowieka, który wyrzekł się wszystkiego, zrezygnował z uciech tego świata, wycierpiał tyle co nikt, poświęcił życie rodzinne,

przez całe lata modlił się dniem i nocą, o chłodzie i głodzie, w samotności... by na koniec umrzeć w stanie beznadziei, w poczuciu, że Bóg, któremu służył z tak wielką miłością i oddaniem, go opuścił.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Giovanni płakał także nad samym sobą.

55

Od pamiętnej nocy buntu minęły trzy tygodnie, podczas których Giovanni na próżno starał się ugasić pożar trawiący jego duszę. Doświadczył każdego stanu: zwątpienia, nadziei, lęku, wiary, wściekłości, poczucia osamotnienia, przygnębienia, ufności i smutku. Po stoczeniu strasznych bojów wewnętrznych jego serce i dusza osiągnęły wreszcie porozumienie, dochodząc do wspólnego wniosku: albo Bóg jest sadystą i okrutnikiem, albo... nie istnieje, co nawet byłoby lepszym rozwiązaniem.

Giovanni już nie był wściekły. Nie był nawet smutny. Był najzwyczajniej w świecie zdruzgotany.

Wspomnienia z przeszłości wróciły, by dręczyć jego duszę. Ze wzruszeniem przywoływał słodkie, kojące obrazy z dzieciństwa. Będąc w klasztorze, napisał do ojca i brata, by byli spokojni o jego los. Ale teraz sam zapragnął wiedzieć, co się z nimi stało. Przed oczyma stanął mu obraz Eleny. Znowu poczuł nieodpartą potrzebę odnalezienia jej.

Ale nade wszystko tęsknił za Mistrzem Lucjuszem. Tak bardzo chciał otworzyć przed nim swe zbolełe serce i - w zwątpieniu, które przeżywał - poprosić go o radę. Próbował sobie wyobrazić, co filozof doradziłby mu w tych okolicznościach. Jak bardzo mu go brakowało!

Pewnej nocy, gdy jego duszę ogarnęła bezdenna rozpacz, zapragnął ze sobą skończyć. Stanął u wyjścia z jaskini, wpatrując się w majaczące sześćdziesiąt stóp poniżej korony drzew. Zamknął oczy. I znowu w jego pamięci ożyły wspomnienia. Ujrzał twarz Eleny, twarz matki. Po zapadniętych wskutek głodu i skrajnego wyczerpania policzkach popłynęły słodko-gorzkie łzy.

Stanął na skraju przepaści. Już miał skoczyć, gdy nagle jego oczom ukazała się twarz Luny. Jego ciało wypełniła żądza. Poczuł nieodpartą potrzebę zmysłowej miłości. Jego umysł skupił się na obrazie wizjonerki, a pamięć jej upojnego zapachu i aksamitnej skóry targnęła jego wymizerowanym ciałem. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, zaczął się pieścić, przywołując pod przymkniętymi powiekami pamięć kobiety, z którą zaznał pierwszej w życiu rozkoszy. Wydał gardłowy, zwierzęcy ryk, który zdawał się być zrodzonym u zarania dziejów.

Od wielu dni nie modlił się już. Owszem, słowa wracały jeszcze na wargi, ale dusza je odrzucała. Poczuł nieśmiałą, instynktowną wolę życia. Masturbował się kilka razy dziennie, kierując uwagę na Lunę i Elenę na zmianę. Myślał tylko o jednym: jak najszybciej opuścić to miejsce.

Istniało jedno jedyne rozwiązanie: sprawić, by jeden z braciszków zszedł do jaskini, by stwierdzić jego zgon. Ograniczył więc spożycie chleba i wody, by móc odłożyć co nieco na zapas.

Tym sposobem następnego tygodnia nie tknął cotygodniowych prowizji. Żyjący w zbudowanym na szczycie skały domku mnisi, widząc nietknięty koszyk, postanowili zejść do grotty i sprawdzić, co się stało.

Silniejszy obracał kołowrotem, a drugi z nich, brat Nikodem, spuścił się w sieci w dół. Na wysokości wejścia uwolnił się z sieci i ujrzał Giovanniego leżącego na ziemi. Gdy tylko podszedł i pochylił się, Giovanni wymierzył mu silny cios w głowę. Umieścił bezwładne ciało w sieci, po czym usadowił się obok niego i pięciokrotnie pociągnął za linę.

Sieć uniosła się i powoli, urywanym rytmem, dotarła na górę. Giovanni rozplatał sieć i wyciągnął nieprzytomnego mnicha na platformę. Brat, który wciągnął go na górę, zablokował kołowrót i przyszedł mu z pomocą. Był pewien, że to Nikodem przywiózł ciało pustelnika. Widząc Giovanniego, stanął jak wryty.

- Co ty tu robisz? Co się stało z Nikodemem?

- Ogluszyłem go. Nie miałem wyboru. Musiałem się wydostać.

- Ale... złożyłeś śluby. Nie możesz odejść! Giovanni poczuł narastającą panikę.

- Muszę odejść - odpowiedział hardo.

- Nie pozwolę ci! - krzyknął mnich, rzucając się na niego. Giovanni zrobił unik i odepchnął atakującego w bok. Mnich potoczył się po zboczu, zawisając na brzegu platformy.

- Bracie Grzegorzu! - wrzasnął Giovanni, rzucając mu się na pomoc, ale nieszczęśnik nie zdołał się utrzymać i spadł z wysokości stu dwudziesta stóp.

Giovanni patrzył z przerażeniem. Przypomniał sobie słowa Luny: „Zabijesz ze strachu”. Zrozumiał wówczas, że odcinając się od świata i ludzi, chciał umknąć swemu przeznaczeniu, które dopadło go nawet tu, w monasterze, w jaskini, w ukryciu.

Było bowiem wyryte na dnie jego serca.

56

Giovanni chwycił przywiązaną do koła zamachowego linę. Cisnął ją w przepaść i powoli opuścił się w dół.

U stóp ostańca z przerażeniem spojrzął na zdruzgotane ciało brata Grzegorza.

Odszedł nie oglądając się za siebie. Dwa dni i jedną noc wędrował w stronę morza. Wieśniacy, litując się nad ascetycznym mnichem o wychudzonej twarzy, dawali mu jeść i pić. Postanowił wrócić do Mistrza Lucjusza. Nie tylko po to, by wyznać, iż nie wypełnił powierzonego zadania, ale po to, by u starego mędrca i jego wiernego sługi - jedynych prawdziwych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miał - znaleźć pocieszenie i radę. Tęsknił oczywiście do Eleny, ale na myśl, że mógłby ponownie złamać serce dziewczyny lub dokonać żywota na jednej z galer *Serenissimy*, zrezygnował. Może odnajdzie ją później. Najpierw musi odnaleźć mistrza.

W porcie Volos znalazł genueński statek, którego kapitan zgodził się przewieźć go do Italii.

Tydzień później wylądował w Peskarze. Natychmiast po przybyciu na włoską ziemię pozbył się zniszczonego mnisiego habitu, wymieniając go na stare łachy, i Via Valeria powędrował w stronę Rzymu.

Noc spędził pod gołym niebem. Następnego dnia ruszył dalej. Wkrótce zszedł z głównej drogi i wstąpił na dukt prowadzący do porośniętych lasem wzgórz Abruzji. Idąc szybkim krokiem, dotarł do Ostani. Wkraczając do lasu Vedice, czuł, że serce o mało nie wyskoczy mu z piersi. Tak bardzo radował się z powrotu do miejsca, w którym zaznał szczęścia. Na ścieżce prowadzącej do drewnianego domku zaczęły w nim śpiewać radosne wspomnienia.

Zapłakał... Czuł się winny z powodu niepowodzenia misji, lecz w głębi duszy wiedział, że uzyska przebaczenie przyjaciół.

Wyszedł na skraj polany i poczuł, jak w żyłach ścina mu się krew.

Zobaczył zwęglone kikuty chaty.

Zbadał rosnące na zgliszczach domu rośliny. Pojął, że od pożaru upłynęło kilka lat. Czy to był wypadek... czy może umyślne podpalenie? Co się stało z Mistrzem i z Pietro? Duszę Giovanniego ogarnął lęk. Musiał poznać prawdę.

Natychmiast zawrócił do wioski.

- Przybyłem z wizytą do przyjaciół mieszkających w lesie Vedice. Zostałem tylko opuszczone zgliszczka. Co się stało? - zapytał pierwszego napotkanego wieśniaka.

- Ach! Wielkie nieszczęście! - odpowiedział wieśniak po chwili wahania. - Ale to było bardzo dawno temu.

- Co się stało? Gdzie są ludzie, którzy tam mieszkali?

- Starzec i jego sługa zostali zabici przez bandytów. Zginęli z rąk czarnych jeźdźców.

Słowa wieśniaka zraniły serce Giovanniego głębiej niż sztylet.

- Kiedy to się stało?

- Wiele lat temu! Żył z nimi jeszcze trzeci mężczyzna, chyba uczeń, ale wyjechał tuż przed przyjazdem czarnych jeźdźców... Podłożyli pod chatę ogień. Ale to nie wszystko! Żebyś zobaczył, panie, ich ciała! Byli strasznie torturowani przed śmiercią. Na pewno tamci chcieli się dowiedzieć, gdzie jest ukryty skarb... ale odeszli z niczym.

Giovanniego przeszył rozdzierający ból.

- Gdzie ich pochowano? - spytał.

- Wykopaliśmy obok domu dół i złożyliśmy w nim ciała. Przyszedł ksiądz, pobłogosławił. Postawiliśmy krzyż.

Giovanni nie bez trudu odnalazł miejsce pochówku przyjaciół. Wyprostował przekrzywiony krzyż i znieruchomiał bez słowa. Ogarnęła go bezdena rozpacz, ale ani jedna łza nie zalśniła w suchych, wyplakanych oczach. Poczuł straszliwe wyrzuty sumienia. To dlatego, że zbiegł swym

prześladowcom, wrócili, by zamęczyć jego przyjaciół i wydrzeć im tajemnicę przeklętego listu! Co zawierał, skoro wart był zbrodni?

Giovanni poprosił Mistrza i Pietra o wybaczenie. Czuł pustkę. Nie mógł już ani myśleć, ani się modlić.

Zapadła noc. Zimno stało się dojmujące. Giovanni stał nad grobem.

Zaczął padać śnieg.

57

Całą noc Giovanni nie ruszył się z miejsca. Pokonany przez zmęczenie, z wolna osunął się na ziemię, przyjmując pozycję embrionalną na grobie przyjaciół.

Nad ranem śnieg przestał padać. Ciało Giovanniego pokrył cienki puchowy tren. Przemarznięty do szpiku kości związał się coraz mocniej w kłębek, instynktownie chroniąc się przed dojmującym mrozem.

Jego ciało drętwiało, a wraz z nim drętwiał duch.

Dusza straciła resztkę sił. Giovanni nie chciał już nic. Ani żyć, ani nawet umrzeć. Był spokojny. Nie był to spokój człowieka zrównoważonego, jak dawniej, lecz spokój wynikający z braku jakichkolwiek trosk. Poddając się pustce, dusza Giovanniego uwolniła go od wszelkiej walki, od wszelkich potrzeb. Wiedział, że za chwilę umrze, ale nie myślał o tym. Czekał na ostateczne uwolnienie. Bez lęku, jak ranne zwierzę, które szuka odosobnienia, by wydać ostatnie tchnienie.

Mróz objął jego ciało we władanie do tego stopnia, że Giovanni przestał je czuć. Jego duch także zaczął stopniowo odchodzić. Unosząc się gdzieś na granicy dwóch światów, czekał już tylko na nieuchronny, ostateczny sygnał, by odejść.

Nie słyszał kroków. Poczł tylko ciepło jego ciała przy swoim. Zmiana temperatury wywołała na lodowatej skórze dreszcze.

Instynktownie próbował wtulić się w to źródło ciepła, ale zdętwiałe mięśnie odmówiły posłuszeństwa.

Poczł na karku ciepły oddech: szybkie dyszenie, pod wpływem którego na jego szyi stopniał szron. Powoli kojące ciepło przywołało z powrotem jego umysł. Nic próbował zrozumieć. Popadł w błogostan.

Poczł na karku gorący język. Jego ciało przebiegł dreszcz.

Po dłuższej chwili zaczął odzyskiwać władzę w mięśniach. Z trudem odwrócił się i uchylił powieki.

Pies przestraszył się i umknął. Giovanni przyglądał mu się, nie zmieniając pozycji. Zwierzę było duże, a jego stan opłakany: sierść koloru soli z pieprzem powalana błotem, a ciało równie wychudzone co ciało mężczyzny. Psisko podkuliło ogon i spuściło uszy, przyglądając się Giovanniemu z niepokojem. Giovanni patrzył mu prosto w oczy nie myśląc o niczym. Po chwili

zdobył się na blady uśmiech.

- Nie bój się - wyszeptał, wyciągając dłoń.

Pod wpływem przyjaznego gestu i słowa pies uspokoił się. Podszedł powoli i wyciągnął się obok, wtulając pysk w jego dłoń. Giovanni pogładził jego nos. Pies przyglądał mu się z obawą, ale też z zadowoleniem. Pod wpływem tego spojrzenia Giovanni wzruszył się. Spróbował wstać. Pies odskoczył. Mężczyzna ukucnął. Jego członki nadal były skostniałe z zimna. Wciąż nie czuł dłoni i stóp, ale prawą dłonią klepnął się w kolano, lewą wyciągając do towarzysza niedoli:

- Chodź.

Po chwili wahania pies podszedł i machnął ogonem. Wyraźnie radosny i przelęknięty jednocześnie, dał się jednak pogłaskać. Giovanni objął go za szyję. Psina mruknęła z zadowolenia. Dusza mężczyzny powoli zaczęła tajać.

- Cóż, przyjacielu, obaj jesteśmy w opłakanym stanie. Jestem pewien, że nie jadłeś dłużej niż ja.

Pies odpowiedział krótkim piśnięciem.

- Nie martw się. Zaopiekuję się nami.

Giovanni wyprostował się z trudem. Zakręciło mu się w głowie. Drżał z zimna i głodu. Potrzebny był ogień. Nazbierał trochę chrustu i zgrabiłymi dłońmi, za pomocą dwóch ostrych kawałków krzemienia znalezionych w zgliszczach, z trudem wykrzesał ogień. Rozgrzewał się przez wiele godzin. Z wolna krew zaczęła mu dopływać do palców. Pies korzystał z okazji. Siedział przy boku mężczyzny wpatrując się w ogień.

Odzyskawszy władzę w nogach, Giovanni postanowił zdobyć coś do jedzenia. Dobrze znał okoliczny las i pamiętał, gdzie Pietro zwykł był zastawiać sidła. Odnalazł jedno z nich, sprawne. Zastawił pułapkę. Pies przyglądał mu się z zainteresowaniem.

Giovanni wrócił do ogniska. Zapowiadała się lodowata noc.

Rozdzierający skowyt przerwał nocną ciszę. Mężczyzna zerwał się na równe nogi, ale pies był szybszy. Dobił złapanego w pułapkę zająca i łapczywie rozrywał go zębami. Giovanni rzucił się na psa, by wyrwać mu zdobycz. Po raz pierwszy zwierzę pokazało kły i warknęło ostrzegawczo.

- Hola, hola przyjacielu! Wiem, że jesteś głodny, ale mógłbyś się przynajmniej podzielić!

Giovanni zdołał odzyskać dwie trzecie zwierzyny. Bestia błyskawicznie połknęła swoją część łupu.

Mężczyzna poćwiartował i nadział na kij to, co zostało z zająca. Gdy uznał, że mięso jest gotowe, oderwał jeszcze kawałek mięsa i rzucił je psu.

- Masz! Nie zasłużyłeś, ale z całą pewnością jesteś jeszcze bardziej wygłodniały niż ja.

Podczas gdy pies rzucił się na mięso, Giovanni delektował się swoją porcją. Ciepło ogniska, obecność zwierzęcia, przyjemność jedzenia przypominały mu smaki życia. Dawały mu

wystarczającą ilość energii, by zapragnął przetrwać, ale nie była to prawdziwa chęć życia.

- Jak się nazywasz?

Pies spojrzał na niego ze zdziwieniem. Zdawał się mówić: „Widzisz przecież, że jestem podobnym tobie, zbłąkanym włóczęgą. Nie mam pana od bardzo, bardzo dawna i nie pamiętam imienia, które zapewne kiedyś mi nadano. Zatem jeśli chcesz, żebyśmy dalej byli razem, musisz mnie nazwać!”.

Giovanni zrozumiał, co zwierzę chce powiedzieć, i w jego głowie natychmiast pojawił się pomysł:

- Noe! Co ty na to? Co, Noe?

Pies zaszczekał radośnie i machnął ogonem.

58

Od powrotu Giovanniego do domu Mistrza - a raczej do tego, co z niego zostało - minęło kilka tygodni. W miejscu dawnego domu Giovanni wybudował niewielką, jednoizbową szopę. Rzecz jasna przejrzał piwniczkę, w której filozof trzymał najcenniejsze książki, ale ona również została splądrowana. Niemniej jednak podziemna kryjówka pomagała przetrwać dojmujący zimowy chłód: kiedy robiło się naprawdę zimno, Giovanni schodził tam, by spędzić noc w sianie. Noe nie odstępował go ani na krok. Nocą spali razem, wtuleni w siebie. Razem polowali, a pies okazał się dobrym tropicielem i wskazywał ścieżki, którymi przechodziła zwierzyna.

Radosne towarzystwo Noego wystarczało Giovanniemu. Nie szukał towarzystwa ludzi. Uwielbiał dalekie spacery po lesie, zwłaszcza po świeżym śniegu. Często przystawał pod starym dębem, unosił twarz i przymykając oczy, wygrzewał się w słabych promieniach zimowego słońca. Czasami uchylał powieki, kontemplując białe, oświetlone bladym światłem korony drzew. Noe leżał u jego stóp. Czekał bez ruchu. Te chwile zjednoczenia z naturą i obecność psa były kojącym balsamem dla jego obolałej duszy. Nie modlił się. Nie myślał ani o Bogu, ani o monasterze. W jego umyśle raz po raz pojawiały się liczne obrazy z dzieciństwa i tułaczego życia, które prowadził od chwili, gdy ujrzał Elenę. Patrzył na nie, nawet nie próbując ich zrozumieć. Czasem takiemu czy innemu wspomnieniu towarzyszyło wzruszenie, którego nie próbował ani odsunąć, ani zatrzymać. Przyjmował je tak samo jak promień słońca lub podmuch ostrego wiatru siekający w twarz.

Jego życie składało się z czynności niezbędnych do przetrwania - polowania i ścinania drzew - oraz z odczuwania pierwotnych potrzeb - ciepła, zimna, głodu. Nie było w nim miejsca na obawę, tęsknotę czy nadzieję. Był jakby osadzony w teraźniejszości, a każda z następujących po sobie chwil stanowiła nić wplatającą się w tkaninę jego nowego życia. Nie wiedział, czy kiedykolwiek zdecyduje się odnaleźć Elenę. Jakby instynktownie czując, że jeszcze nie czas, by o tym myśleć, żył bez projektów i marzeń.

Wtedy po raz kolejny przeznaczenie zapukało do jego drzwi.

Właśnie wracał z nieudanego polowania. Było ciepło. Około stu kroków od szałasu Noe zaczął zachowywać się dziwnie. Podniósł nos do góry i warcząc pobiegł w stronę domu. Okrążył go kilka razy z nosem przy ziemi, złapał trop i zniknął w lesie. Giovanni pomyślał, że chodzi o zwierzynę i nie przejął się zbytnio. Przez kilka kolejnych dni Noe wykazywał objawy podenerwowania. Zaniepokojony mężczyzna zrobił obchód okolicy. Ku wielkiemu zdziwieniu, w odległości kilkuset kroków od domu, znalazł ślady kopyt. Najwyraźniej ktoś tutaj był. Może zbłąkany wędrowiec?

Od tej pory Giovanni bacznie obserwował leśne dukty.

Kilka dni później, na błotnistej ścieżce prowadzącej do chaty, znowu znalazł ślady. Tym razem jednak nie były to końskie kopyta, lecz ślady ludzkie. Uważnie je zbadał. Stopa była niewielka i wąska. Najprawdopodobniej należała do młodzieńca lub kobiety. Noe rzucił się w las, ale powrócił z niczym.

Giovanni nie wiedział, co o tym sądzić. Czy chodziło o tę samą osobę? Tak czy inaczej, ktoś kręcił się wokół domu. Giovanni wspomniał incydent z rozbójnikami i podjął środki ostrożności. W poprzek drogi do wsi rozciągnął sznurek połączony z dzwoneczkiem, który miał zadzwonić na alarm, gdyby ktoś znowu włóczył się po nocy.

Tak też się stało. Pewnego wieczoru Giovanni usłyszał dźwięk dzwonka. Noe ujął ze wszystkich sił i pobiegł na ścieżkę. Giovanni rzucił się za nim. Zdawało mu się, że oprócz szczekania psa słyszy trzask łamanych gałązek.

Nagle Noe zaskowyczał i zamilkł. Gdy Giovanni do niego podbiegł, zwierzę leżało bez ruchu.

Usłyszał oddalające się kroki. Ponieważ nadciągała noc, postanowił zaprzestać pogoni. Pochylił się nad psem. Noe był lekko ranny w głowę. Najwyraźniej ogłuszono go tępym narzędziem.

Pies szybko odzyskał przytomność, a Giovanni zabarykadował się w domu i przez całą noc nie zmrużył oka.

Nazajutrz rano, kiedy w pierwszych promieniach słońca wyruszył z Noem zbadać miejsce napaści, dokonał niezwykłego odkrycia. Zanim pies został ogłuszony, wyrwał strzęp ubrania napastnika. Giovanni podniósł niebieskawy skrawek tkaniny: z całą pewnością fragment kobiecej sukni.

Pomyślał, że wygłodniała wieśniaczka próbowała podejść do chaty. Może była to porzucona kobieta lub wykorzystana dziewczyna, która musiała uciekać? A może zbłąkana wariatka, jakich wiele spotyka się na wsi? Te i inne pytania zaprzętały jego umysł. Zdjął bezużyteczny już sznurek, a nieopodal miejsca, w którym ogłuszono Noego, powiesił na gałęzi torbę z jedzeniem. Jednak nikt go nie tknął. Tylko ptaki, którym udało się przedziurawić worek, posilały się dziczyzną.

Giovanni pomyślał, że nieznajoma przestraszyła się obecności psa i zapewne raz na zawsze opuściła to miejsce.

Ogarnął go smutek.

Od tygodnia nie znalazł żadnych śladów. Pewnego ranka, gdy jadł w chacie śniadanie, Noe zerwał się z posłania i zaczął warczeć. Giovanni otworzył drzwi. Nocą spadł śnieg, pokrywając okolicę cienką warstwą białego puchu. Giovanni pomyślał, że bez trudu odnajdzie ślady ewentualnego gościa. Chcąc chronić psa, zamknął go w chacie i ruszył do lasu.

Kilkaset kroków od domu zobaczył liczne ślady na śniegu. Z łatwością odgadł, że mały konny oddział dotarł do tego miejsca, po czym zawrócił. Wówczas usłyszał dochodzący z lasu hałas. Odwrócił się i ujrzał nacierających na niego czarnych jeźdźców.

59

Odzyskał przytomność w chacie. Był mocno przywiązany do belki. Sądząc po bólu głowy, został ogłuszony. Spozrzegł, że Noego uwiązano w drugim końcu izby. Widząc, że jego pan odzyskał przytomność, pies mruknął i pomachał ogonem.

Giovanni ujrzał pięciu zamaskowanych mężczyzn, spowitych w obszerne, czarne płaszcze. Najbardziej wąły z nich siedział nieco z tyłu, na jedynym znajdującym się w domu krześle.

- Patrzcie państwo, nasz przyjaciel dochodzi do siebie - odezwał się wysoki, chudy mężczyzna z przewiazaną, zakrwawioną ręką.

Giovanni domyślił się, że Noe ugryzł napastnika, gdy ten wszedł do chaty. Ale dlaczego ci okrutnicy nie zabili psa? - pomyślał.

- Kim jesteście? - spytał gorzko. - Jeśli to wy jesteście zabójcami mojego Mistrza, bądźcie przeklęci, tchórze!

Mężczyzna z zawiniętą ręką wymierzył Giovanniemu siarczysty policzek.

- To my zadajemy pytania. Co zrobiłeś z listem, który powierzył ci twój nauczyciel, a którego nigdy nie dostarczyłeś adresatowi?

- A więc o to chodzi. Popelniliście morderstwo, by poznać jego treść! Ale co może usprawiedliwić tę straszną zbrodnię? Jesteście chrześcijanami czy barbarzyńcami?

Mężczyzna chciał uderzyć ponownie, ale przerwał mu nieznoszący sprzeciwu głos:

- Wystarczy! Sam go przesłucham.

Był to głos starca. Mężczyzna wstał z krzesła i powoli podszedł do Giovanniego.

- Nie wiesz, co mówisz. Ale mogę zrozumieć twój gniew i ból. Niestety, nie mieliśmy innego sposobu, by zapobiec rzeczom jeszcze gorszym od owych zabójstw.

Wzrok Giovanniego wyrażał nieufność, wściekłość i pogardę.

- A czym są owe „rzeczy”, które upoważniają was do torturowania niewinnych?

- Niewinnych! - starzec uniósł się gniewem. - Niewinnych! Czy przynajmniej wiesz, co było

w liście?

- Nie wiem.

- Kłamie! - wrzasnął jeden z mężczyzn.

- Nie sądzę - spokojnie odparł starzec. - W przeciwnym razie nie byłby tak oburzony zabójstwem astrologa.

Podszedł do Giovanniego, wbijając w niego swe małe oczy. Dawny mnich zadrżał pod wpływem chłodu tego spojrzenia. Nigdy nie widział w ludzkich oczach podobnego bestialstwa. Pomyślał, że być może wrażenie potęguje fakt, że tamten jest w masce.

- Gdzie się podziewałeś przez te wszystkie lata? Co zrobiłeś z listem? - spytał starzec lodowatym, złowrogim tonem.

W umyśle Giovanniego zawrzało. Zrozumiał, że jego ukochana nie dostarczyła listu papieżowi i że najmniejsza wzmianka o Wenecji może naprowadzić złoczyńców na ślad dziewczyny. Należało kłamać.

- Kiedy wiele lat temu, w Peskarze, wyrwałem się z waszych łap, wsiadłem na statek, który zawiózł mnie do Grecji. Tam powierzyłem list pewnemu rzymskiemu kupcowi, który obiecał, że dostarczy go do Watykanu. Sam przeszedłem na prawosławie i stałem się wędrującym mnichem.

- Co za brednie! - ryknął ranny mężczyzna i rzucił się na Giovanniego.

Starzec powstrzymał go ruchem dłoni.

- Twoja historia nie trzyma się kupy. Masz jakiś dowód na to, że byłeś mnichem?

- Przeszukaj moje kieszenie.

Jeden z mężczyzn wykonał polecenie i znalazł zużyty różaniec.

- *Komboskini!* - wykrztusił wyraźnie zaskoczony starzec. - To niczego nie dowodzi, ale widzę, że w twoim opowiadaniu jest trochę prawdy. Zgoda. Wyjechałeś do Grecji. Ale nigdy nie uwierzę, że powierzyłeś list nieznanemu, zwłaszcza że doskonale wiedziałeś, jak jest cenny.

- Jednak to prawda. Nie wiedziałem, co zawierał, ale zdałem sobie sprawę, że nigdy nie dotrę do papieża. Byłem pewien, że jeśli tylko postawię stopę w Rzymie, odnajdziecie mnie i zamordujecie. Uznałem, że lepiej powierzyć list budzącemu zaufanie nieznanemu.

W chacie zapanowała złowroga cisza.

- Nie wiem, czy jesteś aż tak naiwny, czy po prostu z nas drwisz - odpowiedział staruch. - Zresztą w ogóle mało o tobie wiem. Tyle tylko, że parę lat spędziłeś z tym przeklętym astrologiem i jego osiłkiem. Jak się nazywasz i skąd pochodzisz?

Giovanni pomyślał, że mężczyźni są zdolni odnaleźć i torturować jego rodzinę. Wymyślił więc nowe łgarstwo.

- Nazywam się Giovanni Da Scola i pochodzę z Kalabrii.

- Dlaczego szukałeś Mistrza Lucjusza?

- Opuściłem moje miasto, by studiować na północy. Przez przypadek spotkałem wyjątkowego nauczyciela, u boku którego przez trzy lata studiowałem filozofię.

- Nie wierzę w przypadki! - warknął staruch. - Czy studiowałeś też u niego astrologię?

Giovanni czuł, że znowu musi skłamać.

- Nie.

- Ale domyślasz się, o co prosił papież? Widziałeś, jak przez wiele miesięcy twój mistrz oddawał się pracy, zanim wysłał cię z listem. Na pewno wiesz, o co chodzi.

- Wydaje mi się... Wydaje mi się, że podczas pracy posługiwał się księgami astrologicznymi. Jednak nie wiem, w jakim celu.

- Czyżby?

Mężczyzna zdawał się badać najskrytsze zakamarki duszy Giovanniego swoim zimnym wzrokiem.

- Nie mam pojęcia.

- Szkoda, że będziemy musieli obciąć ci którąś z twoich kończyn, by poznać, czy mówisz prawdę. Byłoby o wiele prościej, gdybyś wyznał od razu, gdzie jest list!

Giovanniego przebiegł dreszcz trwogi, ale wściekłość wzięła górę nad strachem.

- Żadnymi torturami nie wydobędziecie ze mnie tego, czego nie wiem! Czy nie dość wam krwi? Jakiej służycie sprawie?

- Służymy sprawie Wszechmogącego Stwórcy i Jego Syna Jezusa Chrystusa - spokojnie odpowiedział starzec.

- Jak można zabijać w imię Tego, który wciąż mówił tylko o miłości?! - wykrzyknął zdesperowany Giovanni.

- Właśnie po to, by ocalić jego przesłanie i nie dopuścić do tego, żeby zbecześciły je pogańskie, astrologiczne wróżby.

Giovanni spojrział na mężczyznę z niedowierzaniem.

- To znaczy, że zabiliście mojego Mistrza i jego sługę tylko dlatego... że zajmował się astrologią?

- Ach nie! Święty Kościół jest dziś tak skażony tą pogańską, zabronioną przez Pismo Święte praktyką, że nie starczyłoby nam życia, by nadzieć na szpadę wszystkich kleryków, którzy oddają się jej z upodobaniem. Nie, nie, przyjacielu. To, czego dopuścił się twój mistrz, jest o wiele bardziej poważne.

Staruch zbliżył swą twarz do twarzy Giovanniego i wycedził mu wprost do ucha:

- W odpowiedzi na prośbę Pawła Trzeciego, tego czarciego pomiotu, który kala imię papieża, powążył się posłużyć swą plugawą wiedzą, by zamachnąć się na najcenniejszy dogmat naszej wiary.

Giovanni zastanawiał się, jakież dogmat mógł podważyć Mistrz Lucjusz za sprawą astrologii. Zastanawiał się także - i w tej chwili było to nawet ważniejsze, - kim są ci fanatyczni mordercy.

- Czy jesteście uczniami Lutra, że tak bardzo nienawidzicie papieża?

Mężczyzna wybuchnął upiornym, urywanym śmiechem.

- Nie mogłeś obrzucić mnie gorszą obelgą, głupcze! Teraz sam nabrałem ochoty, aby cię torturować! Pod wieloma względami reformatorzy są jeszcze gorsi od astrologów! Zdradzili świętą doktrynę Kościoła, zupełnie tak, jak ci bałwochwalczy papież, którzy brukają ją pogańskimi praktykami i wierzeniami. Ale jakkolwiek słaba byłaby ich wiara, jakkolwiek nędzne ich pojęcie religii, żaden z nich nie odważyłby się popełnić czynu, który popełnił twój Mistrz!

Wyrównał oddech i rzucił Giovanniemu w twarz:

- Bluźnierstwo bluźnierstw!

- Cokolwiek uczynił, czy nie dość wam zemsty? Torturowaliście go i okrutnie zamordowali wraz z jego wiernym sługą. Po co wróciliście po tylu latach, by dopaść także mnie?

- Bo ten list nie ma prawa zobaczyć światła dziennego! Starzec chwycił Giovanniego za szyję.

- Rozumiesz! Tylko ja mam prawo poznać jego treść i zniszczyć raz na zawsze!

Staruch wczepił się w Giovanniego jak obłąkany. Nagle puścił go i wyraźnie zmęczony wysiłkiem, opadł na krzesło.

Noe warknął złowrogo na widok zbliżającego się mężczyzny. Stary zatrzymał się w miejscu, z uwagą patrząc na psa.

Mężczyzna ze zranioną ręką podszedł do Giovanniego i rzucił za tamtym:

- Uwierz mi, potrafię rozwiązać język nawet najbardziej opornemu.

Wyciągnął zza pazuchy sztylet, rozciął koszulę Giovanniego i przystawił ostrze do jego nagiej piersi.

- Czekaj - powiedział staruch. - Pies. Mówiłem ci, że może nam się przydać. Niektórzy ludzie zniosą najgorsze męczarnie nie puszczając pary z gęby, ale nie zniosą cierpienia innych, nawet jeśli to tylko zwierzę.

- To współczucie, którego nauczał Chrystus! - krzyknął Giovanni.

- Otóż to. Zaraz zobaczymy, jak bardzo rozwinięte jest twoje współczucie - odparł starzec z sadystycznym uśmiechem. Następnie nonszalancko wskazał psa.

- Nie! - ryknął Giovanni. - Zostawcie Noego. On nic nie zawinił!

Starzec znieruchomiał ze zdumienia.

- Jak nazwałeś psa?

- Nieważne! Nic wam nie przyjdzie z torturowania psa!

- Ośmieliłeś się nazwać bydlę imieniem biblijnego patriarchy?

- Patriarchy, który ulitował się nad losem zwierząt i zabrał je na arkę! Jesteście potworami bez litości i duszy!

Mężczyzna ze zranioną ręką wyciągnął miecz w stronę psa, który cofnął się pod ścianę, jeżąc sierść.

- Nie! - zawył Giovanni. - Nic nie wiem. Przysięgam na Boga. Nic nie wiem!

Mężczyzna końcem miecza podrażnił pysk zwierzęcia.

- Teraz ci się odwdzięczę za to ugryzienie. Co Noe... Krótkim cięciem spuścił miecz, obcinając przednią, prawą łapę stworzenia.

Zwierzę zawyło przeraźliwie, zwalając się na ziemię. Na podłodze pojawiła się struga krwi.

- Przestańcie! - jęknął Giovanni.

- Więc powiedz, gdzie jest list - odparł staruch sucho.

- Przysięgam, że nic nie wiem. Zabijcie mnie, ale nie dręczcie niewinnego stworzenia.

Przywódca skinął głową w kierunku oprawcy, który ponownie podniósł miecz. Noe leżał na boku, skowycząc z bólu. Miecz gwałtownie opadł w dół, ale w tym momencie pies przetoczył się na bok, unikając zdradzieckiego ciosu. Zbawienne tym razem ostrze przecięło kłępujący zwierzę sznur. Mężczyzna stanął jak wryty. Noe stanął na trzech łapach.

- Uciekaj, Noe, ratuj się! - wrzasnął Giovanni.

Jeden z mężczyzn rzucił się do uchylonych drzwi, ale pies wyprzedził go zwinnym susem i wy dostał się na zewnątrz. Dwaj mężczyźni pobiegli za nim. Po chwili wrócili z niczym

- Mimo ciężkiej rany zdołał zbiec - powiedział jeden z nich.

- Trudno - odpowiedział staruch.

- Podejmijmy przesłuchanie w miejscu, w którym je przerwaliśmy - zaproponował typ z zawiniętą ręką.

- To bezcelowe. Sadysta spojrzał na starca.

- To zupełnie bezcelowe. W moim wieku zaczynam znać się na ludziach. Uwierz mi, gdyby wiedział cokolwiek, starałby się ocalić psa. Nie powie nic więcej. Nawet pod wpływem tortur.

- Co z nim zrobimy?

- Pozbędziemy się go. Przywódca podszedł do Giovanniego.

- Może przed śmiercią chciałbyś się dowiedzieć, co zawierał list?

Giovanni nie odpowiedział.

- Jestem pewny, że tak. O wiele lepiej jest wiedzieć, za co się umiera. A zatem... nie dowiesz się!

- Jesteście nie tylko fanatycznymi mordercami, ale tchórzami, którzy boją się pokazać twarz. Jeśli przeżyję, znajdę was choćby na końcu świata, a wówczas odpowiecie za swoje zbrodnie!

Stary zdjął skórzaną maskę. Pozostali poszli w jego ślady. Giovanni spojrzał prosto w oczy każdemu z oprawców, którzy zadreczyli jego umiłowanych przyjaciół. Nigdy nie zapomni ich twarzy.

- Jutro wyjeżdżam do Jerozolimy - powiedział staruch - świętego miasta, w którym znajduje się siedziba naszego bractwa. Zatem będziesz musiał odbyć daleką drogę, by mnie odnaleźć. Obawiam się jednak, że nie starczy ci sił.

- Założyliście bractwo, które usprawiedliwia wasze zbrodnie!?

- Tak właśnie. Założyliśmy tajne stowarzyszenie o nazwie: Zakon Najwyższego Dobra. Naszym celem jest wykorzenienie - z użyciem wszelkich możliwych środków - wszystkiego, co zagraża podwalinom świętego Kościoła katolickiego.

- Jesteście szaleńcami, którzy przekraczają zasady wiary. Jak można w imię wiary głoszącej miłość popełniać zbrodnie? Czy święty Paweł nie głosił: *Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brumiący...*

- Zamilcz! - wrzasnął staruch.

- *Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice, i posiadał wszelką wiedzę, i wszelką wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym...*

- Zamilknij wreszcie!

- *I gdybym rozdał na jałmużnę całą majątność moją, a ciało wystawił na spalenie, lecz miłości bym nie miał, nic bym nie zyskał...*

Przywódca skinął na mężczyznę z blizną, który ze sztyletem w ręce podszedł go Giovanniego.

- *Miłość wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma...*

Ostrze zagłębiło się w piersi Giovanniego. Ranny krzyknął, a z jego ust wyciekła strużka krwi.

- *Miłość... nigdy... nie ustaje....*

Po raz ostatni podniósł głowę, wznosząc oczy do nieba.

- Ale ja was... nienawidzę - wyszeptał, wydając ostatnie tchnienie.

Mężczyźni w czerni zostawili ciało Giovanniego i podłożyli pod chatkę ogień, po czym odjechali galopem w tumanach nieskazitelnie białego śniegu.

Wówczas z lasu wybiegła młoda kobieta i rzuciła się w stronę domostwa, które z wolna zaczęły lizać płomienie. Wbiegła do środka i ugasiła pożar. Zbadła otwartą ranę w piersi mężczyzny, z ulgą stwierdzając, że ostrze przeszło obok serca.

Giovanni oddychał, ale tracił bardzo dużo krwi.

Dziewczyna zerwała kilka leszczynowych liści, zmieszała je z odrobiną gliny, oderwała

kawałek swej niebieskiej sukni i założyła prowizoryczny opatrunek.

Następnie uniosła bezwładną głowę rannego, czule gładząc jego twarz.

- Mój Giovanni! Co oni ci zrobili?

60

Nadchodził świt.

Przeor klasztoru San Giovanni in Venere wysłuchał długiej opowieści swojego gościa, nie przerywając mu ani jednym słowem.

Giovanni wciąż siedział na sienniku, obejmując rękami przyciśnięte do piersi kolana. Jego oczy były pełne łez. Po wielu miesiącach śpiączki i amnezji odzyskał pamięć. Odzyskał samego siebie.

Po dłuższej chwili milczenia, ojciec Salvatore powiedział:

- Przyjacielu, twoja opowieść poruszyła mnie do głębi. Rozumiem już, dlaczego cię tu chronilem; dlaczego odgadłem w twych oczach obecność pięknej duszy, która zaznała i piekielnych mąk, i radości nieba.

Giovanni podniósł wzrok na przeora.

- Dziękuję za wszystko, co ojciec dla mnie zrobił. Gdyby nie ojciec...

- Zrobiłem to, co jest moją powinnością wobec Boga i bliźniego - przerwał mu przeor.

- Ale jak się tu znalazłem? Nie pamiętam nic, co wydarzyło się po zadaniu mi śmiertelnej rany.

- Wieśniacy znaleźli cię w chatce wiedźmy. Widząc, że jesteś bez ducha, pomyśleli, że jesteś opętany.

- W chatce wiedźmy?

- Tak. Przyszli, by ją zlinczować, ale na szczęście zdołała im się wymknąć. Znaleźli cię na sianie, w podziemnej skrytce, o ile dobrze zrozumiałem.

Giovanni zebrał myśli. Z całą pewnością chodziło o domek, który odbudował na zgliszczach domostwa mistrza. To tam był mały wjazd do piwnicy.

- Luna!

- Słucham?

- Luna - odpowiedział Giovanni. - Tak ma na imię znachorka, która kiedyś przepowiedziała mój los. Ta, której uratowałem życie.

- Ach, tak. Ten fragment twojej opowieści zdumiał mnie wielce.

- Mieszkała w lasach Abruzji zaledwie kilka dni marszu od domu Mistrza Lucjusza. Możliwe, że teraz ona uratowała mnie i że to ją wieśniacy chcieli spalić jako czarownicę.

- Według zeznań wieśniaków chodzi o piękną młodą kobietę.

- Tak. To na pewno ona. Prawdopodobnie błąkała się wokół chaty przed przyjazdem

czarnych jeźdźców...

- Tak czy inaczej, musiała dobrze się schować, bo wieśniacy jej nie znaleźli.

- O ile kiedykolwiek miałem co do niej wątpliwości, o tyle teraz już wiem, że jest dobrą kobietą - powiedział Giovanni.

A jej przepowiednia sprawdziła się, pomyślał.

- Teraz, gdy odzyskałeś pamięć, chciałbym zrozumieć jeszcze jedno - powiedział przeor z powagą. - Co wydarzyło się w infirmerii, kiedy znaleźliśmy cię tam z zamordowanym bratem Modestem, a drzwi były zamknięte od środka?

Giovanni przymknął oczy. Z trudem przypomniał sobie tę scenę, gdyż wydarzyła się w czasie, gdy był pogrążony w amnezji. Skupił się jednak, a w głębi niepamięci pojawiły się obrazy.

- To jeden z fanatyków!

- Jak to?

- Pamiętam jego twarz! Był jednym z tych, którzy stali w chacie wokół starucha. Jeden z morderców Mistrza Lucjusza i Pietra.

- To niemożliwe!

- Jestem pewien. Nigdy nie zapomnę twarzy morderców!

- Ale co tamtej nocy wydarzyło się w infirmerii?

- Nie bardzo pamiętam. Widzę, jak pochyła się nade mną i próbuje mnie udusić poduszką. W tym momencie odzyskuję przytomność. Rozpoznaję jego twarz. Budzi się we mnie wściekłość. Chwytam narzędzie, które leży obok mnie i rozpruwam tamtemu brzuch. Więcej nic nie pamiętam.

Przeor zadumał się przez chwilę.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą - a nie mam powodu wątpić, jakkolwiek by to było zaskakujące - oznacza to, że brat Modesto był, o czym nie wiedzieliśmy, członkiem tajnego stowarzyszenia. Rozpoznał cię, gdy zostałeś przywieziony przez chłopów do klasztoru, i postanowił cię zgładzić z obawy, że odzyskasz przytomność i wskażesz go jako zabójcę. W środku nocy opuścił dormitorium i udał się do infirmerii.

Dla pewności, by go nie przyłapano na gorącym uczynku, zamknął wewnętrzną zasuwę i przygniół cię poduszką. Napaść spowodowała nieoczekiwany efekt: pod wpływem wstrząsu odzyskałeś przytomność. Rozpoznałeś go i powodowany chęcią zemsty, zabiłeś. Zresztą musieliście walczyć, dlatego znaleźliśmy cię na podłodze, a twoja rana była otwarta. To tłumaczy wszystko.

Zabójca nie zbiegł. Był jedną z ofiar, które znaleźliśmy tamtej nocy w infirmerii.

Giovanni nie powiedział ani słowa. Znowu przypomniał sobie przepowiednię Luny. Już trzykrotnie zadał śmierć: raz z zazdrości, drugi raz ze strachu, trzeci raz z nienawiści.

Przeor zakrył twarz dłońmi, by po chwili podnieść wzrok na swojego gościa.

- A brat Anzelmo, którego otruto kilka dni później? Czy wiesz, kto popełnił tę zbrodnię?

Giovanni nie krył zdumienia.

- Jeszcze kogoś zamordowano, gdy byłem nieprzytomny? Nic o tym nie wiem!

- Tak. Jeden z braciszków został otruty. Ale jest wielce prawdopodobne, że trucizna była przeznaczona dla ciebie, a brat Anzelm wychylił ten kielich przez przypadek.

- To znaczy, że jeszcze jeden z mnichów pragnie mojej śmierci...

- Niewykluczone. Prawdopodobnie mamy do czynienia z kolejnym członkiem tajnego bractwa. Wszystko to jest bardzo dziwne.

Ojciec Salvatore zamyślił się chwilę, po czym rzekł:

- A pamiętasz, że pisałeś ikonę? Giovanniego zamurowało.

- Pisałem ikonę?

- Wstrząsającą! Najświętszą Pannę o zamkniętych oczach. Giovanni zadrżał.

Dzięki temu zdołaliśmy się dowiedzieć, że byłeś na górze Athos. Zaprzyjaźniony kupiec udał się na miejsce i odnalazł twój ślad.

- Wie ojciec także i to?

- Tak. A nawet znam twoje zakonne imię: brat Ioannis. Ale igumen monasteru, w którym przebywałeś najdłużej...

- Simonos Petra?

- Tak. Więc igumen tego monasteru nie powiedział nam, co się z tobą stało, a nawet udawał, że cię nie zna, mimo że jeden z tamtejszych mnichów, pochodzący z Italii, doskonale pamiętał twoje ikony i wiedział, że jesteś Kalabryjczykiem... jak moja babka!

- I wszczął ojciec te poszukiwania specjalnie dla mnie?

- Miałem nadzieję, że tym sposobem zdołam przywrócić ci pamięć... I poszło całkiem nieźle, skoro wewnętrzna ściana, która wznosiła się pomiędzy twoją teraźniejszością a przeszłością, runęła pod wpływem nuconej przeze mnie kalabryjskiej kołysanki.

Giovanni spojrział mężczyźnie prosto w oczy. Co by się z nim stało, gdyby nie współczucie przeora? Mocno uściśnął jego dłonie.

- Dziękuję. Dziękuję z całego serca za ojca troskę. Nie wierzę już w Boga, ale jeśli mimo wszystko istnieje, niech ojcu wynagrodzi po tysiącokroć to, co ojciec dla mnie zrobił.

- Zatem naprawdę straciłeś wiarę? - spytał przeor bardziej poruszony wyznaniem Giovanniego niż jego dziękczynieniem.

Młodzieniec spuścił głowę.

- Mówiłem ojcu. Moja wiara umarła w jaskini, kiedy uzmysłowiłem sobie, że Bóg opuścił pustelnika, który poświęcił Mu całe życie. Moje późniejsze doświadczenia: wiadomość o śmierci przyjaciół, okrucieństwo fanatyków mordujących w imię czystości wiary, tylko potwierdziły moje wątplenie.

Ojciec Salvatore z chęcią przedłużyłby tę rozmowę, ale przypomniał sobie stanowczy rozkaz opata, by skoro świt odprowadzić Giovanniego do przytułku Świętego Damiana.

- Muszę czym prędzej bieć do opata. Czy mógłbyś tu na mnie poczekać? Idę na mszę, zaraz będą dzwonić na chwalbę. Potem ostrzegę przełożonego przed przebywającymi wśród nas złoczyńcami i porozmawiam o twoim statusie wśród nas.

Giovanni nawet nie drgnął. Przeor włożył wełniany habit i otworzył drzwi infirmerii.

- Nie będzie mnie dobrą godzinę, może dłużej. Nie wychodź stąd i zamknij zasuwkę.

Dwie godziny później ojciec Salvatore szybkim krokiem wrócił do infirmerii. Opowiedział opatowi historię Giovanniego. Przełożony był poruszony, ale raczej sceptyczny. Niemniej jednak zgodził się osobiście wysłuchać opowieści gościa, by zrewidować swój osąd. Tak czy inaczej nie życzył sobie, by rozmowa miała miejsce na terenie klasztoru. Zważywszy na grożące Giovanniemu niebezpieczeństwo, należało go umieścić w innym miejscu. Ojciec Theodoro zaproponował, by - zgodnie z ustaleniami - zaprowadzić gościa do hospicjum Świętego Damiana, w którym miał bezpiecznie czekać na rychłe uwolnienia.

Ojciec Salvatore zapukał do drzwi. Odpowiedziała mu cisza. Zawołał więc Giovanniego po imieniu. Nic. W końcu gwałtownie otworzył drzwi i wydał słaby okrzyk.

Pomieszczenie było rozpaczliwie puste.

Na drewnianym stole widniał koślawy, wyryty nożem napis: „Dziękuję”.

61

Giovanni dotarł do Ankony.

Spinając konia, w niecałą dobę przebył czterdzieści mil, które dzieliły klasztor San Giovanni in Venere od dużego portu nad Adriatykiem. Stał na kilkugodzinny popas tylko raz, w połowie drogi, by dać odpocząć wierzchowcowi. Zyskał w ten sposób pewność, że umknie ewentualnej pogoni, nawet jeśli mnisi natychmiast zorientowali się, że zniknął, kradnąc z ich stajni konia. Odczuwał wyrzuty sumienia z powodu nadużycia zaufania przeora, który przecież okazał mu tyle dobroci. Giovanni przysiągł sobie, że wróci oddać pieniądze bezzwłocznie po zakończeniu swej misji. Musi natychmiast odnaleźć i zabić starca, który torturował i pozbawił życia Mistrza Lucjusza i Pietra.

Kiedy został sam w infirmerii, nie wahał się ani przez chwilę. Pozostanie choćby godzinę dłużej w miejscu, w którym już dwukrotnie próbowano go zgładzić, było zdecydowanie zbyt niebezpieczne.

Instynkt nakazał mu uciekać czym prędzej. Mógł, oczywiście, zostać w klasztorze, by zdemaskować mnichów, którzy bez wiedzy przełożonych wstąpili do tajnego bractwa. Wiedział jednak, że zanim podjąłby jakiegokolwiek działanie, mógłby stać się ofiarą kolejnego ataku. Ponadto prześladowała go myśl o cynicznym staruchu. Odczuwał wszechogarniającą nienawiść do tego

fanatycznego złoczyńcy, który „w słusznej sprawie” wmanewrował liczne wrażliwe dusze w zbrodniczy proceder. Musi go odnaleźć i zgładzić. Tym samym pozbawi hydrę głowy i pomści straszliwe męki przyjaciół, a zapewne i innych niewinnych nieszczęśników, którzy padli jej ofiarą. Zanim Giovanniemu zadano ostateczny cios w serce i zostawiono na pewną śmierć, okrutnik wyjawiał umierającemu swój sekret: wybierał się do Jerozolimy. Giovanni postanowił więc udać się do kolebki chrześcijaństwa. Wiedział, że Ankona jest portem, z którego statki wyruszają na Wschód. Dzięki skradzionemu koniowi nie tylko uszedł ewentualnej pogoni, ale też - i przede wszystkim - zdobędzie pieniądze na opłacenie podróży.

Wszedł pieszo do portu, prowadząc wyczerpanego wierzchowca za uzdę. Zasięgnął języka u jednego z kupców, który wskazał mu trójmasztowiec wyruszający nazajutrz, z pielgrzymami na pokładzie, do Ziemi Świętej. Sprzedał więc konia i mimo jego oplakanego stanu, uzyskał całkiem przyzwoitą sumę. Posiłił się w tawernie portowej, po czym udał się na statek, by zorganizować podróż. Widząc jego nędzę, kapitan oświadczył, że statek pęka w szwach, co zresztą było zgodne z prawdą. Jednak kiedy usłyszał brzęk złotych monet, uznał, że statek nie zatonie z powodu jednego pielgrzyma więcej. By uniknąć przyszłych zażaleń, uprzedził młodego człowieka, że podróż jest niezwykle uciążliwa: piętnaście dni żeglugi na pełnym morzu, podle żarcie, a w dodatku bez względu na pogodę pasażerowie muszą nocować na pokładzie, ponieważ ładownie są wypełnione towarem. Poza tym pielgrzymi są stłoczeni do tego stopnia, że muszą spać na siedząco. Giovanni nie targował się. Natychmiast wszedł na pokład. Suma, jakiej zażądał kapitan, wydała mu się rozsądna. Zostało mu nawet trochę pieniędzy, by przeżyć kilka dni w Jerozolimie.

Poza załogą na pokładzie tłoczyło się mrowie ludzi - ponad dwieście osób, wedle oceny Giovanniego - udających się z pielgrzymką do Ziemi Świętej, by uczestniczyć w obchodach święta Wielkiej Nocy tam, gdzie nastąpiła śmierć i Zmartwychwstanie Chrystusa.

Młody człowiek pobrał miskę, łyżkę i gruby, wełniany koc: ekwipunek wliczony w cenę podróży, i zajął miejsce na dziobie statku. Pozdrowił sąsiadów skinieniem głowy, wtulił się w balustradę i - niezmiernie wyczerpany ucieczką - niemal natychmiast zasnął.

Trójmasztowiec poruszał się bardzo wolno. Wzdłuż Półwyspu Apenińskiego płynęli na pełnym wietrze. Teraz jednak, gdy minęli Apulię i wypłynęli na pełne morze, kierując się na Peloponez, nastąpiła cisza.

Była piękna, bezwietrzna pogoda.

Giovanni zaprzyjaźnił się z pielgrzymem o imieniu Emanuel. Mężczyzna pochodził z Flandrii i przeszedł pieszo Europę, aż do Ankony. Od wielu lat był wdowcem, a teraz udawał się do Ziemi Świętej z dziękczynną pielgrzymką, za ocalenie jedyne dziecko, dwudziestoletniej córki, która omal nie zmarła w połogu. Powierzył zięciowi niewielki interes i ruszył na mającą trwać co najmniej pół roku pielgrzymkę. Giovanni nie wyjawiał prawdziwego celu podróży. Jak wyznać

człowiekowi, który udaje się do Ziemi Świętej z modlitwą, że jedzie tam, by zabić?

Dziewiątego dnia kapitan oznajmił, że mijają Kretę. Na dźwięk tych słów Giovanni zdrzął, przypominając sobie straszliwe chwile spędzone na weneckiej galerze, zatonięcie statku i ucieczkę na kreteńskie wybrzeże. Wspomnił swoje nawrócenie przed ikoną Bogurodzicy Eleusy. Jak bardzo jego serce było wówczas poruszone odkryciem Miłości Chrystusa i Jego Matki!

Poczuł w sercu ranę, a jego oczy napęłniły się łzami. Przez chwilę chciał się modlić, lecz jednak zhardział. Nie, pomyślał, zamykając bramę swego serca, nie ma żadnego Boga. Dobry Bóg nie zostawiłby nieszczęsnego Efrema w rozpacz. Dobry Bóg nie pozwoliłby, by w jego imię zadreżono szlachetne dusze moich przyjaciół. Chrystus poniósł ofiarę, ginąc na krzyżu tylko po to, by wzruszać ludzi aż do końca świata, ale nie po to, by ich zbawić. Nie ma zmartwychwstania, nie ma odkupienia grzechów i wiecznego życia. Tylko absurd życia doczesnego, w którym słodycz miesza się z okrucieństwem. Giovanni odrzucił nie tylko biblijnego Boga i boskość Chrystusa, lecz także platońską triadę: prawdę, dobro i piękno.

Owszem, natura dawała człowiekowi wiele przykładów piękna. Owszem, serce człowieka może zawierać pierwiastek dobra, które próbował wyzwolić Jezus i inne oświecone jednostki. Owszem, inteligencja prowadzi człowieka do poznania prawdy. Jednak błędzenia i grzechu jest na świecie tyle samo, jeśli nie więcej. Giovanni nie wierzył już, że świat stworzyła i rządzi nim inteligentna zasada dobra. Równie absurdalny wydawał mu się manichejski czy katarski dualizm, głoszący rywalizację dwóch współistniejących pierwiastków: dobra i zła. Nie mógł też wierzyć, ani pokładać nadziei w człowieku, co summa summarum doprowadziło go do stanu beznadziejnej rozpacz.

Podczas gdy myśli Giovanniego snuły się w rytm powolnego kołysania statku, marynarz w bocianim gnieździe krzyknął:

- Żagiel z prawej burty! Obdarzeni lepszym wzrokiem pielgrzymi ujrzeli na horyzoncie niewielki punkt, który z minuty na minutę rósł w oczach. Oznaczało to, że zbliża się do statku. Jednak był jeszcze zbyt daleko, by można było rozpoznać jego intencje i banderę.

- Miejmy nadzieję, że to nie piraci! - krzyknął Emanuel, wpatrując się w czarny punkcik.

- Lub arabscy korsarze! - dodał Giovanni, wspominając przygody Eleny i Julii.

- Lepsi korsarze niż piraci - wtrącił się stojący obok nich marynarz. - Sprzedadzą nas na targu niewolników, ale przynajmniej ocalimy życie.

- Chyba że jest to korsarz chrześcijański i wówczas spokojnie popłyniemy dalej - dodał Emanuel.

- O ile nie płynie pod francuską banderą! - odparł marynarz. - Ci weszli w konszachty z arabskimi korsarzami i wspólnie atakują okręty cesarstwa.

Marynarz splunął za burtę i dodał gderliwie:

- Mamy środę. Dzień Marsa... To zły znak.

Ze względu na słaby wiatr i brak wioślarzy powolny statek handlowy nie mógł umknąć tajemniczemu okrętowi, który wziął kurs wprost na niego. Nerwowość załogi rosła z chwili na chwilę. Wkrótce marynarz w bocianim gnieździe krzyknął ponownie:

- To trójmasztowiec!

- Spójrzcie, jak szybko płynie mimo ciszy morskiej! - skomentował stojący obok Giovanniego marynarz. - Musi mieć dużo wioślarzy.

Ponownie splunął za burtę i dodał:

- Na pewno arabska szebeka. Dam sobie rękę obciąć! Niepokój oczekiwania trwał jeszcze godzinę, do chwili gdy bocianie gniazdo potwierdziło diagnozę.

- Czerwona bandera. Dwie skrzyżowane szable... Algierscy korsarze!

- Hayreddin? - spytał Giovanni.

- Nie, jego statek, „Algierka”, ma czerwoną banderę z trzema srebrnymi półksiężycami. Ale na pewno to jeden z jego podwładnych.

- Co zrobimy? - zatrwożył się Emanuel.

- Nic! Albo spróbujemy uciec, jeśli jakimś cudem zerwie się wiatr!

- Nie będziemy się bić? - zapytał Giovanni.

- Niby jak? Mają co najmniej dwadzieścia dział i dwustu wprawionych w bojach ludzi. My jesteśmy nieuzbrojeni i mamy na pokładzie tylko pielgrzymów i niedoświadczonych w walce marynarzy.

- Co z nami będzie? - zapytał poblady jak chusta Emanuel.

- Jeśli darują nam życie, a tak zazwyczaj postępują barbarzyńscy korsarze, sprzedadzą nas na targu niewolników w Algierze.

62

Szebekę wprawiał w ruch wysiłek stu wioślarzy, którzy zaprzestali pracy w chwili, gdy ich statek podpłynął na odległość głosu. Algierski dowódca zażądał od kapitana statku handlowego bezwarunkowej kapitulacji, którą ten ogłosił bez szemrania. Z szebeki spuszczone na wodę dwie szalupy z piętnastką uzbrojonych ludzi w każdej i po chwili korsarze weszli na pokład. Grupką dowodził renegat: dawny niewolnik chrześcijański, który przeszedł na islam. Podczas gdy sam przesłuchiwał kapitana, jego ludzie dokonywali starannej inspekcji zajętego statku. Zdawali się wyjątkowo zadowoleni z łupu, tym bardziej że zdobyli go bez jednego wystrzału. Zaprzaniec wydał ludziom rozkazy i wrócił na pokład korsarskiego okrętu, by zdać raport kapitanowi. W tym czasie pozostali na handlowym trójmasztowcu korsarze przetrząsali kieszenie marynarzy i podróżnych.

- Schowajcie pieniądze na statku, zatrzymując przy sobie jedną lub dwie monety - szepnął marynarz stojący obok Giovanniego i Emanuela, dając przyjacielom przykład.

Giovanni dyskretnie wsunął dziesięć dukatów pod zwój lin, zostawiając przy sobie dwie monety. Kiedy przyszła jego kolej, a korsarze przeszukali go od stóp do głów, przetrząsając nawet buty, bez trudu znaleźli dwie ukryte sztuki złota i dali mu spokój. Podobnie postąpili z jego sąsiadami. Nieszczęśnicy, którzy nie zostawili przy sobie nic, mieli mniej szczęścia. Wiedząc, że nikt nie wyrusza w podróż z pustymi rękami, korsarze wpadali w gniew i grozili nożem tym, którzy popełnili nieostrożność i schowali cały swój dobytek. Rzecz jasna pielgrzymi natychmiast zdradzali miejsce ukrycia skarbu. Wyjątek stanowił pewien Toskańczyk, który z uporem zaprzeczał, jakoby posiadał jakikolwiek majątek. W porywie gniewu korsarze wyrzucili go za burtę. Ten incydent przypomniawszy pielgrzymom i marynarzom, że ich życie wisi na włosku, w związku z czym stali się o wiele bardziej ostrożni.

Obciążona cenną zdobyczą szalupa wróciła do korsarskiej galery. Niedługo potem na oczach pielgrzymów rozegrał się krwawy spektakl. Najpierw na pokładzie szebeki rozległy się straszne krzyki.

- Co się dzieje? Zarzynają się nawzajem czy co? - spytał Giovanni.

- Zdziwiłbym się - odpowiedział marynarz. - Raczej dobijają chorych i rannych wioślarzy.

Wkrótce przyszło potwierdzenie strasznego przypuszczenia. Za burtą korsarzy wylądowało około dwudziesta żywych i umarłych. Emanuel przeżegnał się.

- Niech Bóg ma ich w swojej opiece.

- Niech lepiej ochroni nas - odparł marynarz. Korsarze ponownie wyruszyli szalupami w stronę zdobytego statku. Nadzorca wioślarzy wszedł na pokład i w towarzystwie korsarzy, którzy cały czas tam byli, przystąpił do obchodu. Szukał nowych galerników. Przed oczyma Giovanniego stanęły wspomnienia galerniczego życia. Na jego czoło wystąpił perlisty pot. Nie zniósłby po raz drugi takiej karni. Lepiej umrzeć od razu, pomyślał.

Nadzorca zażądał, by młodzi mężczyźni rozebrali się, i starannie badał każdego z nich. Co chwila wskazywał na kogoś. Wówczas nieszczęśnika siłą prowadzono na barkę. Nikt nie ośmielił się sprzeciwić. Wszyscy wiedzieli, że najmniejszy opór będzie karany śmiercią. Przed ich oczami stał jeszcze obraz wyrzuconego za burtę Toskańczyka.

Stanąwszy przed Giovannim, nadzorca zlustrował go z triumfującą miną. Młodzieniec był wychudzony wskutek odniesionych ran i rekonwalescencji, lecz nadal wyglądał całkiem nieźle. Był silny i dobrze zbudowany. Gdy oprawca zbliżył się do niego, Giovanni poczuł, jak w żyłach ścina mu się krew. Nadzorca dał znak idącym za nim pomocnikom.

- Nieee! - wrzasnął Giovanni, nieruchomiejąc. Nadzorca już uniósł bykowiec, by zadać nim cios, gdy usłyszał:- Stój! Popełniasz wielki błąd. Ten mężczyzna jest moim Kalabryjczykiem podróżującym w przebraniu zwykłego pielgrzyma. Twój pan dostanie za niego bogaty okup.

Nadzorca opuścił rękę, groźnie patrząc na Emanuela.

- A ty to kto?

- Jestem jego sługą. Mój pan z całą pewnością będzie miał mi za złe, że go wydałem, ale nie mogę znieść myśli, że zrobicie z niego galernika.

Nadzorca ponownie zmierzył Giovanniego taksującym spojrzeniem. Następnie posłał po innego korsarza, najwyraźniej szefa, przedstawiając mu sytuację.

- Jak się nazywasz? - spytał nowo przybyły.

- Giovanni Da Scola - odpowiedział Giovanni bez wahania. - Rzeczywiście jestem kalabryjskim szlachcicem. Pochodzę z Catanzaro. Moja rodzina zapłaci za mnie i mojego sługę bogaty okup.

- To dlaczego siedzisz na pokładzie w łachmanach?

- Gdy moja ciężko chora matka wyzdrowiała, wyruszyłem z wotywną pielgrzymką do Jerozolimy. Złożyłem śluby, że będę podróżował skromnie, bez pieniędzy, mając za towarzysza jednego, wiernego sługę.

Korsarz długo patrzył Giovanniemu prosto w oczy.

- Wygląda na to, że mówisz prawdę. Gdy tylko dopłyniemy do portu, powiadomię o tobie paszę.

Szef skinął głową w stronę nadzorca i poszli dalej, kontynuując złowrogi obchód. Wkrótce odpłynęli, zabierając ze sobą dwudziestu nieszczęsnych galerników. Giovanni mocno uściśnął dłoń Emanuela, któremu bez wątpienia zawdzięczał życie.

Korsarze zostawili na zdobytym statku trzydziestu uzbrojonych po zęby kamratów pod komendą renegata z rozkazem, by odstawili okręt wraz z towarami, wyposażeniem i pielgrzymami do portu w Algierze. Tymczasem korsarska galera, która znajdowała się dość daleko od macierzystego portu, miała kontynuować rejs w poszukiwaniu kolejnych zdobyczy.

Statek zmienił kurs, kierując się teraz na zachód, w kierunku afrykańskiego wybrzeża. Życie na pokładzie toczyło się niemal normalnym trybem. Marynarze wiernie pozostali na stanowiskach, wykonując rozkazy kapitana, który z kolei znalazł się pod komendą renegata. Po kilku dniach żeglugi, kiedy zaczął wiać przychylny wiatr, dowódca korsarzy przyszedł do Giovanniego.

- Ja także pochodzę z Kalabrii, z okolic Reggio. Opowiedz mi o naszym kraju.

- Pochodzę z Catanzaro, ale niestety niewiele podróżowałem po naszej rodzinnej okolicy, gdyż dość szybko musiałem wyjechać w interesach na północ.

Mężczyzna popatrzył na niego w milczeniu, ze smutkiem w oczach.

- A ty co robisz wśród korsarzy? - spytał Giovanni, pragnąc tym samym uniknąć zbyt długiego przesłuchania.

- Mój ojciec zginął podczas ataku słynnego korsarza Hayreddina zwanego Barbarossą na wybrzeże kalabryjskie. Moja matka, dwie siostry i ja zostaliśmy pojmani i sprzedani do niewoli.

Miałem wtedy niespełna sześć lat. Kilka lat później zaproponowano mi przejście na islam, w zamian za wolność. Przyjąłem propozycję i zaciągnąłem się na jeden ze statków Barbarossy. Dziś mam dwadzieścia osiem lat i jestem drugim oficerem na statku, który widziałeś kilka dni temu.

- Jak się nazywasz? Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- Baha-ad-din el Calabri! Od dawna nie wymawiałem mojego dawnego, chrześcijańskiego imienia.

- A pamiętasz je?

Baha-ad-din przeciągle spojrział na Giovanniego, jednak woal smutku spowijający jego ładne, błękitne spojrzenie szybko rozwiął się pod wpływem wściekłości.

- Oczywiście! Ale co cię to obchodzi, niewierny psie?

- Przecież sam prosiłeś, bym opowiedział ci o naszej rodzinnej Kalabrii. Myślałem, że przywołując wspomnienia, sprawię ci przyjemność.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Masz rację. Niepotrzebnie uniosłem się gniewem. Nazywam się Giacomo.

- Jak mój brat!

- Ach tak? A co on robi? Giovanni musiał skłamać. Zasepił się.

- Służy w cesarskiej armii. Nie widziałem go od lat.

- Jesteś żonaty? Masz dzieci?

- Nie, jeszcze nie. A ty?

- Mam żonę i dwoje dzieci. Mieszkają w al-Dżaza'irze, który wy nazywacie Algierem. Bogu dzięki, wkrótce ich zobaczę.

- Opowiedz mi o tym mieście. Kochasz je? Oczy mężczyzny zabłyśły.

- Czyje kocham! Wkrótce sam zobaczysz jego wspaniałość. Korsarze pozbawili mnie ojca i przywlekli tu jako niewolnika, ale dziś moje serce stało się dobrowolnym niewolnikiem tego miasta. Za nic na świecie nie mógłbym go opuścić.

Rozmowę przerwał krzyk z bocianiego gniazda.

- Okręty przed naszym dziobem!

Korsarz udał się na rufę. Statek wciąż utrzymywał swój kurs. Niespełna godzinę później spotkali trzy weneckie galery wojskowe. Sami płynęli wciąż pod banderą Królestwa Obojga Sycylii. Jako że na mostku wszystko wyglądało normalnie, Wenecjanie spytali tylko, czy na pokładzie wszystko w porządku. Korsarze zdążyli się ukryć w ładowni, a przebrany za kapitana Baha-ad-din udzielił odpowiedzi pozytywnej. Na kilka minut wszyscy wstrzymali oddech, ale nikt, ani pielgrzymi, ani marynarze nie ośmielili się wzywać pomocy. Byli zbyt sterroryzowani. Giovanniemu przyszło do głowy, że mógłby rzucić się w morze i dopłynąć wpław do jednej z galer, ale po chwili namysłu uznał, że woli zostać sprzedany w Algierze na targu niewolników niż wpaść

w ręce Wenecjan.

Podróż trwała jeszcze dziesięć dni, podczas których nie wydarzył się żaden incydent.

Pewnego poranka Giovanni ujrzał afrykańskie wybrzeże. Kilka godzin później z bocianiego gniazda dał się słyszeć okrzyk:

- Al-Dżaza'ir!

Korsarze wypalili z pistoletów w lazuruwe niebo, ściskając się z radości. Pielgrzymi i marynarze patrzyli po sobie ze smutkiem. Wiedzieli, że gdy tylko zejną na ląd, zostaną sprzedani do niewoli.

63

Wkrótce oczom zaniepokojonych jeńców ukazał się Algier w całej okazałości. Białe miasto wybudowano na górującym nad brzegiem morza wzgórzu, wokół którego wznosiły się inne, zielone wzgórza, kontrastujące z bielą kamienia, budulca, z którego powstały wszystkie budynki w mieście: domy, pałace i meczety.

Gdy tylko okręt zawinął do portu, korsarzy otoczył rozentuzjasmowany tłum.

Gapie, nędzarze w łachmanach, dzieci, marynarze, a także bogaci kupcy lub ich pełnomocnicy tłoczyli się, by ujrzeć nową zdobycz i ocenić jej wartość. Jeśli chodzi o strażników portu, ci interesowali się tylko statkiem, który zwyczajowo należał do nich: od żagli po pokład. Młody kapitan w towarzystwie dwóch skrybów udał się natychmiast do pałacu paszy - reprezentanta rezydującego w Konstantynopolu sułtana - by przedstawić namiestnikowi miasta spis zdobytego inwentarza: okręt, ludzi, towary, pieniądze i kosztowności. Pasza pobierał zawsze dziesięć procent wartości zdobyczy, a wszelkie próby malwersacji były surowo karane. Nieco niższy odsetek przypadał urzędnikom i administracji miejskiej, a jeden procent marabutom: wielbionym przez lud pustelnikom i mnichom obdarzonym czasami darem jasnowidzenia lub uzdrawiania. Reszta łupu była dzielona pomiędzy kapitana korsarskiego statku i jego załogę oraz ewentualnych „akcjonariuszy”, jeśli praca odbywała się na ich rzecz.

Przed wyladowaniem towarów wyprowadzono na brzeg nieszczęsnych jeńców: załogę i pielgrzymów. W sumie prawie stu pięćdziesięciu mężczyzn i trzydzieści kobiet. Pod eskortą janczarów - czyli najemników tureckich, których sułtan ofiarował władcy Algieru, pełniących zarazem rolę policji, elitarniej jednostki wojska i gwardii przybocznej paszy zaprowadzono ich wprost na targ niewolników. Nie było potrzeby wiązać ich czy zakuwać w kajdany. Jakakolwiek próba ucieczki byłaby niemożliwa, ze względu na gęsty tłum otaczający więźniów. Wszyscy bez wyjątku: biedni i bogaci, kobiety i mężczyźni, młodzi i starzy uprzyjemniali sobie czas, obserwując pojmanych. Nieliczne w grupie młode kobiety przyciągały uwagę mężczyzn, których żony i córki z kolei podziwiałały mężczyzn, śmiejąc się i skrywając twarz za chustą, gdy któryś z jeńców obdarzył je spojrzeniem. Szczególne szczęście miał Giovanni: jeden z niewielu dobrze zbudowanych

młodzieńców, którzy cudem uniknęli losu galernika na korsarskiej szebecie.

Gdy jeńcy dotarli na kwadratowy plac w sercu miasta, nakazano im usiąść na ziemi. Stary, zasuszony mężczyzna z tabliczką i ołówkiem podszedł do kapitana uprowadzonego statku, nakazując mu wstać. Na jego odzieniu napisał czymś w rodzaju kredy numer, po czym, prowadząc go za ramię, obszedł z nim dookoła cały plac, wokół którego zgromadzili się Algierczycy. Gdy któryś z nich był zainteresowany jeńcem, pytał go o wiek, zawód i kraj pochodzenia. Starzec władał wieloma europejskimi językami i pełnił funkcję tłumacza. Niektórzy handlarze macali mięśnie więźnia lub prosząc o otwarcie ust, badali stan uzębienia. Giovanni przypomniał sobie targ koni, w którym uczestniczył jako dziecko. Podobieństwo obrazu wywołało u niego mdłości. Emanuel wychwycił jego spojrzenie i szepnął:

- I pomyśleć, że my, chrześcijanie, postępujemy w ten sam sposób z jeńcami indiańskimi i muzułmanami!

Po zakończeniu obchodu prowadzący sprzedaż nakazał kapitanowi usiąść na miejscu i chwycił kolejnego jeńca, który przeszedł podobną procedurę.

Mijały godziny. Zbulwersowany Giovanni patrzył bezsilnie na męczarnie młodej kobiety obmacywanej przez niemal wszystkich mężczyzn. Po serii podszcypywań, dotykania i łaskotek, dziewczyna dostała histerii i zemdląca. Ocucono ją, a jej męka trwała dalej. Zaczęła wyc ze wszystkich sił, ku ucieście gawiedzi. Gdy nie chciała iść dalej, związano ją i ciągnięto siłą na powrozie. Giovanni wystąpił jako jeden z ostatnich, zwracając swoją szlachetną postawą, młodością i siłą uwagi licznych handlarzy.

Około południa ze stojącego przy placu minaretu dobiegł mocny, modulowany męski głos.

- To muezin wzywa na modlitwę - szepnął Giovanniemu do ucha jeden z marynarzy. - Woła tak pięć razy dziennie: o świcie, w południe, po południu, przed zachodem słońca i godzinę po nim.

Giovanni był poruszony pięknym śpiewu, w którym pobrzmiwały mu tony prawosławnej pieśni.

Starzec i spora część gawiedzi udali się na posiłek i modlitwę. Więźniów zaprowadzono pod cieniste arkady, rozdając im wodę, chleb i daktyle. Kilka godzin później, tuż po popołudniowej modlitwie, plac ponownie zapełnił się tłumem.

Prowadzący aukcję mężczyzna wskazał jeńca z numerem pierwszym, krzycząc:

- *Achhal, achhal*, ile?

Następnie zapisał na tabliczce numer więźnia, cenę i nazwisko nabywcy. Na ubraniu sprzedanego niewolnika zanotował jego cenę i odesłał do towarzyszy niedoli. Giovanni zapytał o powód takiego postępowania marynarza, który zdawał się być zaznajomiony z lokalnymi zwyczajami.

- Po zakończeniu aukcji zaprowadzą nas przed oblicze paszy, który ma prawo odkupić co

ósmego więźnia.

- Zatem po co nas tu przywlekli? - zapytał Giovanni ze zdziwieniem.

- Bo na publicznej aukcji jest ustalana wartość niewolnika. Jak mówiłem, pasza ma prawo odkupić co ósmego więźnia. Przy podziale łupów wartość wybranych przez niego ludzi zostanie odliczona od ogólnej wartości przypadającego mu łupu.

- Co za precyzja i zmysł sprawiedliwości... - zauważył Giovanni ironicznie.

Kiedy nadeszła jego kolej, został sprzedany na aukcji za sumę, której wysokość wielce go zadziwiła. Kwota, za którą go sprzedano, znacznie przekroczyła sumy oferowane za młodą dziewczynę. Później zrozumiał, że korsarze uprzedzili starego handlarza, iż pod mizernym przebraniem pielgrzyma kryje się szlachcic, za którego można uzyskać wysoki okup, a handlarze i prywatni kupcy spekulowali jego ewentualną wartością. Ostatecznie został kupiony przez mauretańskiego kupca, który specjalizował się w zdobywaniu okupu za pojmanych chrześcijan.

Aukcja zakończyła się tuż przed nastaniem nocy. Muezin ponownie wezwał wiernych, tym razem na wieczorną modlitwę, i tłum się rozproszył. Janczarzy powiedli jeńców do jednego z trzech należących do paszy więzień, gdzie w ciemnych, dusznych podziemnych korytarzach tłoczyły się stale setki niewolników. Nowo przybyłych ulokowano w pozbawionych okien salach, z których każda mogła pomieścić dwadzieścia osób. Oddzielono kobiety od mężczyzn. Znowu rozdano im chleb i wodę, wyjaśniając, że muszą zachować część żywności na rano. Strażnicy mówili dziwnym językiem, tak zwanym franko, stanowiącym zlepek francuskiego, hiszpańskiego, włoskiego i portugalskiego. Tak właśnie Turcy i Algierczycy porozumiewali się z niewolnikami oraz niewolnicy między sobą.

- *Fora, forti!* Szybciej, szybciej! - wrzasnął strażnik otwierając kratę pomieszczenia, w którym Giovanni spędził bezsenną noc na hamaku śmierdzącym capem.

Jeńców zgromadzono przed wyjściem z lochów i poprowadzono do Dżeniny, wystawnego pałacu paszy.

Giovanni zauważył nieobecność dziewczyny, która poprzedniego dnia zaszła na targu niewolników. Wiadomość, którą przekazały kobiety, lotem błyskawicy dobiegła do jego uszu: tej nocy nieszczęsna powiesiła się na chuście, zadając sobie śmierć. Na tę wieść krew ścięła się w żyłach Giovanniego. Nieco później, gdy przypomniał sobie lubieżny wzrok tłustego handlarza, który kupił dziewczynę, pomyślał, że być może podjęła słuszną decyzję.

Jeńców, którym wciąż towarzyszył starzec z tabliczkami, prowadzono kolejno przed oblicze paszy - syna Hayreddina. Okrutny korsarz, który liczył obecnie ponad siedemdziesiąt pięć lat, został rok wcześniej wezwany przez sułtana, by dożyć spokojnej starości na jego dworze. Przed wyjazdem do Stambułu zapewnił sukcesję swemu synowi, Hassanowi, którego Sulejman mianował paszą al-Dżaza'iru. Jednak Hassan nie przypominał swojego ojca ani charakterem, ani budową fizyczną, ani

ambicjami politycznymi.

Po berberyjskiej matce odziedziczył miłość do Algieru, której jego ojciec, z pochodzenia Turek, nie podzielał. Hayreddin zwany Barbarossa, traktował Algier jako dobry punkt strategiczny do wypraw w morze. Jego głównym celem było łupienie okrętów pływających w basenie Morza Śródziemnego, które znał jak własną kieszeń, a warunki życia w mieście czy kwestie urbanistyczne, zupełnie go nie interesowały. Hassan, zdecydowanie mniej okrutny i mniej choleryczny niż ojciec, nie tylko bardzo kochał miasto, które było świadkiem jego narodzin, lecz także w skrytości ducha planował przywrócić mu autonomię i uwolnić je od zatruwających życie mieszkańców dwóch tysięcy tureckich janczarów. Mimo że zaledwie od roku sprawował funkcję gubernatora al-Dżaza'iru, zdobył szacunek kosmopolitycznej ludności miasta, na którą składali się tubylczy Berberowie, Arabowie, Maurowie, Żydzi, chrześcijanie, którzy przyjęli islam, a także liczni chrześcijańscy niewolnicy schwytni na morzu i czarni niewolnicy sprzedani przez Arabów.

Hassan siedział po turecku na niewielkim podium w skromnie urządzonej pomieszczeniu. Był raczej mało urodziwy: niski i pulchny, o okrągłej twarzy otoczonej rzadką czarną brodą. Wypukłe, czoło świadczące o uporze zdawało się ginąć pod olbrzymim niebieskim turbanem. Tak samo jak ojciec lekko seplenił, niemniej jednak był obdarzony żywą inteligencją i subtelnym umysłem. Wokół podestu, na którym zasiadał, stało czterech janczarów. Za nim siedzieli dwaj doradcy, a staruszek, który nadzorował sprzedaż niewolników, siedział u stóp podwyższenia z nosem utkwionym w tabliczkach. Tymczasem niewolnicy kolejno przechodzili przed obliczem władcy. Pasza uważnie przyglądał się każdemu z nich, zwracając uwagę na widniejącą na odzieniu cenę. Od czasu do czasu zasięgał opinii doradców, pytał o to lub owo starca lub za jego pośrednictwem zwracał się do któregoś z jeńców. Tak też się stało w przypadku Giovanniego: pasza długo wypytywał go o pochodzenie, rodzinę i majątek. Młodzieniec powtórzył kłamstwa, którymi wcześniej uraczył kapitana korsarzy. Zwrócił się także z prośbą do paszy, by ten w swej łaskawości nabył go wraz ze sługą Emanuelem, z którym nie chciałby się rozstać, ani tym bardziej zostawić w niewoli, gdy już nadejdzie okup.

Swoim zwyczajem pasza nie podjął żadnej natychmiastowej decyzji i odesłał więźniów do lochu, w którym spędzili kilka kolejnych dni. Następnie ponownie ich zebrano, kolejno wyczytując tych, których pasza wybrał dla siebie. Giovanni i Emanuel z ulgą usłyszeli swoje nazwiska.

Algierczycy biorący udział w aukcji także byli obecni. Każdy z nich wypłacił prowadzącemu sprzedaż i jego asystentom należną sumę i oddalił się w towarzystwie nowo nabytego niewolnika. Niektórzy z jeńców płakali, żegnając się z towarzyszami niedoli, ale większość z nich zdawała się być zrezygnowana.

Grupka tych, których wybrał pasza, została na placu. Przemówił do nich zarządca władcy: mniej więcej czterdziestopięcioletni, postawny mężczyzna.

Giovanni rozpoznał jednego z doradców paszy. Był to Arab, Algierczyk o nazwisku Ibrahim ben Ali el Tajer. Mówił spokojnym, donośnym głosem, który nieco uspokoił obawy więźniów.

Wyjaśnił, że kobiety zostaną zaprowadzone do pałacu i przydzielone do rozmaitych prac, mężczyźni natomiast - z wyjątkiem jednego, który ze względu na zdolności kulinarne także znajdzie zajęcie w pałacu - pozostaną w lochach. Będą pracować na rzecz miasta, przy naprawie lub budowie dróg lub budynków użyteczności publicznej. Ibrahim wyjaśnił też, że najmniejsza próba ucieczki będzie surowo ukarana. Pierwsza - wymierzeniem trzystu batów w stopy. Druga - obcięciem ręki. Trzecia - śmiercią.

- Zatem pierwsza musi być skuteczna - wyszeptał do ucha Emanuela Giovanni.

64

Wrócił do więzienia w towarzystwie piętnastu innych więźniów. Wszystkich zaprowadzono do dużego pomieszczenia, w którym zakuto ich w kajdany. Na prawej kostce umieszczono żelazną obręcz z grubym, ciężkim łańcuchem składającym się z pięciu lub sześciu ogniw, który utrudniał poruszanie i uniemożliwiał szybki bieg. Ten system miał kilka zalet: pozwalał jeńcom pracować bez zbędnego skrępowania ruchów, czyniąc ich jednocześnie niezdolnymi do ucieczki i łatwymi do rozpoznania przez ludność miasta jako należących do paszy niewolników.

Po zakuciu w kajdany Giovanniemu i Emanuelowi pozwolono przemieszczać się swobodnie w obrębie lochów. Oprócz słabo wentylowanych „sypialni” w podziemnym więzieniu znajdowało się coś w rodzaju tawerny. Było to rozległe, słabo oświetlone pomieszczenie zakończone półokrągłym sklepieniem. Wentylację zapewniało jedno niewielkie okienko. Więźniowie zbierali się tam, by odpocząć, a nawet napić się czy zabawić. Wchodząc z Emanuelem do tej hałaśliwej nory, Giovanni zastanawiał się, skąd niewolnicy biorą pieniądze na te nędzne uciechy, skoro przed trafieniem tutaj zostali zupełnie oskubani. Emanuel uśmiechnął się chytrze, pokazując przyjacielowi ukrytego w bucie dukata. Zasiedli przy stosunkowo najmniej hałaśliwym stole, prosząc rachitycznego młodzieńca o dzbanek wina.

- Całe szczęście, że udało mi się schować trochę grosza! - szepnął Emanuel. - Przynajmniej odrobina szczęścia w nieszczęściu.

- Mnie wczoraj oskubali janczarzy. A ja naiwny myślałem, że uda mi się zachować uratowane na statku pieniądze!

- Nie wiem, na ile kolejek nam wystarczy ten złoty dukat, ale czuję, że szybko będziemy musieli zadowolić się wodą.

Giovanni rozejrzył się dookoła.

- Swoją drogą to dziwne, że wszyscy ci ludzie, którzy są tu od wielu miesięcy, a nawet lat, wciąż wydają pieniądze, które udało im się ukryć przed korsarzami lub tureckimi żołnierzami w chwili zamknięcia w lochach. Tak czy inaczej, sprytny pomysł paszy na oskubanie ich do cna!

- Nieprawdaż? - odezwał się nagle postawny mężczyzna siedzący przy drugim końcu stołu.

- Z kim mamy przyjemność? - spytał Giovanni, kiedy już otrząsnął się z zaskoczenia.

Około czterdziestoletni mężczyzna wyciągnął do niego potężną dłoń.

- Georges Maurois. Pochodzę z Dieppe, portowego miasta na północy Królestwa Francji - powiedział, uśmiechając się przyjaźnie.

Giovanni uściskał dłoń Francuza.

- Giovanni Da Scola. A to mój służący, Emanuel. Pochodzimy z Kalabrii.

- Witajcie w Algierze!

- Wielkie dzięki! W naszej podróży do Jerozolimy obeszlibyśmy się bez tej wycieczki. A ty, przyjacielu, jak długo już tutaj gnijesz?

Mężczyzna uśmiechnął się bezzębnie i zamilkł. Giovanni i Emanuel wymienili zdziwione spojrzenia.

- Osiem lat, przyjaciele - wykrztusił wreszcie Francuz. - Osiem długich lat minęło od chwili, gdy wybrałem to rozkoszne miejsce na moją siedzibę. Znam je jak własną kieszeń. Podobnie jak wszystkie uliczki tego miasta.

- I nie masz nadziei na uwolnienie? - zapytał Emanuel. Mężczyzna wybuchnął gromkim śmiechem.

- Już trzykrotnie wpłacano za mnie okup i trzy razy sumę kradziono po drodze! Moi rodzice i przyjaciele na próżno wypruwali sobie żyły, a teraz nie mają już nawet złamanego grosza, by mnie stąd wydostać.

Giovanni i Emanuel spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

- Zaiste, to wielkie nieszczęście! - odpowiedział Giovanni. - A nigdy nie próbowałeś uciekać?

Francuz przysunął się bliżej i szepnął:

- To są rzeczy, o których nie należy mówić z nieznanymi. Lochy aż roją się od więźniów, którzy są gotowi cię wydać za kilka piastrów. Znałem już takich, których ucieczka spłynęła krwią, bo nie umieli trzymać języka za zębami. Nie dalej niż miesiąc temu trzech więźniów poddano karze chłosty po tym, jak pojmano ich w środku nocy w jednej z tutejszych zatoczek. Próbowali dostać się na łódź. A wiecie, kto ich wydał?

Dwaj mężczyźni zapytali go wzrokiem.

- Tutejszy mnich kapucyn, którego modlitwie powierzył się jeden z uciekinierów, prosząc o wsparcie!

- Na Boga! - wykrzyknął Emanuel.

- W ramach zapłaty zakonnik został uwolniony przez Turków. Dobrze wam radzę, nie ufajcie nikomu...

- Tobie też nie? - zapytał Giovanni z błyskiem ironii w oku.

- Zwłaszcza mnie! Sprzedałbym ojca i matkę, byle tylko wrócić do domu!

Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem.

- Zastanawialiśmy się, skąd pochodzą pieniądze, które więźniowie wydają w tej tawernie - zapytał Emanuel po wypiciu kilku łyków wina.

- Zarabiamy je.

- Jak to?

- Co rano o świcie wyruszamy w grupach od dwudziestu do stu osób do prac na budowach paszy. Kończymy pracę wczesnym popołudniem i mamy jeszcze parę godzin wytchnienia przed zachodem słońca. Janczarzy wynajmują nas Algierczykom, którzy potrzebują solidnej siły roboczej i dają nam niewielki odsetek zarobionej na nas sumy. Niektórzy więźniowie latami składają grosz do grosza w nadziei, że któregoś dnia wykupią się z niewoli i odzyskają wolność. Ale większość, jak ja, nie może się powstrzymać i wydaje wszystko na bieżąco w tej obskurnej dziurze, by choć trochę uprzyjemnić sobie życie.

Georges zamilkł na chwilę, wpatrując się gdzieś przed siebie, po czym westchnął.

- Przyznaję, że gdybym zaoszczędził to, co zarobiłem w ciągu tych ośmiu lat, grałbym dziś w karty w najlepszych tawernach portowych w Dieppe. Niestety, całe lata czekałem na okup, który nigdy nie wpłynął.

- Masz żonę i dzieci?

- Niech Bóg ma ich w swojej opiece! Od dwudziestu lat jestem żonaty i mam czworo dzieci. Kiedy opuszczałem rodzinne miasto, najmłodsza córka miała niespełna dwa latka.

- I nie miałeś od nich żadnych wiadomości?

- Dzięki Ibrahimowi, zarządcy, wiem, że żyją, gdyż jego wysłannicy trzykrotnie udali się do mojej rodziny, współników i przyjaciół z żądaniem okupu. Ale, jak już wspomniałem, los sprzysiągł się przeciw mnie i za każdym razem wysłannicy wracali bez okupu. Za pierwszym razem napadli ich tureccy korsarze z Konstantynopola. Uwolnili, co prawda, wysłanników paszy, ale pieniędzy nie zwrócili. Za drugim razem okup wpadł w ręce zbójów w Dunkierce, zanim jeszcze emisariusze wsiedli na statek! Za trzecim razem chrześcijańscy korsarze, tak zwani Rycerze Maltańscy, położyli łapę nie tylko na pieniądzech, ale też sprzedali do niewoli żydowskich wysłanników paszy.

- Masz na myśli szpitalników? - zainteresował się Emanuel.

- Tak. Jest to zakon zbrojny, któremu nadano nazwę Zakonu św. Jana Jerozolimskiego. Na wzór zakonu templariuszy został założony w okresie wypraw krzyżowych, a jego celem była ochrona pielgrzymów. Po likwidacji templariuszy przez Filipa Pięknego odziedziczyli sporą część ich dóbr. Dawniej mieli siedzibę na Rodos, ale z chwilą kiedy wyspę przejęło imperium osmańskie, cesarz Karol Piąty oddał im w posiadanie Archipelag Maltański. Dlatego nazywamy ich tutaj

Rycerzami Maltańskimi.

- A żydowscy posłańcy nie mogli wyjaśnić, że pieniądze są przeznaczone na okup za nieszczęsnego chrześcijańskiego jeńca algierskich korsarzy? - dopytywał się Emanuel.

- Z całą pewnością to powiedzieli, ale Rycerze Maltańscy, mimo że są mnichami i składali śluby służenia naszemu Panu Jezusowi Chrystusowi, żyją z grabieży na morzach. W tej kwestii nie różnią się od osmańskich korsarzy! Poza tym nie ufają Żydom, do których - jak większość chrześcijan zresztą - czują wzdarcę, a których mimo wszystko szanują muzułmanie.

- A dlaczego osiem lat temu wyruszyłeś w podróż? - tym razem zapytał Giovanni.

Francuz przyjaźnie klepnął go w plecy.

- Pozwólcie, że postawię wam kolejny dzbanek tego cienkiego wina. Pippo! Trzy kubki wina na mój koszt! - krzyknął do młodzieńca, który obsługiwał w tawernie.

- Jest Włochem? - spytał Giovanni, spoglądając na chłopca.

- Tak. Pochodzi z okolic Neapolu. Korsarze schwytali go podczas najazdu na jego rodzinne miasto. Był jeszcze dzieckiem. Kupił go stary Żyd, który zapewnił mu całkiem niezłe traktowanie, ale dwa lata temu zmarł, chłopca odkupił zarządzający tą tawerną chrześcijanin odszczepieniec, który każe na siebie mówić „Mustafa” i traktuje chłopaka gorzej niż psa.

Giovanni uważnie przyjrzał się młodzieńcowi. Nieszczęsny był nie tylko nad wyraz chudy, ale w jego zgaszonych, podkrążonych oczach malował się niewysłowiony smutek. Giovanni poczuł, jak ogarnia go fala współczucia.

- Jestem kupcem - podjął Georges. - Wybrałem się do Lizbony, by kupić pochodzące z Indii tkaniny. Niestety, nasz okręt, mimo że był dobrze uzbrojony, został napadnięty przez trzy szebeki Hayreddina zwanego Barbarossą.

- Barbarossą... - powtórzył Giovanni, który już dwukrotnie słyszał nazwisko słynnego korsarza: raz przy okazji ataku korsarzy na okręt, którym płynęła Elena i drugi raz w związku z zuchwałą próbą uprowadzenia Julii Gonzagi. A teraz sam znajdował się w mieście zarządzanym przez syna Barbarossy.

- Ach, Barbarossą! Opowieści, dzięki którym szybciej mija czas... - dodał Georges.

Francuz mówił po włosku z mocnym francuskim akcentem, ale płomiennosc jego przemowy oraz sposób, w jaki ilustrował ją gestykulacją sprawiały, że jego rozmówcy słuchali go nie roniąc ani jednego słowa. Poza tym Giovanni chciał poznać historię pirata, którego serce zaznało tyle cierpienia i niesprawiedliwości, że w końcu wkradła się w nie nienawiść.

Dwie godziny później opowieść Francuza przerwał nagle niespodziewany harmider.

To odpowiedzialni za roznoszenie posiłków niewolnicy zaczęli rozdawać kolację.

Więźniowie opuścili tawernę i udali się do swoich cel, w których rozdano im chleb i suszone owoce.

Georges był zakwaterowany w innej celi niż nowo przybyli przyjaciele, ale poinformował ich, że za parę groszy można przekupić sprawujących nadzór więźniów i przeprowadzić się. Gdy już zaspokoili głód, położyli się na wąskich sznurkowych hamakach przymocowanych do grubych ścian celi.

Giovanni cierpiał z powodu braku powietrza, smrodu i ciężaru łańcucha, który ciągnął nogę w dół.

Tak samo jak poprzedniej nocy nie zmrużył oka. Myślał o spotkaniu z Francuzem. Miał pewność, że to swój człowiek. Nie tylko czuł, że można mu ufać, ale też zapragnął mu pomóc wrócić do domu. Musimy wydostać się stąd razem, pomyślał. Jestem pewien, że nasz przyjaciel ma pomysł, jak się do tego zabrać. Zdobądźmy jego zaufanie, a na pewno nie będzie milczał.

65

Pierwszy dzień pracy był niezwykle wyczerpujący.

Giovanni i Emanuel, wraz z setką innych więźniów, zostali przydzieleni do budowy twierdzy.

Zbudzono ich o świcie. W zwartych szeregach, eskortowani przez trzydziestu janczarów, z mozołem wspięli się na sąsiadujące z miastem wzniesienie: Tafourah. Towarzyszyły im rozbawione spojrzenia mieszkańców. Gdy dotarli na miejsce, tysiąc siedemset kroków od miasta, natychmiast wzięli się do kopania fundamentów pod przyszłą cytadelę Hassana Paszy.

Przez długie godziny drążyli fundamenty za pomocą kilofów, łopat i motyk. Około południa dano im trochę odpocząć i pozwolono ugasić pragnienie w fontannie bijącej około stu kroków dalej. Jeden z więźniów wyjaśnił Giovanniemu, że jest to fontanna zaopatrująca miasto w słodką wodę. Rzeczywiście za nią zaczynał się podobny do rzymskich akwedukt, którym woda spływała w dół.

Giovanni wykorzystał chwilę wytchnienia, by podziwiać cudowną panoramę. W oddali ujrzał port i moło wychodzące z fortu Peñón del Argel, wzniesiona przez Hiszpanów na wysepkach, al-Dže-za'iru, od których pochodzi nazwa miasta. W porcie stało około dwudziestu szetek i statków handlowych, łącznie z tym, na którego pokład Giovanni wszedł w Ankonie. Jako że Algier wybudowano na wzgórzach, tysiące domów i pałaców, minaretów i meczetów, tarasów i ogrodów spływało w dół w niemal idealnie harmonijnym chaosie. Giovanni stał dłuższą chwilę, podziwiając widok, który mimo smutnych okoliczności, poruszał serce i duszę. Niebawem jednak Turcy wrzaskiem z powrotem zagonili więźniów do pracy.

Kwietniowe słońce zaczynało doskwierać pracującym bez żadnej osłony jeńcom. Mniej przyzwyczajony do palących promieni Emanuel wrócił poparzony. Skóra na jego twarzy i ramionach była czerwona jak bycza krew. Widząc go w tak opłakanym stanie, Georges, który pracował na jednej z budów w porcie, wezwał angielskiego więźnia, Aleksandra, który zapewniał jeńcom opiekę medyczną.

Podczas gdy lekarz okładał poparzone plecy chłodzącymi maściami, Georges zwrócił się do Giovanniego:

- Twój sługa zdaje się być bardzo wrażliwy na słońce i ma nader jasną karnację. Z całą pewnością nie urodził się w Kalabrii...

- W rzeczy samej - odpowiedział niespieszony Giovanni. - Pochodzi z Flandrii. Poznałem go, podróżując po Europie północnej. Od tej pory jest do mnie bardzo przywiązany.

- Niezbyt dobrze mówi po włosku.

- Radzi sobie wystarczająco dobrze. Stosownie do moich potrzeb.

- Zapewne... Tak czy inaczej, bądźcie ostrożni, byście - w razie przesłuchania przez Ibrahima - nie składali sprzecznych zeznań. Mogłoby was słono kosztować, gdyby się okazało, że niektóre szczegóły waszej opowieści niekoniecznie pokrywają się z rzeczywistością.

Giovanni spojrział na Georges'a w milczeniu i skinął głową.

- Twój przyjaciel nie jest w stanie pracować dziś więcej - ciągnął Francuz. - Ale jeśli chciałbyś trochę zarobić, mogę cię zabrać do pewnego Maura, da ci zajęcie na kilka godzin dziennie przy sprzątanii domu, który wynajmuje janczarom.

- Z miłą chęcią - zgodził się Giovanni.

Nie żeby chciało mu się jeszcze pracować czy nawet dorobić, ale pomyślał, że być może nadarza się okazja do ucieczki i nie chciał zlekceważyć nowego tropu.

Georges zaprowadził go do janczara o imieniu Mehmet.

Był to niski i krępy Turek, którego kwadratową, nieurodziwą twarz zdobiły cienkie, podkreścone w górę wąsy. Kiepsko mówił we *franko* i wyrażał się przede wszystkim za pomocą mimiki i gwałtownej gestykulacji. Francuz wyjaśnił mu, że jego przyjaciel chciałby się nająć do pracy. Mehmet otaksował Giovanniego w sposób, w jaki taksuje się wyprowadzanego w pole muła, po czym skinął głową.

Wkrótce dołączył do nich trzeci niewolnik, Holender o imieniu Sjoerd.

Eskortowani przez Turka mężczyźni przeszli przez *kazbę**. * *Kazba* - część Algieru dziś nazywana Starym Miastem.

Było późne popołudnie. W wąskich, krętych uliczkach miasta kwitł handel. Na kramikach rozstawionych przez obnośnych kupców piętrzyły się oliwki, jajka, daktyle, przyprawy, pachnidła, wielobarwne tkaniny, burnusy, ozdoby i naczynia z malowanej i naturalnej ceramiki.

Grupka przemierzyła kilka uliczek, po czym mężczyźni weszli przez niewielkie, niebieskie drzwi do obszernego, lecz skromnego patio, wokół którego wznosił się czteropiętrowy budynek.

- To *funduk* - szepnął Georges do ucha Giovanniego. Turek tymczasem poszedł rozmówić się z właścicielem. - Należy do Maura, który wynajmuje dwadzieścia pokoi janczarom. Ponieważ właściciel nie chce mieć na utrzymaniu zbyt dużej liczby niewolników, codziennie wynajmuje nas

od Mehmeta, byśmy sprząтали pokoje tureckich żołnierzy.

Po chwili Mehmet wrócił w towarzystwie właściciela noclegowni: starszego, suchego mężczyzny, który przez chwilę przyglądał się Giovanniemu w milczeniu.

Zamienił kilka słów z Turkiem, po czym ten ostatni dał do zrozumienia, że Giovanni został zatrudniony na próbę na kilka dni. Mehmet poszedł odpocząć w swoim pokoju, a trzech więźniowie rozpoczęli sprzątanie pokoi i wychodków.

Z nastaniem wieczoru, gdy słońce zaczęło chować się za horyzont, a pieśń muezina wezwała wiernych na modlitwę, Mehmet hałaśliwie zwołał niewolników, dał każdemu z nich cztery maleńkie monety i odprowadził do lochu.

Georges udał się prosto do tawerny, by swoim zwyczajem przepić zarobione pieniądze. Tymczasem Giovanni wrócił do swojej celi, by jak najprędzej zdobyć wieści o stanie zdrowia Emanuela.

Jego przyjaciel spał. Cierpiał jeszcze, ale dzięki maściom, które zaordynował mu Aleksander, nieco mniej odczuwał skutki oparzenia.

Giovanni opowiedział mu, co widział, precyzyjnie malując słowem kolorowe uliczki al-Dzeza'iru.

Jego opowieść przerwało nadejście więźniów roznoszących posiłek. Wygłodzony po całym dniu ciężkiej pracy Giovanni rzucił się na pajdę chleba.

Mimo że wciąż dokuczał mu smród i brak powietrza, był tak bardzo zmęczony, że w końcu udało mu się zasnąć.

Kolejne dni miały w tym samym, niezmiennym rytmie. Emanuel był raczej słabowity i wrażliwy na słońce. Musiał przykrywać głowę chustą i przekupił Turka, żeby mu pozwolił pić co godzinę.

Po wykopaniu fundamentów niewolnicy zaczęli w nich układać kamienne bloki przywożone z portu na ciągnionych przez muły wozach. Układanie ciosanych głazów wymagało nie tylko nadludzkiego wysiłku, ale też niezwykłej czujności, by żaden z robotników nie został przygnieciony ogromnym kamiennym blokiem.

Popołudniami Giovanni w towarzystwie Georges'a udawał się do *funduku*, a Emanuel odpoczywał. Wieczorem wszyscy trzej spotykali się w tawernie, by sami lub wraz z pochodzącymi z różnych stron świata towarzyszami niedoli pić tanie wino lub inne miejscowe trunki.

Wszyscy przetrzymywani w lochach niewolnicy byli chrześcijanami. Jednak niektórzy z nich, mając nadzieję na poprawę warunków życia, odstąpili od wiary swoich ojców, przyjmując islam. Renegaci - bo tak ich nazywano - nie byli wolni, ale mogli swobodnie poruszać się po mieście. Pracując na terenie lochów lub poza nimi, zarabiali dodatkowy grosz. Byli źle widziani zarówno przez Turków, którzy nimi pogardzali, jak i pozostałych więźniów, którzy mieli im za złe

zaprzaństwo. Z tego powodu często byli agresywni i łatwo unosili się gniewem. Tak właśnie działo się z Mustafą, odszczepieńcem hiszpańskiego pochodzenia kierującym tawerną. Był to mężczyzna w nieokreślonym bliżej wieku, który uprzyjemniał sobie czas, wyzywając się na swoim pomocniku, Pippo. Giovanni głęboko współczuł wyrostkowi, zastanawiając się nawet, czy z dala od ludzkich oczu nie pada on ofiarą jeszcze większego okrucieństwa. Pewnego wieczoru, gdy zasiadł do stołu z przyjaciółmi, zagadnął Georges'a:

- Martwię się o Pippo. Jest blady jak ściana, a w jego oczach maluje się bezgraniczny smutek. Nie wydaje ci się, że będąc sam na sam ze swoim panem, chłopak znosi o wiele gorsze katusze?

- Wszyscy o tym wiedzą.

- Co wiedzą?

- Wszyscy wiemy, jaki rodzaj nadużyć popełnia Mustafa w stosunku do swojego niewolnika.

Giovanni zaniemówił.

Georges pochylił się do niego i wyszeptał:

- Uprawia to, co nazywamy tu sodomią.

- Chcesz przez to powiedzieć, że utrzymuje z chłopakiem grzeszne stosunki?

Georges skinął głową.

- I nic nie można na to poradzić? Nie można wydobyć dzieciaka z tego piekła?

- Pan ma do niewolnika wszelkie prawa: może go gwałcić, torturować, a nawet zabić. Mimo że sodomia jest surowo zakazana przez Koran, wielu właścicieli nadużywa swoich młodych chrześcijańskich niewolników i nic nie można z tym zrobić.

- To straszne! - wtrącił Emanuel.

- To, co jest straszne - podjął Giovanni - to nasz niewolniczy stan.

Pippo przyniósł trzy dzbanki wina. Giovanni spojrzał na niego z wyrazem szczerego współczucia i dał mu hojny napiwek. Chłopak podniósł wzrok w podzięcie, ale w jego smutnych oczach nie pojawił nawet najmniejszy blask. Nawet najmniejszy uśmiech nie rozwiął maski smutku.

Emanuel postanowił zmienić temat rozmowy.

66

- Czy wiesz, ilu nas żyje w tych opłakanych warunkach?

- W Algierze pasza ma około dwóch tysięcy niewolników. Właśnie z tego powodu Hayreddin zarządził wybudowanie trzech ogromnych podziemnych więzień. Ale oprócz tego około piętnasta tysięcy niewolników należy do liczącej około osiemdziesięciu tysięcy dusz ludności Algieru. Są to przeważnie chrześcijanie, ale ich los jest o wiele lepszy od naszego. Żyją w domach swoich panów i zazwyczaj są dobrze traktowani. Mogą się swobodnie poruszać po mieście,

wykonując polecenia pana. Warunkiem jest powrót do domu przed nocą.

- Nasze nieszczęście polega więc na tym, że zostaliśmy kupieni przez syna Hayreddina - Barbarossy i gnijemy teraz w tym ohydny lochu! - skomentował Emanuel. - I pomyśleć, że cieszyliśmy się, że kupił nas pasza!

W tym momencie na Georges'a wpadł przechodzący obok zalany w trupa więzień. Francuz uwolnił się od śmierdzącego cienkuszem i brudem ciała, powierzając je kompanom, którzy odprowadzili mężczyznę do celi i ułożyli na hamaku.

- Jest to jedyna rozrywka, na jaką nam ta pozwalają! - westchnął Georges, wracając na swoje miejsce.

- A nie ma tu panienek, jak w innych porządnym portach świata? - zapytał Emanuel, który w lot pojął aluzję.

- Oczywiście, że są! Miasto aż kipi od cór rozkoszy, chrześcijańskich niewolnic sprzedanych przez ich panów czy nawet porzuconych lub owdowiałych muzułmanek bez środków do życia. Ale niestety dla nas to zakazany owoc, bo musimy na noc wracać tutaj.

Georges przerwał na chwilę, po czym dokończył porozumiewawczo:

- Zawsze możemy przekupić janczarów i Arabów, u których pracujemy wieczorem i spotkać się z dziewczyną, ale to bardzo droga przyjemność. Wymieniasz miesiąc potu na dziesięć minut rozkoszy!

- Do czego nas ta sprowadzono! - zagrział Emanuel. - Oby dobry Bóg jak najprędzej uwolnił nas z tego piekła!

- To zależy, jak szybko wasi bliscy zapłacą za was okup. Pod warunkiem rzecz jasna, że pieniądze dotrą do paszy!

Giovanni i Emanuel wymienili posępne spojrzenia. Obaj wiedzieli, że skłamali zarówno kapitanowi szebeki, jak i paszy i że nie mogą liczyć na żaden okup. Giovanni myślał nawet, że trzeba czym prędzej zorganizować ucieczkę, bo kiedy wysłannicy paszy wrócą z Italii z pustymi rękami, przyjdzie mu drogo zapłacić korsarzom za kłamstwa, którymi ich uraczył. Mimo że słabo znał Georges'a, instynktownie czuł, że może mu zaufać. Postanowił otworzyć się przed nim. Spojrzał głęboko w oczy Emanuela, który bez słów zrozumiał pytanie i odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

- Georges, musimy ci coś wyznać - szepnął Giovanni, zbliżając się do Francuza na tyle blisko, by jego słów nie mógł usłyszeć nikt niepowołany.

67

- Planujemy uciec stąd tak szybko, jak tylko się da - ciągnął Giovanni. Jego słowom towarzyszył czujny i niespokojny wzrok Emanuela.

Georges milczał dłuższą chwilę, po czym odparł:

- Rozumiem was, przyjaciele. Sam powinienem był to zrobić wiele lat temu. Teraz brak mi odwagi. To bardzo ryzykowne przedsięwzięcie, a większość prób kończy się niepowodzeniem. Byłem już świadkiem wymierzanej publicznie chłosty. Krzyki mężczyzn poddawanych kaźni są nie do wytrzymania, a po odbyciu kary nieszczęśnicy nie mogą chodzić przez wiele tygodni. Myśl o tak wielkim cierpieniu odbiera mi chęć ucieczki.

- Ale przecież nie możesz chcieć zgnieć tutaj, z dala od twoich bliskich! - odparł Giovanni.

- Od ośmiu lat marzę o powrocie i wyobrażam sobie siebie wśród nich. Nie mam jednak odwagi, by przedsięwziąć cokolwiek, i żyję marzeniami.

- Ale nawet jeśli sam zrezygnowałeś z ucieczki, wiesz zapewne, jak się do tego zabrać?

- Oczywiście! O niczym innym nie myślę! Tak czy inaczej, nie można zbiec bez pomocy z zewnątrz. Jedyni więźniowie, którym się udało, wsiadali nocą na maleńką łódeczkę czekającą na nich w zatoczce za miastem.

- A jak można zdobyć taką pomoc?

- Istnieją dwie możliwości. Można wysłać list do chrześcijan mieszkających w miastach Bidzaja lub Oran, usytuowanych o kilka dni łodzią od Algieru, z prośbą, by czekali na nas w określonym miejscu i czasie. Można też opłacić Algierczyka, by pomógł nam wyjechać z miasta. Ale jest to bardzo drogie rozwiązanie, prawie równoważne wysokości okupu. No i niezwykle ryzykowne.

- Wykluczmy je zatem. Do kogo można napisać z prośbą o pomoc?

- Od czasu wypraw krzyżowych istnieją dwa zakony, których powołaniem jest uwalnianie chrześcijan z rąk niewiernych. Są to: trynitarze, czyli Zakon Świętej Trójcy, i Zakon Najświętszej Marii Panny Łaskawej, inaczej zwany zakonem mercedariuszy. Gromadzą środki, by wykupić chrześcijan z pogańskiej niewoli. Ale ponieważ Barbarossa wielokrotnie odmawiał uwolnienia jeńców, za których wplacono należny okup, już nie wysyłają pieniędzy władcy Algieru. Niemniej jednak, jeśli dostaną list zawierający szczegóły, na podstawie których można określić tożsamość niewolnika, nie bez wahania wynajmują barcę, by pod osłoną nocy przy płynąć po uciekiniera. Jest to możliwe tylko latem, podczas pełni księżyca, bo tylko wtedy mogą bezpiecznie płynąć.

- Wspaniałe rozwiązanie! Ale jak wysłać list? - gorączkował się Giovanni, czując, że sprawa wcale nie jest prosta.

- Dotknąłeś sedna sprawy - odparł Georges z uśmiechem. - Tu też trzeba będzie zapłacić. Można poprosić któregoś z chrześcijańskich niewolników o dostarczenie listu jednej z wyruszających do Bidzai lub Oranu karawan. Cena jest rozsądna, ale istnieje ryzyko przechwycenia listu przez osoby niepowołane. Wówczas rozpoznani na jego podstawie niewolnicy dostaną trzysta uderzeń pałką w pięty. Widziałem tę kaźń już parę razy!

Giovanni spojrzał na Emanuela. Jego przyjaciel spuścił wzrok.

- Tak czy inaczej, to warte zastanowienia - podjął. - Przyznam, że nie mam ochoty gnić tu ani chwili dłużej. Jeśli zdecydujemy się na ucieczkę, pomożesz nam skontaktować się z chrześcijańskimi niewolnikami?

- Oczywiście. Nawet mogę wam powiedzieć, ile to was będzie kosztowało: dwieście piaszków.

Emanuel wlepił w Giovanniego beznadziejne spojrzenie.

- Daleko nam do posiadania tej sumy!

- Jeśli obaj będziecie codziennie dodatkowo pracować, zbierzecie pożądaną sumę w niecały rok - odpowiedział Georges.

W tym miejscu rozmowę przerwało pojawienie się przy ich stole grupy nieznanych niewolników, którzy przyszli topić smutki w dzbanie wina. Tej nocy Giovanni znowu nie mógł zasnąć. Bez przerwy rozmyślał o przedstawionym przez Francuza planie ucieczki, zastanawiając się, w jaki sposób najszybciej zdobyć niezbędną sumę. Wiedział bowiem, że nie może czekać cały rok.

Nazajutrz po południu, gdy wracał z pracy w cytadeli, przyszedł po niego czarny niewolnik, który miał go zaprowadzić do pałacu paszy na spotkanie z zarządcą.

Giovanni przeszedł przez ozdobiony drzewami owocowymi, okalający Dzeninę ogród. Minął obsadzone pachnącą roślinnością fontanny i wszedł do komnaty, w której Ibrahim zwykł był przyjmować gości. Niewolnik wskazał Giovanniemu miejsce na niewielkiej ławie, częstując go wielbłądzim mlekiem i świeżymi daktylami. Giovanni z radością przyjął ten poczęstunek. Siedząc na wygodnej poduszce z czerwonego aksamitu, podziwiał marmurowe ściany ozdobione trzema arabskimi literami.

Ibrahim stanął nagle w progu. Towarzyszył mu odziany nader skromnie, starszy mężczyzna.

- Ach, pan Da Scola. Mam nadzieję, że warunki życia w lochach są znośne!

- Nie wiem, co odpowiedzieć. Żyję jeszcze, ale przyznam, że najchętniej czym prędzej opuściłbym to miejsce.

Ibrahim zajął miejsce na ławie.

Towarzyszący mu mężczyzna usiadł obok niego.

- To zależy tylko od pana, przyjacielu. A raczej od hojności pana bliskich. Spotykamy się tutaj, by wspólnie ustalić wysokość okupu. Przedstawiam panu Izaaka - powiedział, wskazując siedzącego obok mężczyznę. - To jeden z moich żydowskich posłańców. Musimy mu podać jak najwięcej szczegółów dotyczących pańskiej tożsamości, by mógł z łatwością odnaleźć pana rodzinę. Pochodzi pan z Kalabrii, jak sądzę?

Giovanni poczuł, jak na czole zaczynają mu się perlić krople potu.

Pułapka, w której się znalazł na własne życzenie, zaczynała się zatrząskiwac. Przez chwilę

pomyślał, że być może lepiej byłoby od razu wyznać prawdę temu uprzejmemu mężczyźnie, ale przypomniał sobie, co Georges mówił o wadze, jaką muzułmanie przywiązują do danego słowa.

Z całą pewnością przyszłoby mu drogo zapłacić za stek kłamstw, którymi uraczył korsarzy. Na pewno wróciłby na galere, a stamtąd raczej się nie ucieka... Nie. Ma tylko jedno wyjście: brnąć dalej, grać jak najlepiej w tę grę i uciec, zanim stary Żyd powróci z wyprawy i doniesie paszy o oszustwie.

- Zrobię wszystko, czego sobie życzysz, panie, by tylko odzyskać wolność - odpowiedział. - Ale czy wiesz, ile jeszcze będę musiał czekać?

Ibrahim spojrział na Izaaka. Żyd powoli pogładził brodę, po czym odezwał się nienagannie po włosku, kontrastującą z silnym akcentem i ubogim słownictwem Ibrahima.

- Za tydzień wyruszam w podróż do Królestwa Neapolu. Będę negocjował w sprawie czterech jeńców. Zważywszy na czas podróży i czas potrzebny na zgromadzenie pieniędzy, nie spodziewam się wrócić szybciej niż za trzy miesiące.

- Czym są trzy miesiące w życiu człowieka, choćby nawet był niewolnikiem, skoro wie, że wkrótce odzyska wolność? - odpowiedział Ibrahim z uśmiechem.

Giovanni milczał. Wiedział, że w tak krótkim czasie nie zdoła zgromadzić dwustu piastrów. Musi znaleźć inne rozwiązanie, przygotowując plan ucieczki.

Ibrahim dał znak niewolnikowi, który ponownie podał Giovanniemu talerz z daktylami i napełnił opróżniony kielich. Następnie szczegółowo wypytał młodzieńca o stan posiadania jego i jego rodziców. Giovanni improwizował. Wreszcie, po niekończącej się wymianie zdań po arabsku, którą zarządca paszy przeprowadził z Żydem, ustalono wysokość okupu za Giovaniego i jego sługę na sto złotych dukatów. Giovanni nie miał pojęcia, jaką rzeczywistą wartość przedstawia ta suma.

Następnie Izaak wypytał go o miejsce zamieszkania. Giovanni znowu dał dowód bogatej wyobraźni, wymyślając tysiące szczegółów, które miały doprowadzić wysłannika paszy do nieistniejącego domu jego rodziców.

W końcu niewolnik przyniósł Giovanniemu kałamarz, papier i pióro, a Ibrahim podyktował mu list do rodziców (gdyż młody człowiek utrzymywał, iż nie jest żonaty).

Giovanni napisał wszystko bez mrugnięcia okiem, podkreślając, jak mu kazano, wysokość żądanej kwoty i wyolbrzymiając cierpienia, które znosił w niewoli. Rzecz jasna, by wzbudzić współczucie swoich bliskich. Kiedy napisał i podpisał dyktowany przez Ibrahima list, Izaak pożegnał się i wyszedł.

Ibrahim zauważył na prawej, zakutej w żelazo kostce Giovaniego jątrzącą się ranę. Natychmiast wezwał kolejnego niewolnika z gojącymi maściami.

Czekając na spełnienie polecenia, zapytał Giovaniego, co myśli o Algierze.

- To bardzo piękne miasto - odpowiedział szczerze młodzieniec. - Wydaje się być rajem na

Ziemi, jeśli żyje się w nim jako człowiek wolny.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, abyś tu został, kiedy już zostaniesz uwolniony - odparł Ibrahim, uśmiechając się chytrze. - Niektórzy z wyzwolonych niewolników wolą zostać tu niż wracać do siebie!

- Kocham moich bliskich i mój kraj - odpowiedział Giovanni.

- Oczywiście. Powiedziałem to tylko na wszelki wypadek. Poza tym musiałbyś przyjąć naszą wiarę, a tego prawdopodobnie także byś nie chciał.

Giovanni nie odpowiedział. Spojrzał na ściany, pytając gospodarza o zdobiące je arabskie litery.

- To oznaczające Boga litery *Alif, Lam i Ha*. W najważniejszym wersecie Koranu: *la ilaha Ula Allah*, co znaczy: „Nie ma Boga poza Allahem” są tylko te trzy litery. Widzisz, w przeciwieństwie do was, chrześcijan, pragnąc uniknąć bałwochwalstwa, nie malujemy podobizn Boga ani Proroka, ani portretów ludzi. Jedynym sposobem, w jaki przedstawiamy Boga jest pisanie na księgach, ścianach lub rozmaitych przedmiotach pewnych liter lub wersetów Koranu.

- Całkiem mądrze - odpowiedział Giovanni, myśląc o twarzy Eleny, której rysy nieświadomie nadawał pisanej przez siebie ikonie Bogurodzicy. Następnie spytał:

- Czy korzystając z zaszczytu, że mogę rozmawiać z wielkim zarządcą paszy, mógłbym zapytać o pewną rzecz dotyczącą sultana Sulej mana i Hayreddina?

- Oczywiście.

- Tak się składa, że spotkałem kiedyś przelotnie Julię Gonzagę. Na dźwięk tego nazwiska Ibrahim nadstawił uszu.

- Jeden z jej przyjaciół, Juan de Valdés, opowiedział mi jakiś czas później jej niewiarygodną historię. Czy to prawda, że Hayreddin próbował ją uprowadzić na zlecenie Sulejmana, który słyszał o jej zjawiskowej urodzie?

Przez chwilę Ibrahim zachował nieprzenikniony wyraz twarzy, patrząc rozmówcy prosto w oczy. Następnie odpowiedział spokojnie.

- Niezupełnie tak było. Czy słyszałeś już historię Roksolany, faworyty z sultańskiego haremu, i wielkiego wezyra Ibrahima?

- Nie, nie słyszałem.

- Zatem, jeśli lubisz słuchać opowieści o dworskich intrygach, nie będziesz rozczarowany.

Ibrahim przerwał, dając niewolnikowi czas na opatrzenie udręczonej kostki Giovanniego. Następnie, korzystając z pięknej pogody chłodnego wieczoru, zaproponował gościowi przechadzkę w ogrodzie.

- To, co usłyszysz, jest dziś tajemnicą poliszynela tak w Stambule, jak tutaj, ale swego czasu, była to jedna z najbardziej niesłychanych intryg na sultańskim dworze. Wszystko zaczęło się

od rywalizacji pomiędzy dwoma najbardziej wpływowymi osobami mającymi dostęp do naszego umiłowanego Sulejmana, zwanego Kanuni, czyli Prawodawcą. Pierwszą z nich był wielki wezyr Ibrahim, przyjaciel Sulejmana. Ibrahim był chrześcijaninem, synem greckiego rybaka porwanym w wieku dwunastu lat przez tureckich piratów i sprzedanym jako niewolnik wdowie, która zawiozła go do Manisy, gdzie Sulejman był wówczas namiestnikiem.

Przyszłego sułtana zachwycała uroda i inteligencja młodego niewolnika, który pięknie się wysławiał, śpiewał ody i pisał wiersze. Sulejman wziął go na służbę i, ku oburzeniu całego dworu, mianował szefem służby w swej sypialni. Ibrahim przeszedł na islam, odebrał bardzo staranne wykształcenie i poznał wiele języków obcych. Kiedy Sulejman wstąpił na tron, Ibrahim pojechał z nim do Konstantynopola, natychmiast stając się drugą po sułtanie osobą na dworze i wzbudzając zazdrość i urazę wysokich dygnitarzy *dywanu*. Ibrahim miał jednak rywala, którego podszeptom Sulejman dawał taki sam posłuch i który niweczył plany wezyra dotyczące stosunków dyplomatycznych imperium z królestwami chrześcijańskimi - dziedziną tą ów rywal pasjonował się nade wszystko z racji swego pochodzenia. Tym rywalem była kobieta, faworyta sułtańskiego haremu: Roksolana.

Zarządca zaproponował, by usiedli na obramowaniu jednej z fontann i poprosił niewolnika o przyniesienie świeżo wyciśniętego soku z owoców. Następnie, czując, że Giovanni słucha go z wielkim zainteresowaniem, podjął przerwany wątek, lubując się każdym wypowiedzanym słowem.

- Historia Roksolany, jak najbardziej prawdziwa, godna jest *Baśni z tysiąca i jednej nocy!* Jak powiadają, dziewczyna nazywała się Aleksandra i pochodziła z Rohatyna na południowym zachodzie Rusi. Była córką prawosławnego kapłana uprowadzoną w jasyr przez Tatarów i sprzedaną do tureckiej niewoli. Miała wówczas dziesięć lat. Z racji niezwykle białej skóry i rudych, niespotkanych wśród Turczynek włosów, została kupiona przez matkę sułtana z przeznaczeniem do synowskiego seraju.

Ze względu na jej ruskie pochodzenie nazywano ją Rossą a następnie Roksolaną. Dziewczyna przyjęła islam i nauczyła się języka tureckiego.

Gdy dojrzała, sułtańska matka oddała ją w ręce *haznedar usta*, damy dworu, która nauczyła ją zaspokajać potrzeby przyszłego małżonka i wyjaśniła, że niebawem, wraz z grupą dziesięciu dziewczic, zostanie przedstawiona sułtanowi. Jeśli Sulejman upuści przed nią chustkę, będzie to oznaczało, że tej nocy odwiedzi ją w sypialni.

Ale pierwszego spotkania z Sulejmanem Roksolaną omal nie przypłaciła życiem, bo kiedy władca rzucił chusteczkę do jej stóp, stała dumnie bez najmniejszego uśmiechu, nie okazując wdzięczności ani zadowolenia.

Znieważony sułtan nie krył oburzenia. Wówczas Roksolaną powiedziała, że wystrojono ją jak jałówkę idącą na rzeź i że nikt nie pytał jej o zdanie! Kiedy eunuchowie pojмали ją w

oczekiwaniu na surowy wyrok sułtana, dziewczyna zaproponowała Sulejmanowi partię szachów. Zbity z tropu władca zgodził się i dostał mata w jednym z pierwszych ruchów! Jakkolwiek dziwne się to wydaje, zakochał się w tej inteligentnej, odważnej i energicznej dziewczynie, która zawsze była wierna sobie. Wkrótce stała się faworytą w sułtańskim seraju, a Sulejman nie mógł się obejść bez jej rad w sprawach dotyczących polityki imperium.

Odsunięty od łask Ibrahim poczuł zazdrość. Wtedy właśnie usłyszał o Julii Gonzadze, jej niewysłowionej urodzie i inteligencji.

W tym miejscu zarządca przerwał opowieść, pytając Giovanniego:

- Czy jest tak piękna, jak o niej mówią?

- Prawdę mówiąc, widziałem ją tylko przelotnie i z daleka. Była w ośląkanym stanie: po całonocnej jeździe konnej, w męskim przebraniu. Niemniej jednak poruszyła mnie siła jej spojrzenia, piękno jej długich, kasztanowych włosów oraz subtelność i szlachectwo jej twarzy.

Ibrahim pogładził swoją cienką brodę, nie spuszczać wzroku z Giovanniego.

- Wielki wezyr zlecił korsarzowi Barbarossie porwanie tej kobiety z zamiarem ofiarowania jej sułtanowi. Miał cichą nadzieję, że stanie się jego sprzymierzeńcem, że usunie Roksolanę w cień, i zajmie jej miejsce w sercu Sulejmana. Ale do sułtańskiej faworyty dotarły wieści o nieudanej wyprawie korsarza. Od tej pory poprzysięgła Ibrahimowi zemstę. Rozsyłając niezliczoną liczbą szpiegów, zdołała w końcu przechwycić kompromitujący wezyra list, w którym Ibrahim proponował tajny układ Ferdynandowi, rodzonemu bratu cesarza Karola Piątego. List kończył się tymi słowami: *Sultan zrobi wszystko, co zechcę, gdyż od najmłodszych lat stałem się mu bratem. I chociaż udaję, że przyjąłem islam, w sercu nadal jestem chrześcijaninem.* Na to tylko czekała Roksolana. Niezwłocznie pokazała list Sulejmanowi. Ten zrazu nie uwierzył, potem wpadł w szal, zalał się rzewnymi łzami, a na koniec skazał swego serdecznego przyjaciela na śmierć. Wydał go w ręce faworyty, która zleciła zabójstwo siedmiu eunuchom. Ibrahim został zamordowany nocą, we własnej sypialni. By zniechęcić innych do zdrady, Sulejman nie pozwolił zmyć śladów krwi wezyra ze ścian i podłogi sypialni.

Ibrahim zamilkł. Spojrzał w czerwieniejące zachodem niebo.

- Zatem po powrocie do Italii będziesz mógł przedstawić Julii prawdziwe przyczyny najazdu! Teraz robi się późno. Ali odprowadzi cię do lochu. Przykro mi, że musisz znosić tak niedogodne warunki. Planujemy budowę więzień z oknami i tarasami na dachach. Ale zanim je pobudujemy, na pewno będziesz już w domu!

- *Insha Allah*, jak mówicie. Wszystko w rękach Boga.

- *Insha Allah!* I niech Bóg ma pana w swojej opiece, panie Da Scola.

68

Natychmiast po powrocie do lochu Giovanni udał się wprost do tawerny.

Szczęśliwym trafem byli tam Georges i Emanuel, którzy właśnie wrócili z pracy w *funduku*. Giovanni wziął ich na stronę.

- Robi się gorąco, przyjaciele. Ibrahim wypytywał mnie o majątek, dom i rodzinę. Nakarmiłem go stekiem kłamstw. Ostatecznie ustalił wartość naszego wykupu na sto sztuk złota.

- Nieźle! - powiedział Georges, który już od dawna tylko się śmiał z ich wspólnego, tragicznego losu.

- Tak czy inaczej, wysłannik wróci za kilka miesięcy i zostaniemy zdemaskowani.

- Już to kiedyś widziałem. Tego samego dnia oszust trafił na galere.

- Tego się właśnie obawiam! - odparł Giovanni. - Bezwzględnie musimy zbiec przed powrotem starego Żyda z Italii. Ale jak to zrobić, nie mając pieniędzy?

- Nie ma żadnego sposobu. Możemy, co prawda, uspić czujność strażników, a nawet przepiłować kajdany, ale nikomu nie uda się opuścić miasta bez pomocy z zewnątrz. Ani wodą, ani lądem. Niektórzy próbowali wmieszać się w którąś z opuszczających miasto karawan, ale bardzo szybko zdradzała ich słaba znajomość arabskiego i miejscowych zwyczajów. Byli natychmiast demaskowani i odsyłani do więzienia.

- Ale przecież musimy coś wymyślić! - powiedział zaniepokojony Emanuel. - Nie ma gorszego losu niż trafić na korsarską galere. Nie dalej jak za trzy lata czeka nas niechybna śmierć pod batogiem lub z wycieńczenia i głodu.

Nastała martwa cisza, znak najczarniejszego zwątpienia.

- Pozostało wam tylko modlić się o cud, przyjaciele. Bo nie widzę dla was żadnego wyjścia - powiedział cicho Georges, zwieszając głowę.

- Mówisz jak Ibrahim, który polecił mi opatrności bożej - jęknął zrozpaczony Giovanni. - Ale ja od pewnego czasu nie wierzę już ani w Boga, ani w Jego cuda.

Mijały dni. Życie w więzieniu toczyło się normalnym rytmem, a Giovanni wciąż rozpaczliwie szukał możliwości ucieczki.

Pewnego ranka zdarzył się nieprzewidziany wypadek.

Dwustu jeńców zostało przewiezionych statkiem w miejsce, gdzie ścinano drzewa potrzebne do budowy szebek. Wyprawą osobiście kierował Ibrahim, który lubił czasem wyjeżdżać z al-Dzaza'iru. Podczas gdy siedzący na plaży więźniowie posilali się pod czujnym okiem pięćdziesięciu janczarów, do Ibrahima podszedł strojnie odziany mężczyzna w towarzystwie dwóch służących.

Nieznajomy, który przedstawił się Ibrahimowi jako namiestnik sąsiedniego miasta, wyjaśnił, iż jest pobożnym muzułmaninem i spełnił już wszystkie, z wyjątkiem jednego, przykazania Proroka.

- Jakiego? - spytał Ibrahim.

- Nie miałem jeszcze okazji zabić własnymi rękami ani jednego niewiernego psa - odpowiedział namiestnik.

- I czego sobie życzysz w związku z tym? - zapytał Ibrahim, nieco zaskoczony wyznaniem nieznajomego.

- Skoro przyprowadziłeś tu setki chrześcijańskich niewolników, może zgodziłbyś się, bym zabił jednego z nich, spełniając tym samym wolę Proroka? Zapłacę każdą cenę.

Ibrahim zamyślił się przez chwilę, po czym wręczył mężczyźnie szablę jednego z janczarów.

- Przyznaję ci tę łaskę. Oto szabla. Daj mi pięćset piastrów. Tyle jest warte życie najbliższego z nich.

- Niech Allah cię błogosławi - odrzekł mężczyzna, biorąc do ręki broń. Następnie polecił jednemu ze swych ludzi, by wypłacił Ibrahimowi należną kwotę. Zarządca przyjął zapłatę, po czym odwrócił się do sparaliżowanych ze strachu niewolników i przemówił do nich *we franko*:

- Czy któryś z was umie władać szablą? Więźniowie patrzyli na niego ze zdziwieniem.

- Hejże! Niechże ten, który umie się bić, ma odwagę stanąć do równej walki na szable. W przeciwnym razie sam któregoś wyznaczę.

Na te słowa wystąpił Giovanni.

- Ja umiem władać bronią.

Ibrahim zawahał się przez chwilę, jakby w obawie przed utratą niewolnika, który może mu przynieść sto dukatów zysku. Następnie ogarnął spojrzeniem zdecydowaną postawę Giovanniego i przerażoną twarz namiestnika, który mimo że nie znał *franko*, zaczął rozumieć, że sprawy przyjmują niezupełnie taki obrót, jaki sobie zaplanował. Zarządca uznał, że nic nie ryzykuje i wręczył Giovanniemu swój własny pałasz, nakazując jednocześnie janczarom, by rozkuli więźnia.

- Jak to! - wrzasnął oburzony namiestnik miasta. - Dajesz niewiernemu broń i zdejmujesz mu łańcuchy?

- A co myślałeś? Koran nakazuje nam walczyć z niewiernymi w obronie życia lub wiary. Ale gdzie wyczytałeś, że Prorok każe nam zabić bezbronnego człowieka, który w żaden sposób nie chce wyrządzić ci krzywdy? Czy sądzisz, że Koran nakłania nas do zbrodni?

Mężczyzna zamilkł. Na znak Ibrahima Giovanni stanął naprzeciw mężczyzny.

- Co robisz? Chcesz, bym zginął z jego ręki? - wrzasnął. - Zaklinam cię na Allaha. Nakaż mu mnie oszczędzić!

Ibrahim spojrzał Giovanniemu w oczy.

- Twój przeciwnik odmawia walki. Masz zatem prawo zażądać zadośćuczynienia. Jaka jest twoja cena?

- Ten człowiek dał ci pięćset piastrów za życie niewolnika. Rozumiem zatem, że życie

muzułmańskiego szlachcica warte jest co najmniej tyle samo?

Ibrahim uśmiechnął i przetłumaczył odpowiedź namiestnikowi miasta, który bez targów przyjął warunki. Służący wypłacił Giovanniemu należną sumę, po czym trzej mężczyźni oddalili się biegiem, nie odwracając się za siebie, z obawy, by nie przytrafiło się im coś znacznie gorszego.

Ta sytuacja setnie rozbawiła strażników i szczerze uradowała więźniów, z których każdy wieszował zwycięzcy odwagi.

Natychmiast po powrocie do lochu podniecony Giovanni odnalazł Georges'a i Emanuela i opowiedział im niesłychaną historię.

- To cud! - wykrzyknął Emanuel. - Od naszej ostatniej rozmowy nieustannie modłę się do Najświętszej Pani! I oto z nieba spływa na nas ten nieoczekiwany dar!

Giovanni nie odpowiedział, nie wiedząc, co o tym myśleć. Jedyne, czego był pewien, to fakt, że zdobyte pieniądze otworzą mu drogę do wolności.

Georges z trudem oderwał wzrok od lśniących monet, po czym burknął:

- Jeszcze w tym tygodniu musicie wysłać list do ojców trynitarzy z Oranu, by zdążyli przygotować ucieczkę i powiadomić was o czasie i miejscu, w którym będzie czekała łódź, zanim pasza odkryje szalbierstwo.

- Niech tak będzie - odpowiedział Giovanni z entuzjazmem. - Ale pod jednym warunkiem: Georges, idziesz z nami!

- Oczywiście - wtrącił się Emanuel, chwytając przyjaciela za nadgarstek.

Georges zamilkł na chwilę, po czym wydusił z siebie:

- Dzięki. Dzięki z całego serca, ale gdybym miał odwagę uciec, już dawno odłożyłbym pieniądze. Tak bardzo się boję, że list zostanie przechwycony przez Turków! Za nic na świecie nie chcę dostać trzystu batów w pięty. Tak to wygląda. Jestem tchórzem.

Mimo nalegań obydwu przyjaciół Francuz był nieprzejednany. Jednak dzięki swoim koneksjom załatwił papier i atrament, po czym przekazał list wraz z sumą dwustu piastrów pewnemu Maurowi, który znał adres ojców trynitarzy i wiedział, w jaki sposób przekazać wiadomość. Pierwsza część planu powiodła się. Teraz pozostawało czekać na odpowiedź. Potem, jeśli poczta dotrze do adresatów, trzeba będzie, w stosownym momencie, wymknąć się janczarom.

Giovanni żył oczekiwaniem, w którym nadzieja mieszała się z obawą. Dniem i nocą jego umysł zaprzętała tylko ta jedna myśl. Obserwując janczarów, zdołał opracować najlepszy plan ucieczki.

Bez wątplenia świetną okazją był czas pracy w *funduku*: Mehmet przeważnie odpoczywał w swoim pokoju, a drzwi zewnętrzne były otwarte. Wystarczy poczekać, aż przy wejściu nie będzie nikogo ze straży ani niewolników, wymknąć się i wmiszać się w tłum. Ale nade wszystko należy uwolnić się z kajdan. W przeciwnym razie zbiegowie natychmiast zostaną rozpoznani. I tym razem

Giovanni skorzystał z pomocy Francuza: za kilkadziesiąt piastrów kupił od jednego z renegatów niewielki pilnik. W przeddzień ucieczki wystarczy nadpiłować łańcuchy, by następnie szybko się ich pozbyć, ukrywając zakuwające kostki kajdany pod obszernymi, spływającymi aż do stóp dżalabijami, które z całą pewnością bez trudu ukradną w *funduku*.

Trzy tygodnie po wysłaniu listu ten sam arabski posłaniec dyskretnie wręczył wracającemu z *funduku* Georges'owi maleńki bilecik. Wróciwszy do więzienia, Francuz rozwinął liścik w obecności dwójki przyjaciół. Na kartce widniały następujące słowa:

Niech obaj chrześcijanie będą na przylądku Matifou najbliższej nocy o pełni księżyca.

69

Nadeszła wigilia dnia, w którym Giovanni i Emanuel mieli odzyskać wolność lub zostać poddani kaźni. Swoim zwyczajem spotkali się wieczorem w tawernie, by napić się z Georges'em taniego wina i omówić ostatnie szczegóły. W miarę zbliżania się wyznaczonego terminu Francuz stawał się coraz bardziej markotny. Swoją melancholię tłumaczył, mówiąc, że będzie bardzo tęsknił za przyjaciółmi. Ale Giovanni domyślił się, że toczy go zupełnie inna, głębsza tęsknota. W związku z tym przemówił tymi słowy:

- Przyjacielu, rozumiem twoje obawy, ale jestem pewien, że wreszcie zdobędziesz się na odwagę, przezwycięzysz strach i zawalczysz o wolność. Nieważne, czy będzie nas na łodzi dwóch, czy trzech. Twoje miejsce jest przy nas.

Emanuel potwierdził skinieniem głowy. Georges nie krył wzruszenia, a jego oczy wypełniły się łzami. Widząc płacz tak dobrej duszy, Giovanni poczuł, jak ściska mu się serce, a jego piękne, czarne oczy zwilgotniały.

- Sam już nie wiem - odparł w końcu Francuz łamiącym się głosem.

Giovanni uścisnął jego dłoń.

- Nie myśl tyle i bierz się do dzieła. Chodź z nami. Zostaw strach za drzwiami więzienia.

Georges spojrzął w oczy przyjaciołom, którzy nie spuszczaali z niego wzroku. W końcu podniósł się z ławy.

- Zatem będzie nas trzech - odparł, wzdychając ciężko. Emanuel nie krył radości i uściskał przyjaciela, a Giovanni serdecznie klepnął go w plecy. Georges uśmiechnął się: - Nie przeżyłbym tu ani dnia dłużej, wiedząc, że straciłem swoją szansę. Teraz, kiedy kości zostały rzucone, przygotujmy się na jutro. Naszymi krokami nie może rządzić przypadek!

- Zanim zabierzemy się do pracy, mam dla was pewną propozycję - odparł Giovanni.

Emanuel i Georges spojrzeli na niego uważnie.

- Skoro może być nas trzech, to może moglibyśmy wyruszyć we czwórkę?

- Kogo masz na myśli? - bąknął zaniepokojony Emanuel.

- Młodego Pippo.

Obaj mężczyźni wytrzeszczyli oczy.

- Wiemy dobrze, że dzieciak chciałby stąd uciec bardziej niż ktokolwiek inny.

- Z pewnością - odparł Georges. - Ale to wiąże się z dodatkowym ryzykiem.

- Jakim? - zapytał Giovanni.

- Osobiście widzę przynajmniej dwa zagrożenia. Po pierwsze, może się zgodzić, a następnie sprzedać nas Turkom w zamian za wolność lub wyjście z lochu. Nie możemy nie brać pod uwagę takiej możliwości. Po drugie, nie pracuje z nami w *funduku*, zatem będzie niezwykle trudno zabrać go ze sobą.

- Wszystko wymaga namysłu - odpowiedział niepewnie Emanuel.

- Myślałem o tym - ciągnął Giovanni. - Moglibyśmy przekupić jego właściciela, naszego janczara Mehmeta oraz właściciela *funduku* i jutro zabrać chłopaka do miasta. Damy wszystkim do zrozumienia, że chcielibyśmy zabawić się jego kosztem. To ty, Georges, podsunąłeś mi ten pomysł, mówiąc, że to powszechne wśród więźniów, którzy często sprowadzają prostytutki do domów, w których pracują. Kiedy już chłopak będzie z nami, zaproponujemy mu ucieczkę. Jeśli odmówi, a my pocujemy z jego strony choćby najmniejsze zagrożenie, zostawimy go związanego i zakneblowanego, by nie mógł nas wydać. Natomiast jeśli się zgodzi pójść z nami, zabierzemy go ze sobą.

- Twój plan wydaje się sensowny i ma jeszcze jedną zaletę: zostawią nas w pokoju samych, co znacznie ułatwi ucieczkę - odparł Georges po chwili namysłu.

- Nie byłbym taki pewny - odrzekł Emanuel. - Nie obawiacie się, że Mehmet albo Mustafa wydadzą nas zarządcy?

Przecież islam surowo zabrania homoseksualizmu. Zamiast uciec, trafimy do karceru!

- Istnieje taka możliwość, ale ryzyko jest minimalne. Mustafa nas nie wyda, bo sam za bardzo lubi chłopców. Mehmet z kolei za bardzo kocha pieniądze i jest wyzuty z wszelkich zasad. Właściciel *funduku* z kolei brał już ode mnie pieniądze, kiedy sprowadzałem tam prostytutki.

Giovanni i Emanuel spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

- Nie ma się czemu dziwić! Czasem ulegałem żądzy. Jak wam się wydaje? Osiem lat bez kobiety to bardzo długo!

- Nie osądzamy cię, Georges. Zapewne za parę miesięcy sami zrobilibyśmy to samo! - odparł rozbawiony Giovanni. - Ale wyglądałeś na świętoszka. Poza tym z takim niesmakiem opowiadałeś nam o tego rodzaju praktykach!

- Dobrze - powiedział poważnie Emanuel. - Uspokoileś mnie. Nie mam więcej obiekcji co do planu Giovanniego. Ja też z bólem w sercu patrzę na cierpienie tego chłopca.

- Wspaniale - podjął Giovanni. - Mamy jeszcze sto osiemdziesiąt piastre w. Georges, jak myślisz, ile trzeba dać i komu, żeby nam się udało?

- Na wszelki wypadek, aby uniknąć zbyt długich targów, podzielił kwotę na trzy: pięćdziesiąt dla Mustafy, pięćdziesiąt dla janczara i pięćdziesiąt dla Maura. Za tę cenę żaden z nich nie powinien odmówić i jeszcze zostanie trzydzieści piastrów na nieprzewidziane wydatki.

- Dobrze. Idę teraz do Mustafy. Ty zajmiesz się jutro dwójką pozostałych.

Giovanni dał Francuzowi sto piastrów, a sam udał się do karczmarza, prosząc go o chwilę rozmowy sam na sam. Mustafa zgodził się niechętnie.

Po chwili Giovanni wrócił do stołu.

- Był kompletnie zaskoczony, a nawet udawał, że nie rozumie, o co mi chodzi, ale na widok pieniędzy zmienił zdanie. Powiedział: „Weźcie ze sobą chłopaka jutro wieczorem i róbcie z nim, co chcecie, ale jeśli zostaniecie przyłapani, nie było tej rozmowy. Zaprzeczę, że dostałem od was pieniądze i że wiedziałem o czymkolwiek”.

- W sumie się nie dziwię - skomentował Francuz. - Porozmawiam z Mehmetem jutro przed samym wyjściem, żeby nie miał zbyt wiele czasu do namysłu.

- Doskonale - podsumował Emanuel.

Żaden z trzech spiskowców nie zmrużył oka. Każdy z nich miał nadzieję, że jest to ostatnia noc, którą spędzają w tym przeklętym miejscu.

Podając sobie dyskretnie pilnik, nadpiłowali pierwsze ogniwo przykutego do kostek łańcucha, zostawiając cienką warstwę żelaza, które miało ustąpić pod wpływem mocnego uderzenia. W dzień pracowali jak zwykle na placach budowy, zachowując szczególną ostrożność, by uniknąć zranienia lub kary, które mogłyby udaremnić nocne plany.

W końcu nadeszła wyczekiwana chwila. Muezin wezwał wiernych na popołudniową modlitwę i niewolnicy wrócili do więzienia. Giovanni udał się wprost do tawerny. Obawiał się, że Mustafa może zmienić zdanie. Oczywiście chciwiec natychmiast zażądał dwadzieścia piastrów więcej. Giovanni odszedł, udając, że w takim razie rezygnuje, ale Mustafa pobiegł za nim, szepcząc do ucha, że się zgadza i że kiedy Giovanni już raz zasmakuje w chłopcu, z całą pewnością następnym razem zapłaci mu dużo więcej. Giovanni ze wszystkich sił powstrzymał się, by go nie uderzyć.

Mustafa wezwał Pippo i bez zbędnych wyjaśnień nakazał mu iść z Giovannim i być mu posłusznym. Chłopak rzucił Giovanniemu ponure spojrzenie i poszedł z nim do wyjścia z więzienia, przy którym czekali Emanuel i Georges z Mehmetem. Widząc lubieżny wzrok Mehmeta, Giovanni zrozumiał, że dobito targu.

Czterej mężczyźni i wyrostek przeszli przez kazię. Pippo najwyraźniej nigdy wcześniej nie opuszczał więzienia, gdyż był miastem jednocześnie przerażony i zachwycony: widokiem sprzedawców i towarów, zapachem perfum i feerią barw. Kiedy doszli do *funduku*, Georges poszedł rozmówić się z właścicielem, a pozostali mężczyźni czekali na niego w patio. Giovanni z

niepokoje obserwował sposób, w jaki Mehmet patrzy na chłopca. Po kilku minutach Georges wrócił w towarzystwie Maura, który wymienił z janczarem kilka zdań po arabsku. Następnie Mehmet wszedł na pierwsze piętro, zachęcając mężczyzn, by poszli za nim. Georges mrugnął do przyjaciół okiem na znak, że wszystko idzie zgodnie z planem. Mehmet otworzył drzwi, wpuszczając trzech przyjaciół z wyrostkiem do obszernego pomieszczenia. Pippo był wyjątkowo niespokojny. Najwyraźniej zaczynał pojmować, co go czeka. Ale ku zaskoczeniu chrześcijan, janczar wszedł z nimi do pokoju. Georges przypomniał warunki umowy, ale Turek pozostawał głuchy na wyjaśnienia, wyraźnie dając do zrozumienia, że chce skorzystać z nadarzającej się okazji. Widząc taki obrót spraw, Giovanni postanowił postawić wszystko na jedną kartę i przyjaźnie klepnął janczara w plecy. Turek rozluźnił się i zdjął swój szeroki pas. Następnie rzucił się na kanapę, dając więźniom znak, by zaczynali. Giovanni, nadal grając komedię, usiadł obok niego zadowolony, proponując Georges'owi, by zajął się chłopcem. Kompletnie załamany Pippo stał w kącie. Francuz wziął go za rękę i zaprowadził na kanapę stojącą naprzeciwko tej, na której rozsiadł się Turek. Pippo poszedł za nim ze spuszczonego wzrokiem. W tym momencie Giovanni rzucił się na janczara, przyduszając go poduszką. Emanuel i Georges pospieszyli przyjacielowi z pomocą. Georges chwycił stojący obok kanapy taboret i mocnym ciosem w głowę zamroczył Turka.

- Żyje - stwierdził Emanuel, przystawiając ucho do piersi nieprzytomnego.

- Na wszelki wypadek zakneblujmy go i zwiążmy mu ręce i nogi.

Podczas gdy mężczyźni unieszkodliwiali strażnika, Giovanni podszedł do Pippo i zwrócił się do niego w jego ojczystym języku. Chłopak był skamieniały z przerażenia.

- Nie obawiaj się. Okłamaliśmy twój właściciela i Maura. Przyprawiliśmy cię tutaj, aby zaproponować ci ucieczkę. Tej nocy czeka na nas przysłana przez chrześcijan łódź. Czy chcesz opuścić więzienie?

Chłopak rozdziawił buzię i zaczął się trząść na całym ciele. Giovanni nalegał:

- Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Po chwili Pippo energicznie skinął głową.

- Czy chcesz z nami uciec? Wiesz, że jeśli nas złapią, dostaniemy trzysta batów w pięty?

Pippo patrzył na Giovanniego jak zamurowany.

- Musisz się szybko zdecydować, Pippo. Czy chcesz, tak jak my, spróbować wrócić do domu i swoich bliskich?

Dzieciak w dalszym ciągu stał jak sparaliżowany. W tym momencie odezwał się Georges.

- No to Turka mamy z głowy. Jest unieszkodliwiony. Ale musimy wiać czym prędzej. Biegnę po działabije.

Francuz wyszedł z pokoju. Giovanni ponownie zwrócił się do chłopca.

- Posłuchaj, musimy ruszać w drogę. Dajemy ci chwilę na podjęcie decyzji. Jeśli nie

pójdiesz z nami, będziesz musiał wrócić do swego pana, który tobą poniewiera. Masz szansę odzyskać wolność. Ale wiedz, że równie dobrze może nas spotkać surowa kara.

Emanuel i Giovani przepiłowali do końca krępujące ich łańcuchy, które łatwo ustąpiły pod wpływem kilku pociągnięć pilnika. Wkrótce Georges wrócił z trzema dżalabijami.

- Nie znalazłem ubrania dla chłopca, ale on nie jest zakuty, więc wszyscy pomyślą że jest naszym niewolnikiem - powiedział, po czym przepiłował swój łańcuch.

Podczas gdy mężczyźni wkładali dżalabije, które zakryły ich od stóp do głów, Pippo przyglądał im się z przerażeniem.

- W ten sposób nikt się nie domyśli, że jesteśmy giaurami! - wykrzyknął zachwycony Emanuel.

Giovanni po raz ostatni odwrócił się do Pippo i chwytając go za ramiona, zapytał:

- Zatem jaka jest twoja decyzja? Chłopiec nie odpowiedział.

- Chcesz iść z nami?

Pippo powoli skinął głową, nie patrząc Giovanniemu prosto w oczy.

- Brawo za odwagę! - wykrzyknął szalony ze szczęścia Giovanni. - Obyś jak najprędzej wrócił do domu!

Idąc za Georges'em, który najlepiej znał dom, uciekinierzy zbiegli po schodach i przemknęli przez szczęśliwie puste o tej porze patio. Bez trudu wyszli przez otwarte drzwi i wmieszali się w hałaśliwe ludzkie mrowie. Bez przeszkód opuścili miasto, idąc razem z podążającym w kierunku przylądka Matifou tłumem. Kiedy słońce zaczęło znikać za horyzontem, usłyszeli z oddali wezwanie na modlitwę. Zrozumieli, że wkrótce janczarzy odkryją ich nieobecność. Z nastaniem nocy dotarli do przylądka. Nad morzem właśnie wstawał księżyc w pełni. Uciekinierom nie pozostało nic innego, jak czekać wśród skał na przybycie łodzi.

Czekali kilka godzin, prawie nie rozmawiając, ale wszystkich ogarniał straszliwy strach, że wybawcy nie przyplyną na spotkanie. Patrząc na połyskujące w morskiej pianie promienie miesiąca, Giovanni pomyślał o Lunie.

Tak wiele z jej przepowiedni już się spełniło!

Ale przecież nic nie mówiła o więzieniu i niewoli. Jeśli los istnieje, co przyniesie mu tej nocy, gdy wszystko się może zdarzyć? Gdyby wierzył w Boga, z całą pewnością modliłby się, jak zapewne modlili się w swoich sercach Georges i Emanuel.

Nagle stojący na niewielkim wzniesieniu Pippo wykrzyknął:

- Łódź!

Trzej przyjaciele zerwali się na równe nogi, wpatrując się w punkt wskazany przez chłopca.

- Nareszcie! Zatem o nas nie zapomnieli! - krzyknął rozgorączkowany Georges, rzucając się Giovanniemu w ramiona.

Łódź z wolna zbliżała się do brzegu. Za kilka minut nadejdzie wybawienie!

Nagle wciąż wpatrzeni w zbawienny punkt, usłyszeli dobiegający z wydm hałas. Odwrócili się zaskoczeni i spostrzegli nadbiegających janczarów.

- O Boże! Żołnierze! Jesteśmy zgubieni - wyszeptał Emanuel.

- Nie. Rzućmy się w morze i dopłynemy do łodzi!

Giovanni dał przykład. Tuż za nim wskoczyli Emanuel i Pippo.

Nagle, usłyszał krzyk Georges'a. Odwrócił się, by z przerażeniem stwierdzić, że jego przyjaciel, który jako ostatni wskoczył do wody, topi się.

- Płyńcie dalej! Nie zatrzymujcie się! Zajmę się nim! - wrzasnął do pozostałych i podczas gdy Emanuel i Pippo powoli zbliżali się do łodzi, zawrócił, by pochwycić rzucającego się w wodzie Francuza.

- Nie umiem pływać! - wykrztusił Georges, podczas gdy Giovanni próbował doholować go do łodzi.

- Przestań wierzgać! - krzyknął Giovanni - albo obaj pójdziemy na dno!

Francuz jednak nie mógł się uspokoić.

Muszę go ogłuszyć, w przeciwnym razie nie zdołam dociągnąć go do łodzi, pomyślał Giovanni, na próżno próbując okiełznać tonącego. Kiedy po raz kolejny napił się wody, zrozumiał, że nie dopłynie do łodzi. Miał do wyboru albo uciec, zostawiając Georges'a na pewną śmierć, albo zawrócić z nim do wciąż jeszcze bliskiego brzegu... i pozostać w niewoli. Słyszając wrzaski miotających się na plaży janczarów, poczuł, że nie mógłby dalej żyć, mając na sumieniu śmierć przyjaciela. Nie tracąc już ani chwili, zawrócił w stronę brzegu.

Dopłynął do lądu resztką sił. Georges, który napił się dużo wody, był na wpół przytomny.

Janczarzy rzucili się na nich, okładając ich pałkami i kopiąc z całych sił. Wyszło to na dobre Francuzowi, który ocknął się i wypluł wodę z płuc.

Kiedy wreszcie stanęli na równe nogi, spostrzegli, że łódź zniknęła za horyzontem i zrozumieli, że ku wściekłości Turków, ich przyjacielom udało się zbiec. Myśląc o Emanuelu i o Pippo, którzy wkrótce mieli wrócić do domu, Giovanni poczuł się szczęśliwy, a z jego oczu popłynęły gorące łzy. Niestety, natychmiast uświadomił sobie, że sam wróci do więzienia i zostanie poddany okrutnej kaźni.

Poczuł wówczas, jak ogarnia go bezgraniczny smutek, a łzy natychmiast zamarły na jego twarzy.

70

Gdy tylko wrócili do miasta, zamknięto ich w ciemnicy i przykuto łańcuchami do ściany. Pozostali tak bez jedzenia i picia przez czas, który w ciemności zdawał się wiecznością. Następnie zakuto ich w kajdany i zaprowadzono przed oblicze Ibrahima, który przesłuchał ich najpierw

razem, a następnie każdego z osobna. Uciekinierzy powiedzieli prawdę. Nie przyznali się tylko, jak to wcześniej ustalili między sobą, że pomagał im któryś z mieszkańców Algieru. Skłámali, że przekazali list do chrześcijan za pośrednictwem nieznanego im uczestnika karawany. Zarządca zdziwił się, że Giovanni podjął próbę ucieczki. Wszak wkrótce spodziewał się powrotu wysłannika z Italii. Kalabryjczyk wahał się przez chwilę, czy wyznać prawdę, ale poczuł, że lepiej poczekać, aż Ibrahim ochłonie z gniewu. Wyznał więc, że obawiał się, że okup nigdy nie wpłynie, tak jak stało się w przypadku Georges'a. W międzyczasie dowiedzieli się, że ich przyjacielom udało się zbiec. Potem Ibrahim pytał też, dlaczego, mimo ogromnego ryzyka, zabrali ze sobą młodego Pippo. Najwyraźniej nie mógł zrozumieć, że powodowało nimi wyłącznie współczucie. Po zakończeniu przesłuchania zarządca oznajmił, że zostanie im wymierzona kara przewidziana za pierwszą próbę ucieczki: trzysta uderzeń pałką w podeszwy.

Nazajutrz, po popołudniowej modlitwie, wszystkich niewolników paszy zgromadzono na głównym placu miasta. Otaczał ich oddział dwustu janczarów. Po przeciwnej stronie placu zgromadziły się setki gapiów pragnących przyjrzeć się egzekucji. Skazańców rozkuto z kajdan i zaprowadzono na środek placu.

- *Pila baso cane, porta falaca* - rozkazał dowódca straży. Oznaczało to: „Na ziemię, psy! Przynieść falakę”, czyli długą na cztery lub pięć stóp deskę z otworami w środku.

Strażnicy nakazali więźniom położyć się na plecach. Dwaj Turcy przynieśli falakę i unieruchomili stopy Giovanniego w znajdujących się w desce otworach, mocno przywiązując je do drewna. Następnie trzymając falakę z obu stron, unieśli stopy skazańca. Dwaj inni janczarzy unieruchomili ręce i ramiona Giovanniego. Piąty mężczyzna stanął naprzeciw więźnia. Trzymał w ręce pałkę: okrągłą przy trzonku, a następnie rozszerzającą się ku końcowi do szerokości około pół stopy. Janczar wpatrywał się uważnie w podniesione stopy Giovanniego, czekając na znak. Dowódca opuścił rękę i wówczas Turek z całych sił uderzył więźnia w podeszwy. Zaskoczony siłą uderzenia Giovanni krzyknął z bólu. Przez przyglądający się egzekucji tłum gapiów przebiegł pomruk zadowolenia lub żalu. Turek nie przerywał kaźni, uderzając w regularnym rytmie, licząc głośno. Kiedy doliczył do stu, został zmieniony przez drugiego janczara, który z nowymi siłami przystąpił do wymierzania kary.

Po piątym, czy szóstym śmiertelnie bolesnym uderzeniu Giovanni pogrążył się w stanie, w którym ból stał się niemal znośny. Po drugim kacie przyszła kolej na trzeciego. Przy dwieście dwudziestym trzecim uderzeniu Giovanni stracił przytomność. Ocucono go kubłem zimnej wody. Skorzystał z okazji, by wychłęptać kilka łyków orzeźwiającego płynu.

Po zakończeniu egzekucji Giovanni nie czuł stóp, z których zostały już tylko krwawe strzępy.

Zdjęto z jego nóg falakę i odciągnięto na bok.

Następnie przystąpiono do wymierzania kary drugiemu więźniowi. Francuz pocił się i trząśł ze strachu. Unieruchomiono mu stopy w dybach, po czym na jego podeszwy spadł pierwszy cios. Georges zacisnął zęby. Do końca kaźni z jego ust nie wydobył się ani jeden krzyk. Cały tłum podziwiał odwagę Francuza.

Czterej niewolnicy przenieśli skazanych do więzienia. Ułożono ich na hamakach. Ktoś dawał im pić. Aleksander tymczasem opatrywał ich zakrwawione stopy.

- Przez pięć do sześciu tygodni nie będziecie mogli chodzić - powiedział Anglik. - Będę przychodził do was codziennie rano, by zmieniać opatrunki. Odwagi!

Ani Georges, ani Giovanni nic mieli sił, by wydusić z siebie choćby jedno słowo. Pograżyli się w letargu, by po kilku godzinach zapaść w podobny do śpiączki sen.

Następnego dnia rano, gdy leżeli sami w swojej celi, Giovanni odezwał się do Georges'a:

- Zaimponowałeś mi swoją odwagą. Nie wydałeś nawet najmniejszego jęku.

Francuz uśmiechnął się.

- Odkryłem, że strach przed bólem jest znacznie gorszy od samego bólu.

- Przykro mi, że cię w to...

- Niech ci nie będzie przykro. Żałuję, że musiałeś po mnie wrócić. Nie powinienesz być tak się dla mnie poświęcać, Giovanni.

- Nie opowiadaj bzdur. Ważniejsze dla mnie było uratować ci życie, niż uciec, mając twoją śmierć na sumieniu.

Georges skrzywił się.

- Giovanni, muszę ci coś wyznać - powiedział. Przyjaciele spojrzeli sobie w oczy.

- Jest coś, co mam na sumieniu.

Giovanni nie odpowiedział, zastanawiając się, co też może sobie zarzucić jego przyjaciel.

- W noc przed naszą ucieczką nie mogłem zmrużyć oka - ciągnął Francuz złamanym głosem. - Kusilo mnie, by was wydać, by w zamian za wolność opowiedzieć wszystko Ibrahimowi.

W Giovanniego jakby piorun strzelił. Opanował się jednak szybko, myśląc, że najważniejsze, iż Georges nie uległ pokusie.

- I pomyśleć, że za cenę własnej wolności uratowałeś mi życie! - krzyknął Georges, zalewając się łzami. - Wybacz mi, Giovanni. Jestem nędznikiem!

- Jesteś wszystkim, ale na pewno nie nędznikiem - odpowiedział Włoch stanowczo, mimo zmęczenia. - I nie mam ci nic do wybaczenia, bo postąpiłeś bez zarzutu.

Mężczyźni wymienili długie, serdeczne spojrzenie. Nagle do celi wszedł rzymski niewolnik, posługacz Paolo, wnosząc ze sobą nieco światła i powietrza.

- Och, Paolo, zostaw drzwi otwarte! - jęknął cierpiący nad wyraz z powodu ciemności Giovanni.

- Z miłą chęcią, przyjaciele! Przyszedłem poinformować was o losie waszych współników. Georges i Giovanni nastawili uszu.

- Janczar, który was zaprowadził do *funduku* został zawieszony w czynnościach i osądzony za uchybienie swoim obowiązkom i najgorszą z możliwych form złamania ślubów czystości. Nie wiadomo, co się z nim stanie, ale nieprędko go tu zobaczymy. Co do właściciela *funduku*, musi zapłacić paszy równowartość dwóch zbiegłych niewolników.

- A co się stanie z tym psem, Mustafą? - zapytał Georges.

- Najlepsze zachowałem na deser - odpowiedział Paolo słodkim głosem. - *dywan* skazał go na pal.

- Mój Boże! - wykrzyknął Francuz.

- Co to jest? - zapytał Giovanni.

- Zostanie ukarany w taki sposób, w jaki grzeszył - odpowiedział zadowolony Paolo. - Powieszą go za ręce na szubienicy, powoli nadziewając na zaostrzony pal, który przejdzie przez jego odbyty i przebije wszystkie wnętrzości.

- Co za okrucieństwo! - wykrzyknął Giovanni.

- To jeszcze nie dość za to, co robił biednemu Pippo! - odparł Paolo, spluwając na ziemię.

- Najgorsze w tej karze jest to, że trwa wiele godzin - skomentował Georges. - Czy wiesz, kiedy to się stanie?

- Jutro rano na Bab El-Oued.

- Krzyki nieszczęsnego Mustafy będzie słyhać aż tutaj - dodał Georges. - A kto poprowadzi tawernę? - spytał po chwili.

- Ja we własnej osobie! Ibrahim zaproponował mi to wczoraj w zamian za przyjęcie islamu. Zgodziłem się bez wahania!

- Teraz rozumiem przyczynę twojego dobrego humoru - mruknął Georges.

- No cóż, przyjaciele, po trosze dzięki wam uśmiechnęło się do mnie szczęście. W ramach podzięk, będę wam codziennie przynosił dzban najlepszego wina! Teraz muszę znaleźć kogoś do pomocy.

- Tylko nie popełniaj grzechów biednego Mustafy! - rzucił za nim Giovanni, gdy Paolo przekraczał próg celi.

- Nie ma obawy! Za bardzo lubię kobiety. Poza tym teraz, po pracy, będę mógł swobodnie wychodzić na zewnątrz!

Minęło pięć tygodni. Zgodnie z przewidywaniami Aleksandra, w tym czasie żaden z przyjaciół nie mógł dotknąć stopą ziemi. Ich pierwsze kroki były bardzo bolesne. Nie z powodu ran: te całkowicie się zabiłiły. Ale z powodu osłabionych mięśni nóg, które zbyt długo były w bezruchu i teraz nie miały siły ich nosić.

Przez pierwszy tydzień chodzili w obrębie więzienia, wspierając się zrazu na ramionach towarzyszy niedoli, potem podpierając się kijem, a na koniec bez żadnej pomocy. Wtedy Giovanni został wezwany do Dżeniny.

Słońce stało w zenicie, a muezin właśnie wzywał wiernych na południową modlitwę. Giovanni na drżących nogach i z trwogą w sercu powłókł się do pałacu paszy. Domyślał się, dlaczego został wezwany. Gdy tylko wszedł do sali, w której Ibrahim przyjmował gości, natknął się na niewzruszony wzrok wysłannika, który w jego sprawie wyjechał do Italii. Mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. Wkrótce do pokoju wszedł Ibrahim, witając Giovanniego w nader wylewny sposób:

- Ach, jak miło pana widzieć, Panie Da Scola! Cieszę się, że może pan już chodzić o własnych siłach. Ale niechże pan nie stoi. Jest pan jeszcze bardzo osłabiony!

Giovanni zaczekał, aż zarządca usiądzie, po czym także zajął miejsce.

- Pamięta pan Izaaka, nieprawdaż? Giovanni przytaknął skinieniem głowy.

- No cóż, nasz przyjaciel powrócił dziś rano z podróży i zdał mi sprawozdanie z tego co widział, co słyszał i co wynegocjował w sprawie jeńców, których miał odsprzedać w Italii.

Ibrahim zamilkł na chwilę, gładząc się po brodzie. Następnie podjął, udając zdziwienie:

- Wydaje się pan mało zainteresowany tym, co załatwił w pana sprawie.

Giovanni spuścił wzrok. Zrozumiał grę zarządcy i postanowił uzyskać w niej przewagę.

- Wiem, że zawiodłem twoje zaufanie, panie. Wiem, że skążesz mnie teraz na karę znacznie gorszą niż ta, po której ledwie się podnoszę, ale wiem, że postąpiłbyś tak samo, pragnąc uniknąć galer. Żaden człowiek nie zniósłby po raz drugi tego piekła!

Przez chwilę Ibrahim badał wzrokiem Giovanniego, po czym zapytał:

- Dlaczego po raz drugi?

- Kilka lat temu zostałem skazany na galery przez Wenecjan za zabicie szlachcica podczas pojedynku. Ja sam, jak zapewne zdążyłeś się zorientować, jestem zwykłym chłopem - wyznał Giovanni.

- A jakim cudem kalabryjski chłop zdołał pokonać weneckiego szlachcica? - zapytał zadziwiony Ibrahim. - Taki już jest mój dziwny los. Ale to zupełnie inna historia. Niegodna twoich uszu, panie.

- Wręcz przeciwnie! Jak większość moich pobratymców lubię słuchać ciekawych opowieści! Izaaku, możesz odejść. Skoro nasz przyjaciel przyznał się do kłamstwa, nie masz tu czego szukać. Wezwę cię znowu, gdy zajdzie taka potrzeba.

Stary Żyd, wyraźnie zadowolony, że wreszcie może wypocząć, odetchnął z ulgą i oddalił się. Tymczasem Ibrahim nakazał niewolnikowi podać Giovanniemu coś do picia i zachęcił gościa, by zaczął swą opowieść.

- Tylko niczego nie pomiń, przyjacielu - dodał.

Po raz drugi w ciągu kilku miesięcy, pełen wzruszenia Giovanni opowiedział krótki, acz intensywny przebieg swojej dotychczasowej egzystencji. Nie pominął niczego: ani listu, ani kryzysu wiary w jaskini Efrema, ani psa, który uratował mu życie. Ibrahim słuchał z zapartym tchem, przerywając opowieść tylko na czas przedwieczornej modlitwy. Wrócił z paterą suszonych owoców, prosząc Giovanniego o kontynuowanie opowieści. Kiedy młodzieniec skończył, zapadła noc. Ibrahim ponownie oddalił się na modły. Po powrocie - rzecz niesłychana - zaprosił niewolnika na wspólny posiłek.

Podczas kolacji zadawał Giovanniemu mnóstwo pytań dotyczących filozofii, teologii i astrologii. Kiedy muezin wezwał wiernych na nocną modlitwę, zarządca pożegnał gościa, zapraszając na wspólny posiłek następnego dnia i kontynuację pasjonującej rozmowy.

- Dlaczego nie powiedziałeś prawdy w dniu, kiedy trafiłeś do niewoli? Byłbym cię wyostał z więzienia, czyniąc osobistym niewolnikiem w Dżeninie, by rozprawiać z tobą o wielkich filozoficznych prawdach!

71

Nazajutrz wieczorem niewolnik przyszedł po Giovanniego, prowadząc go do komnat zarządcy. Podczas posiłku znowu rozmawiali o pasjonujących Ibrahima religii i filozofii. Giovanni skorzystał z okazji, by zapytać gospodarza o główne zasady islamu, na co ten z radością odpowiedział. Kolejnego dnia niewolnik zaprowadził Giovanniego do komnaty sąsiadującej z komnatami zarządcy, wyjaśniając, że wolą jego pana jest, by od tej pory Giovanni przebywał właśnie tutaj. Warunki bytowe Kalabryjczyka z dnia na dzień uległy diametralnej poprawie. Mógł teraz pracować intelektualnie, pławić się w luksusie, a nawet swobodnie spacerować po Dżeninie. Jednak w głębi duszy młodzieniec nadal był nieszczęśliwy: zmieniła się jego klatka, ale nadal był niewolnikiem.

Na próżno wstawiał się za Georges'em, pragnąc go sprowadzić do pałacu. Ibrahim nawet nie chciał o tym słyszeć. Po pierwsze, miał Francuzowi za złe, że pomagał Giovanniemu w ucieczce, po drugie chciał zachować swój nowy nabytek wyłącznie dla siebie. Giovanniemu udało się jednak wyprosić poprawę warunków bytowych dla Georges'a.

Zarządca strojnie przyodział swojego nowego niewolnika, dostarczył mu książek, przyborów pisarskich, a nawet zaproponował młodą, piękną mauretańską niewolnicę, która by mu usługiwała i spełniała jego najskrytsze życzenia. Jednak, ku największemu zdziwieniu gospodarza, za ten dar Giovanni uprzejmie podziękował.

Mijały tygodnie. Po upalnym, dusznym sierpniu nadeszły chłodniejsze, wrześnie dni. Słońce coraz wcześniej chowało się za horyzont, a noce zrobiły się wręcz zimne. Giovanni radował się wielce zmianami zachodzącymi w przyrodzie. Teraz nareszcie mógł dowoli przechadzać się po

Dżeninie.

Odziedziczony po nieszczęsnym szejku Salimie Ben-al-Tumim * pałac nie był tak ogromny, jak inne pałace, ale miał swój niezaprzeczalny urok i Giovanni uwielbiał spacerować po otaczających go chłodnych, pachnących ogrodach, które ciągnęły się aż do prywatnych komnat syna korsarza Barbarossy i jego haremu. * W 1516 roku szejki Algieru, Salim Ben-al-Tumi, wezwał tureckich korsarzy braci Barbarossa na pomoc miastu, któremu zagrażali Hiszpanie. Jednak zamiast wybawić Algier i jego mieszkańców, korsarze zamordowali szejka i przejęli władzę.

Seraj był jedynym miejscem, do którego niewolnicy nie mieli dostępu, a liczne żony i nałożnice władcy al-Dżaza'iru były pilnie strzeżone przez dziesięciu czarnych eunuchów.

Rozmowy Giovanniego z Ibrahimeem stały się nieco rzadsze, gdyż zarządca musiał skupić się na pracy, ale co trzy lub cztery dni zapraszał gościa na kolację.

Giovanni był pod wrażeniem pobożności Ibrahima, który co do joty przestrzegał pięciu podstawowych zasad islamu: głosił wiarę jednego Boga, modlił się pięć razy dziennie, rozdawał jałmużnę, już dwukrotnie udał się z pielgrzymką do Mekki, a jego niewolnicy zapewnili Giovanniego, że podczas ramadanu ich pan ściśle przestrzega postu.

Pewnego wieczoru, pod koniec kolacji, Ibrahim złożył Giovanniemu zaskakującą propozycję:

- Jutro jadę na spotkanie z moim duchowym mistrzem, który mieszka dwa dni drogi konno stąd, na drodze do Tlemcen. Jest to wielki sufi. Czy chciałbyś dotrzymać mi towarzystwa?

- Kto to jest sufi? - zapytał Giovanni.

- Sufizm jest mistyczną gałęzią islamu. Niedługo po śmierci Proroka, pewne - niekoniecznie wykształcone - osoby, zaczęły doznawać mistycznych, duchowych przeżyć. Świętość mistyków była tak oczywista, że ludzie zjeżdżali ze wszystkich stron, by ich poznać. Wielu z nich założyło wspólnoty wyznaniowe, tak zwane *tariqa*, w których uczniowie pobierają nauki u swego mistrza, oddając się pracy twórczej i licznym duchowym ćwiczeniom. Niektórzy mistrzowie sufi byli prześladowani przez *ulemów*, czyli doktorów prawa, za wygłaszanie w imię wolności poglądów sprzecznych z klasycznymi wytycznymi islamu. Mój mistrz duchowy jest wielkim sufim, który założył *tariqa* pomiędzy al-Dżaza'irem, a Tlemcen.

- Będę wielce rad, mogąc jechać z tobą i poznać twego mistrza. Ale czy jesteś pewien, że nie będzie skrepowany wizytą chrześcijanina?

Ibrahim parsknął śmiechem.

- Nie bardziej niż obecnością kadiego lub *ulemal* Mój mistrz nie dzieli ludzi ze względu na wyznawaną przez nich religię i lubi spotykać wszystkich, którzy poszukują Boga.

Następnego dnia rano Ibrahim i Giovanni, bez żadnej eskorty, wyruszyli do Tlemcen. Spędzili w drodze dwa dni. Kiedy dotarli do *tariqa*, na ich spotkanie wyszedł młody mężczyzna i zaprowadził gości do pokoju, gdzie mogli odpocząć.

Giovanni był mile zaskoczony radością malującą się na twarzach licznych uczniów mistrza Selima el Aquba. Większość z nich była bardzo młoda. Wszyscy nosili długie tuniki z białej bawełny.

Goście posilili się, po czym zaproszono ich na wieczorną modlitwę. Mimo że Giovanni nie krył, iż jest chrześcijaninem, pozwolono mu wejść do maleńkiego meczetu. Zdjął buty i stanął w głębi świątyni. W nabożeństwie, podczas którego cicha modlitwa przeplatała się z głośnym czytaniem sur Koranu, uczestniczyło około pięćdziesięciu uczniów oraz dziesięciu gości. Śpiew przy akompaniamencie wioł i cytr wzruszył Giovanniego swoim pięknem. Ibrahim i młody Kalabryjczyk spędzili noc w dormitorium *tariqi*. Wszyscy goście, bez względu na ich społeczny stan, zostali ulokowani w jednej wspólnej sali bez wygód.

Następnego dnia rano, tuż po porannej modlitwie, Ibrahim został zaproszony przez mistrza sufi. zaproponował Giovanniemu, by zaczekał na niego w ukwieconym patio *tariqi*. Po dobrych dwóch godzinach oczekiwania jeden z uczniów zaprosił Giovanniego do niewielkiej celi Selima el Aquba. Mistrz, leciwy mężczyzna o gładko ogolonej twarzy, siedział po turecku. Miał na sobie białą tunikę bez szwów, a jego niebieskie oczy były pełne blasku.

Powitał Giovanniego serdecznym uśmiechem.

- *Salam Alejkum*.

- *Wa alejkum salam* - odpowiedział Giovanni, który zdążył się już nauczyć kilku arabskich słów.

- *Marhaba bika ja waladi*.

- *Shukran laka ja Sidi*.

- *Allah jahfadhukû!*

Giovanni przeniósł wzrok na Ibrahima, który zrozumiał, że młodzieniec nie może dalej prowadzić konwersacji. Sufi pojął w lot, w czym rzecz i wybuchnął szczerym, zaraźliwym śmiechem. I kiedy zwrócił się do Giovanniego po arabsku, Ibrahim tłumaczył jego słowa. Po kilkudziesięciu minutach rozmowa zesłała na temat kolei losu Giovanniego: jego niewolniczego stanu, kraju, z którego pochodził, religii oraz intelektualnego i duchowego wykształcenia.

Następnie Ibrahim zapytał, czy Giovanni chciałby o coś spytać mistrza. Giovanni był przygotowany do tego spotkania.

- Co, według ciebie, mistrzu, jest najgorszą chorobą, która toczy serce człowieka, wstrzymując jego duchowy rozwój? - zapytał bez wahania.

Mędrzec spojrzał swoim rozmówcom w oczy.

- A co wy o tym myślicie? - zapytał rozbawiony.

- Pycha - odparł Ibrahim.

Spojrzenia obu mężczyzn przeniosły się na Giovanniego, który przez dłuższą chwilę

zachował milczenie.

- Strach - wyszeptał w końcu.

- Każdy z was odpowiedział zgodnie ze swoim sumieniem - podjął mistryk.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

- Niemniej jednak, nawet jeśli obie odpowiedzi były prawidłowe, odpowiedź udzielona przez naszego chrześcijańskiego gościa jest bardziej uniwersalna, gdyż strach mieszka we wszystkich sercach bez wyjątku, natomiast niektórzy z ludzi są pozbawieni pychy.

Sufi spojrział Giovanniemu w oczy.

- Czy wiesz, co jest najczarniejszą obawą człowieka? Zaskoczony pytaniem Giovanni zamilkł.

- Myślę, że strach przed śmiercią - odpowiedział po chwili. Teraz starzec zachował milczenie, po czym odparł pewnym siebie i zarazem lekkim głosem:

- Ja też tak kiedyś myślałem. Ale później, z biegiem lat, zobaczyłem coś zupełnie innego. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, nie boimy się umrzeć, lecz... żyć!

- Żyć?! - Ibrahim aż podskoczył z wrażenia. - Czyż życie, choćby nie wiem jak bolesne, nie jest naszym największym skarbem? Trzymamy się go kurczowo...

- Tak. Trzymamy się go kurczowo, ale nie umiemy żyć. Lub raczej kurczowo trzymamy się egzystencji. Tymczasem nasze istnienie jest faktem, ale życie jest sztuką.

- Co chcesz przez to powiedzieć, mistrzu? - spytał Giovanni.

- To proste. Bóg stworzył człowieka, nie pytając go o zdanie. Powołał nas do istnienia. Istniejemy zatem. To niezaprzeczalny fakt i musimy żyć. I tu zaczyna się nasza rola: zostaliśmy powołani do bycia twórcami naszego własnego życia. Musimy traktować je jak dzieło sztuki: mieć wolę tworzenia, mieć koncepcję, ideę i w końcu kreować je, kształtować, rzeźbić. Zbieramy rozmaite - szczęśliwe i bolesne doświadczenia, które napotykamy na naszej drodze. Uczymy się żyć tak samo, jak uczymy się filozofować czy gotować. A najlepszym nauczycielem życia jest ono samo i zdobywane po drodze doświadczenia.

- Tyle rozumiem. Ale co oznacza, że boimy się żyć?

- Boimy się całkowicie otworzyć na życie, przyjąć jego wartki strumień. Wolimy mieć wszystko pod kontrolą, prowadząc nędzną, ograniczoną, z góry zaplanowaną i pozbawioną wszelkich niespodzianek egzystencję. I to zarówno w ubogich domach biedaków, jak w wystawnych pałacach szejków! Człowiek boi się życia, a jego głównym celem jest zapewnienie sobie poczucia bezpieczeństwa. Woli przetrwać niż żyć pełną piersią... i tak zaczyna się powolne umieranie.

Mędrzec spojrział na swoich rozmówców z uśmiechem, po czym dodał:

- Przejść od sztuki przetrwania do życia pełną piersią jest najtrudniejszą rzeczą na świecie!

Równie trudno jest zaakceptować fakt, że każdy z nas jest kowalem własnego losu. Wolimy żyć jak barany: bezmyślnie, nie podejmując żadnego ryzyka, niezdolni podążyć za marzeniami, których realizacja jest przecież najważniejszym powodem naszego istnienia. Owszem, istniejesz, przyjacielu, ale pozostaje pytanie, czy naprawdę żyjesz?

Słowa mędrca, które tłumaczył Ibrahim, zapadły Giovanniemu głęboko w serce. Pomyślał, że dawno temu, kiedy opuszczał rodzinną wioskę, by odnaleźć Elenę, wybrał życie. Zrezygnował z bezpiecznej, nudnej egzystencji i wyruszył za swym marzeniem, za drgnieniem serca.

Podjął wyzwanie, ryzyko. Zaufał życiu. A życie dało mu bezcenny dar: przyjaźń Mistrza Lucjusza i Pietra. Pozwoliło mu odnaleźć Elenę i zdobyć jej miłość. Ale on wszystko zepsuł, zabijając człowieka. Potem zamknął się w klasztorze. Oczywiście uciekając przed życiem. Bo bał się siebie samego. A dlaczego został niewolnikiem? Bo wsiał na statek powodowany żądzą zemsty! A czy jego obecne położenie nie oddawało stanu jego serca, które wciąż było niewolnikiem namiętności?

Tak, zrezygnował z życia i wstąpił na ścieżkę śmierci. Prawdopodobnie umarł w chwili, gdy musiał opuścić Wenecję i Elenę.

Giovanni odpowiedział mędrcomu uśmiechem, który wyraził więcej niż tysiąc słów. Następnie zadał kolejne pytanie:

- Na górze Athos spotkałem starca, który pouczył mnie, że ostatecznym celem życia człowieka jest jego przeobstwienie. Czy podzielasz, mistrzu, to zdanie?

- Oczywiście! Jeden z największych mistrzów sufi, Al Hallaj, został ukrzyżowany za to, że krzyczał na całe gardło: „Jestem Bogiem, jestem Bogiem!”. I miał całkowitą słusność. Wola tego, który rozplywa się w Bogu, staje się wolą Allaha. Mistycyzm muzułmański naucza tego tak samo jak mistycyzm żydowski czy chrześcijański. Ale tego nie można mówić na głos, gdyż ścieżka mistycyzmu jest ścieżką bardzo niebezpieczną.

Giovanni pytająco zmarszczył brwi.

- Jest niebezpieczna dla tych, którzy są słabi i uznają się za Boga podczas gdy po prostu doznali pomieszania zmysłów! Jest niebezpieczna także dla doktorów prawa, którzy nie lubią tych, którzy doznają mistycznych przeżyć i kontestują ich interpretację prawa!

Starzec znowu wybuchnął radosnym, zaraźliwym śmiechem. W końcu Ibrahim zadał leżące mu na sercu pytanie:

- Skoro to jest celem naszego duchowego życia, jaka jest najlepsza z możliwych dróg, która do niego prowadzi, bez względu na wyznawaną przez nas wiarę?

- A jakie jest twoje zdanie? - odparł starzec.

- Kochać Boga i przestrzegać jego przykazań - odpowiedział Ibrahim bez namysłu.

- Owszem, ale masz na myśli drogę człowieka pobożnego. Tymczasem droga duchowa jest

o wiele prostsza i szersza. Dotyczy wierzących i niewierzących, żydów, chrześcijan, muzułmanów i pogan. Droga ta nie jest opisana w żadnej ze świętych ksiąg, ale na jej szczycie zbiegają się wszystkie ścieżki spisane w tychże księgach. Drogą tą mogą podążać wszyscy: mężczyźni i kobiety, dorośli i dzieci, biedni i bogaci.

Ibrahim i Giovanni spojrzeli po sobie. Nie mieli pojęcia, o czym mówi mędrzec. On tymczasem spojrzął ponad głowę Giovanniego, jakby spoglądał gdzieś bardzo daleko. Następnie ciągnął powolnym, spokojnym głosem:

- Zrozumcie, przyjaciele, że istotą życia duchowego nie jest dobra znajomość Biblii czy Koranu i wielbienie Boga zgodnie z przykazaniami. Istotą tą nie jest także codzienne chodzenie do meczetu czy kościoła i oddawanie się nieustającym śpiewom i modlitwie. Wszystko to jest bardzo ważne i jest dobre, ale nie jest istotą religii. Duchowe życie nie polega też na życiu zgodnie z zasadami, spełnianiu swoich obowiązków i unikaniu grzechu. Owszem, to też jest bardzo ważne, ale stanowi istotę moralności.

Istota życia duchowego natomiast wznosi się ponad moralność czy religijność i jest jednocześnie o wiele prostsza i o wiele bardziej skomplikowana.

Istotą życia duchowego jest... powiedzieć życiu „tak”!

I to nie z rezygnacją, ale z miłością i zaufaniem.

Wówczas odkrywamy obecność Boga w każdym z wydarzeń. Jestem tkaczem i uważam, że wszyscy powinni uczyć się zaufania od tkaczy. Bowiem każdy z nas, podczas swojego życia, tkaninę swoich dziejów od spodu, widząc tylko czółenka i wątek. Piękno dzieła można podziwiać dopiero po zakończeniu pracy i odwróceniu go na prawą stronę. Wówczas naszym zdumionym oczom ukazuje się obraz, który do tej pory znany był tylko Bogu, a którego piękna i wspaniałości nawet nie podejrzewaliśmy. Zaufanie temu, co niesie przyszłość, jest siłą napędową rozwoju duchowego. Jest podstawą naszego otwarcia się na życie, tak na dobro, jak i na ból. Każda, nawet najmniejsza reakcja na to, co niesie los, czy to wynikająca z podszeptu serca, z wyznawanych przez nas zasad moralnych, czy naszej wiary, pozostawia niewidzialny ślad, którego sens odkrywamy dopiero wtedy, gdy umieramy... gdy znajdziemy się na łonie Boga. A wtedy zostanie tylko miłość.

VI

Venus

72

W ciągu kilku kolejnych tygodni Giovanni często myślał o starym muzułmaninie i jego słowach, które zapadły mu głęboko w serce i duszę. Sprawy, o których myślał, że dawno zostały zapomniane, wypłynęły na powierzchnię. Znowu zaczął studiować. Poprosił Ibrahima o dostarczenie dzieł filozoficznych w języku łacińskim i greckim, a nawet Biblii. Mimo że Ibrahim

początkowo bronił się przed wprowadzeniem na teren pałacu paszy księgi niewiernych, uległ w końcu namowom protegowanego, którego lubił i podziwiał, dochodząc do wniosku, że nawet w Koranie w wielu miejscach znajdują się cytaty ze świętych ksiąg judaizmu i chrześcijaństwa. Ulegając prośbie Giovanniego, zarządca nie zdawał sobie sprawy, że daje swym przeciwnikom politycznym ostatni pretekst, na który czekali, by doprowadzić do jego upadku.

Kilka dni po otrzymaniu Biblii (pozostawionej zresztą przez ojca kapucyna, o którego zdradzie opowiedział Giovanniemu Georges) Giovanni został aresztowany w swojej komnacie przez dowódcę janczarów. Turek pochwycił świętą księgę i zaprowadził niewolnika przed oblicze rady: *dywanu*. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu Giovanni stwierdził nieobecność Ibrahima, który był jednym z najważniejszych członków Rady. Hassan, syn korsarza Barbarossy, siedział pośrodku. Młody, chudy mężczyzna o imieniu Rashid ben Hamrun rozpoczął przesłuchanie Giovanniego, zadając mu pytania po włosku i tłumacząc jego odpowiedzi na arabski.

Kalabryczyk bardzo szybko zrozumiał przyczynę nieobecności Ibrahima.

Zarządca został oskarżony przez niektórych członków *dywanu*, w tym przez Rashida, o knucie spisku przeciwko paszy. Dla uwiarygodnienia oskarżeń przeciwnicy Ibrahima wszelkimi sposobami próbowali zdyskredytować go w oczach władcy. Przyczyny wezwania Giovanniego były następujące: spiskowcy usiłowali przekonać paszę, że Ibrahim nie jest pobożnym muzułmaninem, gdyż bardzo dużo czasu spędza z chrześcijańskim niewolnikiem, któremu - o zgrozo! - ofiarował w prezencie świętą księgę niewiernych! Ale zarzuty przeciwko Ibrahimowi dotyczyły nie tylko spraw wiary. Wrogowie wysnuli insynuacje, że obecność Giovanniego w pobliżu komnat zarządcy jest spowodowana relacjami cielesnymi łączącymi obu mężczyzn. Giovanni zaprotestował, ale oponenci wnet przypomnieli mu epizod z Pippo, przedstawiając paszy spisane pod dyktando zeznanie janczara Mehmeta, który zaświadczał, iż tuż przed ucieczką Giovanni i młody Pippo uprawiali na jego oczach akt miłosny. Giovanni zaprotestował, zadając kłam świadectwu janczara i przypominając Radzie prawdziwe powody, dla których zaproponował chłopcu ucieczkę. Ale gdy zapytano go, dlaczego odmówił przyjęcia mauretańskiej niewolnicy, nieco zawahał się z odpowiedzią. W końcu wyznał paszy, że nadal nosi w sercu miłość do dziewczyny, której nie widział od lat i że nie mógłby zadawać się z niewolnicą. Wyznał też, że jest przeciwnikiem niewolnictwa i nie mógłby kochać się z kobietą, którą pozbawiono możliwości wolnego wyboru. Kiedy Rashid przetłumaczył jego odpowiedź, większość członków *dywanu* wybuchnęła szyderczym śmiechem. Młodzieniec zrozumiał wówczas, że jego odpowiedź nikogo nie przekonała.

Po trwającym kilkadziesiąt minut przesłuchaniu Giovanniego zaprowadzono nie do jego komnat, ale prosto do karceru, w którym przykuto go łańcuchami do ściany. W ten sposób spędził wiele dni i nocy, żywiąc się czerstwym chlebem popijanym zatechłą wodą. Piątego dnia zaprowadzono go do Dżeniny. Po ciężkich łańcuchach, w jakie go zakuto, zrozumiał, że Ibrahim

został wyeliminowany z gry. I rzeczywiście, w biurze zarządcy czekał na Giovanniego mężczyzna, który złożył do *dywanu* donos na Ibrahima. Rashid ben Hamrun przyjął go, nie kryjąc wzgardy.

- Twój były pan został odesłany do Stambułu, by wytłumaczyć się sułtanowi ze swojej podwójnej gry i udziału w spisku uknutym przez chrześcijan i naszych wrogów - powiedział bez owijania w bawełnę.

- Jestem pewien, że Ibrahim jest lojalnym muzułmaninem i sługą paszy! - wykrzyknął Giovanni.

- Zamilcz, niewierny psie! Jesteś jednym z tych, którzy zwiedli na manowce jego duszę! Czekaj teraz na proces w Stambule, a wszystkie jego dobra zostały skonfiskowane przez paszę. Są teraz pod moim nadzorem i mogę cię choćby zaraz skazać na śmierć, jeśli tego zapragnę!

Widząc w czarnych oczach Rashida ciemne błyski, Giovanni zrozumiał, że ten człowiek kocha władzę nade wszystko i że od dawna czeka na sposobność przejęcia stanowiska i dóbr prawej ręki paszy.

- Co zrobisz ze mną, skoro teraz jestem twoim niewolnikiem? Rashid uśmiechnął się dziko, wzywając czarnego niewolnika z kartką papieru i piórem. Następnie położył przybory pisarskie przed Giovannim.

- Proszę cię tylko o jedno. Potem będziesz mógł wrócić do twoich komnat, książek, z wyjątkiem - rzecz jasna - Biblii, a także względnej wolności w obrębie Dżeniny.

Giovanni patrzył badawczo na Rashida.

- Napisz, że uprawiałeś ze swym byłym panem zdrową miłość. I napisz jeszcze, że żałujesz swoich czynów i zaświadczasz, że wyrzekasz się chrześcijaństwa, przyjmując jedyną prawdziwą wiarę, islam.

Giovanni powoli opuścił wzrok. Wziął kartkę i pióro, zastanowił się chwilę, po czym napisał kilka linijek po włosku. Spojrzał w oczy Rashidowi, podając mu list. Nowy zarządca wyrwał go z rąk niewolnika z nieskrywaną radością. Podszedł do okna i przeczytał zeznanie Giovanniego:

Ja, Giovanni Tratore, niewolnik zarządcy Ibrahima ben Ali el Tajera, zaświadczam, iż mój pan jest wzorem cnót moralnych oraz lojalnym sługą paszy, sułtana i Proroka. Głoszę też moje przywiązanie do wiary chrześcijańskiej, która jest wiarą moich ojców, a także szacunek do wszystkich religii i wyznań - w tym islamu - nakazujących uczciwość i prawość słów i uczynków człowieka oraz nauczających, że Bóg jest nieskończonym miłosierdziem.

Przeczytawszy list, Rashid zatrząsł się z gniewu. Przez chwilę zachował milczenie, po czym odwrócił się w stronę niewolnika.

Wziął stojącą na stole świecę, spalił list i, tłumiąc gniew, odezwał się tymi słowami:

- Jakim prawem chcesz mnie pouczać? Za to, co zrobiłeś, choćby zaraz mógłbym kazać nadziać cię na pal!

Twarz Rashida przybrała barwę purpury, a jego oczy ciskały błyskawice.

- Jednak nie pozwolę, by zawładnął mną gniew! Zatem zadowolę się wymierzeniem ci kary, którą - zgodnie z naszym zwyczajem - powinien był ci wymierzyć mój poprzednik. Kłamstwo dotyczące twojego stanu traktujemy jako próbę ucieczki. Zatem już dwukrotnie próbowałeś uciekać. Wiesz, jaka czeka cię kara! Obcięcie ręki! I z wielką radością zarządzę, aby była to twoja prawa dłoń, którą tak bardzo lubisz pisać i którą napisałeś ten list!

*

Dwa dni później, tuż po pierwszym wezwaniu na modlitwę, Giovanni został wystawiony na widok publiczny. Egzekucja miała się odbyć na głównym placu: tym samym, na którym kilka miesięcy wcześniej on i Georges zostali poddani karze chłosty. Aby egzekucja była widoczna z daleka, niewolnika umieszczono na specjalnie w tym celu zbudowanym, drewnianym podwyższeniu. Zakuty w łańcuchy Giovanni stał pod eskortą dwóch janczarów. Umieszczona na podeście tabliczka informowała o przyczynie kary - potraktowanym jako druga próba ucieczki fałszywym świadectwie dotyczącym tożsamości więźnia - oraz godzinę egzekucji: tuż po południowej modlitwie. Po raz trzeci w życiu Giovanni miał być poddany publicznej karze. Tym razem jednak odczuwał niewysłowioną rozpacz. Zapomniał już o razach zadanych weneckim batem i o tureckim kiju. Ale myśl, że na zawsze utraci rękę, przerażała go o wiele bardziej niż strach przed towarzyszącym amputacji bólem. Postanowił nie dać satysfakcji gapiom, którzy tłumnie otoczyli podest, by z bliska podziwiać przerażoną twarz skazańca, jednak jego duszę spowiła najczarniejsza ciemność. Myślał o Elenie, o Bogu, o przeznaczeniu i o Lunie, a jego życie jawiło mu się jako przypadkowy zbiór chaotycznych wydarzeń. Na co mu było zaznać tyle światła, miłości i prawdy, skoro miał dokonać żywota jako najpodlejszy z niewolników: niewolnik bez ręki, któremu w lochu będą zlecać najbardziej poniżające prace! Po raz kolejny poczuł, że jest na świecie sam. Opuszczony przez wszystkich i zrozpaczony.

Nagle przypomniały mu się słowa psalmu, który codziennie odmawiał w klasztorze. Mimo że nie niosła ich gorąca, jak niegdyś, wiara, pozwolił im wypłynąć z ust. Przemówił po grecku: w języku, w którym zwykł był się modlić:

*Z głębokości wołam do Ciebie,
Panie, o Panie, słuchaj głosu mego!
Nakłoń swoich uszu
ku głośnemu błaganiu mojemu!
Jeśli zachowasz pamięć o grzechach, Panie,
Panie, któż się ostoi?
Ale Ty udzielasz przebaczenia,
aby Cię otaczano bojaźnią.*

*W Panu pokładam nadzieję,
nadzieję żywi moja dusza:
oczekuję na Twe słowo.*

Giovanni przerwał, a po jego policzkach bezgłośnie spłynęły łzy. Nagle z tłumy, spod samego podestu, odpowiedział mu jakiś głos, również po grecku:

*...Dusza moja oczekuje Pana
bardziej niż strażnicy świtu,
bardziej niż strażnicy świtu.
Niech Izrael wygląda Pana.
U Pana bowiem jest łaskawość
i obfite u Niego odkupienie.
On odkupi Izraela ze wszystkich jego grzechów.*

Zaskoczony Giovanni podniósł wzrok, szukając w tłumie osoby, która mogła wypowiedzieć te słowa. Był to kobiecy głos.

Ujrzał kilka kobiet, ale jako że prawo zakazywało im odsłaniać twarz przy skazańcu, wszystkie nosiły kwefy. Giovanni spojrzał każdej z nich w oczy. Poruszyło go jedno, szczególnie piękne spojrzenie - skromne i intensywne zarazem, emanujące z twarzy ukrytej za błękitnym szalem. Młoda dziewczyna o wielkich, czarnych, migdałowych oczach wytrzymała przez chwilę jego palący wzrok, po czym spuściła oczy i oddaliła się.

To wydarzenie spłynęło jak balsam na obolałą duszę Giovanniego.

Z całą pewnością był ktoś, kto mu współczuł. Ale kim była ta kobieta? I jakim cudem Arabka znała na pamięć grecki tekst psalmu? Ta zagadka zajęła na jakiś czas skołowany umysł skazańca, którego już tylko godzina dzieliła od wymierzenia straszliwej kary.

Wkrótce, zgodnie ze zwyczajem, na plac przyprowadzono kilkuset niewolników, towarzyszy niedoli Giovanniego. Publiczna egzekucja miała zniechęcić pozostałych więźniów do podejmowania prób ucieczki.

Giovanni szukał wzrokiem Georges'a. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi w oddali postawną sylwetkę Francuza, jednak niczego nie był pewien. Na pociechę pomyślał, że w więzieniu znów spotka się z przyjacielem.

Muezin wezwał wiernych na południową modlitwę i plac w mgnieniu oka opustoszał. Na kilkanaście minut zapadła śmiertelna cisza.

Następnie plac znowu zapełnił się tłumem. Rashid ben Hamrun przybył osobiście przyglądać się kaźni. Przyniesiono dla niego fotel, jednak zarządca wolał stać.

Dwaj janczarzy przygięli Giovanniego do podestu, nakazując mu klęknąć. Jeden z nich przytrzymał jego lędźwie, drugi tymczasem unieruchomił jego dłoń w przewidzianej do tego

falace. Prawa dłoń Giovanniego utknęła w dybach aż po nadgarstek. Następnie położono falakę na katowskim pniu. Dwaj inni janczarzy przytrzymywali jej końce, podczas gdy trzeci przygniatał kark skazańca do ziemi, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Rashid dał znak katu: krępemu Turkowi, który wszedł na szafot i stanął po lewej stronie pnia, wpatrując się w unieruchomioną w falace dłoń jeńca. Biorąc głęboki wdech, kat powoli uniósł topór. Giovanni zamknął oczy.

73

- Łaska dla skazańca! - dał się nagle słyszeć dobiegający z tłumu męski głos.

Na znak zarządcy katowska dłoń z wolna opadła w dół.

- A kto się jej domaga? - odkrzyknął Rashid, spojrzeniem swoich czarnych oczu mierząc gawieź.

Z ciżby wystąpił znany w mieście obywatel: Mohammed el Latif, jeden z najbogatszych algierskich kupców. Podeszedł do Rashida, który rozpoznał go bez trudu.

- Mam nadzieję, że masz ważny powód, by przerywać wymierzanie kary? - rzucił mu w twarz nowo mianowany najważniejszy dostojnik Dżeniny.

- Najlepszy z możliwych! Spojrzenie Rashida ciskało gromy.

- Chcę mieć tego niewolnika. Chciałbym go od ciebie odkupić.

- Znasz zwyczajowe prawo dotyczące wykupu skazańców? - spytał zdziwiony Rashid.

- Tak. Trzeba zapłacić jego dziesięciokrotną wartość, nieprawdaż?

Rashid zmrużył oczy, wietrząc wspaniałą okazję.

- W istocie.

- A jaka jest jego wartość?

- Ibrahim ben Ali el Tager, zanim popadł w niełaskę, wycenił jego wartość na sto sztuk złota - odpowiedział zarządca po namyśle.

Mohammed z wolna pogładził się po brodzie.

- Wiem. Ale wiem równie dobrze co ty, że więzień podał fałszywe nazwisko i skłamał w sprawie swojej majątności, za co zresztą ma być teraz ukarany - odrzekł kupiec z uśmiechem. - Powiedz zatem, na ile wyceniasz wartość nędznego, chrześcijańskiego niewolnika? Wszyscy tu obecni jesteśmy poniekąd handlarzami - ciągnął, wskazując ręką tłum - i będziemy umieli ocenić trafność żądanej przez ciebie ceny.

Na te słowa przez tłum przebiegł ironiczny pomruk. Słowny pojedynek pomiędzy Mohammedem a nowym zarządcą zapowiadał się nader pasjonująco. Rashid tracił panowanie nad sobą, ale nie mógł uniknąć negocjacji: głęboko zakorzenionego w kulturze arabskiej zwyczaju, bez którego niemożliwe jest zawarcie jakiegokolwiek transakcji.

- Ten mężczyzna jest wart o wiele więcej, niż myślisz! - warknął. - To człowiek wykształcony. Zna wiele języków i mimo kłamstwa został wyciągnięty przez Ibrahima z więzienia,

by stać się jego osobistym niewolnikiem. Mój poprzednik tak bardzo lubił towarzystwo tego więźnia, że co kilka dni zapraszał go na kolację!

- Wygląda na to, że ty sam o wiele mniej sobie cenisz jego towarzystwo i walory intelektualne, skoro odesłałeś go do więzienia! - odparł Mohammed.

Na te słowa w tłumie dał się słyszeć szydery śmiech.

- Mam inne sprawy na głowie niż interesowanie się religią gjaurów!

- Nie wątpię. Zatem na ile wyceniasz wartość tego gaduły?

- Nie mniej niż sześćdziesiąt złotych dukatów.

Przez tłum przebiegł szmer. Suma ta wielokrotnie przekraczała wartość niewolnika, za którego nie można dostać okupu. Młodego, silnego chrześcijańskiego mężczyznę można było kupić za niecałe dziesięć dukatów.

- Czy przypadkiem trochę nie przeceniasz tego niewiernego psa? Bądź rozsądny. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę jego wykształcenie, jest wart nie więcej niż dziesięć, czy piętnaście dukatów. Poza tym pamiętaj, że dam ci dziesięć razy tyle, czyli dwieście dukatów!

- Nie zejść poniżej pięciuset sztuk złota - wykrzyknął stanowczo zarządca. - Jak ci się nie podoba, wracaj, skądś przyszedł i daj mi skończyć egzekucję i odesłać więźnia do więzienia.

- Będiesz dobrym zarządcą, Rashidzie ben Hamrun! Ale twoje roszczenia zaczynają mnie denerwować. Owszem, chcę go mieć, ale nie za tak wygórowaną sumę! Moje ostatnie słowo. Daję ci za niego trzysta złotych, brzęczących dukatów!

- Daj czterysta i będzie twój! W przeciwnym razie każę katu skończyć, co zaczął.

Mohammed el Latif wiedział, że Rashid nie zejdzie poniżej tej kwoty, choćby po to, by zachować twarz. Klasnął w ręce. Natychmiast pojawiło się przy nim trzech niewolników. Jeden z nich przyniósł ciężką skrzynkę, którą postawił u stóp swego pana. Nie spuszczać Rashida z oczu, Mohammed nakazał niewolnikowi wypłacić zarządcy czterysta sztuk złota.

W tym momencie przez zgromadzenie przebiegł szmer. Z jakiego powodu Mohammed el Latif, wytrawny kupiec, płaci za chrześcijanina - nieważne, że uczonego - tak wysoką sumę?

Rashid zlecił janczarowi ponowne przeliczenie złota, a następnie wydał rozkaz uwolnienia Giovanniego. Na oczach zdumionej gawiedzi Kalabryjczyk chwiejnym krokiem zszedł z szafom. Zaprowadzono go przed oblicze nowego pana, który przyglądał mu się bez słowa.

- Co masz zamiar z nim zrobić? - zapytał Rashid.

- Nie wiem jeszcze. Może każę mu wysprzątać moje stajnie?

- Za tę cenę mógłbyś mu kazać czytać koniom Biblię! Wokół ponownie zabrzmiał śmiech.

Mohammed uśmiechnął się tajemniczo, po czym zażądał, by rozkuto niewolnika. Następnie, torując sobie drogę przez tłum, skierował się do domu. Za nim podążył Giovanni i trzech pozostali niewolnicy.

Bogaty kupiec mieszkał w wystawnym domu w centrum kazby. Miał cztery żony i trzydziestu niewolników.

Kiedy dotarli do domu, wskazał Giovanni emu miejsce na wygodnej kanapie, każąc niewolnikom dać mu jeść i pić.

Giovanni wychylił puchar chłodnej wody.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał w końcu, wciąż jeszcze trzęsąc się na całym ciele.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Dziwisz się?

- Jakże się nie dziwić? Nie mogę wyjść ze zdumienia. Dziękuję ci.

- Ja sam się sobie dziwię, że na oczach całego miasta odkupiłem cię od tego złodzieja za tak niebotyczną sumę. Jutro moi dostawcy będą próbować cztero - lub pięciokrotnie podnieść ceny! Miną tygodnie, zanim się otrząsnę!

- Pytam ponownie. Dlaczego odkupiłeś mnie bez względu na cenę?

- Dobrze to ująłeś. Ten, który polecił mi ciebie kupić, powiedział: „Bez względu na cenę”.

- To znaczy, że nie kupiłeś mnie dla siebie? Mohammed wybuchnął gromkim śmiechem.

- Co niby miałbym robić z tak drogim niewolnikiem, choćby nie wiem jak wykształconym?

Mnie interesuje tylko handel przyprawami!

- Nie... nie rozumiem. Kto zatem prosił cię, abys mnie kupił?

- Mój przyjaciel Eleazar.

- Ale dlaczego? - zapytał Giovanni po chwili milczenia.

- Niestety, nie wiem! Ale dziesięć minut przed egzekucją przysłał do mnie swojego zaufanego niewolnika z prośbą, abym niezwłocznie udał się na plac i odkupił cię od zarządcy paszy, zanim obetną ci rękę. „Bez względu na cenę” - ponownie podkreślił kupiec.

- A dlaczego Eleazar sam nie przyszedł na plac, by osobiście wynegocjować wykupienie mnie?

- Bo jest Żydem.

Giovanni wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Czyżbyś nie wiedział, że w imperium osmańskim Żydzi nie mają prawa kupować chrześcijańskich niewolników? - ciągnął Mohammed.

Giovanni dochodził powoli do siebie, choć zupełnie nic nie rozumiał z tego, co się stało. Człowiek, którego nie znał, odkupił go, płacąc za niego fortunę, najwyraźniej po to, by uchronić go przed kaźnią. Ale dlaczego? Czego zażąda w zamian?

- Widzę, że nic nie rozumiesz - rzekł Mohammed. - Ja także chciałbym czym prędzej spotkać Eleazara, by poznać przyczyny jego zachowania. Bo, nie gniewaj się za to, co powiem, nie jesteś wart nawet dziesiątej części ceny, którą za ciebie dałem.

Giovanni uśmiechnął się.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Kiedy już zaspokoił pragnienie, zaprowadzono go do obszernej sieni i odziano w brunatną dżalabiję. Mohammed poprosił Giovanniego, by zakrył głowę kapturem, wyjaśniając, że teraz - z zachowaniem największej dyskrecji - zostanie zaprowadzony do swojego prawdziwego pana. Pożegnał młodzieńca, powierzając go pieczy trzech niewolników, którzy przeprowadzili go przez kazbę.

Wspinając się wąskimi, brudnymi uliczkami w górę miasta, doszli do dzielnicy żydowskiej, mijając po drodze nędźnie odziane, bawiące się na ulicy dzieci. Niewolnicy Mohammeda zastukali do niewielkich, niebieskich drzwi. Giovanni ujrzał dziwny przedmiot zawieszony na prawej futrynie.

Otworzył im około czterdziestoletni, odziany na biało Murzyn. Zaprosił Giovanniego do środka, po czym pożegnał jego przewodników skinieniem głowy. Kalabryjczyk wszedł do środka, zdejmując kaptur.

- Nazywam się Małek. Jestem zarządcą twojego nowego pana - powiedział Murzyn po włosku. - Witaj w domu Eleazara ben Yaakova el Cordobiego.

Giovanni obejrzał niewielkie, ukwiecone patio. Otaczający je dom był dwupiętrowym budynkiem bez zbędnych ozdób.

- Tu mieszka przygotowująca posiłki służba - poinformował Małek, po czym przekroczył drugie drzwi. Mężczyźni znaleźli się w drugim, o wiele obszerniejszym patio, które zdobiły dwie subtelnie zdobione sadzawki. - Tu mój pan przyjmuje gości - wyjaśnił zarządca.

Giovanni przystanął, podziwiając marmurową kolumnadę, ale Małek już prowadził go dalej, przez drewniane, przepysznie rzeźbione drzwi.

Weszli do precudnego ogrodu, pełnego pięknych drzew i krzewów. Znajdowały się tam liczne fontanny i sadzawki. Ogród wznosił się tarasowo w górę. Miał około stu kroków długości i był otoczony solidnym murem. Wychodzący nań trzypiętrowy dom witał gości arabskimi łukami, podtrzymywanymi przez strzeliste kolumny z błękitnego i różowego marmuru.

- Tutaj mój pan modli się, pracuje, spożywa posiłki i odpoczywa. Na widok tak idealnej harmonii Giovanni nie mógł wyjść z podziwu.

Wtedy właśnie wyszedł mu na spotkanie pan domu. Około sześćdziesięcioletni mężczyzna miał na sobie tunikę, a jego ciemną okrywała jarmułka. Broda okalająca twarz była niemal tak samo biała jak jego strój. Widząc, jak mężczyzna zbliża się ku niemu lekkim krokiem, Giovanni poczuł, że znalazł się w domu człowieka o wielkiej duchowości, a przed oczami stanęły mu twarze Mistrza Lucjusza, Starca Symeona i mistyka sufi.

Mężczyzna podszedł do Giovanniego, podając mu na powitanie obie ręce.

- Witaj w moich skromnych progach, przyjacielu - zagał po włosku.

Giovanni serdecznie chwycił dłonie gospodarza.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować, panie, za wyrwanie katu...

- Byłoby szkoda obcinać tak piękne dłonie! - odpowiedział Eleazar z uśmiechem. - Jak masz na imię?

- Giovanni. Pochodzę z Kalabrii.

- Wspaniale! Jesteś głodny?

- Trochę.

- Małek, zaprowadź naszego gościa do jego pokoju i poproś Sarę, by przyniosła mu mleko, owoce i trochę słodczy. Powiedz też, by przygotowała mu kąpiel. Będiesz mógł wypocząć po emocjonującym dniu - dodał, patrząc na Giovanniego. - Poślę po ciebie wieczorem. Zjesz z nami kolację.

Eleazar pożegnał gościa i lekkim krokiem odpłynął w stronę domu.

Tymczasem Małek wrócił z nim do pierwszego patio i, ku wielkiemu zdziwieniu Kalabryjczyka, zaprowadził go do pięknego pokoju z tarasem na pierwszym piętrze. Giovanni zdziwił się wielce, widząc luksusowe warunki, jakie mu zapewniono.

Wkrótce nadeszła Sara, młoda służąca o miłej, uśmiechniętej twarzy. Postawiła przed Giovannim talerz łakoci, po czym przygotowała aromatyczną kąpiel i oddaliła się bez słowa. Z rozkoszą zanurzył się w letniej wodzie. Umył się, odpoczął nieco i wyszedł na taras. Słońce właśnie zaczęło opadać za horyzont.

Jako że dom Eleazara stał na wzgórzu, widać było z niego całe miasto, aż do morza, a ciągnący się w dół widok był wprost zachwycający. Z kolei większość sąsiednich domów stłoczonych w wąziutkich uliczkach była nader skromna. Giovanni zastanawiał się, dlaczego tak bogaty człowiek zdecydował się mieszkać w tak nędznej dzielnicy. Ponadto zauważył, że dzięki tarasowi z łatwością zbiegnie z domu swego nowego pana, który najwyraźniej nie wziął pod uwagę takiej ewentualności.

Nagle na tarasie pojawił się starszy mężczyzna.

- Nazywam się Josef. Nasz pan polecił mi, bym zaprosił cię na kolację - odezwał się we *franko*, po czym zaprowadził Giovanniego do ogrodu.

Oczom młodzieńca ukazał się stojący pośrodku ogrodu stół z litego drewna oświetlony ciepłym światłem licznych pochodni i świec. Wokół stołu ustawiono wygodne ławy.

Służąca, która przygotowała Giovanniemu kąpiel, stała w bezruchu, trzymając się nieco na uboczu. Josef pożegnał się i dyskretnie zniknął. Giovanni czekał bez słowa.

Zauważył, że stół był nakryty dla trzech osób. Prawdopodobnie dla mnie, Eleazara i jego żony, pomyślał. Zapytał służącą o imię, ale ta uśmiechnęła się tylko, dając na migi znak, że nie

mówi w jego języku.

- *Ma asmuki?* - zapytał Giovanni, który zdążył się nauczyć kilku słów po arabsku.

Twarz dziewczyny rozpromieniła się.

- *Sara! Hal tatakallamu al arabia?*

- *Qalilan!*

- To nasz przyjaciel, Ibrahim, nauczył cię arabskiego? Na dźwięk głosu Eleazara Giovanni odwrócił się.

- Tak, nauczyłem się kilku słów w Dżeninie. Ale daleko mi do twojej znajomości włoskiego, panie. Zastanawiałem się zresztą, jak ty i twój zarządca...

- Dużo podróżujemy i znamy po trosze wszystkie języki europejskie. Ale usiądź, przyjacielu.

Giovanni zajął miejsce. Eleazar usiadł naprzeciw niego. Sara napełniła ich kielichy.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować, panie, za uratowanie przed tak okrutną kaźnią - odezwał się Giovanni, patrząc gospodarzowi w oczy.

- Już dobrze! Na szczęście masz to już za sobą. Pomówmy raczej o tobie. Zatem pochodzisz z Kalabrii?

Giovanni potwierdził skinieniem głowy.

- Wiedziałem, że urodziłeś się w Italii i „zabawiasz” naszego przyjaciela Ibrahima swoją wiedzą, ale nie miałem pojęcia, że pochodzisz z tak ubogiego regionu. Gdzie się nauczyłeś filozofii i astrologii?

- Jesteś dobrze poinformowany, panie!

- Darzę wielkim szacunkiem Ibrahima, który dużo mi o tobie opowiadał.

- Czy wiesz, co się z nim stało?

- Niestety, nie. Wiem tylko, że wyjechał do Konstantynopola, by stanąć przed *dywanem*. Ale jego wrogowie są przepotężni. Od wyjazdu korsarza Barbarossy nie ustają w wysiłkach, by usunąć jego znenawidzonego syna i powierzyć namiestnictwo ał-Dżaza'iru któremuś ze swoich. Tak naprawdę spisek przeciw Ibrahimowi jest wymierzony w Hassana, ale obawiam się, że nasz szczęśliwie panujący na razie niczego się nie domyśla. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Rzeczywiście. Opuściłem moją rodzinną wioskę i wyruszyłem na północ, gdzie spotkałem wielkiego uczonego, który przyjął mnie pod swój dach. Przez niemal cztery lata byłem jego uczniem.

- Jak się nazywał? - zapytał zdziwiony Eleazar.

- Lucjusz Constantini.

Oczy Eleazara zalśniły żywym blaskiem

- Wielki florencki astrolog? Uczeń Ficina? Giovanni ponownie skinął głową.

- To niesamowite! Czy wiesz, że byłeś uczniem człowieka, którego astrologzy uznają za najwybitniejszego z nich?

- Czyżbyś i ty, panie, był nim także?

- Nie w takim stopniu jak twój nauczyciel, który - o ile mi wiadomo - potrafi jak nikt na świecie zinterpretować horoskop. Ale interesuję się astrologią. Jak wieloma innymi rzeczami, zresztą.

W tym miejscu, widząc zaszepione spojrzenie Giovaniego, Eleazar zmarszczył brwi.

- Czy Lucjusz jeszcze żyje? - zapytał.

- Niestety, nie. Zmarł kilka lat temu. Stary Żyd spuścił wzrok.

- To niepowetowana strata. Był już leciwy, jak sędzę.

- Owszem, ale nie zmarł ani z powodu starości, ani choroby - odparł Giovanni ponuro.

Gospodarz podniósł wzrok, badawczo wpatrując się w twarz swego gościa.

- To znaczy, że został zamordowany?

- Tak. W dodatku w najokrutniejszy z możliwych sposobów. Jego sługa Pietro też.

- Ale kto... i dlaczego?

Giovanni zamilkł, nagle zdając sobie sprawę, że nic nie wie o swoim nowym panu i że i tak już za dużo powiedział.

- Pozwól, panie, że odpowiem ci kiedy indziej na to trudne pytanie. Ale, ale. Każesz mi mówić, a ja nic nie wiem o tobie, ani o powodach, dla których odkupiłeś mnie od Rashida.

Zamiast odpowiedzieć Eleazar uśmiechnął się tajemniczo.

- Czy dlatego, że słyszałeś o mnie od Ibrahima? Ale jakim cudem moja mizerna wiedza może być dla ciebie aż tyle warta?

- To prawda, wiele o tobie słyszałem. Ale nie z tego powodu poprosiłem Mohammeda, by cię wykupił.

Zaintrygowany Giovanni wlepił wzrok w gospodarza.

- Oto prawdziwy powód - powiedział Eleazar, a jego słowom towarzyszył szeroki gest.

Giovanni pobiegł wzrokiem za ręką gospodarza, a jego oczom ukazała się smukła sylwetka młodej, zawoalowanej kobiety, która bezszelestnie podeszła do stołu.

Mężczyźni wstali, by ją powitać.

74

Kiedy dziewczyna stanęła w świetle, powoli podniosła woal zasłaniający jej twarz, przykrywając nim gęste, czarne włosy spadające kaskadą aż do łędźwi. Zachwyconym oczom Giovaniego ukazała się twarz niezwyklej urody: śliczne, różowe usta uśmiechały się wdzięcznie pod długim, wąskim, lekko orlim nosem. Dziewczyna miała nie więcej niż dwadzieścia lat, ale głębokość jej spojrzenia zdradzała, że jest istotą o niezwyklej wewnętrznej sile. Giovanni

natychmiast utonął w jej ogromnych, czarnych oczach, które przyglądały mu się badawczo.

- Oto moja córka, Estera - powiedział Eleazar z dumą, biorąc ją za rękę. - Przedstawiam ci Giovanniego - dodał.

Giovanni milczał, a jego policzki pałały ze wzruszenia.

- To byłaś ty, pani... prawda?

- Co pan przez to rozumie? - spytała dziewczyna po włosku.

- To ciebie widziałem dziś rano na placu mniej więcej godzinę przed egzekucją. Stałaś przy szafocie. Widziałem twój wzrok.

- Dużo kobiet patrzyło na ciebie dziś rano. Niektóre z okrucieństwem, inne ze współczuciem, a jeszcze inne, być może, pożądliwie.

- Czy to ty dokończyłaś odmawiany przeze mnie psalm?

- Zatem słyszałaś?

- Jakże miałbym nie usłyszeć tych słów, mimo że do moich uszu dobiegł tylko cichy szept? I jak nie dziwić się, słysząc je po grecku?

- Estera równie dobrze zna Biblię po grecku jak po hebrajsku - wtrącił Eleazar nie bez dumy. - Ale usiądź, moje dziecko.

Dziewczyna usiadła na trzeciej ławie, nie spuszczać wzroku z Giovanniego.

- Rozumiem twoje zdziwienie, panie, ale proszę, wyobraź sobie moje zdumienie i wzruszenie, kiedy usłyszałam, jak skazaniec odmawia psalm, który ja sama odmawiam codziennie.

- Czy dlatego poprosiłaś swego ojca, by mnie wykupił?

- Nie tylko dlatego. Dzięki Ibrahimowi wiedziałam, że jesteś uczonym. Tego ranka na plac przywiodła mnie ciekawość. W twoich oczach ujrzałam rozpacz. Ale nie była to rozpacz człowieka, który za chwilę straci rękę. Ujrzałam w twoich oczach coś wiele bardziej wstrząsającego. Widząc cię, pomyślałam o twarzy Jezusa, o tym, co mógł wyrażać jego wzrok, gdy nocą, w ogrodzie Getsemani, wołał:

Ojczy mój, jeśli możliwe, niech Mnie ominie ten kielich.

- Jesteś chrześcijanką, pani? - zapytał Giovanni drżącym głosem.

- Jestem żydówką. Tak jak moi przodkowie od wielu pokoleń. Ale czytam Ewangelię, na równi z hebrajską Biblią. Czyż Jezus nie był Żydem?

- Oczywiście... ale myślałem, że Żydzi nie czytają Nowego Testamentu.

- Większość z nas nie. A to dlatego, że mój naród zbyt cierpi z powodu nienawiści chrześcijan. Trudno nam podnieść wzrok wyżej i dalej, by dostrzec coś więcej, niż tylko własne cierpienie i żądania naszych prześladowców, abyśmy przyjęli chrzest. Trudno nam zobaczyć w imieniu Jezusa coś więcej niż powód otaczającej nas nienawiści. Ale dzięki ojcu już jako dziecko nauczyłam się czytać Ewangelię, traktując Jezusę jako jednego z największych zesłanych przez

Boga proroków.

Giovanni nie mógł oderwać wzroku od pięknej dziewczyny. Mógłby rozmawiać z nią na ten temat całymi godzinami, jednak bardziej dręczyło go pytanie, na które bezwzględnie chciał poznać odpowiedź. Zmusił się, by oderwać oczy od dziewczyny i przeniósł wzrok na Eleazara.

- Teraz, skoro kupiłeś mnie, panie, i jestem twoim niewolnikiem, co zamierzasz ze mną zrobić?

Eleazar nie odpowiedział. Odmówił po hebrajsku modlitwę, po czym zachęcił Esterę i Giovanniego do częstowania się świeżymi warzywami z własnego ogrodu, podanymi właśnie przez Sarę. Następnie odezwał się tymi słowy:

- Oficjalnie jesteś niewolnikiem Mohammeda. My nie posiadamy niewolników. Wszyscy, którzy mieszkają z nami w tym domu, pracują odpłatnie. Każdy z nich ma też prawo odejść, jeśli taka będzie jego wola. To samo dotyczy ciebie.

Giovanni otworzył usta ze zdumienia.

- To znaczy, że mogę odejść?

- Oczywiście.

- Ale w żaden sposób nie zdołam ci zwrócić, panie, kolosalnej sumy, jaką za mnie wyłożyłeś!

- To nieistotne. Zrobiłem to, by sprawić przyjemność mojej ukochanej córce. Jej matka zmarła wiele lat temu. Nie mam więcej dzieci, a ona po raz pierwszy od dwudziestu lat poprosiła mnie o coś. Jakże miałem odmówić?

Giovanni spojrzał w oczy Esterze. Dziewczyna spuściła wzrok. Pod powiekami młodzieńca zalśniły łzy.

- Nigdy ci się nie odwdzięczę, pani, za to, co dla mnie zrobiłaś.

- Są słowa Jezusa, które przytacza apostoł Paweł, a które nie pojawiają się w Ewangelii. Te słowa brzmią:

Więcej szczęścia jest w dawaniu, aniżeli w braniu.

Zaprawdę, dziś, dzięki Tobie, raduje się moje serce - odpowiedziała drżącym głosem, podnosząc głowę.

Giovanni zapłakał bezgłośnie. Widząc łzy płynące po policzkach byłego skazańca, Estera wzruszyła się do głębi swojego jestestwa. Opuściła woal, prosząc ojca, by pozwolił jej wstać od stołu. Eleazar zgodził się, po czym odezwał się do Giovanniego tymi słowy:

- Estera jest bardzo uczuciowa. Prawdopodobnie dlatego, że we wczesnym dzieciństwie straciła matkę. Jest jednocześnie silniejsza i bardziej wrażliwa niż którakolwiek ze znanych mi dziewcząt.

- Nie zdajesz sobie sprawy, panie, jak bardzo twój gest i twoje towarzystwo ogrzewają moje

zmarznięte serce - odpowiedział Giovanni.

- Widzę, chłopcze, że i ty jesteś bardzo wrażliwy. Czyżbyś także w dzieciństwie stracił matkę lub oboje rodziców?

- Tak było. Moja matka zmarła, gdy miałem siedem lat.

- To doświadczenie zostawia w sercu niezatarty ślad. Ale jednocześnie do tej rany spływa łaska boża, dzięki czemu dusza staje się bardziej wrażliwa i współczująca. Jeśli jesteś podobny do mojej małej gołąbki, prawdopodobnie wzruszasz się, widząc dziejącą się na twych oczach krzywdę ludzką i niesprawiedliwość.

Giovanni pomyślał o Lunie i o Pippo.

- Tak jest, w istocie.

- Rany, które zadało nam życie, mogą nas przytłoczyć i zamknąć nasze serce. Ale mogą też sprawić, że staniemy się silniejsi i bardziej otwarci dla innych. Nie wybieramy cierpienia, jednak kiedy nadchodzi, możemy uczynić z niego kamień u szyi, który nas pociągnie na dno, lub szczebel drabiny, po którym wzniesiemy się wyżej. Na tym polega jedna z wielkich tajemnic ludzkiej duszy.

- A ty wydajesz się być jej znawcą.

- Są tylko trzy rzeczy, którymi się interesuję i których tajemnicę pragnę zgłębić: Bóg, kosmos i dusza człowieka. To mało i wiele zarazem!

- To przywodzi mi na myśl Mistrza Lucjusza. Czyżbyś i ty był filozofem, panie?

- Nazywaj to jak chcesz. Wśród swoich jestem uważany za kabalistę. Czy kiedykolwiek słyszałeś o kabale?

- Tak. U Pica della Mirandoli.

- Ach! Cieszę się, że czytałeś jego dzieła! Swego czasu ten wspaniały myśliciel pobierał nauki u mojego nauczyciela, który udzielał mu lekcji języka hebrajskiego i podstaw kabały. Ale, z całym szacunkiem dla dobrej woli i błyskotliwego umysłu Pica, muszę przyznać, że z tych nauk zapamiętał tylko to, co posłużyło mu do wzbogacenia jego własnej syntezy chrześcijańskiej i filozoficznej. Żydowska kabała wciąż jest nieznaną myślicielom chrześcijańskim.

- Byłbym zachwycony, gdybyś mi o niej opowiedział.

- Czemu nie, przyjacielu. Ale z całą pewnością nie dziś wieczorem. Jesteś zbyt wyczerpany tak trudnym dniem. Roztropnie byłoby wypocząć.

- Z największą radością. Odpowiedz mi tylko, proszę, na jeszcze jedno pytanie.

- Słucham.

- Jak to możliwe, że człowiek, który poświęca tyle czasu na naukę, jest tak bogaty?

Eleazar wybuchnął śmiechem.

- Dobre pytanie! Widzisz, od trzydziestu lat param się jedną z nielicznych profesji, jaką nam, Żydom, pozwalają uprawiać tak wyznawcy islamu, jak i chrześcijanie. Jestem bankierem.

Jako że zarówno chrześcijaństwo, jak i islam zakazują pożyczek na procent, to właśnie my wyspecjalizowaliśmy się w tej dziedzinie.

- A twoje zajęcie nie pochłania całkowicie twojego czasu?

- W żadnym razie! Dawno temu postanowiłem służyć nie pieniądзом, lecz Bogu. Sam dobrze wiesz, że pieniądz robi pieniądz. W związku z tym, od wielu lat moja fortuna wspaniale prosperuje bez konieczności ingerencji z mojej strony. Pozostaje mi tylko dobrze zarządzać majątkiem. A tym może się zajmować zaufany zarządca. Małek, a w innych miastach inni, robią to za mnie, a ja mam wystarczająco dużo czasu na naukę.

- To znaczy, że masz więcej ludzi, którzy pracują dla ciebie w różnych zakątkach świata?

- Oczywiście - odpowiedział Eleazar, nonszalancko machając ręką. - Mam kantory w dwudziestu miastach Europy i imperium osmańskiego.

Giovanniemu odebrało mowę.

- Właśnie w ten sposób poznałem kilka języków obcych i zwiedziłem wiele krain - ciągnął Eleazar.

- Zatem dlaczego osiadłeś tutaj? Mógłbyś przecież mieć pałac w Wenecji, Rzymie lub Florencji?

- Aż do ubiegłego stulecia, do tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku, kiedy to chrześcijański król wygnał Żydów z Hiszpanii, moi przodkowie mieszkali w Kordobie. Jednak nasze dobra zostały skonfiskowane, a moi dziadkowie z dziećmi musieli udać się na emigrację. Jako że nie ufali już żadnemu chrześcijańskiemu władcy, postanowili - jak wielu Żydów zresztą - osiaść tutaj, w mieście, gdzie kwitł handel i gdzie nie sięgały ręce chrześcijan. Jak wiesz, Algier był już wówczas w rękach muzułmanów, choć dopiero od czasów Hayreddina - Barbarossy znajduje się pod wpływem imperium osmańskiego. Bo lepiej żyć tutaj, mając status *dhimmi*, niż gdzie indziej z piętnem bogobójców. W głębi duszy większość muzułmanów nami pogardza, ale pozwalają nam tu mieszkać i pracować w pokoju. Tymczasem chrześcijanie zatruwają nasze studnie, gwałcą nasze córki, siłą zmuszają do przyjęcia chrztu, a kiedy przyjdzie im na to ochota, pod byle pretekstem urządzają pogrom.

- A nigdy nie odczuwałeś urazy czy nienawiści?

- Postanowiłem nie odpłacać obelgą za obelgę, gniewem za gniew, pogardą za pogardę. Poza tym studia kabalistyczne wciąż przybliżają mnie do wielkich mistyków i filozofów, bez względu na ich religię, od Chrystusa począwszy. Ale o tym porozmawiamy innym razem, o ile zechcesz z nami zostać.

Giovanni spojrzał w piękną spokojną twarz człowieka, który uratował go przed kaźnią.

- Jestem niezwykle poruszony twoją serdecznością panie, i z najwyższą radością na kilka tygodni zostanę w twoim domu.

- Będzie mi bardzo miło. I jestem pewien, że Estera także będzie szczęśliwa. Czuj się jak u siebie. Proś Maleka o wszystko, czego potrzebujesz. Dobrze mówi w twoim języku. A teraz idź wreszcie wypocząć.

Giovanni wstał od stołu. Gospodarz odprowadził go do drzwi patio. Zanim się pożegnali, młodzieniec zadał jeszcze jedno pytanie:

- Dlaczego zdecydowałaś się mieszkać w najuboższej dzielnicy, panie? Wszak jesteś niezmiernie bogaty.

Eleazar pogładził swą długą siwą brodę.

- Co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego, że tu mieszka większość algierskich Żydów, a ja chciałem mieszkać wśród swoich. Po drugie, nigdzie w dolnym mieście nie znalazłbym drugiego takiego ogrodu. Poza tym podoba mi się, że ogród, o którym wie naprawdę niewielu algierczyków, jest ukryty pośród nędznych, brudnych uliczek. Lubię ukryte piękno - to, którego nie widać na pierwszy rzut oka - gdyż ono zaprasza, by je odnaleźć. To dlatego nazwałem córkę Estera. Jej imię ma podwójne znaczenie. Pochodzi od fenickiej bogini Astarte, od której wywodzą się rzymska Wenus i grecka Afrodyta. Ale po hebrajsku Estera znaczy „ukryta”. Estera jest najjaśniejszą z gwiazd. Jest miłością ukrytą przez Boga. Odkryć ją mogą jedynie ci, którzy są jej godni.

75

Wydarzenia minionego dnia rzuciły Giovanniego na samo dno rozpacz. Jego serce, które od rozstania z Eleną tak wiele wycierpiało, było jak skute lodem. Co prawda ogrzewało się nieco dzięki przyjaźni z Georges'em i Emanuele, a także Ibrahimem, ale dopiero spotkanie Estery i Eleazara sprawiło, że stajały resztki szronu.

Giovanni płakał całą noc.

Jednak nie były to już lodowate łzy, które płynęły z jego oczu w jaskini pustelnika czy na galerach, ale słodkie łzy ukojenia. Jego serce znowu zaczęło drżeć ze wzruszenia. Przed oczyma jego duszy przewijał się korowód umiłowanych twarzy: duchów powracających z martwych. Potem ujrzał twarz Estery i pojął, że kobieta, której zawdzięczał wybawienie, pokochała go od pierwszego wejrzenia. Od chwili, gdy ujrzała go na placu zakutego w kajdany. Poprosiła ojca, by odkupił go za każdą cenę. Prawdopodobnie dlatego, że kochała bezgraniczną, hojną miłością. Ale czy okaże się godzien zaufania i miłości, którą go obdarzyli ona i jej ojciec?

Giovanni zasnął o świcie.

Obudził się z lekkim sercem. Spojrzał w niebo. Słońce stało w zenicie.

Wstał radośnie, podśpiewując kalabryjską piosenkę. Nie zdarzyło mu się to od czasu, gdy opuścił Wenecję. Zszedł na patio dla służby. Na jego widok Sara zaśmiała się wesoło. Nie znając powodu jej radości, śmiał się pełną piersią razem z nią. Wszedł do biura Maleka. Widząc go,

zarządca uśmiechnął się szeroko, ukazując idealną biel zębów odcinających się od ciemnej twarzy.

- Nareszcie! Ale cię zmogło!

- Słyszałem przed chwilą muezina wzywającego na modlitwę. Sądząc po położeniu słońca na niebie, jest południe. Rzeczywiście byłem wycieńczony. Ale teraz jestem w świetnej formie!

- Wcale się nie dziwię, bo zjawiłeś się u nas przedwczoraj! Spałeś dwie noce i prawie dwa dni.

Giovanni nie mógł wyjść ze zdumienia.

- Wszystko w porządku! - ciągnął Małek ze śmiechem. - Tylko cztery czy pięć razy posyłałem do ciebie Sarę, by sprawdziła, czy jeszcze żyjesz i czy aby na pewno nie zniknąłeś!

- Na Boga! Żyję i nie mam najmniejszego zamiaru opuszczać tego miejsca! Ale jestem głodny jak wilk!

- Posil się więc. Nasz pan poinformował mnie, że możesz swobodnie spacerować po domu i ogrodzie. Na razie jednak unikaj wychodzenia na zewnątrz. To zbyt niebezpieczne. Ktoś mógłby cię rozpoznać.

Giovanni zaspokoił głód i pragnienie, po czym wyszedł do ogrodu. Powab tego miejsca zachwyił go jeszcze bardziej niż w dniu, w którym tu przybył. Szum wody i śpiew ptaków harmonizował z zapachem kwiatów i roślin wodnych. Młodzieniec usiadł na kamieniu w cieniu sykomory i przymknął oczy. Naraz w głębi jego duszy zrodziło się słowo, o którym nie wiedział do kogo jest adresowane, ale któremu nie mógł zabronić, by wypłynęło na powierzchnię jego ust:

- Dziękuję - wyszeptał.

Nagle zadrżał na dźwięk słodkiego głosu:

- To najwspanialsza z modlitw. Otworzył oczy. Przed nim stała Estera.

Dziewczyna miała na sobie długą, zwiewną błękitną tunikę, a jej włosy, plecy i ramiona przykrywał przejrzysty żółty szal. Nie była wysoka, ale jej wiotkie, zwiewne ciało zdawało unosić się nad ziemią.

- Nie przeszkadzam ci w modlitwie? - zapytała z uśmiechem.

- Tak naprawdę... nie modliłem się - odpowiedział Giovanni, wstając, odpowiadając uśmiechem na jej uśmiech. - Nie wiem, jak mam ci dziękować. Gdyby nie ty, pani...

Dziewczyna położyła palec na jego ustach.

- Óóó. Czy widziałeś już dziesięć fontann naszego ogrodu?

- Nie.

- Zatem wyjdźmy im na spotkanie. Mój ojciec poświęcił ponad dwadzieścia lat na stworzenie tego rajskiego ogrodu. Założył go zgodnie z żydowską symboliką Edenu.

- Dlaczego akurat dziesięć fontann?

- To nawiązanie do dziesięciu *sefirot* kabały. Od dawien dawna istnieje mistyczny

intelektualny nurt judaizmu, nauczający, iż można poznać Boga dzięki symbolicznej lekturze Pisma Świętego. Nurt ten, nazywamy przez nas kabałą teozoficzną, opiera się na dwudziestu dwóch literach hebrajskiego alfabetu. Każda litera ma wiele symbolicznych znaczeń oraz niepowtarzalną wartość liczbową. Łącząc wartość liczbową danej litery z jej symbolicznym znaczeniem, możemy czytać Torę w sposób mistyczny i odnaleźć jej ukryte znaczenie, o wiele głębsze niż to, które pojawia się w czytaniu dosłownym.

- Czyż Bóg nie ukrył swych najcenniejszych skarbów? Estera przystanęła, pytająco patrząc na Giovannię w oczy.

- Moje życie było pełne chaosu i bólu, ale miałem to szczęście, że przez niemal cztery lata przebywałem u boku wielkiego filozofa. Prawie tyle samo czasu spędziłem w prawosławnym klasztorze w Grecji. Dzięki temu potrafię spoglądać oczyma duszy i dane mi było przeżyć kilka mistycznych uniesień, komunii z Bogiem. Jakże to dziś odległe!

- Nic nie wiem o twoim życiu, Giovanni. Wiem jednak, że przeszedłeś ciężką próbę. Jestem pewna, że Bóg nie na darmo sprawdzał twoje serce. Twoje życie było bolesne, ale z całą pewnością nie rządził nim chaos. Jestem pewna, że któregoś dnia to zrozumiesz.

- Myślałem tak jak ty... jak pani... Estera uśmiechnęła się łagodnie.

- Wolę...jak ty”.

- Myślałem kiedyś tak jak ty - podjął Giovanni. - Ale zwątpiłem...

Przez chwilę spacerowali w milczeniu, przechadzając się alejkami. W końcu Estera powiedziała:

- Pewien mędrzec powiedział, że ten, kto nie zaznał nocy z wątpienia, nie może doświadczyć światła prawdziwej wiary.

- A czy ty kiedykolwiek z wątpiłaś w istnienie Boga, Estero?

- Tak. Wtedy, kiedy zmarła moja matka. Wówczas moje serce zamknęło się i moja wiara zmarła wraz z nią. Przestałam się modlić, a sama myśl o Bogu powodowała bolesny skurcz. Taki stan rzeczy trwał wiele, wiele lat.

- A twój ojciec?

- Mój ojciec został ciężko doświadczony, ale nigdy nie stracił wiary. Szanował moją postawę i nigdy nie próbował mnie nawracać czy przekonywać. Najpierw przez wiele godzin wyłakiwałam mój ból. Potem zlorzeczyłam Bogu.

Giovanni wzdrygnął się na wspomnienie swej wściekłości, gdy w grocie wygrażał pięścią niebu.

- Wykrzyczałam Mu cały mój gniew. Aż nagle, budząc się pewnego poranka, poczułam, że Mu wybaczyłam.

- Bogu?

- Tak, Bogu - odpowiedziała Estera z mocą. - Zazwyczaj myślimy, że musimy wybaczać ludziom. Jednak kiedy udręczy nas życie, zwracamy się przeciw Bogu. Zatem to Jemu, ponieważ On jest życiem, musimy wybaczyć.

Giovanni znieruchomiał. Słowa dziewczyny znajdowały oddźwięk w jego sercu, były tak bliskie jego własnemu doświadczeniu. Nagle uświadomił sobie, że nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby wybaczyć Bogu. Przeciwnie. Mścił się na Nim w najgorszy z możliwych sposobów: ignorując Go.

- I odzyskałaś wiarę? - wykrztusił mimo wzruszenia.

- Tak. Ale to już nie była piękna, beztroska wiara dziecka. Była to wiara ta sama i inna zarazem. Taka, w której Bóg stał się o wiele bardziej tajemniczy i bardziej niedostępny dla mojego rozumu, ale bardziej wszechobecny i o wiele bliższy memu sercu. Nie umiem tego opisać. W każdej chwili czuję obecność Boga, ale nie znajduję słów, aby Go opisać. Na swój sposób, dzięki doświadczeniu, pojęłam sedno kabały.

Estera szła w milczeniu przed siebie, kierując się główną aleją w górę ogrodu.

Po chwili powiedziała poważnym tonem:

- Kabała rozróżnia *En-Sof*, Boga samego w sobie, i Jego dziesięć *sefirot*, czyli manifestacji. *En-Sof*, czyli „Nieskończony”, oznacza, że Bóg całkowicie wymyka się naszemu pojmowaniu. Nie wyrazi Go żadne słowo. Nie przedstawi żaden obraz. Nie opisz żadne pojęcie.

Jak to ujął wasz słynny teolog, święty Tomasz z Akwinu, którego często cytuję mój ojciec: „Jedyny pewnik dotyczący Boga to fakt, że nic o Nim nie wiem”. Oto, co głoszą wszyscy mistycy, bez względu na wyznawaną przez nich religię: Boga nie można poznać, a nazywanie go jest niebezpieczne.

Właśnie dlatego w judaizmie obowiązuje zakaz wymawiania Jego imienia. Nazywać - znaczy posiadać... a my bardzo prędko chcielibyśmy pojąć Boga dla naszych własnych celów!

Giovanni pomyślał o członkach zakonu Najwyższego Dobra, mordujących bez skrupułów w imię czystości wiary. Przyszli mu na myśl wszyscy prowadzący wojny w imię Allaha lub Jezusa Chrystusa chrześcijanie i muzułmanie. Jakże roztropnym jest nie nazywać Boga! Ale jednocześnie jak trudno modlić się do nieznanego Boga, którego nie można opisać ani nazwać!

- Dziesięć *sefirot*, to dziesięć odrębnych stopni emanacji Niepoznawalnego, Nieprzejawionego Boga - ciągnęła Estera. - Są boskimi cnotami wypełniającymi świat. Nie są Bogiem, lecz Jego emanacjami, Jego manifestacjami, siłami, dzięki którym możemy Go poznać.

Estera zaprowadziła Giovanniego na sam koniec ogrodu, po czym odwróciła się i powiedziała:

- Jesteśmy na szczycie ogrodu. Dom jest na samym dole. Możemy do niego dojść, idąc główną aleją. Ogród jest jak drzewo. Jesteśmy na jego szczycie symbolizującym wierzchołek

sefirotycznego drzewa. Główna aleja ogrodu odwzorowuje pień drzewa.

Estera stanęła tyłem do domu i przeszła jeszcze kilka kroków aleją. Nagle chwyciła Giovanniego za ramię, wciągając go w gęstą kępę krzewów. Rozchyliła gałęzie. Zdumionym oczom Kalabryjczyka ukazała się niewielka fontanna w kształcie korony.

Giovanni był zauroczony. Podziwiał inteligencję i pasję Estery, a tajniki kabały, w które go wprowadzała, przywodziły mu na myśl pewne aspekty mistycyzmu chrześcijańskiego.

W umyśle młodzieńca rodziło się tysiące pytań. Ale odsuwał je, rozkoszując się cudowną chwilą szczęścia i harmonii.

Zaledwie parę dni temu gnił w zatechłym lochu, pod strażą prostaków, a teraz w towarzystwie pięknej, mądrej kobiety przechadza się w cudnym, urządzonym zgodnie z tajemną symboliką ogrodzie.

Estera przyglądała mu się w milczeniu, a jej spojrzenie było czyste i intensywne zarazem. Był to paradoks, który nadawał jej niezwykły urok. Giovanni był niezwykle poruszony swoim odkryciem i właśnie szykował się, by powiedzieć o tym dziewczynie, kiedy nagle w furcie stanął Małek.

- Tu jesteście! Wybaczcie, że przerywam waszą rozmowę, ale mój pan prosi Giovanniego do swego gabinetu.

- Zatem zostawiam cię, Giovanni - powiedziała Estera z uśmiechem, znikając, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Idący przed nim Małek zaprowadził go na drugie piętro.

Podenerwowany Giovanni szedł i zastanawiał się, czego może od niego oczekiwać pan domu. Jednocześnie jednak jego serce nadal było w ogrodzie. Z Esterą.

76

- Proszę, proszę - odezwał się Eleazar.

Gabinet miał co najmniej dwadzieścia kroków długości, dziesięć lub dwanaście szerokości i około dwunastu stóp wysokości. Wszystkie ściany były zastawione regałami. Pośrodku gabinetu królował olbrzymi drewniany stół pokryty pergaminami, piórami, ołówkami i księgami. Na stole stał siedmioramienny świecznik z brązu.

Giovanni dostrzegł tylko białą jarmułkę gospodarza pochylonego nad monumentalnym biurkiem. Eleazar podniósł głowę.

- Witaj, przyjacielu! Jak dobrze, że spokojnie wypocząłeś! Podejdź bliżej.

Giovanni nie odrywał wzroku od tysięcy zgromadzonych na półkach dzieł, z których większość wyglądała na stare manuskrypty. Obszedł biurko i spostrzegł, że Eleazar pisze coś na pergaminie.

- To po hebrajsku, prawda?

- Tak właśnie! Widziałeś już hebrajskie manuskrypty?

- Nie, ale tu i ówdzie widziałem już hebrajskie litery. Uważam, że są wspaniałe. Każda z nich przypomina dzieło sztuki.

- Niektórzy kabaliści spędzają całe życie na ich pisaniu, nasycając się ich siłą i znaczeniem.

Giovanniemu przyszły na myśl słowa Estery.

- Uważasz zatem, że litera sama w sobie ma własne znaczenie i moc, niezależnie od znaczenia całego zdania?

- Jest to właściwość każdej z dwudziestu dwóch liter hebrajskiego alfabetu. Każda z nich sama w sobie zawiera tak wielkie duchowe bogactwo, że emanuje niezwykłą mocą. Sam fakt wypowiedzenia którejs z nich jest równoznaczny z wypowiedzeniem magicznej formuły: zostawia na tobie niezatarty ślad!

Obok pergaminu leżał stos zapisanych po łacinie kartek, ilustrowanych rysunkami planet. Na ten widok oczy Giovanniego zabłyśły.

- Naszego astrologa interesuje ruch planet! - zauważył rozbawiony Eleazar.

- Proszę wybaczyć... mój wzrok przyciągnęła ta dziwna ilustracja, na której nie Ziemia, lecz Słońce, znajduje się w centrum wszechświata.

- W rzeczy samej!

- Czy to ty sporządziłeś tę dziwną ilustrację kosmosu, panie?

- Nie. To jest list, który dostałem od przyjaciela, Mikołaja Kopernika. Ów wielki polski astronom dzieli się ze mną swoją teorią, która zrewolucjonizuje nasze postrzeganie świata. Poznałem go parę lat temu, gdy przebywał w Bolonii.

- Co tak rewolucjonizującego głosi ten człowiek?

- Że Ziemia obraca się wokół własnej osi. Mało tego, nie jest centrum wszechświata, lecz jedną z wielu planet krążących wraz z nią wokół Słońca.

Giovanni zaniemówił. Jak można głosić takie brednie, skoro codzienna obserwacja wędrówki Słońca po niebie wskazuje, że to właśnie ono krąży wokół Ziemi!

- Rozumiem twoje zaskoczenie, chłopcze - ciągnął Eleazar z przebiegłą miną. - Ja sam, kiedy Kopernik po raz pierwszy, w największym sekrecie, podzielił się ze mną swoją hipotezą, byłem niezwykle zaintrygowany. Jednak teoria heliocentryczna nie jest nowością. W starożytności głosił ją Arystarch z Samos. Ale Kopernik poparł ją dowodami matematycznymi.

- Jednakże tego rodzaju teoria nie tylko stoi w sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem, ale podważa autorytet intelektualnych filarów społeczeństwa: Biblii i Arystotelesa.

- Oto powód, dla którego mój przyjaciel zachowuje niezwykłą ostrożność. Zebrał już dowody naukowe na poparcie swojej teorii, ale wciąż jeszcze się waha, czy ją opublikować. Rzykuje potępienie tak ze strony uniwersytetu, jak i Kościoła.

- A czy uważasz, że jego teoria jest wiarygodna?

- Nie tylko wiarygodna, ale absolutnie pewna! Po grzbiecie Giovanniego przebiegł dreszcz.

- Zatem jeśli ta teoria jest zgodna z rzeczywistością, w co zdajesz się wierzyć, co się teraz stanie z astrologią? Przecież opiera się ona na kosmologii Arystotelesa i Ptolemeusza, którzy umieszczają Ziemię w centrum wszechświata.

- To nic nie zmienia.

- Jak to?

- To nie ma nic do rzeczy, ponieważ astrologia, w przeciwieństwie do raczkującej astronomii, nie jest nauką ścisłą, lecz symboliczną. Dla astrologa jest mało istotne, czy Słońce krąży wokół Ziemi, czy jest zgoła odwrotnie! Ważne jest usytuowanie człowieka, który - obserwując kosmos - widzi siebie samego w jego centrum. Astrolog nie mówi o tym, jakie jest niebo „samo w sobie”, ale jakie jest w chwili urodzenia danego człowieka, w danym miejscu i czasie. Z symbolicznego punktu widzenia nadal możemy uważać za obowiązującą biblijną i arystotelesowską wizję człowieka, która stawia go w centrum kosmosu... nawet jeśli z naukowego punktu widzenia jest niezgodna z prawdą!

Giovanni nie odpowiedział.

Był bardzo poruszony rozmową, która przypominała mu dysputy z Mistrzem Lucjuszem.

- Jak wiesz - ciągnął kabalista - każda z planet symbolizuje poszczególne funkcje ludzkiej duszy, a wzajemny układ planet opisuje wewnętrzne skłonności i charakter człowieka. Zatem gwiazdy są tylko naszym zewnętrznym odzwierciedleniem i nie determinują naszego przeznaczenia. Dlatego w Księdze Rodzaju o Słońcu i Księżycu napisano:

Niechaj powstaną ciała niebieskie, świecące na sklepieniu nieba, aby oddzielały dzień od nocy, aby wyznaczały pory roku, dni i lata; aby były ciałami jaśniejącymi na sklepieniu nieba i aby świeciły nad ziemią.

- To oznacza, że nie rodzimy się przez przypadek, ale w ściśle określonym momencie, kiedy porządek kosmiczny - w pewnym sensie - jest zgodny z naszą duszą?

- No właśnie! Dusza, która ma określone cechy i pragnie mieć takie, a nie inne przeznaczenie, wciela się i przychodzi na świat w chwili, w której znajduje się w harmonii z całym kosmosem.

- Ale skąd pochodzą wewnętrzne cechy naszej duszy, które istnieją już przed naszymi narodzinami? I w jaki sposób dusza „wybiera” stosowny czas inkarnacji?

Rozbawiony Eleazar klasnął w ręce.

- To niezmiernie poważne pytanie, drogi Giovanni, a odpowiedzi bardzo się różnią w zależności od nurtu filozoficznego, który ich udziela. Według Arystotelesa, którego myśl podjęli i rozwinęli teolodzy chrześcijańscy, pochodząca od Boga dusza - *noos* - inkarnuje w chwili poczęcia.

Ciało i psychika są jedynie owocem atawizmu rodzinnego. Zatem charakter człowieka zależy od tego, co przekazali mu jego przodkowie.

Ale zdaniem Platona i niektórych żydowskich kabalistów dusza człowieka - w której zawiera się tak duchowość, jak i psychika - wędruje poprzez wcielenia, wybierając swoje nowe życie w zależności od doświadczeń zgromadzonych w poprzednich inkarnacjach. Ma zatem swój własny charakter, który w chwili narodzin łączy się z atawizmem nowego ciała, w którym zdecydowała się zamieszkać. Ale ma też pamięć doświadczeń zdobytych w poprzednich wcieleniach: wiedzy, uczuć, lęków czy mniej lub bardziej rozbudzonych potrzeb duchowych.

I tak na przykład dziecko, które utonęło w poprzednim wcieleniu, będzie odczuwać irracjonalny lęk przed wodą. Podobnie ma się rzecz z niezwykłym talentem muzycznym czy smykałką do nauk ścisłych. One także pochodzą z doświadczeń zebranych w poprzednich wcieleniach.

Eleazar spojrzał swemu gościowi głęboko w oczy.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było w twoim przypadku, drogi Giovanni! Może niesiesz ze sobą pamięć mnicha lub fdozofa!

Giovanni uśmiechnął się z powątpiewaniem.

- Dlaczego zatem zdecydowałem się urodzić na wsi, w prostej rodzinie kalabryjskich chłopów, a nie, dajmy na to, w jednym ze szlacheckich rodów w Rzymie lub Florencji?

- Być może wybrałeś takie przeznaczenie, które kolejno przeprowadziłoby cię przez wszystkie etapy życia. Przecież, o ile mi wiadomo, nic nie powstrzymało twojej duszy przed poszukiwaniem i odnalezieniem nauczycieli, którzy przekazali ci najcenniejszą wiedzę?

- To prawda, że już jako dziecko marzyłem o egzystencji innej niż ta, którą wiodłem w rodzinnej wiosce - odparł Giovanni.

- Widzisz, nie mam pewności co do tego, czy dusza ludzka rzeczywiście żyje wiele razy, czy może wciela się tylko raz w ciało i psyche przesycone charakterem i doświadczeniami rodziców i przodków. Jednak są trzy rzeczy, których jestem absolutnie pewny.

Tu, dla lepszego zilustrowania swych słów, kabalista oparł prawy palec wskazujący na kciuku lewej dłoni.

- Po pierwsze, rodzimy się z bagażem psychicznym, który determinuje nas co najmniej w tym samym stopniu co warunki fizyczne, takie jak rodzina czy kraj. Po drugie - powiedział, dotykając palca wskazującego - nasze życie nie jest dziełem przypadku. Od samego początku, od chwili poczęcia i narodzin, niesiemy w sobie, niczym nasienie drzewa, zalążek tego, czym się staniemy w przyszłości. Po trzecie w końcu - tu Eleazar wskazał palec środkowy - życie jest swego rodzaju szkołą, która ma jeden jedyny cel: nauczyć nas kochać. W tym właśnie celu przechodzimy rozmaite doświadczenia, bolesne lub miłe, które sprawiają, że możemy posuwać się naprzód.

Przyjrzyj się swojemu życiu, Giovanni, i powiedz, czy nie jest wspaniałą ilustracją moich słów?

Młodzieniec zamyślił się. Nie mógł zaprzeczyć, że jego życie przypominało najeżoną przeszkodami, spotkaniami z różnymi ludźmi i nagłymi zwrotami akcji ścieżkę wtajemniczenia. Ale jedno pytanie nie dawało mu spokoju od wielu, wielu lat. Od chwili spotkania z Luną.

- Zatem jeśli przychodzimy na świat z określonym bagażem wzlotów i upadków, gdzie jest nasza wolność?

- Jeśli człowiek został obdarzony wolną wolą - a tego jestem absolutnie pewny - to owa wolna wola nie polega na tym, że można dowolnie wybrać swój charakter, warunki życia czy los. Chodzi o to, w jaki sposób reagujemy na doświadczenia, które niesie życie. Wyobraź sobie człowieka jako stojącego na scenie aktora, który ma zagrać konkretną rolę napisaną z góry przez kogoś innego. Możliwości manewru aktora nie polegają na zmianie roli, ale na jak najlepszej interpretacji. Wielkiego aktora nie poznajemy po tym, czy gra księcia, czy giermka, ale po tym, jak - będąc księciem lub giermkim - gra swoją rolę. Nieważne, czy jesteśmy biedni, czy bogaci, wiemy życie proste czy pełne chwały, jesteśmy kobietą czy mężczyzną umieramy młodo czy jako starcy. Jedyne, co ma znaczenie, to fakt, czy przeżyjemy je w sposób światły, sprawiedliwy i głęboki. Wolność człowieka polega nie tyle na wyborze warunków życia, które w dużej mierze są nam narzucone z góry, ile na sposobie, w jaki to życie przeżyjemy.

Eleazar powoli wstał zza biurka, zostawiając swego gościa sam na sam z myślami. Giovanni pomyślał o koncepcji stoików, którą studiował z Mistrzem Lucjuszem. Tymczasem Eleazar wrócił z księgą, którą najwyraźniej niezwykle cenił, i położył ją na biurku. Giovanni z zainteresowaniem spojrział na gruby rękopis oprawny w jagnięcą skórę.

- To, co dotyczy jednostki, dotyczy także ogółu - ciągnął kabalista, trzymając dłoń na księdze.

- Co to znaczy?

- Że cała ludzkość powoli zbliża się do zbiorowej, mistycznej przemiany. Oczywiście, nie znamy ani podstawowych założeń, ani daty, kiedy ma ona nastąpić. Ale poprzez indywidualne wybory jednostek składających się na całą ludzkość oraz poprzez wyboje nas wszystkich, możemy wybrać kierunek i sposób wspólnego marszu. Czy nam się to podoba, czy nie, wszyscy jesteśmy ze sobą powiązani i odpowiadamy za siebie solidarnie. Dobry uczynek lub dobra myśl jednego człowieka podnosi całą ludzkość. Z kolei niegodny postęp lub myśl jednego z nas osłabia i pogrąża wszystkich. Idziemy razem, zgodnie z uniwersalnym rytmem i prawem.

- Jakim? - zapytał Giovanni zafascynowany erudycją swego dobroczyńcy.

- I tu cennych wskazówek udziela nam astrologia - odpowiedział Eleazar, poklepując dłonią gruby wolumin. - Widzisz tę księgę? - podjął poważnym tonem. - Jest to niezwykle cenny rękopis. Ma ponad siedemset lat. Napisał go arabski filozof, Abu Jusuf Jakub ibn Ishaq al-Sabah al-Kindi.

Al-Kindi. Na dźwięk tego nazwiska Giovanni aż podskoczył, wspominając dzieło astrologiczne tego autora i wagę, jaką przywiązywał do niego Mistrz Lucjusz.

Kabalista tymczasem kontynuował opowieść.

- Ta księga mówi o zbiorowym przeznaczeniu ludzkości. Al-Kindi napisał w sumie ponad dwieście dzieł dotyczących medycyny, filozofii, religii, astronomii, matematyki, oświecenia i Bóg wie czego jeszcze. Ale ponadto spędził życie na obliczaniu wielkich koniunkcji planetarnych w nadchodzących mileniach, a także napisał księgę, którą dziś moglibyśmy nazwać *Wielką Księgą Losu Człowieka*.

Giovanni nie odrywał wzroku od rękopisu. Mimo że oprawa była inna, miał pewność, że jest to ta sama księga, która znajdowała się w posiadaniu Mistrza Lucjusza i z którą wielki astrolog zamknął się na długie miesiące w swoim pokoju, by napisać list do papieża.

77

- Podając mnóstwo przykładów na poparcie swej tezy, autor tego wspaniałego dzieła wyjaśnia, że historia ludzkości ewoluuje wraz z kolejnymi przesunięciami punktu równonocy, czyli ze zmianami znaków zodiaku, w których słońce wstaje w dniu przesilenia wiosennego. I tak, około czterech tysięcy lat przed Chrystusem wiosenne słońce wschodziło w gwiazdozbiornie Byka.

Wszystko wskazuje na to, że był to okres, w którym człowiek zaczął prowadzić osiadły tryb życia, budować murowane domy i zajmować się hodowlą. Osiadły tryb życia i budowanie są dwiema charakterystycznymi cechami drugiego znaku zodiaku. Co więcej, wszystkie ówczesne religie, od Sumeru przez Asyrię i Egipt, wielbiły postać byka. Był to czas kultu Minotaura i egipskiego boga Apisa: obydwu z głową byka. Symbolicznie cechy charakterystyczne znaku Byka odpowiadają narodzinom pierwszych cywilizacji, które położyły podwaliny pod zasady życia społecznego i politycznego.

Następnie, jakieś dwa tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa, punkt przesilenia przesunął się - w przeciwną stronę niż znaki zodiaku - do gwiazdozbioru Barana. Jak pokazuje przykład Abrahama i pochodzących od niego Izraelitów, zwierzęciem, które składano Bogu, było jagnię lub baran.

Ale postać tego zwierzęcia jest obecna wszędzie na świecie: w Egipcie, jako reprezentacja Amon-Ra, boga słońca z głową barana. Symbolicznie znak Barana odpowiada erze podbojów i rozwojowi wielkich imperiów: egipskiego, perskiego, macedońskiego i rzymskiego.

Przyjście na świat Chrystusa zbiegło się z przesunięciem punktu równonocy do gwiazdozbioru Ryb. Zapewne wiesz, że to właśnie ryba była symbolem pierwszych chrześcijan! Symbol krzyża pojawił się dużo, dużo później. Przez wiele stuleci uczniowie Chrystusa rozpoznawali się właśnie po symbolu ryby, który - w czasach represji - rysowali w katakumbach.

- Czy dlatego, że pierwszymi apostołami byli rybacy żyjący nad Jeziorem Galilejskim? -

spytał Giovanni.

- Z tego powodu także. Ale również dlatego, że w języku greckim „ryba”, czyli *ICHTUS*, jest zbudowana z pierwszych liter zdania *Iesus Christos Theou Huios Soter*, czyli: Jezus Chrystus Syn Boży, Zbawiciel. Dodam tylko, nawiązując do astrologii, że symbolika Ryb wspaniale oddaje dominujące cechy religii chrześcijańskiej: współczucie, poświęcenie, dążenie do połączenia i zjednoczenia rodzaju ludzkiego.

Eleazar zamilkł. Giovanni patrzył na niego z wypiekami na twarzy.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, około roku dwutysięcznego w dniu równonocy wiosennej słońce wejdzie w znak... Wodnika. Zatem zacznie się nowa era w dziejach ludzkości?

- Z całą pewnością. XXI wiek będzie świadkiem głębokich wstrząsów cywilizacyjnych i religijnych.

- Czyżby wówczas miał nastąpić koniec chrześcijaństwa?

- Czy koniec, tego nie wiem, ale z całą pewnością głęboka przemiana. Zmierzająca prawdopodobnie w kierunku większego uczłowieczenia religii, gdyż Wodnik, w przeciwieństwie do innych znaków zodiaku, ma twarz człowieka czy anioła. Era Wodnika będzie erą rozwoju humanum, czyli wartości ludzkich: tych samych, które przeżywają swój rozkwit już teraz, w naszej epoce. Jak wskazuje symbolika znaku Wodnika, życie nabierze wymiaru duchowego, a ludzie będą dążyć do stworzenia nowej cywilizacji: opartej na idei braterstwa. Nie wiemy, czy zrobią to, całkowicie odrzucając ideę Boga, czy też zapraszając Go do swoich serc. Nikt tego nie wie, ale z całą pewnością proces ten będzie trwał wiele setek lat.

- A czy dzieło Al-Kindiego nie mówi nic o epoce, w której teraz żyjemy? Wszak ona także jest epoką gwałtownych zmian?

- Ależ oczywiście! Al-Kindi pisze nie tylko o wielkich, liczących nieco więcej niż dwa tysiące lat cyklach precesyjnych.

Ten wybitny uczony obliczył także cykle wielkich koniunkcji planetarnych podczas całej Ery Ryb. To on przepowiedział, że wielka koniunkcja Saturna i Jowisza, która nastąpi w znaku Skorpiona w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku, będzie znakiem zapowiadającym nadejście głębokiego wstrząsu, który zmieni oblicze religii chrześcijańskiej. Giovanni nie krył zaskoczenia.

- Ale czy przypadkiem nie Albumazar był twórcą tej przepowiedni? Czy to nie on zapowiedział nadejście nowego proroka, za którego niektórzy uznali urodzonego podczas tej koniunkcji Lutra?

- Widzę, że jesteś dobrze poinformowany! Rzeczywiście ta przepowiednia jest dziełem Albumazara, najślynniejszego astrologa arabskiego. Jednak w swoich badaniach Albumazar korzystał z obliczeń Al-Kindiego, którego był uczniem!

- Zatem dzieło, na którym trzymasz dłoń, są to obliczenia astrologiczne Al-Kindiego, którymi posługiwał się Albumazar? - zapytał podekscytowany Giovanni.

- Dokładnie tak.

- A jaki jest jego tytuł?

- *Dżafar* - odpowiedział kabalista. - Jest to bez wątpienia najcenniejszy tom w mojej bibliotece, gdyż na całym świecie są tylko dwa egzemplarze.

Giovanni spojrział na swego rozmówcę ze zdumieniem.

- Skąd wiesz, panie?

- Oryginalny tekst został napisany przez Al-Kindiego po arabsku, ale jak zaświadcza historyk Ibn Chaldun w *Prolegomenach*, rękopis zaginął w trzynastym wieku podczas najazdu Tatarów na Bagdad. Hulagu-chan, wnuk Czyngis-chana, nie znalazł lepszej rozrywki, niż wrzucanie do Tygrysu ksiąg z przepastnej biblioteki Kalifatu. Tymczasem kalifowie, zamiast zlecić skopiowanie rękopisu i oddać cenne dzieło w ręce uczonych, zazdrośnie strzegli jedynego istniejącego egzemplarza.

- A ten, który masz w swoim posiadaniu? - spytał Giovanni nieufnie.

- Na szczęście sekretarz Al-Kindiego skopiował go potajemnie przed śmiercią swego pana, zanim rękopis dostał się w ręce kalifów. Egzemplarz, który widzisz przed sobą, jest napisany po arabsku. Kupiłem go od mieszkających w Kordobie potomków sekretarza, płacąc za niego majątek.

- To niesamowite! A gdzie jest drugi egzemplarz?

- Zanim nabyłem moją księgę, pewien chrześcijański mnich, mieszkający w Kordobie pasjonat astrologii, zapłacił właścicielom dzieła majątek za możliwość skopiowania go po łacinie. Nie wiem, gdzie się podziewa ten rękopis, który wydaje się być jedynym na świecie - oprócz mojego...

Giovanni utkwiał wzrok w twarzy Eleazara.

- Co ci się stało? - spytał zaskoczony kabalista.

- Myślę... myślę, że wiem, co się z nim stało. Mój nauczyciel posiadał księgę, którą cenił nade wszystko. Była to łacińska wersja rękopisu Al-Kindiego. Miała wymiary podobne do wymiarów dzieła, które posiadasz. Nigdy jej nie czytałem, ale Pietro, sługa Lucjusza, powiedział mi, że jego pan zapłacił za nią majątek. Odkupił ją we Florencji od pewnego mnicha!

Eleazar pogładził brodę.

- A co stało się z księgą po śmierci twego mistrza?

- Nie wiem! Obawiam się, że została zniszczona.

- Jak to?

- To długa historia - westchnął Giovanni, po czym opowiedział Eleazarowi o tym, jak pewnego dnia jego mistrza odwiedził kardynał przysłany przez papieża. Wyjawił, że z powodu

czarnych rycerzy nigdy nie zdołał dostarczyć lista, który zawierał odpowiedź astrologa na zadane przez papieża pytanie. Opowiedział o tragicznej śmierci Lucjusza i Pietra oraz o swoim dramatycznym spotkaniu z członkami tajnego zakonu. Powiedział także, że kiedy wrócił do leśnej chaty, wszystkie książki Mistrza Lucjusza, w tym cenny rękopis Al-Kindiego, zniknęły: spalone lub skradzione przez jeźdźców w czerni. Zataił tylko, że wyruszył w podróż do Jerozolimy z zamiarem zabicia przywódcy bractwa.

Eleazar z największą uwagą słuchał opowieści Giovanniego, dzięki której nie tylko mógł lepiej poznać swego gościa, lecz także poznać motyw zbrodni popełnionych przez tajny zakon.

- I nie domyślasz się, co mógł zawierać zaadresowany do papieża list, który zostawiłeś w Wenecji? - spytał kabalista.

- Nie - odparł Giovanni głosem wciąż jeszcze drżącym ze wzruszenia. - Wiem tylko, że przez wiele miesięcy mój nauczyciel pracował w odosobnieniu, korzystając z ksiąg astrologicznych, w tym z rękopisu Al-Kindiego.

- No cóż. Nie zdziwiłbym się, gdyby pytanie papieża miało związek z dziełem Al-Kindiego i znakami czasu. Wiem bowiem, że papież Paweł Trzeci jest wielkim miłośnikiem astrologii i z całą pewnością musi sobie zadawać pytanie o sens tak wielkiego znaku, jakim było odkrycie Nowego Świata i Wielka Schizma Zachodnia. Wiem także, że podobnie jak ja znał sławę twojego mistrza. Kto wie, może wiedział również, że Lucjusz posiada egzemplarz *Dżafarul Tak* czy inaczej, nie zdziwiłbym się, gdyby zadał pytanie natury eschatologicznej dotyczące na przykład nieuniknioności końca świata czy nadejścia Antychrysta.

- Niewykluczone. I ja o tym myślałem. Ale spokoju nie daje mi jedna myśl.

Eleazar nastawił uszu.

- Dlaczego przywódca tajnego stowarzyszenia, który zamordował Mistrza Lucjusza i usiłował zabić także mnie, uważa, że mój nauczyciel popełnił zbrodnię straszliwszą niż zbrodnie wszystkich papieży łącznie, gorszą nawet od zbrodni znieprawionego Lutra? Wedle jego słów, które wyrzygał mi w twarz ze wzrokiem pałającym nienawiścią, Lucjusz popełnił: „błuznierstwo błuznierstw”. Zastanawiam się, dlaczego przepowiednia dotycząca końca świata czy obliczenia Al-Kindiego opisujące wielkie, kosmiczne cykle i ich wpływ na ziemskie wydarzenia, doprowadzają do pasji tych chrześcijańskich fanatyków.

- Rzeczywiście, to dziwne. Są tacy, którzy, mogliby zapalać gniewem, słysząc przepowiednię oznajmijącą datę końca świata, gdyż w Piśmie Świętym jest napisane, że tylko Bóg zna dzień i godzinę Sądu Ostatecznego. Ale w *Dżafarze* nie ma najmniejszej wzmianki o końcu świata. Poza tym nie wyobrażam sobie, by twój nauczyciel - osoba obdarzona wielką wiarą i dobrze znająca Pismo Święte - odważyła się głosić tego typu prorocstwa. Zastanawiam się, co dla fanatyka katolickiego może oznaczać „błuznierstwo błuznierstw”.

Mężczyźni zamilkli.

- Czy mógłbym obejrzeć księgę? - spytał po chwili Giovanni.

- Oczywiście! - odpowiedział Eleazar ujmując cenny rękopis w obie dłonie i podając go Giovanniemu.

Młodzieniec położył księgę na kolanach i powoli przekładał jej strony.

- To niezwykle wzruszające mieć w rękach jedyny istniejący egzemplarz!

- To prawdopodobne... ale to jeszcze nic pewnego - sprostował Eleazar.

Giovanni uniósł głowę.

- Jak to?

- Nie jest powiedziane, że łaciński rękopis, który znajdował się w posiadaniu twojego mistrza, był kopią *Dżafaru*. Poza tym nie wiemy, czy został zniszczony. Być może fanatycy zabrali go ze sobą, zanim podpalili dom? Możliwe też, że mnich, który odstąpił ją twemu mistrzowi, bez względu na to, co deklarował, zrobił więcej niż jedną kopię?

- To prawda.

- Tak czy inaczej, wydaje się, że członkowie tajnego stowarzyszenia byli bardziej zainteresowani listem Lucjusza niż dziełem Al-Kindiego, które przecież mogli z łatwością wykraść. Sądzę, że twój mistrz posłużył się pracą Al-Kindiego do zupełnie innych celów. Tylko jakich? Prawdopodobnie chodziło o coś, co ma związek z podwalinami chrześcijaństwa.

- Wiedzą to członkowie Zakonu Najwyższego Dobra, skoro za wszelką cenę pragną przechwycić list.

- Z całą pewnością znają treść pytania, które papież zadał astrologowi. Wydaje mi się jednak, że nie domyślają się odpowiedzi i mimo że sprawa budzi w nich wstręt, chcą poznać tę odpowiedź nade wszystko. Nie domyślasz się, kim są ci ludzie ani gdzie mają swoją siedzibę?

Giovanni zawahał się. Gdyby wyjawiał Eleazarowi to, co wie, musiałby także wyznać, w jakim celu wyruszył do Jerozolimy. Tymczasem sam nie znał odpowiedzi na to pytanie. Przez długie miesiące jego serce było trawione żądzą zemsty i nienawiścią.

Jednak od pewnego czasu, a zwłaszcza od chwili, gdy zamieszkał w domu Eleazara, odnalazł ukojenie i spokój. Zastanawiał się także, czy nadal chce jechać do Jerozolimy, by zabić fanatycznego starca. Potrzebował czasu do namysłu. Zdecydował, że nie wyjawi prawdy.

- Nie wiem. Jednego jestem pewien: członkami tajnego zakonu są niektórzy mnisi z klasztoru San Giovanni in Venere, tego samego, w którym zostałem opatrzony i wyleczony. Niewykluczone, że zakon rekrutuje członków w kręgach Kościoła. Być może nawet samego Watykanu.

- Nie inaczej. Zresztą prawdopodobnie za sprawą kogoś z bliskiego otoczenia papieża, być może nawet któregoś z kardynałów, członkowie zakonu przybyli po odpowiedź do twojego mistrza.

A skoro list nigdy nie dotarł do adresata, z całą pewnością nadal go szukają. Czy wyjawiliście im, że zostawiłeś go w Wenecji?

- Boże uchoj! A już na pewno nie powiedziałem im, że powierzyłem go mojej przyjaciółce. Z całą pewnością odnaleźliby ją i torturowali!

Eleazar nie krył zdumienia.

- Powierzyłeś list kobiecie?

- Tak. A przynajmniej dałem jej klucz od szafki, w której go trzymałem. Ale od przywódcy bractwa wiem, że dziewczyna nie dostarczyła go do Rzymu.

- A jak się nazywa ta dziewczyna?

Giovanni już miał odpowiedzieć na pytanie, gdy nagle wewnętrzna siła nakazała mu zamknąć usta. Dlaczego niby nazwisko dziewczyny interesowało kabalistę? Strach ścisnął mu gardło.

- Wybacz ciekawość, ale znam wiele weneckich rodzin. Byłoby ciekawie, gdyby ta dziewczyna pochodziła z jednej z nich. Tak czy inaczej, gdybyś zechciał czegoś się o niej dowiedzieć lub odzyskać list, powiedz. Mam w Wenecji duży kantor, w którym pracuje dla mnie wiele osób.

- Nie omieszka - odpowiedział Giovanni z zaschniętym gardłem. - Na razie pragnę o wszystkim zapomnieć.

Eleazar wstał, po przyjacielsku klepiąc Giovanniego w plecy.

- Rozumiem. A ja jestem głodny. Chodźmy do ogrodu na kolację. Jest taka piękna pogoda.

Eleazar odstawił rękopis Al-Kindiego na półkę. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu, Giovanni zauważył stojącą obok drugą księgę: tych samych rozmiarów, ale w nowszej oprawie.

Zjadł kolację w towarzystwie zadających mu tysiące pytań gospodarzy, opowiadając im o najważniejszych wydarzeniach swojego życia i radując się ze spotkania z Esterą. Niemniej jednak, dręczony głuchą obawą, zataił imię Eleny, wymyślając na poczekaniu historyjkę o flircie z osóbką pochodzącą z niższego stanu. Pod koniec trwającego dłuższy czas posiłku Estera pożegnała go z wyszukaną uprzejmością. Dziewczynę bardzo poruszyła opowieść Giovanniego.

Młodzieniec wrócił do swojego pokoju, kiedy na ogród zaczął opadać wieczorny chłód.

Nie mógł jednak zasnąć. Wciąż rozmyślał o cudnym spacerze, który odbył w towarzystwie Estery po sefrotycznym ogrodzie. Ta chwila zachwyciła jego duszę. Wspominał także wyjaśnienia astrologiczne Eleazara, które obudziły w nim wspomnienie Mistrza Lucjusza.

Ale spokoju nie dawała mu jeszcze jedna myśl: niejasne przecucie, które burzyło niedawno odzyskany spokój. Wkrótce się przekonamy, pomyślał, próbując odegnać czarne myśli.

78

W ciągu kolejnych tygodni Giovanni lepiej poznał dom i zwyczaje swoich nowych panów.

Mimo wielkiego bogactwa Eleazar i Estera żyli bardzo skromnie. Ich posiłki złożone z warzyw i ryb przypominały posiłki większości Algierczyków. Kabalista spał wprost na podłodze, w stosunkowo małej sypialni pozbawionej mebli i dekoracji. Giovanni dowiedział się od służby, że znajdująca się na drugim piętrze, wychodząca na ogród sypialnia Estery była o wiele bardziej wyszukana: wyposażona w dużą salę kąpielową i ukwiecony taras. W domu panowała atmosfera spokoju i radości zarazem. Ośmioro służących mieszkających w domu darzyło swoich państwa szczerą miłością, pracując na ich rzecz pod bezpośrednim zwierzchnictwem Maleka. Jak wszyscy służący Eleazara zarządca był dawnym niewolnikiem, któremu zwrócono wolność. Służył kabaliście od ponad dziesięciu lat, towarzysząc mu w jego podróżach. Eleazar wolał odwiedzać swoje liczne kantory jesienią i zimą, kiedy z powodu złej pogody większość ludzi zostawała w domu. Tak samo zresztą jak korsarze, co w oczach bankiera było warte choroby morskiej wywołanej silniejszym kołysaniem statku. Eleazar był szeroko znany i szanowany, tak więc spokojnie podróżował zarówno po Europie, jak i po terytorium imperium osmańskiego, czując się równie dobrze w towarzystwie chrześcijan, jak i muzułmanów.

Od maja do października natomiast wolał przebywać w al-Dzazai'rze, gdzie przyjmował niewielu gości, koncentrując się na stadiach religijnych i filozoficznych.

Jako wierzący i praktykujący Żyd, wstawał wcześniej rano, by odmówić krótką modlitwę:

Dzięki Ci Królu Żyjący i Trwający, że zwróciłeś mi miłosiernie moją duszę. Wielka jest Twoja Wierność.

Następnie na znak oczyszczenia mył ręce i zakładał *tallit*, duży, kwadratowy szal.

Na rogach szala zwisały długie wełniane frędzle, tak zwane *cicit*, które Pan polecił nosić Mojżeszowi:

Powiedz Izraelitom, niech sobie zrobią frędzle na krajach swoich szat... a gdy na nie spojrzycie, przypomnicie sobie wszystkie przykazania Pana.

Następnie, za pomocą czarnych skórzanych rzemyków, przywiązywał sobie do lewego ramienia i do czoła *tefilin*, czyli filakterie - niewielkie, skórzane pudełeczka w kształcie sześcianu, zawierające przykazania Tory. *Shel yad* otaczające ramię, symbolizowało związanie całego ciała, *shel rosh* wiązało głowę, czyli umysł. Giovanni dowiedział się, że celem noszenia filakterii jest ciągle przypominanie Żydom, że umysł, serce i ciało mają służyć Bogu i wypełniać przykazania Tory.

Tak przygotowany Eleazar klękał w sypialni przed niskim stolikiem, na którym leżały przeróżne zwoje, i modlił się aż do świta. Jego modlitwa składała się z hymnów i błogosławieństw przeplatanych śpiewaniem psalmów i nabożnych pieśni. Po południowym posiłku, a także wieczorem przed udaniem się na spoczynek, Eleazar ponownie zamykał się w swoim pokoju, zanosząc modły do Boga. Pozostałą część dnia spędzał przeważnie w swojej przepastnej bibliotece,

oddając się stadiom. Przynajmniej raz w tygodniu udawał się do synagogi, gdzie często - na prośbę rabina - czytał i komentował Torę. Zarówno on i Estera, jak i żydowska część służby, przestrzegali świętego dnia wypoczynku, szabasu.

Mimo że nie było to oczywiste na pierwszy rzut oka Giovanni zorientował się, że spożywanie niektórych pokarmów, na przykład wieprzowiny, koniny czy mięsa z królika, jest zabronione. Estera i Eleazar unikali także mieszania pokarmów: mięsa i nabiału, które zawsze przygotowywano i podawano w oddzielnych naczyniach.

Kalabryczyk zrozumiał też, że w Algierze współistniały dwie odrębne wspólnoty żydowskie. Do jednej należeli Żydzi, którzy mieszkali tu od wielu pokoleń: doskonale władający językiem arabskim, w pełni zasymilowani z miejscową kulturą. Byli to głównie krawcy, hafciarze i jubilerzy. Część z nich trudniła się lichwą. Drugą grupę stanowili Żydzi sefardyjscy, tak zwani Spaniolowie, przybyli stosunkowo niedawno z Europy. Zazwyczaj traktowano ich dużo lepiej, a to z racji ich majątności i koneksji. Przeważnie byli to kupcy i bankierzy.

Jak na całym obszarze imperium osmańskiego, tak i w Algierze, Żydzi cieszyli się statusem *dhimmi*, czyli podporządkowanej, lecz chronionej prawem mniejszości. Mogli żyć spokojnie, nie obawiając się pogromu lub grabieży, niemniej jednak musieli płacić swym arabskim protektorom dodatkowy podatek - *charadż*. Estera wyznała jednak Giovanniemu, że w al-Dżaza'irze Żydów traktowano gorzej niż niewolników. Dlatego też Małek, zlecając służbie sprawunki w mieście, nigdy nie wysyłał po nie Żydów, lecz Arabów.

Giovanni odkrył też zwyczaje panujące w kazbie. Ulica stanowiła tam przestrzeń wspólną. Wąskie, zacienione i tętniące życiem uliczki spełniały nie tylko rolę pasaży, lecz także stanowiły miejsce zakupów czy spotkań. Dom natomiast był przestrzenią prywatną, rodzinną: intymną enklawą cienia, całkowicie niedostępną z zewnątrz. Z wyjątkiem kilku wąskich wykuszy na ostatnim piętrze pozwalających widzieć, nie będąc widzianym, na ulicę nie wychodziły żadne okna. Zgodnie z mauretańskim zwyczajem, w centrum domu znajdował się dziedziniec, patio, swoisty rezerwar światła. Pośrodku patio musiała się znajdować fontanna lub niewielki zbiornik wodny ozdobiony pachnącą roślinnością. Na górę prowadziły kamienne lub marmurowe schody, a do pokoi wchodziło się z biegnącego wokół dziedzińca korytarza. Zalane słońcem tarasy stanowiły przestrzeń prywatną i wspólną jednocześnie, miejsce, gdzie dzieci bawiły się radośnie, podczas gdy ich matki rozmawiały po sąsiedzku, rozwieszając wypraną bieliznę.

Przez pierwsze tygodnie Giovanni unikał wychodzenia na zewnątrz. Spędzał długie godziny na swoim niewielkim tarasie, podziwiając panoramę miasta o zachodzie słońca i przysłuchując się miejskiemu gwarowi. Nie bez wzruszenia napawał się pięknem światła, które ześlizgiwało się po dachach przytulonych do siebie domów. Spojrzeniem omiatał tarasy, które niczym cudowne schody opadały stopniowo w dół, aż do samego morza.

Al-Dżaza'ir zaczynał roztaczać swój czar.

Dwa lub trzy razy w tygodniu Giovanni był zapraszany przez gospodarzy na wspólną kolację. Wówczas w miłej atmosferze rozmawiali na różne interesujące tematy. Eleazar opowiedział o swoim dzieciństwie w Kordobie i dramatycznych wydarzeniach, które zmusiły jego i jego rodzinę do opuszczenia miasta, kiedy miał zaledwie sześć lat. Katoliccy władcy wypędzili Żydów z Hiszpanii, konfiskując ich posiadłości. Ojciec Eleazara, Jakub, był bankierem i bez trudu przeniósł się do Algieru. Eleazar natomiast, którego pasją były podróże po Europie, zdecydował osiedlić się w Bolonii. Ożenił się, ale jego pierwsza żona, Rachel, zmarła, nie dając mu dziecka. Przez jakiś czas pozostał wdowcem. Odziedziczył po ojcu kantor i założył kilka nowych. W wieku czterdziestu lat ożenił się z Batszeba, matką Estery i z zamiarem oddania się studiom kabalistycznym, wraz ze wszystkimi książkami powrócił do Algieru. Po tragicznej śmierci drugiej żony postanowił pozostać wdowcem. Mieszkał jedynie z ukochaną córką.

Estera od najmłodszych lat towarzyszyła ojcu w jego licznych podróżach. Eleazar korzystał z pobytów za granicą, by zapoznawać córkę z najwybitniejszymi uczonymi i artystami, a w Algierze zapewnił jej prywatnego nauczyciela, który nauczał ją greki, łaciny i filozofii. Eleazar z kolei podjął się nauczania córki języka hebrajskiego, Talmudu i kabały. Tak więc w wieku zaledwie dwudziestu lat Estera cieszyła się niezwykle wszechstronnym wykształceniem. Ale Giovanni odkrył, że dziewczyna ma też inne talenty: haftowała, pielęgnowała ogród, a także śpiewała, wtórując sobie na cytrze. Kiedy usłyszał po raz pierwszy, jak łączy ciepły, słodki głos z linią melodyczną instrumentu, wzruszył się do głębi.

Z obawy, by dziewczyna nie przerwała na jego widok, przycupnął u stóp cedru, słuchając, jak śpiewała psalmy.

Wieczorem spotkał Esterę w ogrodzie i wyznał jej, jak bardzo poruszyło go piękno jej śpiewu.

- Nie wiedziałam, że słuchasz, w przeciwnym razie natychmiast bym przerwała! - odpowiedziała zaskoczona.

- Dlaczego? Cudem jest móc ciebie słuchać. Estera skromnie spuściła wzrok.

- Śpiewam Bogu, a nie po to, by uwodzić mężczyzn.

- Wiem o tym. Twój śpiew poruszył moją duszę. Zdziwiasz mnie. Piękne, młode arystokratki, które poznałem w Wenecji, interesowały się tylko przyjęciami, balami, ciągłym upiększaniem i polowaniem na mężów, a ty większość czasu spędzasz w tym domu! Nie przyjmujesz gości, żyjesz w nieustającej modlitwie, czytasz książki, śpiewasz nabożne pieśni i medytujesz, spacerując po tym cudownym ogrodzie... Estera parsknęła śmiechem.

- Masz rację, dworując sobie ze mnie! Pewnie ci się wydaje, że nie interesuję się niczym z wyjątkiem religii.

- Nie dworuję z ciebie! Po prostu widzę, że stale jesteś zajęta rozwijaniem swego umysłu i pielęgnowaniem duszy.

- To prawda. Jest to jeden z moich głównych celów. Wiedza kabalistyczna i obrzędy religijne, a także filozofia i poznanie innych religii są dla mnie jedną z dróg, które wybrałam, by wieść życie godne daru, który dał mi Bóg.

- A jakie są te inne drogi?

Estera usiadła na huśtawce. Giovanni przycupnął naprzeciwko niej, u stóp dorodnego figowca. Dziewczyna huśtała się łagodnie, wpatrzona w niebo. Wyglądała na nieobecną, jakby uczestniczyła w tańcu obłoków i ptaków. Nie spieszyła się z odpowiedzią.

- Od kiedy byłam dzieckiem, pragnę tylko jednego: kochać. Kochać tak mocno, jak to tylko możliwe. Wciąż szukam kluczy, które pozwolą mi osiągnąć mój cel. Szukam w świecie idei, aby moje serce było prowadzone prawą i czystą myślą. Szukam też w modlitwie i doświadczeniu wewnętrznym, bo wiem, że cała Miłość pochodzi od Boga. Szukam ich w świecie sztuki, gdyż piękno i harmonia sprawiają, że wznosi się moje serce. Szukam też w sobie, bo Prawo mówi: *Kochaj bliźniego swego jak siebie samego*. Szukam tych kluczy także w relacjach z innymi ludźmi. Jak lepiej słuchać, lepiej dzielić się z nimi, pomagać im, lepiej żyć pośród tych, których Bóg postawił na mojej drodze.

Giovanni słuchał, nie spuszczać z niej wzroku. Im dłużej na nią patrzył, tym bardziej jej słowa znajdowały w nim oddźwięk i tym bardziej ją... kochał. Nie wyobrażał sobie, że gdziekolwiek na świecie może istnieć ktoś taki jak ona.

- Jesteś czarodziejem, Giovanni! Mówią o mnie, że jestem nieufna i skryta, a oto powierzam ci moje najbardziej intymne tajemnice. A przecież prawie cię nie znam.

- Gdybyś wiedziała, jak bardzo jestem ci za to wdzięczny!

- Ale być może nie jesteśmy sobie zupełnie nieznani? Mam dziwne uczucie, że znamy się od dawna. To uczucie towarzyszy mi od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałam na placu, tuż przed egzekucją.

- To niesamowite! Ja odnoszę podobne wrażenie, a wszystko, co mówisz, odbija się we mnie głębokim echem.

- To całkiem możliwe.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Estera zamilkła.

- Nic - odpowiedziała po chwili. - Porozmawiamy o tym innym razem. Teraz muszę cię pożegnać, Giovanni. Wychodzę do miasta. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś. Jutro ty powierzysz mi sekrety swojego serca!

79

Po jakimś czasie Giovanni zapragnął opuszczać teren domu i ogrodu. Poprosił więc

Eleazara o zgodę na wyjście do miasta raz lub dwa razy w tygodniu. Kabalista zgodził się, pod warunkiem że Giovanniemu zawsze będzie towarzyszył ktoś mówiący po arabsku. Estera często odwiedzała biedne rodziny, dzieląc się z nimi żywnością. Giovanni bardzo prędko zasmakował w ich wspólnych wyjściach, i wkrótce był rozpoznawany przez mieszkańców dzielnicy, którym oficjalnie został przedstawiony jako chrześcijański niewolnik Mohammeda.

Eleazar zaproponował młodzieńcowi, by ten wybrał sobie książki z jego biblioteki. Giovanni pożyczył Biblię po łacinie i *Dialogi* Platona po grecku. Z radością powrócił do lektur, które dawniej skierowały jego umysł na drogę poszukiwania prawd ostatecznych. Kabalista zaczął też zlecać mu drobne prace porządkowe w bibliotece. Jako że Giovanni zapragnął być pożyteczny, Małek prosił go czasem o pomoc w pracach ogrodniczych lub drobnych naprawach murarskich.

Jednak mimo piękna tego miejsca, radości powodowanej możliwością lektury i medytacji w cudnym ogrodzie, serdeczności gospodarzy i wciąż rosnącej miłości do Estery, Giovanni nie czuł się całkiem spokojny.

Jego umysł zajmowało wiele trosk, które przeszkadzały mu w pełni oddać się wyszukanyemu przyjemnościom ciała i ducha.

Codziennie myślał o Georges'u, który wciąż gnął w więzieniu, zaledwie kilkaset metrów od niego. Tak bardzo pragnął znów zobaczyć przyjaciela! A nade wszystko, ze wszystkich sił pragnął mu pomóc opuścić raz na zawsze to przeklęte miejsce. Pewnego ranka, gdy siedział w parku na ławce zatopiony w rozmyślaniach, nadeszła Estera. Gdy zapytała go o powód jego smutku, odpowiedział jej szczerze, opowiadając tragiczną historię Francuza, tęsknotę za nim i ból, jaki odczuwał na myśl, że jego przyjaciel nadal jest w niewoli. Estera wysłuchała go cierpliwie, nie przerywając jego opowieści, po czym zmieniła temat.

Giovanni myślał też wciąż o Elenie i o liście, którego nigdy nie dostarczył do papieża. Co się z nim stało? A Elena? Czy wyszła za mąż, czy może wciąż na niego czeka? Czy myśli o nim? Tak bardzo chciałby ją zobaczyć!

A skoro jest wolny, może mógłby udać się do Wenecji? Nie, to zbyt ryzykowne. Tak dla niego, jak i dla niej. Poza tym czuł, że przez te wszystkie lata, jego serce zamarzło, odzyskując życie dopiero teraz, w ciągu ostatnich tygodni... od kiedy żył u boku Estery.

Jego miłość do Eleny była wieczna, a jej twarz na zawsze wryła się w jego pamięć. Ale z upływem czasu i wskutek ciężkich przeżyć, pożądanie, które do niej odczuwał, wygasło. Owszem, zdawał sobie sprawę, że namiętność odrodziłaby się w chwili ponownego spotkania, jak rozdmuchany żar tłący się pod popiołem, jednak Giovanni był teraz mądrzejszy i o wiele bardziej rozsądny i wiedział, że nigdy nie spróbuje odnaleźć ukochanej. Ani rozniecić wygasłego żaru. Natomiast codzienna obecność Estery budziła w nim głębokie poruszenie i zmysłowy niepokój. Zrazu starał się z tym walczyć. Potem jednak ustąpił. Nie mając innych planów ani trosk ponad to,

aby stale żyć w prawdzie, Giovanni pozwalał rozwijać się uczuciom, które rodziły się w jego sercu.

Niemniej jednak czasami zastanawiał się, czy serce córki Eleazara jest wolne, a także czy dziewczyna mogłaby odwzajemnić jego uczucie. Te pytania zaprzętały jego umysł, podczas gdy Giovanni zaczął powątpiewać w swą wolę zemsty i kontynuowania swej podróży do Jerozolimy.

Ale spokoju nie dawała mu jeszcze jedna, szczególnie uparta myśl. Od długiej rozmowy, jaką odbył w bibliotece z Eleazarem na temat dzieła Al-Kindiego, zawładnęła nim najczarniejsza wątpliwość, której w żaden sposób nie mógł usunąć z umysłu ani serca. Podczas rozmowy z kabalista zwrócił uwagę na maleńki, zaskakujący szczegół. Poza tym poruszył go widok dzieła stojącego obok *Dżafaru*. Wiele razy, pracując w bibliotece, miał zamiar zbliżyć się do owego słynnego rękopisu, ale zawsze kabalista wysyłał go po książki znajdujące się w drugim końcu pomieszczenia. Poza tym Giovanniemu nigdy nie udało się zostać z książką sam na sam. Z biegiem czasu trawiąca go wątpliwość stała się tak nieznośna, że pewnego wieczoru postanowił wyjaśnić sprawę raz na zawsze.

O północy, podczas gdy cały dom pogrążony był we śnie, wstał i po cichu wyszedł ze swojego pokoju. Noc była bezksiężycowa. Kocim krokiem zszedł po schodach wiodących na patio dla służby i udał się do kuchni. Po omacku odnalazł świecę i zapalił ją. Następnie pochwycił rzeźnicki nóż i na palcach wyszedł z pomieszczenia.

Zgasił świecę, przeszedł przez drugie patio i przez furtkę wśliznął się do ogrodu. Wspiął się po schodach na piętro, gdzie znajdowała się biblioteka kabalisty i przemykając pod ścianą, dotarł do drzwi.

Z ulgą stwierdził, że są otwarte. Wszedł do środka, ponownie zapalając świecę. Pewnym krokiem przeszedł przez biuro i z drżącym sercem podszedł do półki, na której stały stare rękopisy. *Dżafar* stał jak zwykle obok tajemniczego dzieła w nieco nowszej oprawie.

Giovanni postawił świecę na brzegu półki, biorąc do ręki drugi rękopis. Ma nawet tą samą oprawę, pomyślał. To niemożliwe, by...

Aż podskoczył na dźwięk otwieranych gwałtownie drzwi. Do biblioteki wpadł Małek w towarzystwie dwóch uzbrojonych w szable mężczyzn.

- Co tu robisz? - zarządca warknął złowieszczo.
- Chciałem coś sprawdzić - odpowiedział niepewnie Giovanni.
- Nocą? Po kryjomu? Chciałeś wykraść rękopis!
- Nie, zapewniam cię, że nie.

Małek wydał jednemu ze służących rozkaz po arabsku. Mężczyzna natychmiast opuścił pomieszczenie. Tymczasem zarządca i drugi służący podeszli do Giovanniego.

- Dlaczego zatem spacerujesz ze skradzionym w kuchni nożem?
- Obawiałem się grożącego mi niebezpieczeństwa.

- Tutaj? Nie drwij ze mnie! Wkrótce nadejdzie mój pan i z całą pewnością każe mi zamknąć cię w piwnicy!

W rzeczy samej, Eleazar nadbiegł kilka chwil później. Za nim do biblioteki wślizgnęła się także przerażona Estera, której towarzyszył uzbrojony służący. Nikt nie spuszczał wzroku z Giovanniego, który stał oparty o ścianę, z rękopisem w rękach.

- Przyłapałem go na kradzieży twego najcenniejszego rękopisu, panie.

- To nieprawda - odparł Giovanni.

- Zatem wytłumacz się, chłopcze - odezwał się Eleazar uspokajającym głosem. - Co tu robisz w środku nocy, uzbrojony? Co zamierzałeś? Czego się obawiałeś?

- Bałem się, że ktoś będzie chciał mnie zgładzić - odpowiedział Giovanni, czując, że musi powiedzieć prawdę.

- Że ktoś będzie chciał cię zgładzić? W tym domu? Dlaczego?

- Dlatego, że prawdopodobnie coś odkryłem... Owładnięty paniką Giovanni przerwał w pół zdania. Małek zrobił krok w jego stronę. Kalabryjczyk rzucił rękopis na półkę. Jak osaczone zwierzę ścisnął w ręce nóż.

- Nie zbliżaj się!

Eleazar dał Malekowi znak, by zachował spokój.

- Co zatem myślisz, że odkryłeś? - zapytał. Giovanni był przerażony.

- Myślę, że odkryłem, iż jesteś w posiadaniu łacińskiej wersji *Dżafaru!* Tej, która była własnością mojego mistrza, zanim został zamordowany - odparł drżącym głosem.

- Ojczy, co to wszystko znaczy? - spytała Estera. Jej wzrok wyrażał najgłębszą obawę.

- Nie obawiaj się, moje dziecko. Już wiem, co się dzieje w głowie naszego przyjaciela.

Następnie kabalista zwrócił się do Giovanniego:

- Sądzisz, że jestem członkiem tajnego stowarzyszenia, które zamordowało twojego nauczyciela, prawda? Myślisz, że rycerze w czerni przywieźli mi łacińską kopię *Dżafaru* skradzioną Lucjuszowi? Być może sądzisz, że wykupiłem cię z niewoli po to tylko, by przejąć list do papieża? Dlatego uzbroiłeś się w nóż i dlatego drżysz na całym ciele?

Giovanni zamilkł.

- Nie wiem... - odpowiedział po chwili. - Przeraziłem się, kiedy spytałeś mnie o nazwisko dziewczyny, której powierzyłem list. A potem zauważyłem, że ustawiasz dzieło Al-Kindiego obok książki tak bardzo podobnej do tej, która była w posiadaniu mojego mistrza. Chciałem się upewnić.

- Zatem upewnij się.

Giovanni wbił spojrzenie w Eleazara. Nie wiedział, co o tym myśleć. Czy wpadł w straszliwe sidła, czy wszystko było tylko wytworem jego wyobraźni? Teraz nie pozostawało mu nic innego, jak tylko otworzyć księgę.

W bibliotece zapanowała śmiertelna cisza. Zachowując czujność, Giovanni wziął rękopis do rąk, następnie otworzył go drżącą dłonią i znieruchomiał. Kilka chwil wpatrywał się w strony rękopisu szeroko otwartymi oczami. Następnie westchnął głęboko, zamknął księgę i odstawił na półkę.

- Na szczęście pomyliłem się. To arabski rękopis. Przepraszam...

Eleazar powoli podszedł do Giovanniego. Stał naprzeciw niego i powiedział łagodnie:

- Nic nie szkodzi, moje dziecko. Rozumiem twoje obawy. Wiele razy próbowano pozbawić cię życia. I to w miejscu tak bezpiecznym jak klasztor. Teraz idź wypocząć i nie lękaj się. Nie mamy nic wspólnego ze ścigającymi cię fanatykami.

Giovanni w milczeniu wyszedł z biblioteki. Po drodze napotkał wzrok Estery, wyrażający jednocześnie współczucie i niepokój. Kiedy mijał Maleka, ten chwycił go za ramię.

- Wybacz mi, proszę.

Giovanni podniósł wzrok, życzliwie patrząc mu w oczy.

- Czyniłeś swoją powinność - odpowiedział.

Poszedł prosto do swojego pokoju, rzucił się na łóżko i zapłakał. Z serca spadł mu ogromny ciężar.

80

Nazajutrz rano obudził się z lekkim sercem. Słońce stało w zenicie. Wypił ogromny kielich mleczka migdałowego, przegryzł kilka daktyli, po czym, jak co dzień, udał się do ogrodu, żywiąc ukryte pragnienie, iż spotka tam Esterę.

Obecność dziewczyny stała się dla niego warunkiem szczęścia. Wystarczyło, że zobaczył ją choć raz w ciągu dnia, zamienił z nią parę słów lub usłyszał jej pieśń, by reszta dnia nabrała nieznanego powabu. Jednak tego ranka pragnął ją spotkać na osobności bardziej niż kiedykolwiek indziej. Chciał jej wyjaśnić okoliczności i przyczyny nocnego incydentu. Ponieważ był to piątek, dzień Wenus, lecz także wigilia szabasu, Giovanni wiedział, że będzie mógł zobaczyć Esterę nie wcześniej niż o zachodzie słońca.

Aby mieć pewność, że ją spotka, udał się do ogrodu, zajmując miejsce przy „Chesed”, fontannie łaskawości Boga. Siedział tam dłuższą chwilę, patrząc, jak woda przelewa się przez marmurowe brzegi fontanny.

Nagle spostrzegł nadchodzącą Esterę. Jego serce zadrżało. Dziewczyna miała na sobie piękną, czerwoną suknię. Podeszła do ławki. Na jej twarzy wciąż jeszcze malowały się ślady nocnych przeżyć.

- Niezmiernie się cieszę, że cię widzę, Giovanni - powiedziała łagodnym i jednocześnie poważnym tonem.

Giovanni wstał, biorąc ją za rękę.

- Ja także, Estero. Przykro mi z powodu nocnych wydarzeń.

- Nie martw się. Ojciec wyjawiał mi szczegóły twojej dramatycznej historii. Rozumiem, że mogłeś mieć co do nas wątpliwości.

Pod wpływem tych słów Giovanni poczuł, jak pęka mu serce.

- Zapewniam cię, że nigdy nie miałem wątpliwości co do ciebie, Estero. Ale mój skołowany umysł wyobraził sobie, że twój ojciec ma związek z tymi bandytami. A przecież okazał mi tyle dobroci. Wobec jego stosunku do mnie ta natrętna myśl stała się tak bardzo nieznośna, że chciałem się od niej uwolnić i...

Estera przerwała mu, delikatnie wyjmując dłonie z jego rąk, i poprowadziła go w górę ogrodu.

- Rozumiem, Giovanni. I mój ojciec także. Nie martw się. Mam dla ciebie niespodziankę.

- Niespodziankę?

- Tak. Pójdź za mną do „Kether” - fontanny korony Boga. W milczeniu przeszli małą, cienistą alejką. Mijając „Chochmę” - mądrość, doszli do korony Boga - „Kether”.

Giovanni czuł, że Estera jest podenerwowana, że próbuje przykryć przyjaznym uśmiechem i udawanym spokojem trawiący ją niepokój. Kiedy doszli do gęstej kępy krzewów, wśród których ukrywała się najwyższa fontanna, Estera zatrzymała się, stając z Giovannim twarzą w twarz.

- Spójrz na dom wznoszący się u stóp głównej alei. Podziwiając długą aleję, wzdłuż której rosły stuletnie drzewa, Giovanni powędrował wzrokiem do stojącego w oddali domu.

- A teraz powiedz mi, drogi Giovanni, jakie jest twoje najgorętsze pragnienie.

Zaskoczony mężczyzna właśnie miał odpowiedzieć, ale Estera przerwała mu, kładąc mu palec na ustach.

- Cśś... - szepnęła. - To taka gra, ale jednocześnie nie gra. Odpowiedz mi z głębi serca, szczerze. Jakie jest w tej chwili twoje najgorętsze pragnienie?

Giovanni zrozumiał, że dziewczyna nie żartuje. Wsłuchał się w szept swego serca. Odpowiedź przyszła natychmiast, podpowiedziana przez wzruszenie jakie odczuwał, patrząc na Esterę, czując subtelny dotyk jej palca na swych wargach. Z obawy, by nie opuściła go odwaga, wyrecytował jednym tchem:

- Moim najgorętszym pragnieniem jest... aby twoje serce odwzajemniło uczucie, jakim moje serce je obdarzyło...

Estera nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Zdumiona, podniosła wzrok na Giovanniego, a jej policzki oblały się rumieńcem. Mężczyzna zrozumiał, że dziewczyna przeżywa niezwykle wzruszenie.

- Czy jesteś ze mną szczerzy? Serce Giovanniego zadrżało.

- Jak możesz wątpić? Od pierwszego wejrzenia moja dusza przylgnęła do twojej i nie ma

chwili, bym nie myślał o tobie.

Estera otworzyła szeroko oczy, szukając prawdy w duszy Giovanniego.

- A kobieta, którą tak bardzo kochałeś i dla której porzuciłeś wszystko?

- Nadal ją kocham i nigdy nie przestanę. Ale wiem, że już nigdy nie będę próbował jej odnaleźć. Wiem, że raz na zawsze zostaliśmy rozdzieleni przez los. Jest we mnie obecna, ale tak, jakby żyła w innym świecie, i myśląc o niej nie czuję już ani namiętności, ani pożądania.

Estera odwróciła wzrok.

- W chwili kiedy cię poznałem, Estero, zrozumiałem, niemal ze zdziwieniem, że moje serce znowu jest wolne i znowu może kochać, a każdy mijający dzień coraz bardziej przywiązuje mnie do ciebie. Pytasz mnie dziś, jakie jest moje najgorętsze pragnienie. A ja odpowiadam ci bez wątpliwości i bez wahania: pragnę, aby twoje serce było wolne i mogło odwzajemnić moją miłość... pragnę wziąć twoje ręce w moje dłonie...

Estera podniosła głowę. Jej duże, czarne oczy lśniły od łez, wyrażając nieskończoną czułość. Dziewczyna delikatnie pogładziła policzek Giovanniego.

- Och, Giovanni! Zaskoczyłeś mnie swym wyznaniem. Jeszcze nigdy nie kochałam mężczyzny. Moje serce jest sercem dziewczyny, która nic nie wie o życiu.

Patrzyli na siebie, drżąc ze wzruszenia. Giovanni położył swoją dłoń na dłoni Estery.

- Moje serce jest wolne, Giovanni... i nic nie sprawi mi większej radości niż to, że mogę oddać je tobie.

W tym momencie serce Giovanniego zalała fala szczęścia. Przytulił mocno dziewczynę, znów na nią spojrzał i delikatnie położył usta na jej ustach. Ich wargi muskały się niewinnie, a ich palce spłotły się w namiętym uścisku.

- Jestem taki szczęśliwy - szepnął Giovanni.

- Ja także! Gdybyś tylko wiedział jak bardzo! Nie dalej niż wczoraj myślałam, że odjedziesz.

- Dlaczego? Odkąd tu jestem, odnalazłem spokój. Estera cofnęła się o krok i spojrzała na niego uważnie.

- Jesteś pewien, że nie chcesz wracać do kraju?

- Oczywiście... chyba że z tobą.

Na twarzy dziewczyny malowała się najwyższa powaga.

- Czy wiesz, jaką odpowiedź spodziewałam się usłyszeć? Giovanni przecząco pokręcił głową.

- Myślałam, że zechcesz wrócić do Europy. Przyszłam ci powiedzieć, że zaraz po dramatycznych wydarzeniach, jakie miały miejsce minionej nocy, poprosiłam mojego ojca, o to, by umożliwił ci wyjazd z al-Dżaza'iru oraz o to, by uwolnił twojego francuskiego przyjaciela.

Giovanni zaniemówił.

- Naprawdę to zrobiłaś? Estera przytaknęła nieśmiało.

- Jeszcze możesz zmienić zdanie i wyjechać... zrozumiem i nie będę ci miała tego za złe - odrzekła.

Zamiast odpowiedzieć, Giovanni pocałował ją namiętnie.

- Kocham cię, Estero! Rozumiesz? Kocham cię, a po tym, co mi powiedziałaś, jeszcze bardziej zbliżyłem się do ciebie. Byłbym niezwykle szczęśliwy, gdybyś zdołała uwolnić Georges'a, ale nigdy nie wyjechałbym bez ciebie!

- Ale Georges już jest wolny.

- Co powiedziałaś?

- Dziś rano Małek odkupił go od paszy za pośrednictwem naszego przyjaciela, muzułmanina. To była moja niespodzianka, Giovanni. Byłam pewna, że twoim życzeniem jest opuszczenie al-Dżaza'iru w towarzystwie przyjaciela!

- Zatem nie tylko byłaś gotowa pozwolić mi odejść, ale chciałaś dostarczyć mi niezbędnych środków?

- Skoro w moim odczuciu takie było twoje najskrytsze pragnienie, jakże bym mogła - mimo że na myśl o rozstaniu odczuwałam głęboki smutek - egoistycznie zatrzymywać cię przy sobie?

Giovanni spojrzał dziewczynie głęboko w oczy. Estera nie tylko zsyłała miłość. Nie tylko umiała pięknie mówić o miłości. Była miłością. Każdą z jej twarzy: pożądliwym *erosem*, przyjacielską *Philip* i ofiarną *agape*. W tej chwili poczuł, że bez względu na wszystko jego serce nigdy nie zdoła pokochać żadnej innej.

- A gdzie jest teraz Georges? - zapytał łamiącym się ze wzruszenia głosem.

- Tutaj.

- Tutaj?

- Czeka w patio dla służby. Pobiegnijmy do niego.

81

Georges przybył godzinę wcześniej. Nic podano mu powodu, dla którego został kupiony. Zaprowadzono go do arabskiego kupca, który następnie przekazał go Malekowi. Zdziwiony, że znalazł się w domu Żyda, czekał niecierpliwie, aż ktoś mu wyjaśni, co tu robi, ale nikt nie kwapił się z odpowiedzią.

Znużony siedział w maleńkim pokoiku, w którym zazwyczaj oczekiwali goście zarządcy Eleazara. Nagle drzwi się otworzyły.

Widząc w nich Giovanniego, Georges stracił oddech. Kalabryczyk rzucił mu się w ramiona. Ich uścisk trwał nieskończenie długo. W końcu Giovanni spojrzał przyjacielowi w oczy.

- Georges! Jak dobrze cię widzieć!

- Giovanni! Nie miałem wiadomości o tobie! Co się z tobą działo przez te dwa miesiące?
- Spotkało mnie samo dobro. Tylko i wyłącznie dobro, przyjacielu.
- Ale co robisz u Żydów? Czy nie wykupił cię arabski kupiec?
- Mam ci wiele do opowiedzenia. Ale przede wszystkim musisz wiedzieć, że jesteś wolny.

Georges znieruchomiał.

- Wolny?
- Tak, Georges. Wolny. Możesz wracać do siebie. Pan tego domu wykupił cię z niewoli.
- Nie wierzę - odpowiedział Georges nieufnie.
- A jednak tak jest.

Georges zachwiał się na nogach. Giovanni pomógł mu usiąść i poszedł po Estere, która w towarzystwie Maleka czekała na patio.

- Georges, przedstawiam ci Estere, jedynaczkę pana domu. To dzięki niej obydwaj odzyskaliśmy wolność.

Francuz spojrzał na dziewczynę tak, jakby ujrzał Madonnę i rzucił się jej do nóg, z wdzięcznością całując stopy. Estera podniosła go i powiedziała po francusku:

- W imię naszej wiary i przekonań mój ojciec i ja jesteśmy przeciwnikami niewolnictwa. Uważamy za słuszne i sprawiedliwe, kiedy opatrność zsyła nam w darze możliwość wykupienia jeńców z niewoli. Witaj w naszym domu. Kiedy tylko zapragniesz, pomożemy ci opuścić Algier i wrócić do swojego kraju.

- Nie wiem, co powiedzieć. Jestem ci tak bardzo wdzięczny, pani. Nie wiem, jak spłacić mój dług! Poza tym mówisz w moim języku!

- Wiele razy byłam na południu Francji i w Paryżu. Bardzo kocham twój kraj. Jesteś z Północy, czyż nie?

- Pochodzę z Dieppe. Ach, jak mile widziani byłibyście w moim rodzinnym mieście, zarówno twój ojciec, jak i ty, pani!

- Od jak dawna nie widziałeś swoich bliskich? Wzrok Georges'a zasnuł się mgłą smutku.
- Od ośmiu lat, czterech miesięcy i siedemnastu dni.
- Zatem obiecuję ci, że Boże Narodzenie spędzisz już w ich towarzystwie.

Georges został w domu Eleazara tydzień. Początkowo starał się nakłonić Giovanniego, by wrócił z nim do Europy. Jednak kiedy poznał bliżej kabalistę i jego córkę, zrozumiał powody, które zatrzymywały jego przyjaciela w Algierze. Pogratulował nawet Giovanniemu, że udało mu się zdobyć serce tak pięknej dziewczyny. Niemniej jednak sprowadził na Kalabryjczyka głęboki niepokój, pytając, czy zamierza poślubić Estere i „przyjąć judaizm”. Prawdę mówiąc, Giovanni pokochał Estere zupełnie niedawno i to pytanie nie przyszło mu jeszcze do głowy. Georges przypomniał przyjacielowi, że małżeństwa między Żydami a chrześcijanami muszą być okupione

przyjęciem chrztu, albo obrzezaniem i wyrzeknięciem się Chrystusa.

Giovanni uświadomił sobie, że Georges z całą pewnością ma rację, i to odkrycie poruszyło go głęboko. Tak naprawdę nie było mowy o ślubie jego i Estery. Być może dziewczyna - jak kiedyś Elena - w ogóle nie brała pod uwagę takiej ewentualności? Może tylko zamierzała dzielić z Giovannim namiętną, zakazaną miłość, lecz, by nie zasmucać swego ojca, związać się na stałe z Żydem? Ta myśl sprawiła, że pograżył się w głębokim smutku.

Próbował nie dać po sobie poznać targającego nim niepokoju, lecz nic nie mogło ujść uwadze przenikliwej córki Eleazara. Jednak Estera nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje w głowie jej ukochanego. Przyjęła, iż jego smutek wiąże się z rychłym wyjazdem Georges'a. Zastanawiała się nawet, czy Giovanni nie żałuje swoich deklaracji. Nie mogła dłużej znieść niepewności. W przeddzień wyjazdu Francuza, który miał wyruszyć z karawaną do Oranu, wzięła Giovanniego na stronę i w głębi ogrodu otworzyła przed nim swoje serce.

- Giovanni, od kilku dni widzę smutek malujący się na twojej twarzy. Rozumiem jego przyczynę. Wiedz, że ciągle jeszcze możesz zmienić zdanie.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Nie wiąże cię ze mną żadna obietnica - ciągnęła wykręcając sobie palce. - Nigdy cię nie zapomnę. Ale też nie mogę mieć ci za złe, że pragniesz wrócić do swego kraju... i odnaleźć tamtą Wenecjankę.

Giovanni dopiero teraz zrozumiał straszne nieporozumienie. Objął Esterę najmocniej, jak potrafił.

Biorąc ten gest za pożegnanie, dziewczyna poczuła wszechogarniającą rozpacz. Zebrała wszystkie siły, by wyswobodzić się z uścisku i biegiem rzuciła się w stronę domu. Giovanni natychmiast ją dogonił. Objął ją swym silnym ramieniem, patrząc prosto w oczy. Twarz dziewczyny była zalana łzami.

- Estero, to straszne nieporozumienie. Nie jestem smutny dlatego, że chcę odjechać, ale dlatego, że zbyt mocno cię kocham!

Estera zaniemówiła.

- Jak można kochać zbyt mocno? Jak można z tego powodu odczuwać smutek? - spytała po chwili.

- Czy pamiętasz, jak mówiłem ci o mojej rozpacz, gdy kiedyś, dawno temu, nie mogłem poślubić ukochanej kobiety, bo było to sprzeczne z panującym tam obyczajem? Estero, w tej chwili tylko jeden lęk draży moją duszę: że nigdy nie zostaniesz moją żoną... ponieważ jesteś Żydówką, a ja chrześcijaninem.

Twarz Estery z wolna się rozjaśniła.

- Naprawdę chciałbyś mnie poślubić?

- Estero, nie może być inaczej, gdyż kocham cię szczerą miłością. Jakże bym mógł kochać cię całym sercem, godząc się, że któregoś dnia poślubisz innego?

- Pragniesz mnie poślubić i obawiasz się, że mój ojciec odmówi ci mojej ręki?

- Od kiedy Georges wbił mi do głowy tę myśl, obawiam się tak bardzo, że nocą nie mogę zmrużyć oka.

- A więc o to chodzi! Estera rzuciła mu się na szyję.

- Jedyny mój! A ja nie mogę zmrużyć oka na samą myśl, że odjedziesz wraz ze swym przyjacielem.

Ich usta spotkały się w miłosnym pocałunku. Ich ciała przyłgnęły do siebie.

- Mój ojciec myśli tylko o moim szczęściu. Poza tym darzy cię szczerą sympatią i szacunkiem. Jestem pewna, że nie sprzeciwi się naszemu związkowi.

- Ale czy będę musiał przyjąć judaizm? Lub może ty będziesz musiała przyjąć wiarę chrześcijańską?

Estera zmarszczyła brwi.

- Nigdy o tym nie myślałam. Mój ojciec jest co prawda praktykującym Żydem, ale wychowywał mnie w duchu poszanowania wszystkich religii, w zgodzie z ideą, że wszystkie one mają jeden cel i nie powinno być konfliktów między dziećmi jednego Boga. Jak zatem mógłby teraz przeciwstawić się naszemu związkowi tylko dlatego, że jesteśmy przedstawicielami różnych wyznań? Przecież łączy nas wiara w Boga i poszukiwanie odpowiedzi na najważniejsze pytania.

- Wiesz, Estero, przybywając tutaj, myślałem, że straciłem wiarę. Teraz sam już nie wiem. Czasem zdarza mi się myśleć o Chrystusie lub modlić się do Niego. Jednak nie jestem religijny w takim sensie, w jakim wy jesteście. Obawiam się, że twój ojciec przywiązuje większą niż sądzisz wagę do rytuałów i praktyk religijnych. Pomyśl o naszych dzieciach, jeśli obdarzy nas nimi Bóg: w jakiej religii je wychowamy?

- W religii miłości - odpowiedziała Estera bez wahania. Giovanni uśmiechnął się.

- Jesteś cudowna.

- Tylko miłość jest godna wiary. Nie sądzisz?

- Tak, ale w skład religii wchodzi obrzędy, symbole, rytuały...

- Zatem ty przekazesz dzieciom słowa Chrystusa, a ja nauczę je żydowskich modlitw. Będziesz pobudzał ich intelekt, wznosząc go na najwyższe wyżyny filozofii, a ja wpoję im do serc, by przyjmowały każdą ludzką istotę, bez względu na to, kim będzie, jako wysłannika Wszechmogącego. Ty przekazesz im nauki Platona, a ja zasady kabały. Nauczysz je włoskiego i łaciny, a ja arabskiego i hebrajskiego. Rankiem będziesz je polecał opiece Madonny, a ja będę kłaść je do łóżek z modlitwą moich ojców: *Szema Izrael Adonai Elohenu Adonai Ehad*.

- Estero, twoje słowa poruszają mnie głęboko. Ale jaki ksiądz lub rabin udzieli nam ślubu,

wiedząc, że wyznajemy różne religie?

- Zatem, jeśli nie będzie innego wyjścia, przyjmę chrzest. Giovanni spojrzał na nią czule.

- Nie, ukochana. To ja poddam się obrzezaniu. Twój naród już zbyt wiele wycierpiał. Nie chcę, byś porzucała wiarę swoich ojców. Poza tym... Jezus był obrzezany i był Żydem, nieprawdaż?

Estera wybuchnęła śmiechem, rzucając się Giovanniemu w ramiona.

- Po wyjeździe Georges'a pójdę się rozmówić z twoim ojcem i poproszę go o twoją rękę. Chcesz?

- On udzieli ci odpowiedzi dopiero wtedy, kiedy ja pomówię z nim o moich uczuciach, nieprawdaż...?

Następnego dnia Francuz pożegnał przyjaciela i gospodarzy. Małek powierzył go opiece przewodnika karawany ruszającej właśnie do Oranu. Tam Georges miał wsiąść na statek do Tuluzy, by z tego portu ruszyć w dalszą drogę do Dunkierki.

Jeśli wszystko pójdzie gładko, za niecały miesiąc będzie w domu. Obiecał Giovanniemu, że napisze do niego na adres Eleazara, gdy tylko powróci do swoich bliskich.

Po wyjeździe przyjaciela Giovanni zaczął układać w głowie przemówienie, z jakim wystąpi przed obliczem ojca Estery.

Następnego dnia zobaczył go w ogrodzie. Niemłody już mężczyzna medytował samotnie. Giovanni pomyślał, że to stosowny moment, i podszedł do gospodarza.

- Czy mógłbym teraz chwilę z tobą porozmawiać, czy wolałbyś, bym przyszedł kiedy indziej?

- Usiądź, chłopcze. Słucham.

- Eleazarze, przyjąłeś mnie pod swój dach jako niewolnika, którego wyzwoliłeś w swej wielkiej dobroci. Od ponad dwóch miesięcy traktujesz mnie jak syna. Jestem ci niewymownie wdzięczny za wszystko.

Giovanni opanował drżenie.

- Moje serce poznało twoją córkę i ciebie. Z biegiem czasu zrozumiałem, że nie mógłbym żyć bez niej - kontynuował niemal bez tchu. - Nie jestem ani Żydem ani Algierczykiem. Nie jestem bogaty. Nie mam dosłownie nic. Mogę jej ofiarować jedynie szczere uczucie i prostolinijność w drodze poznania prawdy. Eleazarze, kocham twoją córkę.

Kocham ją nad życie i pragnę jej szczęścia.

Czy zechcesz oddać mi ją za żonę?

Giovanni był tak wzruszony, że spuścił wzrok. Ojciec Estery nie odpowiadał, gładząc swą siwą brodę. W końcu rzekł:

- Estera mówiła mi o waszej wzajemnej miłości, która, notabene, nie umknęła mojemu wzrokowi. Tak jak jej powiedziałem, uważam, że Estera jest zdolna samodzielnie podjąć decyzję.

Skoro nawet moi służący nie są traktowani jak niewolnicy, moja ukochana córka tym bardziej jest wolna, by przeżyć życie zgodnie ze swoją wolą.

Giovanniego zdumiały słowa mędrca. Zawahał się przez chwilę, ale podjął temat:

- I nie widzisz żadnej przeszkody, która uniemożliwiłaby nam zawarcie małżeństwa?

- Modliłem się do Boga... i w jasności mojej duszy widzę, że wasza miłość jest prawdziwa i trwała.

Giovanni odetchnął z ulgą.

- Jednakowoż, jak już mówiłem Esterze, pojawia się przeszkoda związana z tym, że nie jesteście wyznawcami jednej wiary.

Młodzieniec wstrzymał oddech.

- Jako że nie zostaliście wychowani w jednej tradycji religijnej, nie możecie zawrzeć małżeństwa ani w synagodze, ani w kościele.

- Niestety, jestem tego świadom. Dlatego zaproponowałem Esterze, że przyjmę judaizm.

- Mówiła mi. Ale to wykluczone. Giovanni zadrżał z przerażenia.

- Nie zmienia się religii tylko po to, by wziąć ślub - ciągnął stanowczo kabalista. - Moja córka urodziła się żydówką i żydówką pozostanie. Ty urodziłeś się jako chrześcijanin i pozostaniesz chrześcijaninem. Każda tradycja religijna ma swoją niepowtarzalną wielkość, a wyparcie się wiary swoich ojców może przynieść tylko oplakane skutki. Istnieje pewna kabalistyczna opowieść, którą przywołuję czasem, by uświadomić ludziom różnorodność religii. Otóż powiadają, że Bóg przekazał ludziom światło swego Objawienia w glinianym dzbanie. Jednak światło było tak mocne, że dzban rozpadł się pod jego wpływem, a Objawienie Boże rozprysło się na tysiące odłamków, rozprzestrzeniając się po całej Ziemi.

Każdy z tych odłamków jest odbiciem Boga i żaden z nich nie zawiera całej prawdy. Zatem, każda z religii posiada fragment Objawienia i każda z nich jest jedyna i niepowtarzalna. Na przykład my, żydzi, daliśmy ludzkości wiarę w jednego dobrego Boga i teraz naszym świętym życiem dajemy o Nim świadectwo.

Wy, chrześcijanie, niesiecie przełomowe posłannictwo Jezusa, Syna Bożego, który był też największym spośród dzieci ludzkich. W tych dwóch tradycjach nie ma sprzeczności. Przeciwnie, obie się nawzajem uzupełniają. Zamiast walczyć ze sobą lub okazywać wzdąrze, wyznawcy różnych religii powinni się lepiej poznać, szanować się i zapładniać nawzajem ideą Boga, bowiem każde z wyznań jest nośnikiem części jedynej, Boskiej Prawdy, której nie jest w stanie ponieść jeden jedyny naród. Zmiana wyznania oznaczałaby odrzucenie swojego odłamka światła, uznanie go za ciemność i wyrzeczenie się daru Boga.

Giovanni rozumiał słowa Eleazara i w głębi duszy przyznawał kabaliście rację. Jednak nie widział żadnej możliwości poślubienia Estery.

- Zatem... czy jest możliwe, abyśmy zawarli przed Bogiem związek małżeński? - zapytał nieśmiało.

- Osobiście nie widzę przeszkód. Ale zważywszy na ciężar przesądów i tradycji, jest to nie do pomyślenia. Twój współwyznawca uznaje cię za zdrajcę, a Żydzi będą traktować Estere jak nierządnicę, gdyż nasze prawo nie zezwala kobietom wychodzić za mąż za nie-żyda.

Giovanni zbladł, czując, że do serca wkrada mu się niepokój.

- Zatem nie ma wyjścia i odmawiasz nam ojcowskiego błogosławieństwa?

- Tego nie powiedziałem. Gdyż to, co jest niewyobrażalne i szalone w oczach ludzi, bywa dobre w oczach Boga. Moim zdaniem, które już wyraziłem w rozmowie z Esterą wasze małżeństwo, w którym każde z was zachowa własną wiarę, powinno pozostać tajemnicą. W przeciwnym razie w waszych religijnych wspólnotach wybuchnie skandal, a wy sami spotkacie się z niezrozumieniem. Będzie wam trudno razem żyć, gdyż między chrześcijanami będziecie musieli uchodzić za chrześcijan, a między żydami za żydów. Jeśli jesteście gotowi wziąć na siebie ten ciężar, nie widzę przeciwwskazań, abyście żyli razem, a wasz związek został uświęcony przed obliczem Przedwiecznego. Co więcej, powiem, że będę niezmiernie szczęśliwy z tego powodu.

Twarz Giovanniego znowu nabrała kolorów.

- Ale kto pobłogosławi nasz związek? Jak sam zauważyłeś, żaden ksiądz ani żaden rabin nie zgodzi się połączyć węzłem małżeńskim chrześcijanina z żydówką.

Eleazar uśmiechnął się szeroko.

- Znam rabina, który zgodzi się przeprowadzić tę ceremonię w najwyższym sekrecie.

- Tutaj?

- Nie. W Jerozolimie.

- W Jerozolimie!

- O ile mi wiadomo, życzyłeś sobie udać się tam z pielgrzymką, kiedy na twój okręt napadli korsarze Hayreddina - Barbarossy?

- Tak... tak było - wyjąkał zmieszany Giovanni.

- Mam w Świętym Mieście wielu przyjaciół i duży kantor. Wyruszamy za trzy dni. Dopłyniemy tam przed Bożym Narodzeniem. Czy nie jest to najlepsze miejsce, by ożenić chrześcijanina z żydówką?

82

- Jerozolima!

Ujrzawszy z daleka mury Świętego Miasta, Eleazar pośpiesznie zsiadł z konia, klękając na kamienistej ziemi. Estera oraz sześcioro muzułmańskich i żydowskich służących natychmiast poszło w jego ślady.

To świadectwo miłości poruszyło Giovanniego jeszcze bardziej niż fakt, że po raz pierwszy

stał u bram miasta króla Dawida: miasta, w którym Chrystus poniósł śmierć i zmartwychwstał.

Pielgrzymi odśpiewali pobożną pieśń po hebrajsku, po czym ruszyli w dalszą drogę. Weszli do miasta przez bramę w potężnych murach obronnych, zagłębiając się w sieć wąskich uliczek. Po chwili stanęli przed wejściem. Na prawej futrynie była zawieszona mezusa. Drzwi otworzył około trzydziestoletni, czarny olbrzym. Na widok przybyszów twarz pojaśniała mu z radości.

- Pan!

- Józef, mój drogi Józef - odparł Eleazar, ściskając kolosa.

Józef był wyzwolonym niewolnikiem. Pochodził z tego samego afrykańskiego plemienia co Małek. Tak samo jak on został uprowadzony przez Arabów i wychowany w duchu islamu, który nadal wiernie praktykował. Był stróżem domu Eleazara w Jerozolimie.

Wyczerpana długą, morską i lądową podróżą grupka rozgościła się w przestronnym domu w dzielnicy żydowskiej.

Jeszcze tego samego wieczoru Eleazar, nie bacząc na zmęczenie, zaproponował swej córce i Giovanniemu, by udali się z nim pod Ścianę Płaczu. W towarzystwie żydowskiego sługi o imieniu Juda przeszli opustoszałymi ulicami, by wkrótce stanąć u stóp Wzgórza Świątynnego.

Ich oczom ukazała się starożytna ściana, pod którą dziesiątki Żydów modliły się, powtarzając wersety Tory.

Eleazar wyjaśnił, że Ściana Płaczu jest częścią drugiej Świątyni Jerozolimskiej odbudowanej przez Heroda też przed narodzeniem Chrystusa. Pierwsza Świątynia, wzniesiona tysiąc lat wcześniej przez Salomona, została zburzona przez Nabuchodonozora około sześciuset lat przed Chrystusem. Po powrocie z niewoli babilońskiej Żydzi wybudowali Drugą Świątynię. Za panowania Heroda Wielkiego Przybytek Pana został rozebrany i zbudowany na nowo. Jednak w 68 r. naszej ery, zgodnie z przepowiednią Proroka z Galilei: *Widzisz te potężne budowle? Nie zostanie tu kamień na kamieniu, który by nie był zwalony*, także i on został zrównany z ziemią. Tym razem przez cesarza Tytusa. Ostała się jedynie Ściana Zachodnia.

- Po zburzeniu Świątyni - dodał Eleazar drżącym ze wzruszenia głosem - cesarz Hadrian zabronił Żydom wstępu do Świętego Miasta. Mimo to wielu z nas przybywało tu potajemnie, by modlić się i płakać pod tą ścianą, jedyną pozostałością Świątyni. Wtedy właśnie nazwano ją Ścianą Płaczu. Kilkaset lat później cesarz Konstantyn, widząc niezwykle przywiązanie Żydów do tego miejsca, zniósł zakaz. Muzułmańscy kalifowie nie cofnęli tego pozwolenia i od tej pory tysiące Żydów przybywają tu rokrocznie z pielgrzymką.

Eleazar i Estera podeszli do ściany, dotykając jej dłońmi. Giovanniego poruszył widok drżenia, które ovladnęło ręką Eleazara. Następnie ojciec i córka zaintonowali hebrajskie modlitwy.

Mimo że Kalabryjczyk trzymał się nieco z boku, także odczuwał moc miejsca, w którym ludzie od niemal dwudziestu pięciu wieków modlili się do Przedwiecznego. Przymknął oczy,

składając Bogu dziękczynienie za łaskę spotkania Estery i Eleazara: osób, przy których odnalazł prawdziwe szczęście. W zupełnie niezauważalny sposób w jego sercu odradzała się wiara. Jednak nadal był niespokojny. Obecna w nim czarna chmura wciąż jeszcze przesłaniała jaśniejącą miłość Estery, nie pozwalając jej wziąć w całkowite władanie serca Giovanniego. Zdołał rozpoznać tę ciemność, ale nie miał dość sił, by ją odepchnąć. Czuł, jak pod wpływem przyjazdu do Jerozolimy odradza się w nim głucha nienawiść do zabójców Mistrza Lucjusza.

Po trwającej kilkadziesiąt minut modlitwie Eleazar dał Giovanniemu i Judzie znak, by poszli za nim. Gdy grupka wspięła się po znajdujących się z prawej strony ściany schodach, oczarowanym oczom Giovanniego ukazały się dwa wspaniałe budynki oświetlone srebrzystym światłem Księżyca.

- Oto Kopuła na Skale, zwana też meczetem Omara - wyjaśnił Giovanniemu Eleazar, wskazując błękitny, ośmiokątny budynek zwieńczony złożoną kopułą. - Nazywa się tak na cześć kalifa Omara, który podjął decyzję o jego budowie. Kopułę wzniesiono na skale, z której wedle wierzeń muzułmanów Mahomet miał doznać wniebowstąpienia. A to meczet Al-Aksa - powiedział Eleazar, wskazując duży biały budynek otoczony marmurową kolumnadą. - Powstał wkrótce po tym, jak kalif Al-Malik zakończył budowę Kopuły. Pięćset lat temu, po zdobyciu Ziemi Świętej przez krzyżowców, meczet przekształcono w siedzibę królów Jerozolimy. Odzyskał status miejsca kultu dwa wieki później, kiedy Saladyn zdobył Jerozolimę.

To miejsce jest najświętszym - po Mekce i Medynie, w których mieszkał Prorok Mahomet - miejscem islamu.

Po tych wyjaśnieniach grupka przeszła w ciszy przez esplanadę. Giovanni czuł się cudownie. Parę razy przystanął pod cyprysem, patrząc z uwagą na wzgórze, na którym wzniesiono kilka chrześcijańskich kościołów: na Górę Oliwną.

Estera podeszła do niego, delikatnie muskając jego dłoń.

- To miejsce, w którym Jezus spędził z uczniami swoje ostatnie godziny. To tutaj został zdradzony przez Judasza i aresztowany. Musiała być wtedy pełnia, tak jak dziś.

Giovanni przytulił mocno Estere, ze wzruszeniem wpatrując się w Górę.

- Jakie to wzruszające, chodzić po tych samych miejscach, po których stapał Jezus.

- Jestem Żydówką, a mój lud wiele wycierpiał z rąk chrześcijan, ale słowa tego proroka zawsze poruszały mnie głęboko. Mój ojciec przedstawi cię jutro rabinowi Meadii. To niezwykle pobożny rabin, który zna Ewangelię i żyje nią bardziej niż większość chrześcijańskich kapłanów. To właśnie jego mój ojciec poprosi o udzielenie nam ślubu.

Rzeczywiście, nazajutrz po południu do domu kabalisty zawitał drobny, skromnie odziany starzec, o twarzy porwanej zmarszczkami i otoczonej siwiejącą brodą.

Eleazar powitał go ze wzruszeniem i szacunkiem, które zaskoczyły Giovanniego. Rabin znał

wiele języków i gdy tylko Eleazar przedstawił mu Giovanniego, powitał młodzieńca w jego języku. Serdecznie uściskał Estere, mówiąc jej, że stała się tak samo piękna jak biblijna królowa, której imię nosi, po czym wraz z kabalistą zamknął się w salonie. Eleazar poprosił córkę i Giovanniego, by nie wychodzili z domu.

Po trwającej całą wieczność rozmowie Józef poprosił Estere, by dołączyła do mężczyzn.

Godzinę później także Giovanniego zaproszono do pięknego, czerwono-złotego salonu.

Bez owijania w bawełnę rabin zauważył, że Giovanni ma szczęście, że kocha go tak niezwykła kobieta, jaką jest Estera. Giovanni odpowiedział radosnym uśmiechem.

Następnie, rozmawiając z Giovannim po włosku, starzec wypytał go o niektóre aspekty jego życia i wiary. W tym czasie Eleazar zarządził, by podano posiłek. Nie przerywając rozmowy, spożyli pieczone jagnię, popijając je miejscowym winem.

W końcu, gdy miasto od dłuższego już czas spowijała noc, rabin przybrał poważny wyraz twarzy i zwrócił się do Eleazara po arabsku.

Uradowana Estera mrugnęła do Giovanniego.

Po wyjściu gościa wzruszony Eleazar odezwał się do Giovanniego tymi słowy:

- Zapewne zrozumiałeś, że zgodził się udzielić wam ślubu. Tak jak ja jest zdania, że ceremonia musi być przeprowadzona jak najszybciej i bez rozgłosu. Dzięki temu będziemy mogli rozpowiedzieć znajomym, że już jesteście małżeństwem. Unikając wystawnej uroczystości, unikniemy tym samym ryzyka, że ktoś mógłby się zorientować, iż nie jesteś Żydem. Rabin proponuje, by ceremonia odbyła się w pierwszy dzień tygodnia: niedzielę.

Zostaniecie zaślubieni przed Bogiem zgodnie z tradycją żydowską, a ceremonia zostanie nieznacznie zmodyfikowana, stosownie do naszych potrzeb. Będziesz żył jak dawniej, a wasze dzieci zostaną wychowane w duchu obydwu religii.

Zgodnie z tym, o czym myślałem, rabin sugeruje, byśmy w przyszłości użyli podstępu. To pomoże wam uniknąć problemów. Tutaj, w Algierze i wszędzie na terytorium imperium osmańskiego będziesz się przedstawiał jako Żyd. Natomiast w świecie chrześcijańskim moja córka ukryje swoje pochodzenie i imię. Dzięki temu unikniecie kłopotów, a nawet prześladowań.

Giovanni przytaknął skinieniem głowy. Jego umysł zaprzętała tylko jedna myśl: aby Estera mogła zostać jego żoną. Tego wieczoru jego serce tańczyło z radości, a w oczach swej ukochanej ujrzął blask zdradzający to samo uczucie niezmiernego szczęścia. Ich dusze już były ze sobą połączone. Za trzy dni, gdy ich związek zostanie poświęcony przed Bogiem, będą mogli oddać się sobie nawzajem. Oboje czekali na tę chwilę z tym większym pożądaniem, że namiętność narastała w nich już od wielu miesięcy: w miarę, jak rosła ich wzajemna miłość.

Następnego dnia, w szabas, Estera i Eleazar zostali w domu. Tymczasem dopuszczeni do tajemnicy muzułmańscy służący wyszli do miasta, by kupić wszystko, co było niezbędne do

intymnej niedzielnej ceremonii. Eleazar zaproponował Giovanniemu, którego nie obowiązywała przymusowa bezczynność, by korzystając z okazji poszedł wraz z nimi i jeśli tylko serce mu to dyktuje, odwiedził Bazylikę Grobu Świętego. Giovanni przystał z ochotą.

Po zakupach poczynionych na tętniącym życiem targu znajdującym się w sercu starego miasta Józef odesłał służbę do domu i zaproponował Giovanniemu, że zaprowadzi go do bazyliki, którą chrześcijanie wzniesli w miejscu śmierci i zmartwychwstania Chrystusa.

Był gęsty tłum. Nagle Giovanni uniósł głowę i stanął jak wryty. Właśnie minął mężczyznę, którego twarz obudziła w nim uśpione wspomnienia.

Czyżby to on? - pomyślał z bijącym sercem.

83

Dał znak Józefowi. Obaj zawrócili, udając się trop w trop za dość wysokim, chudym typem idącym bez pośpiechu. Giovanni zbliżył się i znalazł to, czego szukał: bliznę na lewej dłoni, bez wątpienia ślad po dawnym ugryzieniu przez psa. To on! Czarny rycerz, który torturował Noego, prawa ręka mistrza Zakonu Najwyższego Dobra! - pomyślał wstrząśnięty Giovanni. Poczekał, aż mężczyzna oddali się nieco, po czym szepnął do ucha Józefowi:

- Chodźmy za nim. Bezwzględnie muszę wiedzieć, dokąd idzie.

Olbrzym potwierdził spojrzeniem, podążając wraz z Giovannim, w ślad za nieznanym. Jako że tłum był bardzo gęsty, Giovanni raz po raz tracił z oczu swą zdobycz. Ale nie Józef, który przewyższał wszystkich o głowę. Pościg trwał dobre dziesięć minut. Mężczyzna opuścił główną ulicę i skręcił w opustoszałą uliczkę. Giovanni i Józef stanęli u wlotu do ślepej uliczki w tej samej chwili, w której nieznanomy przekraczał próg znajdującego się w głębi domu. Giovanni ponownie dał Józefowi znak, by poszedł za nim. Razem stanęli przed drzwiami.

Giovanni nacisnął na klamkę, stwierdzając, że drzwi są otwarte.

Obawiał się jednak wejść do środka. Z całą pewnością była to kryjówka fanatyków. Jeśli jest ich wielu, ryzyko jest zbyt duże. I na nic się zda siła Józefa.

Giovanni zamknął drzwi.

- Muszę wiedzieć, ilu ich jest. Czy mógłbyś zapukać i pod jakimkolwiek pretekstem wejść do środka? Zaczekam na zewnątrz, ukryty w bramie - zwrócił się do olbrzyma.

- Kim jest ten mężczyzna? - zapytał zaniepokojony Józef.

- Kiedyś próbował mnie zabić. Zabił także mojego nauczyciela i jego sługę. Chciałbym się zorientować, czy jest tu przywódca tej zbrodniczej bandy.

Wyraźnie zaskoczony Józef zawahał się, po czym odpowiedział:

- Zrobię, o co mnie prosisz.

Giovanni ukrył się, a Józef zapukał do drzwi.

Człowiek z blizną otworzył. Zwracając się do niego po arabsku, Józef przedstawił się jako

pracownik służb miejskich. Miał sprawdzić, czy we wszystkich domach są przestrzegane nowe zasady odprowadzania ścieków. Mężczyzna nie krył zdziwienia i zawahał się chwilę, obawiając się wpuścić do domu nieznanego. Jednak widząc jego porządną strój, władczy wygląd i postawną figurę, nie ośmielił się przeciwstawić. Józef wszedł do środka i sprawnie obszedł cały dom. Udał, że interesują go otwory ściekowe i kanalizacja, po czym ocenił, że wszystko jest w porządku. Mężczyzna z ulgą pożegnał olbrzyma i zamknął za nim drzwi.

- I co? - spytał Giovanni.

- Dom jest duży, ale mężczyzna jest sam.

- To okazja, której nie możemy stracić - odpowiedział Giovanni po chwili namysłu. - Obezwładnimy go i zmusimy, by wyznał, gdzie są jego wspólnicy.

- Nie sądzisz, że powinniśmy wrócić do domu i spytać o zdanie mojego pana?

- Rób, co chcesz, Józefie. Ja za nic nie przepuszcę nadarzającej się okazji. Pomyśl, jeśli wkrótce wrócą jego wspólnicy, nic nie będziemy mogli zrobić.

- Nie podoba mi się to, ale mój pan z pewnością miałby mi jeszcze bardziej za złe, gdybym zostawił cię samego. Idę z tobą.

- Dziękuję, przyjacielu. Mam tylko jedną prośbę. Zapukaj jeszcze raz, a gdy tylko otworzy, obezwładnij go, bym mógł go przesłuchać.

Józef skinął głową po czym ponownie podszedł do drzwi.

- Kto tam? - dał się słyszeć zniecierpliwiony głos.

- To jeszcze raz ja. Zostawiłem narzędzia w łazience na piętrze. Gdy mężczyzna otworzył drzwi, Murzyn rzucił się na niego i przyparł do podłogi z tak wielką siłą, że tamten nawet nie zdążył krzyknąć. Giovanni wszedł do środka, tarasując wejście grubą sztabą.

- Co to ma znaczyć? Czego ode mnie chcecie? - jęknął przygwożdżony do ziemi mężczyzna.

Giovanni chwycił wiszący na ścianie sznur i mocno związał mu z tyłu ręce. Następnie przywiązał koniec sznura do zamocowanego w ścianie żelaznego pierścienia.

- Możesz go puścić - powiedział po włosku. Służący Eleazara podniósł się i cofnął o kilka kroków. To samo uczynił skrepowany mężczyzna.

- Jesteś Włochem? - spytał Giovanni z przerażeniem w oczach.

- Tak.

- Ja także. Pochodzę z Rzymu. Czego ode mnie chcecie? Nie ma tu złota...

- Przyszedłem nie po złoto, lecz po sprawiedliwość - odparł Giovanni lodowato.

Mężczyzna spojrzał na Giovannię ze zdumieniem. Nagle jego oczy zabłysły.

- To niemożliwe... Nie możesz być... uczniem Lucjusza... Na dźwięk tych słów wściekłość, którą Giovanni od wielu miesięcy dławił w sercu, wypłynęła na powierzchnię. Kalabryczyk rzucił

się na swego wroga, mocno chwytając go za tunikę.

- Tak, jestem uczniem i przyjacielem dwóch niewinnych mężczyzn, których bestialsko zamordowaliście...

- To niemożliwe... przecież osobiście przebiłem ci serce. Poza tym podpaliliśmy dom...

- A więc dowiedz się, że chybiłeś. Powiedzmy, że zostałem ocalony przez tę samą opatrność, w imię której torturujecie i mordujecie niewinnych!

Mężczyzna zaniemówił. Rozpoznał wprawdzie Giovanniego, ale nie mógł uwierzyć, że młodzieniec żyje.

- Jakim cudem udało ci się zbiec?

- Nieważne! Nie przyszedłem tu po to, by opowiadać historię mojego życia, ale po to, by wyrównać rachunki.

- Skąd wiesz, że mamy dom w Jerozolimie?

- Przypomnij sobie! Zanim zadałeś mi cios, twój przywódca, ten fanatyczny staruch, sam mi powiedział, że udaje się do Świętego Miasta.

- Przyjechałeś tu, by go odnaleźć? Giovanni przytaknął.

Mężczyzna nie odpowiedział, po czym wybuchnął cynicznym śmiechem.

- Zatem przyjechałeś po próznicy! Nasz Mistrz rzeczywiście spędził tu kilka miesięcy, ale dawno temu powrócił do Italii!

Giovanniego dławił gniew. Opanował się jednak.

- Świetnie - odpowiedział. - Czekałem tyle czasu, by wyrównać rachunki, mogę zaczekać jeszcze trochę. Gadaj, co zawiera list, jak nazywa się twój przywódca i gdzie jest jego siedziba.

Mężczyzna spoważniał.

- Znajdujesz się w samym sercu naszego zakonu. Wiedz, że liczy on ponad sta braci oddanych wielkiemu dziełu, które przerasta najśmielsze wyobrażenia. Służymy dziełu odnowy Kościoła i przywrócenia czystości wiary, poprzez walkę z wszelkim zepsuciem i herezją, które zagrażają mu w tej dobie zatracenia. Są wśród nas kardynałowie, mnisi, biskupi, księża, a nawet, takie jak ja, zwykle osoby świeckie. Każdy z nas złożył przed Bogiem przysięgę, że nigdy, nawet w razie tortur, nie wyjawia ani jednego nazwiska.

- Daj mi swoją szablę - poprosił Giovanni Józefa. Olbrzym zawahał się, ale ustąpił pod wpływem władczego tonu Giovanniego.

- Połóż jego ręce na tym kamieniu i trzymaj go mocno - ciągnął Giovanni wskazując ruchem głowy kamień węgielny, który wystawał ze ściany tuż za więźniem.

Służący posłusznie położył na kamieniu wciąż związane z tyłu dłonie jeńca, po czym skrepował mu przedramiona, uniemożliwiając najmniejszy nawet ruch.

- Nie spytam po raz trzeci. Podaj nazwisko i adres twojego przywódcy - zażądał Giovanni

twardym, spokojnym głosem. - Jeśli odmówisz odpowiedzi, obetnę ci dłonie. Tak samo, jak kiedyś ty obciąłeś mojemu psu łapę.

Jeniec uśmiechnął się szyderczo i odparł drwiącym głosem:

- Możesz mnie torturować, a nawet zabić, ale zapewniam cię, że odejdiesz z niczym. Będę milczał tak samo, jak kiedyś milczeli twoi przyjaciele, kiedy przypalałem gorącym żelazem ich ciała...

Giovanni poczuł, jak duszę zalewa mu fala niewysłowionej nienawiści. Chwycił szablę obiema dłońmi i wznosił ją nad głową więźnia.

Nagle, gdy był gotów do ciosu, przypomniał sobie słowa Luny: „Zabijesz z zazdrości, ze strachu i z gniewu. Jeśli zabijesz po raz czwarty, zrobisz to z nienawiści, a twoja dusza będzie potępiona na wieki”.

Jego dłonie zadrżały. Ujrzał wszystkie cierpienia, których był świadkiem i które go spotkały w ciągu ostatnich lat. Jego wizja uporządkowała się w szereg scen bitewnych, grabieży, mordów. Wspomnił słowa Starca Symeona: „Od pierwszego zabójstwa, od zbrodni kainowej, historię ludzkości znaczy nieprzerwany strumień krwawych zbrodni, u podłoża których stoi zemsta, chęć dominacji i strach. Zgodnie z tym, co głosili prorocy, Chrystus objawił się, by położyć temu kres. Był obdarzony mocą Boga, a stał się zwykłym sługą. Wisząc na krzyżu, nie złorzeczył swoim katom, lecz wołał: *Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią*. Przyszedł, by nam objawić moc przebaczenia, zwycięstwo miłości nad strachem i nienawiścią”.

Dusza Giovanniego była w rozterce. Jego serce wciąż jeszcze przepełniała nienawiść. Wspomnił grób swych przyjaciół... ale słowa, które ożyły w jego pamięci, zupełnie go sparaliżowały. Wiedział, że zabijając teraz, umocni prawo przemocy i zemsty... Oszczędzając wroga, przerwie zaklęty, tysiącletni krąg zbrodni. Ale jak puścić zbrodniarza bezkarnie? Jak nie ulec żądzy zemsty za krew tych, których się kochało?

Giovanni poczuł, tak mocno jak nigdy, przytłaczający go ciężar wolnej woli.

Nagle zadał gwałtowny cios.

84

Zdumiony jeniec spojrzał na Giovanniego, który właśnie przeciął jego więzy.

Były to jednocześnie wewnętrzne więzy, którymi spętana była dusza młodzieńca.

- Odejdź. Jesteś wolny - powiedział Giovanni drżącym ze wzruszenia głosem.

- Darujesz mi życie?

Giovanni potwierdził skinieniem głowy.

- Ale dlaczego?

- Dlatego, że wciąż jestem człowiekiem. Idź już. Mężczyzna spojrzał na niego z niedowierzaniem. Powoli cofnął się w stronę drzwi, nie odwracając się z obawy przed ciosem w

plecy. Nie spuszczać Giovanniego z oczu, powoli zdjął sztabę, po czym rzucił się do drzwi i umknął co sił w nogach. Giovanni oddał Józefowi broń. Jego oczy były pełne łez.

- Po raz pierwszy w życiu widzę chrześcijanina, który postępuje zgodnie z zasadami waszej wiary - wykrztusił olbrzym, ściskając ramiona Giovanniego. - Nigdy tego nie zapomnę.

- Spalmy to siedlisko zła.

- Ogień mógłby się roznieść na sąsiednie zabudowania. Mam lepszy pomysł. Mój pan opowie twoją historię kadiemu, który z całą pewnością skonfiskuje ten dom, by oddać go potrzebującym.

- Masz rację. Wracajmy.

Józef i Giovanni wrócili do domu kabalisty. Szabas skończył się wraz z zachodem słońca i Estera mogła już wyjść ze swojego pokoju, by przywitać narzeczonego. Gdy tylko go zobaczyła, stanęła nieruchomo, przyglądając mu się badawczo.

- O co chodzi? Tak dziwnie na mnie patrzysz - spytał Giovanni, całując ją w czoło.

- Coś się w tobie zmieniło.

- To znaczy?

- W twoim sercu zaszła jakaś zmiana. Widzę to w twoich oczach.

- To dobra czy zła zmiana? - spytał zdumiony Giovanni.

- Bardzo dobra. Właśnie zniknęła chmura, która, odkąd cię znam, rzucała na ciebie cień.

Giovanni chwycił Esterę za ramiona, patrząc jej prosto w oczy.

- Jak dobrze mnie znasz, Estero. Czasem nawet myślę, że lepiej niż ja sam.

- Co się stało?

- Bóg chciał, bym przed chwilą spotkał jednego z czarnych rycerzy, którzy zamordowali mojego mistrza i chcieli pozbawić mnie życia. Rozpoznałem go z łatwością: ma na ręku bliznę po ugryzieniu psa. Nie chciał wyjawiać nazwiska przywódcy, tego fanatycznego starucha, któremu poprzysiągłem zemstę. Nigdy ci tego nie mówiłem, ale wyruszyłem do Jerozolimy po to, by pozbawić go życia.

Estera zadrżała, ale nie przerwała Giovanniemu.

- Opatrzność zechciała, bym został porwany przez korsarzy i trafił do al-Dżaza'iru, by nauczyć się kochać... a nie tak, jak planowałem, do Jerozolimy, by zabić. Zechciała także, bym przybył tu, aby stanąć twarzą w twarz z zatruwającą moje serce nienawiścią. Ale dzięki sile miłości, którą posiadałaś we mnie, nienawiść zniknęła. Chciałem zabić tego mężczyznę, ale nie potrafiłem.

Estera czule pogładziła policzek Giovanniego.

- Właśnie to ujrzałam w twych oczach, kochany. Spozregłam, że twoja dusza uwolniła się od zła, które aż do dziś zasłaniało twe jasne spojrzenie chmurą cienia. To najpiękniejszy ślubny prezent, jaki mogłeś mi ofiarować.

Giovanni objął ją.

- To Bóg dał nam obojgu ten prezent - szepnął, dotykając ustami jej ust.

Nie spał całą noc. O świcie wyszedł z domu, udając się w towarzystwie Judy na Górę Oliwną. Myślał o nocy, kiedy Jezus mógł uciec, odrzucić przeznaczenie, które doprowadziło go do męki ukrzyżowania.

Jednak tylko rezygnując z ucieczki i stając twarzą w twarz z oprawcami, pozostał wierny temu, co głosił: prawdzie swego świadectwa. Myśląc o Jezusie, Giovanni wzruszył się głęboko i zapłakał.

Gdy wrócił do domu, służba właśnie szykowała weselny stół. Oprócz starego rabina nie było żadnych zaproszonych gości, lecz Eleazar pragnął, by wszyscy słudzy świętowali przy stole pana. Niemal w tym samym czasie zjawił się rabin. Pozdrowił Giovanniego, zachęcając go, by poszedł przygotować się do ceremonii.

Godzinę później w patio z fontanną zebrało się dziesięcioro służących. Jeden z nich grał na lutni.

Giovanni stanął obok rabina, który wyjaśnił mu przebieg ceremonii.

Nagle w drzwiach pojawił się Eleazar. Prowadził pod rękę Estere. Twarz panny młodej skrywał śnieżnobiały, lekko przezroczysty, spływający aż do piersi welon. Giovanni poczuł niezwykle wzruszenie, widząc, jak panna młoda zbliża się do niego wsparta na ramieniu ojca. Przy dźwięku lutni Żydzi zaintonowali hebrajską pieśń dziękczynną. Estera zasiadła po prawicy Giovanniego. Rabin dał młodzieńcowi znak, by podniósł woalkę dziewczyny. Pan młody delikatnie odsłonił twarz Estery, która skromnie opuściła oczy. Gdy tylko ucichł śpiew, rabin przypomniał narzeczonym spoczywające na nich obowiązki, po czym odmówił po hebrajsku dwa błogosławieństwa: jedno nad kielichem wina, symbolem dostatku i radości, oraz drugie, dla uwielbienia Boga. Następnie świadkowie, Sara i Józef, wstali, okrywając ramiona młodych *tallitem*, a Giovanni i Estera wypili wino z jednego kielicha.

Rabin ujął lewą dłoń Estery i prawą dłoń Giovanniego, po czym połączył je ze sobą. Odmówił modlitwę po hebrajsku. Zwrócił się do Giovanniego:

- Pan, Stwórca Wszechświata, źródło wszelkiego dobra, zapragnął, by mężczyzna i kobieta pożądali się i połączyli ze sobą, tworząc jedno ciało. Zapragnął dzielić z nimi, swymi ukochanymi dziećmi, tajemnicę Swej miłości i płodności. Giovanni, czy chcesz połączyć się z Esterą przed obliczem Przedwiecznego, by uczestniczyć w tym boskim dziele?

Giovanni przez chwilę milczał, po czym odpowiedział po włosku i hebrajsku:

- Chcę.

Następnie rabin zwrócił się do Estery, powtarzając te same słowa. Dziewczyna także odpowiedziała w dwóch językach:

- Chcę.

- Od tej chwili jesteście złączeni przed Bogiem jako mąż i żona. Niech do końca waszych dni towarzyszy wam Jego łaska, wspierając was w godzinie próby i czyniąc z was filary i świadków Jego miłosierdzia.

Giovanni spojrzał na Esterę. Oczy panny młodej lśniły od łez. Dla obojga młodych była to chwila zbliżająca ich do wieczności.

Uczta weselna trwała wiele godzin. Zimowe słońce skryło się za horyzontem w chwili, gdy goście wstawali od stołu, a rabin zęgnął się z gospodarzami.

Sara przygotowała sypialnię dla młodej pary.

Estera poprosiła Giovanniego, by przyszedł do niej nieco później. Pan młody został w salonie w towarzystwie Eleazara. Następnie służąca przysłała, by przygotować go do nocy poślubnej. Gdy był gotowy, przybyła po niego Sara. Z bijącym sercem wszedł po schodach na górę. Powoli wszedł do sypialni. Pachnąca jaśminem świeca oświetlała swym roztańczonym płomieniem stojące na środku sypialni łóżce. Estera czekała na męża w pozycji półleżącej, opierając plecy na poduszkach. Miała nagie nogi i stopy. Jej łono kryło się za jedwabną, złoconą przepaską, a piersi zakrywał przejrzysty szal barwy ochry. Miała rozpuszczone i namaszczone olejkami włosy. Oczy ukryła pod maleńką, zwieszającą się z czoła woalką. Giovanni po raz pierwszy mógł podziwiać jej piękne kształty. Lśniące od olejków ciało Estery zdobiła biżuteria. Na lewą kostkę i prawy nadgarstek założyła finezyjne, srebrne bransolety, podkreślające wzory wymalowane na skórze henną. Cienki czerwony rzemyk oplatał jej prawą kostkę, a z szyi zwieszał się potrójny sznur czarnych pereł. Pępek ozdobiła złotym skarabeuszem, a uszy długimi, opadającymi do ramion kolczykami ze srebra i pereł.

Giovanni stał dłuższą chwilę, sycąc oczy jej urodą. Przepelniało go miłosne i estetyczne wzruszenie. Nigdy wcześniej jego oczu i duszy nie oczarowało tak idealne piękno. Powoli zdjął sandały, rozpiął pas, zrzucił tunikę i przepaskę. Nagi podszedł do łóżka. Unoszący się nad ciałem Estery aromat lili i róż wkrótce zmieszał się z męską wonią ambry i piżma, którymi był namaszczoney Giovanni. Młodzi małżonkowie pieścili się delikatnie, ze wzruszeniem poznając każdy fragment swych ciał. Giovanni podniósł woalkę. Wielkie, migdałowe oczy jego ukochanej wydawały się jeszcze większe pod wpływem zdobiącego je makijażu. Usta dziewczyny były podkreślone szminką.

Patrząc na siebie z wyrazem szczęścia i powagi w oczach, nie zamieniając ani jednego słowa, małżonkowie podali sobie usta. Po chwili poznały się także ich ciała. Nareszcie.

O świcie pierwszy promień słońca wpadł do sypialni wraz ze śpiewem muezina, kładąc się na łóżku, na którym leżeli puści, lecz wypełnieni, osłabli, lecz wypoczęci kochankowie.

Małżonkowie rozpletli ramiona.

- To dziwne... - powiedziała Estera.

- Co takiego, najdroższa?

- Miałam wrażenie, że już ciebie znam. Jakby twoje pieszczoty obudziły we mnie odległe wspomnienia, które pamiętało tylko moje ciało. A kiedy ogarnęła mnie rozkosz, w moim umyśle pojawiły się przedziwne obrazy.

- Jakie? - spytał zaintrygowany Giovanni.

- Twarze, których nie rozpoznawałam, ale wiedziałam, że należą do drogich mi osób. Wybuch wulkanu i uciekających w popłochu ludzi. Zwój papirusu, który chowałam pośpiesznie w dzbanie i złożoną z tysięcy rękopisów bibliotekę.

- To dziwne, w istocie.

- Niektórzy kabaliści nauczają, że istnieją dwa rodzaje dusz: dusze młode - stanowiące większość - wcielające się po raz pierwszy oraz stare dusze, wędrujące od tysięcy lat, mające za zadanie spełnić określoną misję. Stare dusze mogą się spotykać w różnych życiach i różnych epokach i odznaczają się szczególnym pokrewieństwem.

Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałam, Giovanni, miałam wrażenie, że nasze dusze się znają. Tej nocy zaś moje ciało objawiło mi kolejną prawdę: nie po raz pierwszy jesteśmy kochankami.

Giovanni westchnął z powątpiewaniem.

- Nie wiem, co odpowiedzieć. Boski Platon i pitagorejczycy wierzyli w wędrówkę dusz. Sądzę, że poznamy prawdę dopiero w chwili śmierci. A może po prostu mieszka w nas pamięć tych, którzy żyli przed nami?

Giovanni nachylił się z miłością nad swą młodą żoną.

- Być może. Ale bez względu na wszystko, teraz, gdy cię odnalazłam, nie pozwolę ci odejść!

VII

Sol

85

Giovanni stał oparty o reling w części dziobowej okrętu, wpatrując się w morze. Mimo obawy, jaką napełniały go morskie podróże, czuł w sercu radosną pełnię. Od ślubu z Esterą i szczęśliwej wiadomości o ciąży - kilka miesięcy później - nie czuł ani wyrzutów sumienia związanych z przeszłością, ani nie obawiał się przyszłości. Przeżywał każdy dzień otwarty na to, co niesie życie, smakując każdą chwilę niewysłowionego szczęścia, jaką dane mu było przeżyć u boku kochanej bez pamięci żony.

Jako że mniej więcej za miesiąc spodziewali się rozwiązania, pojawiło się pytanie, gdzie jego żona pragnie urodzić. Po namyśle Estera zdecydowała o powrocie do al-Dżaza'iru. Ta decyzja

niezwykle uradowała nie tylko Eleazara, który nie miał powodu, by dłużej bawić w Jerozolimie i chciał wrócić do swej biblioteki, lecz także Giovanniego, który tęsknił za sefirotycznym ogrodem. Rodzina i służący wsiedli zatem na pokład niewielkiego statku handlowego, który wyruszał do Tunisu i Algieru.

Dwumasztowiec opuścił Ziemię Świętą dwadzieścia godzin wcześniej, a teraz, pchany niepomyślnym wiatrem, wolno płynął na zachód. Estera i Eleazar wypoczywali w kajucie. Giovanni tymczasem, korzystając z pięknej pogody pierwszych dni września, wyszedł na pokład. Zawsze lubił wpatrywać się w horyzont, czuć na policzkach powiew morskiego wiatru, patrzeć na fale poruszane bryzą.

Jako dziecko przesiadywał nad morzem długie godziny, snując marzenia o przyszłości. Dziś ziściły się wszystkie dziecinne pragnienia. Giovanni delektował się myślami, uczuciami i wzruszeniami, które przepelniały jego wyciszone i zjednoczone ze sobą serce i umysł.

Odzyskał wiarę w Boga. Prostą wiarę, otwierającą serce na cichy szept Ducha, a jednocześnie głęboką wiarę człowieka, który rozumie, że Bóg przewyższa wszelkie wyobrażenie o Nim. Wiarę, którą przeżywa się każdego dnia w nieustającym dziękczynieniu. Niemniej jednak nie zaprzestał poszukiwania odpowiedzi na nurtujące go istotne pytania teologiczne i filozoficzne i bardzo pragnął znaleźć się jak najszybciej wśród ksiąg z biblioteki Eleazara, by podjąć przerwana naukę.

- Wyglądasz na zatopionego w filozoficznych rozmyślaniach! Giovanni odwrócił się, słysząc głos Eleazara.

- W istocie! Jak się czuje Estera?

- Bardzo dobrze. Na szczęście nie kołysze zbyt mocno. Kabalista oparł się o reling obok Giovanniego.

- Ku jakim nieznanym horyzontom pobiegły twoje myśli?

- Żagiel przed dziobem! - krzyknął marynarz, wychylając się z bocianiego gniazda.

Na pokładzie zapanowała martwa cisza. Wszyscy pasażerowie, wyteżając wzrok, wpatrywali się w odległą linię horyzontu.

- To trójmasztowiec! - sprecyzował po chwili ten sam głos.

- Oby to był statek handlowy. Ewentualnie turecki lub algierski korsarz - odezwał się Eleazar.

Oby, pomyślał Giovanni. Płyniemy pod algierską banderą, a wszyscy pasażerowie to muzułmanie i żydzi. Jeśli wpadniemy w łapy chrześcijańskich piratów, z całą pewnością nas wyrzną lub sprzedadzą do niewoli.

Jako że nieznaną okret płynął pełnym wiatrem, wkrótce zbliżył się znacznie do handlowej galeoty*.* Galeota (galiot, wł. galeotta) - mały, szybki, żaglowo-wiosłowy okret typu półgalery używany od końca XVI wieku do końca XVIII

wieku na morzach śródziemnych.

- To chrześcijańska galera! Kawalerowie Maltańscy! - wrzasnął ponownie majtek.

Rzeczywiście oczom podróżnych ukazały się wkrótce wielkie, czarne żagle galery Rycerzy Świętego Jana z Jerozolimy.

- Zwrot przez sterburtę! Żagle staw! - wrzasnął kapitan.

- Próbuje salwować się ucieczką - zauważył Giovanni.

- Tak. Nasza galeota jest o wiele lżejsza od ich ciężkiej galery. Jeśli nie mają wioślarzy, z całą pewnością im uciekniemy. Lepiej zaryzykować, niż wpaść w ich ręce. My, być może, wyszlibyśmy z tego cała, gdyż prowadzę interesy z Malcią, ale cała reszta pasażerów z całą pewnością zostałaby sprzedana do niewoli.

W tym momencie na pokładzie pojawiła się Estera w towarzystwie służącej.

- Co się dzieje? Dlaczego tak nagle zmieniamy kurs? Giovanni objął ją, tłumacząc zaistniałą sytuację.

Podczas manewru wszyscy z niepokojem wpatrywali się w szybko nadpływający, ogromny okręt nieprzyjaciół. Jednak gdy tylko lekka galeota nabrała wiatru w żagle, zaczęła oddalać się od agresora.

Nagle, widząc, że Estera podtrzymuje dłońmi swój brzemienny brzuch, Giovanni wspomniał Lunę i pierwsze słowa przepowiedni: „Widzę otoczoną żołnierzami kobietę. Podtrzymuje dłońmi zaokrąglony brzuch. Nosi dziecko pod sercem. Zagroza jej wielkie niebezpieczeństwo”. Po raz pierwszy od dawna Giovanni poczuł strach i mocno przytulił Esterę.

- Mimo że mają wioślarzy, płyniemy szybciej od nich - z ulgą zauważył Eleazar. - Uciekniemy im... o ile wiatr nie ucichnie.

- Otóż to - wtrącił stojący obok pasażer. - Nie sądzę, by łatwo zrezygnowali ze zdobyczy.

Istotnie maltańska galera nie zaprzestała pogoni. Z nastaniem nocy z pokładu małego, algierskiego statku wciąż widać było odległe światła pirackiego okrętu.

- Musimy płynąć z wiatrem - wyjaśnił kapitan zaniepokojonym pasażerom. - W razie ciszy będziemy zdani na łaskę chrześcijan. Z kolei jeśli wiatr się utrzyma, odpłyniemy daleko na północny-wschód, czyli oddalając się od portu przeznaczenia.

- Dokąd zatem dopłyniemy, jeśli przyjdzie nam tak płynąć do rana? - spytał jeden z pasażerów.

- Jeśli siła wiatru nie zmieni się, przed świtem będziemy na Cyprze.

- Będziemy uratowani! - rzucił Eleazar. - Kawalerowie Maltańscy nie bardzo lubią Wenecjan!

Cypr, pomyślał Giovanni. To stąd płynęła Elena, gdy jej statek zaatakowali piraci. Morze wyrzuciło ją na brzeg obok mojej wioski. Cypr. Wyspa, której gubernatorem jest jej ojciec.

Całą noc wiatr wiał z jednakową siłą dzięki czemu galeota utrzymała przewagę nad trójmasztowcem. Tuż przed świtem marynarz z bocianiego gniazda zapowiedział dobrą nowinę:

- Przed nami ziemia!

- Cypryjski brzeg! Jesteśmy uratowani! - krzyknął kapitan. Pasażerowie, którzy całą noc spędzili na pokładzie wpatrzni w korsarski okręt, krzyknęli radośnie, rzucając się sobie w ramiona. Maltańska galera zawróciła.

- Znasz tę wyspę, nieprawdaż? - spytał Giovanni Eleazara.

- Trochę. Byłem tu trzykrotnie. Ty, jako miłośnik ikon będziesz zachwycony. Cypr dość długo był tym terytorium bizantyńskim, które oparło się ikonoklazmowi *. * Ikonoklazm, obrazoburstwo - ruch religijny rozwijający się najsilniej w Bizancjum w VIII-IX w zwalczający oddawanie czci obrazom i figurom religijnym. Wielu pisarzy ikon znalazło schronienie w tutejszych monasterach. Jednak po zdobyciu wyspy przez Ryszarda Lwie Serce chrześcijanie prawosławni ustąpili miejsca kościołowi rzymskiemu. Król Anglii wkrótce odstąpił tę ziemię templariuszom, którzy sprzedali ją ostatniemu królowi Jerozolimy, Gwidonowi de Lusignan. W końcu, po trzystu latach panowania, ród de Lusignan odstąpił Cypr Wenecjanom. Miało to miejsce około pięćdziesięciu lat temu.

Tymczasem galeota zaczęła zbliżać się do portu.

- To Famagusta - powiedział Eleazar. - Największy port na wyspie.

- Na pewno nic nam nie grozi?

- Nie. Wenecja i Konstantynopol zawarły układ morski, na mocy którego statki handlowe imperium osmańskiego nie są niepokozone przez weneckie galery i mogą bezpiecznie handlować w mieście dożów. Skoro już tu jesteśmy, mimo smutnych okoliczności, skorzystamy z okazji, by nieco wypocząć na lądzie. Jest tu niewielka gmina żydowska, w której mieszka mój znajomy.

- Masz na myśli Mosze ben Saara? - spytała Estera.

- Tak. Ostatni raz, kiedy cię widział, miałaś sześć lat. Będzie szczęśliwy widząc cię dziś u boku Giovanniego... Ale nie wyjawimy, że jesteś chrześcijaninem - powiedział, zwracając się do zięcia. - Znowu przyjmiesz imię Szymona, syna Rubena.

Wkrótce statek zawinął do portu. Na pokład weszli weneccy żołnierze, sprawdzając tożsamość i ładunek okrętu.

Podczas gdy Eleazar przygotowywał się do zejścia na ląd, Estera zauważyła, że Giovanni stał się nad wyraz niespokojny.

- Co się dzieje, jedyny? - spytała na osobności. Giovanni zawahał się przez chwilę, po czym wyznał:

- Nie wspomniałem ci, że ojciec Eleny był kiedyś gubernatorem Cypru. Sam fakt, że los rzucił nas na tę wyspę sprawia, że jestem niespokojny. Nie dlatego, że wciąż pamiętam Elenę, ale

obawiam się, że moglibyśmy mieć problemy, gdybym został rozpoznany.

Estera ujęła go za obie dłonie.

- Rozumiem twój niepokój - odparła. - Sądzę, że masz rację. Lepiej nie kusić licha. Jeśli chcesz, zostaniemy na statku.

- Nie, Estero. Musisz wypocząć, a kapitan powiedział, że nie podejmie ryzyka ponownego wyjścia w morze przed upływem kilku dni. Lepiej, żebyś zeszła z ojcem na ląd. Odwiedzicie przyjaciół. Z całą pewnością będą zachwyceni. Zostanę sam.

Estera spojrzała na niego w milczeniu.

- Nie podoba mi się pomysł rozstania w nieznanym miejscu, gdzie wszystko się może zdarzyć - odparła złęknionym głosem.

- Nic wam się nie stanie w mieście, które twój ojciec dobrze zna i w którym ma przyjaciół. Ja także będę bezpieczny na okręcie. Bądź spokojna, Estero. I uwierz mi, będę bardziej szczęśliwy wiedząc, że śpisz bezpiecznie w wygodnym domu, niż mając cię przy sobie w ciasnej, dusznej kajucie.

- Spytajmy o zdanie mojego ojca.

Eleazar podzielał zdanie Giovanniego. Uznał, że to rozsądne rozwiązanie.

Postanowił jednak, że spędzą u przyjaciela tylko wieczór i noc, a z samego rana wrócą na statek.

Estera uległa namowom ojca i męża, ale w głębi duszy coś mówiło jej, że lepiej by było nie opuszczać Giovanniego. Żegnając się z nim, długo stała wtulona w jego ramiona, jakby przeczuwając, że w tym życiu widzi go ostatni raz. Odchodząc, wypowiedziała dziwne słowa:

- Jeśli wydarzy się nieszczęście, obiecuję ci, że będę na ciebie czekać w przyszłym życiu. Nawet jeśli nie rozpoznasz mojej twarzy, rozpoznasz radosną melodię, która odezwie się w twoim sercu, gdy tylko mnie zobaczysz. Rabin Meadia powiada, że właśnie w ten sposób rozpoznajemy tych, których najbardziej kochaliśmy w poprzednim wcieleniu. Jestem pewna, że usłyszysz Kantyczkę Świtu: tę, którą tak bardzo kochasz.

- Co ty opowiadasz, Estero! Zobaczymy się jutro rano. Ja nie ruszę się z okrętu, a ty będziesz pod opieką Maleka, Sary i Dawida. Zadbaj o siebie i nasze dziecko, jedyna.

Giovanni ze ściśniętym sercem patrzył, jak odchodziła. Odwróciła się jeszcze, machając mu ręką na pożegnanie. Odwzajemnił jej gest, po czym ujrzał, jak znika w wąskiej uliczce, w towarzystwie ojca i trojga służących.

Na statku zostało dwóch służących kabalisty. Giovanni postanowił unikać najmniejszego nawet ryzyka i mimo że miał chęć przespacerować się po nabrzeżu, czy choćby zaczerpnąć powietrza na pokładzie galeoty, postanowił zostać w dusznej kajucie.

Tej nocy w żaden sposób nie mógł zasnąć. Nie żeby przeszkadzały mu pijackie śpiewy

marynarzy na pokładzie, ale eskalacja tragicznych wydarzeń przywołała w nim pamięć dawnych lat, budząc gorzko-słodkie wspomnienie Eleny. Mimo że nie miał najmniejszej wątpliwości co do głębi i siły uczucia, jakim darzył Estere, nadal na swój sposób kochał Elenę i chciał się dowiedzieć, co się z nią stało. Czy wyszła za męża? Gdzie mieszkała? Czy była szczęśliwa? Tyle pytań kłębiło się w jego głowie. Jednak wiedział, że nigdy nie uzyska odpowiedzi. Myślał też o Lunie i jej przepowiedni. Miał nadzieję, że zostając w ukryciu uniknął przeznaczenia i oddalił od swej ukochanej żony najmniejsze nawet niebezpieczeństwo.

O świcie, gdy port wciąż jeszcze był pogrążony we śnie, wyszedł na chwilę na nabrzeże, by zaczerpnąć powietrza i przewietrzyć myśli. Następnie wrócił do kajuty, niecierpliwie oczekując powrotu Estery. Około południa zaczął się niepokoić przedłużającą się nieobecnością teścia i żony. Wiedział, że Estera pragnęła wrócić na pokład z samego rana i dziwił się, że opóźniła powrót. Dla spokoju sumienia wysłał jednego ze służących do dzielnicy żydowskiej, pod adres wskazany przez Eleazara. Akim, muzułmanin pochodzenia algierskiego, mówił we *franko*. Zapytał o drogę cypryjskiego marynarza i niezwłocznie wyruszył na poszukiwanie swoich państwa.

Kilkadziesiąt minut później przerażony służący wpadł na statek, dobijając się do kajuty Giovanniego.

- Panie! Stało się straszne nieszczęście! Giovanni skoczył na równe nogi.

- Mów zaraz!

- Wracam z żydowskiej dzielnicy. Tej nocy miała miejsce masakra. Część mieszkańców miasta wtargnęła do getta. Spalono domy. Zabito wiele osób: mężczyzn, kobiet i dzieci...

- A Estera i Eleazar? Czy...

- Nie wiem, panie. Widziałem tak wiele zwęglonych ciał. Nie sposób ich rozpoznać.

- Jak to możliwe?! Czy dowiedziałeś się, czy ktokolwiek przeżył? Czy byłeś w domu Moszego?

- Tak jak wiele innych, został zburzony. Ale to nie znaczy, że nie żyją. Pewna staruszka, która opłakiwała swoich bliskich, powiedziała mi, że nocą interweniowało wojsko, ratując przed rozszalałym tłumem dziesiątki Żydów. Zaprowadzono ich do cytadeli... może nasi dobrzy państwo są wśród nich?

Giovanni osunął się na kolę. Ukrył twarz w dłoniach, oddając się modlitwie. Po dłuższej chwili podniósł wzrok na Akima.

- Idziemy do cytadeli!

Założył obszerny płaszcz z kapturem, którym w razie potrzeby mógłby zasłonić twarz, i ruszył w drogę. W niecałe dziesięć minut stanął u stóp fortecy pełniącej jednocześnie rolę bazy wojskowej i więzienia.

Odszukał wzrokiem weneckiego oficera i przedstawił się.

- Nazywam się Leonello Bompiani. Jestem obywatelem weneckim. Przebywam przejazdem na Cyprze.

Oficer z szacunkiem zasalutował.

- Tak się składa, że podróżują ze mną moi przyjaciele, Żydzi, którzy nocą, podczas pogromu, byli w getcie. Chciałbym się dowiedzieć, co się z nimi stało. Czy zginęli? A może są bezpieczni tutaj?

- Rzeczywiście tej nocy zamknęliśmy około trzydziestu Żydów. Proszę mi podać nazwiska znajomych, a powiem, czy są wśród nich.

Giovanni czym prędzej zapisał żołnierzowi nazwiska Estery, Eleazara i trojga służących. Oficer wszedł do cytadeli. W tym czasie Giovanni zapytał pełniącego wartę żołnierza o wydarzenia minionej nocy. Wartownik odpowiedział, że poprzedniego dnia wieczorem, na granicy dzielnicy żydowskiej, znaleziono zamordowane trzyletnie dziecko. Natychmiast miasto obiegła plotka, że dziecko padło ofiarą rytualnego mordy, którego sprawcami mieli być Żydzi. W mieście zawrzało.

Setki uzbrojonych w pochodnie kobiet i mężczyzn udało się do getta, gdzie mieszkało około trzydziestu żydowskich rodzin i podłożyło ogień. Gdy na miejscu pojawiło się wojsko, udało się uratować tych, którzy uniknęli pogromu, i odprowadzić ich do twierdzy.

Zaledwie żołnierz skończył swą opowieść, powrócił oficer.

- Troje z twoich znajomych tu jest - rzucił w stronę Giovanniego. - Pozostałych dwoje z całą pewnością nie żyje.

Giovanni poczuł, jak w żyłach ścina mu się krew.

- Kto przeżył? - spytał słabym głosem. Oficer spojrział na kartkę i wymamrotał:

- Niejacy Eleazar, Estera i Sara. Serce Giovanniego zadrżało z radości.

- Czy mogę zabrać ich na okręt, którym przyплыliśmy?

- To niemożliwe - odparł żołnierz niewzruszenie.

- Jak to? Są niewinni. Nie możecie ich więzić...

- Kapitan twierdzy otrzymał wyraźny rozkaz od gubernatora. Żydzi mają pozostać w więzieniu i staną przed sądem w sprawie o morderstwo dziecka. Do tego czasu nie zezwala się na widzenia.

- To absurd! - krzyknął Giovanni. - Dobrze wiecie, że nie są winni zarzucanej im zbrodni!

- Ja nic nie wiem, panie. Jedyne, co możesz zrobić, to poprosić o prywatną audiencję u gubernatora. Tylko on może zezwolić na widzenie.

Giovanni opanował wzbierający w nim gniew. Zdawał sobie sprawę, że na nic zda się wściekłość, która w tej sytuacji może tylko zaszkodzić.

- Dziękuję za informację. Natychmiast udam się z prośbą o audiencję. Czy zechcesz mi wskazać drogę do pałacu gubernatora?

- To nie to, panie. Gubernator przebywa w Nikozji, o dobrą godzinę konno stąd. Jeśli nie masz konia, możesz go wynająć w porcie.

Giovanni pożegnał Wenecjanina i ruszył w drogę powrotną do portu. Nagle przystanął na chwilę, zrobił w tył zwrot i ponownie zagadnął oficera.

- Ostatnie pytanie. Jak się nazywa gubernator Cypru?

- Jest to od dawna. Pochodzi ze słynnego weneckiego rodu. Na pewno słyszałeś o nim w Wenecji, panie. To Paolo Contarini.

- W rzeczy samej - odpowiedział Giovanni drżącym głosem.

87

Od dziesięciu minut Giovanni czekał w korytarzu przed salą audiencyjną, w której gubernator Cypru, noszący oficjalny tytuł dowódcy twierdzy Famagusta, przyjmował interesantów. Aby uzyskać zgodę na prywatną audiencję, Giovanni musiał czekać aż cztery dni. Ogolił się starannie i specjalnie na tę okazję sprawił sobie ubrania uszyte na miarę z najwykwintniejszych tkanin. Wiedział, że gubernator będzie go oceniał tak po wyglądzie, jak po gładkich słowach. Na szczęście nigdy nie dane mu było spotkać w Wenecji ojca Eleny. Nie istniało zatem najmniejsze nawet ryzyko, że ten ostatni skojarzy osobę, w której rolę wcielił się tego dnia Giovanni, z dawnym kochankiem córki, o którym gubernator na pewno słyszał.

Wartownik wprowadził Giovanniego do wielkiej sali, w głębi której, w potężnym fotelu z rzeźbionego drewna, siedział gubernator. Obok niego stało dwóch żołnierzy i doradca.

Na widok gościa gubernator wstał z fotela.

- Witam pana, signor Bompiani.

Patrząc w twarz ojca Eleny, Giovanni poczuł niezwykle wzruszenie. Dziewczyna odziedziczyła po nim piękne, zielone oczy i przyjazny uśmiech. Gubernator wskazał gościowi krzesło, po czym wrócił na swoje miejsce.

Dobiegał sześćdziesiątki, a w jego głosie pobrzmiwało pewnego rodzaju znużenie.

- Dziękuję, że Wasza Ekscelencja był uprzejmy wyrazić zgodę na tę audiencję.

- To całkiem naturalne. Robię to dla mego krajana. Ale proszę, powiedz mi, panie, czym się zajmujesz i z której części Wenecji pochodzisz?

- Jestem wydawcą-księgarzem z dzielnicy Rialto.

- Ach, to wspaniale! - odparł gubernator.

Z obawy przed koniecznością wymyślania zbyt wielu kłamstw na temat swej tożsamości, Giovanni czym prędzej przedstawił powody, dla których poprosił o audiencję.

- Byłem z pielgrzymką w Jerozolimie. W drodze powrotnej zdecydowałem się udać do Tunisu, by spotkać się z pewnym miłośnikiem rękopisów. Zaokrętowałem się więc na turecki statek handlowy. Niestety, korsarska galera Kawalerów Maltańskich zmusiła naszą galeotę do zboczenia z

kursu i w ten oto sposób znalazłem się na Cyprze.

- W rzeczy samej, słyszałem tę historię. Ci przekłęci rycerze-mnisi zapuszczają się coraz bliżej naszych brzegów. Będę musiał poprosić Radę Dziesięciu o wysłanie w te rejony galery patrolującej. Rozumiem, że najadłeś się strachu, ale wiedz, że jako chrześcijanin nie ponosiłeś najmniejszego ryzyka, nawet gdyby wasz statek wpadł w ręce joannitów.

- Z całą pewnością. Ale sprawa, z którą ośmielam się przychodzić przed oblicze Waszej Ekscelencji, jest o wiele bardziej tragiczna. Otóż, będąc w Jerozolimie, poznałem tam szlachetnego Żyda, bankiera. Człowiek ten, wielki erudyta, wsiadł wraz ze swą córką i kilkorgiem służby na ten sam statek, z zamiarem odwiedzenia swych kantorów w krajach barbarzyńskich. Ale na swoje nieszczęście, w dniu, w którym zawinęliśmy do Famagusty, wraz ze swą córką, zarządcą i dwojgiem innych służących udał się z wizytą do znajomego w dzielnicy żydowskiej. Jak Wasza Ekscelencja wie, tej samej nocy w getcie wybuchły zamieszki spowodowane zabójstwem dziecka. Dowiedziawszy się nazajutrz rano o zaistniałej tragedii, która pociągnęła za sobą dziesiątki ofiar, udałem się do cytadeli, do której nocą zaprowadzono mego przyjaciela, jego córkę i ocalałą służącą. Z ulgą przyjąłem wiadomość, że żyją i są bezpieczni, ale obawą napawa mnie myśl, że nie zostaną wypuszczeni na wolność. Co gorsza, tak jak innych ocalałych Żydów, czeka ich proces z powodu zbrodni, której żadną miarą nie popełnili.

Gubernator wysłuchał Giovanniego z niezwykłą uwagą. Kiedy gość skończył swoje przemówienie, odpowiedział:

- Panie Bompiani, będę z tobą szczery. Ta sprawa nie daje mi spokoju. Osobiście jestem zdania, że Żydzi nie mają nic wspólnego z zabójstwem dziecka. Jednak spora część ludności nie podziela tej opinii. Tak więc jest mi tak samo trudno ukarać mieszkańców miasta, którzy dopuścili się masakry Żydów, jak i wypuścić tych, którzy ocaleli z pogromu. Choćby po to, by zapewnić im bezpieczeństwo. Podjąłem więc decyzję o przeprowadzeniu procesu, w którym oskarżeni będą mogli się bronić, i jestem pewien, że jego wynik okaże się dla pana przyjaciół pomyślny.

- To bez wątpienia bardzo mądra decyzja. Jednak nie powiedziałem Waszej Ekscelencji, że córka mego przyjaciela, Eleazara, jest w ósmym miesiącu ciąży. Wraz z ojcem udawała się do al-Dżaza'iru, by urodzić we własnym domu, w którym zresztą czeka na nią jej mąż. Obawiam się, by długie oczekiwanie na proces i sam proces wreszcie nie wpłynęły niekorzystnie na stan jej zdrowia. Nie mówiąc już o tym, że będzie musiała urodzić tutaj, z dala od domu i swoich bliskich.

- Hmm. Rozumiem twą troskę i chęć uwolnienia brzemiennej kobiety. Co prawda nie podzielam twej sympatii do Żydów, ale rozumiem twoje racje.

W tym momencie do sali audiencyjnej wszedł leciwy służący, przynosząc swemu panu i jego gościowi świeżo wyciśnięty sok z owoców. Napełniając szklanę Giovanniego, podniósł wzrok, wpatrując się w niego z dziwnym wyrazem twarzy, po czym wyszedł bez słowa.

- Zastanowiwszy się nad tą sprawą, myślę, że będzie możliwe uwolnienie twoich przyjaciół przed procesem. Zrobimy to bez rozgłosu, a jeśli sprawa dotrze do ludu, zawsze będę mógł powiedzieć, że uwolnieni są naszymi znajomymi, byli na wyspie tylko przejazdem i nie mają nic wspólnego ze zbrodnią.

Na dźwięk tych słów Giovanni poczuł, jak kamień spada mu z serca.

- Nie wiem, jak dziękować Waszej Ekszelencji. Myślę też, że nasz przyjaciel, Eleazar, który jest niezwykle majątnym człowiekiem, będzie umiał się odwdzińczyć na swój sposób.

- Podjąłem tę decyzję nie dla chęci zysku. Kierowała mną przede wszystkim chęć sprawienia przyjemności memu rodakowi. No i oczywiście głębokie współczucie dla brzemiennej niewiasty. Cóż, signor Bompiani, sam jestem dziadkiem, a moja wnuczka ma na mnie większy wpływ niż większość moich doradców!

Paolo Contarini i jego doradca wybuchnęli gromkim śmiechem.

Giovanni uśmiechnął się tylko. Był zbyt poruszony tym, co właśnie usłyszał. Czy wnuczka gubernatora była córką Eleny, czy jej siostry? Jeśli była dzieckiem Eleny, to oznacza, że dziewczyna jest na wyspie. Giovanni płonął z ciekawości, by zadać gubernatorowi to pytanie, ale z obawy przed niepotrzebnym ryzykiem, ugryzł się w język. Namiestnik wyspy wstał z fotela, serdecznie żegnając swego gościa.

- Jutro możesz udać się do fortecy z rozkazem uwolnienia twych przyjaciół - dodał.

Giovanni podziękował serdecznie, pożegnał gospodarza dając wyraz najwyższego szacunku, po czym skierował się do wyjścia. Jednak w chwili, gdy miał przekroczyć próg, gubernator zawołał:

- Panie Bompiani!

Giovanni odwrócił się, by spojrzeć, że służący, który chwilę wcześniej nalewał mu sok, stoi obok gubernatora, szepcząc mu coś do ucha. Paolo Contarini wydawał się być niezwykle zaskoczony tym, co usłyszał. Po chwili namysłu odezwał się do Giovanniego tymi słowami:

- Proszę wybaczyć, że pana zatrzymuję, ale Francesco, który czasem pełni służbę u boku mej córki i żony, właśnie wyjawiał mi coś niezwykle zaskakującego. Jeśli pan pozwoli, chciałbym to teraz sprawdzić.

Giovanni opanował się, by nie dać po sobie poznać wstrząsu, którego doznał na dźwięk słów gubernatora. Spojrzał uważnie na służącego, próbując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek spotkał go w pałacu Eleny, jednak twarz mężczyzny wydawała mu się zupełnie obca.

- Francesco, który jest obdarzony niezwyklej pamięcią wzrokową, powiada, że przypominasz mu kogoś.

- Ach tak - odparł Giovanni, udając rozbawienie. - Kogóż to?

- Kogoś, kogo widział tylko przez parę dni, wiele, wiele lat temu.

Giovanni pytająco uniół brwi.

- Młodego kalabryjskiego wieśniaka, który usiłował targnąć się na cześć mojej córki.

- A to dopiero! - odpowiedział Giovanni, wybuchając śmiechem. - Aż tak bardzo przypominam kalabryjskiego chłopca?

- Z całą pewnością nie - ciągnął gubernator. - Ale tak się składa, że ten sam wieśniak stał się, nie wiedzieć jakim cudem, astrologiem. Przybył do Wenecji, uwiódł moją córkę i zabił swego rywala: syna mojego najlepszego przyjaciela. Został skazany na dożywotnie galery, jednak zniknął w czasie bitwy morskiej.

Gubernator zrobił niewielką pauzę, pilnie obserwując reakcję Giovanniego. Po chwili podjął przerwany wątek:

- Byłoby niezwykle zabawne, gdyby ten uzurpator tożsamości przekształcił się dziś w wydawcę-księgarza! Ale to tylko teoria! Mój sługa mógł się przecież pomylić.

- Tak sędzę. I jeśli Wasza Ekscelencja nie wykazałby przed chwilą tak wielkiej mądrości, rozstrzygając sprawę moich przyjaciół, mógłbym się zacząć obawiać, co wyniknie z wysuwanych pod moim adresem insynuacji. Całkowicie niesprawdzalnych, zresztą.

W tym momencie służący ponownie nachylił się do ucha gubernatora, który wysłuchawszy, odparł:

- Myli się pan, panie Bompiani. W przeciwieństwie do tego, co pan utrzymuje, istnieje bardzo prosty sposób sprawdzenia, czy mój służący się nie myli. Człowiek, o którym rozmawiamy, dostał dwadzieścia batów w plecy. Francesco, który wówczas towarzyszył mojej córce, był obecny przy wymierzaniu kary. Jeśli pańskie plecy nie noszą śladów bata, przeproszę pana i wynagrodzę niesłuszne posądzenie.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, prosisz mnie, panie, bym się rozebrał, dowodząc tym samym mej niewinności?

- Tak jest w istocie.

- Bardzo mi przykro, Wasza Ekscelencjo. Najwyraźniej los wziął się na mnie. Tak się składa, że kilka lat temu byłem jeńcem algierskich korsarzy, przez których zostałem poddany identycznej karze. Ponadto, za próbę ucieczki, wychłostano mi podeszwy, a moje stopy wciąż noszą ślady tej karni, czego z łatwością mogę dowieść. Chyba że twój sługa nagle przypomni sobie, że ów kalabryjski chłop miał także obite kijem pięty.

- Nie miej mu tego za złe, panie Bompiani i zechciej nam pokazać swe blizny.

Giovanni zdjął buty, pokazując gubernatorowi zdeformowane podeszwy. Następnie zdjął także koszulę, odsłaniając zryte batem plecy. Wszyscy obecni w milczeniu zbadali blizny, po czym gubernator naradzał się przez chwilę szeptem ze służącym, doradcą i żołnierzami. W końcu odezwał się tymi słowami:

- Nie skłamałeś w sprawie obicia stóp kijem: kary, którą wymierzono ci jako zbiegłemu niewolnikowi. Jednak z przykrością muszę ci zakomunikować, że ślady na twoich plecach pochodzą od bardzo specyficznego rzemienia, którego nie używają ani Turcy, ani korsarze... lecz weneckie wojsko.

- Po raz kolejny padam ofiarą pecha - odparł Giovanni ironicznie. - Nie dosyć, że moi prześladowcy poddali mnie karze chłosty, to jeszcze musieli to zrobić batem, który uprzednio skradli Wenecjanom.

- Nie sądzę, by mieli to w swym zwyczaju. Jednak masz rację, panie. To nie jest dostateczny dowód, na podstawie którego moglibyśmy cię aresztować.

Na dźwięk tych słów Giovanni poczuł, że wyswobadza się z potrzasku i odetchnął z ulgą.

- Niemniej jednak - ciągnął gubernator - za chwilę poznamy prawdę. Jest ta osoba, która z całą pewnością stwierdzi, czy jesteś tym, o którym mówimy. Posłałem już po nią. Lada chwila tu będzie.

Elena, pomyślał wstrząśnięty Giovanni. Elena ta jest i posłał po nią.

- Jej zeznanie wykluczy możliwość pomyłki - kontynuował Paolo Contarini. - I albo uczynimy ci zadość, uwalniając cię wraz z przyjaciółmi, albo dołączysz do nich w więzieniu... po to, by skończyć na stosie lub stryczku.

Na te słowa otwarły się niewielkie drzwi znajdujące się w głębi sali, za plecami gubernatora. Wszedł żołnierz, a za nim kobieta.

Giovanniego przeszedł zimny dreszcz. Utkwił wzrok w drobnej sylwetce, która stanęła na progu wielkiej sali audiencyjnej.

Rozpoznał ją bez najmniejszej wątpliwości, a na jej widok jego serce zamarło.

88

Ręce Giovanniego zakuto w kajdany, przytwierdzając je łańcuchem do umocowanego w ścianie pierścienia. Ciemny loch był oświetlony tylko jednym promieniem słońca wpadającym z wysoka przez maleńki wykusz. Wszystko przepadło z chwilą gdy Juliana, służąca Eleny, którą Giovanni często widywał w Wenecji, rozpoznała go jako Giovanniego Da Scołę, byłego kochanka swej pani, skazanego niegdyś na galery. Gubernator niezwłocznie wydał rozkaz aresztowania Giovanniego i wtrącenia go do pałacowej wieży. Kilka dni później młodzieniec stanął przed sądem, który - trzymając się ściśle litery weneckiego prawa - wydał wyrok skazujący uciekiniera z galer na śmierć. Skazańcowi dano do wyboru stryczek lub stos. Giovanni wybrał to drugie.

Od niemal tygodnia gnił w ciemnym lochu, czekając na egzekucję, której datę wyznaczono na ósmy dzień od zakończenia procesu. Za dwa dni na zawsze pożegna się z tym światem.

W chwili ogłoszenia wyroku Giovanni nie buntował się. Nawet nie płakał. Od chwili, w której został rozpoznany, wiedział, co go czeka, i świadom, że tym razem nic go nie uratuje,

pogodził się z losem. Modlił się jednak nieprzerwanie dzień i noc o ratunek dla żony i teścia. Nigdy nie wyjawiał prawdziwych związków łączących go z Esterą i Eleazarem, gdyż zdawał sobie sprawę, że mówiąc prawdę, przesądziłby o ich losie.

Ocaleli z pogromu Żydzi mieli być sądzeni kilka dni po egzekucji Giovanniego. Estera była bliska rozwiązania. Kalabryczyk zastanawiał się, kiedy jego dziecko przyjdzie na świat. Tak bardzo chciałby je ucałować chociaż jeden, jedyny raz!

Myśłami błądził też w pobliżu Eleny. Od jej ojca dowiedział się, że wraz z córką przebywała na wyspie, ale Paolo Contarini stanowczo sprzeciwił się jej widzeniu z Giovannim. Nie mogła też przyglądać się procesowi, który odbył się za zamkniętymi drzwiami.

Jak bardzo Giovanni pragnął ją zobaczyć! Pomyślał, że obie kobiety, które wstrząsnęły jego życiem, były tuż obok, tak blisko siebie, jakby połączone przez ten sam los, który teraz skazywał go na rozstanie się z życiem, które wreszcie nauczył się kochać.

Serce Giovanniego było przepelnione bezgranicznym smutkiem i spokojne zarazem.

Nagle z rozważań wyrwał go zgrzyt klucza obracającego się w zamku. Giovanni zauważył nienickną, pomarańczową poświatę. Słońce zachodzi. Strażnik przynosi mu kolację, pomyślał. Ciężkie drzwi znajdujące się w celi powyżej otworzyły się i natychmiast zatrzęsły z łoskotem. Do lochu, w którym był zakuty Giovanni, prowadziły wąskie, kilkustopniowe schody. Mężczyzna zdziwił się, że nie słyszy ciężkich kroków strażnika. Podniósł głowę i ujrzał skraj kobiecego płaszcza.

- Giovanni! Mój ukochany Giovanni!

Elena stanęła u stóp schodów, patrząc na dawnego kochanka, który siedział na niewielkiej, kamiennej ławie, zaledwie kilka kroków od niej. Upłynęło kilka sekund, zanim zorientował się, co się dzieje.

- Elena - szepnął bezbarwnym głosem.

Spojrzał na kobietę, której nie widział od niemal dziesięciu lat. Dwudziestosiedmioletnia Elena była piękna jak nigdy dotąd. Zachowała całą delikatność rysów, ale dziecięca twarzyczka, jaką znał, przekształciła się w szlachetną, bardziej wyrazistą twarz dojrzałej kobiety. Elena podbiegła do Giovanniego, obsypując go pocałunkami.

- Miłości moja! Tak długo na to czekałam!

Nagle serce Giovanniego zalała fala niewysłowionej radości.

- Eleno... wprost nie wierzę własnym oczom. Jaka jesteś piękna! Jak dobrze znowu cię widzieć.

Elena, której oczy były pełne łez, delikatnie pieściła twarz mężczyzny, wciąż całując go w policzki, usta, czoło, szyję...

- Mój Giovanni! Od dziewięciu długich lat nieprzerwanie myślę o tobie. Nigdy, nigdy mój

miły nie zapomniałam o tobie. Dlaczego nie wróciłeś? Rzuciłabym dla ciebie wszystko. Od czasu, kiedy odszedłeś, moje serce bije tylko dla ciebie. Mówiło mi, że uszedłeś cało, gdy twoja galera zatonała. Dlaczego, powiedz dlaczego po mnie nie wróciłeś?

Giovanni także płakał. Zrozumiał, że wciąż bezgranicznie kocha Elenę. Chciał ją wziąć w ramiona, ale nie pozwalały mu na to przeklęte kajdany, którymi był przykuty do ściany.

- Eleno, ja także nigdy nie przestałem o tobie myśleć. Ale powiedziałaś mi, że nie wyjedziesz z Wenecji, nie opuścisz swojej rodziny. Nie miałem sumienia wracać, łamać ci życie i narażać na niebezpieczeństwo. Zresztą wyszłaś za mąż...

Elena spochmurniała.

- Nie kocham mojego męża. Nigdy go nie kochałam. Nie miałam wyjścia, Giovanni. Ale odeszłabym od niego, gdybyś do mnie wrócił. Byłam gotowa na wszystko.

- Masz dzieci...

- Córeczkę. Ale uciekłabym razem z nią. Gdybyś wiedział, jaka jest piękna! Ma na imię Stella.

- To piękne imię - odparł Giovanni, a jego oczy zabłysły. Elena wzruszyła się, słysząc komplement.

- Ile ma lat? - spytał Giovanni.

- Osiem - odpowiedziała Elena z nutką wahania w głosie. Giovanni uświadomił sobie, że dziecko przyszło na świat niecały rok po jego procesie, a to oznaczało, że Elena wyszła za mąż tuż po rozstaniu.

- Czy w końcu poślubiłaś...

- Nieważne, kogo poślubiłam - ucięła Elena. - Zostałam do tego zmuszona. Poza tym od wielu lat nie śpimy ze sobą. Zaręczam, Giovanni, że ty jeden mieszkasz w moim sercu. Ciebie jednego pożądam. O tobie jedynym myślę.

Elena objęła głowę Giovanniego ramionami, przytuliła policzek do jego policzka i szepnęła:

- Posłuchaj, jeszcze nie wszystko stracone. Co prawda nie przyjechałeś tu z własnej woli, ale los znowu nas połączył. Ojciec zabronił mi spotykać się z tobą, ale przekupiłam kapitana straży. Mam plan ucieczki... na dzisiaj noc.

Giovanni uniósł głowę.

- Naprawdę?

- Tak. Wszystko przygotowałam. Wierny sługa zabrał moją córkę i czeka na nas z końmi. W porcie czeka łódź gotowa do wyjścia w morze. Popłyniemy dokąd tylko zechcesz, ukochany. Bylebyśmy zawsze mogli być razem. Giovanni spuścił głowę bez słowa.

- Nie cieszysz się? Rzecz jasna, istnieje pewne ryzyko, ale jeśli Bóg nam sprzyja - w co nie wątpię, wszak pozwolił nam się odnaleźć - wszystko będzie dobrze. Już jutro zaczniemy nowe

życie, kochając się jak dawniej. A nawet mocniej.

Elena zamilkła na chwilę, po czym dodała:

- Jest jeszcze coś, o czym chciałabym ci powiedzieć. To ważna i cudowna nowina, ale poczekam z tym do jutra, kiedy już będziemy z dala od tego smutnego miejsca.

- Ja także chciałbym ci coś wyznać, Eleno - odparł Giovanni z powagą. - Jednak to, co mam ci do powiedzenia, nie może czekać. Musisz wiedzieć...

Elena cofnęła się o krok, badawczo i z niepokojem obserwując zmienioną twarz kochanka.

- Musisz wiedzieć - podjął z trudem Giovanni - że ja także kogoś poślubiłem.

Piękną twarz Wenecjanki spowił woal smutku.

- Kochasz swoją żonę?

- Tak.

To słowo przeszło serce Eleny niczym sztylet. Nie odpowiedziała. Po chwili spytała łamiącym się głosem:

- Masz dzieci?

- Moja żona oczekuje rozwiązania. To nasze pierwsze dziecko. Urodzi za kilka dni.

- Gdzie teraz jest?

- Tutaj. Zamknięta w cytadeli. W Famaguście.

Elena cofnęła się jeszcze jeden krok, po czym rzekła, zdumiona:

- Ojciec mi nie powiedział, że kazał aresztować także twoją żonę!

- Bo nie wie, że jest moją żoną. Ma na imię Estera. Wraz ze swym ojcem, Eleazarem, została aresztowana podczas zamieszek, które miały miejsce w dzielnicy żydowskiej.

- Poślubiłeś Żydówkę? Przyjęła chrzest?

- Nie. Każde z nas zachowało religię naszych ojców. Pobraliśmy się w Boże Narodzenie w Jerozolimie. Byliśmy w drodze powrotnej do al-Dżaza'iru, gdy nasz okręt został zepchnięty z kursu przez korsarzy.

- Jak dawniej mój. Wtedy, kiedy cię poznałam - odparła załamana Elena.

- Od kiedy tu jestem, wciąż zastanawiam się, dlaczego los znowu postawił mnie na twojej drodze.

Elena spojrzała Giovanniemu głęboko w oczy, pragnąc przez jego piękne źrenice dotrzeć do najgłębszych zakamarków jego duszy.

- Po cóż by innego, jeśli nie po to, by nas znów połączyć? - odpowiedziała. - To nie będzie łatwe, ale zrobię wszystko, by uwolnić także twoją żonę i jej ojca. Nie dziś w nocy, ale już jutro. Dzień przed egzekucją. Tak. Z bożą pomocą dam radę. Uciekniemy razem.

- Jesteś wspaniała, Eleno. Twoje serce nic się nie zmieniło. Wciąż jest gorące i szczodre. Tak bardzo cię Kocham!

Elena ponownie podbiegła do Giovanniego, tuląc go w ramionach.

- Mamy jeszcze chwilę, zanim będę musiała odejść. Opowiedz mi o sobie. Opowiedz o najważniejszych wydarzeniach twojego życia. O wszystkim, co miało miejsce po naszym rozstaniu.

W zwięzłych słowach Giovanni opowiedział Elenie o galerach, o bitwie morskiej, nawróceniu w małym prawosławnym klasztorze. Opowiedział o ucieczce na górę Athos, pisaniu ikon, spotkaniu ze Starcem Symeonem i podróży do Meteorów. Wyznał jej, że złożył śluby samotności, że następnie stracił wiarę i uciekł z eremu. Że odkrył śmierć Lucjusza i że Noe uratował mu życie. Opowiedział także o czarnych rycerzach, którzy o mało go nie zabili, i o Lunie, która pielęgnowała go, gdy leżał nieprzytomny, o przebudzeniu w klasztorze, wyjeździe do Jerozolimy, ataku korsarzy, niewoli, nieudanej próbie ucieczki i straszliwej karze, o spotkaniu z mistrzem sufi i spisku przeciw Ibrahimowi.

Elena spijała słowa z jego ust, zdziwiona, że przeżył i wycierpiał tak wiele, podczas gdy ona wiodła spokojne, nieco nudne życie w Wenecji, każdego dnia czekając na jego powrót. To oczekiwanie stanowiło zresztą jedyny element przydający jej życiu względnego smaku. Do tego stopnia była pewna, że Giovanni żyje i że po nią wróci, że wciąż wyglądała najmniejszego choćby znaku. Biegła do okna, słysząc nawet najcichszy dźwięk, który budził ją w środku nocy. Sprawdzała, czy to aby nie Giovanni wspina się po ścianie, by dostać się do jej sypialni. Był to zresztą powód, dla którego bardzo szybko poprosiła męża o to, by spali oddzielnie i w swym nowym pałacu wybrała sypialnię, której okna wychodziły na ulicę. Widząc z daleka sylwetkę, która przypominała jej ukochanego, biegła z bijącym sercem za nieznanym. Mimo że tysiące razy doznała zawodu, nigdy nie straciła nadziei, że kiedyś ponownie ujrzy Giovanniego. Jej życie mogło się wydawać banalne, jednak w istocie było niezwykle romantyczne. Wciąż czekała na powrót kochanka i szykowała się na spotkanie z nim. Wstając co rano, z nadzieją, że nastąpi ten dzień, stroiła się w najbardziej wyszukany sposób, by w chwili spotkania jej ukochany nie był zawiedziony. Co wieczór zasypiała, myśląc o nim, a zapadając w sen, drżała ze wzruszenia na myśl, że jej jedyny obudzi ją w środku nocy. Zatem kiedy Giovanni prosto z mostu opowiedział o spotkaniu Eleazara i miłości, jaką obdarzył Estere, doznała wstrząsu. Dlaczego, budząc się w klasztorze, nie wrócił do mnie, zamiast tłuc się do Jerozolimy? - pomyślała z gorczy. Gdyby wtedy miłość zwyciężyła nad nienawiścią gdyby nie kierował się żądzą zemsty, nie spotkałby tamtej kobiety i dziś byłibyśmy razem.

Giovanni zakończył swą opowieść, przywołując jedyny epizod, który był znany Elenie: spotkanie z jej ojcem.

- Jestem wstrząśnięta twą opowieścią - powiedziała spokojnie po chwili milczenia. - W dziewięć lat przeżyłaś równowartość kilku wcieleń. Myślałam o tobie niemal bez przerwy, prowadząc w Wenecji dom i opiekując się Stellą. Wyobrażałam sobie różne rzeczy na twój temat,

łącznie z tym, że zostałeś porwany przez piratów. Ale jedna myśl nigdy nie przyszła mi do głowy.

- Jaka? Klasztor?

- Nie. Małżeństwo.

- Masz mi za złe, że zabrakło mi odwagi, by wrócić, prawda?

- Nie sądzę, żeby zabrakło ci odwagi. Myślę po prostu, że w miarę upływu czasu, twoja miłość do mnie wygasła - odpowiedziała Elena ze smutkiem.

- Nigdy, Eleno! Nawet dziś, mimo że jestem żonaty i kocham swoją żonę, jestem głęboko poruszony, widząc cię przed sobą. Myślałem po prostu, że nigdy nie zdobędziesz się na odwagę, by opuścić swoją rodzinę, swoje miasto. Sama tak mówiłaś. Byłem pewien, że nasza miłość jest skazana na niepowodzenie, że skończy się nieszczęściem. Twoim nieszczęściem...

Oczy Eleny zabłyśły.

- Tak, ale po twoim procesie i skazaniu cię na galery zrozumiałam, że jesteś sensem mojego istnienia, duszą mojej duszy! Dlatego w chwili, gdy byłeś wyprowadzany przez żołnierzy, krzyknęłam w sędzie, że będę na ciebie czekać. Czyżbyś nie słyszał?

- Owszem - wyznał Giovanni. - Ale myślałem, że są to słowa rzucone na wiatr. Bałem się po raz kolejny burzyć twoje życie, wiedząc, że być może poświęciłaś lata, aby je odbudować. Poza tym minęło wiele czasu.

Elena położyła dłonie na ramionach Giovanniego, patrząc na niego tak wnikliwie, że zadrżał pod wpływem jej spojrzenia.

- Nie wszystko stracone, jedyny! Żadne z nas nie dochowało wiary. Ja dlatego, że nie miałam dość siły, by rzucić wszystko i jechać za tobą. Ty, tracąc wiarę w naszą miłość. Zapomnijmy o tym! Opatrzność ponownie nas połączyła. Wyjedźmy byle gdzie. Nawet biedni, nawet ścigani, nigdy nie będziemy nieszczęśliwi... bo będziemy razem.

- Eleno, jak mógłbym uciec z tobą, skoro moja żona i dziecko, które nosi pod sercem, są w więzieniu?

- Przecież ci powiedziałam, że każę ich uwolnić! Jutro wyślę rozkaz podpisany przez mojego ojca. Na pewno mi nie odmówi. Potem pomogę im niezwłocznie opuścić wyspę. Bezpiecznie wrócą do domu. A następnej nocy wprowadzę w czyn plan naszej ucieczki.

Giovanni spojrzał na Elenę. W jego oczach malował się wyraz czułości i niepokoju zarazem.

- Eleno, nigdy nie opuszczę Estery. Natychmiast po uwolnieniu nie spocznię, póki nie odnajdę jej i mojego dziecka.

Elena zamyśliła się.

- Odnajdziemy ich. Odnajdziesz swoje dziecko. Zamieszkamy niedaleko. Będziesz mógł ich odwiedzać tak często, jak tylko zapragniesz - dodała niepewnym głosem.

- Eleno, nie mógłbym tak żyć. Estera byłaby nieszczęśliwa za każdym razem, kiedy byłbym

z tobą, a ty byłabyś nieszczęśliwa zawsze, kiedy byłbym z nią.

- Zatem któregoś dnia musiałbyś się zdecydować - odpowiedziała Elena, pewna, że wybór Giovanniego padłby na nią.

- Już się zdecydowałem, ukochana.

Elena podniosła głowę, z nadzieją patrząc Giovanniemu w oczy.

- Poślubiając Esterę, przysiągłem spędzić z nią życie. Kocham ją i nigdy jej nie opuszczę.

Elena pobladła. Ziemia usuwała jej się spod nóg. Od niemal dziesięciu lat czeka na powrót kochanka i oto on rzuca jej w twarz miłość do innej kobiety. Poczwała, jak w jej sercu narasta niewysłowiony gniew. Wstała powoli.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia? - spytała drżącym głosem.

Giovanni był wstrząśnięty. Rozumiał rozpacz Eleny, ale nie mógł kłamać, by ratować życie.

- Rób, co uważasz za stosowne, Eleno. Ale zbyt mocno cię kocham, by zataić prawdę.

- Zatem przemyśl to. Gdybyś zmienił zdanie, daj mi znać przez strażnika. Daję ci czas do jutrzejszego południa. Potem będzie zbyt późno i nic nie będę mogła zrobić. Zginiesz, a twoja ukochana żona z całą pewnością zostanie uznana za winną.

- Błagam, Eleno, jeśli pozwolisz mi zginąć, nie mścij się na Esterze i moim dziecku.

- Twoim dziecku! - wrzasnęła Elena dziko. - Trzeba, żeby jeszcze i ono się urodziło, kiedy...

- nie dokończyła. Ostatni raz spojrzała na Giovanniego. - Masz czas do południa, by zdecydować, którą z nas kochasz bardziej - dodała.

Następnie z fałdów sukni wyjęła kopertę, drżącą dłonią podając ją byłemu kochankowi.

- Masz! Słynny list, który Mistrz Lucjusz napisał do papieża. Ten sam, za który zapłacił własnym życiem. Zachowałam go w nadziei, że zwrócę ci go do rąk własnych, co niniejszym czynię.

Giovanni spojrział na dużą, poźółkłą kopertę z wyrazem niepokoju i zdziwienia zarazem.

- Otworzyłaś go?

- Nie.

- Zachowaj go, Eleno. Jeśli strażnik go tu znajdzie, zabierze. A skoro mam umrzeć, błagam cię w imię naszej miłości, abyś dostarczyła go papieżowi. To jedno mogę zrobić, by uczcić pamięć mojego nauczyciela.

Przez chwilę Elena wahała się, czy nie rzucić mu koperty w twarz. Opanowała się jednak, stojąc na krawędzi wściekłości i rozpacz. Wsunęła list pomiędzy fałdy sukni i uciekła biegiem, nie chcąc, by dawny kochanek zobaczył jej łzy.

Weszła po schodach, zwolniła, zawahała się chwilę, po czym zawróciła.

- Poproszę dowódcę straży, by rozkuł ci ręce i zaopatrzył w papier i pióro. Jeśli zdecydujesz się żyć ze mną, napisz na kartce tytuł dowolnego dzieła filozoficznego. Jakiegokolwiek.

Zrozumiem. Jeśli do dwunastej nie dostanę wiadomości, nic nie będę mogła zrobić ani dla ciebie, ani dla twojej żony.

Elena po raz ostatni spojrzała na mężczyznę, którego kochała, po czym pośpiesznie opuściła celę.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Giovanni gorzko zapłakał. Czuł, że pęka mu serce. Tak samo, jak pękało serce Eleny.

Wiedział jednak, że nie zmieni zdania. Nie mógłby tego zrobić, nie sprzeniewierzając się przy tym samemu sobie, tym, których kochał i prawdzie swego życia. Wspomniał słowa Chrystusa, które kiedyś przywołał Starzec Symeon: *Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie*. I jeszcze: *Nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś oddaje swoje życie za przyjaciół swoich*. Czy Elena jest zdolna do poświęcenia i pozwoli mu uciec z Esterą? Nie wiedział. Tak czy inaczej nie on miał odpowiedzieć na to pytanie. Mógł już tylko czekać. I modlić się.

89

Ósmego dnia o świcie przez wykusz w lochu wpadł blady promień światła.

Niedziela, pomyślał Giovanni. Dzień Niezwycięzonego Słońca. Dzień Zmartwychwstania Chrystusa. Ostatni dzień mojej ziemskiej egzystencji.

Giovanni wiedział, że za kilka godzin przyjdzie mu się rozstać ze światem. Nie przekazał dowódcy straży żadnej wiadomości, więc Elena nie przyszła. Duszę skazańca przepełniał zarówno głęboki smutek, jak i spokój. Młodzieniec wiedział, że postąpił słusznie i zrobił wszystko, co tylko możliwe, by wpłynąć na bieg wydarzeń.

Skoro jego przeznaczeniem było spłonąć na stosie, trudno.

Jedyne, co było w tej chwili ważne, to przyszłość Esteiy i Eleny. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to modlić się do Boga. Od odwiedzin Eleny nie przestawał się modlić, by Pan zesłał ukojenie jej zboląlemu sercu i przyszedł z pomocą jego uwięzionej małżonce.

Do celi wszedł strażnik w towarzystwie dwóch żołnierzy i rozkuł więźnia. Giovanniego zaprowadzono pod silną eskortą na publiczny plac przed pałacem episkopalnym, na którym już czekał stos.

Gdy grupka przechodziła przed cerkwią, Giovanni usłyszał śpiewających mnichów. W jego umyśle pojawiły się obrazy z przeszłości, z góry Athos.

Na placu czekał zgromadzony licznie tłum. Byli tacy, którzy rzucali pod adresem Giovanniego obelgi, jednak większość ludzi stała w milczeniu. Wszyscy wiedzieli, że w imię miłości kobiety skazańca zabił szlachcica i uciekł z galer, czym zaskarbił sobie raczej sympatię i współczucie. W głębi placu, tuż przy pałacu episkopalnym, wzniesiono trybunę honorową. Była jeszcze pusta, ale spodziewano się przybycia gubernatora, arcybiskupa i najwyższych miejscowych notabli. Gdy Giovanni stanął u stóp stosu, z rąk eskorty przejął go kat.

W tym samym czasie, piętnaście mil dalej, Estera poczuła zawrót głowy i wezwała pomocy. Nie mając wieści od Giovanniego, nie wiedziała, co się dzieje w drugim końcu wyspy. Poprzedniego dnia odeszły jej wody i teraz leżała w cci, w której zamknięto ją razem z Sarą i dziesięcioma innymi kobietami uratowanymi z pogromu.

Sara podeszła do swej pani.

- Chyba chce już wyjść - jęknęła Estera urywanym głosem. - Mam silne skurcze.

- Podnieś się! - nakazała jej kobieta o imieniu Rebeka. - Dwie z nas podtrzymają cię pod rękę, a dwie inne wyjmą dziecko. Właśnie w ten sposób urodziłam ośmioro moich dzieci.

Przy pomocy Sary i jeszcze jednej uwięzionej kobiety Estera wstała powoli, opierając się o ścianę. Dwie inne kobiety chwyciły ją pod rękę.

Giovanni powoli wszedł na obłożony chrustem szafot. Oparł się plecami o stojący na środku słupek, a strażnicy skuli mu z tyłu ręce. Teraz na szafot wstąpił ksiądz, dając skazańcowi do ucałowania krzyż.

- Czy chcesz się wypowiadać, synu? - zapytał.

- Z chęcią - odpowiedział Giovanni spokojnie. Ksiądz nastawił uszu.

- Proszę Boga, by wybaczył mi wszystkie te razy, w których postąpiłem niezgodnie z Jego przykazaniem miłości i w których nie pokładałem ufności w Jego miłosierdzie - wyznał Giovanni.

- To wszystkie grzechy, które chciałeś wyznać? - zdziwił się ksiądz.

Giovanni przytaknął skinieniem głowy. - Nic mogę dać ci rozgrzeszenia. Twoja spowiedź jest nieszczerą! - odparł oburzony człowiek kościoła. - Wiem, że popełniłeś zbrodnię, za którą stajesz dziś przed ludzkim wymiarem sprawiedliwości.

- Wyznałem jedyny grzech ciążyący mi w tej chwili na sumieniu. Co do pozostałych, oddaję się sprawiedliwości bożej, której, całe szczęście, daleko do sprawiedliwości człowieka.

- Nie masz nic do dodania?

Giovanni zauważył oficjalny pochód, który właśnie zbliżał się do pałacu arcybiskupa. Za grupką notabli bez trudu rozpoznał sylwetkę Eleny. Ścisnęło mu się serce. Zatem będzie obecna podczas egzekucji.

- Owszem.

- Słucham cię, synu.

- Za pasek wsunąłem króciutki list do kobiety o imieniu Estera. Jest to Żydówka niesprawiedliwie uwięziona w twierdzy w Famaguście. Proszę, by ksiądz wyjął list i przekazał go dziewczynie.

Ksiądz wsunął palce pod skórzany pasek, wyjmując cienki zwitek papieru złożony na czworo.

- To wszystko?

- Nie. Proszę powiedzieć Elenie, córce gubernatora, że nigdy nie przestałem jej kochać.

Elena siedziała obok ojca. Była pewna, że kochanek da jej znak, więc wszystko przygotowała do ucieczki. Jednak kiedy oczekiwana wiadomość nie nadeszła, dziewczyna poczuła niewysłowioną wściekłość. Nie mogła znieść myśli, że jej Giovanni obdarzył miłością inną kobietę. Wpadła w furję. Zamiast działać, jak wcześniej postanowiła, trwała beczynn timer, niezdolna do podjęcia jakiegokolwiek decyzji... aż było zbyt późno. Wpadła w dziwny stan, w którym przestała być sobą. Zupełnie jakby była martwa. Jej serce wciąż jeszcze przepełniała zimna wściekłość, ale na widok Giovanniego stojącego na stosie, furia ustąpiła miejsce bezdennej rozpacz.

Ksiądz opuścił szafot. Jego miejsce zajął kat, który - zgodnie ze zwyczajem - zakneblował skazańcowi usta, by stłumić krzyk.

Estera poczuła, że jej dziecko łąda chwila przyjdzie na świat. Skurcze były coraz częstsze, a ból coraz bardziej przybierał na sile. Rebeka wyjęła z kieszeni chustkę, wsuwając ją między zęby pierworódki.

- Gryź. To pomoże ci znieść ból. Estera z całej siły wbiła zęby w tkaninę.

Zagrały werble. Ich dźwięk zmieszał się ze śpiewem prawosławnych mnichów. Stojący na szczycie trybuny gubernator wyciągnął rękę, po czym opuścił ją w dół. Na ten znak kat podpalił chrust.

Dopiero w tej chwili Elena zrozumiała, że wszystko skończone. Wściekłość opuściła jej duszę. Na jej miejscu pojawiła się rozpacz.

Jedyny mój! Dlaczego nie poświęciłam mojego pragnienia, by być przy tobie, aby ratować ci życie? Dlaczego nie powiedziałam ci, że jesteś ojcem mojej córki? Że właśnie dlatego, zaledwie kilka tygodni po tym, jak trafiłeś na galerę, musiałam wyjść za mąż za mężczyznę, którego nie kochałam? Milczałam przez dumę, by nie wpływać na twój wybór. Byś wybrał mnie dlatego, że mnie kochasz, a nie dlatego, że mamy dziecko! A teraz wszystko przepadło! Wybacz mi, ukochany! Wybacz mi...

Wokół stosu zaczął się unosić gęsty, biały dym. W tej chwili to on, a nie gorąco było bardziej dotkliwie. Giovanni zakasłał.

Estera jęczała. Skurcze były teraz regularne. Nagle Sara krzyknęła:

- Wychodzi!

Dwie kobiety pochwytiły noworodka.

Giovanni dusił się. Pękały mu płuca. Żar stawał się nieznośny. Panie, Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem, pomyśl.

Wydał rozzierający, niemy krzyk.

Dziecko krzyknęło. Rebeka przecięła pępowinę.

- Chłopak!

Widząc, że Giovanni zaczyna płonąć jak pochodnia, Elena wybuchnęła płaczem, po czym upadła bez ducha. Dusza Giovanniego opuściła ciało.

- Spójrz, jaki piękny! - szepnęła Rebeka, podając dziecko Esterze.

Młoda matka przytuliła dziecko do piersi. Była szczęśliwa, choć zmęczona. Jej myśli pobiegły do Giovanniego. Będziesz dumny ze swego syna.

Epilog

90

Elena dyskretnie zastukała do drzwi.

- Moja pani oczekuje na panią - powiedziała Sara, otwierając drzwi.

Elena przeszła przez piękny apartament, który parę dni wcześniej oddała do dyspozycji rodziny Giovanniego, po czym usiadła na niewielkiej sofie.

- Pójdę po nią. Niebawem skończy karmić.

Po wyjściu służącej Elena wstała, wyglądając przez okno.

Ujrzała w dali plac przed pałacem arcybiskupa, na którym zginął Giovanni. Na skutek dramatycznych wydarzeń jej serce było tak zbolące, że chciała ze sobą skończyć, tym bardziej że czuła się winna tragedii. Jedyne obecność córki powstrzymała ją przed ostatecznością.

Elena przepłakała wiele dni i nocy. Jej ból był tak ogromny, że nikogo do siebie nie dopuszczała. Trzeciego dnia zgodziła się przyjąć księdza, który wypowiadał Giovanniego.

Spowiednik przekazał dziewczynie ostatnie słowa skazańca. Zamiast ją pocieszyć, odwiedziny posłańca wzbudziły w jej udręczonej duszy kolejną falę rozpacz. Ale tym razem łzy były gorętsze od tych, które już przelała.

Następnego dnia wyszła z ukrycia, prosząc ojca o jedną, jedyną łaskę: aby uwolnił i zadośćuczynił uwięzionym Żydom oraz przyjął pod dach przyjaciół Giovanniego do czasu, gdy Estera będzie mogła odstawić niemowlę od piersi i ruszyć w drogę powrotną do al-Dżaza'iru. Widząc rozpacz ukochanej córki, Paolo Contarini nie ośmielił się sprzeciwić tej niestosownej prośbie i natychmiast rozkazał uwolnić Eleazara, Sarę, Esterę i jej syna. Elena umieściła ich w najlepszej części pałacu, osobiście dbając, by niczego im nie brakowało. Następnie zdobyła się na odwagę i poszła na spotkanie z Esterą która wciąż zamartwiała się o los ukochanego. Ksiądz nie spełnił bowiem swej misji. Jako że nie omieszkał otworzyć listu, poznał prawdę o związku Estery i Giovanniego i uznał za stosowne zatrzymać list. Młoda małżonka nie знаła zatem tragicznego losu, który spotkał jej męża.

Elena opowiedziała jej całą historię, łącznie ze spotkaniem Giovanniego w więzieniu. Nie pominęła niczego, nawet najczulszych słów, które więzień mówił o swej ukochanej żonie. Wiele razy musiała przerywać opowieść, a jej ciałem wstrząsał urywany szloch.

Na tej podstawie, nie czekając na zakończenie relacji, Estera szybko odgadła tragiczny koniec Giovanniego. Od wielu dni będąc pozbawioną wiadomości o nim, była gotowa na najgorsze, a jej serce pękało w miarę opowieści młodej Wenecjanki. Kiedy wreszcie usłyszała, że jej ukochany od kilku dni nie żyje, załamała się. Bez życia opadła na fotel, a jej duch zdawał się ulatywać, jak cenne perfumy, które wylewają się z rozbitego flakonu.

Wówczas usłyszała płacz dziecka. Dopiero wtedy postanowiła zawalczyć o życie, jak kilka dni wcześniej Elena. Dla niego.

Elena przekazała jej garść prochów Giovanniego, które udało się jej zebrać ze stosu. Ona także zachowała szczyptę, zaszywając ją w gorsecie, w maleńkiej kieszonce na sercu.

Błagała Esterę o przebaczenie, że nie starała się ocalić Giovanniego, jednak Estera była nieprzejednana.

Od tego czasu młoda matka mieszkała wraz z ojcem, synem i służącą w apartamencie, do którego nie wchodził nikt obcy. Przez długie tygodnie Elena szanowała odosobnienie Estery, modląc się dzień i noc o przebaczenie. Tylko ono mogło uwolnić jej serce. Nie tyle od bólu, co od straszliwych wyrzutów sumienia. Jednak tego ranka postanowiła powiadomić Esterę o ważnej decyzji. Poprosiła ją zatem o spotkanie. „Z całą pewnością ostatnie”, jak przekazała Sara.

Drzwi od sypialni Estery otworzyły się. Elena odwróciła się, przyglądając się młodej matce, która stanęła na progu z dzieckiem na rękach. Patrząc w twarz chłopca, zauważyła, że ma ciemne, roześmiane oczy Giovanniego, jednak nie odważyła się powiedzieć tego na głos, zadowolając się jedynie czułym uśmiechem.

- Przyszłam się pożegnać, Estero.

W poważnych oczach kobiety odmalowało się zdziwienie.

- Jutro o świcie wyjeżdżam do Italii - kontynuowała Elena. - Od tych tragicznych wydarzeń Stella, moja ukochana córka, zapadła na ciężką chorobę. Ma wysoką gorączkę i nikt nie umie nam pomóc. Przekonałam ojca, by pozwolił mi zabrać ją do Wenecji. Znam tam wspaniałych medyków.

- A czy podróż o tej porze roku, gdy morze jest wzburzone, jeszcze bardziej nie pogorszy jej stanu? - zaniepokoiła się Estera.

- Musimy zaryzykować. Tutaj z całą pewnością umrze. Poza tym jeszcze jeden powód skłania mnie do wyjazdu. Przysięgam, że zawiozę do Rzymu słynny list, który przysporzył Giovanniemu tyle nieszczęść. To była ostatnia prośba Giovanniego. Gdy tylko moja córka wyzdrowieje, udam się do Wiecznego Miasta, by dostarczyć list Mistrza Lucjusza papieżowi.

Estera delikatnie skinęła głową.

- Rozumiem. To rozsądna decyzja.

- Nie musisz się niczego obawiać. Mój ojciec obiecał mi, że będzie się opiekować tobą i twoimi bliskimi aż do waszego powrotu do al-Dżaza'iru. Jeśli chodzi o mnie, nigdy tu nie wrócę.

Elena zawahała się przez chwilę.

- Przyszłam cię uściskać.

Estera spojrzała na Elenę, czując, jak ogarnia ją fala czułości. Jednak wciąż trzymała się na dystans.

- Przed wyjazdem - ciągnęła Elena - chciałabym cię o coś zapytać.

- Słucham - łagodnie spytała Estera.

- Jak ma na imię twój syn?

- Johanan.

- To hebrajskie imię... co oznacza?

- Bóg wybacza.

Elena znieruchomiała. Odszukała wzrokiem oczy Estery, po czym rzuciła się jej w ramiona.

Estera przytuliła ją mocno do serca.

Kobiety bardzo długo stały w objęciach, płacząc z radości, smutku i miłości.

91

Nazajutrz Elena wsiadła na pokład niewielkiego dwumasztowca, który wypływał do Wenecji. Opuszczała Cypr ze Stellą, medykiem, dwoma służącymi i zaadresowanym do papieża listem.

Odmówiła zabrania ze sobą Juliany: tej która wydała Giovanniego. Prawdopodobnie dwukrotnie, pomyślała Elena, przypominając sobie, że po pojedynku złożono w pałacu doży anonimowy donos.

Dziesięć dni okręt płynął w stronę Wenecji pod pełnymi żaglami. Jednak był to środek jesieni i morze było niezwykle wzburzone. Żaglowcem rzucało.

Dwumasztowiec płynął wzdłuż Półwyspu Apenińskiego, znajdując się o dwa dni drogi od Wenecji, gdy medyk powiadomił Elenę, że jej córeczka umiera.

- Musimy jak najprędzej zawinąć do portu - powiedział. - Jej stan stale się pogarsza. Majaczy. Obawiam się, że nie wytrzyma ani godziny dłużej tego kołysania.

Kapitan, dowiedziawszy się o rozgrywającej się na pokładzie tragedii, zgodził się przybić do brzegu. Wkrótce ich oczom ukazał się niewielki rybacki port.

Kapitan rzucił kotwicę, spuszczać Wenecjan w maleńkiej szalupie. Morze było tak bardzo wzburzone, że parę razy łódź o mało nie zatonała. Gdy tylko zeszli na ląd, Elena spytała marynarzy, jaki to port.

- Venere - usłyszała w odpowiedzi.

Spytała o miejsce, w którym mogłaby znaleźć ratunek dla córki. Wskazali jej olbrzymi klasztor wznoszący się nad gajem oliwnym.

W rześkiej ulewie, chroniąc się pod rozciągniętą nad głowami płachtą, matka i córka

dojechały wozem przed furte klasztoru. Brat furtian wpuścił je do sali przyjęć i pobiegł po przeora.

- Witamy w klasztorze San Giovanni in Venere - powiedział ojciec Salvatore, nieco zaskoczony widokiem dziwnej ekspedycji.

Na dźwięk tych słów Elena wzdygnęła się. Była pewna, że już kiedyś słyszała tę przedziwną nazwę, łączącą w sobie pogańską i chrześcijańską tradycję. W dodatku miała wrażenie, że słyszała ją z ust Giovanniego. Chyba że wpłynął tak na nią dźwięk imienia ukochanego. Jednak sytuacja była zbyt dramatyczna, by dłużej o tym myśleć.

- Dziękuję ojcze. Płyniemy z Cypru. Udajemy się do Wenecji - odpowiedziała pewnie, a ton jej głosu niemal nie zdradzał dręczącego ją niepokoju. - Od kilku tygodni moja córka cierpi na dziwną gorączkę. Właśnie dlatego płyniemy do lekarza, do Wenecji. Musiałyśmy jednak przybić do brzegu, ponieważ stan dziecka stale się pogarsza. Czy znalazłoby się tu jakieś miejsce, w którym mogłabym ją położyć, i medyk, który pomógłby naszemu lekarzowi?

Ojciec Salvatore pochylił się nad dziewczynką. Na widok ogromnych, zielonych oczu, które mimo gorączki rozświetlały jej anielską twarzyczkę, wzruszył się głęboko.

- Przeniesiemy ją do infirmerii, która znajduje się za klauzurą klasztoru. Jest tam kominek.

Poczynimy odstępstwo od reguły, by ratować to dziecko, pomyślał przeor.

Dziewczynkę przeniesiono do pustej infirmerii. Ojciec Salvatore nakazał mnichom rozpalic ogień i posłał po brata pielęgniarza. Sam udał się do kuchni, by przygotować gościom gorący napój.

Kilka chwil później nadbiegł zdyszany brat Gasparo. Pod niespokojnym okiem Eleny i czujnym spojrzeniem medyka uważnie osłuchiwał Stellę. Wenecjanie wkrótce rozgrzali się przy ogniu, racząc się gorącym bulionem z warzyw, którym poczęstował ich ojciec Salvatore. Próbowano napoić także Stellę, jednak nie była w stanie wypić nawet najmniejszego łyżeczka. Brat pielęgniarz zbadał puls dziecka, obejrzał język, opukał, ostukał, po czym postawił diagnozę:

- Mogę jedynie potwierdzić: dziecko cierpi na nieznaną chorobę zakaźną, której przyczyn nie znam. Życie z niej ulatuje. Jedyne, co mogę teraz zrobić, to zaordynować napar z uspokajających ziół, by obniżyć gorączkę. Obawiam się jednak, że to nie wystarczy, by ją uratować. Choroba, która trawi ją od tygodni, zbyt głęboko tkwi w jej ciele.

- Zrób wszystko, co może jej ulżyć, ojcze - odparła Elena złamanym głosem.

Pielęgniarz czym prędzej udał się do zielarni. Lekarz poszedł za nim.

Elena pochyliła się nad córką, biorąc ją za rękę.

- Spokojnie, skarbie, zaraz uśmierzymy twój ból.

Jednak z dziewczynką nie było kontaktu. Rzucała się niespokojnie, pojękując coś niezrozumiale.

- Majaczy - zauważył jeden ze służących.

- Ponieważ jej życie jest zagrożone, pozostaje nam tylko jedno - mruknął ojciec Salvatore

do ucha Eleny.

- Co ojciec ma na myśli?

- W krypcie klasztoru znajduje się piękna ikona Madonny. Może pójdziemy pomodlić się do Matki Bożej Miłosiernej, podczas gdy medycy zajmują się twoją córką?

Mimo że Elena bała się rozstawać z córką, nie wahała się ani przez chwilę. Wstała, czule ucałowała dziecko, idąc za przeorem do kościoła. Kiedy przeszli przez wirydarz i stali w progu świątyni, dogonił ich mnich i szepnął przeorowi do ucha:

- Ojciec opat niepokoi się o matkę chorej dziewczynki i prosi ją do rozmównicy.

Ojciec Salvatore zawahał się przez chwilę, po czym zwrócił się do Eleny:

- Nasz opat, ojciec Theodora, jest stary i zmęczony, jednak pragnie się z tobą spotkać. To wielki człowiek Kościoła posiadający godność biskupa. Zabawimy u niego nie więcej niż parę minut. Pójdziemy się pomodlić zaraz po rozmowie z nim.

Elena zgodziła się i poszła z przeorem do rozmównicy. Opat siedział na niskim krześle przy kominku. Powitał Elenę, a ona ucałowała pierścień, który ojciec Theodora - jak wszyscy opaci i biskupi - nosił na palcu serdecznym lewej ręki. Zapytał kobietę, skąd pochodzi i co ją spotkało.

Elena odpowiedziała.

- Oby Bóg ocalił twe dziecko! - odparł starzec z mocą. - Jutro udaję się do Rzymu na spotkanie z papieżem. Obiecuję, że powierzę jej życie modlitwie Ojca Świętego.

Słyszając te słowa, Elena zadrżała na całym ciele.

- Przypadek lub opatrność może wiele zdziałać, Ekszelencjo - odpowiedziała po chwili słabym głosem. - Czy mogę prosić Waszą Ekszelencję o wyświadczenie mi pewnej przysługi? To sprawa najwyższej wagi.

- Oczywiście.

Elena wyglądała na zakłopotaną.

- To poufne, ojcze.

Ojciec Theodora skinął głową na znak, by zostawił go z gościem sam na sam.

- Możesz mi zaufać. O co chodzi, moje dziecko?

Elena wyznała staremu opatowi, że od dłuższego czasu nosi przy sobie list do papieża napisany wiele lat temu przez pewnego astrologa. Że jej przyjaciel miał dostarczyć list, ale różnego rodzaju przeciwności sprzysięgły się przeciw niemu i nigdy nie wypełnił powierzonej mu misji. Niedawno zmarł, a ona obiecała mu przed śmiercią, że dostarczy list papieżowi.

- Skoro Wasza Ekszelencja udaje się do Rzymu na spotkanie z Ojcem Świętym, może mógłby przekazać mu do rąk własnych list? - zakończyła Elena z zaschniętym gardłem.

Stary mnich słuchał opowieści Eleny z zapartym tchem. Gdy skończyła, odetchnął głęboko i odpowiedział łagodnie:

- Moje dziecko, zapewniam cię, że przysłała cię do mnie opatrzność. Wezmę ten list ze sobą i zareczam ci, że Ojciec Święty przeczyta go natychmiast, gdy tylko mu go oddam i opowiem jego historię.

Elena rzuciła się do stóp mnicha, mówiąc:

- Nie wiem, jak mam dziękować, Ekscelencjo! Gdyby ojciec wiedział, jak bardzo ta misja leży mi na sercu i jak bardzo chciałabym doprowadzić ją do końca! Jednak zważywszy na ciężki stan mojej córki obawiam się, iż byłabym zmuszona odwlec spełnienie obietnicy nawet o kilka miesięcy, a Wasza Ekscelencja udaje się jutro do Rzymu i osobiście spotka papieża!

- Wstań moje dziecko i nie obawiaj się! Najlepsze, co możesz zrobić, to jak najprędzej oddać mi ten list. Kładę się wcześniej, gdyż jutro rano o świcie wyruszam w drogę.

Elena wsunęła dłoń za połą płaszcz i wyjęła poźólkłą kopertę, podając ją opatowi.

- Oto on! Nigdy się z nim nie rozstaję.

Ojciec Theodora wbił wzrok w kopertę. Nie wierzył własnym oczom. Oto przeklęty list, którego od niemal dziesięciu lat szukał w całym chrześcijańskim świecie. List, dla którego torturował i zabijał, wpada mu w ręce w jego własnym klasztorze! Miejscu, które opuszczał jedynie sporadycznie, by udać się do Rzymu lub do Jerozolimy: miasta, w którym znajdowała się siedziba tajnego bractwa. Zakonu założonego w celu odnowienia i oczyszczenia chrześcijańskiej wiary.

Wyciągnął do Eleny drżącą dłoń, chwytając list. Nareszcie się dowi! I zniszczy...

92

Ojciec Theodoro przysunął krzesło bliżej ognia i zdjął kaptur. W blasku płomieni ukazały się pobrużdżone rysy fanatycznego starca. Jego głęboko osadzone oczy zabłyśły niezwykłym światłem. Odpieczętował list, wyjmując dziewięć kartek rękopisu. Z błędnym wzrokiem i drżącymi dłońmi zaczął lekturę pierwszej strony zapisanej drobnym, eleganckim pismem Mistrza Lucjusza. Mimo upływu czasu atrament nie był wyblakły.

Drogi Ojczy Święty!

Nie bez drżenia ujmuję w dłoń pióro, by udzielić odpowiedzi na straszliwe pytanie, które raczyłeś mi zadać. Gdyby Wasza Świętobliwość nie był władcą Państwa Kościelnego, następcą Świętego Piotra Apostoła i głową Świętego Kościoła katolickiego, nigdy nie zgodziłbym się podjąć badań, które napawają mnie ogromnym lękiem tak z racji stopnia trudności, jak tematyki, której dotyczą, czyli kwestii wiary. Jestem świadom faktu, że moje wnioski mogą wywołać wielki skandal w całym chrześcijańskim świecie. Jednak skoro Wasza Świętobliwość wymaga ode mnie odpowiedzi na zadane pytanie, mogę jedynie apelować do Jego wyrozumiałości i ojcowskiego miłosierdzia.

Zastanawiasz się, drogi Ojczy Święty - tak jak wielu wiernych zresztą - czy dramatyczny rozłam, jaki zaistniał w łonie Kościoła, jest ostatecznym znakiem zwiastującym nadejście końca świata. Chcesz Ojczy wiedzieć, czy nadeszła ostatnia godzina chrześcijaństwa, a tym

samymostatnia godzina całej ludzkości. Czynisz aluzję do De Fato Pomponazziego, dzieła, które zostało wydane w Bolonii w 1520 roku, a w którym ów filozof stawia hipotezę, iż religie rodzą się, rozwijają, degenerują i umierają zgodnie z cyklami kosmicznymi. Pomponazzi uważa, że można postawić horoskop każdej religii, z religią chrześcijańską włącznie. I tak jak w przypadku horoskopu pojedynczego człowieka znajomość początku - czyli narodzenia religii - pozwala określić poszczególne etapy jej rozwoju, aż do zakończenia.

Pyta mnie Wasza Świątobliwość, czy jest możliwe postawienie horoskopu chrześcijaństwa. Długo się nad tym zastanawiałem, a wnioski, do których doszedłem, wydały mi się tyleż proste, co zatrważające. Jedyнным sposobem, aby poznać początek i koniec religii, jest postawienie horoskopu urodzeniowego jej założyciela. Innymi słowy, Wasza Świątobliwość wymaga ode mnie, bym postawił horoskop naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Ojciec Theodora podniósł głowę. Jego oczy ciskały błyskawice. Wziął głęboki wdech, rozpoczynając lekturę drugiej strony.

Poza oporem moralnym, jaki wywołuje we mnie prośba Waszej Świątobliwości, odczuwam głęboki niepokój wynikający z faktu, że nie wiem, jak zabrać się do zleconego mi zadania. Wszak Pismo Święte nie podaje ani dokładnej daty, ani godziny, ani miesiąca czy nawet roku narodzenia Jezusa. Wasza Świątobliwość wie równie dobrze jak ja, że data 25 grudnia została wyznaczona przez biskupa Rzymu, Liberiusza, w IV wieku naszej ery, jako element walki z pogańskim kultem Mitry, którego wielkie święto Sol Invictus przypadało właśnie 25 grudnia, w dniu przesilenia zimowego.

Nikt nie wie, jaką datę przyjęli pierwsi chrześcijanie, aby świętować narodzenie Chrystusa. Istnieje co prawda znak, który może być dla nas pewną wskazówką, ale do tego tematu powrócę za chwilę.

Druga poważna trudność wiąże się z zagadką dotyczącą roku narodzenia Pana. Otóż rok ten ustalił w VI wieku, mnich Dionizjusz Mały. Jednak wielu uczonych podważa dziś precyzję jego obliczeń i de facto nikt nie jest w stanie określić, w którym roku narodził się Pan Jezus.

Z całą pewnością w tym miejscu porzuciłbym dalsze poszukiwania, gdyby - zrzędzeniem Opatrzności - nie wpadł mi w ręce unikatowy rękopis: Dżafar, a ściślej łacińska kopia jedyne go egzemplarza tego dzieła spisanego kilkaset lat temu po arabsku.

Ten niezwykle manuskrypt jest dziełem najwybitniejszego uczonego doby średniowiecza, Al-Kindiego, którego uczniem był słynny astrolog Albumazar, twórca przepowiedni dotyczącej Lutra. Otóż Al-Kindi był zdania, iż Bóg ułożył gwiazdy na niebie po to, by umożliwić człowiekowi odczytanie znaków dotyczących nie tylko jego osobistego losu, lecz także zbiorowego losu ludzkości.

- To kłamstwo! Perfidny muzułmanin! - wykrzyknął z wściekłością opat, przewracając

stronę.

Al-Kindi uważał, że narodziny, rozwój, schyłek i śmierć cywilizacji można odczytać na podstawie dwóch wielkich kosmicznych cyklów.

Pierwszym z nich jest zjawisko precesji sprawiające, że mniej więcej co dwa tysiące lat, w dniu przesilenia wiosennego, Słońce wschodzi w innym znaku zodiaku.

Drugi cykl to cykl koniunkcji najodleglejszych planet naszego wszechświata: Jowisza i Saturna *. * Uran został odkryty dopiero w 1781, a Neptun w 1846 roku. Pluton, odkryty w 1930, stracił status planety w 2006 roku, decyzją Międzynarodowej Unii Astronomicznej. *Mniej więcej co dwadzieścia lat te dwie planety zbliżają się do siebie na niebie. Jednak co dwieście lat koniunkcja ta następuje w innym zodiakalnym kwadronie (czyli w grupie znaków należących do poszczególnych żywiołów: ziemi, wody, ognia i powietrza), a co osiemset lat następuje odnowienie całego cyklu.*

Żyjący w LX wieku Al-Kindi obliczył wszystkie koniunkcje Jowisza i Saturna tysiąc lat wstecz. Studiując jego dzieło, z bijącym sercem odkryłem, że astronom ten odnotował wielki cykl planetarny w 6 roku przed naszą erą, kiedy to obie planety stały w koniunkcji w znaku Ryb, a cykl kosmiczny właśnie zaczynał się od początku. Porównując swoje obserwacje z efemerydami współczesnego Chrystusowi greckiego astrologa Anaxylosa, Al-Kindi zauważył dziwne zjawisko mające miejsce 1 marca w 6 roku przed naszą erą. Była to koniunkcja pięciu planet: Słońca, Księżycy, Wenus, Jowisza i Saturna w znaku Ryb. Wyżej wymieniona data nie jest opatrzona żadnym dodatkowym komentarzem, jednak muszę wyznać Waszej Świątobliwości, że odkrywając notatkę Al-Kindiego, poczułem przebiegający mą duszę i ciało dreszcz.

Dysząc z wściekłości, starzec wziął kolejną kartkę. - Aż dobrze wiem, dokąd zmierza ten przeklęty astrolog wymamrotał.

Bowiem, jak Wasza Świątobliwość wie, pierwsi chrześcijanie rozpoznawali się właśnie po znaku ryby, który malowali podczas prześladowań w katakumbach. Wasza Świątobliwość zna klasyczną interpretację wyjaśniającą symbolikę tego znaku. Jednak wiele lat temu, podczas pierwszej lektury rękopisu Al-Kindiego, doszedłem do zupełnie innych wniosków, a w mojej głowie zaświtała nowa, niesłychana idea. Pojawienie się chrześcijaństwa przypada na okres, w którym „dom słońca” w dniu wiosennej równonocy przesunął się do gwiazdozbioru Ryb, a przecież symbolika tego znaku z wielką dokładnością odpowiada cechom charakterystycznym nowej religii, którą zainicjował Pan Jezus.

Oddając się ponownie uważnej lekturze dzieła arabskiego astrologa, odkrywając niezwykle rzadki przypadek koniunkcji pięciu planet w jednym znaku, musiałem zadać sobie pytanie: czyż nie był to znak narodzin Zbawiciela? Czyż Jego uczniowie nie wybrali symbolu ryby jako symbolu nowej wiary dlatego, że ich Nauczyciel urodził się w znaku Ryb? I czy krzyż, symbol męki, który pojawił się później, nie był jednocześnie symbolem zodiakalnego kwadronu: podziału znaków

odpowiadającego podziałowi czterech podstawowych żywiołów - ziemi, wody, ognia i powietrza - który podczas wielkiej koniunktji uległ całkowitemu odnowieniu? Czyż, zgodnie z Pismem Świętym, Chrystus nie przyszedł, „aby wszystko na nowo zjednoczyć”? Czyż Bóg nie pozwoliłby nam odczytać na niebie znaku, dzięki któremu rozpoznalibyśmy zstąpienie na Ziemię Jego Syna, Mesjasza zapowiedzianego przez Stary Testament? Wielkiego Króla Żydowskiego zrodzonego z Dziewicy, którego nadejście głosili także poganie?

Nagły atak kaszlu sprawił, że ojciec Theodoro o mało się nie zadławił. Mnich wstał z krzesła, wypił szklankę wody, po czym wrócił do wyczerpującej lektury.

W tym czasie, na prośbę Eleny, ojciec Salvatore wrócił z nią do infirmerii. Kobieta z przerażeniem odkryła, że Stella ma się coraz gorzej. Z ledwością wypiała napar, który brat pielęgniarz przygotował dla obniżenia gorączki. Potem jednak dziewczynka straciła przytomność i wydawała się być zupełnie odcięta od zewnętrznego świata.

Przeor delikatnie położył dłoń na ramieniu Eleny i powiedział:

- Nie mamy nic do stracenia. Pójdźmy do kaplicy pomodlić się przed ikoną Najświętszej Marii Panny.

Elena wyprostowała się z trudem. Poglądziła przeciągłym spojrzeniem zapadnięte policzki córki, po czym zdecydowała się pozostawić ją na chwilę samą i posłusznie poszła za przeorem. Przeszli przez wirydarz i małymi, bocznymi drzwiami kościoła zeszli do podziemi. Pomieszczenie tonęło w półmroku. Elena dostrzegła wysokie kolumny podtrzymujące chór opactwa. Ściany były ozdobione wspaniałymi freskami. Przeor zaprowadził ją na sam koniec kaplicy, przed fresk przedstawiający świętego Michała, księcia niebieskich zastępów.

Ikona stała na niskim, drewnianym pulpicie pod freskiem. Ojciec Salvatore podszedł do niej, całując nabożnie.

Elena zrobiła to samo, po czym oboje uklękli w ciszy na modlitewnikach, w odległości kilku stóp od ikony. Twarz Panny Miłosiernej oświetlała tylko jedna, blada świeca stojąca na pulpicie. Elena przymknęła oczy, szukając kontaktu z Bogiem. Skoncentrowana żarliwie modliła się do Matki Jezusa o ocalenie Stelli. Następnie otworzyła oczy, podnosząc wzrok na ikonę.

Wówczas na jej ściągniętych rysach pojawił się wyraz najwyższego zdumienia.

Kiedy już ojciec Theodora ugasił pragnienie, powrócił do lektury listu astrologa. Właśnie zaczynał piątą stronę.

Wasza Świątobliwość, Pismo Święte, a ściślej Ewangelia według Świętego Mateusza, następującymi słowy poucza nas o wydarzeniach zapowiadanych tak przez żydów, jak i przez pogan: Gdy zaś Jezus narodził się w Betlejem w Judei za panowania króla Heroda, oto Mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy i pytali: „Gdzie jest nowo narodzony król żydowski? Ujrzeliśmy bowiem jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać mu pokłon”. Skoro to usłyszał król Herod,

przeraził się, a z nim cała Jerozolima. Zebrał więc wszystkich arcykapłanów i uczonych ludu i wypytywał ich, gdzie ma się narodzić Mesjasz. Ci mu odpowiedzieli: „W Betlejem judzkim, bo tak napisał Prorok: A ty, Betlejem, ziemio Judy, nie jesteś zgoła najlichsze spośród głównych miast Judy, albowiem z ciebie wyjdzie władca, który będzie pasterzem ludu mego, Izraela”. Wtedy Herod przywołał potajemnie Mędrców i wypytał ich dokładnie o czas ukazania się gwiazdy. A kierując ich do Betlejem, rzekł: „Udajcie się tam i wypytajcie starannie o Dziecię, a gdy Je znajdziecie, donieście mi, abym i ja mógł pójść i oddać Mu pokłon”. Oni zaś wysłuchawszy króla, ruszyli w drogę. A oto gwiazda, którą widzieli na Wschodzie, szła przed nimi, aż przyszła i zatrzymała się nad miejscem, gdzie było Dziecię. Gdy ujrzeli gwiazdę, bardzo się uradowali. Weszli do domu i zobaczyli Dziecię z Matką Jego, Maryją; upadli na twarz i oddali Mu pokłon. I otworzywszy swe skarby, ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę. A otrzymawszy we śnie nakaz, żeby nie wracali do Heroda, inną drogą udali się do swojej ojczyzny.

Ojczyzna Święty, nie zrozumiemy w pełni tej wspaniałej opowieści, jeśli nie zrozumiemy odniesień astrologicznych. Mędrcy ze Wschodu z całą pewnością byli chaldejskimi astrologami, którzy widzieli wschodzącą gwiazdę Chrystusa, czyli koniunkcję Jowisza i Saturna w gwiazdozbiornie Ryb. Wiedzieli, że koniunkcja ta oznacza narodziny Króla Żydowskiego, wielkiego proroka, którego nadejście było zapowiedziane przez ich święte pisma. Udali się więc do Judei, miejsca narodzin tego, na którego czekali. Herod, który także znał przepowiednię, zapytał Mędrców o czas ukazania się gwiazdy, czyli czas trwania koniunkcji planetarnej. Następnie Mędrcy udali się do Betlejem, a gwiazda, którą widzieli na Wschodzie, szła przed nimi. W słowach tych nie należy dopatrywać się wskazówki geograficznej - Mędrcy wiedzieli, gdzie narodzi się Dziecię - lecz czasowej. Zgodnie z chaldejską wiedzą, Mesjasz miał się narodzić w chwili, gdy koniunkcja osiągnie apogeum, czyli wówczas, gdy w jednej linii stanie wszystkie pięć planet. Tak oto Pismo Święte daje nam bardzo precyzyjną wskazówkę dotyczącą dnia, a nawet godziny narodzin Chrystusa. Jaka bowiem gwiazda doprowadziła Mędrców do stajenki? Jaka gwiazda, jako jedyna, przemieszcza się szybko po nocnym niebie? Którą z nich można z łatwością obserwować gołym okiem? Księżyc! To właśnie na podstawie obserwacji ruchu Księżyca po nieboskłonie chaldejscy astrologowie precyzyjnie określili dzień i godzinę narodzin oczekiwanego proroka. Wiedzieli bowiem, że Król Żydowski narodzi się podczas wielkiej koniunkcji Słońca, Wenus, Jowisza i Saturna w gwiazdozbiornie Ryb. Ale wiedzieli również, że Księżyc także nie omieszka pospieszyć na to planetarne spotkanie. I nikt nie wątpi, że rozumieli, iż Chrystus narodzi się w chwili, gdy Księżyc spotka się ze Słońcem w gwiazdozbiornie Ryb. Efemerydy Anaxylosaprecyzują, że to zjawisko miało miejsce dokładnie 1 marca w 6 roku przed naszą erą, około trzeciej nad ranem. Mędrcy wyruszyli więc na poszukiwanie dziecięcia, które narodziło się właśnie o tej porze, i bez trudu odnaleźli stajenkę, w której przyszedł na świat Jezus.

Elena wpatrywała się w ikonę, nie wierząc własnym oczom. Ikona Bogurodzicy wydawała się być jej portretem z okresu, gdy miała czternaście czy piętnaście lat.

- Kto namalował tę ikonę? - spytała, patrząc na przeora.

- Przygodny podróżny - mruknął ojciec Salvatore. - Poznał technikę na górze Athos.

Elena zadrżała. Nie miała najmniejszych wątpliwości. Nagle przypomniała sobie nazwę klasztoru, który przyjął Giovanniego po tym, jak był pielęgnowany przez zielarkę: San Giovanni in Venere!

- Ojczy, czy człowiek, który ją namalował, nie nazywał się przypadkiem Giovanni Tratore?

- Rzeczywiście - rzekł mnich. - Czyżbyś go znała?

- Bardzo dobrze - odparła Elena złamanym głosem. Mnich bez słowa przyjrzał się twarzy dziewczyny. Następnie przeniósł wzrok na ikonę i znów na Elenę. W jego oczach malowało się bezbrzeżne zdumienie.

- Czy to przypadkiem nie ty jesteś młodą Wenecjanką, w której się zakochał? Tą, której uśpioną twarz oddał pisząc tę ikonę Eleusy o zamkniętych oczach?

Elena nie znalazła dość sił, by odpowiedzieć na to pytanie i wybuchnęła płaczem.

Stary opat sięgnął po siódmą kartkę. W jego oczach nie lśniła już najmniejsza nawet iskierka zainteresowania, tylko zimna wściekłość.

Rozumiesz, Ojczy Świąty, że dochodząc do tego etapu mych poszukiwań, kontynuuję je z niepokojem i największą pokorą, gdyż zdaję sobie sprawę, iż odkrycie oparte na obliczeniach Al-Kindiego i uważnej lekturze Ewangelii według Świętego Mateusza może wstrząsnąć chrześcijańskim światem i wprowadzić niepokój do umysłów wielu wiernych.

Bowiem skoro przyjmujemy, że Nasz Pan, Jezus Chrystus, narodził się w Betlejem w nocy 1 marca, w 6 roku przed naszą erą, możemy postawić Jego horoskop urodzeniowy, z którego odczytamy nie tylko Jego przeznaczenia, lecz także historię chrześcijaństwa, którego jest kamieniem węgielnym. Jednak zanim przejdę do interpretacji horoskopu Naszego Pana, proszę spojrzeć, Wasza Świątobliwość, na prawdopodobną mapę nieba w dniu Jego narodzin.

Sporządziłem ją drżącą dłonią, z duszą przepelnioną głębokim wzruszeniem.

Twarz ojca Theodora była sinoblada. Rzucił na dołączony do listu rysunek ukradkowe spojrzenie, jakby obawiając się, że wypali mu wzrok.

- Błuznierstwo! Najwyższe błuznierstwo... - mruknął bezbarwnym głosem. - Ohyda! Całe szczęście, że nikt nigdy nie widział i nie zobaczy tego okropieństwa! Inaczej protestanci, filozofowie i inni heretycy krzykną chórem, że w horoskopie Chrystusa można wyczytać zapowiedź wydarzeń Jego życia... Jakby Syn Boga podlegał, jak pierwszy lepszy człowiek, wpływowi planet! To byłby koniec prawdziwego chrześcijaństwa i zwycięstwo tych - pozał się Boże - humanistów, którzy chcą wszystko sprowadzić do człowieka, z tajemnicą wiary włącznie.

Elena nie mogła oderwać wzroku od ikony.

Zatem to prawda. Nawet w klasztorze, nawet pogrążony w głębokiej amnezji, Giovanni nigdy nie przestał o niej myśleć ani jej kochać. Kochać tak bardzo, że bezwiednie malował ją pod postacią Madonny.

Po twarzy Eleny popłynęły łzy szczęścia, a w jej sercu i w niej całej następował właśnie cud ozdrowienia.

Z trzęsącymi się z wściekłości dłońmi opat kontynuował wyczerpującą go lekturę. Astrolog właśnie doszedł do tego, czego ojciec Theodoro obawiał się najbardziej: do interpretacji horoskopu Chrystusa.

Koniunkcja pięciu planet w gwiazdozbiornie Ryb oznacza, że Chrystus posiada najwspanialsze cechy charakterystyczne tego znaku: intuicję i mistycyzm, a także zdolność współczucia, wyrzeczenia i najwyższego poświęcenia. Położenie Merkurego, symbolu inteligencji w gwiazdozbiornie Wodnika, oznacza nowatorskie, burzące dotychczasowy porządek idee humanizmu i braterstwa.

Zresztą położenie Marsa (symbolu przemocy) w Pannie (symbolizującej tradycjonalizm) wyraźnie sugeruje wrogość środowisk konserwatywnych w stosunku do pozostałych pięciu planet, stojących w gwiazdozbiornie Ryb.

Oto wskazówka mówiąca o tym, że przesianie Chrystusa musiało wywołać polemikę i opór środowisk religijnych. Widzimy też, że gwiazdy wskazują groźbę gwałtownej śmierci (Słońce w opozycji do Marsa).

Ojczy Świąty, zanim przejdę do interpretacji horoskopu i udzielenia wprost odpowiedzi na Twoje pytanie dotyczące przyszłości chrześcijaństwa, pozwól na krótką uwagę: nawet jeśli moja zachwalość może być dla znacznej części wiernych bulwersująca, jestem zdania, iż interpretacja horoskopu Chrystusa nie stoi w sprzeczności z wiarą w boskość Zbawiciela. Albowiem skoro Chrystus, druga osoba Trójcy Świątej, zechciał przyjąć postać człowieka, nie mógł jako taki uniknąć wpływu czynników, które zwykle warunkują ludzkie życie, a którymi są: dziedziczenie cech fizycznych, tradycja ludu, język czy zależność od kosmicznych cykli. To, co gwiazdy mówią na temat naszego Pana, Zbawiciela, jest - tak jak w przypadku każdego człowieka - bezcenną wskazówką dotyczącą cech Jego charakteru i ziemskiego przeznaczenia. Jednak mowa gwiazd w niczym nie umniejsza wolnej woli Chrystusa, który oddał swe życie dla zbawienia ludzkości. Jako wierny chrześcijanin uważam, że Chrystus, w imię miłości, dobrowolnie stał się człowiekiem i w imię tej samej miłości oddał za nas swe życie. Natomiast jako astrolog wierzę, że gwiazdy określają ludzki charakter Zbawiciela i drogę, jaką zdecydował się przejść na Ziemi, niosąc dzieło Odkupienia...

Elena nie odczuwała takiego spokoju od czasu, kiedy po raz ostatni trzymała Giovanniego w

ramionach. A teraz czuła jego niezwykłą bliskość.

Ojciec Salvatore był głęboko poruszony faktem, iż stoi twarzą w twarz z kobietą, która zainspirowała malarza. Podeszedł nieco bliżej i zapytał drżącym ze wzruszenia głosem:

- Od niemal dwóch lat nie miałem od niego wiadomości. Czy spotkaliście się ponownie?

Jasne spojrzenie Eleny nagle posmutniało.

- Tak, widziałam go jakiś czas temu. Twarz przeora pojaśniała.

- Co u niego?

- Nie żyje. Został skazany na stos na Cyprze.

- Mój Boże! - odparł przygnębiony przeor. - Kiedy to się stało?

- Dwa miesiące temu z okładem. Na świętego Michała. Ojciec Theodora co chwilę przerywał lekturę ósmej strony rękopisu. Piekły go powieki. Oczy dokuczały mu do tego stopnia, że płakał z bólu.

Nie miał siły dokończyć lektury dwóch ostatnich kartek. Ale tak naprawdę już mu nie zależało.

Zmiał list, zaciskając na nim kościste, krogulcze palce i z wściekłością cisnął go do ognia. Kartki zaskwierczały w jasnym żółtym płomieniu. Podniósł się dym, a pokój wypełnił się zapachem palonego papieru.

Nigdy wcześniej żaden zapach nie uszczęśliwił równie mocno nozdrzy ojca Theodora.

Opat westchnął głęboko, podnosząc oczy do nieba, i zaczął szeptać:

- Dzięki Ci, Panie, za to, że wysłuchałeś mych modlitw i sprawiłeś, że ten przeklęty list nie wpadł w niepowołane, bluźniercze ręce! Nawet jeśli miałyby to być ręce papieża! Teraz żaden perwersyjny umysł nie odważy się umniejszać boskości Twojego Syna, stawiając Go w jednym rzędzie ze zwykłymi śmiertelnikami, których los i charakter są jakoby zapisane w gwiazdach. Wszak to nie do pomyślenia, by Twój Boski Syn, Słowo, które stało się Ciałem, Odkupiciel Świata, mógł podlegać siłom kosmosu. I bez znaczenia, co na ten temat myśli ten heretycki astrolog, zwiedziony na manowce humanistyczną filozofią.

Do krypty wbiegł pośpiesznie brat Gasparo.

Zdyszany, z rozpaloną twarzą stanął przed przeorem i Eleną.

- Dziecko uratowane! - rzucił bez tchu. - Gorączka nagle opadła i dziewczynka odzyskała przytomność. Woła swoją mamę!

Serce Eleny omal nie pękło z radości. Mimo że pragnęła jak najprędzej zobaczyć córkę, uklękła ponownie przed ikoną Madonny. Tak jak fanatyczny starzec, dosłownie w tej samej chwili, dziękowała Bogu za cud, który wydarzył się za Jego sprawą.

93

Konie zatrzymały się na skraju polany. Podczas gdy dwaj służący i miejscowy wieśniak,

który im towarzyszył, uwiązywali je, Elena wolnym krokiem zbliżała się do opuszczonej chaty.

Mimo że Stella wyzdrowiała, matka na wszelki wypadek zostawiła ją w klasztorze pod opieką lekarza i brata pielęgniarza. Dziś, w ostatnim dniu pobytu w Abruzji, przed powrotem do Wenecji, koniecznie chciała udać się do miejsca, które tak wiele znaczyło w życiu Giovanniego. Za parę groszy wójt sąsiedniej wioski zgodził się wskazać jej drogę.

Elena obejrzała zgliszcza chałupy.

- Właśnie to go znaleźliśmy! - krzyknął stary Giorgio, wskazując właz zasypyany warstwą suchych liści i pylistej ziemi. - Był zupełnie nagi i leżał na słomie. Kiedy już stąd wyszliśmy, oczyszciliśmy to przeklęte miejsce ogniem.

Elena odprawiła towarzystwo i powoli obeszła zwęglone domostwo. Nagle jej wzrok przyciągnęła pewna osobliwość: małeńki kopczyk ziemi. Podeszła do niego z bijącym sercem.

- To na pewno tutaj! - wykrzyknęła na widok zatkniętego w ziemię niewielkiego krzyża.

Kontemplowała go dłuższą chwilę, po czym uklękła przy grobie. Po kilku minutach szepnęła:

- Jedyny mój! Gdybyś wiedział, jak bardzo odczuwam ból, który poczułeś, odnajdując grób twych przyjaciół.

Wykopała dłońmi dołek, rozpruła szew ukrytej w gorsecie kieszonki i wysypała jej zawartość na ziemię.

- Sądzę, że chciałbyś, by twoje ciało spoczywało blisko twych przyjaciół - szepnęła mieszając prochy Giovanniego z ziemią. - Zachowałam twe prochy, ale wolę zachować cię w pamięci żywego. Zatem niechaj zmieszają się z ziemią, która przyjęła tych, którzy dali ci klucze życia.

Przymknęła oczy, trzymając dłonie w ziemi.

- Gdybyś wiedział, jak bardzo odnajduję cię w twojej córce. Ma twoje oczy, usta, twój uśmiech! Często mam wrażenie, że patrzę na ciebie. Zostawiając mi ją i wstawiając się za nią w cudzie ozdrowienia, dałeś mi cudowny dar! Częstka ciebie zawsze będzie przy mnie. W każdej chwili życia dziękuję za nią Niebu, tak jak dziękuję za syna, którego zostawiłeś Esterze.

Przerwała, słysząc trzask gałązek za plecami. Odwróciła się myśląc, że służący wracają znad rzeki, gdzie poili konie. Ku wielkiemu zdumieniu spostrzegła psa. Zbliżał się powoli ze spuszczonej ogonem i stulonymi uszami, szczerząc kły.

Pies zachowywał się tak, jakby jego misją była ochrona tego miejsca. Podchodził coraz bliżej, warcząc.

Elena zamarła przestraszona.

Nagle zauważyła, że pies kuleje, i wówczas przez głowę przebiegła jej niespodziewana myśl.

Podczas gdy psisko zbliżało się coraz bardziej, wciąż grożąc, Elena zaczęła szukać czegoś w pamięci. Pies był nie dalej niż kilka kroków od niej, gotowy do skoku.

- Noe! - krzyknęła.

Pies znieruchomiał i nastawił uszu.

- Noe! - powtórzyła Elena nieco łagodniej. - To ty, prawda? Po chwili wahania pies machnął ogonem. Elena z uśmiechem rozłożyła ramiona.

- Chodź, Noe!

Pies zapiszczał i przykuśtykał do Eleny, która z płaczem objęła go za szyję. Noe lizał jej dłonie i twarz, popiskując z radości. Od dwóch lat nie słyszał swojego imienia, ale wciąż je pamiętał.

Kilkaset stóp dalej, kryjąc się w leśnym poszyciu, młoda kobieta przyglądała się tej scenie ze wzruszeniem. Od lat opiekowała się psem, nie znając nawet jego imienia. Często błąkała się wokół chaty Giovanniego. Instynktownie odgadła, kim jest klęcząca na grobie kobieta. Spojrzała na nią z miłością.

Vars, marzec 1991 - Monte Sant' Angelo, sierpień 2006, przejeżdżając przez: Paryż, Châteaurenard, Fontaine le Port, Rzym, Sulmonę, San Giovanni in Venere, górę Athos, Jerozolimę, Boquen, Meteory, Wenecję, Cypr, Fontaine la Louvet, Pouzillac, Le Citiot, Forcalquier, Algier, Die, Kordobę, Essaouirę, Malicorne.

Posłowie

Nikt nie zna całej treści *Dżafaru* Al-Kindiego, zbioru przepowiedni astrologicznych, który przepadł na zawsze. Tak więc moje odniesienia do tegoż, dotyczące horoskopu Chrystusa, są fikcją literacką.

Niemniej jednak:

10 września 1327 roku włoski poeta i astrolog Cecco d'Ascoli został oskarżony przez inkwizycję o herezję i spalony na stosie. Zarzucano mu, między innymi, próbę postawienia horoskopu Chrystusa.

W 1614 roku Jan Kepler, ojciec współczesnej astronomii, lecz jednocześnie gorliwy chrześcijanin i zwolennik astrologii, opublikował dzieło zatytułowane *De Vero Anno quo Aeternus Dei Filius Humanam Naturam in Ultero Benedictae Virginis Mariae Assumpsit*, w którym stwierdza, że Chrystus najprawdopodobniej narodził się podczas koniunkcji Jowisza i Saturna w gwiazdozbiornie Ryb około 6 roku przed naszą erą. Kepler uważał, wspierając się wiedzą astrologiczną że rzeczywista data narodzin Chrystusa jest wcześniejsza od daty oficjalnie uznanej przez Kościół katolicki. W ramach represji inkwizycja oskarżyła matkę astronoma o czary, wtrącając ją na czternaście miesięcy do więzienia.

Współczesna wiedza historyczna potwierdza wersję Keplera. Ewangelie mówią bowiem, iż

Jezus narodził się za panowania Heroda Wielkiego, który - z całą pewnością - zmarł w 4 roku p.n.e.

Komputerowe obliczenia astronomiczne potwierdzają wielką koniunkcję planetarną Słońca, Wenus, Jowisza i Saturna w 6 roku p.n.e. w gwiazdozbiornie Ryb. Wiadomo także, że nocą 1 marca do koniunkcji dołączył także Księżyc.